

KIR BUŁYCZOW

UTWORY WYBRANE 2

AGENT FK

MIASTO NA GÓRZE

**TYTUŁY ORYGINAŁÓW: AGENT KF, GOROD NAWIERCHU
PRZEŁOŻYŁ TADEUSZ GOSK**

AGENT FK

Archeolog Focjusz van Kuun był szczęśliwy.

Uczucie szczęścia nie zależy od wagi powodującego je wydarzenia. Przez wiele lat wyczekiwany sukces, koniec ciężkiej pracy, finał długiej podróży może przynieść tylko zmęczenie lub nawet rozczarowanie, zaś nieoczekiwany drobniak zdolny jest napełnić człowieka ogromnym szczęściem.

Focjusz van Kuun szedł do hotelu ulicą Trzech Dokonań. Przez ostatnie cztery dni dokładnie poznał tę krótką i prostą drogę. Dziesięć minut niespiesznego spaceru w cieniu domów zwisających nad przechodniem jak dynie nad mrówką. Konsul generalny Olsen, malutki i krągłutki erudyta, nazywał to miasto ogrodem dla olbrzymów. „Ten typ siedziby — tłumaczył Focjuszowi van Kuunowi — wykształcił się w wyniku procesów historycznych w okresie waśni klanowych. Bardzo trudno jest szturmować jajko ustawione ostrym końcem w dół albo uniesione na palach. Dlatego też i okna umieszczone są na wysokości co najmniej pięciu metrów nad ziemią. Dynie malowano na jaskrawe kolory, najpierw w barwach zamieszkujących je klanów, a później w miastach — gdzie pojęcie klanu już nie istniało — zgodnie z obowiązującą modą”.

Hen wysoko nad głową dynie prawie przylegały do siebie obłymi bokami i dlatego niżej, na ulicy, panował chłodny cień. Kiedy van Kuun dochodził do skrzyżowania, żar słońca uderzał go jak obuchem, więc podobnie jak inni przechodnie spieszył co prędzej w cień kolejnego domu. Trafił do miasta w okresie największych upałów i po chłodnych mrokach wykopalisk na Ar—A nie mógł w żaden sposób przywyknąć do dławiącej duchoty. Szczególnie ciężko żyło się w hotelu. Hotel został zbudowany zgodnie z duchem czasu i oczekiwał na turystów z innych planet. Wyglądał zupełnie jak walizka porzucona na polu arbuzów. Klimatyzacja w nim nie działała i podczas gdy w tradycyjnych domach ich podwójne ściany zapewniały chłód latem a ciepło zimą, to zwierciadlane płaszczyzny hotelowej elewacji zamieniały budynek w baterię słoneczną skupiającą w sobie ciepło i blask Najlepszy pokój w hotelu, który zajmował archeolog, był zarazem najgorętszym miejscem w mieście.

Wracając do hotelu, żeby wziąć prysznic i przebrać się przed wykładem, Focjusz van Kuun z przerażeniem wyobraził sobie, że będzie musiał wejść w amfiladę rozżarzonych do białości zalanych słonecznym światłem pokoiów, i w tym momencie zauważył sklep.

Do sklepu podobnie jak do domów mieszkalnych, trzeba było wspiąć się po stromej drabinie żeby zauważyć szyld trzeba było zadrzeć głowę Nie chcąc narażać klientów na taką niewygodę kupcy wykładali próbki swoich towarów u stop drabin Rozumie się samo przez się, że nie kładli tam niczego cennego Focjusz van Kuun już nie raz przechodził obok tego sklepiku Zawsze jednak albo się spieszył albo otoczony był miejscowymi uczniami i na wyłożone towary po prostu nie zwracał uwagi.

A teraz zatrzymał się przed zrobioną z papier mâché lalką w starożytnym stroju z ptasich piór Lalka wystawała z jaskrawo pomalowanej glinianej wazy Focjusz van Kuun domyślił się że stoi przed sklepem z pamiątkami, a że był człowiekiem nie pozbawionym ciekawości wdrapał się po wąskiej drabinie, rozsunął uplecione z trzciny drzwi i znalazł się w okrągłym pomieszczeniu.

Zobaczywszy gościa, kupiec na znak szacunku włożył na głowę srebrzystą czapkę i szerokim gestem siewcy wskazał wiszącą na ścianie tablicę—tłumacza. Na prawej kolumnie ukazywały się słowa niezbyt poprawnie przełożone na lincos.

Skinąwszy głową sprzedawcy van Kuun zaczął oglądać rozłożone na półkach towary. Znalazł tam pełny wybór przedmiotów mogących zadowolić najwytrawniejszych łowców pamiątek. Lalki, naczynia i wazony, zabawki z ptasich piór, marmurowe i ametystowe kulki wróżebne, futrzane maty i dywaniki wyszywane paciorkami kule, nad którymi dobrze się jest zadumać, starożytne toporki o zatrutych ostrzach, złote jaja żółwi i hełmy z pancerzy tych stworzeń, pantofle domowe do przyjmowania gości i sandały dla biorących udział w uroczystych

pożegnaniach, teczki na listy miłosne, kryształowe „Oczy pieśczozy” ze żrenicami z nefrytu, ozdobne posochy, całe stadko wież Eiffla które nie wiadomo jak tu trafiły, wieloosobowe fajki podobne do jeżozwierzy. Wiele z tych rzeczy van Kuun widział już na bazarze, na który poprzedniego dnia zaprowadził go konsul Olsen, a ponieważ miał znakomitą pamięć, udało mu się zapamiętać ich przeznaczenie.

Van Kuun szedł powoli wzdłuż półek, zdając sobie sprawę z tego, że skoro już tu zajrzał, to musi coś kupić, żeby nie obrazić sprzedawcy (Olsen powiedział mu o tym zwyczaju). Jeżeli tego nie zrobi, kupiec będzie musiał nietaktownemu klientowi dać jakiś prezent. Szukał więc czegoś niedużego, rzeczywiście niezwykłego i przy tym pożytecznego. Focjusz van Kuun był bowiem człowiekiem o umyśle racjonalnym.

I oto na dolnej półce ujrzał figurki żołnierzyków.

W tej właśnie chwili archeolog Focjusz van Kuun poczuł, że jest szczęśliwy.

Kiedy przed wieloma laty opuszczał Ziemię pozostawił tam ogromną, jedną z najciekawszych na naszym globie kolekcję żołnierzyków. Od tego czasu nie udawało mu się jakoś wpaść do domu, bo przyszło mu mieszkać w Centrum Galaktycznym i stamtąd wyruszał na swoje archeologiczne wyprawy. Ziemia leży daleko od Centrum i jeśli już ktoś wybrał zawód kosmoarcheologa, to ma szansę powrócić na nią po przejściu na emeryturę. Ale pasja kolekcjonerska nie opuściła van Kuuna. Niestety, sztuka wytwarzania ołowianych żołnierzyków jest w Galaktyce bardzo słabo rozwinięta i mieszkańcy nawet nader wysoko cywilizowanych planet nie zawsze wiedzą, że coś takiego w ogóle istnieje. Van Kuun nauczył się więc sam odlewać żołnierzyki i malować je. Spędzał wiele czasu w muzeach i na paradach wojskowych fotografując i rysując. Jeżeli w trakcie wykopalisk natrafiono na grób wojownika — nieodmiennie wzywano van Kuuna. W ciągu dwudziestu lat nowy rzut jego kolekcji osiągnął trzydzieści tysięcy egzemplarzy i gdyby połączyć owe zbiory z tym, co pozostało na Ziemi to okazałoby się ponad wszelką wątpliwość, że Focjusz van Kuun posiada największą we Wszechświecie kolekcję ołowianych żołnierzyków.

I oto, przyleciawszy na parę dni na Pe-U z wykopalisk Ar-A, planety tego samego systemu, zavalony po uszy pracą Focjusz van Kuun zagląda do sklepu z pamiątkami i widzi na półce wspaniale wykonane żołnierzyki.

Skrywając głęboko drzenie kolekcjonerskiej duszy Focjusz van Kuun podszedł do tablicy-tłumacza i przeciągnął palcem od pytania „Ile kosztuje?” do jego odpowiednika w języku miejscowym.

Kupiec odpowiedział długą tyradą, z której Focjusz van Kuun nie zrozumiał ani słowa. Pochylił się więc, wziął z półki jednego żołnierzyka i pokazał go sprzedawcy. Sprzedawca okropnie się zdziwił, jakby nigdy żaden przyjezdny nie kupował u niego ołowianych żołnierzyków i wzięwszy z półki lśniącą, migotliwą „Kulę do myślenia” podał ją van Kuunowi. Uważał widać, że kupiec lepiej wie, co się komu może przydać.

Van Kuun odszukał na tablicy słowo „Nie”.

Rozczarowany sprzedawca odłożył kulę na miejsce, podszedł do tablicy i wskazał cyfrę na lewej kolumnie. Kuun znalazł jej odpowiednik w licosie i zrozumiał, iż żołnierzyk kosztuje dużo. Osiem eli. Bardzo się zdziwił, ale potem doszedł do wniosku, że wartość przedmiotów zależy od pracy włożonej w ich wykonanie. A żołnierzyk zrobiony był bardzo starannie. Odlany z jakiegoś ciężkiego stopu był odrobinę większy od palca wskazującego. Miał na sobie zbroję z kawałeczków folii miedzianej, płaszcz z tkaniny, zaś twarz i odsłonięte ręce pokryte tatuażem bojowym, namalowanym cieniutkim pędzelkiem. Van Kuun szybko przeliczył w myślach posiadaną gotówkę i uznał, że w gruncie rzeczy te pieniądze nie są mu na nic potrzebne. Jutro powinien przylecieć „Szkwał” z Centrum Galaktycznego wiozący aparaturę i zaopatrzenie

wyprawy archeologicznej. Ponury przedstawiciel Floty Kosmicznej Andrew Bruce oświadczył kategorycznie, że statek leci bez opóźnienia. „Szkwał” zabierze van Kuuna i potem kutrem wysadzi go na Ar–A. W ogóle nie wiadomo, czy van Kuun trafi jeszcze kiedykolwiek na Pe–U. Najprawdopodobniej nigdy. A żołnierzyki przystrojone są w barwy klanów — to już historia. Już tylko w Górskich Księstwach zachowały się takie płaszcze, a i tradycyjna broń — dmuchawki, toporki z zatrutymi ostrzami, rozdwojone kindżały powoli trafia do muzeów. Albo ginie, bo zawsze bardziej dbamy o odległą przeszłość niż o realia dnia wczorajszego.

Na półce stało sześćdziesiąt żołnierzyków. Każdy inny. Nawet wojownicy z jednego klanu różnili się uzbrojeniem i pancerzami. Jeśli weźmie wszystkie pieniądze, które ma w hotelu, to wystarczy.

Jako prawdziwy kolekcjoner nauczony by nie kusić losu, van Kuun wyciągnął portfel i wyjaśnił sprzedawcy, że ma przy sobie tylko trzydzieści trzy ele, czyli że może kupić cztery żołnierzyki.

Wybrał więc cztery w najbardziej charakterystycznych strojach, ostrożnie zaniósł je na ladę i położył obok trzydzieści dwa ele.

Nagle zauważył, że sprzedawca trzęsie się ze strachu.

O co chodzi? — zapytał. Nie miał już czasu na żadne dyskusje. Za pół godziny musiał być w Szkole Wiedzy.

Sprzedawca odpowiedział niezrozumiałą tyradą, odłożył jednego z żołnierzyków, potem zabrał osiem eli, a pozostałe pieniądze podsunął pod nos van Kuunowi.

— O, co to, to nie! — powiedział van Kuun, który był człowiekiem upartym. — To są dobre pieniądze. Żadnej reszty mi nie trzeba. Zaraz wrócę i wezmę pozostałe żołnierzyki. — I pokazał gestem, że chce kupić wszystkie figurki.

Nie wiadomo, czy kupiec go zrozumiał, ale w końcu wziął pieniądze, wyciągnął pudełko wyścielone ptasim puchem, włożył weń żołnierzyki i przykrył papierem. Spieszył się i starał się nie patrzeć na kupującego.

Van Kuun odszukał na tablicy słowo „dziękuję”, wypowiedział je i ostrożnie niosąc pudełko skierował się ku wyjściu. Obejrzał się jeszcze od trzcinowych drzwi i zobaczył, że kupiec zdjął srebrzystą czapkę i ociera nią pot z czoła.

— Zaraz wracam — oznajmił mu Focjusz van Kuun.

* * *

Focjusz van Kuun był szczęśliwy.

Szczęście kolekcjonera to zupełnie specjalny rodzaj ekstazy dostępnej właściwie mało komu. Jest to uczucie w istocie swej bezinteresowne, gdyż dusza prawdziwego zbieracza tak samo upajać się będzie znaleziskiem za parę groszy, jak i czymś bezcennym — liczy się bowiem nie wartość, lecz fakt posiadania. Nie tak znów wielu ludzi w Galaktyce zdolnych byłoby do podzielenia radości van Kuuna. Tacy ludzie wprawdzie istnieli, ale dzieliły ich całe lata świetlne. Van Kuun, nie zauważając kurzu wiszącego nad rozpalonym miastem ani napotykanym przechodniów, którzy patrzyli na niego jak na jakieś egzotyczne zwierzę, spieszył do hotelu. Jeśli ktoś rozsądny powiedziałby mu, że stojące w sklepie żołnierzyki nigdzie mu nie uciekną i że doskonale może je kupić jutro lub nawet pojutrze, van Kuun nie mrugnąłby nawet okiem i nie bacząc na to, że był zupełnie normalnym, pozbawionym nadmiernej podejrzliwości człowiekiem, na wszelki wypadek przyspieszyłby kroku pełen najgorszych przeczuć, że a nuż ten życzliwy chce mu żołnierzyki podkupić...

Wyobrażając sobie z drżeniem serca, jak hipotetyczny konkurent wpada do sklepiku, żeby

wykupić żołnierzyki, van Kuun przebiegł hali hotelu, pokonał dwa piętra (winda akurat nie działała), przypomniał sobie, że nie zabrał z portierni klucza, zawrócił, wspiał się ciężko dysząc na czwarte piętro, wpadł do pokoju, ostrożnie umieścił na łóżku pudełko z żołnierzykami i zaczął się szybko rozbierać, żeby wziąć prysznic. Potem podszedł do biurka, w którym trzymał pieniądze.

Wyciągnął górną szufladę.

I mocno się zdziwił.

W szufladzie najwyraźniej ktoś grzebał.

Będąc człowiekiem skrupulatnym, Focjusz van Kuun rozkładał swoje rzeczy tak, żeby dzielące je linie były dokładnie równoległe. Powiadają, że pewnego razu w międzygwiazdnej bazie archeologicznej zemdlął na widok krzywo wiszącego obrazu umieszczonego zbyt wysoko, aby mógł do niego sięgnąć. Przez pół godziny wpatrywał się w ową reprodukcję, robił się coraz bledszy, a potem osunął się bez zmysłów na ziemię.

Wystarczył jeden rzut wprawnego oka, aby van Kuun zrozumiał: jego papiery przeglądano i rewidujący nie potrafił równoległe ułożyć kartek i teczek. W dodatku przestępca wykradł portfel z pieniędzmi i dokumentami archeologa. I, co było dla Focjusza najbardziej niemiłe, przetrząsnął i wysypał głęboko przez niego skrywane pudełeczko z lekarstwami.

W innej sytuacji Focjusz van Kuun dokładnie sprawdziłby, czy coś jeszcze nie zginęło, wezwałby kierownika hotelu, zadzwonił — używając ogromnego, przypominającego niebieską maszynę do szycia telefonu — do konsulatu generalnego, ale w tym akurat momencie Focjusza van Kuuna przyprawiła o rozpacz jedynie utrata pieniędzy, której skutkiem stać się mogło niepowodzenie „operacji żołnierzyki”. Pomyślał, że mógł zostawić portfel w kieszeni kurtki, którą miał na sobie wczoraj wieczorem. Otworzył szafę ścienną. Kurtka poniewierała się na jej dnie, a portfela w kieszeni nie było.

Irracjonalna nadzieja znalezienia pieniędzy zmusiła archeologa do stracenia jeszcze kilku dalszych minut. Pełzał pod łóżkiem, obszukał dokładnie łazienkę i przedpokój... Wszędzie natrafiał na ślady nieumiejętnie prowadzonej, niefachowej, niechlujnej, ale bardzo dokładnej rewizji.

W końcu musiał rozstać się z nadzieją na znalezienie pieniędzy. Przeklął w żywy kamień całą tę planetę, przeklął równie energicznie swoją namiętność do ołowianych żołnierzyków i w trakcie owych przekleństw dotarło do niego, że do podsumowującego jego pobyt na Pe-U wykładu końcowego w Szkole Wiedzy pozostało mu zaledwie osiem minut.

Focjusz van Kuun był człowiekiem punktualnym i nie znosił się spóźniać. W ciągu paru minut musiał zatem się przebrać (o wzięciu prysznicza nie miał nawet co marzyć), dobiec do Szkoły Wiedzy i naturalnie podskoczyć do sklepu, żeby wyjaśnić sprzedawcy, iż jutro zdobędzie pieniądze i kupi resztę żołnierzyków, więc: „niech pan będzie uprzejmy nikomu ich nie sprzedawać!”.

Przebierał się w takim tempie, że nie miał czasu nad czymkolwiek solidnie się zastanowić. Co prawda doszedł do wniosku, że padł ofiarą rabusiów, których — jak słyszał — na tej planecie nie brakowało. Miejskowa cywilizacja stosunkowo niedawno wyszła z Epoki Zwaśnionych Klanów, a pierwsze fabryki, pierwsze szkoły i rząd centralny na globie powstały zaledwie przed dwustu laty. W gruncie rzeczy planeta Pe-U wleciała w erę kosmiczną zanim jeszcze zdążyła przeżyć do końca swoje społeczne dzieciństwo. Wśród gór otaczających stolicę, na oceanicznych wyspach i w niewielkich peryferyjnych państewkach jeszcze do dziś panowały barbarzyńskie obyczaje i żywioł tego społecznego prymitywizmu od czasu do czasu zalewał, niczym fala przyływu, nowy świat miast. Centrum Galaktyczne zaliczyło Pe-U do światów ograniczonego kontaktu, co znaczyło, że stosunki z planetą należało nawiązywać skrajnie ostrożnie, bez prób wtrącania się do

procesów jej samodzielnego rozwoju.

W historii Centrum Galaktycznego nieraz już wprawdzie wynikały straszliwe komplikacje z owym ograniczonym kontaktem, ale przecież wszystkich kłopotów z góry przewidzieć nie sposób, a tym bardziej skutecznie im zapobiec.

Rzecz jasna, że w skomplikowanym i niespokojnym organizmie Pe-U znalazły się siły dążące do zdobycia przewagi poprzez wykorzystanie Centrum Galaktycznego z jego potężnymi możliwościami w dziedzinie nauki i technologii. Siły te życzyły sobie oczywiście jak największego udziału Centrum w życiu planety. Już stroje pierwszych kosmonautów, którzy przybyli na Pe-U, urządzenia i maszyny, którymi się posługiwali dostarczyły dość materiału do zastanowienia się i — co tu ukrywać — zawiści. Wynikały z tego nie tylko korzyści, ale również szkody. Kiedyś dawno temu Papuasi na Nowej Gwinei, żyjący jeszcze w epoce kamiennej, wymyślili dziwny obrządek. Otóż wiedząc jak wiele pożytecznych i cennych przedmiotów udawało się odzyskać z samolotów, które spadły na ziemię w czasie wojny, budowali potem samoloty z drewna i bambusu, mając w ten sposób nadzieję przywabić prawdziwy samolot.

Focjusz van Kuun znał historię, która wydarzyła się trzydzieści lat wcześniej na zupełnie innej planecie. Mieszkańcy tego globu nieoczekiwanie napadli na statek galaktyczny, wymordowali jego załogę i wybebeszyli wewnątrz, sam zaś statek ustawili na cokole jako kosmiczne bóstwo.

Ale im aktywniej działali na Pe-U zwolennicy kontaktu i zapożyczeń, tym energiczniej reagowali izolacjoniści. Twierdzili oni, że obecność ludzi z Centrum Galaktycznego jest realnym zagrożeniem dla stylu życia uświęconego wielowiekową tradycją. Uważali przy tym, że jeśli uda się wypędzić intruzów, to na planetę powróci złoty wiek. Zapominali, że przed przylotem statku ów złoty wiek też był raczej nieobecny i że jeśli nawet na planecie nie pozostanie ani jeden człowiek, to i tak jej życie nie będzie już nigdy takie, jak przedtem, a ci, którzy dążą do kontaktu, wcześniej czy później muszą wygrać.

W okresie, w którym Focjusz van Kuun przybył na Pe-U, na planecie panowała równowaga, utrzymywana nie bez wpływu Centrum Galaktycznego. Był tam konsul generalny Centrum, przedstawicielstwo Floty Kosmicznej i nawet kosmodrom. Studenci z Pe-U kształcili się na innych planetach, grupa lekarzy Centrum badała choroby epidemiczne i przygotowywała miejscowych medyków do walki z nimi... Jednym słowem „ograniczony kontakt”. W oczekiwaniu na rozwinięcie owego kontaktu, w nadziei na napływ turystów i ekspertów wybudowano olbrzymi pudełkowaty hotel. Jedynym jego mieszkańcem, nie licząc miejscowej ludności, dla której nocleg tam był czymś niesłychanie egzotycznym, był archeolog Focjusz van Kuun. Hotel miał w sobie coś z bambusowej kopii prawdziwego samolotu — woda ledwie kapiała z jego kranów, windy nie działały, przez szczeliny w ścianach wdierał się gorący wiatr i konsul generalny, przesympatyczny Olsen, ostrzegał wszystkich przybywających na planetę, że w żadnym wypadku nie należy się w nim zatrzymywać. Zwykle wszyscy go słuchali i zatrzymywali się bądź w zwyczajnym miejscowym hotelu, bądź w siedzibie konsulatu. Focjusz van Kuun był jednak gościem Szkoły Wiedzy i osobistością na tyle ważną, że mógł zamieszkać tylko w tym hotelu.

Focjusz van Kuun doskonale się orientował, że w mieście żyją nie tylko spokojni obywatele, lecz także złodzieje, bandyci i mordercy, a po nocach w przystaniach nad jeziorem i w ciemnych dzielnicach przepelnionych uciekinierami z gór, gdzie strażnicy w ogóle nie zagląдают, dochodzi do formalnych bitew między zbrojnymi bandami. Tak więc choć kradzież bardzo go zdenerwowała, to jednak nadmiernie nie zdziwiła. Jako człowiek rozsądny zastanawiał się tylko od kogo pożyczyć pieniędzy na zakup żołnierzyków — od konsula, czy od Bruce'a?

W ciągu dwóch minut zdążył zrzucić przepoconą i zakurzoną płócienną kurtkę, białe, szerokie jak spódnica szorty — moda z zeszłego dziesięciolecia, ale jakże wygodna w czasie wykopalisk

na gorących terenach — i złociste sandały nabyte na bazarze w Patalipturze. Jeszcze minutę stracił na wydobycie z szafy zrzuconego z wieszaka przez grabieżców odrobinę pomiętego, ale zupełnie przyzwoitego fraka, szarych łosiowych pantalonów, matowych czarnych pantofli z lekko zadartymi czubkami i srebrzystej koszuli z pianistym żabotem, czyli lekko konserwatywnego stroju wieczorowego. Naturalnie Focjuszowi van Kuunowi w ogóle nie przyszło do głowy wlec ze sobą na wykopaliska, a potem na Pe-U takiego sztywnego ubrania — to konsul Olsen dał mu wczoraj ten cały komplet. Konsul miał specjalny magazyn, gdzie stał długi, mieszczący około pięćdziesięciu ubrań wieszak, przez co pomieszczenie wyglądało jak wnętrze staroświeckiego sklepu. Poczciwy Olsen surowo przestrzegał etykiety, choć nie był jej szczególnym zwolennikiem. W klanowym społeczeństwie Pe-U etykieta była po prostu nader ważnym składnikiem życia, a zatem profesor z Centrum wykładający w Szkole Wiedzy musiał być odpowiednio przyodziany.

Focjusz van Kuun zdążył jeszcze zerknąć w krzywe, marnie oszlifowane lustro i skonstatować, że mimo stonowanych barw swojej odzieży wygląda w niej jak egzotyczny ptak.

Już gotów był bieć, kiedy przypomniał sobie, że obiecał konsulowi, iż przypnie do klapy znaczek Służby Archeologicznej — złote litery KSA na tle srebrnego Partenonu. To zajęło mu dalsze trzydzieści sekund, poszukiwanie teczki z planami wykopalisk — leżała pod stołem — jeszcze dwadzieścia sekund. Teczka była cieńsza niż rano, ale tego Focjusz van Kuun już nie zauważył.

Bieg po schodach — trzydzieści trzy sekundy.

Poślizg na pachnącym naftą parkiecie — poślizg prawie na granicy upadku — cztery sekundy.

Skok ku drzwiom restauracji i zastanawianie się, jak się wychodzi na ulicę — dwanaście sekund.

Pomarańczowe słońce już zachodziło świeciło prosto w twarz, wyłaczając słupy kurzu.

Focjusz van Kuun uświadomił sobie, że zapomniał włożyć krótkiego płaszcza mającego jakieś symboliczne znaczenie w labiryncie etykiety, omal nie rzucił się z powrotem do hotelu, ale się opanował i pobiegł dalej. Chciał zatrzymać parzystą riksę, lecz przypomniał sobie, że nie ma przy sobie ani grosza. Załoga rikszy — mąż kręcił pedałami, a żona biegła z tyłu z wachlarzem — zwolniła i zatrzymała się, patrząc wyczekująco na dziwne stworzenie w czarnym stroju, oznaczającym w niektórych klanach gotowość do śmiertelnej zemsty. Rikszarz widocznie przypomniał sobie o tym, bo mocno nacisnął pedały, a żona popędziła za nim. W rezultacie rikszarz wprowadził swoją porcję zamieszania do sprawy, opowiadając strażnikowi, że Focjusz van Kuun był uzbrojony i wykonywał charakterystyczne dla mściciela gesty wściekłości. W pamięci rikszarza obraz człowieka w czerni uzupełniony został nie istniejącymi, ale obowiązkowymi rekwizytami krwawego rytuału. Jego żona mogłaby dokładniej opisać wygląd Focjusza van Kuuna, ale oczywiście nikt ją o nic nie pytał, gdyż zeznania prostej kobiety nie mają żadnej mocy prawnej.

Zrezygnowawszy z jazdy rikszą Focjusz van Kuun popędził przed siebie, starając się jak najprędzej dotrzeć do zbawczego cienia gigantycznych arbuzów. Było mu bardzo gorąco i duszno w nieco zbyt rzadkim jak na ziemskie przyzwyczajenia powietrzu Pe-U. Minęło sześć minut i już był spóźniony.

Zatrzymał się jeszcze na sekundę przy sklepie z pamiątkami. Jego dusza była rozdarta między poczuciem obowiązku, który wzywał go do pośpiechu, a chęcią wstąpienia do sklepu i namówienia sprzedawcy, żeby zatrzymał mu do jutra komplet żołnierzyków.

Kupiec zauważył van Kuuna przez szczelinę w trzcinowych drzwiach, ale nie zaprosił go do wnętrza, bo był przerażony już poprzednim zachowaniem. Teraz ujrzawszy naszego archeologa w czarnym ubraniu, szybko cofnął się i schował za ladę.

Stąd też nie zobaczył tego, co mógłby ujrzeć pozostawszy przy drzwiach.

W owej chwili van Kuun znajdował się w głębokim cieniu pod nawisającym bokiem dyni. Ulica była pusta. Czas przed zachodem słońca był najgorętszą porą w mieście i dlatego na ulicach nie widać było żywego ducha.

Focjusz van Kuun nawet nie spostrzegł, kiedy dostał łaską w głowę. Żółtą łaską z kości, jakiej najczęściej używają górale.

Uderzenie było silne i Focjusz van Kuun niczego nie zdążył już zrozumieć.

* * *

Agencję dzieliła od kosmodromu godzina drogi. Całkiem w sumie przyzwoity kosmodrom wybudowano dwadzieścia lat temu, ale władze miejskie, w których kompetencji to leżało, nie zdołały jakoś dotąd wybudować porządnej drogi.

Po obu stronach traktu, coraz rzadsze i mniejsze ciągnęły się pasiaste domy—dynie z małutkimi trójkątnymi wycięciami okien, co wyglądało zupełnie tak, jakby ktoś sprawdzał, czy dynie już dojrzały... Z okien sterczały długie tyki z wywieszoną bielizną. Stara furgonetka Floty Kosmicznej z literami FK na bokach podskakiwała na nierównościach gruntu, rudy kurz zasłaniał okna. Handlarze siedzący wzdłuż drogi też byli osypani kurzem, a ich towary miały kolor pyłu.

Czyścioszek Petri A zamknęła okno. Zrobiło się jeszcze goręcej, a kurz i tak wpadał do środka wozu i skrzypiał w zębach.

— Obiecał pan wezwać kogoś, żeby naprawić klimatyzację w furgonetce — powiedział Andrew Bruce do swego zastępcy WosenJu. — Aż wstyd przed pasażerami.

— Niech przyślą nową furgonetkę — odpowiedział zastępca. Zdmuchnął kurz z grubej aktówki, z którą nigdy się nie rozstawał. — Nasi rzemieślnicy nie znają się na budowie ziemskich urządzeń klimatyzacyjnych. I na klimatyzacji w ogóle.

— To nieprawda — powiedział Bruce, patrząc natarczywie na WosenJu, co wedle miejscowych kryteriów nie było zbyt uprzejme. WosenJu zawsze jednak go irytował, drażnił swymi żenicami w fioletowe cętki. — W konsulacie w tym tygodniu zainstalowano klimatyzatory.

— A nie pytałeś — wtrąciła się PetriA, chcąc zmienić temat — co w konsulacie mówią o zaginionym archeologu?

— Spotkamy konsula na kosmodromie, to go zapytamy — odpowiedział Andrew. — Chyba nic nowego się na razie nie wydarzyło.

— Wszyscy w mieście wiedzą — odezwał się WosenJu — że archeolog chciał mścić się na Klanie Zachodnich Szczytów.

— Bzdura! — wykrzyknął z przekonaniem Andrew. — Przecież °n tu zjawił się dopiero cztery dni temu i nic nie wiedział o żadnych klanach. Cały czas spędzał w Szkole Wiedzy. Po co mu były jakieś klany?

— Sprzedał im swoje mapy, ale mu nie zapłacili — odparł WosenJu. — I stracił w ten sposób twarz.

Wosenju dmuchnął sobie na złote skrzydełko na ramieniu. Sam wymyślił mundur Floty Kosmicznej, bo nawet w tym świecie różnorodnych jaskrawych strojów chciał się wyróżniać wyglądem. Może dlatego, że jego klan był słaby, większość mężczyzn wyginęła w walkach z Klanem Rzeki, więc klan wycofał się, zrezygnował z dalszej walki, żeby po prostu przeżyć — podobnie jak pies, który po przegranej starciu kładzie się na plecy, ukazując przeciwnikowi bezbranny brzuch. I przeciwnik odchodzi. Gdyby taki obyczaj nie istniał, to w okrutnej walce klanów obwarowanej skomplikowanym systemem kodeksów honorowych mieszkańcy planety

dawno już by się nawzajem wymordowali.

Mapy archeologa zniknęły. O tym już wiadano. WaraJu, szef straży miejskiej, przekazał tę wiadomość konsulowi generalnemu od razu tego wieczoru. W pokoju Focjusza van Kuuna wszystko było przetrząśnięte, splądrowane, przewrócone do góry nogami. Należy wątpić, że zrobił to sam archeolog, bo portier zeznał, że był w swoim pokoju tylko parę minut. Zniknęła też teczka z papierami.

W pokoju znaleziono cztery figurki zemsty. Wprawdzie nie rozcięte, ale jednak były to figurki zemsty. Wrogość między klanami nigdy nie zaczyna się zniemacka. Jeśli chcesz wstąpić na ścieżkę wojenną, to wedle obyczaju musisz zaopatrzyć się najpierw w specjalną figurkę zemsty (takimi ubranymi w rozmaite stroje metalowymi żołnierzami handlowały wyspecjalizowane sklepy), potem odciąć jej głowę i wysłać lub zanieść osobiście przedstawicielowi klanu, z którym zycysz sobie być na stopie wojennej.

Najbardziej zastanawiające w całej tej historii było to, że archeolog nie wiedzieć czemu kupił cztery figurki zemsty w barwach trzech różnych klanów. Znajdował się wśród nich żołnierz z Klanu Przystani, cieszącego się fatalną reputacją i tak przy tym silnego i pozbawionego skrupułów, że nawet górale z zachodu nie mieli odwagi z nim zaczynać. Wyglądało to tak, jakby ziemski archeolog w napadzie szału zwaśnił się naraz z trzema klanami. Rzecz nie mieściła się w głowie, była absolutnie nieprawdopodobna... Ale po co w takim razie van Kuun kupił owe figurki w strojach wojennych?

Może po prostu z ciekawości.

Niestety, temu przypuszczeniu przeczyły wszystkie pozostałe okoliczności sprawy.

Archeolog miał pół godziny czasu. Spieszył się. Musiał zabrać ze sobą plany wykopalisk i przebrać się. Nie miał czasu na włóczenie się po sklepach z pamiątkami. Zresztą w mieście nie było jeszcze sklepów tego typu, gdyż mieszkańcy do produkcji pamiątek jeszcze nie dorośli... Pamiątki to pieśń przyszłości, pamiątkom niezbędni są turyści...

PetriA nie znosiła, kiedy Andrew był w złym humorze.

Tutejsze kobiety mają tak silnie rozwiniętą intuicję, że właściwie nie jest to już intuicja, tylko niemal telepatia.

PetriA musnęła palcami dłoni Andrew.

Zgodnie ze zwyczajem panującym od niejakiego czasu w wyższych sferach PatriA mając piętnaście lat została wraz ze swoimi trzydziestoma rówieśnikami wysłana do Centrum Galaktycznego, do szkoły dla mieszkańców różnych planet, gdzie okazała się spokojną, niezbyt wybitną, lecz raczej zdolną uczennicą. Po trzech latach wróciła do domu, nauczywszy się paru języków, obejrawszy milion filmów, przygotowawszy się jako tako do prowadzenia biura — obsługi dyktafonu, komputera gabinetowego — i pozostawiwszy w Centrum nieutulonego w żalu wielbiciela.

W momencie, kiedy Andrew Bruce uświadomił sobie wreszcie, że ta delikatna smukła dziewczyna go kocha, stanął przed problemem moralnym: zastanawiał się boleśnie, czy ma prawo odplacać PetriA tym samym. Nie należy bowiem sądzić, że uczucie PetriA było miłością bez wzajemności. Gdyby wszystko to stało się pięć lat temu, to dzielny kapitan Bruce, mężczyzna nie grzeszący nadmierną skromnością, nie kryłby swych uczuć pod kocem. Sprawa jednak wygląda zdecydowanie inaczej, kiedy z człowieka pozostaje jedynie jego blady cień. Strzępek, pozostawiony z litości we Flocie Kosmicznej i to nie w kadrze pilotów, tylko na spokojnej synekurze w miejscu, gdzie diabeł mówi dobranoc — na półdzikiej planecie Pe-U. Sam zresztą tego właśnie chciał. Im rzadziej będzie spotykał starych znajomych, im rzadziej będą mu przypominać o czasie, w którym zaważyło się jego życie, im rzadziej będą mu współczuć lub naigrawać się za jego plecami, tym łatwiej będzie mu jakoś dociągnąć do końca. Mógł naturalnie

wrócić na Ziemię, na małe globiki na peryferiach szlaków kosmicznych, ojczyznę jego dziada (Andrew, podobnie jak wielu innych galaktycznych ludzi urodził się na Ziemi 3, w centrum Galaktyki, skąd Ziemię można zaobserwować jedynie przez silny radioteleskop). Wrócić, jak powracają liczni starzy Ziemianie, którzy u schyłku lat zaczynają tęsknić za planetą przodków, wrócić, jak wraca zwierzę pragnące umrzeć w swoim lesie. Ale był jeszcze młody. Czterdziestka to nie pora na odpoczynek. Pociągu do pisania pamiętników czy malowania obrazów jakoś nie miał. A przy tym był do końca życia zarażony Kosmošem. Praca na tej planecie dawała mu ślad nadziei, że może kiedyś znów uleci ku gwiazdom jako junga, jako trzeci nawigator, wszystko jedno jako kto...

A na razie nie wychodził na dwór po zachodzie słońca, żeby nie oglądać gwiazd.

Jeśli życie człowieka jest właściwie zawieszona, a nadzieje — całkowicie pozbawieni nadziei mogą być jedynie wisielcy — są tak mgliste, że właściwie nie można wiązać z nimi żadnych planów, to ktoś taki nie ma prawa do połamanego wozu swojego istnienia przykuwać innego człowieka.

Obraz połamanego wozu był literacki i natarczywie banalny. PetriA wyznała mu wszystko sama. Spokojnie i rozsądnie, jak przystoi panience z dobrego miejskiego klanu.

Zajmował się wówczas grupą ekspertów budowlanych, którzy projektowali w górach zapórę, aby w czasie pory deszczowej nie zalewały już miasta potoki brudnej wody. Eksperci z Fracjoli byli wysokimi, chudymi, milczącymi ludźmi o ciemnych twarzach. Wszyscy ubrani byli w identyczne błękitne togi i w czarne kapelusze ze zwisającymi jak ptasie dzioby rondami. Odróżnienie ich od siebie i rozmowa o czymkolwiek poza betonem była prawie niemożliwa. Dostarczanie rozrywek ludziom, którzy nie wykazują żadnych emocji jest bardzo trudne. Na domiar złego wskutek awarii aparatu lądującego statku odlot ekspertów opóźniał się i trzeba było spędzić wieczór na kosmodromie, konwersując uprzejmie o betonie.

Zmęczeni się tego wieczora okropnie.

I PetriA, i Andrew, bo WosenJu, rzecz jasna, urwał się zaraz po obiedzie wymówiwszy się chronicznym katarem.

Wracając z kosmodromu zajrzeli do biura, żeby zostawić dokumenty. Potem Andrew zamierzał podrzucić dziewczynę do domu.

Padał ciepły drobny deszcz. Andrew zatrzymał wóz przed bramą. Biuro dobudowane do dolnej części domu—dyni wyglądało jak purchawka na szklanej nodze.

Ściana domu tworzyła nad nim nawis, tak że przy drzwiach wejściowych było sucho.

Witryna ledwie się jarzyła. Zbędne światło na noc wyłączało, bo elektryczność na Pe-U była bardzo droga.

Andrew wyskoczył z furgonetki i podał rękę PetriA.

Na drzewach, sadowiąc się do snu, głośno wrzeszczały ptaki.

PetriA nie puściła ręki Andrew. Stała obok, mocno ściskając jego dłoń.

— Zmęczona jesteś? — zapytał.

— Kocham cię — powiedziała PetriA. — Przez cały dzień chciałam ci to powiedzieć.

— Nie mów tak! — wykrzyknął Andrew. Chciał powiedzieć: „Nie mów głupstw!”, ale w ostatnim momencie się zreflektował, że ją w ten sposób obrazi.

— Nic na to nie poradzę. Staralam się ciebie nie kochać.

Weszli do biura.

PetriA zapaliła światło.

Andrew wszedł za barierkę i otworzył drzwi do swojego gabinetu.

Zatrzasnął sejf i zatrzymał się na progu. PetriA siedziała na niskiej kanapce, podwinawszy nogi w niebieskich pantofelkach z długimi, modnie wygiętymi noskami. Nawijała na palec

pasmo długich, błękitnych włosów. Tylko to zdradzało jej zdenerwowanie. Prawo do uzewnętrzniania uczuć obowiązujący obyczaj daje tu tylko mężczyznom, a kobiecie nie wypada demonstrować jakichkolwiek emocji. A PetriA była panienką z bardzo dobrego domu.

— Zostanę z tobą na noc.

— A w domu? — Andrew zrozumiał, że zrobi wszystko, czego ta dziewczyna zażąda. Bo przecież ona wszystko wie lepiej i przekonanie, że to powinno stać się właśnie tak, daje jej prawo decydowania.

— W domu wiedzą, że zostaję na kosmodromie. Nieprzyjemnie ci myśleć o tym, że wszystko przewidziałam? Aleja przecież czułam twoje wahanie. Czułam przez wiele dni.

Schody do pokoju Andrew znajdowały się za jego gabinetem. Poza nim w tej dyni nikt nie mieszkał, a on sam zajmował całe piętro.

Góra była pusta. Gnieździły się tam kłótlive ptaki, które rankami głośno tupotały nad głową, obrzucając się nawzajem najgorszymi wyzwiskami.

Ptaki obudziły ich o świcie.

— Jesteś zły? — zapytała PetriA. — Twoje myśli są lękliwe. Promień wschodzącego słońca wpadł do pokoju, rozświetlił trójkąt w ścianie, przemknął po stole i zaigrał złotymi płomyckami na błękitnej peruce PetriA.

Jej prawdziwe włosy były krótkie i jedwabiste. I prawie czarne.

Dziewczyna przechwyciła spojrzenie Andrew, wyskoczyła z łóżka, podbiegła do stołu i szybko włożyła perukę.

— Jeszcze żaden mężczyzna nie widział mnie bez peruki — powiedziała. — Wiedziałeś o tym?

— Bez peruki jesteś o wiele piękniejsza.

— Kiedy będę przychodziła do ciebie, zawsze zdejmę perukę. Ale kobieta zachowuje się tak tylko wobec własnego męża.

— Zostaniesz moją żoną.

PetriA usiadła na skraju łóżka zawinawszy się w szlafrok Andrew. Błękitna peruka na jej głowie wyglądała jak świetlista aureola.

— Klan nigdy na to nie pozwoli. Zabiją mnie i ciebie.

Andrew nie powiedział, że to bzdura. Czas, który tu spędził przyzwyczaił go do myśli, że miejscowe tabu są niewzruszone.

— Zabiorę cię stąd.

— Być może. Ale sądzę, że poczciwy Olsen na to nie pozwoli. Będzie się lękał zakłócić porządek. Naszego klanu obrażać nie wolno, bo to przecież trzeci klan stolicy.

— Wiem. Ale mimo to cię zabiorę.

— Na pewno. Jeśli tylko ci się nie znudzę.

PetriA nagle uśmiechnęła się, szybko musnęła jego policzek rzesami i pobiegła się umyć. Była tak lekka i bezcielesna, że strach ją było kochać, ale zawsze chciało się ją otoczyć opieką.

Po dwóch miesiącach Andrew znów zaczął mówić na temat małżeństwa. Może pójdzie do jej ojca?

— Jeśli oni się czegoś domyśla, to nigdy mnie stąd nie zabierzesz — powiedziała twardo PetriA. — Zamkną mnie w naszej górskiej twierdzy. Tam nigdy mnie nie odnajdziesz, nawet gdyby przyleciały ci na pomoc wszystkie statki Galaktyki ze wszystkimi twymi przyjacielami.

— Nie mam już przyjaciół.

— A ten kapitan z „Osaki”? Był u ciebie. Długo rozmawialiście. Zapytałam go potem, czy jesteś dobrym człowiekiem. Powiedział, że jesteś człowiekiem bardzo dobrym. To chyba znaczy, że jest twoim przyjacielem?

- Nie, po prostu kiedyś razem lataliśmy. Flota Kosmiczna jest bardzo liczna.
- Wiem. Mamy wszystkie spisy.
- Nie jest mi lekko, kochanie.
- Ja też chcę być z tobą. I chcę, żebyśmy mieli dzieci. Ale umiem czekać.

Ta rozmowa odbyła się całkiem niedawno. I wtedy Andrew postanowił poprosić o przeniesienie na inną planetę albo do Centrum. Wiedział, że ta prośba mocno jego zwierzchników zdziwi, ale na pewno ją spełnią. Jeśli tylko będzie miejsce. Jednak wysłanie takiego podania oznaczało przyznanie się do jeszcze jednej porażki, do kolejnego niewypelnienia obowiązku. A Andrew Bruce'a wychowywano na człowieka obowiązkowego.

* * *

Zostawiwszy PetriA w niewielkiej salce recepcyjnej kosmodromu i wysławszy WosenJu do magazynu, żeby sprawdził czy przygotowano dość miejsca na ładunki, Andrew Bruce poszedł na górę do dyspozytorni.

W szklanym pomieszczeniu dyspozytorni było bardzo gorąco. Przez otwarte okna wpadał do jej wnętrza rudy kurz.

Obaj dyspozytorzy wstali na jego powitanie. Odkłonił się. Dobrze się znali. Starszy z dyspozytorów wrócił rok temu ze stażu na Koronie. Młodszy — opalony, w klanowym kasku Wschodnich Gór podobnym do kapelusza muchomora — wziął ze stołu kartkę papieru.

— Statek drugiej klasy serii Gr-I, „Szkwar”, port macierzysty Ziemia, znajduje się na orbicie planety — powiedział. — Łączność stabilna. Lądowanie w granicach czterdziestu minut.

»„Szkwał” — poprawił w myślach Andrew«. Tutejszy język nie zna głoski „ł”, a wszystkie „sz”, „cz”, „ż”, brzmią w nim bardzo twardo. Ale poprawiać głośno byłoby nietaktem. Szczególnie w stosunku do górala.

— Kto jest kapitanem? — zapytał.

— Jakubauskas — odpowiedział starszy dyspozytor, włączając ekran. — Czekaj na połączenie.

Jego długie palce spoczęły na pulpicie i na owalnym ekranie ukazała się jakby ciosana z kamienia twarz Witasasa.

— Andrew — powiedział. — Cieszę się, że cię widzę.

— Witaj! Jak lot?

— Mam najwspanialszą zabawkę naszego stulecia! Mówili mi, że tutaj jesteś i z góry cieszyłem się na nasze spotkanie.

— Za godzinę się zobaczymy.

Andrew Bruce zszedł na dół. PetriA w sali nie było. Pomieszczenie wydało mu się puste, choć kręcili się w nim ludzie. Przyłot statku jest niezmiernie ciekawym widowiskiem i zawsze zwabia stada gapiów, o wiele liczniejsze niż walki ptaków.

Niektórzy poznawali agenta Floty Kosmicznej i uprzejmie mu się kłaniali.

Dobrze, że przyleciał właśnie Jakubauskas. Wie o wszystkim, więc nie będzie o nic pytał i rozdrapywał starych ran.

— Proszę mi powiedzieć — zwrócił się do Andrew reporter jednej z dwóch gazet, które ukazywały się tu na wzór cywilizowanego świata — czy miał pan okazję latać grawilotem?

— Nie — odpowiedział Bruce bez zastanowienia. — Grawiloty pojawiły się dopiero w ostatnich latach.

— To będzie pierwszy grawilot w naszym sektorze?

— To pierwszy grawilot lądujący na Pe-U — odparł Andrew.

W cieniu budynku kłębił się tłum. Takiej masy ciekawskich Andrew jeszcze tu nie widział. Ci,

dla których nie starczyło miejsca w cieniu, rozłożyli się na słońcu. Topnieli od upału, ale nie odchodzili. Można ich było zrozumieć: jeszcze nigdy na Pe-U nie lądował prawdziwy statek kosmiczny. Dotychczas do planety docierały jedynie kutry ładownicze, same w sobie interesujące, ale oczywiście w o wiele mniejszym stopniu niż liniowce, które pozostawały na orbicie, bo nie były przystosowane do wchodzenia w atmosferę. A grawilot mógł lądować wszędzie.

Kiedy Andrew jeszcze latał, o grawilotach dopiero marzono. Prowadzono intensywne badania i dość szybko zbudowano pierwszy grawilot użytkowy. Stało się to nieco ponad dziesięć lat temu. Latali wtedy razem z Jakubauskasem na „Tytanie”. Witas był drugim, a Andrew pierwszym oficerem.

Rdzawy kurz leniwą falą pelzał nad polami. Widzowie cierpliwie czekali. Mętnie połśniewały zakurzone hełmy, kolebały się modne kapelusze–parasole. Przenikliwie krzyczeli sprzedawcy wody sodowej, pogdakiwali handlarze owoców, dym roznów gryzł w oczy. Pan Prug, następca witora Brendyjskiego, najbardziej egzotyczna postać w mieście, stał na wysokim cokole podobnym do gońca szachowego. Kiedyś, dawno temu, jego twarz wyglądała normalnie. Później rozplynęła się w tłuszczu tak obfitym, że nos, oczy i usta zniknęły w ogromnych policzkach. Jego zuchy w błękitnych narzutkach w szare grochy odsuwały gapiów, aby ktoś przypadkiem nie potrafił szacownej persony.

Następca zauważył Andrew, gdy tylko ten stanął w drzwiach, i zabręczał bransoletami podniósłszy wysoko tłuste łapska.

— DreJu, wydaję dzisiaj kolację! Zapraszam cię na nią razem z kapitanem!

Następca tronu chciał, żeby usłyszało o tym całe miasto.

Andrew udał, że to zaproszenie sprawiło mu ogromną przyjemność. „Szlag by to trafił — pomyślał. — To miał być wieczór mój i PetriA, a ty mi to zabierasz. Ale trzeba będzie pójść, żeby Olsen się nie denerwował. Jesteśmy przecież dyplomatami. Wszystko wytrzymamy. Gdzie jest PetriA?”

Konsula Olsena znalazł za rogiem budynku, gdzie zawędrował w poszukiwaniu dziewczyny. Konsul prowadził ożywioną rozmowę z urzędnikiem w czarnej narzutce. Twarz urzędnika nie była Bruce’owi obca, ale nie potrafił zorientować się w jego randze. Za nic nie potrafił nauczyć się znaczenia kółek naszytych na piersiach. Kiedyś PetriA straciła cały wieczór tłumacząc mu to, co było oczywiste dla każdego miejscowego chłopaka. Ale na próżno.

Daleko, przy drzwiach magazynu, stała pusta platforma. Wspinali się na nią strażnicy w wysokich miedzianych hełmach, a obok nich kręcili się tragarze w żółtych szatach swojej gildii. I tam też stała PetriA. Wyczuła w jakiś sposób wzrok Andrew i uniosła smukłą, obnażoną rękę. „Szczęśliwa — pomyślał. — Nigdy jej nie jest gorąco. I skórę ma zawsze chłodną”.

— Wszystko w porządku? — zapytał rzeczowo konsul. — Rozmawiałeś ze statkiem?

— Kapitanem jest Jakubauskas — odpowiedział Bruce. — Kiedyś lataliśmy razem. — Był zdziwiony, że konsul zwraca się do niego na ty.

— Na pewno przywiezie moje odwołanie — powiedział Olsen marszcząc czoło. Miał zaczerwienione oczy, dokuczala mu alergia na kurz, w ogóle był w nienajlepszej formie i stąd pewnie to przejęzyczenie. — Helena Kazimirowna i ja bardzo na to czekamy.

— Nie chciałbym, żeby pan stąd odlatywał — uśmiechnął się Andrew. — Przyzwyczailem się do pana.

— Ja też, ja też, ale to już dwanaście lat! Mam trzy, tony notatek. Powinienem pisać! A zajmuję się rozmowami. Na moje miejsce przyleci prawdziwy, młody, energiczny specjalista. Będzie panu z nim o wiele ciekawiej.

— Po pierwsze z panem też mi się nie nudzi — powiedział Andrew — i wątpię, czy w całej

Galaktyce znajdzie się lepszy od pana specjalista. A po wtóre sam zbieram się do odlotu.

— W żadnym wypadku! Pan był tutaj tak krótko!

— Jeżeli obaj panowie odleciecie, będzie to wielka strata dla Pe-U zauważył uprzejmie urzędnik w czarnej narzutce.

— a co słyhać z archeologiem? — zapytał Andrew, kątem oka obserwując, jak platforma pełźnie do miejsca lądowania.

— WaraJu najlepiej to panu opowie — uśmiechnął się konsul.

I Andrew nagle przypomniał sobie, kim jest ten urzędnik. WaraJu był szefem Straży Miejskiej. Jego orli profil widział we wczorajszej gazecie.

— Jeżeli to zwykły rabunek — mówił WaraJu monotonnym głosem, lekko kiwając wąską głową, jak ptak, który zamierza dziobnąć — to szybko go odnajdziemy. — Machnął ręką, odpędzając od twarzy muchy i dorzucił: — Jego zwłoki najprawdopodobniej wypłyną w jeziorze.

Ogromne płytkie jezioro rozpościerało się na zachodnich krańcach miasta. Dzielnice rybackie rozpełzały się nad jego brzegami i domami na palach, wchodziły głęboko w wodę. Między dzielnicami mieszkalnymi znajdowały się przystanie. Jezioro było brudne, zarosnięte trzcina i dopiero o kilometr od brzegu woda była na tyle głęboka, żeby w czasie silnego wiatru przebiegały po niej fale.

— Ale skąd wzięli się rabusie w środku miasta i to w biały dzień?! Czy to normalne?

— Nienormalne — zgodził się WaraJu. — Ale łatwiejsze do rozwikłania.

Pomilczał chwilę patrząc w niebo, a potem odezwał się:

— Posłałem agentów do Klanu Zachodnich We. I nad jezioro do przystani.

— Dlaczego właśnie od tego klanu? — zainteresował się Andrew.

— Nie wykluczone, że szedł szukać na nim pomsty.

— Pan w to wierzy?

— Ja nie wierzę, ja sprawdzam — powiedział WaraJu. — Dla mnie to bardzo nieprzyjemny problem. Nie chciałbym, żeby ludzie z Galaktyki przylatywali tu mieszać się do naszych spraw.

— Ale przecież ten van Kuun spędził tu tylko cztery dni i nigdy przedtem nie widział Pe-U na oczu. Cały czas przebywał w Szkole Wiedzy. — Olsen powtarzał argumenty Andrew. Było mu gorąco. Wyciągnął chusteczkę i wytarł nią twarz. Chusteczka zrobiła się ruda. Olsen złożył ją ostrożnie w ten sposób, żeby rdzawe plamy znalazły się w środku, i schował do kieszeni.

— Tak, ale on przybył z Ar-A — powiedział strażnik.

— Co to ma do rzeczy? — odezwał się Andrew.

— Znaleźli tam skarby gigantów. A to niebezpieczne.

* * *

Trzecią planetę układu (Pe-U była drugą) archeologowie nazwali Atlantyda.

Fantazja ludzka jest ograniczona i jej pożywkę stanowi stosunkowo skąpy zestaw legend i odwiecznych pragnień. Wiadomości o planecie pochodziły głównie z legend zebranych przez Olsena, który też był inicjatorem wykopalisk. Planeta była pusta i dlatego zagadkowa. A jeżeli na Ziemi w swoim czasie istnieli Atlanci, którzy wyginęli w niewyjaśnionych okolicznościach, to na Ar-A mieszkali giganci, którzy wymordowali się w tajemniczych wojnach.

Ar-A leży stosunkowo niedaleko od Pe-U, wschodzi na niebie nie jak gwiazda, lecz jako błękitna tarczka i jeżeli ktoś ma dobry wzrok, może w lukach między chmurami dostrzec na niej zarysy kontynentów. Oczywiście, kiedy mieszkańcy Pe-U szukali odpowiedzi na pytanie o życie swoich przodków, ich wzrok zwracał się ku niebu, ku bliźniaczej planecie, którą zasiedlili baśniowymi istotami, gigantami i czarownikami.

Na Pe-U wierzono, że mieszkańcy Ar-A w niepamiętnych czasach przylatywali tam w żelaznych statkach. Właśnie oni, istoty o świetlistych twarzach, nauczyli ludzi budować domy i liczyć dni, dali im ubranie i prawa. Nieposłusznym porażali błyskawicami.

Potem giganci pokłócili się ze sobą z winy bogini Słońca Or-O, nie znoszącej konkurencji ze strony śmiertelnych. A że byli podzieleni na klany, to rozpoczęła się straszliwa wojna, w której pozabijali się nawzajem ku zadowoleniu mściwej bogini.

W wielu legendach, pieczołowicie zbieranych przez niezmordowanego Olsena, opisywane są statki gigantów, ich wygląd zewnętrzny, a nawet język odtworzony z pradawnych zaklęć.

Być może Olsen ograniczyłby się do sporządzania notatek i co najwyżej wydałby drukiem swoje legendy, gdyby pewnego dnia nie dowiedział się, że w dolinie, za sanktuarium Jednookiej Dziewicy istnieje święte miejsce, noszące nazwę Niebiańskiego Kamienia. W Szkole Wiedzy powiedziano mu, że ten kamień to wcale nie kamień, tylko znaleziony dwadzieścia lat temu przez myśliwych głęboko zaryty w grunt statek gigantów.

Przez trzy miesiące Olsen nękał Szkołę Wiedzy, prosząc i błagając, aby ktoś wybrał się z nim do doliny, potem przez następne dwa miesiące przeczekiwał wojnę międzyklanową, która tam akurat wybuchła, wreszcie udało mu się przekonać Helenę Kazimirownę i wyrwać się do doliny.

Kiedy zobaczył tam rozbity statek kosmiczny, natychmiast uwierzył w realność cywilizacji na Ar-A i wywalczył wysłanie tam ekspedycji archeologicznej.

Archeologowie przylecieli na Ar-A pół roku temu.

Przez pewien czas nie mogli niczego odnaleźć, bowiem na planecie strefa umiarkowana i tropiki były pokryte gęstymi lasami.

Potem odkryli ruiny miasta.

A jeszcze później znaleziska posypały się jak z rogu obfitości. Jedno ważniejsze od drugiego.

Na prośbę Olsena przyleciał na Pe-U archeolog Focjusz van Kuun, żeby wygłosić w Szkole Wiedzy wykład o wykopaliskach.

Przez trzy dni rozmawiał z kolegami. Ale ostatni, szczegółowy wykład — sensacja w skali planetarnej — nie odbył się, bo archeolog zniknął.

* * *

— Oczywiście — oświadczył WaraJu — nie jest wykluczone, że mamy do czynienia z fanatykami.

— Jakiego rodzaju? — zapytał Olsen, zgrabnie operując okrągłym wachlarzem ze skorupy żółwia.

— Kiedy nie istnieje wytłumaczenie oczywiste, szukam wówczas wersji mniej prawdopodobnych — uśmiechnął się strażnik. — Może wśród kapłanów kryje się sprawca tego czynu. Może któryś z nich uznał, że działalność archeologa na Ar-A była świętokradczą... Zresztą to tylko luźne przypuszczenie. Najprawdopodobniej winni są zwykli rabusie.

— Czyżby nie było żadnych śladów, poszlak? — dopytywał się Andrew.

— Rikszarz twierdzi, że widział, jak archeolog biegł po ulicy w stroju śmiertelnej zemsty...

— W czarnym fraku? — uprzejmie zapytał Olsen. — To ubiór do wystąpień publicznych przyjęty wśród znakomitych uczonych.

— Znakomity uczony nie występuje bez fioletowej narzutki — powiedział WaraJu.

— A jeżeli van Kuun bardzo się spieszył i nie zdążył jej włożyć? Albo po prostu zapomniał, nie przywiązując do tego większej wagi?

— Nie przywiązywał wagi do narzutki? — WaraJu był zdziwiony. Nawet najtrzeźwiejszy, najbardziej tolerancyjny dla cudzych dziwactw człowiek na planecie nie potrafił sobie wyobrazić,

że ktoś zapomniał włożyć narzutki. To niemożliwe! Wyobraźcie sobie, że ktoś udając się na oficjalne spotkanie zapomniał włożyć spodni!

— Będziemy go szukać — zapewnił WaraJu, ale jego głos zabrzmiał niepewnie. — A czy on przypadkiem nie był maniakiem?

— Dlaczego pan o to pyta? — Olsen starał się ukryć zdumienie.

— Sprzedawca ze sklepu rytualnego twierdzi, że wasz archeolog pragnął nabyć figurki wszystkich klanów. Kupiec uznał, że to maniak chcący ogłosić zemstę dla wszystkich klanów gór.

— Z tego wynika — powiedział Andrew — że van Kuun sądził, iż są to pamiątki, a nie figurki zemsty.

— Niemożliwe! — stwierdził kategorycznie WaraJu, ale najwyraźniej ta wersja, choć tak nieprawdopodobna, w jakiś sposób go ucieszyła. — Jest taki zwyczaj? — zapytał. — Kupować, ot, tak sobie?

— Jest — powiedział z przekonaniem Olsen. — Kupuje się na pamiątkę, żeby nie zapomnieć na przykład o waszej wspaniałej planecie.

* * *

Na niebie, przebiwszy jasną gwiazdką pylistą mgłę, ukazał się „Szkwał”.

Andrew domyślił się tego usłyszawszy, jak zmienił się gwar tłumu.

Wszyscy patrzyli w górę.

Potężne łapska następcy tronu brendyjskiego podniosły do oczu lornetkę teatralną z masy perłowej. Skąd się ta lornetka wzięła na Pe-U, z jakiego antykwariatu przywędrowała — tego nie wiedział nikt.

Gwiazdka zmieniła się w świetlisty dysk, który zbliżając się rósł i zmniejszał szybkość.

Oczywiście Andrew mógł pójść do dyspozytorni. Ale dyspozytorzy byli teraz bardzo zajęci i nie należało im przeszkadzać. Kapitan Jakubauskas też był zajęty. Lądowanie to sprawa prestiżowa. Wizytówka kapitana. Zwłaszcza wówczas, gdy na planecie ląduje pierwszy grawilot w jej historii.

Do obowiązków agenta Floty Kosmicznej należy podpisywanie protokołów i listów przewozowych, witanie, oprowadzanie i dostarczanie rozrywek, uśmiechanie się i nic więcej. Z lotami ma tylko mocno z pośredni związek.

„Szkwał” miękko osiadł na płycie, ale w tej lekkości była taka moc, że ziemia zadrżała.

Platforma ze strażnikami i tragarzami potoczyła się ku statkowi. Andrew obserwował błękitną perukę PetriA.

Zza rogu budynku wyskoczyła druga platforma, malutka i pomarańczowa. Na niej w pomarańczowej todze i żółtej koronie stał lekarz zajmujący się sprawami kwarantanny. Stanowisko było zupełnie nowe, nader zaszczytne, więc obsadzono je szalawidłą z rodziny ministra spraw zagranicznych.

Andrew z Olsenem podeszli do przodu, do lekkiego ogrodzenia, wzdłuż którego rozplywali się z gorąca gwardziści w pełnym rynsztunku.

Do statku było mniej niż kilometr, ale prawdziwe rozmiary „Szkwału” dały się ocenić dopiero wtedy, gdy pierwsza platforma zbliżyła się do jego boku i okazała się w porównaniu ze statkiem pełnym maleństwem.

Na spotkanie mrówkom, które zeskoczyły z platformy, rozwinęła się srebrzysta pochylnia, a nad nią rozwarł się luk, który wydał się Andrew wrotami świątyni. Do diabła! Mógłby dowodzić tym ogromem, tym potężnym, ciężkim i tak lotnym statkiem...

Tłum gapiów oswoił się już z wrażeniem, jakie wywarły rozmiary grawilotu. Znowu zadźwięczały rozmowy.

Potem nie było już nic ciekawego.

Rejs był eksperymentalny, więc żadna gwiazda video ani żaden ważny gość na pokładzie się nie znajdował.

Jednak nikt jeszcze nie odchodził. Trzeba było sobie powetować tak długie oczekiwanie. Obejrzeć, obgadać, a co najważniejsze pokazać się.

Zresztą nawet rutyna powitania, zwyczajna i opracowana w szczegółach dla każdej planety — tak przynajmniej zapewniano ludność miejscową, bo gdziekolwiek lądował statek Floty Kosmicznej wszędzie wyglądało to tak samo — była atrakcyjnym widowiskiem. I w tym właśnie widowisku Andrew Bruce odgrywał niepoślednią rolę.

Poprawiwszy piaskowy mundur — w tym kurzu biały mundur nie miał sensu — Andrew obejrzał się. WaraJu został pod murem. Olsen podszedł do niego. W pobliżu kręcił się brat PetriA. Ten wałkoń pracował w gazecie. Ściślej mówiąc pracował wtedy, kiedy miał na to ochotę. Teraz ta ochota go rozpierała, bo przecież patrzyło na niego kilkuset gapiów. Kain PetriU wytwornie pochylił głowę i zmarszczył czoło szkicując na białej, zawieszanej na piersiach desce zarys grawilotu. Uważał się za ilustratora.

Andrew ruszył do przodu. Jutro w obu pismach znajdą się sprawozdania: „Jak zwykle na spotkanie statku wyszedł agent Floty Kosmicznej, DreJu, znany naszym czytelnikom z dziwnego zwyczaju biegania co rano wokół swego domu. Ubrany był w uszyty przez mistrza Krirel wytworny garnitur mundurowy koloru piaskowego ze złotymi guzikami...”

Niska platforma, którą prowadził nadęty jak indyk WosenJu, zgrabnie podjechała do Andrew, który przepuścił przodem Olsena. Platforma uroczyście wytoczyła się na rozżarzony plac i popłynęła ku statkowi.

Andrew widział, jak piloci wyszli z luku i zatrzymali się u szczytu pochylni. Wydawało mu się, że przez gęste od żaru powietrze dotarły do niego słowa jednego z nich:

— Ale upał!...

* * *

Wracali z kosmodromu nowym samochodem konsula.

Samochód był wygodny, czysty, na poduszce powietrznej i doskonale hermetyzowany. We wnętrzu było chłodno, a przede wszystkim nie było ani odrobiny kurzu.

Olsen rozłożył na kolanach worek z pocztą i przeglądał ją. Andrew pomyślał, że szuka zgody na swój odlot.

Witas Jakubauskas prawie się nie zmienił. Jak zawsze miał jasne, prawie białe włosy i jeśli nawet trochę posiwiął, to nie można było tego zauważyć.

Rozmawiali o „Szkwałe”. O przelocie. O właściwościach statku. O żadnych wspomnieniach nie było mowy i na razie jeszcze być nie mogło. Witas był człowiekiem delikatnym.

Pojawienie się statków klasy „Szkwału” otwierało nową erę w lotnictwie cywilnym. Rotory grawitacyjne są o wiele prostsze od silników plazmowych. Nie potrzebują osłon przeciwpromiennych i są całkowicie bezpieczne. Jeśli liniowiec plazmowy skazany jest na rodzenie się, życie i śmierć w Kosmosie, to grawilot można zbudować wszędzie i wylądować nim w każdym terenie. W najgorszym razie przygniecie trawę.

Granice szybkości „Szkwału” określa nie moc silników, lecz właściwości konstrukcyjne samego statku. Witas mówił, że buduje się już model krzemowy. I jeżeli ludzkości sążone jest kiedykolwiek doczekać możliwości błyskawicznego przemieszczania się w przestrzeni, to zdoła

to osiągnąć jedynie za pomocą grawilotów.

W końcu Olsen złożył listy i kasety, głośno westchnął i zapytał:

— Jest pan u nas po raz pierwszy?

— Tak.

— Wobec tego jutro pojedziemy nad wodospady — powiedział konsul. Zawsze woził gości nad wodospady.

— Mamy tylko dwa dni postoju — zauważył Witas. — Obawiam się, że jutro też będę zajęty.

Wskazał ręką dynie migające za oknami:

— Z czego oni tu budują?

— Dawniej z gliny na drewnianym szkielecie lub rzadziej z kamienia. Teraz to beton. — odparł Olsen. — I tak wiedziałem, że listu nie będzie. Ale następnym statkiem przylatuje komisja. Nie puszczę ich, dopóki nie wywalczę swego odwołania.

— Tak tu ciężko? — zapytał Witas.

Witas umiał zadawać pytania takim tonem, jakby odpowiedź szalenie go interesowała. Jego szare oczy pały ciekawością, a uszy zdawały się chłonać każde słowo rozmówcy. Andrew podejrzewał kiedyś Witasa o dwulicowość, ale kiedy do niego przywykł, zrozumiał, że Witasa cudze sprawy naprawdę interesują. Tak samo jak Bruce był samotny, zamknięty w sobie i opanowany, ale w przeciwieństwie do niego nie pozwalał sobie na żadne wybuchy, na wygadywanie głupstw i nawet na podnoszenie głosu. W skrajnych przypadkach tylko jego palce splecione na kolanach zaciskały się aż do chrzęstu.

Olsen, poruszony zainteresowaniem Witasa, rozpoczął długi monolog o trudach życia konsula na Pe-U. Andrew słuchał w roztargnieniu patrząc przez okno. Dziwne. Po co archeologowi były te figurki zemsty? Może on tu już kiedyś bywał? Trzeba zapytać Olsena... Może domyślił się zajrzeć do list podróżnych, którzy bywali tu w poprzednich latach. PetriA mówiła, że ma wolny wieczór, a tu jak na złość przyjęcie u następcy tronu. Nie wypada odmówić. Na domiar złego nie zdążył jej uprzedzić. Naturalnie będzie czekała. Nigdy nie ma o nic pretensji. I czeka. A co zrobić z Witasem? Odstawienie go do hotelu byłoby po prostu nieludzkie.

A Olsen, zabawnie przekonany o tym, że jego rozmówca jest dokładnie wprowadzony w miejscowe układy i intrygi, w których nie zawsze orientował się nawet sam WaraJu, choć bardzo lubił je organizować, próbował dowieść Jakubauskasowi, że w przyszłym roku do władzy w Kitenie dojdzie z pewnością Kroń KropU, wskutek czego brat premiera straci portfel ministra Rozrywek i będzie zmuszony wejść w sojusz z Jego Potężnością.

Jakubauskas słuchał tak, jakby przez całe życie marzył wyłącznie o poznaniu kowań Kronia KropU.

Samochód przejeżdżał obok zatłoczonego bazaru. Przechodnie zamierali w bezruchu, gapiąc się na dziwny kształt wozu. Grupa rybaków z dalekich Kanałów, najwyraźniej po raz pierwszy przebywających w mieście, krzywiła się na widok pojazdu, układając twarze w rytualne maski pogardy. Pogarda rodziła się ze strachu. W stolicy już mało kto wierzył, iż przybysze to potwory, jednak im dalej od miasta, tym wspanialej kwitły najpotworniejsze plotki o ludziach z gwiazd.

W świecie, który jeszcze nie dysponuje środkami szybkiej łączności „zwykłość” przybyszów przyjmowano z najwyższym niedowierzaniem. „W końcu — myślał Andrew przysłuchując się opowieści Olsena o tym, jak to nałożnica Kronia KropU wpadła na pomysł wytrucia podczas obiadu wszystkich swoich pasierbów — niegdyś na Ziemi również sądzono, iż Niewiadome wypełnione jest potworami, których wyobrażenia składały się z fragmentów istniejących realnie zwierząt. To pająka powiększono do gigantycznych rozmiarów, to znów głowę węża przyczepiano do tułowia niedźwiedzia... Kiedy dla monstrów zabrakło już miejsca na Ziemi, bo zbadano ją na tyle, iż nie utrzymał się ani wąż morski, ani człowiek śniegu, fantazja znalazła

sobie nową pożywkę — obce światy. I trudno było zrezygnować z cudów nawet wtedy, kiedy pierwsze wyprawy dotarły do gwiazd. Siedziby potworów oddalały się jedynie od Ziemi, ale nigdy całkowicie nie znikwały. Ciągłe znajdowały się nowe legendy, nie zawsze ziemskie, bo ludność Galaktyki była równie skłonna do wymyślania potworów jak jej ziemscy kuzyni. W każdym razie fakt, że Galaktyka okazała się zamieszkała przez ten sam gatunek — homo sapiens, uwarunkował podobieństwo sposobu myślenia. W wielu rzeczach rasy galaktyczne różnią się od siebie, ale pod jednym względem są wręcz bliźniacze — w bujności fantazji.

I dokładnie tak samo, jak niezwykle w kształcie obłok tworzył w wyobraźni mieszkańca Szwajcarii czy Kazachstanu obraz latającego talerza, w fantazji rybaka z Jeziornych Kanałów lustrzana bryła samochodu galaktycznego konsula musiała kryć w sobie tajemnicze, podstępne potwory”.

Andrew popatrzył na swoich towarzyszy. Olsen w zielonym garniturze z krążkiem Szkoły Jeziora na piersiach i siedzący z wyciągniętymi długimi nogami kapitan Jakubauskas w połowym mundurze lotnictwa cywilnego — zwyczajni ludzie rozmawiający zwyczajnie o całkiem niezwykłych sprawach. A za cienkimi ściankami karoserii samochodu świat dalej uporczywie toczył się szlakiem wytoczonym przez nieznaną prawą. „A my — myślał Andrew — jesteśmy cieniutką niteczką wiążącą Galaktykę z tą planetą, z tymi góralami, kupcami i rybakami, których dzieci polecą do odległych gwiazd i będą budować stacje grawitacyjne. Ten skok dokona się o wiele szybciej niż na Ziemi, która sama musiała dorastać do ery kosmicznej. Czasami nie wiadomo, co jest w tym względzie lepsze, przecież bez względu na nasze chęci czy zamiary samo istnienie owej niteczki jest już nieodwracalne i brutalnie kaleczy tkankę tutejszego życia, chociażbyśmy byli nie wiem jak uczciwi, rozumni i humanitarni. Konflikt istnieje wewnątrz ludzi. I jeśli WaraJu zdołała go w sobie zwalczyć, uznać nieuniknioną przemian i zaakceptować je, to z kolei WosenJu, który przebywał w Centrum i nauczył się nawet pilotować pojazdy międzyplanetarne, ma psychikę tak przesiąkniętą kategoriami przeszłości, zaprzeszłej potęgi, urazami spowodowanymi słabością własnego klanu, który musiał podporządkować się klanowi brendyjskiemu, że owo upokorzenie jest dla niego o wiele ważniejsze niż wszystkie statki przylatujące z nieba. WosenJu przyjdzie do domu, zrzuci papuzi mundur, dokona wieczornych ablucji i jeśli akurat przypadnie na niego kolej, obmyje nogi zgrzybiałej staruszce, głowie klanu, i zatopi się do jutrzejszego ranka w gmatwaninie praw” i obyczajów, którymi rządzi się jego małe istnienie, odrobinę wprawdzie ważniejsze od tego, jakie mu przysługuje z urodzenia, gdyż pracuje u przybyszów”.

— Gdzie pan będzie nocował? — usłyszał Andrew głos Olsena. — W naszym domu gościnnym?

— Witas zostanie u mnie — powiedział Andrew. Tym bardziej, że wieczorem idziemy razem na przyjęcie.

— Dokąd? — zdziwił się Witas.

— Do następcy witora Brendyjskiego.

— A propos, on wcale nie jest synem witora — ożywił się Olsen. — System adopcji jest tu ogromnie ciekawy...

— Wybacz pan — przerwał mu Andrew — ale do kolacji mamy tylko trzy godziny, a Witas jest zmęczony. Jeśli jutro zabierze pan załogę nad wodospady, — to Witas po spotkaniu z następcą wysłucha tych informacji z dużo większym zainteresowaniem.

— Słusznie — poddał się Olsen. — Odpoczywajcie. A ja pomogę PetriA ulokować załogę.

— Jeśli ona jeszcze tam będzie, to proszę ją uprzedzić, że poszedłem na to przyjęcie.

— Naturalnie — powiedział Olsen otwierając drzwiczki samochodu. — To wspaniała dziewczyna. I bardzo inteligentna.

Andrew i Witas wysiedli. Olsen rzucił za nimi:

— Powinien pan pomyśleć o założeniu rodziny, Bruce. Samemu żyć jest bardzo smutno. Helena Kazimirowna też tak uważa.

— Dziękuję za życzliwą radę! — uśmiechnął się Andrew.

* * *

Witas umył się, przebrał i położył na kanapie krytej skórą żółtej gremy. Włożył videookulary i zabrał się do oglądania amatorskich filmów, które Andrew zrobił podczas podróży po planecie.

Andrew zadzwonił na dół do Agencji. Nikogo nie było. Wobec tego zadzwonił na kosmodrom, gdzie mu powiedziano, że PetriA zabrała załogę grawilotu do konsulatu, a WosenJu kończy rozładunek.

Witas zdjął okulary i przymknął oczy.

— Wiesz, to jest fajne — powiedział.

— Co?

— Że okno jest otwarte, a przez nie wpada wiatr.

— Tu panują straszliwe upały — zauważył Andrew. — Tylko przy wodospadach... Tam powietrze jest prawdziwe, krystalicznie czyste. Może też się z wami zabiorę. Namówię PetriA i pojedziemy.

— Kto to jest? — zapytał Witas.

— Moja pomocnica.

— Olsen chce cię z nią ożenić?

— Olsen minął się z powołaniem, powinien być swatką — powiedział opryskliwie Andrew.

— Przecież on doskonale wie, że nie mogą się z dziewczyną ożenić.

Witas nie zapytał dlaczego. Nigdy nie zadawał zbędnych pytań, a Andrew nie miał ochoty nic wyjaśniać. Witas może sobie wprawdzie pomyśleć, że ugrzązł na tej planecie, wsiąkł w to ciche, zabagnione życie, ale niech tam. Jeśli chce tak myśleć, to jego, sprawa.

— Nie wybierasz się na Ziemię? — zapytał Witas widząc, że Andrew nie chce mówić o PetriA.

— Na razie nie. Nie jesteś głodny?

— Za gorąco. Potem.

Andrew przygotował mieszaninę owoców z lodem. Witasowi bardzo ta mieszanina smakowała.

— A co tam właściwie znaleźli na Ar-A? — zapytał?

— Już coś dotarło do Centrum?

— Galaktyka nie jest duża — odparł Witas — i ostatnio nic szczególnego się w niej nie dzieje. A my, piloci, jesteśmy roznosicielami wiadomości.

— I plotek — dodał Andrew.

— Czy to prawda, że niegdyś żyła tam rasa gigantów?

— Masz ochotę na sensację?

— Mam.

— Planeta jest martwa. Patrol galaktyczny zaliczył ją do niezaludnionych.

— Pustynia?

— Nie, jest tam wszystko, łącznie z niestabilną atmosferą i silnymi zakłóceniami klimatycznymi. Uboga fauna i flora. Poza lasami.

— Rezerwa kolonizacyjna?

— Tak. Z perspektywami zaludnienia w skali systemu.

— A teraz?

— Teraz archeolodzy wykopali tam mnóstwo interesujących rzeczy. I gdyby Focjusz van Kuun nie przepadł, mielibyśmy wczoraj szansę wysłuchać wielu interesujących historii z ust faceta, który widział to wszystko na własne oczy.

— Na własne oczy?

— Przyleciał tu jeden z archeologów. Wczoraj wieczorem miał mieć wykład w Szkole Wiedzy. Sensacja numer jeden. Wyższe sfery obuły się wytwornie i oblekły w najwytworniejsze stroje. Wyobraź sobie, że na dwudziestowieczną Ziemię przylatuje archeolog z Marsa z wiadomością, że odkryto tam ślady Atlantów.

— A dlaczego wykład się nie odbył?

— Dlatego, że Focjusz van Kuun wkroczył na ścieżkę zemsty.

— Andrew, mów jaśniej!

— Sam ni diabła z tego nie rozumiem. Nikt nie rozumie. W każdym razie archeolog znikł bez śladu. W centrum miasta, dwa kroki od Szkoły Wiedzy. Tutejsze Holmesy są przekonane, że zamiast iść na wykład, wyprawił się na wojnę z jakimś miejscowym klanem.

— A tak naprawdę?

— Mogli go porwać dla okupu, mogli zabić, żeby zrabować mu pieniądze, mogła to wreszcie być jakaś akcja izolacjonistów. Dużo się tu o nich mówi, ale tak właściwie to nikt nie ma pojęcia o co im chodzi.

— Mówisz, że mogli go ograbić i zamordować. A co stało się z ciałem?

— Nie wiem. Zresztą mam nadzieję, że facet żyje, a jutro do konsulatu przyjdzie nieśmiały młody człowiek i zostawi list na patyczku.

— Jaki list?

Wedle rytuału jeśli ktoś kogoś porwie, to powinien dostarczyć krewnym porwanego czerwony patyczek z karami, oznaczającymi wielkość okupu. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak wspaniale jest tu rozwinięty system bandytyzmu.

— Jesteś rozdrażniony?

— Chciałbym stąd wyjechać. Tu nic nie można! Nie można nawet ożenić się z ukochaną i kochającą dziewczyną!

No to może wróc do Centrum...

— Gdzie co druga osoba będzie się na mnie gapić i myśleć: a, to właśnie ten Bruce!

* * *

O szóstej, kiedy zapadł zmrok, Andrew z Witasem pojechali do Pruga Drugiego, następcy witora Brendyjskiego. Było to przyjęcie oficjalne i nie pójść na nie, znaczyło pogwałcić sztywną etykietę obowiązującą na planecie. Witas nie ukrywał, że kolacja bardzo go interesuje. Andrew był 1 poirytowany, złościło go i niepokoiło, że PetriA jeszcze się nie pokazała po powrocie z kosmodromu.

Prug przybył do miasta w zeszłym roku i stanął w nie zamieszkałej dyni—domu klanu.

Wszystkie podjazdy do rezydencji następcy tronu zapchane były ekwipażami arystokracji, więc furgonetkę Floty Kosmicznej trzeba było zaparkować skromnie w zaułku za rogiem.

Dom Pruga otoczony był zielonym żywopłotem sięgającym piersi.

W żywopłocie naprzeciw domu była przerwa, której boki zdobiły kamienne kolumny z herbami Witorów Brendyjskich: tarczami z człowiekiem przebitym włócznią. Istniała legenda, iż wiele lat temu pewien brendyjski bohater przebity na wylot włócznią zdołał jednak wymordować setkę wrogów i utrzymać klanową twierdzę.

Od kolumn do schodów wejściowych ciągnęły się pięcioramienne postumenty z pochodniami. Do smoły pochodni dodano soku górskich ziół, więc ich płomienie jarzyły się złowieszczym fioletowym blaskiem. Górale w krótkich kolczugach, wysokich hełmach z włóczniami i automatami w rękach pilnowali wejścia. Następca tronu brendyjskiego miał wielu wrogów.

Szli wzdłuż żywopłotu. Było prawie ciemno. Brakowało jeszcze jakichś pięćdziesięciu metrów do oświetlonego wejścia, gdy Andrew poczuł, że coś jest nie w porządku. Życie w stolicy, gdzie nocą na każdym kroku czyhało niebezpieczeństwo, gdzie wraz z ciemnością wracały prawa zemsty, a najemni mordercy zorganizowani byli w cechu, równie legalnym i szacownym jak cechy jubilerów i astrologów, nauczyło go ostrożności. Naturalnie jako agent Floty Kosmicznej nie należał do żadnego klanu i prawa zemsty się na niego nie rozciągały, ale w ciemności mogło dojść do nieporozumienia.

Czy to czarny cień przemknął za żywopłotem, czy też w powietrzu zawisła martwa cisza — w każdym razie Andrew poczuł na plecach nieprzyjemny dreszcz.

Nieoczekiwanie dla samego siebie zrobił szybki krok do przodu, podstawił nogę Witasowi, popchnął go i upadł wraz z nim na ziemię, na twardy bruk ulicy.

Witas był młodszy i lepiej wytrenowany, ale nie zdążył zamortyzować upadku i porządnie się potłukł.

— Do diabła! — zerwał się, odtrąciwszy Andrewa. — Oszalałeś?!

— Przepraszam — mruknął Andrew, podnosząc się ciężko z ziemi. Rozbił sobie boleśnie łokieć.

Witas nic nie usłyszał, Andrew zaś tak, bo uważnie nadstawiał ucha. Chwilę przedtem za żywopłotem zabrzmiały ludzkie kroki, miękkie kocie kroki człowieka obutego w grube kapcie z wełnianej dzianiny, wizgnęła w powietrzu cienka strzałka, rozbiła się z cichym trzaskiem o szybkę samochodu i niemal bezszelestnie osunęła na bruk.

— Andrew, czy możesz mi wyjaśnić...

— Poczekaj! — powiedział Bruce.

Wyciągnął z kieszeni latarkę i poświecił w stronę samochodu. Świecenie za żywopłot nie miało sensu, bo w rozciągającym się tam głębokim mroku z pewnością już nikogo nie było.

Strzałka leżała obok samochodu. Jej ostrze rozbiło się o szybę, po której spływała strużka jadu, żółtego i gęstego jak miód. Strzałka wyglądała zupełnie nieszkodliwie — ot, cieniutki patyczek. Andrew podniósł go. Witas bacznie tę scenę obserwował. Był człowiekiem obdarzonym wyobraźnią i gdy tylko pojął, że dziwne zachowanie Andrew ma sens, natychmiast zamilkł. Czekał na wyjaśnienia.

Bruce oświetlił strzałkę. Każda strzałka ma na drzewcu znak identyfikacyjny. Taki pocisk wystrzelowany z dmuchawki jest popularną bronią do załatwiania porachunków w sekretnych wojnach i przy śmiertelnej zemście. Prawa honoru stanowią, że nie wolno tego znaku usuwać. Nawet gildia najemnych morderców ma swoją cechę.

Ale na tej strzałce cecha została zatarta. To znaczy, że zamach nie miał związku z krwawą zemstą i nie dotyczył sprawy honorowej.

— Chodźmy — powiedział Andrew.

Dotarli do kolumn. Stali tam goryle Pruga i strażnik miejski, który rzecz jasna niczego nie zauważył.

Przy świetle pochodni Andrew spostrzegł, że jego mundur mocno się ubrudził. Galowy strój Witasa też ucierpiał.

— Drobiaz — powiedział. Zaraz znajdzie się na to rada.

Uniół rękę i na ten znak natychmiast podbiegł do nich jeden ze służących, który wyciągnął z wiszącej na plecach skrzynki wilgotne szczotki. Szczotki znakomicie wchłaniały rdzawy kurz.

Obok, z pomocą innego służącego, doprowadzały do porządku swe szaty dwie arystokratyczne damy.

— Nie wiem, kto strzelał szepnął Andrew do Witasas. — Nie wiem nawet, do którego z nas strzelano. I zupełnie nie pojmuję dlaczego...

— Masz znakomity refleks. Ja niczego nie zauważyłem.

Weszli do westybulu, do którego prowadziły szerokie, choć dość strome schody.

Westybul był okrągłą salą zajmującą całą pierwszą kondygnację bani. Do górnych pomieszczeń wiodły dwa ciągi kręconych schodów. Tam, mi drugim piętrze, przygotowano poczęstunek.

Pośrodku westybulu, na tronie i rzeźbionym oparciem zasiadał Prug Drugi, następca witoras Brendyjskiego, szacowny banita. Jego ciężkie. Gąbczaste ciało wylewało się z siedziska, zwiasało na boki. Głowę następcy ozdobił trzy rogi kołpak, symbolizujący trzy najwyższe góry znajdujące się we władaniu dynastii brendyjskiej, a korpus spowity był w kilka różnobarwnych płaszcz, przez co dostojnik przypominał niemowlę obleczone w kilka koszulek. Każdy płaszcz oznaczał zwierzchność nad jakimś klanem. Podobieństwo do oseska potęgowało jeszcze to, że obnażone nogi Pruga Drugiego obute były w złociste paputki.

Za plecami następcy stało dwóch goryli z rytualnymi podwójnymi włóczniami w rękach.

Goście podchodzili do gospodarza domu i pytali o zdrowie.

Andrew z Witasem ustawili się w kolejce.

Przed nim stał minister Wiedzy ze swymi obiema żonami. Ale zanim goście nie przywitani się z gospodarzem, etykieta nie pozwalała gościom, choćby to byli najbliżsi przyjaciele, nawet rozpoznawać się nawzajem.

Andrew rozejrzał się szukając Olsena. Dojrzał go pod ścianą pogrążonego w rozmowie z Waraju. Helena Kazimirowna na przyjęciu się nie zjawiła. Nie znosiła poddawać się dworskiej etykiecie.

Barwny tłum krążący powoli wokół centrum, którym był tron nie wypadało stać w miejscu — zasłonił rozmawiających przed wzrokiem Andrew. Andrew dotknął kieszeni, do której schował strzałkę.

— Nie oczekiwałem takiego szczęścia! — wykrzyknął z nadmierną emfazą, jak wypadało, Prug Drugi. — Władcy niebiańskich statków raczyli zaszczyścić naszą skromną chatę!

Andrew odniósł wrażenie, że tłuszczoch czegoś się boi. Jego szczurze ślepka zezowały, uciekały przed spojrzeniem rozmówcy, a grube paluchy drżały. Liczne pierścienie rzucały migotliwe błyski.

— Jak drogocenne zdrowie? — zapytał Andrew.

— Pokornie zbliżam się do końca mojej żalostnej drogi odparł zgodnie z wymogami etykiety Prug Drugi.

— Żywię niepłonną nadzieję, że śmierć nie przyjdzie po Waszą Dostojność w najbliższym stuleciu — odpowiedział jak należało Andrew.

— Zaś moją jedyną nadzieją jest ujrzeć pana na moim pogrzebie — zareplikował góral.

— Nie dopuszczam do siebie takiej myśli wyznał Andrew. — Wcześniejsza śmierć jest moim najskrytszym pragnieniem.

Pochwyił wreszcie wzrok następcy tronu brendyjskiego.

Nieprzejrzyste źrenice wbiły się w jego twarz.

„To nie może być przypadek — pomyślał Andrew. — Nas nie sposób z nikim pomylić, bo nikt poza nami nie nosi tu mundurów Floty Kosmicznej. Oczekiwano tu na nas. Przed samym domem. W najodpowiedniejszym momencie”.

Naturalnie istniała druga wersja. Któryś z krewnych PetriA domyślił się, zauważył,

przekalkulował. I stara się ratować zagrożony honor rodziny. Ale nawet brat-walkoń nie upadłby tak nisko, żeby usuwać cechę ze strzałki. „A może. Andrew, dorobiłeś się wroga — powiedział sobie agent Floty Kosmicznej — wcale się tego nie domyślając?”

W tym czasie Witas odpowiadał na liczne pytania. Z szacunku dla rzadkiego gościa Prug Drugi mówił w lincosie. Następcy tronu brendyjskiego nikt nie mógłby odmówić rzadkich w tym świecie talentów i wyjątkowego wykształcenia. Chociaż, jak Andrew dobrze wiedział, tłuszcioch nigdy nie opuszczał Pe-U.

Doczekawszy się, aż Witas będzie wolny, Andrew poprowadził go wokół sali tak, żeby dotrzeć do Olsena i WaraJu. WaraJu, jedyny w tym papuzim tłumie, pozwolił sobie przyjść w codziennym mundurze. Gdyby zrobiłby to ktoś inny, uznano by to za śmiertelną obrazę dla domu. Ale WaraJu dawał w ten sposób do zrozumienia, że cały czas jest na służbie i że jeśli nawet obraża w ten sposób gospodarza domu, to jednak nie daje mu do tego formalnego powodu. Arystokratyczne damy szeptały, salonowe lwy marszczyły czoła z dezaprobatą, ale władza tego szczupłego, cichego i bardzo spokojnego człowieka, choć nie rzucała się w oczy, była jednak tak silna, że wokół niego tworzyła się zawsze pusta przestrzeń. Andrew wiedział, że WaraJu nie pochodzi ze szlacheckiego rodu i że tylko dzięki swemu uporowi potrafił zamienić straż miejską w realną, tylko jemu posłuszną siłę.

Kłaniając się z daleka Olsenowi i policjantowi piloci podeszli do nich. Byli ośrodkiem zainteresowania całej sali.

— Są nowe informacje — powiedział WaraJu. — Nasz donosiciel rozmawiał z włóczęgą, który widział, jak wczoraj wieczorem przy Dalekiej Przystani zatrzymała się platforma. Wyciągnięto z niej ciało zawinięte w tkaninę i zrzucono je z pirsu do wody. Tam jest głęboko, a na dnie leży mnóstwo pni drzew. Teraz penetrują je moi nurkowie.

— Dlaczego pan sądzi, że to ma jakiś związek z archeologiem? zapytał Olsen.

— Obecnie nie toczy się żadna wojna między klanowa, a rabusie nie używają samochodu do przewozu ciał i nie posługują się strzałkami

— Czym?

— Zatrutymi strzałkami. To nie jest broń rabusiów. A w dodatku strzałka, którą znaleźliśmy na pirsie, była dziwna...

— Wycięto z niej cechę — powiedział nieoczekiwanie Andrew.

WaraJu zatrzymał się. Wpadł na niego kuzyn premiera. W tłumie zaszumiało. Prug Brendyjski gwałtownie się obrócił.

— Proszę mi wybaczyć — zwrócił się do kuzyna premiera WaraJu. — Niedopuszczalnie się zamyśliłem.

Przez chwilę szli dalej w milczeniu. Może po minucie policjant zapytał cichym, pełnym napięcia głosem:

— Dlaczego mówił pan o strzałce z zatartą cechą?

— Dlatego, że taka sama anonimowa strzałka leży teraz w mojej kieszeni. Strzelano do nas. Tutaj, obok domu następcy.

Ostrożnie, ukrywając swój ruch przed wzrokiem ciekawych wyjął z kieszeni strzałkę i wsunął ją do wyciągniętej dłoni szefa straży. Strzałka znikła. Nawet Olsen niczego nie zauważył.

— Dlaczego nie trafili? — zapytał WaraJu w zadumie.

Jego pytanie było uzasadnione. Wojownicy strzelali z dmuchawek bez pudła. Uczyli się przeciw tej sztuce od dziecka.

— Coś poczułem — powiedział Andrew — i upadłem.

WaraJu skinął głową. Wierzył w intuicję.

* * *

Prug podniósł się z tronu. Miętko, ale dźwięcznie klasnął w dłonie.

— Moi słudzy i żony — oświadczył — przygotowali niegodny tak znakomitych gości poczęstunek. Szkodzi mi nadmierne jedzenie, więc błagam, abyście ulitowali się nade mną i podzielili moją kolację.

W sali od razu zaszumiało. Wielu przyszło tu tylko z łakomstwa, Dom następcy tronu brendyjskiego słychać z egzotycznych potraw.

Goście rozstapili się, przepuszczając pana domu.

Prug uczynił gwałtowny ruch i spod licznych płaszczy błysnęła kolczuga. Nieprawdopodobne — gospodarz przyjęcia w kolczudze! Andrew zerknął na WaraJu. Policjant patrzył na następcę i też musiał zauważyć błysk.

Pojawienie się znakomitego emigranta sprawiło straży miejskiej wiele kłopotów. Przybysze z gór przynieśli do miasta gorączkę klanowych waśni, od których przez ostatnie lata zdołano się w stolicy już niemal odzwyczaić.

W dodatku Pruga nie sposób było izolować. Należał do jednej z najbardziej znanych rodzin planety, pochodził z rasy gigantów, którzy w niepamiętnych czasach przylecieli z Ar–A. Był krewnym naczelnego kapłana bogini UrO. Trzeba go było znosić i czekać, aż padnie ofiarą kolejnego spisku lub zawładnie tronem i ruszy wojować w górskie doliny.

Goście wstępowali na schody, które wijąc się wzdłuż ścian prowadziły na górne piętro, gdzie czekał na nich niski stół w kształcie pierścienia.

Na spotkanie gości wyruszył tłum służących, którzy prowadzili ich na miejsce.

Andrew widział jak Prug szybkimi gestami dyrygenta popędzał służących.

Posadzono go z dala od innych Ziemian. Z jakiegoś względu musiało to być dla następcy tronu wygodne. Witas także znalazł się w otoczeniu obcych ludzi.

Wewnątrz kręgu stołu ulokowali się muzycanci i tancerze. Tancerze przebierali się, muzycanci stroili instrumenty.

Jedna z tancerek podeszła do stołu i wzięła błękitnawe szerszeńskie jabłko. To była bardzo znana artystka, Andrew widział ją na dziesiątkach przyjęć. Uśmiechnęła się do niego.

Chrupiąc jabłko, tancerka zapytała Andrew, kim jest ten przystojny oficer. Miała na myśli Witasa. Andrew powiedział jej, że ten przystojny oficer za dwa dni odlatuje. Tancerka uświadomiła go, że dwa dni wystarczą dla miłości.

Prug siedział naprzeciw Andrew. Jego krzesło było wyższe od reszty i dlatego następcę tronu brendyjskiego wydawał się gigantem. W oczekiwaniu na ostateczne rozlokowanie gości czyścił sobie paznokcie srebrnym sztylecikiem. Lekko przechylił głowę, bo tancerka zasłaniała mu agenta Floty Kosmicznej. Uśmiechał się do Andrew, kiwając głową jak porcelanowa figurka Chińczyka. „Ciekawe — myślał Andrew — kto chciał mnie zamordować?” Nie bał się, postanowił tylko na przyszłość bardziej na siebie uważać. „Może to izolacjoniści ruszyli do działania? Ale co usunięcie takiego pionka może zmienić? Jeden agent Floty Kosmicznej mniej, jeden więcej... Dla życia Galaktyki nie ma to żadnego znaczenia. Nie można uciec od własnej przyszłości, ale można spróbować ją przewidzieć. Strzałka z usuniętą cechą wskazywała na jedną z wersji — politykę. Polityka doskonale obchodzi się bez klanów. Na pewnym poziomie polityka jest amoralna. Usunięcie cechy jest amoralne, a zatem strzałka jest orężem walki politycznej. Szkoda, że obok nie ma WaraJu. On potrafiłby docenić ten sylogizm”.

Słudzy wnieśli zawieszistą polewkę z dziczyzny. Wszyscy przecież wiedzieli, że najlepszą polewkę z dziczyzny można zjeść tylko w domu następcy tronu brendyjskiego.

Na stole pojawiły się kadzielnice z wonnymi ziołami. Niektórzy goście zaczęli się do nich

przysuwać. Głosy zabrzmiały donośniej.

Polewka była — jak zawsze! — wspaniała, ale od zapachu kadzidła Andrew mdliło. Miał dziwne uczucie chwiejności, a chwiejności organicznie nie znosił.

Tancerka zaczęła powoli wirować w rytm bębenków.

Wirowała coraz szybciej i szybciej.

WaraJu siedział z kamienną twarzą. Widać było, że czeka, aż będzie mógł odejść. Jego ludzie przeszukują teraz jezioro. W świetle lamp naftowych woda jest czarna i tłusta.

Tancerka zakończyła popis i zatrzymała się, rozkładając ręce. Przeguby rąk drżały, dźwięczały dzwoneczki bransolet, coraz ciszej dudniły bębny.

Prug patrzył na Olsena i WaraJu, którzy wstali ze swoich miejsc. To było pogwałcenie dobrych obyczajów. Nikt nie miał prawa wstać od stołu przed gospodarzem, ale Prug zignorował nietakt ponieważ uznał, że obaj są na służbie i dlatego etykieta ich nie obowiązuje. W ten sposób ratował twarz. Zresztą trudno dowódcę straży miejskiej uznać za zwykłego śmiertelnika...

Olsen domjślił się, o co chodzi i okrążywszy stoi zbliżył się do gospodarza, w najbardziej wyszukanych słowach błagając o wybaczenie i tłumacząc się nagłym atakiem bólów żołądka... Wszystko zatem odbyło się jak należy i Prug uśmiechnął się szeroko, życząc konsulowi szybkiego powrotu do zdrowia. Nie zapomniał przy tym, zgodnie z etykietą, zaprosić go na własny pogrzeb. Potem wziął ze stołu kawałek pieroga i podał Olsenowi. Jeżeli gościowi w czasie uczty przytrafi się jakieś nieszczęście i musi opuścić przyjęcie, obowiązkiem gospodarza jest zaopatrzyć go w symboliczną żywność na drogę.

Andrew natychmiast zrozumiał, że jedyną przyczyną, która mogła zmusić Olsena do wstania od stołu, była sprawa archeologa. To znaczy, że go odnaleźli. Albo znaleźli jego ciało.

Oczywiście w owej chwili ani on, ani Olsen nie wiedzieli, że kiedy w świetle pochodni konsul pochylił się nad ciałem człowieka ubranego w czarny frak i złote buty, ujrzy nie doczesne szczątki Focjusza van Kuuna, lecz zupełnie mu nie znanego mieszkańca Pe-U.

Do tego momentu upłyne jednak wiele czasu, bo po drodze zepsuje się samochód WaraJu, a potem ulica wiodąca od przystani okaże się zatarasowana wielkim wozem wyładowanym workami ziarna... Kiedy Olsen wróci wreszcie głęboką nocą, będzie już za późno.

Służący roznosili półmiski ze słodkimi owocami, Andrew zaś myślał o tym, że archeologa zabito taką samą strzałką, jaka była przeznaczona dla niego. Nagle poczuł czyjś wzrok. Jakby go ktoś postukał palcem w plecy. To była właśnie intuicja.

Obejrzał się.

Za nim stał jeden z wojowników Pruga, potężny żółtowłosy mężczyzna o wąskich, przenikliwych oczach. Na koleczgu miał narzuconą tunikę w kolorach Związku Brendyjskiego, za jego szerokim pasem tkwiły trzy noże. Bez słowa wpatrywał się w Andrew.

— Jakie jest twoje imię, mężny wojowniku? — zapytał Andrew. Znał skądś tę twarz.

— DrokU, panie — odparł wojownik. Co pan rozkaże, szlachetny panie z gwiazd?

— Już cię gdzieś widziałem.

— Stoję zawsze po prawicy wielkiego władcy Pruga. — Wojownik nie odrywał od niego wzroku.

Andrew zmuszał się do przetykania słodkich owoców.

Przed gośćmi popisywali się teraz żonglerzy z pomalowanymi w kolorowe pasy twarzami. Tancerka siedziała pośrodku kręgu wdychając kadzidło.

Witas nie jadł, przypatrywał się żonglerom. Był napięty.

Następca tronu brendyjskiego podniósł się ze swego miejsca i poprosił gości, żeby jedli, pili i rozkoszowali się życiem, po czym udał się na górne piętro domu. Takie postępowanie było dopuszczalne i można je było przewidzieć. Gospodarz po prostu dawał gościom czas na to, aby

mogli poplotkować bez obawy, że go obrażą. Nastąpiły Minuty Złych Języków.

Sługa dotknął ramienia Andrew:

— Telefon do pana, gościu z gwiazd!

Andrew natychmiast podniósł się z za stołu. Kto tu mógł dzwonić? Wątpliwe, aby PetriA... Najprawdopodobniej Olsen.

Służący szedł przodem. Zeszli po schodach do wystybulu, a potem następne schody zaprowadziły ich do podstawy dyni, do suterenu.

Panował tam półmrok. Bogato inkrustowana słuchawka leżała na stole obok aparatu telefonicznego przypominającego maszynę do szycia. Andrew uniósł ją do ucha.

W słuchawce grał świerszczyk — linia była rozłączona.

— Nie doczekali się? — zainteresował się służący.

— Skąd był telefon? — zapytał Andrew.

— Nie wiem, władco nieba.

Andrew nie wiedział, co robić. Czekać, aż jeszcze raz zadzwonią, czy iść na górę? W mózgu coraz głośniejszy dźwięczał sygnał alarmowy: uwaga, Andrew, niebezpieczeństwo!

Błyskawicznie się odwrócił.

W suterenu kłębiło się mnóstwo ludzi, ale trudno ich było rozróżnić w półmroku. Ktoś spał na podłodze, inni rozsiedli się wzdłuż półokrągłej ściany, inni wreszcie łazili bez celu. W każdym patriarchalnym domu zawsze jest cała masa służby, krewnych, klientów. Andrew znalazł się w centrum zainteresowania. Dobrze, że nie jestem tu sam, chociaż świadkowie i tak by się nie znaleźli.

Szybko wyciągnął z kieszeni złotą kulkę. Wyglądało na to, że służący nie był góralem. Pewnie wypożyczyli go z restauracji. Tak się robi, gdy w domu ma być wielu gości, a osobiści poddani uważają posługiwanie przy stole za rzecz poniżej własnej godności.

— Kto dzwonił? — wyszeptał Andrew tak cicho, że nikt poza sługą nie mógł go usłyszeć.

Sługa przesunął ręką po jego dłoni i moneta znikła.

— Kobieta — powiedział samymi wargami. — Młoda kobieta. Była bardzo zdenerwowana.

Odwrócił się i odszedł.

Andrew zdjął słuchawkę i zaczął kręcić korbką.

Miękka, wypielegnowana, ale ciężka dłoń oparła się o widełki.

— W chwilach radości — powiedział następca witoru Brendyjskiego — nie wolno się niczym zajmować! Proszę nie zapominać o dobrych obyczajach.

Uśmiechnął się, ale oczy miał mętne i szalone. Nawdychał się kadzidła, jego kaftaniki porozpinały się, ukazując połyskującą w półmroku kolczugę.

— Musisz zostać z nami do końca — powiedział Prug Drugi. — Tancerki czekają na ciebie na górnym piętrze, władco nieba.

— Gość honorowego domu może nie obawiać się pogroźek odparł Andrew.

Prug zasłonił sobą telefon.

— Andrew, jesteś tu? — na schodach stał Witas Jakubauskas. Flota Kosmiczna nie opuszcza przyjaciół w potrzebie.

— Wychodzimy — powiedział Andrew. — Na nas już czas, bo w domu czekają chorzy.

— Nie możemy was wypuścić, goście — oznajmił Prug. — Święto się jeszcze nie skończyło.

Andrew rozumiał, że teraz może już zlekceważyć etykietę i nieoczekiwanie dla Pruga rzucił się ku schodom. Był przekonany, że Prug zrobi wszystko, żeby nie wyszli z domu. Był przy tym prawie pewien, że dzwoniła PetriA.

Zdażył przebiec połowę schodów, nim następca tronu brendyjskiego krzyknął:

— Zatrzymać go!

Ludzie podpierający ściany ruszyli. Ktoś podbiegł do schodów. Płacząc się w kaftanach, Prug zaczął wyciągać nóż do rzucania.

— Z drogi! — ryczał.

Ale Andrew i Witas byli już w rzęsiście oświetlonym i pełnym gości westybulu.

* * *

Przebiegli między kamiennymi kolumnami. Dalej panowała ciemność. Zanurkowali w nią jak w wodę i Andrew pociągnął Witasa w bok, jak najdalej od żywopłotu.

Po dwóch minutach byli już przy furgonetce.

Nikt ich nie gonił. W cichym nocnym powietrzu nosły się tylko ożywione głosy podchmielonych gości.

Furgonetka stała lekko przechylona. Andrew zapalił latarkę.

Prawe przednie koło było zerwane z osi. Żelazny łom, którym posłużył się nieznany sprawca leżał na jezdni. Komuś bardzo zależało na tym, żeby Andrew nie odjechał.

Natychmiast wyłączył latarkę, która mogła zwabić groźne nocne ćmy i cofnął się w ciemność.

Prowadził Witasa okrężną drogą przez wąskie, nieoświetlone zaułki, bo zasadzka musiała być na najkrótszej trasie. Dobrze mu się odplaciło zamiłowanie do samotnych spacerów. Przez ostatnie miesiące dokładnie zwiedził centrum miasta i wąskie uliczki płaskowyzu, na którym rozsiadła się spokojna dzielnica mieszkaniowa.

Po jakichś dziesięciu minutach zatrzymali się, żeby odpocząć. Stali na oświetlonym rogu ulicy Pomyślnych Rządów. Naprzeciwko ciepłym światłem lśniła witryna niewielkiej palarni. Tam na pewno był telefon.

W palarni było pusto, tylko na kanapkach w głębi drzemali zapóźnieni klienci. Andrew podszedł do kontuaru, a Witas pozostał przy drzwiach. Bruce położył monetę na drewnianej tacy między niezapalonymi kadzielnicami i poprosił właściciela o zgodę na skorzystanie z telefonu.

Gospodarz długo oglądał monetę, jakby powątpiewał w jej autentyczność, a potem zapytał, skąd goście przybyli i jak się czują. Andrew zrozumiał, że swoim pośpiechem pogwałcił etykietę i że należy przywrócić poprawne stosunki.

— Proszę wybaczyć — powiedział — ale moja córka jest chora i tylko dlatego pozwoliłem sobie na taki gruby nietakt.

— Rozumiem i współczuję — westchnął z ulgą gospodarz. Zdjął skórzany fartuch i wprowadził Andrew za kontuar, gdzie stał telefon.

Andrew zadzwonił do Agencji. Telefon długo brzęczał. Nikt nie podnosił słuchawki. Może to fałszywy, alarm? Może PetriA telefonowała z domu? Rzucił słuchawkę.

— Dziękuję.

Pobiegł do wyjścia.

Następnego dnia właściciel palarni długo będzie opowiadał znajomym jakimi okropnymi narwańcami są ci przybysze z gwiazd!

* * *

W Agencji paliło się światło, którego odbłask padał na kragłe boki dyni, przez co dom wyglądał jak grzyb na świetlistej nóżce. W witrynie na cieniutkich żyłkach wisiał model liniowca na tle planszy wyobrażającej gwiazdziste niebo.

Andrew szarpnął drzwi. Były otwarte.

W sali dla klientów było pusto.

— PetriA! — zawołał. Zawołał cicho, jakby się bał przestraszyć dziewczynę.

— Poszła — powiedział, jakby chciał sam siebie uspokoić. Wiedział już, że musi zrobić dwa kroki i wejść za wysoką barierkę, gdzie stało jego biurko z telefonem.

Witas zrozumiał, że lęk nie pozwala Andrew na zrobienie tych dwóch ostatnich kroków, podszedł więc sam do przepierzenia, otworzył wąskie drewniane drzwiczki i ruszył do przodu. Andrew widział, jak pochylił się, zobaczywszy coś na podłodze.

Wiedział, że jest tchórzem. I rozumiał, że każdy człowiek we Flocie Kosmicznej doskonale wie, że jest tchórzem. Za to właśnie skreślono go z listy personelu latającego.

Głowa Witasa zniknęła za wysoką barierką. Andrew słyszał, jak Jakubauskas odsuwa fotel.

— Chodź tu — powiedział Witas.

Andrew posłusznie wszedł za przepierzenie.

PetriA leżała na podłodze obok biurka, zwinięta w kłębek jak dziecko, które nie wiadomo czemu postanowiło przespać się w tak niewygodnym miejscu.

Witas ostrożnie uniósł jej głowę. Błękitna peruka zsunęła się z czarnych włosów, jakby nie chciała już służyć swojej martwej właścicielce.

Andrew stał z opuszczonymi rękami, patrzył na ciemną plamę na piersi dziewczyny i błagał w duchu Witasa, żeby powiedział, iż PetriA żyje, że tylko straciła przytomność.

— Umarła — powiedział Witas.

— Nie! — Andrew doskonale wiedział, że umarła, wiedział już to od momentu, gdy pchnął otwarte drzwi Agencji. — Telefonowała, prosiła, żebyśmy przyjechali. Tyle czasu minęło, a my nie przyjeżdżaliśmy...

Witas delikatnie, jakby obawiał się zbudzić dziewczynę, położył jej głowę na podłodze. Miękkie włosy rozsypały się po płytkach posadzki. Witas wstał, podszedł do biurka, sięgnął do maszyny do pisania.

Jego ruch zdziwił Andrew. Patrzył tępo, jak Witas usiłuje wyciągnąć z maszyny dolną część kartki, niechlujnie oderwaną od reszty.

Na poszarpanym brzegu widniało słowo „Szkwał”.

— Popatrz. Pisała, kiedy przyszli — powiedział Witas.

— Przyszli?

— Kogo trzeba zawiadomić? Jest tu jakaś policja?

— Nie, straż. Ale nie możemy jej zawiadomić. Do tego mają prawo jedynie członkowie rodziny. Inaczej to dyshonor.

— Ty wiesz lepiej.

Zadzwoń do jej brata. To malarz — dodał niepotrzebnie.

Witas nic nie odpowiedział. Przykucnął za biurkiem, gdzie leżał przewrócony fotel. Powoli przesuwając się wzdłuż ściany badając podłogę.

Andrew podniósł słuchawkę telefonu i poprosił o połączenie z domem PetriA.

Do telefonu podszedł jej ojciec. Andrew przeprosił, że niepokoi go o tak późnej porze i powiedział, że musi porozmawiać z bratem dziewczyny. Bał się powiedzieć starcowi, co się stało. Starszy pan zdziwił się i zapytał, co tak długo zatrzymuje jego córkę. „Proszę wybaczyć — powiedział Andrew — co było bardzo niegrzeczne — ale spieszę się”. Stary poszedł po syna. Andrew czekał, aż ten podejdzie do telefonu i patrzył na PetriA. Miała takie miękkie włosy. Zawsze były ciepłe i pachniały górkimi ziołami. Myła je w naparze z ziół...

Głos Kam PetriU był senny i rozdrażniony. Z całej tej arystokratycznej rodziny krzywo patrzącej na to, że bogata następczyni zajmuje się tak nieodpowiednimi dla panienki z dobrego domu sprawami, on był wobec Andrew najlojalniejszy. Sam chciał polecieć do Centrum

Galaktycznego.

— Witaj — powiedział Andrew. — PetriA przydarzyło się nieszczęście. Nie powiedziałem o tym twojemu ojcu. Czy możesz zaraz przyjechać do Agencji?

— Już jadę — PetriU na szczęście nie zadawał żadnych pytań. Odłożywszy słuchawkę Andrew ukląkł obok PetriA i wziął ją za rękę.

Usiłował wyczuć puls.

— A tam co jest? — usłyszał głos Witas, który stał przed zamkniętymi drzwiami.

— Mój gabinet. Zamknięty.

Witas pchnął drzwi. Otworzyły się.

— Wyłamany zamek — powiedział.

Wewnątrz paliło się światło. Andrew nie podnosząc się z klęczek zobaczył, że szafa stojąca naprzeciw drzwi jest otwarta i pusta. Nie od razu uświadomił sobie, co w niej trzymał. Potem przypomniał sobie i zdziwił się: w szafie wisiał jego codzienny mundur.

— Co było w szafie? — zapytał Witas.

— Nic ciekawego. Mundur.

— Kogoś jednak musiał zainteresować. Zawartość wyłamanej szuflady biurka też. Co było w biurku?

— Nic ciekawego — powtórzył Andrew obojętnie. To wszystko nie mogło mieć z nim żadnego związku. Z PetriA też nie.

Drzwi wejściowe otworzyły się i wbiegł brat PetriA.

Wpadł piersią na barierkę, jak na płotek, który zamierzał przeskoczyć, ale w ostatnim momencie zrezygnował. Wspiął się na palce i zobaczył PetriA.

— Kto to zrobił? Ty?!

— Nie wiem — Andrew ostrożnie opuścił rękę dziewczyny i wstał. Nie wiedział co ma PetriU powiedzieć.

— Dlaczego ona tu leży? Dlaczego?

Wbiegł za przepierzenie, choć Witas usiłował go zatrzymać.

— Nie wolno niczego ruszać — powiedział. — Przyjedzie policja i znajdzie tego, kto to zrobił.

— Nas tu nie było — odezwał się Andrew.

Kam PetriU wziął siostrę na rękę i zaniósł do gabinetu. Położył ją na kanapie.

I od razu się uspokoił.

„Trup nie powinien leżeć na ziemi — przypomniał sobie Andrew — bo wówczas wchodzą w niego złe duchy”.

— My nie mamy honorowych wrogów — oświadczył brat dziewczyny. — Nikt nie mógł chcieć jej krwi oprócz twoich wrogów! — zakończył groźnie.

— Ja nie mogę mieć honorowych wrogów — powiedział Andrew. — Wiesz o tym. Jestem tu obcy i nie mam nawet własnego klanu.

Krótką tunika Kam PetriU była ściągnięta szerokim pasem, za którym tkwił podwójny nóż. Rozmawiając, brat zamordowanej ścisnął jego rękę. Był niezłym chłopakiem, tyle że leniem i szalapatem. Rysował obrazki do gazety, udawał, że jest cholernie nowoczesny i gotów był bodaj jutro lecieć do Centrum Galaktycznego, gdzie wreszcie docenią jego talenty. Nieszkodliwy smarkacz. Ale teraz nie myślał o Centrum Galaktycznym i pewnie nawet zapomniał o jego istnieniu. Nie tyle był wstrząśnięty śmiercią siostry, ile jej okolicznościami. W jego świecie gwałtowna śmierć nie była niczym nadzwyczajnym, ale zawsze musiała mieć jakieś przyczyny.

— Dlaczego napisała „Szkwał”? — zapytał Witas.

— Nie wiem.

— Możesz zadzwonić do dyspozytorni?

Andrew zdjął słuchawkę telefonu. Milczała.

— DreJu — powiedział Kam PetriU. — Moją siostrę zabili. Nożem w plecy. Jak ślimaki, które żądłą nocą. Jej krew jest moją krwią! — Łzy ciekły mu po policzkach. Na Pe-U mężczyźni nie ukrywają swoich uczuć. Powściągliwość jest obowiązkiem kobiety.

— Jej krew jest moją krwią! — powtórzył jak echo Andrew, unosząc prawą rękę z dłonią skierowaną do przodu w geście śmiertelnej przysięgi, po czym ruszył do gabinetu, odsuwając młodzieńca z drogi. Ten pokornie się cofnął.

Andrew stanął przy kanapie. PetriA leżała z głową lekko przechyloną na ramię. Jej ręka zwisała bezwładnie, dotykając smukłymi palcami podłogi.

Nie miało sensu tak stać. Trzeba było coś zrobić. Napisała „Szkwał”... Trzeba zatem jechać na kosmodrom.

Andrew był zupełnie sam. Znowu zupełnie sam. Jak człowiek, który leci w ciemną pustkę Kosmosu, aby w czasie tego lotu nie zobaczyć niczego oprócz pustki.

Usłyszał własny głos i zdumiał się, że jest taki ochrypliwy.

— Twoja krew jest moją krwią! — powiedział uroczystym tonem. To było bardzo stare zaklęcie. Wygłaszając je, brał zemstę na sobie jako człowiek najbliższy. Jako człowiek, który ma prawo do monopolu zemsty.

Człowiek bardzo ucywilizowany i spokojny, reprezentant galaktycznego lotnictwa cywilnego na Pe-U oświadczył swoją wolę zemsty. To było niesłychane. Gdyby Andrew usłyszał coś takiego jeszcze wczoraj, po prostu by się roześmiał.

— Kam PetriU, wezwij strażników i wszystko im opowiedz. My jedziemy na kosmodrom. Naszemu statkowi może grozić niebezpieczeństwo. Weźmiemy twój samochód. Powiedział to jak człowiek, który ma prawo decydować.

— Zrobię wszystko, co trzeba — odparł Kam PetriU.

Witas nie zrozumiał ani słowa z tej rozmowy prowadzonej w języku Pe-U. Nie zrozumiał też niczego ze sceny, która się uprzednio przed nim rozegrała, bo przecież nie miał najmniejszego pojęcia o prawie zemsty.

Andrew pochylił się i pocałował PetriA w skroń. Skóra zachowała jeszcze ślady ciepła.

* * *

Samochodzik Kam PetriU toczył się powoli. Jego silnik parowy wzdychał, sapał i parował, coś w nim zgrzytało i trzaskało, i Witas, który nie wiedział, że takie toczydełko jest wcale solidne obawiał się, że nie dotrą nim na miejsce. Dziwne, ale przez całą drogę rozmawiali wyłącznie o takich pojazdach. Być może dlatego, że Andrew łatwiej było mówić o kotłach parowych niż o tym, co się stało.

Należało zadzwonić do Olsena, który znał Petri A i przyjaźnił się z nią, ale konsul przecież pojechał gdzieś z WaraJu.

Andrew czuł, że istnieje związek między zamachem pod domem Pruga i śmiercią PetriA, choć naturalnie nie miał żadnych podstaw do łączenia tych wydarzeń. Po prostu zbieżność w czasie i nic więcej...

— W takim tempie nie dojedziemy na kosmodrom do rana — zauważył Witas.

Z ciemności wypływały coraz rzadsze dynie domów. Omiotane światłami samochodu pojawiały się i zaraz znikwały w czerni nocy.

Samochód wpadł w kolejny wybój i wzniecił tumany pyłu. Kiedy wydostali się z żółtej, oświetlonej reflektorami kurzawy, zabłysły przed nimi światła kosmodromu. Mdłe płomyki lamp

awaryjnych i rozjarzona szklana klatka dyspozytorni na wieży...

Zewnętrzna brama kosmodromu była otwarta na oścież, strażnicy gdzieś znikli.

Andrew zahamował pod wieżą.

Wokół panowała głucha cisza. Hen, gdzieś daleko wyły lisy. Stado latających szczerów przemknęło nad głowami i skóra pokryła się gęsią skórą od ich niemal ultradźwiękowego pisku.

Witas o nic nie pytał i bez słowa szedł za Andrew.

Wbiegli po schodach.

Dyspozytornia była rzęsiście oświetlona.

Dyżurny dyspozytor osunął się w fotelu na bok, głowę wsparł na pulpicie. Leżał nieruchomo.

Andrew uniósł mu powiekę, odszukał puls.

— Żyje.

Ranny cicho jęknął.

Witas podszedł do ekranu i włączył go.

Pojawił się obraz statku. Był ciemny i cichy. Witas powiększył obraz.

Luk statku był otwarty. Pochylnia opuszczona.

— Gdzie łączność? — zapytał zduszonym głosem.

Andrew wywołał statek. Bez skutku.

— Na mostku nie ma nikogo — powiedział.

— To niemożliwe! — wykrzyknął Witas.

Andrew odwrócił się. W otwartej bramie kosmodromu błysnęły światła reflektorów.

Na plac wtoczył się wielki wóz bojowy. Z krótkich rur wydechowych waliła słupami para. Stalowy krągły łeb lśnił w świetle latarni. Wóz popęzł w kierunku statku.

— Ki diabeł?!

Andrew rzucił się do wyjścia. Witas za nim.

Wsiadli do samochodu. Kocioł parowy był rozgrzany, więc maszyna z miejsca ruszyła.

Zobaczyli, że wóz bojowy hamuje.

Na szczycie pochylni pojawiła się ludzka figurka.

— Kto to jest?! — wrzasnął Andrew, przekrzykując wycie pracującego na pełnych obrotach silnika.

Człowiek oświetlony reflektorem miał na sobie jasny mundur i okrągłą czapkę z lakierowanym daszkiem.

— Ty! — odkrzyknął Witas.

Człowiek rzadko kiedy ma okazję ujrzeć samego siebie z daleka, a w dodatku Andrew nie spodziewał się zobaczyć agenta Floty Kosmicznej witającego wóz bojowy. Ale Witas miał rację. Mężczyzna stojący w otwartym luku miał na sobie piaskowy mundur Andrew. Mundur, który znikł z gabinetu.

Włazy wozu bojowego otworzyły się. Wskoczyli z niego wojownicy w krótkich tunikach narzuconych na kolczugi. Uzbrojeni byli przeważnie we włócznie, ale niektórzy z nich mieli automaty...

Potem wyszedł tęgi mężczyzna również zakuty w zbroję.

Andrew rozpoznał w nim Pruga, delfina Brendyjskiego.

Prug obejrzał się, usłyszawszy stukot obcego silnika.

Krzyknął coś do wojowników i szybko pobiegł w stronę otwartego luku. Mężczyzna w mundurze Andrew Bruce'a pospieszył za nim. Wojownicy odskoczyli do tyłu, kryjąc się za wozem.

Krótkie działko dało ognia w stronę samochodziku. Nie biło zbyt celnie, ale z odległości pięćdziesięciu metrów musiało za którymś razem trafić. Andrew zrozumiał, że za parę minut

zostanie z nich mokra plama. Widział na manewrach efekt wybuchu granatu wystrzelonego z takiego działka. Rzucił ostro samochodzik w bok, żeby wydostać się ze snopu światła rzucanego przez reflektory pancerni. Zawracając zauważył, jak z jej wjazdu skierowanego ku „Szkwałowi” wojownicy wywlekają jakiegoś człowieka, nagiego i bezwładnego.

Działko wystrzeliło. Kartacz buchnął płomieniem i świąteczny fajerwerk rozświetlił niebo.

Trzeba było ukryć się za grawilotem. To był jedyny ratunek. Wieżyczka wozu bojowego obracała się i Andrew wręcz namacalnie wyczuł, jak prowadzi ich szeroka gardziel lufy. Niezgrabny parowczyk też widać wyczuł grożące mu niebezpieczeństwo, bo natychmiast usłuchał hamulca. Witas uderzył głową w przednią szybę.

— Przepraszam — powiedział Andrew.

Struga świetlistych iskier przeleciała przed samą maską samochodu.

Pół minuty na załadowanie działka.

Zrobiło się jasno jak w dzień. Światło padało z tyłu i nagle zniknęło, jakby zmiecione eksplozją. Andrew zrozumiał, że to wybuchła dyspozytornia.

Strzałki osuwały się po szybach samochodu, zostawiając na nich żółte ślady trucizny.

Reflektor wozu bojowego szperał po placu.

Pełną mocą rozjarzył się reflektor „Szkwału”. Lądowisko zrobiło się ciasne i małe, ale zbawcza ściana grawilotu była tuż-tuż.

Nie zdążyli jej dopaść. Trafił ich ostatni strzał.

Uderzając w bok samochodu, granat wybuchł jasno i wesoło. Andrew wydało się, że oślepl. Zadźwięczało rozbite szkło. Zapiękła oparzona ręka. Andrew wczepił się w kierownicę, starając się utrzymać samochód, ale podmuch zarzucił ich i popchnął.

Potem nastąpiła nieoczekiwana cisza.

Andrew poczuł, że nie włada własnym ciałem. Minęła sekunda, zanim wygasły iskry w oczach i zanim zrozumiał, że zważyło się na niego ciało Witasa.

Parowczyk stał.

— Witas! — krzyknął Andrew. — Żyjesz?

Ani słowa. Trudno było oddychać. Granat podpalił karoserię samochodu.

Andrew udało się otworzyć drzwi. Wiedział, że dzieje się coś nierealnego, niemożliwego. Przecież jest agentem FK, zajmuje się przylotami, podejmowaniem gości, siedzi na cichej planecie, spokojnie pracuje... Nie ma wrogów. Zaraz wróci do domu i opowie swój obłądny sen PetriA, która czeka nań siedząc na kanapie w kącie pokoju.

Rozumiał również to, że Witas znalazł się na linii strzału. Wypadł z samochodu i pociągnął za sobą Witasa. Miał mocno poparzoną rękę i na moment stracił przytomność z bólu, ale Witasa nie porzucił, włókł go za sobą, wczepiwszy się w niego jak buldog. Znowu szarpnięcie bólu, kiedy ręka uderzyła o beton, a z góry zważył się na niego bezwładny Witas.

Dym był okropny i nie było widać poza płomieniami, które chciwie pożerały samochodzik. Andrew pełzł, a właściwie wydawało mu się, że pełźnie, żeby jak najszybciej ukryć się w zbawczym cieniu statku, gdzie nikt ich nie odnajdzie...

* * *

Ocknął się na statku. W kabinie.

To było dziwne przebudzenie.

Wrażenie cudownego, dziecięcego szczęścia. Takiego szczęścia, kiedy człowiek nie ma żadnych trosk, pragnie jedynie jeszcze trochę poleżeć, a cały świat jest taki ciekawy. Budzi się, ale jeszcze nie czuje rzeczywistości świata. Andrew zrozumiał, że wrócił na swój statek. Zaraz brzęczy

k wezwie go na wachtę...

Poruszył się, żeby odrzucić koc, ale już sam początek tego ruchu przywołał świadomość tego, co się stało i przegnał wszystkie słodkie iluzje...

Ręka, zabandażowana i ciężka, zupełnie go nie słuchała, a dzwonek alarmowy w mózgu zaczął bezlitośnie budzić komórkę za komórką. Obudziwszy się całkowicie Andrew zamarł, uświadamiając sobie skalę zagrożenia i ogrom własnego nieszczęścia.

Nie było dzieciństwa ani wachty. Była śmierć PetriA. Kosmodrom w nocy. Błyski granatów. Oślepiający wybuch parowczyka.

Spróbował podnieść się. Znieruchomiał. Starannie i prawie beznamiętnie przeglądał w mózgu taśmy z zapisem wydarzeń dnia wczorajszego, a może dawniejszymi... Ile czasu spędził bez przytomności? Gdzie jest? Na statku?

Statek leciał.

Żaden ruch, żaden dźwięk nie zdradzał tego, ale Andrew — przydaje się człowiekowi kosmiczne doświadczenie! — był pewien, że statek leci. Powiedziały mu o tym mikroskopijne wibracje i nieuchwytnie szумы niezauważalne dla laika, ale dla fachowca jednoznaczne.

To był statek grawitacyjny, na jakim jeszcze nigdy nie był. Na pewno grawitacyjny, bo nie słyhać było głębokiego, niemal bezdźwięcznego dudnienia silników plazmowych.

Znalazł się zatem na „Szkwale”.

Teraz są dwie możliwości. „Szkwałowi” udało się uciec, zaś ciężko rannego Andrew zabrano na pokład, aby jak najszybciej dostarczyć do Centrum. Albo Prug porwał statek i teraz Andrew jest jego jeńcem. Ktoś mu zabandażował rękę, a więc na pokładzie jest lekarz.

Następny krok musi być starannie przemyślany. Najpierw należy sprawdzić, jak dalece poważne są rany. Boli poparzona ręka... A co jeszcze.

Poruszył nogami.” W porządku.

Teraz prawa ręka. Prawa ręka odrzuciła koc i uniosła się. Popatrzył na nią jak na żywą istotę, zupełnie z nim nie związaną.

Usiadł na łóżku. Zakręciło mu się w głowie. Nogi wykonały nawykowy ruch — robiły tak przez wiele lat — żeby wsunąć się w kaptcie. Pięty uderzyły o podłogę. Andrew policzył w duchu do dwudziestu. Zawroty głowy minęły. Wstał. Ręka owinięta bandażem elastycznym opadła wzdłuż boku. Bolało. Ciekawe jak skończy się ta historia z napadem?... A Witas?

Właśnie lęk o Witasa zmusił go do pozbierania myśli.

Doczłapał do guzika otwierającego drzwi. Drzwi powinny natychmiast odsunąć się w bok, ale nawet nie drgnęły. W ogóle nie przyszło mu do głowy, że mogą być zamknięte. Przez wiele lat latania statkami kosmicznymi nigdy nie spotkał się z podobną sytuacją. Drzwi po prostu nigdy nie były ryglowane. Poza jednym wyjątkiem: przy dehermetyzacji statku.

Cofnął się spod drzwi, usiadł na łóżku i wcisnął przycisk interkomu.

Interkom dzięki Bogu działał. Ekran dość niechętnie ożył, zafalował zielonymi pasmami. Andrew wywołał sterówkę.

Na ekranie pojawił się WosenJu.

WosenJu? Nie poznałby go na pierwszy rzut oka w tym zbyt obszernym stroju.

Jasne, że zbyt obszernym! Andrew był przecież od niego wyższy i szerszy w ramionach.

Czyli, że WosenJu zależało na tym, by wzięto go za Andrew. Po co? Żeby łatwiej było porwać statek.

I nagle, zanim jeszcze zauważył krzywy uśmiezek WosenJu, Andrew wszystko zrozumiał.

„To znaczy — pomyślał zimno Andrew, czując zalewającą go nienawiść — to znaczy mój skromny pomocniku, że dla zdobycia mojego munduru zabiłeś PetriA. Przeszkadzała ci, więc ją zabiłeś”

— Jej krew jest moją krwią! — powiedział Andrew patrząc mu prosto w twarz.

— Co? — WosenJu oczekiwał wszystkiego, tylko nie tych słów wypowiedzianych w Języku Miasta. Ale był bardzo bystry i miał dobry refleks. — To nieprawda — powiedział niemal bez zająknięcia. — Ja jej nie zabiłem. Nie zabiłem nikogo. Klnę się na boginię Or-O.

— Gdzie jest Witas Jakubauskas? — zapytał Andrew. Był zupełnie spokojny.

— Choruje.

— Kto tu jest najważniejszy?

— Prowadzi nas Prug Brendyjski.

— Połącz mnie z nim.

— Nie wiem, czy będzie chciał z tobą rozmawiać.

Na ekranie pojawił się Prug Drugi. Widocznie nie potrafił sam włączyć innego ekranu, bo po prostu odepchnął na bok WosenJu.

Delfin Brendyjski ubrany był w strój bojowy. Na głowie miał wysoki hełm. Pasy barw wojennych przecinały mu nalane policzki, zaniebieszczony wąs zaplecione miał w warkoczki. I ostrożny, czujny błysk w czarnych oczach.

— Chciałeś ze mną rozmawiać? zapytał. — Mów.

— Co tu się stało?

— Sam przyszedłeś do nas. Nie prosiliśmy cię.

Śmiał się. Drobne zmarszczki wachlarzykiem rozbiegły się od kątek oczu, mocne żółte zęby ukazały się zza fioletowych warg.

— Chciałbym... — głos zabrzmiał niepewnie, więc Andrew nie dokończył zdania.

— Zrozumiałeś? — zapytał Prug. — Nie wolno ci nic żądać, wolno tylko prosić i dziękować. Nie jesteś nam do niczego potrzebny, daję słowo. Ale nie porzuciliśmy cię. Zabraliśmy, z litości opatrzyli...

— Na pewno z litości?

— Przeprowadźcie go do mnie — rozkazał Prug.

Sytuacja była niezwykła, groziła nowymi niebezpieczeństwami. Statek znalazł się w rękach ludzi, którzy nie umieli go prowadzić i mknął w nieznanym kierunku ku nieznanemu celowi. Cel ten jednak dla porywaczy musiał być niesłychanie ważny, skoro zdecydowali się na zagarnięcie „Szkwału”. Ich napad nie był akcją zorganizowaną ad hoc, pod wpływem nagłego impulsu, ale starannie zaplanowanym działaniem. Delfin Brendyjski postanowił sam wyruszyć w Kosmos i to z pewnością nie do Centrum Galaktycznego...

Andrew czekał.

Drzwi odsunęły się w bok.

WosenJu stanął w progu napięty, gotów w każdej chwili odskoczyć do tyłu. Ale nie byłoby to łatwe, bo za jego plecami stali dwaj górale w kolczugach, z nożami w rękach...

Andrew zrozumiał, że WosenJu się go boi, boi się nawet rannego. I dlatego jeszcze śmieszniej wygląda w wiszącym na nim jak na kołku kradzionym mundurze.

Zrozumiał też, że tak przyzwyczał się do stałej obecności swego zastępcy, że nigdy mu się właściwie dokładnie nie przyjrzał. A teraz nagle zobaczył chudego człowieczka, jeszcze niestarego i niskiego, ze starannie przylizanym przedziałkiem, umieszczonym dokładnie na przedłużeniu ostrego nosa... Reszta była nieważna.

Andrew ruszył do przodu, nie spuszczać wzroku ze źrenic WosenJu.

WosenJu odskoczył i oparł się plecami o wojowników, którzy nawet nie drgnęli. Byli bardzo do siebie podobni, choć jeden sprawiał wrażenie starszego. Pewnie bracia, na co wskazywał również identyczny tatuaż klanowy na policzkach.

Andrew zapytał: — Dokąd mam iść?

— Na prawo — odparł WosenJu z wyraźną ulgą i pierwszy wślizgnął się na korytarz przechylając na bok głowę, żeby nie stracić Bruce'a z pola widzenia.

„Zabiję cię! — powtarzał Andrew patrząc w jego plecy. — Zabiję cię, ty draniu...”

Prug Brendyjski czekał już na niego w mesie oficerskiej. Zajmował prawie połowę kanapy.

— Ręka nie boli? — zapytał.

— Chcę się zobaczyć z kapitanem Jakubauskasem — powiedział Andrew.

— Myślałem — odezwał się Prug zdejmując perukę i ukazując zupełnie łysą czaszkę — że będziesz pytał o ważniejsze rzeczy!

Nie ukrywał, że jest w znakomitym nastroju.

Ręka rwała, jakby ktoś wwiercał w nią rozżarzony gwóźdź. Ból był tak silny, że przyprawiał o zawroty głowy.

„Jeszcze tego brakowało, żebym tu przed nim zemdlał — pomyślał Andrew”.

Usiadł na fotelu naprzeciw Pruga. Ten uniósł krzaczaste brwi. Goryl, jeden z dwóch konwojentów, chciał zareagować na to pogwałcenie etykiety, ale Prug machnął ręką:

— Niech siedzi. Jest słaby. Ludzie z gwiazd są potężni, gdy otaczają ich aparaty i wszystkie inne ich sztuczki. Kiedy są nadzy, ucieka z nich cała moc.

— Gdzie jest Witas? — zapytał Andrew z uporem. Nie zamierzał dyskutować teraz z górskim królewiatkiem, w którego łapy dostał się najnowocześniejszy statek Galaktyki.

— Odpowiem ci. Twój Witas żyje i nie jest mi do niczego potrzebny, podobnie jak ty nie jesteś mi do niczego potrzebny. Ale żyje. Gdzie doktor?

— Zaraz tu będzie — odparł WosenJu.

Starając się ominąć Andrew jak największym łukiem, podszedł do ekranu przy fortepianie. Bo w mesie stał fortepian. Na statku Andrewa fortepianu nigdy nie było. Za instrumentem stał nieruchomo jak posąg DrokU, żółtowołosy wojownik, którego Andrew widział w domu Pruga. Przedział medyczny, słucham! Głos rozległ się nieco wcześniej niż pojawił się obraz lekarza. Ciekawe, ilu Ziemiaków pozostało na „Szkwałe”?

— Opowiedz mi o kapitanie — rozkazał Prug w lincosie.

Lekarz patrzył na Andrew.

— Jak ręka? zapytał. Chciałbym, żeby pan wpadł do mnie. Trzeba zmienić opatrunek i zrobić następne znieczulenie.

— Zadałem ci pytanie odezwał się Prug — a na moje pytanie należy odpowiadać natychmiast.

Doktor wzruszył ramionami. Był niemłody, chudy, przygarbiony i wyraźnie zastraszone, chociaż starał się to ukryć.

— Proszę mi nie grozić — powiedział. Już od dawna nie bawię się w policjantów i złodziei. Stan kapitana Jakubauskasa jest ciężki. Umieściłem go w komorze izolacyjnej. Śpi. Jego życiu nie zagraża już bezpośrednio niebezpieczeństwo, ale potrzebuje spokoju i długiej kuracji.

Andrew zacisnął powieki. Było mu słabo z bólu.

— Dlaczego o nic nie pytasz? — uśmiechnął się Delfin Brendyjski. — Masz do tego prawo, jesteś moim gościem w tym wielkim domu.

— Czemu pan to zrobił? — zapytał Andrew. Nie rozumie pan, że niechybnie was złapią?

— Mogę odpowiedzieć na twoje niezadane pytanie, bo to już przestało być tajemnicą. Lecimy na Ar-A.

— Po co? — Andrew był zdziwiony, ale nie wstrząśnięty. To wyjaśnienie miało przynajmniej jakiś sens.

— Lecimy do ojczyzny naszych przodków — oświadczył Prug. — Do ojczyzny gigantów.

— Odwiedzić ukochane groby? — nie wytrzymał Andrew. Jego ironia była w pełni zrozumiała dla tych, którzy znali miejscowe obyczaje. Odwiedzanie ukochanych grobów było

niegdyś uroczystym obrzędem, długą pielgrzymką do legendarnego cmentarzyska na Płaskowyżu Ukochanych. Wiadomo było, że leżą tam doczesne szczątki herosów, którzy padli w Bitwie na Skraju Pustyni. Z czasem te długie pielgrzymki, kończące się zazwyczaj szalonymi orgiami i krwawymi bójkami, w których niejeden z pielgrzymów stracił życie — zostały zabronione, co wcale nie znaczy, że zaniechane.

Nie na darmo przeżyłeś u nas tyle czasu, DreJu — uśmiechnął się znów Prug. — Ale nie masz racji. Nie należę do ludzi, którzy marnują życie na uczty i zabawy. Chcę, żebyś to zrozumiał i zapamiętał. Jestem prostym człowiekiem. Pragnę władzy i sławy jak każdy szlachetny wojownik. Władzy, której zdradziecko mnie pozbawiono i zmuszono do życia wśród nędznych ślimaków w śmierdzącym mieście. Wielu zastanawiało się, czemu to wielki i szlachetny wódz żyje tak pusto jako człowiek odmawiający walki. Ja jednak już od dawna myślałem o tym, żeby powrócić jako zwycięzca. I to zwycięzca niezwykajny, jako wielki zwycięzca, o jakim od stuleci marzył mój lud i wszystkie inne ludy.

Prug Brendyjski przestał się uśmiechać. Nawet jego tłuste policzki stały się mniej obwisłe.

Ty jesteś obcy — kontynuował i niczego nie pojmujesz. A jeśli nawet pojmujesz, to myślisz prosto. Wszyscy ludzie myślą tak, jak ich nauczono. A ja myślę jaśniej niż wy, zwykli ludzie. Myślę o tym jak ocalić honor. Lecę na Ar-A! Moje pobudki są szlachetne, cel sprawiedliwy i nie chcę nikogo skrzywdzić. Dlatego żyjesz ty i twój kapitan. I wszyscy ci, którzy byli na statku. Nie potrzebuję krwi i zemsty. Potrzebna mi sprawiedliwość.

— A PetriA? — zapytał Andrew. — Dlaczego zginęła?

— PetriA z klanu Kain Petri? Jak to zginęła? Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział?

— Zapytaj swojego kompana! — warknął Andrew.

— WosenJu, co tu przede mną ukryto?

— Ktoś zamordował PetriA — wykrztusi! WosenJu. — Kiedy byłem w Agencji, żeby zabrać papiery lotu i jego mundur, widziałem jej ciało. Najprawdopodobniej zrobił do DreJu. Coś ich łączyło i bał się, żeby nikt się o tym nie dowiedział.

— Jeśli masz rację, WosenJu — powiedział Prug — to będziemy zmuszeni surowo ukarać DreJu. Albowiem nikt nie ma prawa podnosić ręki na dziewczęta z naszych znakomitych klanów. Kto wziął na siebie zemstę?

— Jej krew jest moją krwią! — powiedział Andrew.

— Nie możesz tego uczynić, jesteś obcy. I chory. Zaprowadźcie go do lekarza. Nie lubię dręczyć ludzi, a nasz gość DreJu jest ranny i poparzony. Nim wkroczy na ścieżkę zemsty, musi się wzmocnić — zarechotał Prug.

* * *

Wojownik pchnął Andrew tak mocno, że omal go nie przewrócił. Drzwi zasunęły się. Goryle zostali w korytarzu.

Przedział medyczny był jaskrawo oświetlony.

Zwyczajny przedział medyczny. Ambulatorium i białe drzwi do izby chorych.

Lekarz wstał na powitanie.

— Proszę — powiedział. — Nazywam się Michel Gheza. Znam już pana trochę. W końcu od wczorajszej nocy jest pan moim pacjentem.

— Witas śpi?

— Śpi. Proszę się położyć. Zaraz się panem zajmę. Niestety, uszkodzili mój komputer... — Doktor uśmiechnął się z zażenowaniem. Kiedy tu wpadli, trochę się z nimi przemówiłem...

Wskazał ręką w kąt. Leżała tam sterta szkła i malutkich detali, zupełnie jakby ktoś wybebeszył

parę „żywych lalek”. Parę lat temu takie lalki były bardzo modne. Potrafiły niemal wszystko: chodziły, mówiły, w nocy spały, kaprysiły, chciały na nocniczek... A dzieci te lalki rozbijały, zawsze rozbijały. I pozostawały po nich kupki malutkich detali, którymi lalki były literalnie nafaszerowane.

— Przepraszam za ten bałagan — powiedział lekarz. Nie miałem kiedy sprzątnąć. Ręka boli? Szybko oczyścił ranę. Ból zmuszał do zaciskania zębów, a potem nagle ustał.

— Proszę mi powiedzieć, co tu się właściwie stało? — poprosił Andrew.

— Myślałem, że pan wie więcej ode mnie.

— Należy zatem przyjąć, że obaj wiemy niewiele.

— Nie pojechałem do miasta — zaczął opowiadać lekarz. — Niech pan jeszcze chwilę poleży, zaraz przejdzie... Nie pojechałem, bo czułem się trochę przeziębiony. Pomyślałem, że pojedę następnego dnia. Zostało nas na statku dwóch, Ja i drugi pilot, Visconti. Robiliśmy swoje, potem zjedliśmy kolację. Visconti dyżurował na mostku. Wieczorem włączył się i powiedział, że przyjechał agent Floty Kosmicznej, bo coś się stało. Niczego nie podejrzewaliśmy, ale kiedy Visconti poszedł do luku, ruszyłem za nim. Zacząłem się czegoś obawiać. Pomyślałem, że miał miejsce jakiś wypadek i mogę być potrzebny. Było ciemno. Zobaczyłem platformę, na której stał pan.

— Jak pan mnie rozpoznał?

— Po mundurze przedstawiciela Floty Kosmicznej.

— To był mój tutejszy pomocnik, WosenJu.

— Tam był ktoś jeszcze, kierowca. Pan podniósł rękę. Visconti otworzył luk. Weszli ci dwaj i kazali nam się położyć. Visconti zareagował pierwszy. Był na wachcie, miał broń. Próbował wyciągnąć pistolet...

— I co?

Zabili go. Proszę zrozumieć, nie byliśmy na coś takiego przygotowani! Cywilizowana planeta...

— Nikt pana nie oskarża!

— Mnie zupełnie zatkało. Visconti nagle upadł, a mnie pierwszy z napastników przewrócił. Reszta na pewno ukrywała się wokół statku. Leżałem na platformie. Słyszałem kroki, głosy. Wdarli się na statek. Mnie zawlekli do mesy. Było tam kilku ludzi. Powiedzieli mi, że statek przechodzi pod komendę jakiegoś Brendyjczyka. Człowiek w pańskim mundurze dobrze znał lincos.

— Tak — powiedział Andrew. Ma dyplom nawigatora, ale wolał pracować u mnie w Agencji.

— Powiedział mi, że mam wykonywać rozkazy, bo inaczej zabiją mnie jak Viscontiego. Zrozumiałem, że to nie żarty.

Lekarz podszedł do biurka i zaczął przekładać na nim jakieś papierki. Ręce mu drżały.

— Proszę mi wybaczyć — powiedział. — Do tej pory nie mogę tego...

— Też bym się przestraszył — pocieszył go Andrew.

— Nic pan nie rozumie! Nie mogę przeżyć upokorzenia... To takie poniżające. Wstrętne. Na moich oczach zabijają człowieka. Patrzą na ich twarze, są zupełnie spokojne... Nie mogę powiedzieć, że nad niczym się nie zastanawiałem. Myślałem, że na statek napadli rabusie i że jeśli się na nich rzucę, to bez skrupułów mnie zamordują. Może nawet wygodniej będzie im mnie zamordować. Miałem nadzieję, że za parę minut podniesie się alarm i wszystko się skończy. Nie straciłem jej nawet wówczas, kiedy ten WosenJu powiedział mi, że „Szkwał” przygotowuje się do odlotu. Omal się nie roześmiałem. Przypomniałem sobie o dawnych czasach z ery samolotów. Może pan pamięta z historii, że byli kiedyś terroryści, którzy porywali samoloty w powietrzu...

— Wiem. Czytałem o tym.

— Staralem się rozmawiać z nimi spokojnie, jak z wariatami. Mówilem, że powinni się opamiętać. WosenJu tylko się śmiał, a potem mnie uderzył. Po prostu uderzył mnie w twarz. Wyobraża pan sobie?

— Tak.

— Resztę pan zna. A ja nie wiem nic. Przecież gdzieś lecimy! Dokąd? I w dodatku nie ma co jeść. Jak pan myśli, nakarmią nas?

— Nie wiem — odparł Andrew. — Mówią, że lecą na Ar-A.

— Przepraszam, ale nie mam pojęcia, co to jest.

— Planeta w tym systemie..

— Ale po co? Planeta jest zamieszкана?

— Nie. Pracuje tam tylko nasza ekspedycja archeologiczna. Rozmawiając z lekarzem, Andrew wyobraził sobie, jak wyglądała napaść na statek. Wydarzenia, które jeszcze niedawno wydawały mu się zupełnie ze sobą nie powiązane, przypadkowe i wręcz tajemnicze, teraz znalazły proste wytłumaczenie. Kto i dlaczego napadł na niego i Witas? Komu przeszkadzali? Przeszkadzali naturalnie Prugowi, stali mu na drodze, bo mając swobodę ruchów mogli zapobiec porwaniu statku. Jasne było i to dlaczego po pierwszym niepowodzeniu Brendyjczyk nie nastawał zbyt na ich życie. Działał po prostu w zgodzie ze starym przysłowiem: „Lepszy żywy wróg niż ten, kto będzie mścił się za martwego”. I dlatego Witas i Andrew żyją. Prug obawiał się, że zabicie kapitana i agenta Floty Kosmicznej zmusi Centrum Galaktyczne do wkroczenia na drogę śmiertelnej zemsty. Lepiej było jego zdaniem takiej ewentualności uniknąć. Zamachu w ślepej uliczce przy pomocy strzałki z zatartym znakiem Prug mógł się w każdej chwili wyprzeć, ale na statku rzecz przedstawiała się inaczej.

Jednak podróż do ojczyzny przodków, próba podwiązania się do legendarnej potęgi gigantów... Niezbyt wiarygodne pobudki dla tak nowoczesnego i cwanego polityka jak Prug...

Odpowiedź na ten problem zmaterializowała się w kształcie wysokiej, chudej, półnagiej postaci, która wpadła nagle przez otwarte drzwi.

— Focjusz van Kuun — przedstawiła się postać, wykonując przy tym ceremonialny ukłon. — Potwornie boli mnie ząb.

— Archeolog? To pan wczoraj przepadł?

— Nigdzie nie przepadłem. Porwali mnie. Gdzie pan ma środki przeciwbólowe?

— Spokojnie— powiedział lekarz. — Niech pan siada, zajrzemy, co się z pańskimi zębami dzieje.

— Tylko proszę bez „spokojnie” i „niech pan siada”! Nasłuchałem się tego dosyć w waszej bandyckiej melinie! — oświadczył Focjusz van Kuun. — Nie mam zamiaru rozmawiać z kimkolwiek z waszej szajki i w ogóle możecie sobie pójść do diabła. Znam wasze zamiary i wasze machinacje. Ja wam jeszcze pokażę!

W czasie owej pospiesznej tyrady Andrew zdążył się dokładnie przyjrzeć archeologowi. Focjusz van Kuun w normalnych warunkach był człowiekiem, którego trudno byłoby zauważyć w tłumie. Teraz jednak jego rzadkie włosy stały dęba, twarz była brudna, a z ubrania pozostały mu jedynie strzępy spodniej bielizny. Jak to często zdarza się rudzielcom. Focjusz van Kuun miał białą, upstrzoną piegami twarz. Zielone oczy błyszczały mu dziko.

— Jestem przekonany, że popełnia pan pomyłkę — powiedział doktor. — Nie mamy nic wspólnego z ludźmi, których nazywa pan bandytami.

— Nie mam żadnych podstaw, żeby panu wierzyć — odparł archeolog. — Już próbowano mnie tu okłamać.

— Proszę usiąść i otworzyć usta.

— Nic z tych rzeczy! Pan nie ma pojęcia o mojej chorobie, a ja wiem, że się po prostu

przeziębieniem. Cholernie mnie przewiało, a u mnie przeziębienie zawsze rzuca się na zęby. Gdyby pana też potrzymani w przeciągu, to by tak spokojnie pan tu nie siedział.

— Panie doktorze — odezwał się Andrew. — Sądzę, że powinniśmy się zgodzić. Proszę mu dać środek przeciwbólowy, a zbada go pan innym razem.

— Wreszcie ktoś z głową! Przypominam sobie! Pan jest agentem Floty Kosmicznej, widziałem pana u konsula! Czyli najprawdopodobniej nie jest pan bandytą!...

Focjusz van Kuun podszedł do szafki, wyjął z niej tubkę proszku znieczulającego, posypał nim sobie szczękę, roztarł i zabrał się do wyjmowania innych leków, usiłując upchnąć je w nieistniejących kieszeniach. Lekarstwa posypały się na podłogę.

— To grabież! — zauważył lekarz.

— Żadna grabież! Przy moim stanie zdrowia w ogóle nie ruszam się bez podręcznej apteczki, a przecież teraz nie wiadomo, kiedy będę mógł ją uzupełnić. Niech mi pan da jakieś pudełko!

Lekarz zerknął niepewnie na Andrew. Ten wzruszył ramionami, wobec czego doktor wyjął z szuflady biurka plastikowe pudełko.

Focjusz van Kuun ze złością wsypał do niego zrabowane medykamenty. Najwidoczniej pogodził się już jednak z lekarzem i Andrew.

— Panów też porwali? — zapytał.

— Tak.

— Po co?

— Nie mamy pojęcia — odpowiedział lekarz.

— Bzdura! — oznajmił Focjusz van Kuun. — Wiecie doskonale. Jesteście im potrzebni, bo potrzebny jest im statek. Żeby dostać się do skarbów Ar-A. To jasne jak słońce.

— Skarby Ar-A? — zainteresował się Andrew. — To coś nowego. I prawdopodobnie wyjaśnienie całej sprawy. Co pan ma na myśli?

— Mogłbym pokazać panu tezy mojego wykładu... — Focjusz van Kuun potarł ręką czoło. — Ale zabrali mi wszystkie notatki i wykresy. Wszystko zabrali.

— Mamy chyba prawo dowiedzieć się o wszystkim z pańskich ust — uśmiechnął się Andrew. — Już raz pozbawiono nas możliwości wysłuchania pańskiego wykładu.

— Prace nie zostały jeszcze zakończone, mamy na razie jedynie wstępne wyniki... Tam jest wiele rzeczy interesujących dla archeologa, ale dla bandytów raczej nie! Tak, są tam różne działa i armaty, ale przerdzewiały!

Drzwi otworzyły się i WosenJu, nie ryzykując wejścia do środka, powiedział:

— Szanowny Focjuszu van Kuun! Prosił pan o kolację. Kolacja jest gotowa.

— Wypchajcie się ze swoją kolacją! I bez waszej kolacji mam niezły żołądek!

I z tymi słowami skierował się do wyjścia. Drzwi zamknęły się za nim.

— Jeszcze jeden kawałek mozaiki — powiedział Andrew. — Może zajrzałbym do Witas?

— Niech pan zajrzy — zgodził się lekarz. — Dziwny facet z tego van Kuuna...

— Porwali go na dzień przed porwaniem statku. Wszyscy myśleli, że został zabity, bo zainscenizowali rabunek i nawet zdołali przekonać miejscową policję, że utopili jego ciało w jeziorze.

Lekarz otworzył drzwi izolatki, gdzie w wannie z roztworem fizjologicznym leżał nagi Witas.

Andrew pomyślał, jak bardzo zmienia się człowiek, gdy tylko straci przytomność... To ma być Witas Jakubauskas? Ta lalka, atrapa z mięśniami twarzy zwiotczalymi tak, jak nie wiotczą nawet w najgłębszym śnie?...

— Trzeba im przyznać — powiedział — że przeprowadzili tę operację bez potknięć.

— Co mamy teraz zrobić?, — zapytał lekarz podchodząc do Witas, jakby to jego właśnie prosił o radę.

* * *

Delfin Brendyjski, w najbliższym czasie władca planety Ar-A i potomek gigantów, zaprosił na obiad Andrew Bruce'a, agenta Floty Kosmicznej.

Mesę przemeblowano. Przewidujący następcę tronu brendyjskiego zatroszczył się o zabranie swoich ulubionych sprzętów.

Na przykład fotela. Może akurat nie tego, który stał w jego domu, ale wystarczająco solidnego, by mógł utrzymać potężne cielsko delfina.

Stół nakryty był obrusem o barwach klanu. Żaden szanujący się władca nie będzie biesiadował na byle jakiej szmacie.

Dwaj wojownicy w paradnych tunikach i hełmach stali po obu stronach fotela. W warkoczyki włosów mieli wplecione kolorowe wstążeczki, w rękach trzymali połyskliwe klingi.

Podoba mi się tutaj — powiedział Prug. — Siadaj, będziemy razem pili. Nie uważaj się za mojego krwawego wroga. Mylisz się sądząc, że to myśmy zabili szanowną PetriA. Bolejemy nad jej śmiercią, daję ci słowo górala! — zamilkł, a potem się roześmiał: — Goszczę cię drugi dzień pod rząd! Tego zaszczytu pozazdrościłby mi każdy minister. Siadaj więc i nie odrzucaj mego skromnego poczęstunku. Siadaj! Jesteśmy wodzami dwóch klanów. Twój klan został pokonany, ale w uczciwej walce.

Wojownicy wnieśli półmiski z prawdziwymi górskimi potrawami. Prug pamiętał i o tym.

— Lekarz jest głodny — zauważył Andrew.

— Wydałem już rozkazy. Zaniesiono mu jedzenie.

Andrew nie mógł oprzeć się wrażeniu, że naprzeciw niego za stołem siedzi podstępny dziki kot. Teraz wszystko zależało od tego, czego zdoła się dowiedzieć o zamiarach wroga. Dziwne, pomyślał, przez całe moje spaprane życie nie spotkałem człowieka, którego mógłbym nazwać wrogiem. A to jest wróg.

Nie uważam cię za wroga — powiedział Prug, przechylając się przez stół i nakładając jakąś potrawę na miskę Andrew. — Nic od ciebie nie potrzebuję. Zdobyłem to, co chciałem. Dziki góral porwał statek kosmiczny. Dlaczego? Bo jesteście ludźmi zniewieściałymi. Broni was nie wasza moc, lecz strach innych przed waszą potęgą. I to jest wasza słabość. Potęga rodzi zadufanie w sobie. Rezultat? Lecimy teraz tam, dokąd ja chcę, a wy mi pomagacie i będziecie nadal pomagać.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— To bardzo proste. Góral, człowiek dziki, słaby wobec natury i panów, nigdy nie zasiadłby przy jednym stole z mordercą. A pan, taki potężny, nie uważa za dyshonor zjeść ze mną obiadu. Na twoim miejscu góral wolałby umrzeć z głodu, rzucić się na nóż... Myślisz, że mnie przechytrzysz? — ciągnął pogardliwie. — Człowiek nie przechytrzy hieny, choć jest mądrzejszy i silniejszy od niej, bo hiena to istota prymitywna. Ja też jestem istotą prymitywną, tak samo jak twój niewierny pomocnik WosenJu. Nauczyciście go latać w Kosmos, korzystać z komputera, pokazaliście jak mieszkanie i wzbudziliście w ten sposób jego zawiść i złość na was. Czy byłeś kiedyś w jego domu? Wiesz, z jakim uporem i poświęceniem wypełnia wszystkie rytuały dawnego życia? Sprawdziłem to od razu, kiedy tylko zacząłem planować swoje wielkie dzieło. Wiedziałem, że muszę wykorzystać waszą słabość — waszą potęgę. Zacząłem śledzić WosenJu i zrozumiałem, że wewnątrz pozostał prymitywny, zacząłem go wabić. Wabiłem i straszylem.

Prug Brendyjski wydobył tłustymi palcami kawał mięsa z dna swojej miski i potrzymał go przez chwilę w powietrzu, jakby zamierzał położyć na misce Andrew. Potem jednak widać uznał, że byłby to dla agenta zbyt wielki zaszczyt i wepchnął mięso do ust. Andrew pomyślał, że

właśnie usta Pruga sprawiają, że jego twarz jest taka dziwnie nieprawidłowa. Miały wąskie wargi i były malutkie, jakby wzięte z innej, dziecięcej] twarzy.

— Przyznaj, że w moich słowach jest prawda.

— Jest — zgodził się Andrew. — Byliśmy zbyt łatwowierni. W rezultacie zginęła PetriA, zginął pilot Visconti, ciężko ranny został kapitan statku. I obawiam się, że to nie są jeszcze wszystkie ofiary.

— Nie jestem żądny krwi — powiedział Prug Brendyjski. — Nie traktuj mnie jak mordercy. A propos, zapomniałeś o sobie. Przecież też jesteś ranny. Zapomniałeś też o nieznanym człowieku, którego trzeba było zabić zamiast archeologa. Rozumiem, że nie lubisz śmierci i unikasz jej wyszczerzonego pyska. Ale gdybyś zaczął moim ludziom opowiadać o łagodności, nie pojęliby cię. Nie znasz wojen, a my żyjemy wojną. Walczymy z wami i nagrodziłem tych moich żołnierzy, którzy zabili wrogów. Uratowali w ten sposób mnie i honor klanu.

Przyniesiono ciasto z jagodami, świeżymi jagodami pachnącymi ostro lasem i żywicą. Prug odłamał kawałek i położył przed nakryciem Andrew.

— Nigdy nie byliśmy waszymi wrogami — powiedział Andrew. Zresztą nawet wedle waszych zasad nie wolno napadać, nie uprzedziwszy o tym przeciwnika. Uważacie to za podłość.

— Nie ucz mnie, co dobre a co podłe. Jesteś tu obcy. Świat stał się podły. Nie znam innego. Stare zasady zmurszały. Kiedy zacznę działać jak przystoi szlachetnemu wodzowi, władza wyrzuci mnie z miasta albo urządzi tak, że zginę tajemniczą śmiercią. Czy można pogodzić zasady szlachetności ze strażą miejską wyposażoną w walkie-talkie? Staram się zachować szlachetność w sprawach zasadniczych. Muszę wrócić na górski tron. To będzie dobrodziejstwo dla moich poddanych. Dla tego dobrodziejstwa gotów jestem poświęcić niektóre przestarzałe reguły honorowe... Stanęliście na drodze do mojego wielkiego celu, więc chcąc nie chcąc staliście się moimi wrogami.

Wszedł DrokU. Niósł srebrną miednicę z wodą do umycia rąk. Prosty wojownik nie może dostąpić takiego zaszczytu.

— Nie zgadzam się z panem.

— Twoja zgoda nie jest mi wcale potrzebna. Zaprosiłem cię nie po to, żeby się przed tobą usprawiedliwiać.

— A po co?

— Żeby wyjaśnić ci to, czego nie pojmujesz. To, że mnie nie należy się sprzeciwiać. Nie próbuj wymyślać jakichś sztuczek! Sztuczki spowodują twoją śmierć...

DrokU postawił miednicę na podłodze i klasnął w dłonie. Służący sprzątnęli ze stołu i przynieśli kadzielnice.

— Mógłbym chwycić się podstępów — powiedział Andrew wstając. — Mógłbym udać, że jestem posłuszny i po cichu planować, jak się pana pozbyć. Ale moje własne poczucie honoru mi na to nie pozwala. Ma pan rację mówiąc, że drogie jest nam każde życie. Morderstwo i honor są nie do pogodzenia. Będę z tobą walczył, Prugu Brendyjski, dopóki cię nie unieszkodliwię.

— Będziesz więc musiał mnie zabić, a przecież nie chcesz zabijać. Jesteś bezsilny, władco nieba. Cały twój galaktyczny klan też jest bezsilny. Idź i myśl, nie boję się ciebie. Nie potrafisz nawet zemścić się za śmierć twojej kobiety. Pluję na ciebie z pogardą. Odejdź!

Po mesie przetoczył się głośny, przesadny śmiech Pruga.

— Czy mam go odprowadzić? — zapytał DrokU.

— Nie, muszę z tobą porozmawiać. Niech się nim zajmie KrajJu.

Stary jednooki góral z siwymi warkoczykami wąsów, zwisającymi na piersi wyprowadził Andrew na korytarz.

* * *

Andrew zrozumiał, że prowadzą go do kajuty. Zupełnie mu to nie odpowiadało. Byłby całkowicie odizolowany.

Skrzywił się i chwycił za rękę. Przyłgął do ściany, pozorując atak obezwładniającego bólu. KrajJu popchnął go i Andrew głośno jęknął.

— Boli... Lekarza...

— Ślimak! — zauważył pogardliwie góral. To była wielka obraza. Andrew stał pod ścianą z przymkniętymi oczami. KrajJu splunął, potem podszedł do niszy, w której krył się ekran interkomu i nacisnął guzik. Popatrywał przy tym na Andrew nie bez dumy. Andrew zrozumiał to spojrzenie. „Ciekawe — pomyślał jak wojownicy Pruga czują się na statku. Może gdyby byli mniej prymitywni, statek przeraziłby ich i oszołomił, ale oni potraktowali grawitację jak zdobytą twierdzę. Koncepcja Kosmosu, próżni międzyplanetarnej, przestrzeni była dla nich zbyt abstrakcyjna. A że po naciśnięciu guzika w szybie pojawia się czyjaś twarz? Widocznie tak musi być”.

Prug Brendyjski siedział za biurkiem, rozłożywszy przed sobą jakieś papiery. Obok stał DrokU. Kiedy rozległ się sygnał wywołania, następcą tronu zakrył papiery ciężkimi łapskami. Czego chcesz? — zapytał.

— Pan nieba mówi, że go boli. Chce do lekarza.

— Niech idzie — odparł Prug. — Tylko uważaj na niego. Jak tylko doktor da mu jakiś lek, odprowadź go do jego kabiny. Pamiętaj, że powinni siedzieć osobno!

„No cóż, w przeciwieństwie do nas trudno posądzić go o lekkomyślność, pomyślał Andrew”.

* * *

Nie wiedział, jak pozbyć się KrajJu, ale ten nie chciał wejść do gabinetu. Przedział medyczny nie był przyjemnym miejscem. Każdy lekarz to groźny czarownik, a obcy lekarz — to czarownik szczególnie niebezpieczny.

— Mam mało czasu — powiedział Andrew. — Rozmawiałem z Prugiem i uważam, że to bardzo silny przeciwnik.

— Wpadłem na to! — warknął lekarz.

Stała między nimi miska z niedojedzoną polewką.

— Nawracanie go na zasady humanitaryzmu jest raczej bezcelowe...

W tym momencie ekran zabuczał i włączył się. Na ekranie pojawił się Prug. Jego zwisające wąsiska wiły się jak węże.

— DreJu? — powiedział. Aha, jesteś. Chciałem sprawdzić, czy mnie nie oszukałeś. Jesteś sprytny i dlatego niebezpieczny.

— Tylko po to pan zadzwonił?

— Nie, chciałem ci jeszcze powiedzieć, żebyś uważał na WosenJu. To mały człowieczek, a ty go wystraszyłeś. Twoje życie nie jest mu potrzebne, rozumiesz? Zupełnie niepotrzebne. Tacy ludzikowie często bywają bardzo groźni, więc uważaj. Zrozumiałeś mnie?

— Zrozumiałem.

— Więc się kuruj. Ręka może ci się bardzo przydać.

Zarechotał i nie przestając się śmiać wyłączył ekran.

— To prawdziwe dziwadło — odezwał się doktor.

— Dziecko swojego czasu, swojej epoki... Niestety, nie jest głupi. Gdyby używał swoich zdolności w inny sposób, byłby dla Centrum bezcennym nabytkiem.

— To nielogiczne, co pan mówi — burknął doktor. Jeżeli jest dziećciem swego czasu, to nie mógłby inaczej używać swoich zdolności.

* * *

Jeżeli „Szkwał” istotnie leci na Ar–A, to podróż potrwa niedługo. Sądząc z możliwości statku — około dwóch dni. Dwa dni to niedużo, jeśli nawet doliczyć czas hamowania... W tym czasie i takimi siłami nie da się odbić statku... Zresztą archeologowie wiedzą już, co się stało, mają przecież łączność z Pe–U. To znaczy, że przedsięwzięmą odpowiednie kroki.

Andrew próbował sobie wyobrazić, jak wiadomość o małej wojence rozprzestrzenia się po Galaktyce. Jego wyobrażenia były niedalekie od rzeczywistości.

Archeologowie na Ar–A, czekając na przyłot „Szkwału” i powrót Focjusza van Kuuna, spróbowali rano połączyć się z Pe–U, ale kosmodrom nie odpowiadał, bo dyspozytornia wyleciała przecież w powietrze. Doszli do wniosku, że muszą to być jakieś zakłócenia łączności i zaczęli bez przerwy wywoływać planetę.

Kiedy tego samego ranka dyżurny Centrum Galaktycznego nie zdołał połączyć się ze „Szkwałem”, do którego miał jakąś sprawę, zawiadomił o tym Flotę Kosmiczną, uzupełniwszy swoją informację paru niezbyt pochlebnymi uwagami na temat nowych nadajników grawitacyjnych. Wiedział jednak, że „Szkwał” pomyślnie wylądował na Pe–U, więc szczególnie się jego milczeniem nie przejął i idąc na śniadanie poprosił zastępcę o wywołanie planety. W czasie posiłku powiadomiono go, że Pe–U też nie odpowiada. Nieco zaniepokojony zostawił niedopitą kawę i ruszył do centralnego obserwatorium, aby zorientować się, co mogłoby być powodem zakłóceń na linii. W obserwatorium dowiedział się, że z powodu wybuchu Nowej łączność w całym sektorze jest niestabilna.

Uznawszy, że wszystkiemu winna jest Nowa, dyżurny jednak wywołał dwa statki, które się w tym sektorze znajdowały. Łączność z „Tytanem” i „Vacjusem” była bardzo dobra.

* * *

Z kabiną Andrew połączył się doktor, którego również dręczyła bezczynność.

Jest to bezczynność królika powiedział lekarz, niemal dotykając swoim smutnym, długim nosem ekranu. Zaraz otworzą się drzwi, wejdzie pański Gargantua i zaprosi na obiad, na którym będę głównym daniem.

— Wcale bym się nie zdziwił odparł Andrew, który nie był w nastroju do żartów. — Niektóre plemiona górskie jeszcze do dziś uprawiają rytualny kanibalizm. Uważam, że powinien pan porozmawiać na ten temat z naszym konsulem Olsenem. To znakomity znawca miejscowych obyczajów.

— Wolę już zachować ignorancję w tym względzie

— Jak Witas?

— Po staremu. Proszę mi dać jakieś zadanie Dlaczego ja?

— Nie potrafię tego wyjaśnić. Prawa, wedle których stado wybiera przy wódce, są czasem nieuchwytnie. Pan ma zapach lidera.

— Muszę wydostać się z kabiny.

Andrew poczuł, że stracił formę. Zawsze tkwił w nim jakiś demon ruchu. Nie potrafił zasnąć,

jeśli nie przebiegł przed snem kilku kilometrów. Tutaj biegać nie mógł, więc zaczął robić pompki. Zrobił ich dwadzieścia dwie, kiedy drzwi się otworzyły i wszedł doktor, który zaczął się gapić na niego z góry.

Andrew zerwał się na równe nogi Potrząsnął rękami rozluźniając palce.

— Jak udało się panu wyjść?

— Zapomnieli zamknąć drzwi.

— Proszę wracać do siebie.

— A pan?

— Zajrzę do kabiny łącznościowej.

Szybko szedł korytarzem. W zaobleniu ściany przystanął, nadstawiając ucha. Potem obejrzał się. Lekarz wciąż jeszcze za nim patrzył. Andrew machnął ręką: proszę odejść’

* * *

Andrew nigdy przedtem nie był na „Szkwale”, ale pomieszczenia na wszystkich statkach rozplanowane są według takiego samego schematu, więc do kabiny łącznościowej mógłby trafić po omacku. Niezbyt lękał się tego, że kogoś spotka, bo sądził, że górale nie będą bez potrzeby włączyć się po korytarzach. Mimo wszystko statek jest dla nich podbitą twierdzą. Podbitą, ale obcą, miejscem, gdzie mogą żyć wrogie duchy.

Drzwi do kabiny łączności były otwarte. Andrew zamknął je za sobą i zapalił światło.

Potem włączył strojenie. Nad pulpitem zapłonęły dwa zielone ogniki. Teraz musiał odnaleźć falę Centrum. Kiedyś znał ją na pamięć, ale minęło przecież parę lat i w dodatku musiały nastąpić jakieś zmiany. Uruchomił ekran kontroli. Czas płynął...

Drzwi do kabiny rozsunęły się bezszelestnie i ostrożnie. Andrew zauważył to tylko dzięki niewyczuwalnemu niemal tchnieniu powietrza.

Odwrócił się gwałtownie.

WosenJu z blasterem w rękę.

— Niebezpiecznie jest pozostawiać cię przy życiu — powiedział do Andrew.

„Uważaj na WosenJu! To mały człowieczek”.

Oczy WosenJu wyglądały jak małe czarne dziurki w białej masce, za którą nie było twarzy.

„Tacy mały ludzie często bywają groźni”.

Andrew rzucił się na podłogę, starając się sięgnąć nóg swego byłego zastępcy.

Płomień uderzył w pulpit, rozbijając ekran.

Andrew zdążył pomyśleć: teraz przed moimi oczami powinny przewinać się obrazy z mojego dzieciństwa... Gdzie są te obrazy?

WosenJu, już za progiem, znowu uniósł blaster. Ręka mu drżała.

Dureń, trzeźwo i spokojnie pomyślał Andrew, nie ustawił przełącznika na ponowne ładowanie. Wystrzelił cały ładunek, mam więc całe trzy sekundy.

Zerwał się i rzucił na WosenJu z takim impetem, aby w ciągu trzech sekund dosięgnąć go i zabić gołymi rękami. Bardzo chciał zabić tego człowieka.

WosenJu zrozumiał to i wyskoczył na korytarz zapominając o tym, że po trzech sekundach blaster znów stanie się śmiertelnością bronią.

Andrew nie zdążył go dopaść. Za plecami WosenJu rysowało się już słoniowe cielsko Pruga. Za nim DrokU... a za nim lekarz. Lekarz wrzeszczał:

— Morderca!

Andrew spostrzegł, jak zwinnie i szybko unosi się do góry łapsko Pruga, a potem gwałtownie

spada na potylicę WosenJu i pożałował, że nie jest na miejscu Brendyjczyka.

WosenJu jęknął i zwałił się na podłogę.

Blaster odleciał w bok i doktor spróbował go podnieść. Prug zauważył jego ruch i kopnął broń pod ścianę, DrokU pochylił się natychmiast i podniósł blaster.

— Uprzedzałem — powiedział Prug Drugi — że on jest bardzo niebezpieczny.

* * *

— Uważam, że tchórz jest niebezpieczny nie tylko dla wrogów, lecz również dla przyjaciół — powiedział Prug do Andrew.

Znowu siedzieli w mesie.

— To pan jest wszystkiemu winien — odparł Andrew. — WosenJu to tylko mały pionek.

— Nie, ja za wszystko nie mogę odpowiadać. Jestem ponad drobiazgi — Prug był najwyraźniej głęboko przekonany o swojej racji. — Zresztą uprzedzałem cię, żebyś był ostrożny. WosenJu trzeba zlikwidować. Tym bardziej, że należy do tak mało ważnego klanu, że w ogóle można go uznać za bezklanowca. Jednak nie mogę na to pozwolić. To smutne, że należy ustępować w drobiazgach, żeby zwyciężać w sprawach wielkich.

— Niech pan nie będzie hipokrytą, księżę.

— W twoich oczach ja jestem zły, bo robię złe rzeczy. W moich oczach jestem wielki i sprawiedliwy. A jeżeli moja sprawiedliwość wydaje ci się okrutna, to dlatego, że nie masz własnej sprawiedliwości.

— Na drodze do swojej sprawiedliwości zabiłeś wielu ludzi.

— Być może jeszcze wielu zabiję. Być może będę musiał zabić i ciebie. Ale potem w pieśniach mnie będą słać, bo to ja poleciałem na planetę gigantów i zdobyłem ich broń. O wielkich zwycięstwach układają się pieśni, a ja wrócę na Pe-U jako zwycięzca. To mój obowiązek.

— Niech pan zrozumie, że to wszystko zmyślenie. Nie ma żadnych przodków, nie ma żadnych arsenałów. To legenda, która przyniesie gorzkie rozczarowanie.

— Legenda? Nie wierzysz mi? To może uwierzysz komu innemu?

— Kogo pan ma na myśli?

— Wezwij rozkopywacza grobów — rozkazał Prug wojownikowi.

Do chwili powrotu wojownika Prug siedział prawie bez ruchu i milczał. Wyciągnął z kabury blaster i położył go na blacie stołu. On też widocznie lubił bawić się w policjantów i złodziei. Andrew wydało się, że mesa przyzwyczajona do głosów pilotów i mechaników, jeszcze dwa dni temu czysta i przytulna, teraz nastroszyła się, zamknęła w sobie, a jej ściany i sprzęty z lękiem i niedowierzaniem patrzyły na obcych — fotel, obrus, kadzielnice i cebrzyk przywleczony z Pe-U. I na mocno niesympatycznego człowieka, tłuściocha w zbroi pod kwiecistą, błękitno-rudą tuniką, którego słoniowate cielsko wylewało się z fotela, a palce nerwowo postukiwały po rękojeści blastera.

Archeolog Focjusz van Kuun zadziwił Andrew.

Andrew przywykł już do jego agresywności, do głośnego buntu sztubaka, któremu stale dokuczają koledzy z klasy.

Archeolog wszedł powoli i kulejąc zatrzymał się przy progu kabiny.

Ochroniarz popchnął go.

— Przepraszam powiedział archeolog.

Obrobili go tak, że to było ponad siły nawet mniej cywilizowanego człowieka, pomyślał Andrew. A archeolog był bardzo cywilizowany i niezbyt odporny na ból.

— Przyszedłeś? Wielkie dzięki — powiedział dobrodusznie Prug Brendyjski. — Siadaj, nie

krepuj się.

Jego lincos był miękki, nawet przyjemny dla ucha. Ale mówił jak księżę. Seans hipnotyczny, któremu musiał poddać się w celu nauki języka, nie zdołał wytrzebić w nim tego tonu.

Krwawy zaciek na policzku, podbite oko, naderwane ucho... Ręka przytulona do boku... Prawdopodobnie bito archeologa po nerkach.

Focjusz van Kuun przycupnął ostrożnie na brzeżku fotela. Siadanie było dla niego bolesne, ale nie śmiał odmówić.

— Jak się czujesz, nic nie boli?

— Wszystko w porządku, dziękuję.

— Nieprzyjemna sprawa — powiedział Prug z uśmiechem. — Pański przyjaciel nie zdołał dojść do porozumienia z jednym z moich górali. Obaj byli uparci... Po góralach można wszystkiego się spodziewać, ale żeby taki kulturalny, wykształcony człowiek tak się zachowywał? Wstyd, szanowny panie van Kuun!

— Proszę przestać... Proszę!...

— Ten tu władca nieba, agent DreJu, mój wielki przyjaciel, interesuje się na co liczymy, leć na Ar-A. Wyjaśnij mu, coście znaleźli. Nie spiesz się, nikt cię nie będzie popędzał...

— Niech pan sam opowiada swojemu przyjacielowi — zjeżył się po staremu Focjusz van Kuun. — Ja potrzebuję lekarza.

Andrew nie zauważył, skąd Prug wyciągnął bicz. Wiedział, że istnieją takie bicze sprawiedliwości, ale nigdy nie zdarzyło mu się ich widzieć. Bicz był cienki, z ogona ryby morskiej i miał na końcu kolczastą kulkę.

Wystrzelił gdzieś zza fotela i świsnął w powietrzu.

Archeolog skulił się.

Bicz, opisawszy koło, zniknął. Prug powstrzymał gestem zrywającego się z fotela Andrew.

— Nie trzeba — powiedział. — Ja tylko upominam. Pan van Kuun nie godzin jest twojej troski. Za bardzo się boi.

Focjusz van Kuun gapił się w podłogę.

„Niesamowita sytuacja. Zapomina się o tym, że przeszłość ma szpony i bicze, że byłe jest bezlitosne i za grosz nie ceni ludzkiego życia. Takie zapomnienie można jednak zrozumieć, bo gdzie i kiedy ostatnio człowiek zetknął się z takim Prugiem? Andrew wyobraził sobie oburzenie, irytację i ból archeologa, kiedy Prug wraz ze swymi chłopcami postanowili pogawędzić z nim w swoim języku. I choć przestudiował tysiące dzieł historycznych, wiedział wszystko o Dżyngis-CHANIE, Hitlerze i Idi Aminie, ta wiedza pozostawała dla niego w sferze teorii, poza własnym doświadczeniem. Nic dziwnego! Człowiek nie może przewidzieć, że pewnego dnia spotka się z brontozaurem, skoro brontozaury dawno i bezapelacyjnie wymarły... Albo że stanie oko w oko ze wściekłym psem. Wie przecież, że jeśli już gdzieś pojawi się taki wściekły pies, to zajmą się nim specjaliści, którzy umieją zwierzę odłowić i wyizolować, żeby nie pokąsało kogoś i nie zrobiło mu krzywdy. Co więcej, człowiek jest przekonany, że owi specjaliści wykażą się humanitaryzmem i postarają się wściekłego psa wyleczyć. Biedaczysko... Na pewno w dzieciństwie nikt go nie bił, a i on sam nigdy nie rwał się do bitki...”

— Niech się pan weźmie w garść, van Kuun — powiedział Andrew. — To wszystko niedługo się skończy. Wsadzimy ich do klatki...

Prug zrozumiał. Prugowi się to nie spodobało. Prug przestał się uśmiechać. Prug postanowił coś przedsięwziąć.

Andrew był na to prawie przygotowany. Psychika Delfina Brendyjskiego, jeśli człowiek spędził z nim trochę czasu, stawała się dość jasna. Andrew zerwał się z fotela w momencie, kiedy bicz świsnął rozcinając powietrze. Oczywiście wsparł się na rannej ręce. Ból był okropny.

„Widzisz — powiedział sobie ze złością — co to znaczy zaniedbać formę! Przedtem zdążyłbyś odskoczyć”.

Na szczęście złość na samego siebie wzmogła refleks. Zdołał drugą ręką chwycić koniec bicia i wyrwać go Prugowi. Natychmiast go wypuścił, bo kolczasta kulka rozorała mu dłoń. Tego jeszcze brakowało! Prug jednak również nie wyszedł z tego starcia bez szwanku: stracił równowagę i ciężko runął z fotela na podłogę.

Wojownik wyszarpnął nóż zza pasa.

Andrew zamarł.

Ale i Prug potrafił szybko reagować.

Odepchnął wojownika, sam wciągnął się potężnymi łapskami na fotel i oświadczył:

— Zuch!

Ale patrzył przy tym na archeologa. Ten wbił wzrok w podłogę. „Wydaje mu się pewnie — pomyślał Andrew — że to tylko koszmarny sen. Fakt, że nieźle byłoby się obudzić.”

— Jeżeli pan jeszcze raz podniesie bicz na równego, to będzie pan musiał mnie zabić — oznajmił Andrew. — Honor nie znosi zbydlęcenia.

— No dobrze, dobrze — powiedział pojednawczo Prug. — Zażartowałem, nie ma w tym żadnej obrazy, Knutem się nie żartuje.

Andrew mówił w języku Pe-U. Wiedział, że Prug przekroczył granicę dozwoloną w stosunkach między ludźmi wolnymi. Przekroczył ją umyślnie. Sukces z archeologiem, którego udało mu się złamać, pozwalał mu przypuszczać, że tak samo powie mu się z Andrew. Tyle, że archeolog był człowiekiem obcym, Andrew zaś, którego podejmował w swoim domu — kimś szlachetnym. Wobec tego teraz Prug musiał się wycofać z tej próby, gdyż inaczej straciłby twarz, bo okazałoby się, że gościł przy swoim stole niewolnika, którego można bezkarnie wychłostać.

— Poniosło mnie, wybacz — powiedział więc.

Andrew wyciągnął ranną ręką chusteczkę do nosa i przycisnął ją do pokaleczonej dłoni. Nie chciał za żadne skarby pokazać, że cierpi.

— Leci panu krew — powiedział archeolog z takim obrzydzeniem, jakby Andrew sam się skaleczył mu na złość.

— Drobiazg — zaśmiał się Prug. Postanowił zapomnieć o tym małym nieporozumieniu. — Powtórz lepiej to, coś mi opowiadał o planecie Ar-A. O jej arsenale. Opowiadaj swojemu DreJu, bo ja już wszystko wiem. Tylko nie łżyj.

— Relacjonowałem już sens odkryć na Ar-A w Szkole Wiedzy — powiedział cicho archeolog. Móg się pan z tym zapoznać. Ma pan moje papiery.

— Właśnie! — ucieszył się Prug. — W Szkole Wiedzy był DrokU. Od dawna czekaliśmy na twój przyjazd. Bardzo czekaliśmy.

Andrew chciał jakoś archeologa rozruszać. Umyślnie rozgniewał Pruga, aby pokazać van Kuunowi, że nie jest tu samotny. Ale była to próżna demonstracja.

— A co to za historia z figurkami zemsty? — zapytał Andrew.

— Z czym? Jakiej zemsty?

— Przed samym porwaniem kupił pan w sklepie rytualnym cztery figurki wojowników. Pamięta pan?

— Żołnierzyki? — van Kuun nieoczekiwanie się ożywił. — Kupilem. Tylko cztery, bo reszty nie zdążyłem.

— Tak jest — powiedział Prug. — Pytałem go, ale nie zrozumiałem jego odpowiedzi. Sądziłem, że w jego postępowaniu jest jakiś sens, ale on opowiadał mi same brednie.

— To były żołnierzyki! — upierał się archeolog. — Czyż nie potrafi pan tego zrozumieć, zrozumieć takiej prostej rzeczy? Zbieram żołnierzyki. We wszystkich krajach. Mam kolekcję!

Rozumie pan? Kolekcję!

— Pojmujesz coś z tego? — zapytał Prug.

— Niektórzy ludzie zbierają wiele takich samych rzeczy, bo to ich interesuje. Jakie to czasem bywa proste. Kolekcja. Jasna sprawa! Znaczki, pocztówki, żołnierzyki...

— W porządku — machnął ręką Prug. — Mów o arsenałach.

— Tam była wojna. — opowiadał archeolog. — Praktycznie udało się im popełnić zbiorowe samobójstwo. Wypuścili dżiny z butelki.

— Mów jaśniej! — warknął Prug.

— I tak wszystko jest jasne i oczywiste — Van Kuun patrzył na Andrew zmęczonym, zaszczutym wzrokiem. — Osiągnęli wiele. Wyszli nawet w Kosmos, ale udało im się dotrzeć tylko do Pe-U. Słowem cywilizacja technologiczna. Bardzo wojownicza. Zabijali się nawzajem. Walczyli długo i rozpaczliwie. Jak dotąd możemy tylko snuć przypuszczenia na temat przebiegu ich ostatniej wojny. Mieli broń bakteriologiczną, która uszkadzała kod genetyczny, ale nie mieli na nią antidotum. Widocznie opracowali ją już w warunkach wojennych i wydawała się im czymś ostatecznym, jak bomba atomowa: jedno uderzenie i koniec z wrogiem. O sobie nie pomyśleli.

— Jasne — powiedział Andrew — I nikt nie ocalał?

— Gorzej. Kiedy zrozumieli, że giną, poukrywali się w podziemiach i gorączkowo szukali odtrutki. Wojny ustały i cywilizacja usiłowała się jeszcze jakoś ratować. Niektórzy przeżyli, ale na innym poziomie. Miałem przy sobie materiały, ale ci tutaj je ukradli.

— Mów! — rozkazał Prug — Opowiedz o arsenałach

— Nieścisle określenie. Umowne. To coś więcej niż arsenały. Ukrywali wszystko. Wymierali już, siedzieli w norach i bali się. Może gdyby się połączyli, to udałoby się im wyżyć.

— Nie filozofuj — burknął Prug. — Mów, coście znaleźli.

— Dzikusy nie uczą się na historycznych błędach. Zamierzałem o tym dokładnie opowiedzieć w waszej Szkole Wiedzy. Myślałem, że to będzie przestroga. A tymczasem już swoją niepełną informacją wodziłem ich na pokuszenie. Chcą zacząć wszystko od początku. Mało im jednej zmarnowanej planety!

— Wszystko zrozumieliśmy, mój drogi. Szkoda, że byłeś taki uparty i trzeba cię było ukarać. Kiedy ludzie przyjaźnią się ze sobą i pomagają sobie nawzajem to nie ma mowy o karze.

— Nie należało mnie bić — głos archeologa był cichy i bezbarwny.

— Stałeś na drodze wielkiej sprawy wyzwolenia mego kraju spod władzy interesownych i obmierzłych stworów. Stałeś na drodze sił wolności. Stałeś na mojej drodze i dlatego zostałeś ukarany. Jak każdy, kto ośmieli się mi przeszkadzać!

— Jemu potrzebny jest lekarz — odezwał się Andrew.

— Co? — Prug nie od razu potrafił wrócić do spraw powszednich i nieważnych. — Lekarz? To zaprowadź go do lekarza Niech go kuruje. I niechaj leczy ciebie. Ręka bardzo boli, co? — roześmiał się. — W dzieciństwie także złapałem za koniec bicz. Chcieli mnie ukarać. A ja byłem dumny i chwyciłem za bicz. Powiedz doktorowi, że od kulki robią się wrzody i to bardzo boli. Nie patrz tak na mnie, DreJu. Nie pozwolę się zabić. To ja ciebie zabiję. Nie teraz, ale kiedy przyjdzie pora.

Andrew podniósł się i powiedział do archeologa:

— Idziemy do lekarza, van Kuun.

„Umiejętność zabijania — myślał. — Nigdy nie zabiłem człowieka, nie musiałem zabijać, ale on o tym nie wie. A przecież nawet doprowadzony do szału królik potrafi zabić...”

* * *

Nie wyobrażacie sobie mówił archeolog, kiedy lekarz przygotowywał środki kojące — co to za bestie. Bicie sprawia im rozkosz. Z początku tego nie rozumiałem i zacząłem się stawiać. Powiedzcie, czy każdego człowieka można zbić tak ze przestaje być człowiekiem?

Na Ar–A zostali jacyś ludzie? — zapytał Andrew żeby zmienić temat.

— Ludzie? Mówiłem już, że ich broń zmieniała kod genetyczny. Zabijała nie tylko dorosłych, ale również tych, którzy się jeszcze nie narodzili. A nawet gorzej niż zabijała. Wiecie, zabrali mi lekarstwa, które od pana dostałem. Byli ludzie, a teraz są amlaki.

— Proszę się rozebrać — powiedział doktor Gheza. — Ale najpierw niech pan to wypije.

— Już, już — Archeolog zaczął skwapliwie zrzucić z siebie ubranie jakby się obawiał, że za opieszłość zostanie ukarany. Lekarz popatrzył na Andrew.

Focjusz van Kuun jednym haustem wypił lekarstwo i odchrząknął. Zmarszczył czoło jakby chciał coś powiedzieć ale zmilczał.

Rozebrany był bardzo chudy, cały poznaczony siniakami i krwawymi wybroczynami.

— Ależ pana obrobili — westchnął lekarz. — Trzeba będzie trochę nad panem popracować.

Archeolog leżał na kozetce. Powieki mu opadły. Drzemał. Widać lekarz naszpikował go trankwilizatorami.

Z ręką Andrew doktor Gheza walczył długo. Okazała się dosłownie nafaszerowana maleńkimi igiełkami. Andrew cieszył się, że van Kuun zasnął i nie słyszał jego jęków.

* * *

W owym czasie w Centrum wiedzano już że planeta Pe–U nie odpowiada.

Wiedzano również, że i Szkwał uparcie milczy.

Nikt już nie wątpił, że wydarzyło się jakieś nieszczęście.

W pobliskim sektorze Flota Kosmiczna dysponowała dwoma statkami: „Tytanem” i „Vacjusem”. Oba miały silniki plazmowe, oba musiały gwałtownie zmienić kurs, żeby w ciągu paru dni dotrzeć do systemu.

Po krótkiej naradzie w dowództwie FK zdecydowano, że na Pe–U poleci „Vacjus”.

Tego samego wieczoru z orbity Syriusza w kierunku Pe–U wystartował krążownik patrolowy „Grom”. Miał silniki grawitacyjne i wielką prędkość marszową, ale też olbrzymią odległość do pokonania. „Vacjus” powinien go wyprzedzić.

Tak wyglądała sytuacja, kiedy Andrew kładł się spać.

* * *

Kapitan „Vacjusa”, szanowny Inbuke, prawie dwumetrowy, lekko przygarbiony olbrzym z Kriony przyjrzał się maleńkimi oczkami w oprawie gęstych białych rzęs pasażerom i członkom załogi zebranych w salonie.

— Mam dla państwa ważną wiadomość i dlatego proszę wszystkich, aby zechcieli jej uważnie i w milczeniu wysłuchać.

W salonie zebrało się sześćdziesiąt osób. Najwięcej było rodaków kapitana, bo cała załoga pochodziła z Kriony. Rejs do kilku systemów gwiazdnych powinien zająć jakieś pół roku. W tym sektorze gwiazdy leżą blisko siebie, o wiele bliżej niż na skraju tej gałęzi Galaktyki, gdzie znajduje się Układ Słoneczny. Podróże kosmiczne są tu więc czymś zwyczajnym i powszednim.

Kapitan poprawił mundur Floty Kosmicznej, niezbyt dla niego wygodny, bo jak wszyscy Krionijczycy wolał odzież luźną i miękką.

— Grawilot „Szkwał” w rejsie na planetę Pe-U nie odpowiada na wezwania Centrum Galaktycznego — powiedział.

— Szanowny kapitanie — odezwał się drugi nawigator, podnosząc się z fotela. — A co mówi stacja planety Pe-U?

— Z planetą Pe-U nie mamy łączności — powiedział kapitan, lekko skłoniwszy się drugiemu nawigatorowi.

— Ośmielam się nie zrozumieć waszej miłości — powiedział drugi nawigator. Mówił to, co chcieli powiedzieć również pozostali członkowie załogi, którzy jednak nie mieli do tego prawa, ponieważ tylko drugi nawigator, zresztą syn kapitana, mógł zadawać pytania dowódcy. — Jak może przerwać się łączność z planetą i statkiem, jeżeli znajdują się na nich całkowicie autonomiczne i niezniszczalne galaktyczne stacje komunikacyjne?

— Nie potrafię odpowiedzieć na pańskie pytanie — odparł kapitan. — Przekazałem wszystkie informacje, jakimi dysponuję.

— Jednak coś takiego nie może się zdarzyć!

Kapitan Inbuke zanotował w pamięci, że drugi nawigator winien zostać ukarany za publiczne powątpiewanie w słuszność słów dowódcy, ale nie powiedział tego głośno, żeby nie skompromitować swojego oficera.

— Jeżeli jakiś statek Floty Kosmicznej wpadł w tarapaty, a trudno przypuścić, żeby dwie stacje komunikacyjne na raz zamilkły w wyniku przypadku, obowiązkiem wszystkich jednostek Floty znajdujących się w danym sektorze jest natychmiastowe ruszenie mu na pomoc. Najbliżej planety Pe-U znajdujemy się my.

W salonie zaszumiało.

— Jakie to da odchylenie od naszego kursu? — zapytał jeden z pasażerów. Był Ziemianinem i nie wiedział, że nie przystoi mu zadawać pytań. Kapitan jednak, zdając sobie sprawę z tego, że sytuacja jest dość delikatna, odpowiedział:

— Zaraz zmieniamy kurs i ruszamy z maksymalną prędkością, która dla niektórych pasażerów może być zbyt wielka. Dlatego proponujemy, aby wszyscy pasażerowie przesiedli się na lądowik planetarny. Będzie tam dość ciasno i niezbyt wygodnie. Kuter będzie dryfował w tym rejonie. Po zakończeniu naszej misji wrócimy na dotychczasowy kurs i zabierzemy lądowik na pokład. Całkowite przedłużenie lotu potrwa dwadzieścia galaktycznych dni i nocy. W wypadku zmiany sytuacji termin ten może się zmienić.

Niektórzy z pasażerów zaczęli protestować. Mieli do załatwienia pilne sprawy i w ogóle... Kapitan nawet nie usiłował się z nimi spierać.

— Więc co pan ostatecznie proponuje? — zapytał z uporem drugi nawigator.

— Nic nie proponuję — odparł kapitan. — Chcę jedynie dodać, że planeta Pe-U należy do klasy światów rozwijających się, nie przygotowanych jeszcze do galaktycznego braterstwa. Warunki socjalne są tam niestabilne.

Ponieważ Kriona należała do światów nader ucywilizowanych, dumnych ze swego współczestnictwa w tworzeniu Ligi Galaktycznej, kapitan nie potrafił mówić o innych planetach bez leciutkiego lekceważenia w głosie.

— Statek i stacja mogły zginąć? — ciągnął swoje drugi nawigator.

Kapitan westchnął. Niemal znienawidził swojego oficera, który zachowywał się jak nierozumny pasażer.

— Ale dlaczego my? — zapytał jakiś Ziemianin. — Przecież są specjalne krążowniki patrolowe. To sprawa ich, a nie lotnictwa cywilnego!

— Flota Kosmiczna nigdy nie porzuca swych towarzyszy w potrzebie — powiedział kapitan, patrząc na drugiego nawigatora. — Będziemy na miejscu o trzy dni wcześniej niż krążownik patrolowy.

— Przecież nie jesteśmy uzbrojeni!

— Dlatego rozkazuję, aby wszyscy pasażerowie opuścili pokład. Mogą to również uczynić ci członkowie załogi, którzy uznają, że dalsze przebywanie na statku może ich narazić na niebezpieczeństwo.

Pierwszy uśmiechnął się drugi nawigator, a zaraz za nim pozostali członkowie załogi, ludzie należący do starej, dumnej i szlachetnej rasy mieszkańców Kriony.

* * *

Konsul Olsen i dowódca Straży Miejskiej WaraJu przybyli na kosmodrom. Sam budynek portowy prawie nie ucierpiał. Wybuch, który zniszczył dyspozytornię, wybił tylko okna i zerwał kilka płyt z dachu.

W cieniu budynku, ledwie widoczni zza kłębow rudego kurzu i sami tym kurzem przysypani siedzieli trzech chmurni inżynierowie z załogi „Szkwału”.

Olsen przywitał się z nimi. Inżynierowie wstali. Znali już konsula, który poprzedniego dnia się nimi zaopiekował.

— Czy już coś wiadomo? — zapytał jako pierwszy inżynier Salandri. Przeciągnął ręką po gęstej kędzierzawej czuprynie i w rudej dotychczas czapie włosów ukazało się czarne pasmo.

— Nie — odpowiedział ze smutkiem Olsen.

— Dziwne. — Salandri był uparty i nie zamierzał godzić się ze złymi wiadomościami. Ostatni z całej załogi uwierzył w to, że dwudziestu inżynierów i pilotów najnowocześniejszego grawilotu pozostało bez zajęcia na dalekiej, obcej planecie nie wiedząc nawet co się stało z ich statkiem i jego kapitanem.

Kosmonauci znali też WaraJu, dowódcę Straży Miejskiej. Wczoraj WaraJu usiłował wyjaśnić, czy na pokładzie „Szkwału” nie było jakiegoś maniaka, który mógłby porwać statek. Być może sam w tę wersję nie wierzył, ale trzymał się jej przez parę godzin. Wiadomo już było, że zniknął Prug Brendyjski, że PetriA została zamordowana, że Andrew Bruce z kapitanem pojechali nocą na kosmodrom. Znalezione nawet parowy samochodzik, którym tam dotarli, jak również ślady gaśnic wozu bojowego. Wszystko wskazywało na to, że porwanie statku było dziełem Pruga, Delfina Brendyjskiego, ale wbrew oczywistości dowódca Straży Miejskiej nie chciał rozstać się z nadzieją, że chodzi tu o jakieś czysto galaktyczne porachunki. Ogrom przestępstwa, jego nieprawdopodobieństwo, a przede wszystkim bezsens nie mieściły mu się w głowie.

Tego pierwszego zwariowanego dnia, kiedy do miasta dotarła wiadomość o jakimś wybuchu na kosmodromie, kiedy wiele osób na własne oczy widziało wznoszący się krąg grawilotu, WaraJu starał się nie dostrzegać rzeczy jasnych jak słońce.

Był człowiekiem trzeźwym i doskonale wiedział, że nikomu na planecie statek kosmiczny nie mógł być potrzebny, i że gdyby nawet jacyś bandyci połaszczyli się na jego zawartość, to nigdy nie odważyliby się wzlecieć w niebo. W dodatku najbardziej nawet zatwardziały bandyta nie odważyłby się nawet zbliżyć do statku, który przecież był Wielką Tajemnicą.

Na kosmodromie Olsen zwrócił się do inżynierów, którzy usiłowali rozeznać się jakoś w szczątkach dyspozytorni:

— Jest nadzieja?

W głębi duszy liczył, że Salandri powie: wieczorem wszystko będzie w porządku. W oczach filologa Olsena inżynierowie z grawilotu mieli cudowną, nadnaturalną władzę nad maszynami.

— Nie bardzo jest na co liczyć — zmartwił go Salandri.

Poszarpane resztki radiostacji i innych urządzeń, wyciągnięte spod gruzów dyspozytorni, leżały pod ścianą obok inżynierów. Części była cała masa.

— No nic — uspokoił sam siebie Olsen. — W Centrum już wiedzą. Niebawem będzie tu krążownik patrolowy.

Popatrzył w rozżarzone, białe niebo, jakby krążownik mógł się na nim w każdej chwili pojawić.

— Daleka droga — odezwał się pierwszy oficer, którego nazwiska Olsen nie potrafił sobie przypomnieć. Trzymał na dłoni złocisty kryształ z obtłuczonym wierzchołkiem. Kryształ był żywotnie ważnym elementem radiostacji. Olsen o tym nie wiedział.

Wytarł rudą chusteczką zakurzone czoło.

Wrócił WaraJu, za którym włókł się zakurzony strażnik.

— Jedziemy do szpitala — powiedział WaraJu. — Trzeba pogadać z dyspozytorem. Jeżeli naturalnie nie jesteście zmęczeni — dodał uprzejmie.

Olsen był zmęczony do nieprzytomności, ale oczywiście nie odmówił. Tym bardziej, że jego samochód był najszybszy w mieście. Kosmonauci zostali.

Pół godziny później byli w szpitalu.

Szybko wbiegli do okrągłego westybulu.

Panowało w nim zamieszanie.

Strażnik i sanitariusz trzymali za ręce ponurego draba w zielonej lekarskiej todze.

Okazało się, że ten człowiek dziesięć minut temu dostał się do izolatki dyspozytora, który akurat odzyskał przytomność i drasnął go strzałką bez cechy.

Zostali jeszcze w mieście wierni słudzy Pruga Drugiego, Delfina Brendyjskiego.

WaraJu i Olsen tkwili w pokoju, gdzie lekarze raczej ze strachu przed szefem policji niż wierząc w skuteczność swoich poczynań starali się ożywić martwego dyspozytora. Morderca, choć strażnik i sanitariusz krzepko go trzymali, zdążył jednak połknąć truciznę.

* * *

Planeta Ar-A nie była zupełnie pusta. Istniały na niej zwierzęta, a nawet potomkowie ludzi — amlaki. Właśnie potomkowie, bo nie ma tu lepszego określenia.

To były milczące stwory żyjące w niewielkich hordach, prawie bezbronne wobec drapieżników, ale w owym czasie zachowujące jeszcze resztki inteligencji, która pozwalała im przetrwać w ich okrutnym świecie.

Amlaki — nazwa wzięła się z onomatopei, bo stwory nieustannie mruczały am-lak-am-lak-am-lak — nie czuły żadnego związku z ruinami miast, ale jakiś instynkt ciągnął je czasem do skarbców. Instynkt ten był tak przemożny, że śledząc miejsca pobytu amlaków można było odszukać skarbcę.

Ludność Ar-A musiała wyginać szybko, ale nie od razu. Proces zagłady jakiś czas jednak trwał. Ostatni rozumni mieszkańcy planety — ci, którzy znajdowali się na najmniej skażonym kontynencie — nie tylko zdążyli ukryć w pieczarach najcenniejsze wedle nich rzeczy i broń (nikt z nich do końca nie pojmował, że są ostatnimi świadkami samobójstwa całej planety), ale prowadzili także do końca notatki, zapisywali wszystkie ważne wydarzenia. Czekali, aż to wszystko się skończy i — nic w tym zresztą dziwnego — wyobrażali sobie ów koniec śmierci i nieszczęść jako ostateczne zwycięstwo nad wrogiem. Obie strony myślały tak samo, choć ofiary ponoszone przez wszystkich były tak wielkie, że ich bezowocność bardziej obrażała zdrowy rozsądek niż rodziła strach przed wszechogarniającą śmiercią.

Wszechogarniająca śmierć to coś nader abstrakcyjnego. Bardziej abstrakcyjnego niż własna śmierć. Może zginąć wielu, ale przecież nie ja, może zginąć wielu, ale nie my wszyscy. Taki już jest człowiek niezależnie od tego, w jakim miejscu Galaktyki żyje.

Środki wojny genetycznej zakładały całkowite unicestwienie wroga. Właśnie: wroga. Ale na wojnie, kiedy broń ofensywna przerosła defensywną, żadne antidota nie mają szans. Żeby były skuteczne, potrzeba by było jeszcze kilku lat pracy. Jednak stratedzy i uczeni tak byli skorzy do zabijania, że przy okazji sami zginęli nim zdążyli wymyślić jakiś ratunek. Prawdziwe prace nad wytworzeniem antidotum zaczęły się dopiero wówczas, kiedy było już za późno. Te rozpaczliwe próby los z góry skazał na niepowodzenie choćby dlatego, że już nie było środków na eksperymenty i brakowało ludzi. Z każdym dniem walka z dżinem wypuszczonym z butelki słabła. Wtedy zaczęły spadać głowy tych, którzy lekarstwa wynaleźć nie potrafili, bowiem generałowie podejrzewali wciąż malejącą armię uczonych o niechęć do intensywnej pracy, a nawet więcej: o to, że dawno już owo antidotum wynaleźli, tylko starannie ten fakt ukrywają.

W odnalezionych przez archeologów dokumentach znalazły odbicie te ostatnie wybuchy energii — ostatnie pogromy, które tylko przyspieszyły powszechną zagładę.

Ci, którzy przeżyli, pozbawieni zostali rozumu i zamienili się w nieme, człekopodobne stwory nieświadome naturalnie tego, że kiedyś byli gigantami.

Ar–A to znakomity przykład triumfu wynalazku, który przywiódł do zguby i wynalazcę, i cały system, który go stworzył. Była w tym widocznie jakaś wyższa sprawiedliwość, bo przecież wynalazek miał na celu unicestwienie istot ludzkich. Zabijanie. Zabijanie „obcych”. Ale na wojnie, jak na wojnie — nie starczyło czasu na zastanowienie i zabito wszystkich.

Szef ekspedycji archeologicznej Timothy Brown był naturalnie trochę zaniepokojony zerwaniem łączności, ale zbytnio się nie zmartwił, bowiem „Szkwał”, jak to zapowiadano wcześniej, miał przybyć na Ar–A dopiero za dwa dni. Dlatego pierwszego dnia wszyscy normalnie pracowali. Z rana zaczęli badać podziemia w martwym mieście, obiecujące wiele ciekawych odkryć. W czasie ostatniej wojny znajdował się tam sztab frontu i arsenał.

Na obiad archeologowie wrócili pod kopułę. Elsa, żona Timothy’ego zajęła się przygotowaniem posiłku, a mechanik Lwin postanowił wreszcie naprawić archeorobota Hermesa, który w czasie swego ósmego sezonu polowego zaczął się nagle rozpadać. Sam Brown wziął się do przeglądania dokumentów przyniesionych z podziemia.

Właśnie wtedy w odległości trzech kilometrów od kopuły wylądował „Szkwał”. Usiadł miękko, bezdźwięcznie, jakby się skradał. Brown odczuł drgnięcie ziemi, ale uznał to za wstrząs sejsmiczny. Nie zdziwiło go to, ponieważ wiedział, że okolica znajduje się w strefie aktywności wulkanicznej.

— Słyszałeś, Tim? — zapytała z kambuza Elsa. — Omal mi filiżanka z ręki nie wypadła.

— Tu nic nam nic grozi — uspokoił ją Timothy.

* * *

Prug nie miał zamiaru tracić czasu. Kiedy tylko „Szkwał” dotknął gruntu na polanie, gdzie zawsze siadały lądowniki i radary zaświadczyły, że nikt ich nie oczekuje, rozkazał wytoczyć łażika, obsadzić go dziesięcioma wojownikami i zabrać do niego Focjusza van Kuuna. Postanowił najpierw zdobyć obóz archeologów, a potem nie zwlekając ruszyć do arsenałów. Sam zdecydował się na dowodzenie wyprawą, która rokowała łatwy sukces.

I stałoby się tak, jak zamierzał Prug, gdyby nie nieoczekiwany postęp Focjusza van Kuuna.

Wyprowadzili go do otwartego luku.

Wojownicy stanęli przy wyjściu i coś tam między sobą szeptali. Panująca wokół cisza

skłaniała ich do zachowania czujności myśliwych, którzy znaleźli się w nieznanym lesie. Pustać porośnięta rzadką trawą schodziła w dół ku wilgotnemu lasowi, za którym wznosiły się zamglone, niebieskawe wzgórza. Dziwna cisza, brak wiatru, niskie chmury gęstniejące w oczekiwaniu deszczu — wszystko to napełniało ich lękiem.

Focjusz van Kuun stał z boku, we mgle, na odległość wyciągniętej ręki od skrajnego wojownika. On również patrzył przed siebie, ale widział zupełnie inny obraz. Widział znaną już sobie polanę, za którą będzie wzgórek porośnięty krzywymi kolczastymi drzewami, a dalej, jeśli obejdzie się górkę wąską ścieżyną, trafi się na następną polanę, gdzie oczekuje go domatorka Elsa i miłkiwy Timothy Brown, gdzie Lwin śpiewa teraz niezrozumiałe dla europejskiego ucha birmańskie pieśni i jak zawsze coś majstruje nie podejrzewając, że statek, na który z taką niecierpliwością czekają, to upiór kryjący w sobie śmiertcionośnego wirusa wrogości. I że owe stwory, które teraz półgłosem rozmawiając stojąc obok niego, mogą w ciągu minuty zamienić się w okrutne monstra.

Jeden z wojowników powiedział coś nagle nieco głośniej. Reszta roześmiała się. Focjusz van Kuun zerknął na ich bose nogi. Śmiech wojowników wydał mu się złowieszczy.

Źle zrozumiał jego przyczynę.

DrokU, starszy wojownik pochodzący ze szlachetnych, złotowłosy bohater ze starannie zaplecionymi i wysmarowanymi tłuszczem wąsami powiedział, że dobrze by było, gdyby giganci wyginęli, ale pozostawili tu swoje żony. Właśnie z tego żartu śmieli się żołnierze.

Jasne, że jeśli pisze się o przedstawicielu wielkiej i mądrej cywilizacji galaktycznej, to milej jest przedstawiać go jako człowieka, którego nie zdoła złamać bicie ani najwymyślniejsze tortury. Dać wyraz przekonaniu, że prawdziwy intelekt gardzi bólem i męczarniami. W rzeczywistości sprawy miewają się inaczej. Focjusz van Kuun był wystraszony, upokorzenie i ból nadal żyły w jego ciele. Ale rosła też w nim nienawiść do tych, których nazywał w myślach stworzeniami, jako że od dzieciństwa przyzwyczajony był do dostrzegania określonych znaków i cech odróżniających ludzi od istot nierozumnych, a okrucieństwo było dla niego dowodem braku rozumu. Nienawiść ta była bezpłodna, żywiła się mściwymi marzeniami wychłostanego dzieciaka. Plany zemsty były potężne i nierealne. Focjusz van Kuun starał się wierzyć, że nastąpi moment, w którym władczo odezwie się do dręczycieli i mocarnym ramieniem roztrąci ich na wszystkie strony...

Zdawał sobie sprawę z tego, że trójka archeologów, to ostatni wolni ludzie na planecie. Rosła w nim niecierpliwość, nieprzeparta chęć działania. Nie wiedział jak powstrzymać piratów, ale beczynność była nie do wytrzymania...

Zaczął mżyć drobny kapuśniaczek. Kropelki deszczu wzbijały kurz na pochylni i zaciągały mgłą las i wzgórza.

Focjusz van Kuun patrzył na samochód i dziwił się, że nikt go nie pilnuje. Przecież ktoś może podbiec do niego, porwać i pojechać do obozu! I nagle zastanowił się, kto mógłby to zrobić. Pilotów pozamykano w kabinach. I wtedy zrozumiał, że myśląc „ktoś”, myślał właściwie o sobie. Przecież to on może dopaść łazika, wskoczyć do środka przez otwarte boczne drzwiczki i pognać do obozu...

W myślach pędził już do samochodu, garbiąc się i klucząc, żeby nie mogli go trafić z dmuchawek, wskakiwał do środka i nawet zatrząskiwiał właz. Westchnął z ulgą i dopiero wtedy pojął, że w ogóle nie ruszał się z miejsca i dalej stoi za plecami wojowników.

Z tyłu, w korytarzu, rozległy się głosy. Górale spieszyli do wyjścia, żeby ruszyć do obozu ekspedycji. I ten gwar jakby uderzył Focjusza van Kuuna w plecy.

Rozpaczliwie odepchnął DrokU, omal nie zwałił z nóg innego wojownika i rzucił się po pochylni w dół.

Zapomniał przy tym, że należy się pochylić i kluczyć bo okazało się, że do łazika jest o wiele dalej niż przypuszczał. Dlatego wszystkie siły skupił wyłącznie na tym, żeby dobiec do niego.

Zaskoczeni wojownicy Pruga nie od razu zaczęli strzelać i nie od razu rzucili się w pogoń za archeologiem.

Van Kuun wdrapywał się już przez otwarty luk, kiedy jedna ze strzał trafiła go, na szczęście przecinając mu tylko rękaw. Focjuszowi van Kuunowi wydało się, że ktoś go chwycił za rękę, krzyknął więc rozpaczliwie, rozrywając mocną tkaninę bluzy i rozbijając sobie policzek.

Po paru sekundach na tyle doszedł do siebie, że zamknął i zaryglował od środka właz.

W pokrywą włazu uderzył topór bojowy DrokU.

Skurczywszy się na siedzeniu kierowcy van Kuun uruchomił silnik i ruszył do przodu. Nie przyzwyczajony do takiego brutalnego traktowania łazik podskoczył, ale to była solidna maszyna. Wyprostowała się i popęzła ostro do przodu, wyrывая gąsienicami trawę i zlepiony deszczem kurz.

DrokU pobiegł kilka kroków za łazikiem, grożąc mu zaciśniętą pięścią, potem wydmuchnął za nim strzałką i wreszcie się zatrzymał. Łazik gnał ku zaroślom. Po dwóch minutach skrył się w ich gąszczu.

* * *

WosenJu włączył interkom i zameldował Prugowi Brendyjskiemu o ucieczce archeologa. Mówił szybko i kilka razy powtórzył, że stało się to zanim on zdążył wyjść na zewnątrz.

— Zabiję cię! — warknął Prug. — Jak go doścignąć?

— Wyprowadzę drugi łazik.

— Sam nim pojedę!

Delfina Brendyjskiego opanowała zimna wściekłość, która jednak nie przeszkadzała mu w trzeźwej ocenie sytuacji. To, co się stało, mogło zniweczyć wszystkie jego plany i to akurat w momencie, kiedy był już tak bliski celu. Nie miał drogi odwrotu. Postawił wszystko na jedną kartę, a przegrana oznaczała śmierć i gorszą od niej utratę honoru. Wściekłość Pruga potęgował fakt, że jego zausznik okazał się człowiekiem niepewnym. Wprawdzie związał z nim swoje losy, ale należał do innego klanu. DrokU, starszy górali, też nie jest zupełnie pewny. Wprawdzie to prawdziwy góral, ale gdzie był przez wszystkie te lata? W mieście. Co w nim robił? Komu służył?...

Grodź przedziału transportowego rozsunała się powoli.

— Wsiadaj, władco — wychrypiał WosenJu.

Jak on mnie nienawidzi, pomyślał Prug. Lepiej nie odwracać się do niego plecami.

— Wybacz mi. WosenJu — powiedział, choć nie powinien tak się zwracać do zwykłego szaraka. — Uniosłem się, ale teraz wszystko się decyduje. Jeżeli nie zdążymy, to koniec z nami. Jeżeli pojmy ich, będziemy obaj władcami całej Pe-U.

— Słucham cię, panie — odparł WosenJu otwierając właz łazika.

* * *

Timothy wyjrawszy przez okno zauważył, jak do obozu zbliża się pędem łazik. Łazik był obcy i wziął się nie wiadomo skąd. — Lwin, Elsa — powiedział. — Mamy gości.

— Jak mogliśmy przegapić statek? — spłoszyła się Elsa. — A ja jeszcze nie przygotowałam obiadu! Focjusz na pewno jest głodny.

Wybiegli na zewnątrz akurat w momencie, kiedy wąż łazika otworzył się i wypadł z niego Focjusz van Kuun. Był dziwnie ubrany. W poszarpanej kurtce włożonej na gołe ciało i boso.

Zrozumiawszy, że Focjusz jest sam. Timothy podbiegł do niego.

Za nim Lwin. Elsa, która także podbiegła do drzwiczek zobaczyła, jak obaj podnieśli van Kuuna, który zaczął szybko i niemal niezrozumiale bełkotać:

— Szybciej! Gonia mnie... Szybciej, mówię. Dajcie mi spokój!

Timothy i Lwin doprowadzili go do kopuły. Elsa podbiegła do łazika i zajrzała do wnętrza, bo wydawało się jej, że ktoś tam jeszcze jest. Ale wewnątrz pojazdu było puste.

Kiedy dogoniła mężczyzn, ci już wnieśli opadłego z sił Focjusza do wnętrza. Van Kuun był prawie niepoznawalny.

— Co ci jest? — jęknęła Elsa.

— Szybciej — mamrotał van Kuun, który dorwał się do stołu, schwycił bułeczkę z talerza i zaczął ją chciwie żuć.

— Nie dawali mi prawie jeść — powiedział. Czemu tu jeszcze sterczycie?! Oni tu zaraz będą!

— Trzeba go opatrzeć.

Focjusz poderwał się. Mówił już resztkami sił:

— Za dwie minuty tu będą! Zabierzcie mapy i schematy wykopalisk. Nic więcej! I broń! Łazikiem do lasu i dopiero tam będziemy opatrywać rany. Statek porwali bandyci. Wszyscy w niewoli.

I upewniwszy się, że to co mówi dotarło wreszcie do słuchaczy, miękko osunął się w ramiona stojących obok archeologów.

— Co on powiedział? Co on powiedział? — dopytywała się Elsa. — Czy on bredzi?

— Elsa, natychmiast zbierz schematy wykopalisk, wszystkie taśmy z danymi i do łazika! — rozkazał Timothy. Lwin, apteczkę i żywność...

Lwina już obok nie było.

A Elsa wciąż jeszcze stała jak wmurowana. Podobnie jak inni uczestnicy tej historii nie mogła uwierzyć w to, co się działo niejako poza jej doświadczeniem, poza granicami jej pojmowania.

— Co się stało? — zapytała. — Jest chory? Napadli go?

— Potem będziemy się zastanawiać. Jeśli za dwie minuty nie znajdziesz się w łaziku, odjeżdżamy bez ciebie!

Ale Elsa i teraz nie ruszyła się z miejsca. Znała swojego męża równe dwadzieścia lat, znała go w chwilach dobrych i złych, ale nigdy nie słyszała takiego tonu.

— Timothy, błagam cię!

Ale Timothy jakby przestał ją zauważać. Zaczął nieść Focjusza van Kuuna do łazika.

— Tak nie można! — krzyknęła Elsa. — Trzeba go opatrzeć! Przecież on krwawi!...

Elsa jeszcze nigdy w życiu nie znalazła się w sytuacji, której nie potrafiła zrozumieć. Była dumną kobietą. Nie potrafiła zginać karku. Ani Lwin, ani Timothy też nigdy nie zetknęli się z piractwem, ale Timothy Brown spędził kiedyś pół roku na planecie, na której nieoczekiwanie zrywały się gwałtowne burze piaskowe i widział, jak jego przyjaciel, który nie wierzył, że natychmiast musi uciekać do kryjówki — zmarudził i zginął. Lwin był alpinistą, wspinaczem, cichym, upartym i zawziętym, potrafiącym ustępować innym w imię zwycięstwa i nie traktować tego jako upokorzenia. Obaj więc mieli doświadczenie życiowe, doświadczenie płynące ze spotkania z prawdziwym niebezpieczeństwem. Uwierzyli więc Focjuszowi van Kuunowi, choć nigdy nie słyszeli o Delfinie Brendyjskim i jego roszczeniach do tronu.

Timothy wciągnął Focjusza do otwartego wjazdu i położył na podłodze kabiny. Niósł go sam, spieszył się, potknął o wysoki próg i van Kuun krzyknął przy tym nie odzyskując przytomności.

Timothy rzucił się z powrotem do wjazdu i ledwie zdążył odskoczyć, bo akurat w tym

momencie Lwin wepchnął do środka kontener z medykamentami.

— Gdzie Elsa? — krzyknął Timothy.

Lwin odwrócił się i chwycił drugi pojemnik z żelaznymi racjami żywności.

— Idzie — odpowiedział.

Elsa rzeczywiście w końcu oprzytomniała i nie dała na siebie czekać. Podbiegła z naręczem taśm i notatników, całą dokumentacją ekspedycji, gubiąc po drodze luźne kartki i błony. Timothy wyskoczył jej na spotkanie.

W owej chwili gorączkowy stukot własnych serc usłyszeli szum silnika. Zbliżał się drugi łażik.

Na sekundę zamarli, a potem, pomagając sobie nawzajem, wpełźli do środka wozu, a Timothy szarpnął rozrusznik.

Silnik natychmiast zaskoczył i łażik ruszył. Trzęsło nim i rzucało. Elsa usiadła na podłodze i podtrzymała głowę van Kuuna na kolanach. Lwin otworzył apteczkę i opatrywał zraniony policzek archeologa.

Brown skierował samochód w prawo, wjechał do płytkiej, bystrej rzeczki i pojechał z jej prądem, chociaż wiedział, że nie zatrze w ten sposób śladów gąsienic.

„Żeby to diabli wzięli — pomyślał omijając co większe kamienie kim ci bandyci mogą być? Zbuntowana załoga? Niemożliwe. Piraci kosmiczni? To pomysł rodem z powieści przygodowej. Może na Pe-U stało się coś niezwykłego? Czytałem kiedyś, że są tam jacyś izolacjoniści.”

I nagle zrozumiał, dokąd powinien samochód poprowadzić. Zresztą kierował się tam od początku — podświadomie.

Do nowego wykopu w martwym mieście.

Stare wykopy z tak zwanymi skarbcami były o wiele bliżej i można było do nich dotrzeć w ciągu dziesięciu minut, po czym skutecznie ukryć w tamtejszych labiryntach. Ale przed skierowaniem się tam powstrzymały go dwie rzeczy: po pierwsze słowa Focjusza, że trzeba zabrać wszystkie plany i schematy wykopalisk, a po wtóre fakt, że van Kuun zabrał ze sobą wszystko, co dotyczyło wyników dotychczasowych prac. Jeżeli dokumenty te wpadły w ręce prześladowców, to znaczy, że znają oni owe labirynty nie gorzej niż sam Brown.

Dlatego po jakichś dwustu metrach skręcił z koryta rzeczki w łożysko wyschniętego kanału. Łażik od razu osiadł. Dno kanału było gdzieś wyłożone płytami, ale na całej długości pokrywała je gruba warstwa mułu. Gąsienice buksowały, boczne okienka pokryły się błotem.

Potem wydostał się na dawną ulicę. Od czasu do czasu wśród zieleni migały resztki fundamentów i mury niskich budynków. Dalej była wielka wyrwa o łagodnych zboczach, na której dnie stała woda. Na brzegu siedziały trzy amlaki. Jeden z nich na odgłos pracującego silnika uniósł głowę i odprowadził samochód obojętnym wzrokiem.

Wjazd do podziemia — byłego schronu czy też podziemnej fabryki znajdował się zaraz za szkieletem jakiejś wielkiej budowli, przypominającym skamieniałe szczątki gigantycznego dinozaura. Nie wiedzieli, jak daleko to podziemie się ciągnie. Brown doszedł do wniosku, że tam będzie się najlepiej ukryć, bo wśród masy wszelkiego żelastwa łażik będzie bezpieczniejszy niż w najpotężniejszej twierdzy.

* * *

W martwym mieście Prug zgubił ślad archeologów. Ruiny, zgliszcza, poplątane kłęby przerdzewiałego metalu, na wpół zasypane wyrwy w ziemi... W tym chaosie najczulsze nawet indykatory były bezsilne.

Ale mimo to — uparcie i wytrwale — Prug zmuszał WosenJu do krążenia po mieście, po

niekończących się ulicach. Wojownicy siedzieli w milczeniu. Takiego miasta jeszcze nigdy nie widzieli. Wydawało się im nawet, że nigdy już się z niego nie wydostaną.

W końcu łązik po raz trzeci znalazł się na placu z ogromną, zalaną wodą wyrwą pośrodku. Prug wydał rozkaz zatrzymania się.

Wygramolił się z wozu i długo stał rozglądając się dokoła.

Na wzgórzu, w które zamienił się zburzony dom, pojawiły się uspokojone ciszą amlaki. Prug znał je z opowiadań van Kuuna i wiedział, że te żalosne wyrodki, potomkowie gigantów, nie są dla nikogo groźne. Żeby wyładować kipiącą w nim złość, wystrzelił w nie cały magazynek automatu. Z wierzchołka wzgórza rozległ się pisk podobny do płaczu niemowlęcia.

Prug uśmiechnął się:

— Mimo wszystko zwyciężymy — powiedział. — Bogini Or–O nas nie opuści.

— Bogini nigdy nas nie opuści! — odpowiedzieli nierównym chórem wojownicy.

WosenJu milczał. Marzył o tym, żeby czas cofnął się o tydzień, a on znów znalazł się w spokojnej siedzibie Floty Kosmicznej. I żeby nigdy w życiu nie spotkał Pruga Brendyjskiego.

— Chodź tutaj, KraJu — rozkazał Prug.

Potężny stary wojak, najlepszy wśród jego ludzi tropiciel śladów wygramolił się z łązika.

— Zostaniesz tutaj — powiedział Prug. — Będziesz moimi oczami i uszami. Weź broń i radiostację. Zrozumiałeś? Jak tylko usłyszysz jakieś podejrzone szmery, jak tylko ich zobaczysz — natychmiast mnie zawiadom.

— Zrozumiałem, wodzu — odpowiedział stary wojownik. — Nie boisz się?

— KraJu się nie boi.

Bał się, ale gorszą od śmierci hańbą byłoby przyznanie się do tego swojemu wodzowi.

— Panie — z łązika wychyliła się głowa młodszego brata KraJu — może i ja tu zostanę?

— Nie — odparł Prug. — Będziesz mi potrzebny.

Łazik powoli potoczył się dalej.

KraJu ostrożnie wspinał się na ruiny. Czekał. Nasłuchiwał.

W drodze powrotnej na statek Prug rozkazał zatrzymać się przy starych wykopaliskach. Znał je z planów i fotografii zabranych Focjuszowi van Kuunowi. Bomba trafiła tam kiedyś w podziemne magazyny i rozbiła grube stropy. Archeologowie znaleźli pod nimi mnóstwo interesujących materiałów. W potrzaskanych skrzynkach leżały stopione od żaru pociski, skorodowane, pogięte lufy dział sterzczały z ziemi, ponieważ się bezkształtne bryły metalu, które niegdyś były wozami bojowymi.

Gniew Pruga ustąpił miejsca zmęczeniu. Kiedy Focjusz van Kuun mówił mu, że broń z arsenałów Ar–A nie nadaje się do użytku, uważał to za dowód sprytu archeologa. Teraz jednak przekonał się, że ten ślimak miał rację.

— To jeszcze o niczym nie świadczy — powiedział trącając noskiem złocistego buta przeżartą rdzą lufę.

— Słucham, panie? — nie zrozumiał go WosenJu.

— Tu jest zła broń. Gdzie indziej będzie dobra.

Prug wskazał ręką w stronę martwego miasta.

— Zawracamy? — zapytał WosenJu.

— Wojownicy! — wykrzyknął Prug, który życzył sobie, żeby wszyscy widzieli, że przestrzega starych obyczajów. — Jutro odnajdziemy wielkie bogactwa. A dziś możecie zabrać z tego domu wszystko, co się wam może przydać!

I szerokim gestem wskazał upadającym na duchu żołnierzom kopułę ekspedycyjną archeologów.

* * *

Czego oni tu szukają? — zapytał Lwin, który stał u wejścia do podziemi i patrzył, jak krople drobnego deszczu rozpryskują się o nierówny bruk jezdni. — Po diabła tu przylecieli?

— Wierzą w arsenały Ar-A — odparł Focjusz van Kuun.

Elsa przyniosła im po kawałku kulebiaka.

— Dobrze zrobiłam, że zabrałam kulebiak. Przynajmniej zjecie jak ludzie. Mówisz, że to dzicy?

— W pewnej mierze — odpowiedział Focjusz. — Zachowują się jak barbarzyńcy... Wiecie, że na Pe-U znalazłem żołnierzyki? Obawiam się, że mi je zniszczą.

— A, żołnierzyki! — ze zrozumieniem wykrzyknął Lwin.

— Ale dlaczego my tu właściwie stoimy! — poderwał się nagle Focjusz van Kuun. Przecież ciągle wam powtarzam, że to barbarzyńcy! Oni są zdolni do wszystkiego.

Chociaż raz już był w rękach górali, teraz zapomniał o własnym upokorzeniu i bólu. A właściwie nie zapomniał, tylko postanowił się za wszystko zemścić.

— Co proponujesz? — zapytał Timothy Brown.

Starannie dojadł kawałek kulebiaka, zebrał okruszki ciasta na dłoń i wyspał je do ust.

— Ja? — van Kuun nie bardzo wiedział, co należy zrobić. — Pojechać teraz do statku. Jak tylko się ściemni. Weźmiemy go szturmem. Pokonamy strażę i uwolnimy naszych. To oczywiste.

— Statek stoi na otwartej przestrzeni — zauważył Brown. — Wejście jest tylko jedno, a bandyci są uzbrojeni.

— No więc co?! Mamy stać i czekać? Tak?! Stać i czekać? A oni ich tam pozabijają. Nic cię to nie obchodzi?! — rozszalał się van Kuun.

— Spokojnie, Focjuszu — powiedziała Elsa. — Wiesz, jaki Timothy jest rozsądny. Na pewno coś wymyśli.

Ale Brown nie potrafił nic wymyślić. Nie umiał posunąć się poza stwierdzenie, że siedzenie z założonymi rękami istotnie nic nie da. Należałoby pojechać do bazy, zobaczyć czy tamci przypadkiem sobie nie poszli i zabrać wszystko, co może być potrzebne. Uciekali tak szybko, że o wielu rzeczach zapomnieli.

— To jedziemy! — powiedział Focjusz. Wyprowadzaj łazik i ruszamy.

— Myślę, że lepiej byłoby, gdyby Elsa tu została — zauważył Brown. — Elsa i któryś z nas.

— Chcę jechać z wami — powiedziała Elsa.

— Nie, kochanie — Brown był stanowczy, więc Elsa skinęła głową. Przywykła mu się podporządkowywać, była bowiem szczęśliwą kobietą, która od dwudziestu lat wierzyła, iż jej mąż jest najlepszym i najrozsądniejszym człowiekiem w całej Galaktyce. A że czasami zdarza się jej stawać okoniem, jak dzisiaj, to przecież najpotulniejszej się przytrafi... — Kto zostanie z Elszą?

Popatrzył na Lwina.

Małeńki Birmańczyk pokręcił przecząco głową.

Nie chciałbym zostawać — powiedział. Lwin wiedział, że Timothy jest człowiekiem mądrym, ale w odróżnieniu od Elsy mógł mu się sprzeciwić.

Brown chciał powiedzieć, że jest przecież silniejszy od Lwina, że lepiej od niego prowadzi wóz i sprawniej posługuje się bronią. Były to jednak argumenty nie tylko poniżej pasa, lecz również nie w pełni odpowiadające prawdzie. Po prostu nie wyobrażał sobie, że mógł zostać tutaj i czekać nie wiedząc na co. Ale bał się też pozostawić Elsę samą, choć wiedział, że zabranie jej ze sobą byłoby o wiele niebezpieczniejsze. Zdawał sobie przecież już sprawę z tego, że Prug i jego banda rządzą się zupełnie innymi prawami niż te, do których przywykli ludzie. Tak

odmiennymi, że nie można było znaleźć żadnych punktów wspólnych. W świecie bez wojen, w świecie uporządkowanym, rządzącym się prawami humanizmu Prug stanowił wyzwanie dla wszystkich, nie tylko dla całej galaktycznej społeczności, lecz także dla systemu moralnego każdego z jej członków, z którymi zetknęło go zrządzenie losu. Co innego funkcjonariusze Centrum Galaktycznego, którzy z racji swych obowiązków miewali do czynienia z sytuacjami i istotami o wiele niebezpieczniejszymi niż Prug i dla których jego wojownicze cele były drobiazgiem w porównaniu z prawdziwymi zagrożeniami kosmicznymi. Musiałby zająć niezwykle zbieg niezwykle okoliczności, żeby z wróblego jaja wyklął się sęp, żeby z drobnego incydentu w skali planetarnej wyniknął wielki gigantyczny konflikt.

Ale skoro już sęp ujrzał światło dzienne, należało traktować go jak drapieżnika. I wszyscy uczestnicy tego dramatu musieli się wewnętrznie przestroić — czy tego chcieli, czy nie. Jeśli można posłużyć się nazbyt obrazowym porównaniem, to archeolodzy znaleźli się w sytuacji mieszkańców miasta zalewanego wodą ze sztucznego jeziora, na którym zawałiła się tama. Wówczas wszyscy komu życie drogie spieszą na miejsce katastrofy z workami piasku, bo przecież żywiołu nie da się przebłagać ani zastraszyć.

Właśnie powaga sytuacji skłoniła Timothy'ego Browna do pozostawienia Elsy w podziemiach, co klóciło się z wszelkimi możliwymi instrukcjami. Wiedział jednak, że wilki nie zapuszczają się do podziemi, zaś prawdziwie niebezpieczni drapieżcy kryją się na statku.

Rozważając to wszystko Brown zrozumiał, że nie ma dostatecznej władzy nad archeologami, żeby powiedzieć któremuś z nich: „Ty zostaniesz!”

— Elso, bardzo cię proszę — Brown starał się mówić sucho i zwyczajnie — nie odchodź daleko od kryjówki...

— Może się jeszcze nad tym zastanowisz?

Elsa uśmiechnęła się żałośnie. Nie bała się pozostać sama w podziemiach, bała się jedynie o Timothy'ego.

— Przygotuję na wasz powrót dobrą kolację — powiedziała.

I wszyscy zgodzili się, że to znakomity pomysł.

* * *

Długo obserwowali bazę ukryci wśród drzew, żeby przekonać się czy napastnicy nie pozostawili w niej jakiegś załogi. W końcu napięcie stało się nie do wytrzymania i Lwin zakosami dotarł do kopuły. Reszta uważnie śledziła każdy jego ruch, aby w razie czego niezwłocznie pospieszyć mu z pomocą.

Lwin ostatni odcinek dzielący go od kopuły przebiegł, a potem zajrzał przez okno do środka. Drzwi były w półotwarte. Wślizgnął się do środka, po minucie wyszedł na zewnątrz i krzyknął:

— Chodźcie! Nie ma się czego obawiać!

Kiedy Timothy i Focjusz zbliżyli się, Lwin powiedział:

— Nasze szczęście, że Elsa została. Umarłaby chyba z rozpaczy!

Timothy, wiedząc jakim czystością jest jego żona, zgodził się ze zdaniem mechanika. Mało tego, że w stacji wszystko wybebeszono i wyrócono do góry nogami, to jeszcze wszystko wskazywało na to, że rabusie chcieli umyślnie dokuczyć mieszkańcom kopuły. Szczególnie dostało się kuchni. Żałosne resztki odświętnego obiadu, który z taką pomysłowością i pieczołowitością przygotowywała Elsa, rozmazane były po całym pomieszczeniu, a garnkami ktoś najwyraźniej grał w piłkę nożną...

Najgorsze jednak było to, że barbarzyńcy zdawali się nie wiedzieć, gdzie tu jest toaleta i jak się nią należy posługiwać...

Archeolodzy nie mieli tam nic do roboty. Focjusz jak oparzony wyskoczył na zewnątrz i rozwrzeszczał się, wymachując chudymi piąstkami:

— Zmusimy ich, żeby to sprzątnęli! Wylizą to! Wylizą!

— Prymitywna psychika jest jednak zaraźliwa — zauważył Lwin.— Najlepiej widać to na przykładzie naszego kolegi! — A co, nie mam racji?

— Więcej ich tu nie dopuszczę — powiedział Lwin — gdyby nawet chcieli zatrudnić się w charakterze sprzątaczek.

— No dobrze — powiedział Timothy. — Teraz pora na statek. Ściemnia się już, więc będziemy mogli podejść bliżej. Musimy być ostrożni, bo reflektorów lepiej nie zapalać, a na tej naszej taradajce lepiej się bez świateł nie tłuc.

Wrócili do łazika i ruszyli w stronę lądowiska, ale nie na wprost, lecz długim, wygiętym jak jatagan jarem, który winien doprowadzić do grawilotu z flanki. Tam mieli więcej szans na uniknięcie zasadzki.

Był ciepły wieczór. Taki baśniowy, ciepły wieczór, jakie bywają z rzadka na Ar–A pod koniec lata. Niebo, ciemnobłękitne nad głowami wędrowców, purpurowiało na zachodzie, a obłoki, podobne w tym świecie do pylistych kolumn, zieleniały, barwiąc się przy tym na skrajach głębokim, świetlistym oranżem. Rzadkie ptaki — wojna genetyczna mocno przerzedziła również ich populację — krążyły nad ostrożnie pełznącym łazikiem, którego gąsienice oblepiały całe masy chrząszczy i motyli.

* * *

Stary KraJu, najlepszy myśliwy Klanu Brendyjskiego, który z dmuchawki trafił w ptasie oko, a górskiego niedźwiedzia potrafił wytropić po śladach pozostawionych przez zwierzę trzy dni temu, usłyszał łazik toczący się ulicą. Nie wiedział, skąd wóz przyjechał i nie zdołał po jego śladach pozostawionych na kamiennych płytach jezdni trafić do podziemi, ale dotarł bliżej nich niż znajdowały się ruiny, w których od jakiegoś czasu tkwił. Stąd też zawiadomił statek o pojawieniu się archeologów.

— W porządku — odparł WosenJu. — Zawiadomię księcia.

— W porządku — powiedział Prug. — Idziemy coś zjeść. Kiedy będą blisko, zawiadom.

* * *

Radary wykryły łazik archeologów w odległości kilometra od statku.

Wracając z nieudanego polowania na gospodarzy bazy, Prug nie mógł się nadziwić, że uprzednio udało mu się podjechać do samej pochylni „Szkwału” i nikt go nie zauważył. Dlatego rozkazał DrokU włączyć na całą noc reflektory, uruchomić czujniki radiolokacyjne i posadzić przy pulpicie sterowniczym WosenJu. A obok niego wojownika, żeby nie pozwolił mu usnąć.

Sam Delfin Brendyjski zdążył się tymczasem pożywić w towarzystwie DrokU, co wyraźnie poprawiło mu nastrój. Miał ogromną ochotę na małą drzemkę i na pewno by sobie pofolgował, gdyby nie kilka pilnych spraw do załatwienia.

Odsunąwszy kaganek i kadzielnicę, pochylił się nad mapą wykopalisk, żeby zaplanować działania na następny dzień. W tym momencie wywołał go WosenJu.

— Wodzu — powiedział. — Widzimy samochód, który powoli zbliża się do statku.

— Daleko? — zapytał Prug.

— Teraz jest w odległości jakichś dwustu kroków. Jedzie zygzakiem, starając się nie

wychodzić na otwartą przestrzeń.

— Z której strony nadjeżdża?

— Z tej samej, którą ty wybrałeś, panie.

— Prawidłowo — uśmiechnął się Prug i uśmiech ten utonął w jego tłustych policzkach. — Widać, że potrafiały myśleć i zachowują się jak należy. Dobrze, że pozwoliliśmy temu wariatowi uciec. Powiedział im, że jesteśmy dzikimi ludźmi, nierozumnymi jak zwierzęta. Że nie wiemy, jak kierować statkiem. Że nie umiemy patrzeć ze statku na zewnątrz. Przyjdą tu i wezmą nas we śnie! Jakie zuchy! Wyłącz lampy! Niech będzie ciemno! Otwórz drzwi i odwołaj wartowników!

Prug aż zaklaskał w dłonie z uciechy.

DrokU skinął głową:

— Dobrze czynisz, wodzu — powiedział. — Ale istnieje jedno niebezpieczeństwo...

— Mów!

— Może oni mają broń gigantów?

— To też przewidziałem — napuszył się Prug. Dlatego rozkazałem zgasić lampy. Kiedy wróg widzi, że twierdza jest gotowa do walki, nastawia się na szturm i przygotowuje katapulty. Kiedy jednak widzi, że twierdza śpi, a jej obrońcy to głupcy, śmiało wchodzi do środka. W ciemnych korytarzach nie pomoże nawet broń gigantów.

* * *

Timothy dostrzegł z daleka łunę nad statkiem.

— Niedobrze — powiedział. — Czekają na nas.

— Niech sobie czekają — warknął Focjusz van Kuun. — My też poczekamy dopóki nie pójda spać. Las podchodzi do samego grawilotu. Podczołgamy się do luku i wędzemy się do środka.

Lwin milczał.

— Jest nas tylko trzech — zauważył Timothy.

— Wyzwolimy jeńców — upierał się Focjusz van Kuun.

Łazik podtoczył się do skraju lasu. Timothy maksymalnie zmniejszył prędkość.

I w tym momencie reflektory zgasły.

Do tej chwili obecność statku można było stwierdzić po łańcuszkach świateł. Teraz stał się o wiele wyraźniejszy. Zarys jego potężnej soczewki czerniał nad drzwiami.

Timothy gwałtownie zahamował.

— Widzisz! — powiedział Focjusz van Kuun nie ukrywając sarkazmu. — Dzikusy poszły spać.

— Zostańcie tu — rzucił Timothy, szybko otwierając właz i wyskakując na zewnątrz.

Pochylony podbiegł do samego skraju zarośli i zatrzymał się, wbijając wzrok w ciemność. Zdażył na czas.

Oczy zdołały przywyknąć już do mroku i Timothy zauważył, jak ostrożnie otwiera się luk wejściowy, jak zapraszająco wysuwa się na zewnątrz srebrzysta pochylnia. Jakiś cień mignął w otworze luku i znikł.

Statek milczał. Czekał w napięciu na gości.

Timothy Brown wrócił do łazika i zaryglował właz.

Focjusz van Kuun patrzył nań wyczekująco.

— Czekają na nas — powiedział Timothy. — Potrzask gotowy. Można wpadać.

— Skąd mogli wiedzieć?! — zirytował się van Kuun.

— Na statku są radary — odpowiedział Lwin. — Proste.

— Wyście ich nie widzieli! — zaśmiał się nerwowo Focjusz. — To goryle! Nie mają pojęcia,

jak co włączyć! Latają na bosaka!...

— Reflektory paliły się — cicho zauważył Lwin. — Reflektory zgasły.

— Otworzyli luk i spuścili pochylnię — dorzucił Timothy.

— Myślę, że pora wracać — odezwał się Lwin.

— Za nic! — wrzasnął Focjusz van Kuun. — Ja zostaję! Pójdę do nich sam! Dajcie mi pistolet!

Timothy siedział z rękami na kierownicy.

— Będzie wojna — mruknął, jakby nie słyszał krzyków van Kuuna. — Na wojnie potrzebna jest broń.

— Nie mamy broni — powiedział Lwin.

— Mamy broń. W podziemiu. Po prostu nigdy nam nie przychodziło do głowy, że to żelastwo znowu będzie zabijać.

— Ta broń nie powinna wpaść w ich łapy — powiedział Lwin.

— I tak to wszystko mamy zostawić? — zapytał van Kuun, gotów już skapitulować.

— Niczego tak nie zostawimy — odparł Brown. — Ale na razie trzeba wracać do miasta.

* * *

Prug obserwował, jak zielona iskierka łązika na ekranie radaru zatrzymała się na parę minut opodal statku, a potem wolno popęzła w stronę lasu.

— Domyślili się — powiedział z rozczarowaniem w głosie. — Nie trzeba było tak nagle wyłączać lamp. Wezwij KraJu.

DrokU włączył nadajnik.

— Nie śpisz, KraJu? — zapytał.

— Nie śpię — rozległ się daleki głos.

— Ci ludzie w samochodzie wracają. Jadą powoli. Usłyszysz ich. Musisz sprawdzić, gdzie się ukryją. Zrozumiałeś?

— Zrozumiałem.

— A teraz spać — powiedział Prug Brendyjski. — Wszyscy spać. Poza tobą, WosenJu. I zamknijcie wejście do statku. Jeżeli któryś z nich tu został, nie chcę, żeby nocą wlaźł do środka. Jutro będzie wielki dzień.

* * *

Statek Floty Kosmicznej „Vacjus” po zmianie kursu leciał ku planecie Pe-U.

Łączności dalekosiężnej jeszcze z nią nie było, ale kapitan „Vacjusa” wiedział, że za dzień lub dwa znajdzie się w strefie łączności planetarnej. Jej nadajnik znajduje się na terenie konsulatu Centrum Galaktycznego i jeśli konsulat ocalał, to dostarczy mu niezbędnych informacji.

* * *

Elsa patrzyła, jak łązik pokonuje wzgórek i znika między ruinami budowli. Nawet kiedy ostatecznie skrył się za lasem i zapanowała cisza, nadal stała przy wejściu do podziemia i patrzyła tam, gdzie widziała samochód po raz ostatni.

Nigdy jeszcze nie musiała zostawać tu sama Całkiem sama Naturalnie zdarzało się, że bywała sama w bazie, kiedy miała dyżur w kuchni lub nagromadziło się wiele pracy, którą należało

wykonać w domu. Ale to było co innego. To było właśnie w domu. Mogła zaryglować drzwi i w razie potrzeby połączyć się z Timothyem przez radio. A tu nagle taka głupia sytuacja — wszyscy w strojach wypoczynkowych bez niewygodnych radiobransolet na rękach — kto się będzie męczył z czymś takim w domu? Kiedy uciekali z bazy, to po prostu o nich zapomnieli. Zresztą nie mieli czasu na zastanawianie się.

Kiedy łązik oddalił się, świat zniszczonego miasta przerażony wtargnięciem ludzi zaczął powoli ożywać. Jakby nie życzył sobie zauważać, że Elsa jednak tu została.

Na zrytej deszczami i wiatrami jezdni, wśród trawy rosnącej w szczelinach między płytami bruku przemykały się łańcuszki szarych zwierzaków. Wędrowały całymi rodzinami: duży, mniejszy, jeszcze mniejszy. Stworzenia w rodzaju dużych nietoperzy wylatywały z załomków muru. Nadszedł ich czas, zmrok. Krążyły teraz bezgłośnie nad głową Elsy jakby przeciągając się po długim śnie. Na krawędzi rozwalonej wieży zarysowała się sylwetka wilka i Elsa drgnęła, odskoczyła w cień i ten moment przerażenia, który zresztą szybko minął, obudził w niej ostrożność, świadomość tego, że nie ma jej kto broni i że powinna być równie czujna i cicha jak pozostali mieszkańcy martwego miasta.

Najmądrzej było wziąć się do roboty, przygotowywać kolację dla mężczyzn i nie pamiętać o tym że pojechali na spotkanie z wrogiem. Właśnie wrogiem. Zapomnieć, że istnieją ludzie którzy omal nie zamęczyli sympatycznego choć narwanego Focjusza van Kuuna, ludzie którzy potrzebują jakichś tam arsenałów czy skarbców. Można całe życie spędzić na wykopaliskach odkryć setki grobów, zbadać tysiące wymarłych miast i nie zdawać sobie sprawy z tego, że odkopane przedmioty mogą mieć jakkolwiek wartość poza wartością czysto poznawczą. Nawet widząc, że w muzealnych gablotkach w strumieniach miękkiego światła, pośród miękkich aksamitów pamięta się jedynie przyprawiające o zawrót głowy uczucie szczęścia, kiedy z wilgotnej ziemi, z płataniny przegniłych pni drzewnych z kamiennych odłamków wyłania się nagle cudo, — a właściwie dopiero obietnica cuda — skorupka lub odłamek metalu, łagodnie wygięta szyjka amfory albo szklanego dzbana.

Po wyjściu w Kosmos archeologia musiała się nieuchronnie zmienić. Na Ziemi przedmiotem jej badań był świat prehistoryczny antyczny, w ostateczności średniowieczny, natomiast kosmoarcheolodzy zetknęli się z zupełnie odmiennymi problemami. Rozkopywali nie tylko starożytności zamieszkałych planet, choć naturalnie pozostawało to podstawą ich pracy, ale także ślady zaginionych cywilizacji, które osiągnęły wystarczająco wysoki poziom technologiczny, aby przestać istnieć, stolice państw zniszczonych wojnami, gdzie w bratnich mogiłach znajdowali armaty... Jeszcze boleśniejsze były znaleziska żalonych i majestatycznych resztek muzeów, do których kiedyś tam, wiele stuleci temu inni archeolodzy skrzętnie zwozili i pieczołowicie wystawiali w wysłanych aksamitem gablotach skarby ich starożytnego świata.

Elsa wzdrygnęła się i odpędziła latające stworzenie, które przemknęło tak blisko, że powiew powietrza zburzył jej włosy. W mieście mogły kryć się nieznanne, groźne zwierzęta. Archeolodzy prawie nigdy nie wychodzili z domu po zmroku i dlatego nie znali nocnego życia planety. Elsa postanowiła wrócić do podziemia, zapalić pochodnię, znaleźć się wśród bezpiecznych ścian.

Weszła do szerokiego korytarza, skręciła w prawo i minęła otwarte drzwi. Tam pod murem złożyła cały dobytek jaki udało się wynieść z bazy.

I nagle usłyszała daleki ludzki płacz.

* * *

Nie było nas blisko dwie godziny — powiedział Timothy. — Ciekawe, jak sobie Elsa bez nas radzi?

Dziwne — zaczął głośno myśleć Lwin, gdy łazik był już niedaleko podziemia w martwym mieście. — W skali Galaktyki, w skali naszych czasów to, co się tutaj dzieje jest tylko malutkim epizodzikiem niewartym nawet wzmianki w lokalnym dzienniku telewizyjnym. Jakies tam księżątko z dalekiej planety porwało statek, żeby zagarnąć skarby, jakimi rzekomo włada malutka ekspedycja archeologiczna. Po trzech dniach przylatuje krążownik patrolowy, zamyka księżątka do klatki i po wszystkim.

— Nie masz racji — powiedział Brown. To nie jest takie banalne. Zabili już kilku ludzi i szykują się do zabicia następnych. A jeśli rzeczywiście uda się im zawładnąć owa bronią, to zabiją bardzo wielu ludzi. I to już nie będzie drobne zakłócenie kosmicznej harmonii. Jesteśmy teraz jedyną zaporą między małymi przestępcami a prawdziwą zbrodnią.

— Ale przecież on musi wiedzieć, że to kwestia zaledwie paru dni! — wykrzyknął Lwin. :— Musi sobie zdawać sprawę z tego, że nikt mu nie pozwoli...

— A jeśli do tego czasu, kiedy ktoś mu da po łapach, nas już szlag trafi? I nie tylko nas. Z boku to wygląda na drobny epizod, ale dla nas jest to sprawa życia i śmierci. Dlatego dalej musimy stawiać czoła problemom, które zawsze byty dla nas obce i raczej egzotyczne.

Lwin wduśił pedał gazu. Łazik potoczył się ulicą. Zaraz dotrą do swojej kryjówki. Reflektory jaskrawo oświetlały drogę, wspomagane przez Pe-U gorejącą jasno na niebie. Wyboje wydawały się czarnymi przepaściami, z góry jak egzotyczne zasłony zwisały długie, wąskie liście.

Łazik miękko pokonywał zwały kamieni. Wreszcie stanął w szerokim, podziemnym tunelu.

Brown mrugnął reflektorami. Lwin wyłączył silnik, otworzył właz. Dokoła panowała cisza.

— Elsa! zawołał Timothy Odpowiedziało mu tylko echo.

Wyskoczył z łazika i ruszył do przodu. Lwin powiedział:

— Zobaczę, co się dzieje na zewnątrz.

— Tylko ostrożnie, tam mogą być wilki.

Po kilku krokach minęli złożone pod murem zapasy. Widać było, że Lisa grzebała w nich, zabierając się najwidoczniej do przygotowania kolacji, ale coś oderwało ją od tego zajęcia.

Brown nie zatrzymując się poszedł najciszej jak potrafił w głąb tunelu

* * *

W czasie, kiedy nad martwym miastem planety Ar-A zaczynało szarzeć przed świtem niebo „Vacjus”. pierwszy ze statków lotnictwa cywilnego spieszących na Pe-U zbliżył się już do niej na tyle, że jego sygnały odebrała słaba radiostacja konsulatu Centrum Galaktycznego.

Konsul Olsen właśnie zasnął u siebie w gabinecie. Nie zdjął ubrania, żeby w razie czego być natychmiast w pogotowiu.

Spali również kosmonauci, którzy do drugiej w nocy usiłowali sklecić z resztek nadajnik na kosmodromie, spał też pan WaraJu. Dowódca Straży Miejskiej. Czuwano tylko w domu PetriA. Dopóki ciało spadkobierczyni, którą zabrała gwałtowna śmierć, nie zostanie poddane oczyszczającemu działaniu ognia nikomu w domu żałoby nie wolno zasnąć, żeby zwabione nieszczęściem złe duchy nie porwały duszy dziewczyny. Rodzina siedziała w jednym pokoju i powtarzała za sennym kapłanem odpowiednie zaklęcia i stosowne modlitwy.

Sygnał był bardzo słaby, ale zdołał jednak uruchomić brzęczyk w gabinecie konsula. Ten zerwał się z kanapy jakby go ktoś wystrzelił z katapulty, nie zdając sobie sprawy z tego, co się właściwie dzieje. Potem rzucił się do drugiego pokoju, gdzie była zainstalowana radiostacja.

Po minucie przybiegła zapobiegliwa i ruchliwa Helena Kazimirowna, która pod nieobecność miejscowych współpracowników pełniła obowiązki radiotelegrafistki. Konsul miotał się przy aparaturze, w żaden sposób nie mogąc przełączyć jej na odbiór.

— Niels — powiedziała Helena Kazimirowna, odsuwając męża — to nie jest zajęcie dla mężczyzny.

— A co jest zajęciem dla mężczyzny? — szczerze zdziwił się Olsen, skwapliwie ustępując miejsca żonie.

— Polityka — odparła Helena Kazimirowna. — Mężczyźni są stworzeni do wyższych celów. W polityce można się o wiele lepiej wyżyć niż w łączności lub gospodarstwie domowym.

— Chyba masz rację, koteczku — zgodził się Olsen. Ale to cudowne, że to wszystko się skończyło!

— Cudowne, jeśli nawiążemy łączność z krążownikiem patrolowym albo statkiem Floty Kosmicznej” Gorzej, jeśli słyszymy tych twoich bandytów...

— Ale skąd by oni... — Konsul potarł skroń. Był tak skołowany, że gotów był uwierzyć we wszystko.

— „Vacjus” — rozległ się głos w radiostacji. — Tu statek Floty Kosmicznej „Vacjus”! — Dalej szedł kod identyfikacyjny statku.

Helena Kazimirowna wprawnym ruchem włączyła ekran informatora. Zielone ogniki potwierdziły autentyczność źródła sygnału.

— Teraz, mój kochany, możesz sobie pogadać o polityce. Flota Kosmiczna spieszy nam na pomoc. Lotnictwo cywilne zawsze było operatywniejsze niż cała twoja dyplomacja!

* * *

Im dalej Elsa zagłębiała się w podziemie, tym bardziej oczywisty stawał się upadek cywilizacji, która pozostawiła po sobie groźne arsenały. Kryjąc się coraz dalej, oficerowie i żołnierze mieli nadzieję, że uciekną przed demonem niosącym śmierć, umkną przed zarazą... W czternastym wieku, w latach „morowego powietrza” tak samo starano się odpędzić zagładę przy pomocy uciezek i modlitw... Korytarze były coraz brudniejsze. Zawodziła już widać dyscyplina wojskowa i ludziom coraz częściej opadały ręce... A oto i ostatnia, ustawiona w pośpiechu barykada, granica, która odcięła uciekających od świata. Broń, której tak pieczołowicie strzegli, nie była już wówczas nikomu potrzebna. Chociaż nie... Tu są ślady walki — rozwalone drzwi, zryte pociskami ściany... Ktoś próbował dostać się do środka. Może ostatni nie złamany rozpaczą dowódca potrzebował nabojów i broni, więc wysłał po nie dżipa: rozbity samochód sforsował jednak barykadę i spłonął tuż obok serca arsenału.

Elsa odszukała korytarz omijający znane jej już z poprzednich wykopalisk pułapki—zapadnie i ruszyła nim dalej. Zagłębiała po drodze do hał, gdzie na stelażach leżały pociski artyleryjskie i granaty, przechodziła obok nisz pełnych długich skrzyń z karabinami i kulomiotami, brnęła przez rozsypane wszędzie jak ziarno w elewatorze sterty pocisków pistoletowych. Wiele przedmiotów rozpoznawała przez analogię, inne zupełnie z niczym się jej nie kojarzyły.

Poczuła nienawiść do tych zgromadzonych w niewiarygodnych ilościach narzędzi śmierci. Na planecie zebrano tyle broni, że chyba każdego jej mieszkańca można było unicestwić co najmniej trzykrotnie. Ale uczeni wciąż wynajdowali nowe środki mordy, fabryki wciąż je produkowały, a gołowase podrostki wciąż miały ochotę je wypróbować. Mądrzy politycy sporządzali bilanse sił w przekonaniu, że tylko spotęgowanie i skomplikowanie owych narzędzi śmierci pozwoli im zachować władzę nad szarymi ludkami, o których najłatwiej jest myśleć w kategoriach pułków, dywizji i armii.

I nagle usłyszała szmer.

Szmer dobiegał gdzieś z przodu.

Poczuła, że ktoś ją śledzi.

Jej zmysły były tak wyczulone, że odczuła wiszące w powietrzu napięcie i zrozumiała, że nie jest to przypadkowe spotkanie. I że gdzieś tu czai się Rozum.

Zamarła.

Ten, kto ją śledził, również zamarł. Potrzebne było jedno drgnienie, szmer, echo, żeby korytarz nappełnił się ruchem.

I Elsa gwałtownie zwróciła promień latarki w stronę tego, kto ją śledził.

Latarka oślepiła amlaka. Jej światło odbiło się w głębokich, bezmyślnych oczach.

Słabe ręce uniosły się do oczu, chcąc je zakryć. Amlak pisnął. Nieśmiało i cichutko... Po chwili zrozumiał, że może uciekać. Jego kroki głucho i miękko zatupotały po korytarzu.

Elsa ruszyła ostrożnie za nim niemal wstrzymując oddech.

Są blisko. Patrzą i czekają, co zrobi.

Zwróciła latarkę w stronę głębokiej niszy w ścianie. Wiedziała, że je tam zobaczy, bo wyczuła otaczający je zawsze piżmowy, korzenny zapach.

Tuliły się tam do siebie zbyt zmęczone, żeby uciekać dalej. Kilka lub kilkanaście osobników — zapewne jedna rodzina.

Z przodu stał ten sam samiec, którego Elsa najpierw zauważyła.

Starał się osłonić swoją hordę i szczyrzył się po zwierzęcemu, ale nie wyglądało to groźnie: amlaki mają małe, prawie ludzkie usta i krótkie, równe zęby.

Za jego plecami kryła się reszta — dziesięć, może piętnaście sztuk. Trudno się było w ich liczbie połapać, tak bardzo splątały się ich ręce i nogi. Widok był dziwaczny i raczej przykry. Elsa wnet zrozumiała dlaczego. Amlaki zachowywały się jak zwierzęta, bo w rzeczywistości były zwierzętami, ale wyglądały jak ludzie... Bezwłose, błękitnawe ciała, długie splątane grzywy i ludzkie twarze. Ale oczy puste, wielkie i bezmyślne jak ślepia cieląt.

Samice tuliły do siebie swoje maleństwa, starsze dzieci z przerażeniem wyglądały z płataniny ciał.

— Boże! — nieoczekiwanie dla samej siebie powiedziała Elsa. — Boże, do czegoście sami się doprowadzili!

Odpowiedziało jej szuranie, szelest, piski dzieci.

Samiec usiłował zaryczeć. Zamiast tego rozległ się ochryply jęk, a potem zabrzmiało: am-lak, am-lak...

Niemowlę zapłakało.

Dopiero wtedy Elsa zauważyła, że niektóre amlaki są poranione i krwawią i że najbardziej ucierpiało dziecko, które właśnie się rozplakało. Nie wiedziała, że to Prug je postrzelił. Sądziła, że amlaki padły ofiarą napaści wilków. Albo że pobiły się między sobą.

— I wy też lubicie się bić? — zapytała zdziwiona. — Co za historia... Obniżyła światło latarki, żeby nie oślepić amlaków, zrobiła krok do przodu, jakby chciała powstrzymać atak samca i przykucnęła rozkładając ręce.

— Widzicie — powiedziała cicho i serdecznie. — W rękach mam tylko światło i chcę wam pomóc... Nie wam, głuptasy, tylko temu maleństwu, które umrze, jeśli mu nie pomogę. Zrozumcie, ono umiera...

Szmer ucichł. Amlaki uważnie jej słuchały.

Przemawiając łagodnie dalej, Elsa wyjęła z kieszeni pakiet pierwszej pomocy, otworzyła go i wydobyła plaster nasycony środkiem dezynfekcyjnym.

— Najważniejsze, żebyście mi nie przeszkadzali — powiedziała na koniec.

Stała w odległości dziesięciu kroków od nich i teraz musiała zbliżyć się w taki sposób, żeby amlaków nie wystraszyć.

Jeszcze przez jakiś czas mówiła, starając się wyrazić głosem pewnością, że ma prawo podejść

do nich i pomóc. Podniosła się i — mówiąc dalej — powoli ruszyła do przodu.

To był moment krytyczny. Elsa wiedziała, że musi być przygotowana na rozpaczliwy atak, ale nie mogła o tym myśleć: amlaki są bardzo wrażliwe na emocje i gdyby wyczuły strach, bez wątpienia by ją zaatakowały. Należało myśleć tylko o tym, że musi im pomóc.

Mężczyzna zrobił niezgrabny krok w jej stronę — przepuścił.

Pochyliła się nad niemowlęciem i spostrzegła, że i matka dziecka jest ranna. Małeństwo i matka patrzyły na nią jednakowo błagalnym wzrokiem. Tak patrzą tylko bardzo słabe zwierzątka.

Może to i dobrze, że matka jest ranna. Sama będzie się mogła przekonać, że zabiegi Elsy przynoszą ulgę. Elsa uniosła rozpylacz anestetyjny i lekka chmurka emulsji otoczyła rozcięty policzek kobiety. Ta odskoczyła, zasłaniając sobą dzieci. Mężczyzna groźnie zbliżył się do Elsy, ale emulsja już podziałała.

Kobieta zamarła, lekko uniosła swobodną rękę i dotknęła nią policzka. Powoli, tępo docierało do niej, co się dzieje. Widocznie jednak amlaki nie całkiem jeszcze były zwierzętami.

Kobieta nagle podsunęła płaczące niemowlę Elsie.

...Elsa opatrywała już trzeciego pacjenta, kiedy w korytarzu rozległy się kroki.

Ten odgłos usłyszały również amlaki i wystraszone znowu zbiły się w ciasny kłęb.

Elsa rozpoznała kroki Timothy'ego i nawet wyczuła, jak bardzo jest zmęczony i zdenerwowany.

— Tim — powiedziała cicho wiedząc, jak daleko niesie głos w podziemiach. — Nie spiesz się. Wystraszysz mi ich. Podchodź powoli i zatrzymaj się w odległości dziesięciu kroków. Rozumiesz.

— Rozumiem — odparł równie cicho Timothy Brown.

* * *

Njels Olsen, dowiedziawszy się, że „Vacjus” zbliża się już do granic systemu, zdecydował się obudzić WaraJu, gdyż był przekonany, iż ta wiadomość przyniesie mu ogromną ulgę.

Telefon długo buczał przerywanym sygnałem. Konsul chciał już odłożyć słuchawkę na widelki, kiedy w końcu odezwał się ktoś senny i gotujący się ze wściekłości. Ten ktoś powiedział, że pan dowódca Straży Miejskiej spoczywa w objęciach Boga Snu.

— Bardzo proszę, w drodze absolutnego wyjątku, aby pan zechciał dowódcę straży obudzić. Proszę mu powiedzieć, że ośmiela się go niepokoić konsul Centr—um Galaktycznego.

— Niezmiernie żałuję — zabrzmiało w odpowiedzi — ale pan dowódca Straży Miejskiej polecił, żeby nie budzono go nawet w wypadku trzęsienia ziemi.

— Proszę mu więc przekazać, gdy tylko się obudzi, że konsul Centrum Galaktycznego zawiadamia, iż nawiązał łączność ze statkiem „Vacjus” zbliżającym się do granic systemu.

Nie czekając na odpowiedź odłożył słuchawkę.

Wrócił do pokoju łączności, gdzie Helena Kazimirowna rozmawiała z radiotelegrafistą statku, żeby nie zejść z częstotliwości. Jasne, że lepiej zrobiłoby to odpowiednie urządzenie automatyczne, ale gdybyście spróbowali coś takiego powiedzieć prawdziwemu łącznościowcowi, sponiewieralibyście jego wrażliwą duszę. Ludzie, których praca nasycona jest wszelkiego rodzaju automatyką lubią podkreślać jej zawodność, chociaż bez owej niepewnej automatyki nigdy by się na taką pracę nie zgodzili.

— I co pan zdecydował, panie konsulu? — na linii był kapitan „Vacjusa”.

— Próbowalem połączyć się z dowódcą miejscowej policji — odparł Olsen — ale dowódca śpi. Tu nie wypada nikogo budzić. Już i tak pogwałciłem etykietę.

— Etykieta! — pogarda dla czegoś takiego i skrajna rzeczowość Kriönczyków były znane w

całej Galaktyce i stanowiły dla nich powód do dumy. — Niech pan zerwie z łóżka kogo trzeba. Tu chodzi o życie lub śmierć ludzi.

— Naturalnie zgadzam się z panem, że to konieczne. Ale działałam w określonych warunkach...

— Dokąd poleciał „Szkwał”?

— Najprawdopodobniej na Ar-A, planetę naszego systemu. Powinna być w atlasie. Ale to tylko przypuszczenie.

— Nie można go sprawdzić?

— Jutro szef straży będzie przesłuchiwał podejrzanych. — Czyli łączność nawiążemy jutro. Czas?

— Południe czasu miejscowego pana urzęda?

— Urzęda mnie każda pora. Lecę na pomoc statkowi, któremu przydarzyło się nieszczęście. Nawet jeśli położę się spać, to może mnie pan spokojnie obudzić.

— Doceniam pana dowcip — chmurnie powiedziała Helena Kazimirowna, chociaż dobry radiotelegrafista nie powinien wtrącać się do rozmowy zwierzchnika. Ale Helena Kazimirowna dbała o reputację łatwowernego, czasem nawet naiwnego Olsena i nie znosiła, kiedy ktoś usiłował mu dokuczać.

Wychodząc z pokoju łączności Olsen odezwał się do żony:

— Kiciuniu, jadę do kosmonautów. Na pewno bardzo się denerwują. Był podniecony i pełen żądzы czynu.

— Możesz do nich zadzwonić. Jest późna noc.

— Na pewno z radością się obudzą, a na telefon mogą nie zareagować!

— Na ulicach o tej porze nie jest najbezpieczniej — zauważyła Helena Kazimirowna.

— Ale to przecież tuż tuż, dosłownie dwa kroki — upierał się konsul. — To przynajmniej załóż kurtkę! Wieje od gór. Żona premiera mówiła mi, że jak dmie taki wiatr, to zdarzają się tu całe epidemie przeziębień.

— Bajki, kiciuniu... — powiedział Olsen, ale kurtkę włożył, żeby nie denerwować Heleny Kazimirowny.

Wyszedł na ulicę. Kosmonautów ulokował w normalnym dyniastym domu, który konsul nabył specjalnie na takie okazje, żeby nie mordować gości wytwornym, ale okropnie niewygodnym mieszkaniem w hotelu. Dom stał w tym samym kwartale, w odległości najwyższej dwustu metrów od biura konsularnego.

Ulica była zupełnie pusta. Gdzieś daleko słyhać było jadący wóz i odległy dźwięk dzwonka, którym stróż odstraszał złodziei od wielkiego sklepu na sąsiedniej ulicy.

Olsen postanowił nie brać samochodu, patrząc uważnie pod nogi, żeby nie wpaść w kałużę pomyj, które czasem jeszcze wylewano na ulicę, choć groziła za to wysoka grzywna.

Oto i dom dla przyjezdnych. Nad wejściem gwiazdka — symbol Centrum Galaktycznego.

Olsen uniósł głowę. W jednym z trójkątnych okien płonęło światło.

Popchnął drzwi. Wynajęty przez konsulat strażnik spał snem sprawiedliwego, siedząc na podłodze czule wtulony w ścianę.

Wszedł po kręconych schodach na piętro. Z okrągłego westybulu prowadziły drzwi do pokoiów, w których mieszkali kosmonauci.

Olsen zatrzymał się, a potem zapytał półgłosem:

— Przepraszaj, czy tu może ktoś jeszcze nie śpi?

Prawie równocześnie otworzyły się drzwi dwóch pokoiów, jakby ich mieszkańcy niecierpliwie czekali na wizytę konsula.

— Co jest? — zapytał miody kosmonauta ubrany tak, jakby się jeszcze nie kładł do łóżka. —

Coś nowego?

— Statek „Vacjus” nawiązał z nami łączność — oświadczył Olsen z ulgą. Dobrze zrobił, że tu przyszedł. Czekano na niego.

— „Vacjus”? Aha, załoga jest z Kriony — powiedział Salandri, który właśnie wyszedł z trzecich drzwi.

— Nic więcej nie wiem — mówił dalej Olsen. — Słowo honoru.

— Czemu tak stoimy? — spytał pierwszy inżynier. — Chodźmy do pokoju.

Olsen poszedł za nim. Okazało się, że w pokoju siedzi już pięciu ludzi. Nie bacząc na zmęczenie i na to, że cały dzień ciężko harowali na kosmodromie starając się uruchomić radiostację, załoga porwanego statku jakoś nie miała ochoty na sen.

— Czy wiadomo już, gdzie jest „Szkwał”? — zapytał drugi oficer.

— Dowiemy się jutro. WaraJu zacznie przesłuchania podejrzanych. To człowiek niegłupi i ciesząc się zaufaniem rządu.

Jego słowem zawtórował tępy odgłos uderzenia, a potem głuchy huk. Dom zadrżał w posadach, szklanki na stole zadźwięczały.

Olsen przeżył już trzęsienie ziemi i wiedział, że miejscowe domy są do takich wstrząsów znakomicie przystosowane. Kiedyś w dolinie na południe od miasta widział, jak niektóre domy-dynie waliły się na bok, ale żaden z nich się nie rozpadł.

Salandri podszedł do okna.

— To całkiem blisko — powiedział. Wychylił się z okna, chcąc zobaczyć miejsce, z którego dobiegł huk. Potem odwrócił się i oświadczył: —To całkiem blisko. Widzę pożar. Popatrzcie.

Olsen podbiegł do okna.

Palił się jego dom.

Dom konsulatu wyglądał dziwnie, zupełnie jak jajko, z którego wykluwa się pisklę przebijając górną część skorupki. Tyle że zamiast pisklęcia z szerokiego pęknięcia wydobywał się dym i tryskające ku niebu języki płomieni.

* * *

Helenie Kazimirownie na szczęście prawie nic się nie stało. Kiedy mąż wyszedł, ogarnął ją niepokój. Niels jest sam na pustej, ciemnej ulicy... Przy całym swym roztargnieniu... Wyobraziła sobie jak błądzi, miota się po mieście, jak napadają go zbójcy... Narzuciła płaszcz, wybiegła z domu i popędziła w stronę domu dla przyjezdnych. Tylko zapytam strażnika czy tędy przechodził, tłumaczyła się sama przed sobą i natychmiast wracam do domu. To, że ona sama znalazła się na nocnej ulicy wcale jej nie przerażało. Przez wiele lat wspólnego życia przywykła do tego, że jej nic się nie może przydarzyć, bo wszystkie przykre niespodzianki spadały wyłącznie na jej Nielsa.

Była już jakieś pięćdziesiąt metrów od konsulatu, kiedy nastąpiła eksplozja.

Fala podmuchu cisnęła ją na jezdnię, a że upadek był niespodziewany i bolesny, Helenie Kazimirownie wydało się, że napadli ją bandyci i obalili uderzeniem w głowę, chyba podobnie jak tego nieszczęsnego archeologa... Upadłszy zasłoniła więc głowę rękami, chroniąc ją przed następnym ciosem.

„Nic się jednak nie stało. Grzmot ucichł, ustępując miejsca narastającemu trzaskowi brzęcącemu tak, jakby ktoś za nią łamał patyczki, tysiące, setki tysięcy drobniutkich patyczków.

Helena Kazimirowna usiadła i obejrzała się.

Płonął jej dom.

Jego górna część znikła, a z dziury waliły kłęby dymu podświetlone złocistymi płomieniami.

— Mój Boże — powiedziała na głos. — Co za szczęście, że Niels poszedł do kosmonautów.

Wstała rozcierając ręką stłuczone kolano. Okna w sąsiednich domach otwierały się, ukazując zaspane twarze mieszkańców. Dom palił się jak pochodnia, bo stara drewniana konstrukcja dymy zdążyła wyschnąć na pieprz. Kawalki tynku odpadały od ścian i ze stukotem spadały na bruk.

Helena Kazimirowna nie wróciła do domu, tylko pospieszyła dalej, bo cóż mogła sama zrobić na pogorzeliśku?

Po kilku krokach natknęła się na męża i kosmonautów, którzy biegli jej na spotkanie.

— Lena! — krzyczał z daleka Olsen. — Zdażyłaś! Dziękuję... Płakał i tulił ją do siebie, a kosmonauci popędzili dalej, chcąc gasić pożar. To jednak było niemożliwe i nawet strażacy, których wóz przyjechał nadszodziejanie szybko, niczego nie mogli zrobić. Czekali, aż dom się dopali, żeby zalać wodą tłące się jeszcze kawalki drewna.

Na miejsce pożaru przybyli też szybko różnej rangi urzędnicy. Wydarzenie było na tyle niezwykle, że usprawiedliwiało pogwałcenie etykiety nakazującej spędzać noc w zaciszu domowym. Nawet Jego Potężność Głównodowodzący Wojskami raczył się zjawić w otoczeniu oficerów. Był przerażony i wściekły. W ostatnich dniach stracił twarz, bowiem statek porwano z pomocą jego wozu bojowego, który wsiąkł razem z załogą jakby się pod ziemię zapadł. Rozkazał wprawdzie aresztować wszystkich dowódców wojskowego parku maszynowego, co naturalnie nic nie pomogło, chociaż podczas tortur (był to normalny na Pe-U sposób prowadzenia przesłuchań) oficerowie przyznali się absolutnie do wszystkiego.

WaraJu, mimo nocnej pory i tempie w jakim znalazł się na miejscu wydarzenia, ubrany był w nieskazitelny mundur. Widać zdawał sobie sprawę z tego, że napotka tam ważne osobistości. Wraz z nim przybyli ochroniarze, jakieś pięćdziesiąt sztuk, którym kazał otoczyć cały kwartał i nikogo nie dopuszczać do zgliszcz domu. Jego eksperci zaczęli już grzebać w rozżarzonych resztkach, ponieważ dowódca Straży Miejskiej był przekonany, iż wybuch i pożar nie mógł być dziełem przypadku. Obwinił o wszystko zwolenników Pruga Brendyjskiego, którzy nie życzyli sobie funkcjonowania łączności z „Vacjusem”. Przepraszał też konsula gorąco, że nie zareagował na jego telefon i powiedział, że surowo ukarze swojego sekretarza. To jednak niczego nie zmieniało i Olsen nie omieszkał mu tego powiedzieć.

Z domu właściwie nic nie pozostało. Olsen bardzo żałował utraty kolekcji etnograficznej, którą zbierał przez wiele lat, a najbardziej nie mógł przeboleć zniszczenia swoich rękopisów. Tego już się nie uda odtworzyć. A w dodatku zagłada tego, co przez tyle lat wypracował obrażała zdrowy rozsądek, gdyż sprawcy wybuchu i pożaru najmniej myśleli o sprawach tak oderwanych jak dobre samopoczucie konsula czy też jego rękopisy.

Helena Kazimirowna zachowywała się jak królowa i patrząc na wyraz jej twarzy możnaby przysiąc, że cała ta krzątanina wokół pożaru zupełnie jej nie interesuje. Szczególnie znudzona była wówczas, gdy dwukrotnie musiała odpowiadać na te same pytania. Najpierw męczył ją WaraJu, którego interesowało czy nikt nie wdarł się do domu: przecież bombę trzeba było jakoś wnieść do środka i ukryć. Potem o to samo pytał wspaniale przyodziany generał ze świty Jego Potężności. Stosunki między Jego Potężnością a dowódcą Straży Miejskiej były ostatnio napięte, co nie może dziwić, skoro w ciągu trzech ostatnich dni wydarzyły się dwa poważne incydenty. Właściwie trzy, jeśli dołączyć do tego zniknięcie archeologa. I nic. Przestępcy czuli się w mieście jak u Pana Boga za piecem, jakby otaczał ich opieką ktoś z bardzo wysokich sfer. Jego Potężność sądził, że górale mają swojego człowieka w straży, zaś WaraJu obarczał odpowiedzialnością za wszystko Jego Potężność i podległą mu armię.

W końcu obie ekipy doszły do zgodnego wniosku, że bomba została podłożona pod dom albo na jego parterze, gdzie wejść mógł właściwie każdy — konsul i Helena Kazimirowna zostawali na noc sami w niestrzeżonym budynku. Konsul wychodząc do kosmonautów mógł przy tym nie

zamknąć drzwi, bo jego roztargnienie było przysłowiowe. Między jego wyjściem a chwilą, kiedy Helena Kazimirowna wybiegła na ulicę minęło piętnaście minut, a więc dość czasu na to, żeby podpalić dom.

— Niepokoi mnie co innego — powiedział WaraJu pochylając nad konsulem swój długi nos i patrząc mu zgodnie z wymogami etykiety w sam środek piersi. — To, że tak precyzyjnie wybrano czas zamachu. Dokładnie w momencie nawiązania łączności ze statkiem. Komu, poza moim sekretarzem, pan o tym mówił?

— Nikomu.

— Ale przecież kosmonauci wiedzieli, prawda? A sekretarza kazałem zatrzymać i natychmiast przesłuchać. No więc?...

— To wykluczone — oświadczył Olsen. — Między momentem, kiedy im to powiedziałem, a wybuchem pożaru minęło najwyżej pięć minut...

— Pozostaje zatem centrala telefoniczna — powiedział w zadumie WaraJu. — Jestem zmuszony teraz pana opuścić...

Odwrócił się i nie pożegnawszy Jego Potężności pospieszył do swojego samochodu.

Świtało. Tłuste płaty sadzy poruszonej przez gorliwych ekspertów WaraJu leniwie krążyły w powietrzu. Wystraszeni sąsiedzi, którzy w mocno niekompletnych strojach stali cicho rozmawiając za ogrodzeniem posesji, teraz powoli zaczęli rozchodzić się do domów. Wozy straży pożarnej, ozdobione żółtymi smokami, związały węże i szykowały się do opuszczenia pogorzelniska. Jego Potężność raz jeszcze wyraził Olsenowi i jego małżonce swoje najwyższe współczucie i oświadczył, że dziś jeszcze premier dowie się o tym godnym pożalowania wydarzeniu i rzecz jasna zrefunduje wszelkie poniesione przez szanownego pana konsula straty. Konsul uprzejmie podziękował za te słowa — choć jego strat już nikt nie mógł wyrównać.

* * *

Stary wojownik KraJu, rozkazem Pruga pozostawiony w martwym mieście, spędził niewygodną, zimną i mroczną noc. Urządził się na pierwszym piętrze domu, z którego pozostał róg dziesięciometrowym zębem zwisający nad placikiem. Widział stamtąd czarną plamę wejścia do podziemi. Było daleko, ale nie udało mu się bliżej znaleźć odpowiedniej kryjówki.

Było mu zimno, a w dodatku dołem kilka razy przeciągnęły stada wilków. To „były silne, dzikie zwierzęta i KraJu nie chciał, żeby go zauważyły.

Kiedy rano zobaczył, że archeologowie wyłonili się z podziemi, natychmiast zameldował o tym na statek. DrokU powiedział, że wojownicy już wyruszyli.

* * *

Archeolodzy spędzili noc w towarzystwie amlaków. O świcie ich nowi znajomi opuścili tunel.

— Ludzkość nie jest samotna — powiedział Lwin, patrząc jak amlaki, ostrożnie się rozglądając, wyślizgują się z podziemi i kierują się ku ruinom. — Mnożą się nam kuzyni.

Focjusz van Kuun popatrzył w niebo w nadziei, że dostrzeże tam gwiazdeczkę spieszącego na pomoc statku, ale nic nie zobaczył. Zerknął na niemowlaka z zabandażowaną i zaklejoną plastrem rączką, wyciągnął do niego dłoń, poruszył palcami i powiedział „Hu, hu!” w przekonaniu, że każde niemowlę będzie uszczęśliwione kiedy on, Focjusz van Kuun, powie do niego „Hu, hu!”. Ale dzieciak rozpaczliwie się rozwrzeszczał, zaś jego matka zaczęła coś z niepokojem mamrotać.

Wyszli na otwartą przestrzeń. Amlaki zaczęły natarczywie wyjaśniać Brownowi, którego uznały za wodza plemienia, że już najwyższy czas, aby mogły zająć się swoimi sprawami.

— Uważaj na niego — powiedziała Elsa do matki niemowlęcia. — Byłoby najlepiej, gdybyś jutro z nim do mnie przyszła.

Zacząła pokazywać, że niemowlę należy przynosić na zmianę opatrunku. Matka oczywiście nic z tego nie rozumiała i pociągnęła dwójkę swoich dzieci do kępy drzew rosnących na wzgórzu pośrodku miasta. Reszta hordy nie oglądając się pospieszyła za nią.

— Powinniśmy się nimi opiekować — powiedział van Kuun. — To nasz obowiązek.

— Focjusz, odłóżmy samarytańskie uczynki do bardziej sprzyjających czasów — poradził Brown poważnie. — Bierz skrzynki z nabojami.

Ładowali do łazika broń znalezioną i wypróbowaną w podziemiach. Broń była w znakomitym stanie, co było o tyle zrozumiałe, że ci, którzy ją tam ukryli zabezpieczyli ją przed zniszczeniem niezwykle starannie.

Fakt zaopatrzenia się przez archeologów w broń nie oznaczał naturalnie, że zamierzali wymordować wojowników Pruga. Nie, mieli zupełnie odmienny plan. Zamierzali po prostu dotrzeć do grawilotu zanim bandyci wyruszą na poszukiwanie arsenałów i narobić takiego rabanu, żeby nie mieli odwagi wysunąć nosa na zewnątrz.

Nie wiedzieli, jak długo ma to oblężenie potrwać, ale spodziewali się zatrzymać wrogów do czasu nadejścia pomocy. Powinna to być kwestia godzin, a w najgorszym wypadku dni.

Ulokowali się w łaziku akurat wtedy, kiedy wóz WosenJu ruszał już w kierunku podziemi. I gdyby zatrzymali się jeszcze bodaj na dziesięć minut, sprawy przybrałyby zupełnie inny obrót.

Gdyby ktoś spojrział na miasto z lotu ptaka, zobaczyłby, jak jeden z łazików powoli przedziera się w kierunku podziemi, zaś drugi pełźnie na jego spotkanie.

* * *

Kiedy na Ar–A dopiero zaczynało świtać, w stolicy Pe–U panował już jasny dzień.

Śmiertelnie zmęczony Olsen pojechał z kosmonautami do Szkoły Wiedzy, gdzie w Instytucie Elektroniki obiecano przygotować im detale i narzędzia, przy pomocy których będą mogli naprawić urządzenia łącznościowe.

— No dobrze — mówił Olsen, spierając się sam ze sobą. — Załóżmy, iż wiedzieli, że w konsulacie jest radiostacja i Prug, nieprawdopodobnie przezorny, rozkazał ją zniszczyć... Czy to możliwe?

— Możliwe — potwierdził Salandri. — Zastanawiające jest jednak co innego: dlaczego nie wysadzili konsulatu w powietrze od razu? Skąd wiedzieli, kiedy zostanie nawiązana łączność z Kosmosem? Ten pański WaraJu ma rację, że śladów trzeba szukać w centrali telefonicznej. Czasu mieli niewiele, ale dość, żeby zorganizować ten zamach. To przecież nieduże miasto.

Szkoła Wiedzy mieściła się w dyni dwukrotnie większej od normalnego domu mieszkalnego. Obok niej rozciągały się betonowe cielska laboratoriów.

Profesorowie Szkoły Wiedzy w błękitnych togach z zębatymi znakami Wyższego Wtajemniczenia na piersiach czekali już na nich w cieniu dyni. Mówiąc prawdę, ciało profesorskie nie było teraz nikomu do niczego potrzebne, ale fakt, że Flota Kosmiczna zwróciła się do Szkoły Wiedzy z prośbą o pomoc miał znaczenie symboliczne. Szkoła Wiedzy była jednym z najpewniejszych sojuszników Centrum Galaktycznego na Pe–U. Nie stanowiąc klanu uważała się za klan nowego typu nie oparty na więziach krwi, lecz na fanatycznym przywiązaniu do Nauki. Dlatego też dla Szkoły Wiedzy zniknięcie archeologa, jej uczonego gościa, stanowiło głęboką obrazę. Podobną obrazą był też dla niej zamach na osobę i wyniki prac naukowych

Olsena.

— Co tu się dzieje? — zapytał jeden z pilotów. — Nie mamy czasu na uroczyste zebrania.

— Nie mamy — zgodził się konsul, który lepiej od wszystkich rozumiał, o co tu właściwie chodzi. — Ale jeśli okażemy nieco cierpliwości, to dostaniemy wszystko, co nam jest potrzebne.

Władca Szkoły Wiedzy, mąż o siwych wąsach sięgających niemal do ziemi, stary przyjaciel Olsena, przywitał go z otwartymi ramionami. Szlochał i nie ukrywał łez. Był prawdziwym mężczyzną, a tylko kobiety ukrywają swoje wzruszenia. Olsenowi również zwilgotniały oczy. Jak potem wyjaśnił kosmonautom, płakał jedynie ze względów etykietalnych, ale tak naprawdę to poczuł głęboką ulgę mogąc wypłakać się na piersi człowieka, który rozumiał bezmiar jego nieszczęścia i podzielał jego rozpacz.

Potem procesja przypominająca do złudzenia pogrzeb bez nieboszczyka udała się do Laboratorium.

Kosmonauci bardzo się zdziwili na widok skarbów leżących tam bezużytecznie w oczekiwaniu na przyszłe odkrycia przyszłych miejscowych Newtonów. Nawet Olsen nie miał pojęcia, jakie cuda zgromadzili uczeni mężowie w magazynach Szkoły. I kiedy otoczony jęczącymi z rozpacz profesorami opowiadał o skali swojego nieszczęścia, nieszczęścia zarówno osobistego, jak i niosącego niepowetowane straty dla miejscowej filologii i etnografii, kosmonauci jak dzieci w sklepie z zabawkami buszowali z wciąż rosnącym optymizmem w gościnnie otwartym magazynie.

Kiedy po jakichś trzech godzinach przeciążony samochód Olsena w towarzystwie wozu należącego do Szkoły jechał w kierunku kosmodromu, drugi oficer, Pisarenko, powiedział triumfalnie:

— Zrobi się, co? Z tego majdanu można zbudować parę radiostacji!

* * *

Inbuke, kapitan „Vacjusa”, wychudł przez ostatnie dni jeszcze bardziej.

Łączność z Pe-U ustala i wszelkie próby jej ponownego nawiązania okazały się nieskuteczne. W tej sytuacji zebrał na mostku wszystkich swoich pilotów, mechaników i nawigatorów.

— Konsul Centrum Galaktycznego na Pe-U, z którym rozmawiałem podejrzewa, że statek „Szkwał” został uprowadzony przez porywaczy na planetę Ar-A w tym samym systemie — powiedział. — Nie ma co do tego całkowitej pewności, a łączność po rozmowie z konsulem została w sposób niewytłumaczalny zerwana.

Oficerowie siedzieli nieruchomo na niskich fotelach. Nie bacząc na to, że Kriończycy lubią powtarzać, iż mają w pogardzie wszelką etykietę, w życiu kierują się sztywnymi zasadami postępowania, zasadami, których już po prostu nie dostrzegają, a nawet negują ich istnienie. Dlatego też żaden z oficerów (z wyjątkiem drugiego nawigatora) nie śmiał otworzyć ust, dopóki kapitan mu na to nie pozwolił.

Siedzieli więc nieruchomo jak posągi, ubrani w jednakowe szare mundury z emblematami Floty Kosmicznej wyhaftowanymi przez ich żony, tkwili pod portretami najśłynniejszych kapitanów ze swojej planety, wszystkimi równie szczupłymi, poważnymi a nawet chmurnymi.

— Mamy w tej sytuacji dwa wyjścia: zmienić kurs i skierować się na Ar-A lub kontynuować lot ku planecie Pe-U. Sądzę, że w istniejących okolicznościach właściwsze jest utrzymanie dotychczasowego kursu i dalsze próby nawiązania łączności z Pe-U. Urowadzenie statku na Ar-A jest tylko nie potwierdzoną hipotezą, podczas gdy zamknięcie konsulatu świadczy o tym, że na samej Pe-U dzieje się coś niedobrego, że naszym towarzyszom grozi tam jakieś niebezpieczeństwo. Mam nadzieję, że umotywowałem swoją decyzję dostatecznie. Jeśli ktoś jest

innego zdania, a mam nadzieję, że taki ktoś się znajdzie, proszę go o wyrażenie swojej opinii z całą otwartością i pryncypialnością, którymi zawsze się chlubiśmy. Decyzja jest o tyle poważna, że być może nam, cywilnym kosmonautom przyjdzie... walczyć.

Kapitan zamilkł i milczał dokładnie trzy minuty. Reszta obecnych też milczała przez trzy minuty, ponieważ oczywiście nikomu nawet nie przyszło do głowy sprzeciwić się kapitanowi. Wszyscy byli szczerymi demokratami, wszyscy w głębokiej pogardzie mieli etykietę i jakiegokolwiek konwenanse, dlatego też bez żadnej etykiety i konwenansów zgadzali się zawsze ze swoim kapitanem. Gdyby było inaczej, już dawno by go usunęli ze stanowiska.

Po trzech minutach zebrani równocześnie wstali, bez słowa skłonili się kapitanowi, pochylili głowy przed portretami wielkich dowódców i opuścili mostek.

* * *

Andrew obudził się, zerwał z łóżka, ochlapał twarz w maleńkiej umywalce zainstalowanej w kącie kabiny i poczuł, że jest potwornie głodny.

W tej chwili z dziką rozkoszą narozrabiałby jak pijany zając, ale doskonale wiedział, że tej rozróbki nikt na statku nawet nie zauważy.

Ta cała historia mocno go już zdegustowała.

Wszystko mogło sprawiać wrażenie dziecinnej zabawy w złodziei i policjantów, gdyby przy tym nie ginęli ludzie. Prugowi jego postępowanie wydaje się zupełnie normalne i honorowe. Wcale nie uważa się za zbrodniarza czy mordercę... Kiedy zastanawiamy się nad początkami cywilizacji, musimy dostrzegać nie tylko działanie praw ekonomicznych czy społecznych, lecz także psychikę każdego pojedynczego człowieka. Każdy człowiek z epoki kamiennej pozostawał dzieckiem, choćby nawet dożył stu lat, a jego reakcje też były reakcjami dziecka... Prug też gotów jest poświęcić życie, żeby spełniło się jego dziecinne marzenie o królewskiej koronie. A co zamierza potem? Umrzeć na tronie? Czyż byłby to zgon wygodniejszy niż śmierć w miękkim fotelu i bez ciężaru korony na głowie.

„Nietrudno jest — pomyślał Andrew — wytłumaczyć każdego prymitywnego złoczyńcę... Nie, nie wytłumaczyć, tylko wyjaśnić mechanizm jego postępowania. Usprawiedliwić czy nie, to już nie nasza sprawa. Naszą sprawą jest zrozumieć mechanizm, a zrozumiawszy — zlikwidować zagrożenie”.

To jednak było tylko jałowe teoretyzowanie, gdyż po raz drugi w życiu — za pierwszym było to wydarzenie, które wyłączyło Andrew z zespołu pilotów — znalazł się w sytuacji, wobec której był całkowicie bezradny.

Właśnie to sobie uświadomił, gdy szczęknął zamek w drzwiach i do kabiny wszedł jak do siebie DrokU. Spokojnie i pewnie.

— Muszę z panem porozmawiać — powiedział w lincosie.

— Skąd pan zna język galaktyczny? — zdumiał się Andrew.

— Nauczyłem się.

— Był pan w Centrum?

— Na stażu, na kursie zarządzania — odparł DrokU. — Ale mówiąc szczerze dawno się lincosem nie posługiwałem. Cztery lata spędziłem w górach, a przez ostatni rok siedziałem z Prugiem w stolicy. Zdziczałem.

— Dziwny z pana człowiek. Kim pan jest?

— Powinien mi pan zaufać. Musiałem się maskować, dopóki nie przekonałem się, że można na pana polegać. Moja sytuacja jest o wiele niebezpieczniejsza niż pańska. Jeżeli ktoś dowie się o naszej rozmowie, Prug natychmiast mnie zabije. To mogę panu zagwarantować.

— A więc kim pan jest?

— Jestem zastępcą szanownego WaraJu, dowódcy Straży Miejskiej. Moje prawdziwe nazwisko nic panu nie powie, proszę więc nadal zwracać się do mnie DrokU...

Zamilkł, a potem ciągnął z uśmiechem:

— Czemu mnie pan nie pyta, co mnie łączy z Prugiem? — W jego gestach i mimice kryła się pewna nonszalancja wynikająca z nadmiaru siły, z umiejętności błyskawicznego reagowania, ze zdolnością do stawania się niebezpieczną górą mięśni. — Wiem, że ma pan ochotę się tego dowiedzieć, odpowiadam więc. Prug nas od dawna interesował. Jest najbardziej malowniczą, zdolną i energiczną postacią gór. Postanowiliśmy wprowadzić naszego człowieka do jego otoczenia, żeby mieć nad nim kontrolę. Ja właśnie jestem tym człowiekiem.

— I chce pan powiedzieć, że nie zauważyliście przygotowań Pruga do porwania statku?

— Nie jesteśmy wszechwiedzący. Tym razem okazał się sprytniejszy. Ale jego triumf nie będzie długi. Sam pan wie o tym lepiej ode mnie.

— Trudno mi w to uwierzyć — powiedział Andrew.

DrokU wstał.

— Nie wiem, czy na wiele zdołam się panu przydać. Ja też chcę żyć. Ale sądzę, że do jutra coś wymyślimy. Najważniejsze, żeby nie zdążyli dotrzeć do arsenału. Jak pan sądzi, kiedy przybędzie na pomoc statek Floty Kosmicznej?

— Proszę mi zadać jakieś łatwiejsze pytanie — uśmiechnął się Andrew.

— Do widzenia. Myślę, że teraz będę potrzebny Prugowi.

— Chwileczkę — powiedział Andrew. — Jeżeli rzeczywiście jest pan tym, za kogo się pan podaje, to czemu pan Pruga nie unieszkodliwi?

— Nie mogę go zabić. Nie wolno mi.

— Nie mówię o zabijaniu. Są przecież inne sposoby. Co pan zamierza zrobić?

— Wysłuchać pańskich rad, DreJu. I nie spieszyć się. Sądzę, że teraz przede wszystkim trzeba pilnować, żeby nie zabili kogoś z archeologów. A jeśli idzie o arsenały, to niech z nich biorą wszystko, na co mają ochotę. I tak nie zdołają niczego wykorzystać. — I DrokU znów się uśmiechnął. Jak przystoi prawdziwemu góralowi miał wspaniałe zęby.

— Są jakieś nowe wiadomości?

— Niewiele. Wyśledzili archeologów, którzy dali się podejść jak kurczęta. Prug zostawił w mieście myśliwego i archeologzy wskazali mu mimo woli wejście do podziemi. Teraz WosenJu pojechał tam, żeby zasłużyć sobie na sławę. I na życie.

— Na życie?!

— Jasna sprawa. Potrzebny był Prugowi jedynie na Pe-U, a teraz... Teraz zginie bez śladu. Jest obcy. I może się wygadać, żeby ratować własną skórę.

„Wcale mi go nie żal — pomyślał Andrew. Powinienem być humanitarny, kochać ludzi, bo w myśl wielkiej mądrości Galaktyki życie ludzkie jest wartością najwyższą i nienaruszalną. Aleja chcę, żeby WosenJu zginął”.

— Nie żałuje go pan — zauważył DrokU. — Pan uważa, że to on zabił pańską kobietę.

— A to nie on?

— Nie było mnie przy tym. Być może zrobił to inny człowiek Pruga. Idę, kolego. Prug już się pewnie obudził i źle się czuje. Nawdychał się za dużo kadzidlanego dymu. Nerwy odmawiają mu posłuszeństwa. Zamknę drzwi, bo ktoś mógł zauważyć, że tu wszedłem.

Zwinnie wstał z fotela.

— Momencik — powiedział Andrew. — Nie wiem, czy Prug rzeczywiście chce nas zgładzić, ale wszyscy wasi jeńcy są w kiepskim stanie. Sądzę po sobie.

— A co się stało?

— Wczoraj nikt nie pomyślał, żeby nas nakarmić, a i dziś wygląda na to, że sytuacja się nie zmienia.

— A niech to! — wykrzyknął DrokU. Był szczerze zdziwiony. Zupełnie zapomniał o tym, że ludzie z gwiazd mają zgubny nałóg jedzenia. Przynajmniej od czasu do czasu...

— Idziemy! — zdecydował. — Pan przodem.

Wyszli na korytarz i szybko dotarli do kambuza. W kambuzie było pusto.

— Niech pan bierze, co panu potrzebne — powiedział DrokU. — I proszę jak najszybciej wracać do swojej kabiny. Jeśli pana złapią, będę miał nieprzyjemności. A ja już nie mam czasu.

Szybko odszedł.

Andrew zaczekał, aż kroki nieoczekiwanego sojusznika ucichną, potem ostrożnie zgromadził swoją zdobycz w jednym miejscu. Śmierć głodowa już mu nie groziła.

Teraz musiał dostać się do biblioteki. Miał nadzieję, że tamte regiony statku nadmiernie nie interesowały dzielnych chłopców Pruga.

Do biblioteki prowadziło wejście z korytarza, ale były tam jeszcze jedne drzwi łączące ją z mesą. Nigdy ich nie używano i jak zauważył Andrew teraz były zastawione fotelem Pruga.

Droga do biblioteki minęła bez żadnych niespodzianek.

Andrew na palcach przeszedł przez pomieszczenie zastawione regałami i przycisnął ucho do drzwi.

Pojawienie się sojusznika było zbyt nieoczekiwane, aby nie wzbudzać podejrzeń, więc Andrew bardzo chciał się dowiedzieć, o czym DrokU będzie rozmawiał z Prugiem. Bardzo też pragnął mu zaufać, bo człowiek zawsze pragnie komuś ufać... Ale łatwowierność z kolei mogła zbyt wiele kosztować.

Zdażył do biblioteki na czas.

DrokU rozmawiał z Delfinem Brendyjskim i była to rozmowa co najmniej dziwna.

* * *

Wyładowując części, narzędzia i aparaturę z samochodu i przenosząc ją do wnętrza uprzątniętej już dyspozytorni, kosmonauci szaleli jak małe chłopaczki. Olsen na ten widok pomyślał sobie, że przecież rzeczywiście są okropnie młodzi, dwa razy młodszy od niego. Teraz, w przerwie między lotami powinni sobie poganiać za piłką. Był pewien, że naprawią radiostację i że na najbliższy czas to zadanie przesłoni im wszelkie inne problemy. Problemy, które samemu Olsenowi spędzały sen z powiek.

Wozem należącym do Szkoły Wiedzy przyjechali miejscowi technicy i konsul przez całe czas musiał służyć im za tłumacza, ponieważ ich pomoc okazała się bardzo kosmonautom przydatna.

Kosmonauci wykorzystali rozbity korpus radiostacji oraz ocalałe detale i zaczęli montowanie nowego urządzenia. Twierdzili, że radiostacja będzie pracować nie gorzej niż spalony nadajnik z domu Olsena.

Na kosmodromie od czasu do czasu zjawiali się goście.

Najpierw przyjechał Najmądrzejszy, zwierzchnik Szkoły Wiedzy. Chciał sprawdzić, jak posuwają się prace i czy przydają się jego technicy, a przy tym miał ochotę raz jeszcze wyrazić swoje współczucie Olsenowi. Nie zdążył jeszcze odjechać, kiedy na kosmodromie pojawiła się kuchnia polowa, najprawdziwsza w świecie kuchnia polowa podobna do starożytnego karawanu przystrojonego obficie kwiatkami. Rytuał wydawania posiłków był w miejscowej armii niezmiernie skomplikowany i kwiaty zdobiące kuchnię polową były tego rytuału nieodłączną częścią. Kucharze, którzy przybyli karawanem, byli nader zde gustowani faktem, że kosmonauci pospiesznie spałaszowali najwytworniejsze potrawy z kuchni oficerskiej, ani myśląc o

przestrzeganiu bodaj elementarnej etykiety. Olsen starał się to nadrobić, zwijał się za wszystkich jak w ukropie, ale oczywiście nie był w stanie uratować sytuacji: w pamięci kucharzy armii Jego Potężności załoga „Szkwału” zapisała się jako ludzie skandalicznie źle wychowani.

Potem pofatygował się na kosmodrom również Jego Potężność we własnej osobie. Przyjechał wozem pancernym, skłonił się łaskawie wszystkim i obszedł dokoła na wpółrozwaloną wieżyczkę dyspozytorni. Potem równie nieoczekiwanie jak się pojawił opuścił kosmodrom, pozostawiając na nim pięciu uzbrojonych w karabiny żołnierzy. Żołnierze ustawili się na obwodzie placu, na którym odbywał się montaż radiostacji i zamarli w bezruchu. Olsen popatrywał na nich z niejaką obawą, którą pogłębiło jeszcze przybycie WaraJu.

— A to po co? — zapytał WaraJu konsula. — Nie podoba mi się to... Powiedzieć dlaczego?

Podobny był do ptaka, który zauważył lisa skradającego się do jego gniazda i zamierza zapobiec knowaniom ryżego złodziejzka.

— Dlaczego? — zapytał Olsen.

— Dlatego, że Prug miał wóz bojowy, a wszystkie istniejące u nas wozy bojowe są na stanie armii. Chciałbym złapać i przesłuchać tego, kto dostarczył Prugowi ten wóz.

— Znalazł pan coś w centrali telefonicznej?

— Aresztowałem obsługę. Całą nocną zmianę — powiedział po prostu WaraJu. — Teraz rozmawiam z nimi moi ludzie. Myślę, że niedługo się wszystkiego dowiemy.

— A jak inni podejrzani? Czy wiadomo już, dokąd uprowadzono statek?

— Najprawdopodobniej na Ar-A... Choć nie są wykluczone inne możliwości.

— Na przykład?

WaraJu wzruszył ramionami.

— Czy jest jakaś nadzieja na uruchomienie radiostacji? — zapytał, patrząc na krzątających się kosmonautów, których sylwetki migały w szczelinach pierwszego piętra dyspozytorni.

— Chłopcy obiecują zrobić to bardzo szybko — powiedział Olsen. — W Szkole Wiedzy dostali wszystkie potrzebne części.

— Mieli tam coś takiego?

— Zamierzali zbudować własny ośrodek łączności galaktycznej, tylko się tymi swoimi zamiarami zbyt nie afiszowali.

— A ja o niczym nie wiedziałem — rozłożył ręce WaraJu. — To znaczy, że źle pracuję i trzeba mnie wypędzić.

— Powinien pan się cieszyć. Przecież zawsze stał pan po stronie nowego — uspokajał go Olsen.

— Ale nowe też trzeba śledzić. Bardziej jeszcze niż stare.

— Na razie nieprzyjemności mamy właśnie przez stare.

— Jutro będą też i przez nowe — powiedział z przekonaniem WaraJu. — To nowe przychodzi zbyt szybko. Niech pan popatrzy na nich — wskazał stojących nieruchomo żołnierzy. — Mają nową broń, a nasze Potężności są bardzo skore do wypróbowania broni, którą nie tu wynaleziono. Do czego użyją jej jutro? Może już dziś spożytkowują ją nie tak, jak należy. Dlaczego w chwili porwania statku był tu wóz bojowy? Komu arsenały są najbardziej potrzebne? Jego Potężności. Każda organizacja to żywe ciało, które pragnie zająć jak najwięcej miejsca dla siebie.

— Czyżby armia miała rywali?

— Choćby mnie — odparł WaraJu. — Troszczyć się o bezpieczeństwo państwa. I jeśli zagrożenie wyjdzie z szeregów armii, będę walczył z armią.

— Więc i pan potrzebuje nowej broni!

— Wystarczy mi ta którą już mam — powiedział WaraJu. Zobaczmy, co tam u naszych dzielnych kosmonautów.

Wspięli się na górę. Kosmonauci przywitali ich wesoło:

— Patrzcie — powiedział Salandri. — Powinno się udać.

Wnętrze dyspozytorni wyglądało jak pobożowisko, a nadajnik przypominał kłębowisko drutów i luźnych detali. Aż dziw brał, że kosmonauci i miejscowi technicy się w tym całym bałaganie orientowali.

— I to będzie działać? — zapytał z niedowierzaniem WaraJu.

— Proszę przyjechać za dwie godziny! — powiedział z przekonaniem Salandri.

* * *

Każdy chłopiec z dobrej rodziny w wieku piętnastu lat przechodzi obrzęd inicjacji. Nie ma prawa do miana szlacheckiego mężczyzny, jeśli nie pozna na pamięć świętych tekstów, które w dawnych, bardzo dawnych czasach przywieźli z Ar-A giganci i pozostawili przodkom mieszkańców Pe-U. Na Ziemi opowieści o przybyszach z Kosmosu znalazły się w świecie legend, będąc po prostu wyrazem ludzkich marzeń o istnieniu braci w rozumie czy tajemniczej Siły Sprawczej, natomiast na Pe-U giganci stanowili jeszcze część historii. I znajomość ich języka, który przeszedł już do sfery rytualnej, nie stała się jeszcze czysto obrzędowa. Właśnie w owych tekstach, nad którymi do dziś łamią sobie głowy mędrzy ze Szkoły Wiedzy i którym konsul Olsen poświęcił nader obszerny, niestety zniszczony w czasie pożaru artykuł, zachowały się w zaszyfrowanej formie wiadomości, jakie potem legły u podstaw miejscowej cywilizacji.

WosenJu znał język gigantów.

I nie dziwiło go to, że napisy w podziemiach były dla niego zrozumiałe. Bardziej był zaskoczony faktem, że nie wszystkie z nich potrafił odcyfrować.

Spieszył się. Szedł kilka kroków przed pozostałymi i promień jego latarki miotał się po ścianach, zamierając na żółtych i białych napisach, oświetlając wnęki i zakrety, zaglądając do sal i szybko obmacując ich ściany jasnymi kręgami. Wojownikom, którzy postępowali za nim wydawało się, że sługa ich wspaniałego pana tańczy tu swój czarodziejski taniec przyzywający duchy żyjące pod ziemią i bardzo chcieli się stamtąd wydostać, ale wiedzieli, że z tych ciemnic mają zabrać broń. I wielką władzę.

„Ścisłe tajne” — głosił napis nad wrotami zamykającymi korytarz.

Wrota nie były zaryglowane. Zaraz za nimi, jakby spiesząc do wyjścia, leżał szkielet człowieka spowity w szczątki odzieży. Szkielet rozsypał się, kiedy do wnętrza wdarł się powiew powietrza spowodowany otwarciem przez WosenJu wrót magazynu.

Wojownicy odskoczyli, bo w niepewnym świetle latarek wydało się im, że szkielet rzuca się na nich.

Tu, w najściślej strzeżonym pomieszczeniu arsenału ukryte były bomby.

* * *

Andrew podsłuchiwał rozmowę DrokU z Prugiem Brendyjskim.

Ton tej rozmowy przeczył wszelkim zasadom hierarchii służbowej.

Nadęty jak senna ropucha Prug siedział w swoim fotelu. Wydawało się, że ma głęboko w nosie wszystko, co się wokół niego dzieje.

DrokU miarowo krążył po mesie, pokonując skomplikowaną, wciąż tę samą trasę — wokół stolika szachowego do fortepianu, dookoła fortepianu, wzdłuż rzędu foteli za tronem, wokół tronu — i nie zatrzymując się ani na chwilę mówił:

— Zapominasz, że bez naszej pomocy nie zrobiłbyś najmniejszego ruchu. Jesteś tylko żalonym, ściganym pretendentem do nieważnego tronu. Gdyby nie my, już dawno dopadliby cię mordercy. Istniejesz tylko dlatego, że jesteś nam potrzebny. Ten układ jest korzystny przede wszystkim dla ciebie.

— Beze mnie też byście niczego nie dokonali.

— Nie wiadomo. W najgorszym razie znaleźlibyśmy sobie jakiegoś innego żądnego sławy i władzy wodza.

— Nie ma takiego poza mną.

— Tak sądzisz?

— A czego wy chcecie? Tej samej władzy i sławy.

— Mylisz się. Nam potrzebna jest inna władza i inna sława. Prawdziwa władza bez hałasu bębnow. Bębny, trony i korony pozostawimy tobie. Ciesz się nimi. Niechaj dzicy lirnicy opiewają twoje bohaterskie czyny w swoich pieśniach... Ale dość tego gadania. Będę rozmawiał z panem WaraJu. Powiem mu, że znaleźliśmy arsenał. Czasu nam ledwie wystarczy. Musisz teraz być zawsze przytomny, zawsze silny i gotowy do boju. Nie myśl, że sprawa jest prosta i już wygrana.

„WaraJu — powiedział do siebie Andrew. — Szanowana postać, dowódca Straży Miejskiej cieszący się zaufaniem rządu... Jak to historia lubi się powtarzać! Zawsze znajdzie się jakiś pierwszoplanowy aktor, który głośno krzyczy i wymachuje szabelką... A za jego plecami stoją ci, którzy nie lubią pchać się na scenę...”

DrokU wyszedł z mesy. Prug Brendyjski zamierzał wyjść za nim, ale zatrzymał się i zamyślił, stukając palcami w wieko fortepianu.

* * *

— Jak do tego mogło dojść? Jeszcze rozumiem, że w jakąś awanturę pakuje się górskie książątko, dziki człowiek. Ale ten cały WaraJu to przecież człowiek odpowiedzialny, który w dodatku ma wszystko, czego do życia potrzeba — dziwił się doktor, do którego Andrew przyszedł po wymknięciu się z biblioteki.

— W hierarchii społecznej stoi dość nisko — wyjaśnił mu Bruce. — Stanowisko też ma raczej niewysokie i w dodatku wywodzi się z rodu, który wcale nie należy do najlepszych domów stolicy. Wybił się dzięki swoim osobistym zdolnościom i sprytowi. Pięćdziesiąt lat temu nawet nie mógłby marzyć o takiej władzy, jaką dziś ma. Ale taka władza mu nie wystarcza, bo zrozumiał, że to jeszcze nie jest granica jego możliwości. Niegłupio to wymyślił, żeby załatwić całą sprawę rękami górskiego księcia. Górskiego, ale pozbawionego oparcia w swoim klanie.

— Na co liczy?

— Trudno dokładnie powiedzieć, ale spróbujmy pospekulować... Zjawia się statek. Nasz statek uzbrojony dość silnie, aby zniszczyć całą stolicę. Już dawno zrozumiałem, że plany Pruga dotyczą nie tylko jego górskiego księstwa, którego chyba w ogóle nie ma na mapie. A do rozegrania drugiego aktu dramatu potrzebny im jest swój człowiek w stolicy. W przeciwnym wypadku, nawet poradziwszy sobie z rządem. Prug i tak utraci całą przewagę, jaką osiągnie, kiedy tylko stanie na Pe-U. Będą tam na niego czekać. Nie będzie przecież ciągnął ze sobą bomby. W najlepszym razie sam się może na niej wysadzić w powietrze. Ale kiedy ma na miejscu człowieka czy organizację, która wykorzystując zamieszanie i panikę potrafi przejąć władzę, to co innego. Poza tym nie jest wykluczone, że WaraJu do końca będzie działał jako surowy przeciwnik anarchii i bezprawia, i spróbuje zagarnąć władzę nie jako sojusznik Pruga, lecz jako jedyna siła zdolna mu się przeciwstawić... Może nie mam racji, bo przecież nie wiem,

jak dalece Prug jest WaraJu powolny, do jakiego momentu jest mu się skłonny podporządkować.
DrokU wszedł do kabiny łączności.

* * *

Nie był nowicjuszem i dokładnie wiedział, co należy robić.

Zamknął i zaryglował za sobą drzwi, usiadł w fotelu radiotelegrafisty, na drugi fotel rzucił toporek, z którym jak na górala przystało nigdy się nie rozstawał, po czym włączył aparaturę i sprawdził ją. Wsunął kartę z programem szyfrującym. Kiedy nadajnik się dostrajał do zadanej częstotliwości uruchomił odbiornik i niemal natychmiast usłyszał wywołanie „Vacjusa”. Wywołanie było automatyczne — ciche brzęczał kod „Szkwału”. Nie wyłączając głośnika wezwał Pe-U.

— Zaczynam nadawanie — powiedział. — To ty, WaraJu?

— Spóźniłeś się o trzy minuty! — warknął WaraJu. — Co się tam u was dzieje?

— Dobre wiadomości. Znaleźli.

— Kiedy możecie startować?

— Jak tylko wrócą.

— Spieszcie się.

— U was też coś się zmieniło?

— Naprawiają radiostację. Zbliża się statek Floty Kosmicznej „Vacjus”. Jak na razie nie wiedzą, gdzie jesteście, ale armia już wie. Jeżeli naprawią łączność, przechwycą was. Ile zajmie droga powrotna?

— Dwanaście godzin.

— Wojsko przysłało żołnierzy do ochrony radiostacji.

— Coś podejrzewają?

— Zawsze mnie podejrzewali. Wyśledzili mojego człowieka, który zorganizował porwanie wozu bojowego. Oczywiście przyznał się.

— Nie można go sprzątnąć?

— Pilnują go, ale spróbuję.

— Startujemy, gdy tylko łazik znajdzie się na pokładzie. Musisz coś zrobić, żeby Flota Kosmiczna nie zdążyła nas przechwycić. Inaczej wszystko pójdzie na marne.

— Wiem o tym lepiej od ciebie — powiedział WaraJu. Statek jest uzbrojony?

— To przecież lotnictwo cywilne. Co najwyżej załoga ma pistolet)

— W najgorszym razie będziemy się bić — powiedział DrokU. Może już pora, żebyś zaczął działać?

— Jeżeli jesteś przekonany, że wystartujecie w najbliższym czasie, to zaryzykuję. Wiesz, jakie to niebezpieczne. Teraz wszystko zależy od ciebie, DrokU.

— I od Pruga.

— Dlatego powierzyłem to zadanie tobie. Poza tym wszystko w porządku?

— Powiedziałem im, że jestem twoim agentem. I ich sojusznikiem

— Uwierzyli?

— A ty nie uwierzyłbyś temu, kto daje ci szansę przeżycia? Boją się śmierci.

— Wielu umarło?

— Niektórzy umarli...

— Czekam na ciebie, DrokU.

— Będę się spieszył.

* * *

Kapitan „Vacjusa” był w kabinie radiowej.

Jako fatalista wierzył, że powinno mu się udać. Wiedział, że w Kosmosie nikt dobrowolnie nie zrezygnuje z łączności i jeśli już ktoś zdecydował się na porwanie statku, to musiał przewidzieć możliwość łączności z bazą i prędzej czy później z tej możliwości skorzystać.

Czas płynął.

„Vacjus” siedł na Pe-U i z każdą sekundą oddalał się od Ar-A.

Kapitan Inbuke uparcie czekał i czuwał i kiedy odezwał się nadajnik „Szkwału” jego rozmowa z WaraJu została namierzona.

— Korespondent statku znajduje się na planecie Pe-U — poinformował kapitana radiooficer.

— Gdzie teraz znajduje się „Szkwał”? — zapytał kapitan.

Po chwili komputer podał koordynaty punktu na powierzchni Ar-A. Kapitan wezwał niezwłocznie nawigatora wachtowego i ogłosił przez interkom, że „Vacjus” zmienia kurs. Kapitan był fatalistą i ten fakt napawał go niejaką dumą.

Był przy tym zadowolony, że nie dał się zwieść logice.

Niestety, komputer pokładowy „Vacjusa” nie miał przystawki translacyjnej, więc treść przechwyconej rozmowy pozostała dla Krińców tajemnicą. Kapitan bardzo tego żałował, bo zdawał sobie sprawę z tego, że ta rozmowa oznaczała jakąś decyzję przeciwnika.

* * *

Załoga „Szkwału” pośpiesznie zjadła obiad i wróciła do rozgrzebanej radiostacji.

W mieście dobiegała już końca druga część dnia, było ciepło i wszędzie unosił się kurz. Żołnierze strzegący radiostacji wyglądali jak zardzewiałe słupy.

Olsen tkwił przy telefonie polowym. Dwa razy dzwoniło z kwatery Jego Potężności, potem odezwał się Przemądry ze Szkoły Wiedzy. Trzy razy telefonował WaraJu. Wszystkich interesowało jedno: kiedy radiostacja zacznie działać.

Więści o wydarzeniach na kosmodromie dotarły już do najdalszych miast planety i wywołały tam różne reakcje. Niektórzy obawiali się zemsty Centrum Galaktycznego lub tego, że ludzie z Centrum opuszczą Pe-U. Byli i tacy, którzy radzi byli z sukcesu Pruga Brendyjskiego. Nie było wprawdzie na ten temat żadnej oficjalnej informacji, ale panowało powszechne przeświadczenie, że Prug udał się na Ar-A, do ojczyzny gigantów. Bo dokąd właściwie, jeśli nie tam, mógł wielki wódz polecieć?

Olsen każdemu telefonującemu cierpliwie tłumaczył, że prace przy radiostacji zbliżają się do końca, że to już kwestia nawet nie godzin, tylko kwadransów. Potem wspiał się na pierwsze piętro dyspozytorni, gdzie rozbite okna przesłonięto prowizorycznie płåtami plastiku. Było duszno, ale te osłony były konieczne, żeby wiatr nie zasypał wszystkiego zwałami kurzu.

Kosmonauci padali ze zmęczenia — nie spali przez całą noc, pochłonięci gorączkową pracą. Doskonale jednak rozumieli, że najgorzej ma prawo czuć się Olsen, uspokajali go więc i zapewniali, że do zrobienia zostało już bardzo niewiele.

* * *

Oficer, który jeszcze trzy dni temu dowodził szwadronem wozów bojowych, zniknął zaraz po porwaniu „Szkwału”. Nie na długo, bo ostatniej nocy został zatrzymany w dolinie nad jeziorem.

Rano rozmawiał z nim sam Jego Potężność. Obiecał życie jemu i jego klanowi w zamian za prawdę. Inaczej zginie cały klan. Jego Potężność nie żartował.

Oficer poprosił o wodę. Był śmiertelnie zmęczony i chciał spać. Obiecał, że powie wszystko, aby tylko jego klan ocalał.

Jego Potężność opuścił celę, rozkazawszy swoim podkomendnym kontynuować przesłuchanie. Jemu wystarczyło imię, które wypowiedział zdradziecki oficer.

WaraJu.

Teraz potrzebne były dowody. Oficera, kiedy tylko wyśpiewa wszystkie szczegóły spisku, należy przewieźć do Pałacu Rządu.

Żołnierz przyniósł wodę i postawił kubek na stole.

Oficer łączywie wypił i natychmiast zwałił się martwy.

Jego Potężność jeszcze nie zdążył opuścić koszar, w których odbywało się przesłuchanie.

Zatrzymano żołnierza, który przyniósł wodę. Powiedział, że dostał ją od dyżurnego siedzącego w korytarzu.

Dyżurny nie żył. Wiedząc, czym ta sprawa dla niego się skończy, wsypał resztę trucizny do drugiego kubka z wodą i wypił.

* * *

Olsen wciąż jeszcze siedział przy telefonie. Mimo, że ze wszystkich sił starał się zwalczyć senność, to jednak zdrzemnął się wtulony w niski fotel. I przyśnił mu się radosny sen — znękany mózg chciał się pocieszyć bodaj we śnie. Przyśniło mu się mianowicie, że strażacy rozgrzebali zgłiszczą domu i odnaleźli wszystkie jego rękopisy, całe i nawet nie pomięte.

— Olsen! — zawołał Salandri odchylając róg plastikowej zasłony. — Może już pan do nas przyjść. Za kilka minut wypróbujemy naszego potwora.

— Lecę! — poderwał się Olsen. Zadzwoił telefon.

— Mówi WaraJu. Co nowego?

— Radosne wiadomości. Mamy łączność. Trudno w to uwierzyć, lecz chłopcy mówią, że za parę minut wszystko zacznie działać.

— Gratuluję — powiedział WaraJu. — Niestety, nie mogę przyjechać, jestem straszliwie zajęty. Pojawiły się nowe okoliczności... Ale chyba poradzicie sobie beze mnie?

— Oczywiście, że sobie doskonale poradzimy. Zrobimy wszystko jak należy.

WaraJu nie dzwonił z miasta. Jego samochód z telefonem stał w suchym lasku o dwa kilometry od kosmodromu. Drzewa szeleściły cienkimi igielkami i wydawało się, że to setki maleńkich werbli ogłaszają początek bitwy.

WaraJu pozwolił sobie na minutę odprężenia. Myślał.

Wyliczenie czasu powinno być absolutnie dokładne.

Im później rozpocznie ryzykowną akcję, tym mniej czasu zostanie do pojawienia się „Szkwału”. A on musi doczekać przylotu „Szkwału”...

WaraJu bardzo chciał żyć, ale równie silnie chciał zwyciężyć. Był hazardzistą. Hazardzistą o zimnej krwi i stalowych nerwach. Zwyciężał we wszystkich grach i wszystkich zakładach. Tak było zawsze, od najwcześniejszego dzieciństwa. Nigdy nie był lubiany, nawet w szkole, bo przecież nie lubi się ludzi, którzy biorą górę w każdym sporze a uchylają się przed walką wręcz woląc, żeby bili się za nich inni. Nie lubiano go także później w Ochronie, gdzie akurat odbywała się kolejna wielka reorganizacja. Przyszedł tam wprost ze szkoły. Przyszedł jako zwykły szeregowiec i okazało się, że jest bardzo zdolny.

Służba Ochrony, którą przeciwstawiono oddziałom klanowym, niezdyscyplinowanym,

niepewnym i warcholskim, miała za zadanie przejąć funkcje Straży Miejskiej zdominowanej przez kupców. Dlatego solidnie ją zreorganizowano. I dlatego potrzebowała na gwałt fachowców WaraJu był bardzo zdolnym młodym człowiekiem i miał skłonność do myślenia racjonalnego. Nic więc dziwnego, że kiedy wysyłano stażystów do Centrum Galaktycznego, to poza czterema arystokratycznymi oficerami Ochrony znalazł się wśród nich również WaraJu.

Kiedy po trzech latach wrócił — zmieniony, poważny i solidny mianowano go zastępcą jednego ze stażowych kolegów. Kolega był krewnym samego premiera. Nie lubił WaraJu, ale musiał oddać sprawiedliwość jego zdolnościom i użyteczności. Stopniowo w oddziale straży przyzwyczajono zwracać się do WaraJu ze wszystkimi sprawami i problemami. Jego szef kupił sobie większy dom i zaczął wydawać wytworne przyjęcia. A kiedy szybko przeniesiono go na wyższe stanowisko, czego naturalnie należało oczekiwać, to liczni kandydaci na stanowisko dowódcy tak się między sobą gryźli, że władzom nie pozostawało nic innego, jak tylko obsadzić wakujące miejsce WaraJu.

Około czterdziestki był już dowódcą Straży Miejskiej. Ale to było już szczytem jego możliwości awansu, nie bacząc na zdolności i zasługi. Nie należał przecież do elity rodowej. Odpowiednich przodków mógł sobie wprawdzie kupić, ale i tak ludzie, od których zależały jego losy doskonale znali jego pochodzenie, a poza tym go nie lubili. Zresztą WaraJu nie robił nic, aby go lubiano.

Drogę do prawdziwej władzy wskazał mu DrokU, jedyny naprawdę bliski mu człowiek. Łączył ich wzajemny szacunek i wzajemna obawa. Poznali się i zbliżyli w Centrum Galaktycznym — dwóch młodych ludzi z prowincjonalnej, zacofanej planety.

To właśnie DrokU zwrócił uwagę WaraJu na to, iż na Ar–A przyleciała ekspedycja archeologiczna. Wydawać by się mogło, że jest to sprawa jak najdalsza od zainteresowań dwóch oficerów policji. Jakaś tam ekspedycja archeologiczna na sąsiedniej planecie!...

Ale dla wszystkich mieszkańców Pe–U planeta Ar–A nie była zwyczajnym ciałem niebieskim, nie była tylko rozświetlającym nocne niebo księżycem. Życie jej mieszkańców wywarło przemożny wpływ na życie Pe–U, zagłada jej cywilizacji dokonała się całkiem niedawno, a ślady pożarów i kratery po wybuchach na jej powierzchni były widoczne jeszcze gołym okiem. Potęga i mądrość gigantów była więc czymś dla każdego oczywistym.

Trzeba jednak było mieć pełną fantazji i awanturnicznych pomysłów głowę DrokU, aby obecność archeologów na Ar–A wykorzystać dla siebie. Dwa czynniki — istnienie ambitnego, gotowego na wszystko dla zdobycia władzy księcia i wykopaliska na Ar–A połączył sobie w jedną całość jeszcze przed przybyciem Focjusza van Kuuna, bo wiadomości o odkryciach archeologicznych na planecie gigantów znacznie jego przyłot wyprzedziły.

DrokU porozumiał się z dowódcą Straży Miejskiej i zaczął działać. Najpierw posiał w duszy Pruga Brendyjskiego ideę zawładnięcia arsenałami Ar–A, które w przeciwnym razie trafią do Centrum Galaktycznego. Następnie skaptował dla swojego planu ambitnego i niezadowolonego z życia WosenJu.

Przyłot van Kuuna przyspieszył bieg wydarzeń. Archeolog przywiózł schematy wykopalisk, był źródłem dokładnych informacji.

To jednak nie wystarczało. Potrzebny był statek kosmiczny. Okazał się nim „Szkwał”.

Dalej wszystko było proste.

Van Kuuna wysłędzili i porwali ludzie Pruga.

Potem do gry włączył się WaraJu. Miał za zadanie unieszkodliwić Andrew Bruce’a oraz kapitana grawilotu i przekonać wszystkich, że archeolog został przez rabusiów utopiony w jeziorze.

Do Andrew strzelał agent WaraJu. Tylko jego agenci posługiwali się strzałkami z wyciętą

cechą. Tajna policja nowego typu nie miała zwyczaju przestrzegać staroświeckich zasad honorowych...

Siedząc przez minutę w pełnym bezruchu WaraJu przebiegł w myślach cały łańcuszek wydarzeń. I spróbował zajrzeć w przyszłość.

Jeżeli „Szkwał” startuje teraz z Ar–A, to jutro rano będzie na miejscu. „Vacjus” wyląduje na kosmodromie dopiero w południe. Spóźni się. Ale jeśli zmieni kurs na Ar–A, to dotrze tam za parę godzin. Los tak rozstawił tego dnia planety na orbitach. Dobry rozkład dla wygrywającego, fatalny — gdy się przegrywa.

A więc ryzykujemy!

— Ryzykujemy — powiedział WaraJu i nacisnął guzik na tablicy rozdzielczej swego samochodu.

— Gotowi? — zapytał.

— Gotowi — odpowiedziano.

— Jedziemy — rozkazał WaraJu kierowcy.

Ruszyli w stronę Wzgórz Cudu Doskonałego, skąd widać było kosmodrom.

* * *

— On tu zaraz przyjdzie — powiedział doktor.

— Też tak sądzę — zgodził się Andrew. — Denerwuje się, czeka na powrót łażnika. Nie ma pojęcia, czym się to skończy. Jeżeli wpadną, to powinien zatroszczyć się o własną skórę. Pomoże nam albo...

— Co?

Andrew uśmiechnął się:

— Albo pomoże pozornie, skłaniając do zdecydowanych działań. Jak przyjaciel i sojusznik.

— Nie rozumiem.

— Czego możemy się po nim spodziewać?

— Podłości! — wykrzyknął doktor.

— Nie ma pan racji, łaskawco. Ufnie czekamy na jego pomoc. Nie podejrzewamy nawet, jaką rolę odgrywa w całej tej historii i wijemy się w bólach niepewności... Miotamy się bezsilnie, nie wiedząc jak uratować porwany statek, jak ocalić życie. DrokU tego właśnie się po nas spodziewa, na to liczy.

— Ale paskudnie się przeliczy! Doktor aż się oblizal na myśl o zaskoczeniu DrokU. — Jeżeli pan pozwoli, sam mu to powiem.

— Nie pozwolę — zareplikował Andrew spokojnie.

— Nie powie mu pan?

— Wiedza to najcenniejszy skarb we wszechświecie. A znajomość utajnionych przez wroga informacji, to najcenniejsze dobro wojny, drogi doktorze. Im mniej wie on, a im więcej wiemy my, tym lepsza jest nasza sytuacja.

— Nie zgadzam się z panem! — zirytował się lekarz. — Uważam, że zabawa w chowanego z tymi typami jest poniżej naszej godności. To przecież mordercy. Nasza ludzka godność wymaga, abyśmy byli zupełnie szczerzy, bo w przeciwnym razie stoczymy się do ich poziomu i przestaniemy być sobą.

— Proszę mi wybaczyć, ale ja jestem na służbie — powiedział twardo Andrew. — Muszę strzec majątku Floty Kosmicznej i życia ludzi. Jeżeli w tym celu los zmusi mnie do przejściowego sojuszu z diabłem, to niestety wejdę w ten układ. W przeciwieństwie do pana nie mam kwalifikacji na bohatera bez zmayı.

Doktor spurpurowiał. Nikt nie lubi, kiedy się z niego śmieją.

— Nie przepadam za cynizmem — powiedział.

— De gustibus... — uśmiechnął się Andrew. — Zaapeluję więc do pańskiego rozsądku. Być może sojusz z DrokU, który uważa pan za haniebnym, pozwoli mi odzyskać częściową swobodę ruchów na statku. To dla mnie bardzo ważne. Nie mam wcale ochoty siedzieć w kajucie jak przysłowiowy indyk, który myślał o niedzieli...

Zauważywszy, że lekarz ponownie spurpurowiał z obrazy, dorzucił szybko:

— Proszę się nie gniewać, nie pana miałem na myśli. Chcę jeszcze coś dodać. Tylko do pana wiadomości. Zamierzałem ożenić się z dziewczyną urodzoną na Pe-U. Nazywała się PetriA. W dniu porwania statku zabili ją. Właśnie ci ludzie.

— Kto? — zapytał doktor.

— Wziąłem na siebie śmiertelną zemstę w imieniu jej rodziny. Jest tu taki prymitywny, barbarzyński zwyczaj”

— Kto ją zabił? Prug?

— Nie, on był wtedy u siebie... Zresztą to teraz nieważne.

Wszedł DrokU. Uśmiechał się jasnym, chłopięcym uśmiechem.

— Przyjaciele — powiedział, grając przekonująco rolę sekretnego sojusznika — sytuacja jest trudna, ale nie beznadziejna.

* * *

Włóczędzy leżeli na skraju płyty lądowiska. Niektórzy leżeli tam od dawna, a wciąż przybywali nowi. Kiedy podnieśli się i ruszyli do przodu, to wydawało się, że od ściany żółtego kurzu odrywają się hordy dzikich, przeraźliwie wrzeszczących posągów.

W tym tłumie rzeczywiście większość stanowili prawdziwi włóczędzy, grabarze, złodzieje i żebracy kupieni za darmową popijawę i parę nędznych groszy. Ale organizowali ten tłum, prowadzili go i zaopatrzyli w materiały wybuchowe agenci straży. Oczywiście oni też byli ubrani jak trzeba — w koszuliny włóczędzów obszyte muszlami, w śmieciarskie chałaty upstrzone pestkami, w kurtki grabarzy i w różnokolorowe wdzianka rabusiów inskrustowane żyłkami i kawałkami szkła, które błyszczały w promieniach zachodzącego słońca.

Żołnierze umęczeni staniem na upale, otepiali ze znużenia pogubili się i zbyt późno otworzyli ogień. Jeden z nich upadł celnie trafiony strzałką, pozostali runęli w stronę dyspozytorni.

Ze wzgórza, na którym stał WaraJu, sytuacja nie była zbyt dobrze widoczna. Wiał wiatr i kurz wzniecony setkami bosych nóg zasłaniał pole widzenia.

Olsen widział wszystko o wiele lepiej.

Po nocnym pożarze był przekonany, że ktoś na pewno będzie starał się zniszczyć również nową radiostację. Co więcej, był przekonany, że za tym zamachem będzie stał jeden z tych ludzi, którzy tak natarczywie teraz do niego wydzwaniali.

Wiatr oderwał plastikową zasłonę i przez wybite okno widać było dokładnie zbliżające się do dyspozytorni postacie. Żołnierze, ostrzeliwując się, właśnie do niej podbiegali.

— Włączaj! — wrzasnął Salandri do radiooficera, który coś tam jeszcze poprawiał w nadajniku.

— Dwie minutki! — odkrzyknął radiooficer. — Jean, pomóż mi! Nawigator rzucił się do niego.

Olsen obejrzał się i zobaczył, że dwóch żołnierzy przyklękło przed wejściem do kabiny łączności i wycelowało w tłum. Może i kogoś trafili, ale szalejąca tłuszczka na to nie zareagowała.

Jeden z kosmonautów odrzucił zasłonę z drugiej strony.

— Są już blisko! — krzyknął.

— Na górę! — rozkazał żołnierzom Olsen. — Idźcie na górę.

Żołnierze skwapliwie usłuchali. Wbiegli po schodach. Jeden z nich upadł. Potem podniósł się i zaczął wpełzać wyżej. Olsen chciał mu się rzucić na pomoc, ale Salandri go powstrzymał.

— Nie zdąży pan!

Miał rację, tłum był tuż tuż... Pochłonał rannego. Pozostali żołnierze pędzili po schodach.

Salandri krzyknął do radiooficera, który jeszcze nie uruchomił nadajnika:

— Przekaż łączność konsulowi. Będę na schodach!

Za nim pobiegło jeszcze trzech kosmonautów. Czwarty pozostał na miejscu, pomagając w nawiązaniu łączności.

Ryk tłumu przybliżał się i był tak głośny, że trudno było rozmawiać.

Olsen raz jeszcze wyrzwał przez okno i nie zdążył odskoczyć kiedy koło ucha gwizdnęła mu kula. Strzelał ktoś z tylnych szeregów, ale chybił. Olsena trafił za to w skroń kamień ciśnięty przez ryżego złodziejaska w szarej koszuli obwieszanej żyłkami. Konsul chwyciwszy się za głowę osunął się na ziemię. Nikt tego nie zauważył.

W powszechnym zamieszaniu i zgiełku każdy starał się zajmować swoimi sprawami, jeśli „zajmowaniem się własnymi sprawami” można nazwać to, że Salandri chwyciwszy broń zabitego na schodach żołnierza strzelał do tłumu wraz z ocalałymi wojskowymi, starając się celować w nogi nacierających. Żołnierze strzelali żeby zabić. Walczyli o życie. Doskonale wiedzieli, że jeśli się poddadzą, to tłum rozerwie ich na strzępy.

Harmider narastał. Napastnicy, wznosząc tumany kurzu, podniecali się gromami rzuconymi na tchórzliwych szczurów. Musieli jednak nieco powstrzymać swój impet, bo żołnierze przyszli już nieco do siebie i ich strzały nabrały jeszcze większej celności. W dodatku na wąskich schodach nie można było atakować hurmem.

WaraJu widział ze wzgórza, jak pierścień ludzi zacieśnia się wokół dyspozytorni, a potem zalewa ją. Uspokoił się. Wszystko przebiegało zgodnie z planem. A plan przewidywał nie tylko zniszczenie środków łączności, lecz także przekonanie wszystkich, że napad był dziełem klanów górskich wspomaganych przez różne elementy przestępcze. Niech nawet podejrzewają, że to on stał za tym napadem, ale nie mogą mieć żadnych dowodów. Państwo to zbyt skomplikowana machina, żeby byle podejrzenie mogło ją wprawić w ruch.

WaraJu czekał na wybuch. Nie denerwował się. Jeśli wybuch nawet nie nastąpi, to i tak dzika banda włóczęgów rozniesie aparaturę na kawałki. Nie wydawał rozkazu zabicia kosmonautów. Nie kazał też ich oszczędzać. Ich los był mu po prostu obojętny.

— Jest łączność! — wrzasnął Jean, odrywając się od nadajnika. Chciał, żeby Olsen jak najszybciej połączył się z „Vacjusem”. Był bardzo młody. Ominęło go pierwsze starcie i lękał się, że walka zakończy się bez niego.

Nagle zauważył, że malutki, krągły konsul, którego dom spłonął tej nocy, leży skulony na podłodze i przyciska ręce do głowy. Spomiędzy palców sączyła mu się krew.

— Utrzymaj falę! — krzyknął do drugiego radiooficera i rzucił się na pomoc Olsenowi. Usiłował oderwać mu ręce od głowy, ale konsul stawiał opór.

— Żyje pan? Niechże pan odpowiada! Żyje pan?

— Powiedz mu... — Olsenowi wydawało się, że krzyczy, ale jego głos był ledwie słyszalny.

— Powiedz mu... planeta Ar-A... „Szkwał” na Ar-A. Zrozumie...

Jean pojął, o co konsulowi chodzi. Z powrotem rzucił się ku nadajnikowi.

— Pracuje! — krzyknął drugi radiooficer.

Jean chwycił mikrofon.

— „Vacjus”! Jak mnie słyszysz? Potwierdź łączność!

Usłyszał szum walki pod samymi drzwiami i kątem oka dojrzał głowy swoich kolegów już na wysokości progu. Nie miał czasu czekać na potwierdzenie. Ryknął w mikrofon, ryknął tak, jakby od siły jego głosu zależało, czy tamci go rozumieją:

— „Szkwał” jest na planecie Ar–A! „Szkwał” jest na planecie Ar–A!... I powtarzał to zdanie tak długo, aż powaliła go strzałka z dmuchawki...

* * *

Kapitan „Vacjusa” przeczytał krótką depezę nadaną z Pe–U.

— To wszystko? — zapytał radioofficera.

— Nic więcej nie przekazano.

— Dziękuję. Idziemy prawidłowo. Proszę wezwać do mnie inżynierów. Chcę zwiększyć prędkość.

To było niemożliwe, bo statek i tak szedł już pełną mocą silników. Dalsze przyspieszanie mogło się skończyć katastrofą lub degradacją kapitana za pogwałcenie przepisów bezpieczeństwa.

W godzinę później prędkość wzrosła o tysiąc kilometrów na sekundę.

* * *

— Mam bardzo mało czasu — powiedział DrokU. — Wrócił łazik z bronią. Może mnie to kosztować głowę, ale pomogę wam wszystkim uciec ze statku.

— Po co? — zapytał Andrew uśmiechając się tak przyjaźnie jak przed chwilą DrokU. Wywołał tym wielkie oburzenie doktora, który nie chcąc się zdradzić wyrazem twarzy przeszedł do przedziału wewnętrznego, udając że sprawdza czujniki wanny anabiotycznej, w której leżał Jakubauskas.

— Bo jestem przekonany, że Prug przed startem wszystkich was wymorduje.

— Dlaczego pan tak sądzi?

— Dobrze go znam. — Twarz DrokU spoważniała. — Ma na sumieniu wiele trupów i jeżeli go nie powstrzymamy, tragedia może przybrać przerażające rozmiary.

— Jak mamy go powstrzymać? Uciekając ze statku?

— Ani wy, ani ja nie dysponujemy odpowiednimi środkami. Nic nie zdołamy przeciwko dwóm dziesiątkom oddanych Prugowi myśliwych. Nie mamy żadnych szans. Tutaj. Ale Pruga oczekują na Pe–U, do której zbliża się teraz „Vacjus”. Straż i wojsko postawione w stan pogotowia. Brendyjczyk zostanie unieszkodliwiony natychmiast po wylądowaniu na planecie.

— Skąd pan to wie?

— Słyszałem rozmowy „Vacjusa” z Pe–U.

To było kłamstwo i DrokU czujnie wpatrzył się w Andrewa, aby sprawdzić czy on to kłamstwo przełknie. Andrew udał, że nic go w tej informacji nie zdziwiło. Było mało prawdopodobne, żeby Prug chciał stracić cennych zakładników, ale z kolei DrokU nie chciał mieć na statku świadków. Nie miał odwagi ich zabić, a w dodatku wyprowadzając jeńców ze „Szkwału” zabezpieczał się na wypadek niepowodzenia akcji. On przecież nikogo nie zabijał. On tylko ratował.

— Bzdury! — odezwał się zza przepierzenia doktor. — Bruce może sobie iść, ale ja zostaję. Mam tu chorego. Jestem członkiem załogi i moje miejsce jest na pokładzie.

— Kiedy pana zabiją — zauważył DrokU — choremu i tak będzie wszystko jedno. Wątpię,

czy pozostawią go przy życiu.

— Ja swoje powiedziałem! — warknął lekarz i szybko wszedł do izolatki.

DrokU rozłożył ręce.

— Zrobiłem, co mogłem — powiedział ze smutkiem w głosie — Pan też zostaje?

— Każdy na swój sposób rozumie słowo „obowiązek” odparł Andrew. — Pójdę do swojej kajuty.

Wyszedł razem z DrokU.

DrokU był tak zaprzątnięty własnymi myślami, że nawet nie sprawdził, dokąd naprawdę kieruje się Bruce.

Przy drzwiach swojej kabiny Andrew zatrzymał się. Poczekał, aż DrokU się oddali, a potem ruszył za nim. Uległ nierozsądnej, ale przecież zrozumiałej ciekawości. Chciał przyjrzeć się łupowi Pruga.

* * *

WaraJu zauważył wielką chmurę kurzu. Do kosmodromu zbliżał się szwadron wozów bojowych.

Ledwie rzucił okiem w tę stronę. Większość jego najemników wdarła się już do wieży dyspozytorskiej i wyglądało na to, że walka tam dobiega końca. Wozy bojowe nie zdążą przeszkodzić włączącom w wykonaniu zadania, którego się skwapliwie i z przyjemnością podjęli. Bandziory na pewno zetrą radiostację na proch.

Nie ma tu nic więcej do roboty, a im dalej znajdzie się od kosmodromu, kiedy opanują go żołnierze, tym dla niego lepiej. Tym bardziej, że WaraJu formalnie gra teraz w piłkę na terenie posiadłości pewnego bogatego i ogólnie poważanego kupca, człowieka poza wszelkimi podejrzeniami. Jego sobowtór ubrany w mundur dowódcy Straży Miejskiej dobrany był tak doskonale, że był niemal nie do odróżnienia od oryginału.

Rozkazał kierowcy jechać do miasta.

Samochód nie zdążył jeszcze ruszyć, kiedy WaraJu obejrzał się na jakiś dziwny dźwięk. Obejrzał się i zamarł. Tego nie oczekiwał. Nad wieżą nadlatywały trzy helikoptery wojskowe. Nie spodziewał się, że ruszą je z bazy odległej od miasta o trzysta kilometrów... Jeśli Jego Potężność rozkazał przerzucić śmigłowce już rano, to znaczy, że wiedział o planowanym napadzie na dyspozytornię.

Samochód zjechał już ze wzgórza i WaraJu nie widział, jak komandoski zeskakiwali na dach wieży kontrolnej i obstawiali wyjścia z niej.

Polecił jechać do swojej kwatery. W tej sytuacji jego naiwne alibi nie mogło już pomóc.

* * *

Komandoski wdarli się do dyspozytorskiej akurat w momencie kiedy tłum napastników zdołał już pokonać ostatnich jej obrońców i rzucił się do niszczenia radiostacji. Prawdopodobnie właśnie to uratowało żywych jeszcze kosmonautów i żołnierzy przed niechybną śmiercią. Komandoski opanowali dyspozytornię i wyparli z niej włączącom i agentów WaraJu.

Olsen, wciśnięty w kąt i usiłujący otrzeć z oczu zalewającą je krew, potraktował zjawienie się komandosów jak dalszy ciąg koszmaru. Komandoski ubrani byli w jaskrawopomarańczowe kamizele, krótkie błękitne spódniczki i białe buty z cholewami. Na kamizelach nosili złociste półpancerze, a na głowach spiczaste hełmy z niewielkimi przyłbicami, osłaniającymi jedynie

czoło i oczy. I kiedy podobni czartom, rycerzom i błaznom naraz ruszyli do akcji, Olsen zapomniał o nożu, którym chciał go przebić jakiś szczególnie zacięty rabuś i wrzasnął:

— „Niech żyje Klan Rosen, obrońca uciśnionych!”

Był to dokładny cytat ze starożytnej byliny zatytułowanej „RosenJu i demony chciwości”.

Instytucja jeńców wojennych na planecie Pe-U nie istniała. Wiedzieli o tym doskonale włóczędzy, którzy mieli nad komandosami przewagę liczebną. Walczyli więc rozpaczliwie, chcąc przed śmiercią zlikwidować jak największą liczbę wrogów. Więcej instynktu samozachowawczego wykazali agenci WaraJu, którzy korzystając z zamieszania starali się przysnąć. Nie bardzo im się to udawało, bo po wydostaniu się z dyspozytorni dostawali się pod ogień wozów bojowych.

Radiostacja znów była zniszczona. Jean nie żył.

Dwóch kosmonautów było rannych, w tym Salandri ciężko.

Rana Olsena okazała się właściwie powierzchownym draśnięciem, więc Helena Kazimirowna sama, nie dowierając miejscowym lekarzom, obmyła ją i opatrzyła.

* * *

Andrew zatrzymał się przy wrotach przedziału magazynowego, gdzie wojownicy Pruga rozładowywali łązik. Prawie się przy tym nie krył. Nie musiał, bo wszyscy byli zajęci czym innym. Nastąpiła przecież wielka chwila. Broń gigantów, przy pomocy której można było zdobyć władzę i sławę została nie tylko odnaleziona, ale również zdobyta.

Prug Brendyjski przybył tuż przed zjawieniem się Andrew i stanął przy otwartym luku ładunkowym.

Wojownicy wnosili właśnie do wewnątrz pierwszą bombę — krótki pękaty cylinder umieszczony na niskim wózku. Wnosili swój skarb ostrożnie i tak dumnie, że Andrew uśmiechnął się do siebie widząc, jak gładko dokonuje się naturalny podział na komenderujących i wykonujących komendy. Ci, którzy pozostali na statku i nie brali udziału w wyprawie do arsenału zostali jakby odsunięci na drugi plan. Nie dopuszczono ich nawet do rozładunku jako niegodnych, zupełnie jakby wyprawa po broń naznaczyła jej uczestników tajemniczym stygmatem wyższego wtajemniczenia. Nawet WosenJu, który zawsze w obecności Pruga zachowywał się jak trusia, teraz wydawał gromkie rozkazy popędzając wojowników.

Andrew patrzył zafascynowany, jak z łązika wylaniają się kolejno śmiertelne trofea.

Dwie bomby.

Wielka rura, być może dział bezodrzutowe.

Kilkanaście skrzynek amunicji.

Pistolety, karabiny.

Dwa pudła dziwnych w kształcie pocisków. Chyba pocisków.

I jeszcze cała masa różnych innych rzeczy o złowieszczym wyglądzie narzędzi mordy.

Ich zdobywcy stali szerokim kręgiem, podziwiając skarby, które dadzą im władzę nad planetą. Górale sprawiali wrażenie stada małą, które ograbiły bibliotekę.

Andrew cichutko się wycofał, a kiedy wszyscy zajęci byli przygotowaniem do startu, uszkodził zamek w swojej kabinie. Miał nadzieję, że w panującym zamieszaniu nikt o nim nie będzie pamiętał, ale nie chciał ryzykować.

* * *

O jakieś pół kilometra od wejścia do podziemi łazik archeologów wpadł w wyrwę. Wyrwa była płytka, nikt poza Focjuszem nie ucierpiał, ale wóz zaklinował się i stracili ponad godzinę zanim wyprowadzili go na równą drogę.

Dlatego też, kiedy zbliżyli się do statku, ten nagle zaczął rosnąć im w oczach jak wyrastający z ziemi gigantyczny grzyb.

Wznosił się coraz szybciej.

Leciał.

— Co teraz zrobimy? — zapytał bezradnie Focjusz van Kuun. Chcieliśmy przecież ich zatrzymać...

— Najpierw — powiedział rozsądnie Lwin — musimy doprowadzić do porządku naszą bazę. A to nie będzie łatwe.

Stali patrząc w niebo. Statek był piękny. Stanowił ucieleśnienie ludzkiego talentu i rozumu, ale wleciał po to, żeby zabijać. Gdzieś daleko zawył wilki. Wychodziły na nocne polowanie.

* * *

Kapitan „Vacjusa” był przewidujący, rozkazał więc otworzyć lazaret i przydzielić lekarzowi dwóch pomocników, przygotować w kambuzie dietetyczny posiłek dla dwunastu osób, na tyle bowiem oceniał liczebność załogi „Szkwału”, a ponadto, jako że był człowiekiem nie tylko przewidującym, lecz także przezornym kazał opróżnić dwie duże kabiny i zaopatrzyć je w zewnętrzne rygle, aby móc je wykorzystać jako tymczasowy areszt dla bandytów, którzy porwali statek.

Zebrał wreszcie swoich oficerów, żeby pouczyć ich co mają robić, jeśli bandyci będą stawiać opór.

Cywilne załogi latające Floty Kosmicznej to ludek wędrowny, którego praca związana jest nie tylko z długimi rozłakami z domem, lecz także z ciągłymi zagrożeniami, jakich zwykły pasażer w ogóle nie jest świadom. Jednak lecąc w Kosmos każdy członek tego bractwa doskonale wiedział, że jego statek jest nie większy od ziarnka maku zatopionego w oceanie...

Właśnie to czysto fizyczne oderwanie od całej ludzkości rodzi wśród kosmonautów poczucie szczególnej więzi. Wątpliwe, czy znalazłaby się w Galaktyce inna kategoria ludzi, która równie bacznie obserwowałaby każdego członka swej grupy. Grupy zresztą niezbyt licznej, bo Flota Kosmiczna dysponuje zaledwie ponad stu jednostkami. Prawie wszyscy kosmonauci się znają albo o sobie słyszeli, mają wyznaczone miejsca spotkań, własny folklor, no i rzecz jasna własne plotki. Nowicjuszowi bardzo trudno jest wejść do tego hermetycznego światka i zanim zostanie uznany za swojego, musi najpierw zrobić wiele rejsów po międzygwiazdnych trasach.

Ale jeżeli któremukolwiek z galaktycznych pilotów czy mechaników przydarzy się jakieś nieszczęście, natychmiast spieszą mu na pomoc jego towarzysze — wszyscy, którzy tylko mogą się na coś przydać. Przydają się zresztą rzadko, bo katastrofy w Kosmosie trwają ułamki sekund i nikt nie wychodzi z nich żywy. Ale zdarzają się wyjątki.

Kiedy przed czterema laty takie nieszczęście przytrafiło się statkowi kapitana Andrew Bruce’a, to Andrew ocalał tylko dlatego, że „Wostok” pod dowództwem Witasa Jakubauskasa po odebraniu sygnału alarmowego dotarł na miejsce katastrofy o dwie godziny wcześniej niż wyliczył to komputer. Dwadzieścia minut później nie mógłby już w niczym pomóc.

Nic więc dziwnego, że w momencie, kiedy „Vacjus” zbliżał się do punktu rendez-vous ze „Szkwałem” mostek dosłownie trząsł się od pytań, rad i propozycji pomocy. Tym bardziej, że na „Szkwałe” znajdowało się dwóch kapitanów doskonale znanych wszystkim obecnym — Bruce i Jakubauskas.

* * *

DrokU siedział w fotelu pilota.

WosenJu obok.

Milczeli. Potem WosenJu odezwał się nieśmiało:

— Czy mogę zadać panu jedno pytanie?

— Tak.

— Jeśli przylecimy i wszystko będzie jak trzeba, to w jaki sposób zrzucimy bombę?

— Otworzymy luk i wyrzucimy — odpowiedział szybko DrokU.

— A jeśli nie wybuchnie?

— Najważniejsze, żeby wszyscy wiedzieli, że mamy bomby.

— A jeśli nie wybuchnie?

— To zrzucimy drugą.

Znowu zamilkli.

* * *

Nagle powróciła rozpacz — PetriA leży na kanapie i jej palce dotykają podłogi... Miał to przed oczami tak wyraźnie, że aż się zwinął z bólu i ze wstydu przed PetriA — że mógł o niej zapomnieć.

Na statku jest jej morderca. I nie jest ważne, który z nich zabił ją naprawdę. Dla nich morderstwo to drobny epizod, o którym już jutro się zapomina, bo nie warto o takim głupstwie pamiętać, chyba że groziło czyjaś krwawą zemstą. Zamordowali nie tylko PetriA. Z ich ręki zginęli też inni ludzie, którzy zawinili jedynie tym, że niechcący przeszkadzali mordercom w realizacji ich planów...

Władza w ich pojęciu, to zabijanie ludzi po to, żeby móc bezkarnie zabijać dalej. Władza dla samej władzy. Bo przecież żaden z nich nie zje na raz trzech obiadów i nie włoży na grzbiet trzech płaszczy jak Prug. Prug to zresztą tylko marionetka w rękach spokojnego, przyjaźnie uśmiechniętego DrokU...

Nieoczekiwanie zadzwieczał brzęczyk interkomu. Na ekranie ukazała się twarz DrokU.

— Jeśli to pana interesuje — powiedział — to w zasięgu widzenia mamy statek Floty Kosmicznej. Katalog Somowa podaje, że jest to jednostka o nazwie „Vacjus”.

— A więc koniec?

— Proszę spokojnie czekać. Zawiadomię pana o rozwoju wypadków.

* * *

Prug przyszedł na mostek w trzy minuty później. Wyglądał marnie, widocznie źle znosił przeciążenia, a może zaszkodziła mu wczorajsza eskapada?

Długo wpatrywał się w ekran. Wreszcie zapytał:

— Co to za jednostka? Krążownik patrolowy?

— Nie — odpowiedział DrokU. — To statek Floty Kosmicznej „Vacjus”. Zwykły transportowiec o niewielkiej szybkości.

— Możemy mu uciec?

— Tak. Jeśli zaraz zmienimy kurs, dotrzemy na Pe-U przed nim. Komputer już ten kurs

oblicza, ale na razie z tym zaczekamy...

— Są nieuzbrojeni — zachichotał Prug. — Pchają się nam prosto w ręce.

— Tak — powiedział DrokU.

— Durnie! Nie wiedzą, z kim mają do czynienia!

— Durnie — zgodził się z nim DrokU i przebiegł palcami po klawiaturze pulpitu sterowniczego. — Zmniejszamy szybkość — poinformował Delfina Brendyjskiego. — Nadajemy sygnał S.O.S. Dobrze, że przygotowaliśmy się na taką ewentualność.

— W korytarzach statku będziemy silniejsi, a poza tym pamiętaj, że Prug Brendyjski nigdy jeszcze przed nimi nie uciekał. WosenJu, zostaniesz tutaj, podtrzymuj łączność i obserwuj, jak będą się zbliżali. Kiedy tylko od statku odłączy się kuter, natychmiast mnie o tym zawiadom. Będę organizował powitanie... DrokU pójdzie ze mną. Kiedy wszystko będzie gotowe, wrócę.

Prug był wspaniały. Jego ręka uniosła się w dumnym geście, złoty szamerunek na bogatym płaszczu lśnił w świetle lamp. Policzki pokryły się rumieńcem. Odmłodził. Był teraz wojownikiem, podstępny i śmiały. I ruszał do boju.

Popchnął DrokU na korytarz.

— A! — przypomniał sobie nagle Prug. — A gdzie DreJu?

— W kabinie. Sprawdziłem.

— Poślij wojownika, żeby go przyprowadził tutaj, kiedy statek będzie już zupełnie blisko. Jeżeli ci na „Vacjusie” będą mieli wątpliwości, zmusimy DreJu, żeby wezwał ich na pomoc.

* * *

Andrew zatrzymał się przed niewielkimi drzwiami wiodącymi do magazynu skafandrów.

Wszedł do środka i znieruchomiał. Przez dłuższą chwilę przyglądał się skafandrom próbując przekonać samego siebie, że to tylko najzwyklejsze w świecie skafandry i nic poza tym, że nie są to straszliwe, mordercze narzędzia tortur, których nigdy w życiu nie potrafi dotknąć.

A tam, na zewnątrz, „Vacjus” zmniejsza już prędkość i jego kapitan rozkazuje przygotować do startu kuter planetarny.

A kosmonauci — wśród nich może być jakiś znajomy — przygotowują się do przejścia na „Szkwał”. Na pewno będą bardzo ostrożni, ale przecież żaden z nich nie zetknął się nigdy z prymitywnymi góralami i nie spotkał na swej drodze studwudziestokilogramowego Pruga Brendyjskiego, okrutnika szczycącego się kałdunem dobrze wypasionego wieprza.

Andrew wybrał sobie skafander i automatycznie sprawdził, czy jest w porządku. Znów zaczął sam siebie przekonywać. Tym razem udawał, że zamierza włożyć skafander tylko na chwilę, tylko na wszelki wypadek i że zaraz go zdejmie.

Skafander otworzył się, wpuszczając go do środka.

Andrew poczuł się jak gąsienica w kokonie. Teraz może zrobić krok.

Nie mógł się zmusić do zrobienia tego kroku, wiedział bowiem, że po pierwszym muszą nastąpić również dalsze. Nie ma innego wyjścia.

Wydało mu się, że słyszy jakiś hałas. Może ktoś zauważył jego obecność w tym miejscu?

Czasu na zastanowienie się nie było.

W końcu setki i tysiące kosmonautów wychodziły w otwarty Kosmos...

Andrew opuścił przyłbicę hełmu, skontrolował dopływ powietrza i już bez wahania szybko wspiął się po trapie umocowanym do ściany. Otworzył właz nad głową i znalazł się w ciasnej przestrzeni między powłokami kadłuba statku. Tam zgodnie z instrukcją nie wolno było wchodzić bez skafandra. Gdyby ktoś tę instrukcję zlekceważył, aparatura kontrolna natychmiast wszczęłaby alarm.

Dopóki szedł przygarbiony między powłokami, mógł sam siebie łudzić, że wcale nie ma zamiaru wychodzić na zewnątrz.

Do czasu. Dopóki nie doszedł do luku zewnętrznego.

Luk wyjściowy krył się za niewielką śluzą. Można go było używać tylko w wyjątkowych wypadkach, gdy potrzebny był remont zewnętrzny.

Wcisnął się do śluzy. Jak doskonale ją znał! Śniła mu się niemal co noc już cztery lata.

Zamknął za sobą klapę wewnętrzną i zeszytniał. Zrozumiał, że za nic na świecie nie otworzy zewnętrznego włazu...

* * *

Cztery lata i cztery miesiące temu, Andrew Bruce, jeden z najmłodszych, ale już najpopularniejszych kapitanów Floty Kosmicznej krążył na swoim „Orionie” wokół planетки o dziwnym przezwisku Rondel. Ktoś ją kiedyś tak ochrzcił i nazwa się przyjęła. Rondel był zbiorowiskiem wulkanów — prychnających, warczących, plujących strugami ognia. Na stacji orbitalnej pracowali wulkanolodzy, którzy od czasu do czasu lądowali na planetce, żeby prowadzić tam bezpośrednie obserwacje i pomiary.

Orbita była wyliczona dokładnie i nic się nie mogło zdarzyć. Ale się zdarzyło. Wyrzut gazów wulkanicznych spowodowany wybuchem o mocy trzykrotnie wyższej niż najbardziej pesymistyczni teoretycy mogli się spodziewać dosięgnął stacji, uszkodził jej silniki i wyrządził wiele innych szkód. Kilku znajdujących się akurat na planecie ludzi zginęło... W sumie nieszczęście.

„Orion” zmienił kurs, żeby ewakuować wulkanologów ze stacji. Akcja ratownicza przebiegała ciężko, ale zakończyła się pomyślnie. Tyle tylko, że „Orion” uszkodził sobie anteny zewnętrzne.

W czasie lotu powrotnego trzeba więc było naprawić anteny i podłatać również uszkodzony pancerz. Nie należało to do obowiązków dowódcy, ale że załoga była nieliczna i miała wiele zajęć z wulkanologami, wśród których byli ranni i poparzeni, za remont wziął się sam kapitan.

Właściwie nie sam, bo pomagał mu mechanik Bracke. Byli już na zewnątrz około godziny, kiedy mechanik zaczął nadawać sygnał alarmowy. Sygnał był słaby i nie od razu go usłyszano na mostku. Bracke zauważył, że lina asekuracyjna kapitana z niewiadomych przyczyn pękła i Bruce odleciał w próżnię.

Gdyby Bracke był uważniejszy, nic złego by się nie stało. Człowiek zamieniłby się w sputnika statku i spokojnie wokół niego krążył. Zanimby zdążył naprawdę się przestraszyć, już by go ściągnięto do Środka.

Tym razem jednak stało się tak, że wewnętrzne naprężenie pękającej liny podziało jak katapulta i nadało Andrew prędkość własną względem statku. Bracke zajęty własną robotą nie zauważył nawet, w jakim kierunku kapitan odleciał.

Statek wytracił szybkość i zaczął manewrować w poszukiwaniu kapitana, ale człowiek jest przecież taki mały, że już po paru tysiącach kilometrów staje się niewykrywalny dla najczulszych przyrządów.

Andrew leciał w próżnię. Pędził w nicość i wiele razy umierał przebywając niewiarygodną liczbę kilometrów i upiornych światów.

Sześć statków Floty Kosmicznej i krążownik patrolowy — na szczęście wypadek wydarzył się na uczęszczanej trasie — szukały go przez sześćdziesiąt trzy godziny. Znalazł go Witas Jakubauskas.

Znalazł dzięki szczęśliwemu trafowi i umiejętności posługiwania się komputerem.

Kiedy Andrew znalazł się na pokładzie jego statku, był nieprzytomny. Przyszedł do siebie

dopiero po wielu dniach, już w bazie, i długo nie mógł uwierzyć, że żyje. Przecież tak wiele razy umierał...

Po jego fizycznym wyzdrowieniu lekarze stwierdzili, iż uraz psychiczny jest tak głęboki, iż Bruce już nigdy nie będzie mógł wyjść w otwarty Kosmos. Nawet na Ziemi unikał opuszczania wieczorem domu, żeby przypadkiem nie zobaczył gwiazd.

Człowiek z takim urazem nie ma prawa dowodzić statkiem i odpowiadać za życie innych ludzi.

Bruce'owi zaproponowano pracę na Ziemi.

On jednak wolał wyjechać, bo nie miał ochoty spotykać w Centrum dawnych kolegów, uważał bowiem, że sam jest winien własnej chorobie i bardzo się tego wstydził.

Właśnie dlatego włożywszy skafander — bo przecież nie mógł go nie włożyć! — stał nieruchomo w śluzie, czując całą swoją istotą, że nie potrafi wyjść na zewnątrz.

Potem pomyślał: „Jeśli teraz tam wyjdę, jeśli znajdę się tam, gdzie jest tylko czarna pustka i gwiazdy, to umrę ze strachu. Z hańbiącego, lepkiego strachu, którego nie zna żaden człowiek w Galaktyce, bo żaden człowiek nie umierał, tak jak ja... Ale jeśli nie wyjdę, zginą przeze mnie, umrą inni ludzie. A to jest gorsze niż własna śmierć.

Dlatego nie mam innej drogi.”

Policzył w myślach do pięćdziesięciu i otworzył luk zmartwiałą ręką, jakby naciskał spust pistoletu przystawionego do skroni.

Potem mocno uchwycił się klamer wspawanych w pancerz statku i do pasa wysunął na zewnątrz. Nie patrzył w górę ani na boki. Uparcie nie odrywał wzroku od obłych, wielorybich boków statku.

Miał przed sobą długą drogę.

Najpierw musi dostać się po klamrach do anteny zewnętrznej, kontrolującej podejścia do statku i przestrzeń wokół głównego luku, a potem dotrzeć do samego luku, gdzie już klamer nie było.

Andrew — zadziałał głęboko zakorzeniony w mózgu automatyzm — zatrzasnął na pierwszej klamrze karabinek liny asekuracyjnej i popęzł przed siebie. Tuż przed oczami miał metalowe cielsko statku.

Nikt go nie zauważył, bowiem przygotowujący zasadzkę Prug nie wrócił jeszcze na mostek, DrokU był z nim, a WosenJu nie włączył podglądu zewnętrznego. Patrzył tylko na ekran główny, na którym powoli rósł „Vacjus”. Jeszcze przed powrotem Pruga zauważył, jak otwiera się luk desantowy, ukazując dziób kutra planetarnego. Do statku było jeszcze ponad trzysta kilometrów, ale na ekranie wyglądało to tak, jakby wszystko działo się tuż obok „Szkwału”.

Właśnie dlatego Andrew, przez nikogo nie zauważony, dotarł do anteny bliskiego zasięgu, niewielkiej wypukłości na kadłubie statku, osłoniętej ceramiczną kopułką. Odkręcił osłonę i młotkiem przytroczonym do jego remontowego skafandra jednym silnym uderzeniem rozbił aparaturę antenową.

Akurat w tym momencie wszedł na mostek DrokU, który rugnął zagapionego w ekran główny WosenJu i włączył podgląd zewnętrzny.

Na ekranie na moment zapłonęły gwiazdy, a potem wszystko zgasło.

— Tego jeszcze brakowało! — warknął DrokU.

Nacisnął parę razy klawisz, a potem zapytał komputer o przyczynę awarii. Komputer odpowiedział, że antena bliskiego zasięgu uległa zniszczeniu.

Ale wówczas Andrew już przy antenie nie było.

Tam, gdzie teraz pełzł, nie było już klamer i rozumiał, że w każdej chwili może oderwać się od statku. Zwłaszcza wówczas, kiedy tamci zdecydują się na jakiś manewr. W pół drogi do luku

zamarł, serce tłukło mu się z szybkością dwustu uderzeń na minutę. Nic dziwnego, wiedział przecież, że jest największym tchórzem we wszechświecie.

Za karę zmusił się do podniesienia głowy.

I ku swemu niebotycznemu zdumieniu ujrzał płynący niedaleko, majestatyczny i potężny, błyskający światłami reflektorów statek Floty Kosmicznej „Vacjus”.

Oświetlony promieniami reflektorów do luku powoli zbliżał się kuter planetarny. Był już w odległości dosłownie kilkudziesięciu metrów od „Szkwału” i Andrew pospieszył ku niemu, żeby uprzedzić jego załogę, co jej grozi.

Gwałtowny ruch oderwał go od pancerza i rzucił do góry.

I wszystko zaczęło się od początku... Śmierć... Sześćdziesiąt trzy godziny umierania...

W tym momencie zauważono go z kutra i kapitan „Vacjusa”, nie wiedząc jeszcze co oznacza pojawienie się człowieka w otwartym kosmosie, rozkazał dwu swoim podkomendnym, aby ściągnęli go na kuter.

Coś szarpnęło Andrew.

Oprzytomniał i zrozumiał nawet, że to lina asekuracyjna.

Otwarty luk kutra był tuż tuż. Wylatywali z niego ludzie we wzmocnionych skafandrach z silnikami odrzutowymi. Dwaj zbliżali się do niego.

Nawigator „Vacjusa” poznał go od razu.

I nawet się nie zdziwił, zapomniał bowiem w tym całym zamieszaniu, dlaczego Bruce przestał latać.

Andrew też go poznał. Włączył mikrofon:

— Nie spieszcie się z wchodzeniem do środka. Zasadzka.

Mówił zupełnie spokojnym głosem, jakby codziennie witał gości w otwartym Kosmosie.

Kapitan „Vacjusa”. obserwujący sytuację z kutra, również poznał Andrew:

— Andrew Bruce? Skąd się tu wziąłeś?

— Przygotowali zasadzkę — powtórzył Andrew.

Mimo woli trzymał się kurczowo rękawa skafandra nawigatora „Vacjusa”. Znowu zaczął się bać. Nie powinien patrzeć na gwiazdy tylko w dół, na twardą i pewną powierzchnię statku.

— Jaką zasadzkę?

— Teraz nas nie widzą, bo rozbiłem antenę bliskiego zasięgu. Ale czekają. Zaraz za służą. Chcą was pojedynczo wymordować. Mają blastery i topory.

— A gdzie reszta naszych? Gdzie pozostali? — pytał dalej kapitan. — Nie ma rannych?

— Jest tu jeszcze doktor Gheza i Witas Jakubauskas. Witas jest bardzo ciężko ranny.

— A inni?

— Pozostali na Pe-U. Visconti nie żyje.

— Zabili go? — Andrew nie rozpoznał głosu mówiącego. Pytał ktoś z załogi kutra. Wszyscy przysłuchiwali się rozmowie.

— Was też chcą zabić. Nie macie pojęcia, co to za istoty. To zupełnie inny świat.

— Nie ma więc co tracić czasu. Cumujemy.

— Nie rozumie pan, co mówię?!

— Andrew — powiedział kapitan. — Moi desantowcy ubrani są w krzemowe skafandry pancerne. My też mamy trochę wyobraźni... Próbowaleś przestrzelić taki skafander z blastera. Albo przerażać go toporem?

— A jakąś broń macie?

— Z bronią też wszystko jest w porządku — uspokoił go kapitan. — Mieliśmy na pokładzie grupę myśliwych. Turyści. Zarekwirowaliśmy im pistolety i strzelby anestetyjne. Smoka zwalają z nóg. Przejdź na nasz pokład, Andrew. Zapraszamy w gości!

Andrew wszedł do kutra.

Nawigator z „Vacjusa”, jego stary znajomy, mocno chwycił go pod ramię. Drugi kosmonauta odpiął linę asekuracyjną i ani się Bruce obejrzał, już był w środku. Dopiero potem, rekonstruując w pamięci wydarzenia tej godziny zdał sobie sprawę z tego, że wszyscy pamiętali o jego chorobie. I nawigator, i kapitan, który stanął na krawędzi luku, żeby go podtrzymać.

A kiedy luk był już zamknięty i Andrew przywitał się z desantem, wszyscy zajęli miejsca w fotelach — jednakowi, jak odlewy tego samego posągu. Kapitan wskazał Bruce’owi pusty fotel obok siebie.

Po chwili kuter znów ruszył i dotknąwszy powłoki „Szkwału” dał sygnał cumowania.

Otworzą? Czy będą się bali?

Pokrywa luku odsunęła się w bok i chwytaki magnetyczne wciągnęły kuter do wnętrza statku.

Śluza była pusta.

— Przygotować się! — rozkazał kapitan obserwując przyrządy kontrolne śluzy. Do jej wnętrza napływało powietrze. Ciśnienie równoważyło się.

We wnęce stał kuter „Szkwału”.

— Gdzie oni są? — zapytał kapitan.

— Myślę, że czekają w korytarzu za wrotami. Chcą się pewnie spotkać z nami w wąskim przejściu.

Odryglowano luk kutra i kapitan pierwszy zeskoczył na dno śluzy.

— Przywitajcie gości! — powiedział.

Za nim kolejno wyskakiwali na lekko uginającą się posadzkę pozostali uczestnicy desantu.

Kapitan pierwszy ruszył ku wewnętrznym wrotom, które gościnnie się przed nim otworzyły.

Przekroczył je, trzymając w ręku pistolet anestezyjny.

I natychmiast w jego skafander uderzyło co najmniej pięć zatrutych strzałek, które łamały się, pozostawiając na powłoce ciemne plamy jadu. Błysnął promień blastera.

Kapitan szedł dalej. Teraz już widział wojowników.

Wydmuchnąwszy strzały i wyładowawszy blastery schwycili za topory bojowe i rykiem się na niego rzucili. Prug sadził na czele, wymachując swoim największym i najślawniejszym na planecie toporem noszącym miano Łamignata.

Kosmonauci wystrzelili z pistoletów, pierwsi wojownicy osunęli się uśpieni na ziemię, ale pozostali dopadli desantowców i zaczęli walić toporami po hełmach i modyfikowanym krzemie skafandrów, nie robiąc im naturalnie najmniejszej szkody.

Zamieszanie, kłębowisko ciał, ryk, wrzaski i łomoty zapełniły wąski korytarzyk.

Anestezatory działały bezbłędnie. Liczba przytomnych wojowników wciąż się zmniejszała, a ludzie w skafandrach powoli wpychali ich rzadniejący tłumek do mesy.

Prug rozpaczliwie wymachiwał toporem. Udało mu się — czy to masą ciała, czy też ciosami swego Łamignata — zwalić z nóg dwóch czy trzech desantowców, ale już i w jego cielsko wbiły się igły ze środkiem usypiającym. Mimo to próbował walczyć dalej i wydawało mu się, że desant ustępuje pod jego naporem.

Jeszcze raz zamachnął się toporem i nagle całym ciężarem ciała runął na podłogę.

Pozostali wojownicy jeszcze próbowali stawiać opór, ale w korytarzu było już na tyle luźno, że Andrew zdołał przebić się przez walczących i rzucił się w głąb statku.

Jeden z wojowników, tak samo jak inni pomalowany w barwy wojenne, pędził przed nim. Najwidoczniej upadek Pruga odebrał mu chęć do walki.

Plecy wojownika wydały się Andrew znajome.

Nie ścigał go, tylko jak najszybciej chciał dotrzeć do przedziału medycznego.

Uciekający odwrócił głowę i Andrew poznał go. To był WosenJu.

On również rozpoznał swojego rzekomego prześladowcę.

Za nimi cichły powoli odgłosy walki.

WosenJu nagle stracił siły. Przypadł do ściany i patrzył jak Andrew zbliża się do niego. Wcisnął się w ścianę, unosząc w górę topór. Wyglądał jak zapędzony w kąt chłopaczek, do którego zbliża się znany w szkole siłacz.

Bruce zatrzymał się o krok od niego.

WosenJu uderzył go w pierś toporem. Topór ześlizgnął się po plastiku skafandra.

— Chciałem cię zapytać, WosenJu — powiedział Andrew — dlaczego zabiłeś PetriA?

WosenJu zaczął pełznąć po ścianie, jakby się chciał w nią wtopić, zniknąć w jej głębi.

— Przysięgam na niebo! — jęknął. — Przysięgam na życie matki, przysięgam na najstraszliwsze męki w Czarnym Królestwie, że to nie ja zabiłem PetriA! Omal nie zabiłem go, kiedy zobaczyłem, co zrobił...

— Kto to zrobił?

WosenJu upadł na podłogę u stóp Andrewa.

— DrokU. To on. Przyszliśmy po ubranie, chcieliśmy zabrać też informatora. A ona akurat weszła i zobaczyła nas. I usłyszała, co mówimy. Powiedziałem do DrokU: przyszła PetriA, przywitaj się, ona pracuje u nas. Bałem się, że ją zabije... A on się roześmiał i powiedział?

Rozdwojony kindżał świsnął w powietrzu i wbił się w szyję WosenJu.

Za plecami Andrewa stał DrokU.

Podszedł blisko i uśmiechał się.

Uśmiechał się swoim promiennym, chłopięcym uśmiechem.

— Więc zwyciężyliśmy — powiedział. — WosenJu również otrzymał to, na co zasłużył.

— Dlaczego go zabiłeś? Czego się boisz, DrokU? — zapytał Andrew.

— Mój przyjacielu z gwiazd — powiedział DrokU. — Mówiłeś wiele o zemście, ale wy już tak jesteście skonstruowani psychicznie, że nie potraficie uzewnętrzniać naturalnych uczuć miłości czy nienawiści. Wszystko to zostało zdławione przez wychowanie. Do końca życia męczyłbyś się nienawiścią do WosenJu, ale zabić go własnymi rękami nie potrafiłbyś. Nie potrafiłbyś dokonać wielkiej męskiej sprawy zemsty. Dlatego ktoś musiał ci pomóc.

— Powiniennem cię zatrzymać — powiedział Andrew.

— Mnie? Po tym wszystkim, co zrobiłem?

— Zrobiłeś o wiele więcej niż powiedziałeś, DrokU. To ty stałeś za plecami Pruga i kierowałeś nim. Już dawno o tym wiedziałem, o tobie i twoim szefie, WaraJu.

DrokU wcale się nie zdziwił.

— To logiczne — powiedział. — Powinieneś się domyślić. Albo WosenJu się wygadał. Albo podsłuchałeś...

Mówiąc to, DrokU wolno przesuwiał się wzdłuż ściany, starając się wyminąć Andrew.

— Zabij mnie — powiedział, patrząc mu prosto w oczy. Uważasz, że ten ślimak WosenJu nie był niczemu winien?... — Ruch wzdłuż ściany trwał. Jeszcze odrobinę i będzie można uciec...

Ciekawe, dokąd on zamierza uciekać? Ten korytarz prowadzi do przedziału magazynowego, a stamtąd można dotrzeć i do hangaru, i do komory, w której umieścili te swoje idiotyczne bomby, te śmiertcionośne zabytki... Można ukryć się w magazynie wśród broni i zabarykadowawszy się tam szantażować zwycięzców, żeby kupić sobie życie. Można wyprowadzić kuter planetarny i spróbować uciec na Pe-U... Diabli wiedzą, co kłębi się w tej głowie...

— Nawet jeśli zabiłem — mówił DrokU — jeśli nawet to byłem ja, to kim ty jesteś, żeby uzurpować sobie prawo wymierzania sprawiedliwości? Teraz mnie wypuścisz i pobiegiesz do swoich. Wolisz, żeby to oni zdecydowali o moim losie... A czy ty wiesz, przybyszu z gwiazd, że nasza gra się jeszcze nie skończyła? „Szkwał” leci na Pe-U, a tam czeka WaraJu. To on, a nie ty

będzie rządził planetą.

Skoczył w głąb korytarza.

Był o wiele lżejszy od Andrewa, nie miał na sobie skafandra i mógł liczyć na powodzenie swej ucieczki.

Ale Andrew był na to przygotowany.

Skoczył za DrokU, schwycił go w locie za nogi i powalił na ziemię. Siła bezwładności rzuciła ich obu na podłogę. Parę metrów przejechali wzdłuż korytarza na brzuchach.

DrokU rozpaczliwie walczył, ale nie miał żadnych szans. Skafandra przecież uszkodzić nie mógł.

Wykręciwszy mu ręce za plecy i postawiwszy siłą na nogi, Andrew, udając że nie słyszy steku przekleństw, którymi DrokU go obrzucał, powiedział:

— Idziemy! Ty przodem.

— Dokąd? — DrokU próbował odwrócić głowę, ale Andrew trzepnął go w kark ciężką rękawicą.

— No! — warknął.

Jego głos przefiltrowany przez mikrofon hełmu brzmiał głucho i groźnie.

DrokU niechętnie ruszył.

— Słuchaj — powiedział. — Co ty chcesz zrobić?

Andrew nie odpowiedział.

Przeszli kawałek korytarza.

Zza zakrętu wyszedł kapitan „Vacjusa” w towarzystwie lekarza pokładowego „Szkwału”.

— Andrew, tak się cieszę, że pan żyje! — wykrzyknął doktor.

— On nie ma prawa tak mnie traktować! Znam prawa Galaktyki! Życie i wolność każdego człowieka są nienaruszalne! — awanturował się DrokU.

— Proszę nie zwracać na niego uwagi — zwrócił się doktor do kapitana Inbuke.

— Jestem przedstawicielem rozwijającej się cywilizacji i domagam się respektowania zasady nieingerencji. Jestem pod ochroną prawa o nieingerencji!

— Nie słucham go — oznajmił Andrew kapitan. — Jestem jednak ciekaw, co zamierzasz z nim zrobić?

— Otworzę luk zewnętrzny i wyrzucę go w próżnię — odparł Andrew.

— To chyba rzeczywiście dobry pomysł — zgodził się kapitan. — Zresztą lepiej ode mnie się na tym znasz. W skafandrze czy bez skafandra?

— Bez skafandra — odparł Andrew

— Wpadnij potem do mesy — uśmiechnął się kapitan — Chodźmy, doktorze. Musi pan obejrzeć rannych.

— Stójcie! — wrzasnął DrokU, zwiwając się w żelaznym uchwycie Andrew. — Zaklinam was w imię humanitaryzmu! To WaraJu rozkazał mi zabić tę dziewczynę! Ale odmówiłem! Nie posłuchałem dowódcy, który chciał, żeby podejrzenie padło na Pruga... Przysięgam!...

Głos jego cichł i załamywał się.

Kapitan z doktorem nie oglądając się zniknęli w jakichś drzwiach.

— Najpierw — powiedział Andrew — pójdiesz ze mną do kabiny łączności. I porozmawiasz z WaraJu.

— Oczywiście — odparł skwapliwie DrokU. — Natychmiast! Powiem wszystko, czego zażadasz.

— Powiesz mi prawdę.

W kabinie łączności Andrew puścił rękę DrokU, który od razu zaczął ją sobie rozmasowywać drugą dłonią.

Andrew stał za jego plecami. Wyciągnął z kołczanu DrokU zatrute strzałki. Cechy były na nich wycięte.

— Wezwij WaraJu — rozkazał. — I pamiętaj, że mam w ręku twoje własne strzały. Takie same jak ta, jaką zabiłeś PetriA i chciałeś mnie zabić. W każdej chwili mogę cię nią drasnąć w szyję.

— Zgadzam się na wszystko! Rozumiesz, na wszystko!... Nie będę niczego próbował...

Nacisnął odpowiednie klawisze.

Niemal natychmiast rozległ się głos WaraJu.

— Co u was? — zapytał. — Czekam! Kiedy będziecie? Zdobyliście drugi statek?

— Za moimi plecami — powiedział DrokU — stoi DreJu, agent z gwiazd. Rozkazał mi nawiązać łączność z tobą, panie.

Nastąpiła długa, bardzo długa pauza.

— Rozumiem — powiedział wreszcie WaraJu. — Nigdy ci nie wierzyłem, DrokU. Wiedziałem, że przy pierwszym zagrożeniu przejdiesz na stronę silniejszego.

— Walczyliśmy — jęknął DrokU. — Ale tamci mieli skafandry. DreJu ich ostrzegł.

— Idioci — powiedział WaraJu zmęczonym głosem. — Nie potrafiliście upilnować jednego człowieka...

— Wyszedł w otwarty Kosmos...

— Kłamstwo! Jak zwykle łiesz, DrokU. Sprawdzalem w informatorach Centrum Galaktycznego. DreJu został skreślony z listy personelu latającego, gdyż jest chory. Nie może wyjść w Kosmos.

— Ale wyszedł — odpowiedział DrokU.

— No dobra, nie będę tracił czasu n?. głupstwa. Co z Prugiem?

DrokU odwrócił się do Andrew.

— Prug jest w naszych rękach — powiedział Andrew. — Przywieziemy go na Pe-U. Z pewnością ma wiele interesujących rzeczy do powiedzenia.

— Na pewno je opowie — zgodził się WaraJu. — Chcesz mnie o coś zapytać, agencie z gwiazd?

— Kto zabił PetriA?

— DrokU.

— Na twój rozkaz! — krzyknął DrokU. — Ja nie chciałem.

— Nawet o tym nie wiedziałem — mówił dalej WaraJu. — Powiedział mi o tym dopiero później. Czy to zresztą ważne?

Andrew nie odpowiedział.

— Przerywam łączność — oznajmił WaraJu. — Moja kwatera jest otoczona. Myślałem, że utrzymam się do świtu, ale teraz nie mam po co walczyć. Spotkamy się, DreJu, na polach obfitości!

Pola obfitości oznaczały tamten świat. WaraJu wyłączył się.

— Ma rację — powiedział DrokU. — Pozwól mi to zrobić samemu, jak on...

Andrew poczuł, że jest śmiertelnie zmęczony.

Wyprowadził DrokU z kabiny łączności i otworzył przed nim drzwi do podręcznego magazynku.

DrokU posłusznie tam wszedł.

Andrew rzucił na stolik zatrutą strzałkę. Bez znaku.

Postąpił dziwacznie i wbrew zasadom. Człowiek wieku galaktycznego nigdy nie odbiera życia innemu człowiekowi ani mu też śmierci nie ułatwia. Nawet najgorszemu z ludzi.

Zamknął drzwi i poszedł do mesy.

Leżało tam na kanapie potężne cielsko Pruga. Delfin Brendyjski spał jak dziecko ugodzony ładunkiem oszalamiającym.

Doktor właśnie go badał.

Na odgłos kroków uniósł głowę i przypomniał sobie, w jakich okolicznościach widział ostatnio Andrew.

— A gdzie ten typ, DrokU? Mam nadzieję, że nie spełnił pan swojej groźby?

— Prawie spełniłem — odparł Andrew.

* * *

Na kosmodromie Pe-U oczekiwała ich załoga „Szkwału”, Olsen, Jego Potężność i cała masa innych dostojników.

Olsen od razu powiedział im, że WaraJu popełnił samobójstwo w swojej kwaterze.

Wozy bojowe podjechały do samej pochylni „Szkwału”.

Prug Brendyjski pierwszy podszedł do wozu i żołnierze pomogli mu wdrapać się do środka. Był okropnie słaby i wyglądał, jakby ktoś wypuścił z niego powietrze.

Potem do karetki medycznej przeniesiono Witasa Jakubauskasa. Doktor Gheza i Helena Kazimirowna pojechali z nim do szpitala, gdzie czekali już lekarze i sprzęt przywieziony z Centrum Medycznego.

Wraz z wojownikami wyprowadzono również DrokU.

Kiedy po wylądowaniu otwarto magazynek podręczny, DrokU spał. Obok niego leżała połamana na kawałki strzałka.

Andrew wraz z Olsenem pojechał do domu dla przyjezdnych Nie chciał wracać do siebie, gdzie wszystko przypominało o PetriA.

Nocą naszła go ochota sprawdzenia siebie.

Po raz pierwszy od wielu lat wyszedł po zachodzie słońca na dwór i popatrzył w rozgwieżdżone niebo. Niebo było głębokie, przyzywało go. Wcale się go nie bał. Wiedział już, że wróci w Kosmos.

A rano dowiedział się od Nielsa Olsena, że DrokU został zamordowany w więzieniu. Zabójcę ujęto. Okazało się, że należy do klanu Kam Petri. Andrew nigdy w życiu go nie widział i nie miał pojęcia, że PetriA miała takiego kuzyna.

MIASTO NA GÓRZE

Powieść tę napisałem kilka lat temu, lecz nie została wówczas opublikowana, ponieważ uznano ją za zbyt ponurą. Przesłałem więc rękopis do Polski, gdzie bardzo szybko został wydany. Można z tego faktu wyciągnąć wniosek, że pojęcie „ponury” rozumiane jest w Polsce inaczej niż w moim kraju.

Dzisiejsza fantastyka skupia się przede wszystkim na aktualnych problemach rzeczywistości. Nieważne na jak dalekiej planecie rozgrywa się akcja. Zawsze zaciekawi czytelnika, jeśli dostrzeże w niej odbicie problemów współczesności. Temat, który poruszyłem w powieści — upadek cywilizacji po wojnie atomowej i funkcjonowanie władzy totalitarnej w zamkniętym społeczeństwie — to nasze własne bolączki i niepokoje.

Obecnie powieść ukazała się również w moim kraju. Widocznie nauczyliśmy się już mówić nie tylko o rzeczach przyjemnych. Dla mnie najważniejsze jest to, że „Miasto na górze” stało się również udziałem polskiej literatury, a Polacy byli jej pierwszymi czytelnikami.

PROLOG

Sali posiedzeń Rady Dyrektorów nie remontowano już od wielu lat, aby nie zniszczyć bezpowrotnie świętych fresków na jej suficie. Plafony niemal zupełnie wyblakły i pokryły się dziwnymi plamami wilgoci, co sprawiło, że znajdujące się na nich sceny batalistyczne nabrały jeszcze więcej dynamizmu i tajemniczości.

Pan Dyrektor Spel wpatrywał się w sufit, starając się odnaleźć jakiś sens w malunkach, gdyż nie chciał sprawiać wrażenia, że interesuje go to, co działo się akurat na sali.

Pan Dyrektor Mekil, szef policji, kończył już swoje miażdżące przemówienie i do uszu Spela dobiegły urywki zdań: „Inżynier Lemeń, gwałcąc w sposób zbrodniczy wszelkie normy postępowania... Inżynier Lemeń, okrywając hańbą jeden z najszacowniejszych rodów... Inżynier Lemeń, dokonując świętokradczego zamachu...”

Mekil, przezwiskiem Glizda, miał na myśli rodzinę Spelów. Inżynier Lemeń zapragnął poślubić córkę Spela.

Szesnastu Dyrektorów, siedzących w twardych drewnianych fotelach wokół masywnego wypolerowanego łokciami stołu, słuchało mowy bardzo uważnie i każdy z nich starał się przeniknąć, jaką groźbę dla niego osobiście kryje w sobie gniewna oracja Glizdy. Chudy, ponury, podobny do nietoperza Pierwszy Dyrektor Kalgar obracał w palcach dzwonek przewodniczącego. Wzmocnienie pozycji Mekila było mu nie na rękę, a nikt nie wątpił, że przestępstwo Lemenia zostało przynajmniej w połowie wymyślone przez szefa policji. W ten sposób Glizda będzie mógł niedługo dobrać się do samego Spela.

Kalgar zerknął na Spela, który przyglądał się freskom na suficie. Spel najwyraźniej osłabł, bo nie odważył się wystąpić przeciwko Gliździe i teraz musi udawać, że cała sprawa go nie dotyczy. Glizda skończył. Dyrektorzy poruszyli się. Któryś z nich zakasłał. Kalgar wstał. Był Pierwszym Dyrektorem i do jego obowiązków należało przeprowadzenie głosowania. Pomyślał przelotnie, że od dłuższego czasu nie widział Gery Spel. Podobno jest chora.

— Panie Dyrektorze Spel — powiedział. — Czy potwierdza pan, że przestępca inżynier Lemeń zasługuje na śmierć w Ognistej Otchłani?

Spel pochylił głowę.

— Pan Dyrektor Generalny?

Cielsko w mundurze z błyszczącymi naszywkami drgnęło:

— Bez wątpienia.

— Pan Dyrektor Kopalń?

Dyrektor Kopalń poruszył bezdźwięcznie wargami, udając głęboki namysł. Kalgar pomyślał, że Glizda dał mu łapówkę, ale widocznie za małą.

— Uważam, że postęпки inżyniera Lemenia wykraczają, że tak powiem, poza ramy... A jego pogląd o istnieniu...

— Sądzymy inżyniera Lemenia nie za jego poglądy, lecz za pogwałcenie Obyczaju — przerwał mu Mekil.

— Tak — powiedział skwapliwie Dyrektor Kopalń. — Tak, tak...

— Pan Dyrektor Kabli?

Dyrektora Kabli bolała wątroba. Skrzywił się, wyjął z kieszeni flakonik z lekarstwem i machnął wolną ręką: jasna sprawa, nie ma się nad czym rozwodzić...

Kiedy ostatni z Dyrektorów opowiedział się za śmiercią Lemenia, Kalgar zdjął z wiszącego na piersi łańcucha klucz od Rozgłośni.

— W takim razie — powiedział — zgodnie z tradycją i Obyczajem musimy włączyć Głos Władzy.

I ruszył ku drzwiom Rozgłośni.

Za nim wstał Spel, który jako Drugi Dyrektor był strażnikiem drugiego klucza.

Glizda patrzył nieruchomym wzrokiem na Dyrektorów. To była godzina jego tryumfu. Zmusił ich do uznania swojej władzy!

Spel wsunął swój klucz w otwór zamka i odwrócił się. Przy czarnej portierze zasłaniającej wejście do sali posiedzeń wśród licznych urzędników, kapłanów, lokajów i strażników stał jego syn w mundurze oficera tajnej policji. Spel senior popatrzył mu w oczy. Spel junior leciutko pochylił głowę.

ROZDZIAŁ 1

CIEMNE KORYTARZE

Kroni obudził się wcześniej niż normalnie. Za progiem szeleściły kroki, zgrzytały głosy, rozlegał się kaszel i ciężkie sapanie — wracała nocna zmiana z wytwórni azbestu. Zazwyczaj budził się, kiedy kroki milkły. Budziła go cisza. Przypomnił sobie, co go dzisiaj czeka. Pójdzie na dół.

Zrzucił z siebie postrzępiony koc i zeskoczył na zimną podłogę. Wieczna lampka pod statuetką Boga Reda ledwie się tliła. Kroni podszedł na bosaka do stołu, wymacał na nim puszkę z olejem ziemnym i dolał go do zbiornika lampki. Zrobiło się jaśniej i jakby cieplej.

Przejrzał się w odłamku lusterka opartego o nogi statuetki. Twarz się w nim nie mieściła. Kroni zobaczył jedynie jasne oko, kosmyk przedwcześnie posiwiałych włosów i cienki, długi nos, którego cień maskował zapadnięty policzek i głęboką bruzdę, zbiegającą ku kącikowi bladych warg. Od wczoraj na twarzy zostały i smugi sadzy. Kroni postanowił się umyć.

Wziął skrzynkę z narzędziami, zawinął w szmatkę i wsunął do, kieszeni zimny, kleisty kawałek kaszy, założył stojące w progu trzewiki i zdmuchnął lampkę.

Przy źródelku zasilającym okrągły basenik już było pełno kobiet. Niektóre prały, inne przyszły po wodę, ale też nie kwapiły się wracać do domów.

— Uciekaj stąd! — rozwrzeszczały się, kiedy zobaczyły, że Kroni rozbiera się nad basenikiem. — Zapaskudzisz nam wszystką wodę, ty brudny rurarzu!

Kroni nawet się nie odezwał. Usiadł na krawędzi basenu i zanurzył nogi w zimnej mydlanej wodzie.

— Zaraz zawołam męża! — zagroziła Ratni, żona kwartałowego.

— Zawołaj — poparły ją kobiety. — Niech myje się w kałuży. Kroni wyjął ze skrzynki kawałek mydła.

— Po co ci tyle mydła? — zapytała stara jędza, która mieszkała w klitce nad nim. — Zostaw je mnie.

— Nie bierz! — wściekała się Ratni. — Jego mydło śmierdzi.

— To jest zwyczajne mydło — powiedział Kroni.

— On sam też śmierdzi! — parsknęła nieznajoma dziewczyna, która musiała przyjść z sąsiedniego kwartału.

— A ty sama nie masz prawa tu być! — krzyknęła jędza, która miała nadzieję, że Kroni odłamie jej za to kawałek mydła.

— Idiotka! — powiedziała Ratni. — Ta głupia baba nie wie, że mój bratanek się ożenił.

Kobiety wybuchnęły śmiechem i zaczęły się wytrząsać nad starą kobietą, bo bratanek Ratni ożenił się bardzo korzystnie i jego żona przyszła z góry, z rodziny majstra.

Kroni postanowił się nie kapać. Pochylił się tylko nad wodą i namydlił głowę i kark.

Któraś z kobiet, nie zauważył która, podkradła się z tyłu i żeby przypochlebić się kwartałowej, wylała na niego cebrzyk brudnych mydlin. Zaskoczony tym Kroni wpadł do basenu i przemoczył sobie spodnie. Kobiety zaczęły się z niego wyśmiewać. Jedna z nich chciała wrzucić do wody również skrzynkę z narzędziami, ale jędza usiadła na niej. Wciąż miała nadzieję, że Kroni odda jej mydło.

Kroni, klnąc pod nosem, wygramolił się z basenu i poszedł do ciemnej niszy w ścianie, żeby wyżąć spodnie. W niszy cuchnęło moczem. Kiedy wrócił nad basen, jędza wstała ze skrzynki i bez słowa wyciągnęła rękę. Kroni dał jej kawałek mydła, którego nie upuścił wpadając do

basenu. Wziął skrzynkę i ruszył przed siebie korytarzem, przyglądając ręką wilgotne włosy. Słyszał, jak kobiety nad basenem długo jeszcze wrzeszczały na jędzę, żeby oddała im mydło.

— Ty i tak niedługo zdechniesz! — wołały.

Jędza odszczekiwała się im, jak mogła.

Każdego innego dnia Kroni po takiej przygodzie wpadłby we wściekłość, ale dziś było inaczej. Doszedł do służbowej windy i pokłonił się strażnikowi. Strażnik odwrócił się. Nie chciał się witać z rurarzem, ale znał go już sześć lat, od chwili objęcia tego posterunku — i nie dokuczał.

Kroni jechał wcześniej niż zazwyczaj i dlatego w windzie wraz z nim znaleźli się nie ci, których spotykał codziennie. Pomyślał ni z tego ni z owego, że dawniej widywał bardzo niewielu ludzi. Ciągłe tych samych. Współpracowników i niektórych sąsiadów. Wielu swoich sąsiadów nie poznał nigdy, a o innych tylko słyszał. Widywał również takich, których trudno było uważać za ludzi, bo przypominali raczej trzęsienie ziemi lub morowe powietrze: poborcę, agentów przeprowadzających comiesięczną rewizję, pomocnika lichwiarza... Kroni wiedział, że niemal wszyscy na jego poziomie żyją tak samo. Tyle tylko, że stara jędza ma mniej znajomych, a pani Ratni więcej.

Winda zatrzymała się i zaczęli do niej wsiadać nowi pasażerowie. Kabina była już mocno przeciążona i Kroni słyszał, jak trzeszczą stare liny. Strażnik nie miał prawa zabierać tylu ludzi, ale nie chciało mu się robić dodatkowego kursu.

— Któregoś dnia spadniemy — powiedział cicho siwy technik. Technik był stary, ale najwidoczniej chciał jeszcze trochę pożyć. Starzy ludzie są bardziej przywiązani do życia niż młodzi. Dawniej Kroniemu też było wszystko jedno. Pewnie dlatego, że był młodszy.

Kroni nie odpowiedział technikowi, gdyż bał się, że strażnik go usłyszy. Milczeli również ludzie stojący wokół nich. Winda minęła bez zatrzymywania się następnym poziomem i ktoś krzyknął przez kratę ochronną:

— Stójcie! Spóźnimy się do roboty!... Strażnik wykrzywił twarz w uśmiechu.

— Trzeba wcześniej wstawać! — warknął.

Kroni ponad głowami sąsiadów przyglądał się różnokolorowym zaciekom na ścianach szybu windy. Najświeższa była wąziutka czerwona smuga. Puściła rura w farbiarni, pomyślał. Farbiarnia znajdowała się w innym sektorze, ale rurarze mieli obowiązek meldować o wszystkich uszkodzeniach.

Strażnik zatrzymał windę, bo zobaczył dwie handlarki z koszami.

— Nie ma gdzie, nam i tak już jest za ciasno — mruknął ktoś stojący za Kronim.

— Zamknij się! — wrzasnął strażnik.

Handlarki dały strażnikowi po drobnej monecie, ale było mu tego za mało, więc zabrał każdej z nich po największym słodkim korzeniu z koszyka. Kobiety usiłowały wsiąść do windy, ale koszyki się nie mieściły. Strażnik złapał kilku ludzi stojących i wypchnął z windy.

Zabiorę was następnym kursem — powiedział.

Wyrzuceni nie oponowali.

* * *

— Coś ty dzisiaj tak wcześnie? — zapytał majster, unosząc głowę znad planu sektora, w którym kreślił coś kawałkiem grafitu. Majster nie był najgorszy i zniżał się do rozmów.

— Chciałem się umyć, ale kobiety mnie nie puściły.

— Pchalesz się do kwartałowego basenu, brudasie? — zapytał majster. — Mało masz kałuż w korytarzach?

— Ma pan rację — powiedział Kroni. — Widziałem w windzie czerwony zaciek. Pewnie w farbiarni puściła jakaś rura.

— Wiem — mruknął majster. — Już czterech mi to meldowało. Nawet sam Zarządca dzwonił. Wysłałem już tam ludzi. Dzisiaj wyjdź trochę poza granice swoje odcinka i spróbuj wyłączyć ósmą i dziewiątą linię. I tak prawie nie działają.

— A co będzie, jak wysiądzie linia główna?

Majster wzruszył ramionami.

— Rozkaz pana Kalgara.

Do kantorku weszło trzech rewidentów z nocnej zmiany. Byli zmęczeni, umorusani od stóp do głów i wściekli jak wszyscy diabli. Okropnie cuchnęli.

— Zalutowaliście? — zapytał majster.

— Jutro znowu pęknie — odpowiedział starszy rewident, po czym usiadł pod ścianą i natychmiast zasnął.

— Pójdę — powiedział Kroni biorąc z kąta zwój drutu.

— Nie zaczekasz na pomocnika?

— I tak mamy dzisiaj robotę w różnych miejscach.

— Słusznie.

— Mógłbyś sobie załatać buty — mruknął któryś z rewidentów.

— Są jeszcze całkiem mocne — odpowiedział Kroni.

— Okropnie mi strzyka w krzyżu — poskarżył się drugi rewident.

— Powiedz o tym panu Kalgarowi — powiedział mu majster.

Rewident zaklął.

Kroni wyszedł z kantorku i zamknął za sobą drzwi. Za matową szybą, pękniętą i sklejoną szarą taśmą, przesuwały się ciemne sylwetki. Rewidenci meldowali majstrowi o awariach.

Wszyscy ludzie pracują razem, w grupach. Pracują w fabrykach, koszarach lub elektrowni. Tylko rurarze i szczurołapy spędzają całe dni w pojedynkę. Rurarzami można gardzić i nie pozwalać im korzystać ze wspólnego basenu, ale bez nich cały świat dawno by już zginął. Gdyby policzyć, ile rur załatał Kroni, ile wykrył przecieków i przepchał zamulonych przewodów, to można by dojść do wniosku, że Kroni jest potrzebniejszy niż sam pan Kalgar.

Jeszcze w zeszłym roku nawet do głowy by mu nie przyszło, że mógłby się porównywać z którymkolwiek z czystych. Świat, w którym żył, został w niepamiętnych czasach rozumnie i surowo urządzony przez Boga Reda, który wyłonił się z czerwonego mroku, aby nauczyć ludzi, jak ubierać się i oświetlać sobie drogę. Bóg przekazał swój czarodziejski kaganek czystym i oni to w swej szlachetności podzielili się światłem ze swymi młodszymi braćmi. Karmili i odziewali brudnych, dawali im pracę i karali surowo, lecz sprawiedliwie, po ojcowsku. Bóg Red nauczył czystych posługiwania się pieniędzmi, a oni podzielili się tymi pieniędzmi z brudnymi braćmi. Tak był urządzony świat, taki był zawsze i taki będzie dopóty, dopóki Ognista Otchłań nie zamknie swych dzieci w przepastnym łonie.

Kroni zatrzymał się na podeście, poza który zwyczajni ludzie nigdy nie wychodzili. Tam mogli docierać wyłącznie technicy i rurarze. Po przekroczeniu zardzewiałej kraty Kroni stawał się ważniejszy od kwartałowego, a nawet od Pana Oficera. Nikt z nich nigdy nie zapuszczał się w nieskończone korytarze technicznego miasta. Kroni położył na podłodze skrzynkę z narzędziami, zdjął z ramienia zwój drutu i przykleknął przed statuetką Boga Reda, oświetloną małą żarówką. Kolana bóstwa błyszczały od oliwy, którą rurarze pragnęli zyskać jego przychylności przed wyruszeniem na dyżur.

Kroni otworzył zamek kraty własnym kluczem. Długi tunel skręcał w lewo łagodnym łukiem i ginął w oddali. Pod sufitem co sto kroków paliły się słabe lampy. Ze ścian zwisały kable i rury.

Rury o większej średnicy biegły po podłodze. Kroni stał i wsłuchiwał się w odgłosy rur. Potrafił określić na ucho, jaki jest stan urządzeń. Nie słyszał niczego podejrzanego, może tylko zbyt głośno bulgotała rura doprowadzająca gorącą wodę do pieczarkarni.

Przystanął, żeby wymienić izolację na kablu numer 1. Wyglądało na to, że dobrały się do niego szczury. Kabel numer 1 zawsze powinien być w porządku, bo jest to linia łącząca Poziom Główny z elektrownią. Ciekawe, czego tu szczury szukają? Kroni wyjął ze jesiennej niszy puszkę z trucizną i rozsypał ją pod ścianą. Trucizna pokrywała białawą warstwą całą podłogę tunelu, ale szczury zupełnie nie zwracały na nią uwagi.

Poszedł dalej. Przy pionowym szybie uważnie skontrolował miejsca, w których rury i kable rozchodzą się w górę i w dół. Tam na zagięciach najczęściej zdarzały się uszkodzenia. Przy gwieździe, namalowanej na ścianie białą farbą, Kroni zatrzymał się i westchnął. W zeszłym roku zginął tu jego poprzedni pomocnik. Dotknął kabla z uszkodzoną izolacją. Pomocnika znalazł małego szczurołapa i przytaszczył go do kantorku. Ale było już za późno. Teraz Kroni powinien dojść aż do trzeciego zakrętu, gdzie kończył się jego odcinek, i tam zejść na niższy poziom. Minął jednak schody i przeszedł jeszcze ze trzysta kroków, poza granicę swojego odcinka. To już było wykroczenie, bo rurarzom nie wolno zapuszczać się samotnie w odległe korytarze.

Dawniej w szybie kursowała winda, która teraz tkwiła nieruchomo między poziomami. Dawno już o niej zapomniano, a ktoś, też nie wiadomo już kiedy, wybił w kabynie dziury na wylot, żeby można było tą drogą przedostać się na dolny poziom. Szyb był zupełnie ciemny, więc Kroni zapalił lampę i przymocował ją do czoła, żeby mieć wolne ręce. Przeciskając się przez zardzewiałe szkielet kabiny rozdarł sobie kurtkę. Bardzo go to zmartwiło, bo nowa należała mu się dopiero za osiemdziesiąt dni. Ale trudno, stało się! Pochylił się nad dziurą w podłodze i rzucił skrzynkę z narzędziami w dół, jak najbliżej ściany. Żelastwo wewnątrz skrzynki zabręczało głośno i wyraźnie, a więc dno szybu musiało być blisko. Uspokojony tym Kroni zawisnął na rękach i skoczył w dół. Wylądował na szerokim gzymsie utworzonym przez betonową płytę, która odpadła ze ściany szybu i zaklinowała się w nim. Kroni nadstawił uszu. Było cicho, przerażająco cicho dla zwykłego mieszczucha, ale przecież on był rurarzem, człowiekiem, dla którego taka cisza była czymś zwyczajnym i uspokajającym. Gdzieś daleko od stropu oderwała się kropla wody i spadła na mokrą posadzkę. Ten sektor od dawna już był porzucony i mieszkwały w nim wyłącznie zjawy.

Rewidenci, którzy docierali na te poziomy jeszcze parę lat temu, mówili, że szczury krążą po nich całymi stadami i jak nic mogą zagryźć samotnego człowieka. Ale inżynier Razi powiedział, że jedynie rurarz może odnaleźć bibliotekę. Rurarze przywykli chodzić w pojedynkę ciemnymi korytarzami i nie bali się pustej ciemności. Kroni był rurarzem, miał klucz od kraty, więc poszedł.

Teraz położył się na zaklinowanej płycie, wysunął głowę poza jej krawędź i poświecił w dół. Wydało mu się, że na dnie szybu mignął blady cień. Może zresztą zobaczył go dlatego, że spodziewał się go zobaczyć... Przywiązał koniec kabla do pręta wystającego z płyty. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie zostawić tu skrzynki, ale nie odważył się tego zrobić.

Jeszcze raz nadstawił uszu. W dole coś szeleściło, jakby stado szczurów biegło po tunelu w tę i z powrotem. Można wrócić i powiedzieć inżynierowi Raziemu, że droga do najgłębszych poziomów jest zamknięta. Inżynier nie zdoła tego sprawdzić. Ale powodowało nim coś więcej niż chęć przypochlebiania się zwierzchnikowi. Kroni bardzo chciał znaleźć bodaj jedną książkę.

Szarpnął parę razy za kabel, sprawdzając jego wytrzymałość, przerzucił skrzynkę z narzędziami przez ramię i zaczął opuszczać się na rękach z głową pochyloną tak, aby światło zawsze padało w dół.

Podeszwy butów głośno klasnęły o posadzkę. Dnem tunelu płynął strumyk i prawa noga

Kroniego od razu przemokła. Rewident miał rację — but był dziurawy. Kroni cofnął się pod ścianę, oparł o nią plecami i wolno odwrócił głowę. Promień latarki prześlizgnął się po ścianach ze strzępami przewodów i utonął w głębi tunelu. Wielka sala, przez którą miał przejść, znajdowała się z lewej strony.

Przedwczoraj, po Biesiadzie, spotkali się w trójkę z inżynierem i inwalidą z wytwórni azbestu. Inwalidzie opowiadał o bibliotece jego ojciec, który jeszcze jako młody chłopak uczestniczył w wielkiej obławie na szczury i zabłądził w płataninie tuneli dolnych poziomów. Błądził tam przez trzy doby i widział wiele dziwnych rzeczy, o których nawet nie odważył się wspominać. Właśnie wtedy znalazł wejście do Biblioteki za Domami Przodków. Inżynier Razi wiedział, że biblioteka przepadła wiele, wiele lat temu.

— Istnieje bardzo niewielka szansa na to — powiedział inżynier na tym spotkaniu — że coś z niej przetrwało. Wilgoć — to raz. Szczury — dwa, nieprzewidziane okoliczności — trzy.

Razi mówił dobitnie i niezbyt głośno, jak przystoi inżynierowi przywykłemu do posłuchu podwładnych.

— Uważnie zlustrowaj wszystkie pomieszczenia, na które natrafisz po drodze. Kiedyś miały one duże znaczenie dla całej infrastruktury miasta — powiedział na koniec inżynier.

Nie wyjaśnił tego szerzej, a Kroni o nic go nie pytał, gdyż wobec ogromu swojej niewiedzy wielu słów inżyniera po prostu nie rozumiał.

Kroni szedł tunelem. Woda pod nogami była bardzo zimna i wiedział, że się przeziębi, jeśli niebawem nie znajdzie się w suchym miejscu. Woda wydzielala różne zapachy i wedle nich rurarz potrafił określić, skąd wyciekały poszczególne strumyki. Cuchnęło mydłem do prania, kwasem, zużytymi smarami, pomyjami. Kroni wyobrażał sobie, jak strumyk wycieka po kropelce z nieszczelnych rur, przesącza się z poziomu na poziom, aby wreszcie odnaleźć drogę do Otchłani.

Z tyłu rozległ się cichy szmer, jakby kropla wody stoczyła się po ścianie. Dla zwyczajnego człowieka byłby to nic nie znaczący dźwięk w tunelu wypełnionym szelestami i stukotem kropel. Ale słuch Kroniego natychmiast wyodrębnił go spośród setek innych szeptów miasta i wyczuł w nim niebezpieczeństwo. Rurarz odwrócił się gwałtownie, starając się jednocześnie przycisnąć do ściany.

Po piętach deptał mu wielki szczur. Nie spieszył się i kiedy promień latarki wyłowił go z mroku, spokojnie przysiadł na tylnych łapach i czekał, aż Kroni ruszy dalej. W zachowaniu szczura była jakaś przerażająca rozumność, pewność siebie i Kroni wyobraził sobie nagle tysiące kroków, które będzie musiał przebyć w ciemności, aby znowu znaleźć się wśród ludzi.

Ruszył przed siebie prawie biegiem, bo przecież chciał dotrzeć do Domu Przodków. Nie wiedział, czym jest Dom Przodków, a inżynier Razi powiedział jedynie, że zapewne właśnie tam znajdowało się kiedyś centrum miasta. Stosunkowo niedaleko elektrowni i na bezpiecznej głębokości. Razi podejrzewał, że miasto było zaprojektowane odwrotnie, że brudni mieszkali z początku nad czystymi. Brzmiało to dziwnie i na pozór nie miało sensu, ale Kroni wiedział już, że wszelkie dziwactwa miasta zostały stworzone przez zamieszkujących je ludzi i że w drodze do prawdy o nim może natknąć się na wiele jeszcze różnych niespodzianek.

Mały, obszarpany człowieczek biegł czarnym tunelem. Światło latarki zdradzało mieszkańcom ciemności jego ruchy, co było bardzo niebezpieczne, ale zrezygnować ze światła przecież nie mógł. Szczury, stonogi i zjawy umiały widzieć bez oczu, a Kroni, chociaż pół życia spędził w mrocznych tunelach instalacyjnych, w całkowitej ciemności był jednak bezsilny i bezradny.

Szczur dreptał za nim, przysiadając czasem i czekając, kiedy się zatrzymywał. Kroni rzucił w niego kamieniem i chybił. Szczur nawet nie drgnął, jakby wiedział z góry, że kamień przeleci

obok. Szli tak może godzinę, a może trochę krócej.

Nagle w przedzie pokazało się światło. Zielone i blade, jakby odbite w głębokiej wodzie. Kroni zwolnił kroku. Na tym poziomie nie powinno być żadnego światła! Żałował teraz, że nie zostawił skrzynki z narzędziami w unieruchomionej windzie. Żadnego pożytku, a tylko przeszkadza w ucieczce. Chwycił rękojeść noża. Uspokoiło go to nieco, chociaż doskonale wiedział, że nóż nie obroni go nawet przed szczurami. Na końcu drogi były przecież nie tylko Domy Przodków. Mogły tam pozostać ich dusze, a ten, kto napotka duszę zmarłego, nigdy już nie wróci do domu. Kroni pojął nagle, jak przytulny jest jego własny dom, i przestał złościć się na panią Ratni, która przecież tylko stawiała w obronie Obyczaju i nie chciała wyrządzić mu krzywdy. Pojął też, że nie może iść dalej. Żadnej biblioteki nie ma. Inżynier zwabił go tutaj i oszukał, inżynier po prostu zwariował. Na świecie nie ma nic poza Miastem i Otchłanią...

Odwrócił się wolno, zastanawiając się, jak wrócić, żeby szczur go nie ugryzł.

Ale szczur już nie był sam. Zobaczył tam już trzy lub cztery. Uśmiechały się lub może tylko szczerzyły zęby. Kroni z początku nie domyślił się, dlaczego tak wyraźnie widzi uśmiechy szczurów, ale potem go olśniło — szczury podeszły tak blisko, że bez trudu rozróżniał ich zęby i drgające wąsy.

Szczury zachowywały się jak nagonka, chociaż w przeciwieństwie do zwyczajnych naganaczy nie biegały nerwowo, nie wrzeszczały, nie hałasowały i nie bały się ciemności. Po prostu czekały. Kiedy Kroni skoczył w ich stronę, nie cofnęły się, tylko przysiadły na tylne łapy i uniosły do góry wyprężone ogony, jakby same gotowały się do skoku.

Rurarz nie odważył się cofać dalej, tylko odwrócił się i pochylając głowę, żeby świecić sobie pod nogi i nie poślizgnąć się na stonodze, popędził w stronę zielonego światła. To było bardzo nierozsądne, bo z kilkoma szczurami zdołałyby sobie poradzić, a w głębi korytarza mogła czekać go pewna śmierć, ale nie potrafił przezwyciężyć lęku i obrzydzenia. Niektórzy rewidenci chwalili się, że nie boją się szczurów i nawet je dokarmiają, a szczury nie robią im krzywdy. Nie rzucają się też na myśliwych szczurołapów. Ale oni znają zakłęcie.

* * *

Tunel nagle się skończył. Kroniemu wydawało się, że do światła jest bardzo daleko, ale światło go oszukało. Było słabe i blade. Sączyło się ze ściany podziurawionej tysiącami korytarzyków. W każdym z nich tkwiła gaśienica, ledwie widoczny zielony płomycek. Gaśienice, mrowiąc się w tych norach, dawały w sumie tyle światła, że w jego blasku widać było domy na ulicy, wysoki strop i zwisające z niego porozbijane, dawno zgasłe lampy. Strop był niegdyś pomalowany niebieską farbą, która łuszcząc się zasłała posadzkę tunelu błękitnymi płatami.

W tym miejscu można było obejść się bez latarki, więc Kroni nieco się uspokoił. Szczury gdzieś zniknęły, widocznie zostały w tamtym tunelu.

A więc inżynier Razi miał rację: Domy Przodków istniały i Kroni właśnie do nich dotarł. Domy były wielkie, zagłębione w skałę, z której sterczały tylko zniszczone, odrapane fasady. W niektórych oknach zachowały się kawałki szyb. Szkło okienne miało w mieście bardzo wielką wartość, więc Kroni postanowił, że w drodze powrotnej zabierze kilka odłamków, żeby potem zrobić z nich lusterka.

Podszedł do drzwi najbliższego domu i zajrzał do środka. Kiedyś podłoga domu pokryta była grubą warstwą plastiku, ale właściciele przed wyprowadzeniem się zerwali wykładzinę, pozostawiając tylko zardzewiałą kratę, do której mocowano plastik. Pierwszy od wejścia pokój był ogromny. Kroni nigdy jeszcze nie widział takiego wielkiego pokoju, chociaż z pewnością pan

Kalgar ma pokoje jeszcze większe. Po ścianie, chroniąc się przed światłem, pełzła glista. Kroni jednak nie wycofał się, nie uciekł, bo był pewien, że skoro ludzie kiedyś tu mieszkali, to choćby nie wiedzieć jak dokładnie zbierali swoje rzeczy przed wyprowadzką, choćby wrogowie palili i grabili ich siedziby z największą nawet zaciekłością, to i tak jakieś ludzkie ślady musiały pozostać. Dlatego kiedy Kroni natrafił podczas swych obchodów na miejsca, w których mieszkali ludzie, zawsze starannie je przeszukiwał, gdyż przedmiot zapomniany lub porzucony jako niepotrzebny wiele lat temu, teraz mógł być wart majątek. Kiedyś było więcej metali i szkła, kiedyś ludzie umieli robić dobry, mocny plastik.

I wcale tych rzeczy nie cenili.

Ostrożnie stąpając po prętach kraty, żeby nie wpaść do piwnicy, i świecąc od czasu do czasu w dół, Kroni przeszedł przez pokój i dotarł do następnego, zagłębionego w skale. W kącie pod skałą coś zajaśniało. Pochylił się. Spod warstwy rdzy szczyrzyła do niego zęby naga czaszka. Kiedyś musiała tu być eksplozja, która zerwała kawał kraty i człowiek spadł na dół. Kroni odsunął czaszkę i podniósł stalowy hełm. Hełm prawie nie przerdzewiał i widać było, że jest zupełnie inny niż te, których teraz używają żołnierze. Pośrodku miał zębaty grzebień, a z przodu długi, prosty daszek. Kroni założył hełm. Był dla niego trochę za duży, a w dodatku ze szczytków wyściółki sterczały ostre śruby. Kroni wyjął ze skrzynki młotek, sklepał nim śruby i na wszelki wypadek wepchnął do hełmu szmatę, po czym znów założył hełm na głowę.

Poświecił w dół, ale oprócz garstki zetlałych kości i przegniłych łachmanów niczego tam nie dojrzał. Dla pewności przykucnął i rozgarnął nogą kupkę śmiecia. I nie na próżno. Pod śmieciem leżał prawie nowy, długi i szeroki nóż. Taki nóż musi kosztować mnóstwo pieniędzy. Kroni nigdy nie rozstał się z tym znaleziskiem. Musi go schować w jakimś pewnym miejscu, aby nie wpadł w oko agentom.

Kroni poczuł na plecach czyjś wzrok. Odwrócił się, wystawiając nóż do przodu.

W drzwiach stała zjawa. Wysoka, błękitna, świetlista zjawa bez twarzy. Kroni cicho krzyknął, stracił równowagę i spadł na dół. Padając uderzył łokciem w czaszkę i rozgniół ją na pył. Wiedział, że umrze, bo odnalazł go dawny właściciel domu, zły duch, którego nie wolno oglądać. Nic się jednak nie stało. Cicho i ciemno. Latarka zgasła. Dobrze, jeśli tylko się wyłączyła, a nie roztrzaskała na kawałki. Bez latarki nie sposób się stąd wydostać.

Bolała go noga. Utykając przedostał się po kracie do wyjścia z domu i wyrzwał na zewnątrz. Ulica wciąż była oświetlona migotliwym światłem, zjawa znikła, ale za to Kroni zobaczył coś innego — w poprzek ulicy, odcinając mu drogę do tunelu, siedziały rzędkiem szczury. Pogroził im nożem. Szczury ani drgnęły. Czekwały. Kroni szczerknął wyłącznikiem latarki. Latarka się zapaliła.

Ze stropu spadła gruba kropla wody i z głuchym odgłosem rozprysnęła się na hełmie. Kroni nastąpił na płat niebieskiej farby, poślizgnął się, utrzymał się jednak na nogach i ruszył dalej, wzdłuż szeregu pustych domów, gapiących się na niego czarnymi dziurami pustych otworów drzwiowych. Dopędził go tupot łap. Zdażył błysnąć promieniem latarki i zobaczył, że jeden ze szczurów skoczył jego stronę, jakby popędzał tam, gdzie chciała go zagnać szczurza zgraja. Kroni machnął nożem i zobaczył z radością, że ostrze bez trudu rozcięło bestię na pół.

— Który następny? — zapytał stado. Przeraził go dźwięk własnego głosu. Był obcy i zbyt krzykliwy.

Szczury znowu usiadły rzędkiem, ale gdy tylko ruszył dalej, natychmiast trzy z nich rzuciły się do przodu i, znając już śmiercionośną siłę noża, obskakiwały Kroniego w bezpiecznej odległości, unikały ciosów i po minucie lub dwóch dopięły swego — Kroni zaczął biec. Nie chciał tego, bo wiedział, że szczurom właśnie na tym zależy, ale nogi biegły same, więc musiał ich słuchać, żeby się nie przewrócić. Skrzynka tłuła go w bok, hełm zrobił się ogromnie ciężki i

zjeżdżał na czoło, buciory ślizgały się na płatach farby... Jeden ze szczurów wczepił mu się w nogę i natychmiast odskoczył. Po prostu go poganiał.

I wtedy Kroni zrozumiał, dokąd pędziło go stado. Tu przed nim, w poprzek wąskiego przejścia, do którego wbiegł, usadowił się łańcuch białych szczurów. Takich samych, jak jego prześladowcy. Nagonka osiągnęła swój cel...

Zatrzymał się gwałtownie i biegnący na czele nagonki szczur nie zdołał umknąć ciosu jego noża. Upadł i stado natychmiast go rozszarpało. Zaraz jednak zaczęło znów wolno zbliżać się do Kroniego.

Rurarz obejrzał się. Za plecami miał wejście do domu. Wszedł na stopnie ganku i zatrzymał się w pustej framudze drzwi. Teraz, skoro szczury nie napadną na niego z tyłu, będzie mógł się bronić.

Rzuciły się na niego całym stadem. Atakowały również te, które dotąd siedziały w zasadzce. Były widać wściekłe, że nie dał się do tej zasadzki zwabić. Skakały na niego jak drapieżne pająki, a on ciął nożem na oślep, nie zważając na to, że go kasają, rwą na nim odzież, wyrrywają strzępy kurtki. Ale każdy skok, każdy nowy napór stada zmuszał go do cofnięcia się o krok, żeby szczury nie zaszły go od tyłu...

Odważył się spojrzeć za siebie. Korytarz był wystarczająco wąski, aby bezpiecznie się nim wycofać, nie lękając się okrażenia przez szczury. Zaczął więc wolno cofać się korytarzem.

Plecy oparły się o coś twardego. Wolną ręką Kroni obmacał ścianę, jeszcze nie zdając sobie sprawy, że ta ściana oznacza koniec jego nadziei. Mur był ułożony z nierównych kamieni i sięgał aż do stropu. Kiedy to pojął, znowu rzucił się na swoich prześladowców.

Tym razem szczury były przygotowane na jego atak. Tratując się nawzajem, sycząc i szczerząc zęby błyskawicznie wycofały się, ale gdy tylko Kroni odwrócił się do nich plecami, chcąc obejrzyć zaporę, natychmiast rzuciły się do przodu.

Kroni wpadł w tępą rozpacz, w stan krańcowego znużenia, kiedy człowiek pragnie tylko jednego — usiąść, wyciągnąć nogi, głowę oprzeć o coś miękkiego i ciepłego, i niech się dzieje co chce. Stado poczuło, że przeciwnik się poddaje...

Wtedy jednak Kroni uświadomił sobie, że nie może usiąść, bo szczury i tak nie pozwolą mu odpocząć, że właśnie dlatego rzuciły się na niego, aby nie mógł odpocząć... Musiał jednak przysiąść, choćby na chwilę, więc rzucił się z wściekłością na szczurzą zgraję, żeby wywalczyć sobie to prawo do odpoczynku. Z desperacką siłą ciął, deptał, rozrzucał szczury nogami, żeby tylko dały mu chwilę spokoju. Nie mógł ich przestraszyć, bo te bestie w stadzie nie znają strachu, ale rosnąca z każdą chwilą sterta trupów na moment powstrzymała atak. Wtedy Kroni odwrócił się do muru i zaczął szukać w nim szczeliny. Bił rękami kamienie, pchał je z całej siły i nagle poczuł, że jeden z gładów ustępuje, przechyla się i zapada do środka. A kiedy wierzgając nogami, żeby odpędzić atakujące znów szczury, prześlizgnął się przez powstały otwór i spadł po drugiej stronie ściany, prawie nie poczuł uderzenia o kamienną posadzkę. Marzył tylko o tym, żeby się nie ruszać... Miał jednak do wykonania ważną robotę, przed skończeniem której nie mógł sobie pozwolić na wypoczynek. Tak, szczury nie dadzą mu spokoju. Dotrą i tutaj i znowu zaczną do niego skakać. Na pół przytomnie Kroni wstał, wymacał na posadzce gład wypchnięty ze ściany, uniósł i zatkał nim czarną dziurę, w której już pokazał się wężący, ślepy pysk szczura.

A potem osunął się na posadzkę, wyciągnął nogi i stracił przytomność. Latarka na helmie świeciła do góry i nad jego głową rozbłysnął złoty krąg.

* * *

Kroni otworzył oczy, zobaczył świetlisty krążek i z początku nie mógł zrozumieć, skąd nad

jego głową wzięło się tyle złota. Spróbował poruszyć głową i złoty krążek drgnął, skoczył w bok i rozpląszczył się na ścianie. Wtedy Kroni natychmiast przypomniał sobie wszystko. Nie wiedział tylko, jak długo przeleżał uśpiony czy nieprzytomny.

Nadstawił ucha. Najpierw dobiegł go szmer i popiskiwanie. Były to odgłosy zrozumiałe i pocieszające. Szczury nie chciały zrezygnować ze zdobyczy i drapały kamienną ścianę, ale to go już nie obchodziło. Potem usłyszał westchnienie, ochryple i zdławione, jakby ktoś wciągał powietrze przez wąską szparę. Kroni znieruchomiał z przerażenia. Cóż to jeszcze za potwór czyha na niego w ciemności? I dlaczego do tej pory nie rzucił mu się do gardła? Przeciągnął dłonią po zimnej posadzce. Palce natknęły się na nóż i zacisnęły na jego rękojeści. Teraz był bezpieczniejszy. Potem Kroni podciągnął łokcie i unióśł głowę, omiatając promieniem latarki przeciwległą Ścianę. Usiadł i zobaczył stertę łachmanów w kącie kamiennego lochu. Sterta poruszyła się, zamarła i znów rozległo się długie, przerywane bólem westchnienie. Kroni opadł na czworaki i trzymając nóż przed sobą podpełzł do kupy łachów.

Z łachmanów wyglądała część twarzy — szare włosy i ostry, kredowobiały nos. Drgnęła niebieska powieka, ukazując błyszczące rozognione, szalone oko. Chuda, drżąca ręka uniosła się obronnym gestem, celując długimi paznokciami w twarz Kroniego. Ale po chwili opadła bezsilnie i jakby utonęła w stercie łachmanów.

Otworzyły się usta, bezzębne i czarne. Człowiek chciał coś powiedzieć, ale tylko zacharczał. Potem jednak Kroni zdołał rozróżnić słowa:

— Precz... żołnierzu...

— Nie jestem żołnierzem — odpowiedział. — Jestem rurarzem. — Realny człowiek nie wzbudzał w nim lęku.

— Rurarz... — wychrypiął mężczyzna. — Pić... Kroni poczuł, że sam ma śmiertelne pragnienie.

— Gdzie tu jest woda? — zapytał.

— Dalej, tam...

Mężczyzna zdołał słabym gestem głowy wskazać w głąb pokoju. Kroni unióśł się z klęczek i trzymając się ściany szedł wolno przed siebie, dopóki nie usłyszał szmeru spływającej wody i nie zobaczył strumyczka wyciekającego ze szczeliny w ścianie. Podstawił hełm, długo czekał, aż uzbiera się w nim trochę wody i natychmiast ją wypił. Minęła cała wieczność, zanim sam napił się do syta i nabrał wody dla nieznanego. Kiedy tak pił i czekał, trzymając hełm pod ciurkającym strumyczkiem, miał dużo czasu na myślenie. Myślał więc, że tu żyje człowiek, co jest bardzo dziwne, bo w takim miejscu człowiek żyć nie może.

Dziwny człowiek czekał na niego. Światło latarki odbiło się w jego żrenicach, skierowanych w tę stronę, z której powinien nadejść rurarz.

— Idę — odezwał się Kroni z daleka, żeby rozpędzić ciszę.

Pochylił się i unióśł lekką, rozpaloną głowę człowieka. Nieznajomy pił długo i jakby niewprawnie. Woda ściekała mu z kącików ust tak obficie, że chyba niewiele jej trafiało do gardła. Zresztą człowiek w takim stanie nie mógł wiele wypić. Nieznajomy zamknął oczy i odrzucił głowę do tyłu. Kroni przestraszył się, że mężczyzna umarł.

— Poczekaj — powiedział, jakby chciał go zatrzymać, nie pozwolić odejść w mrok, z którego nie ma już powrotu.

— Jestem — powiedział nieznajomy nieoczekiwanie jasnym i silnym głosem. — Dawno już nie piłem. Nie wiem, kiedy ostatnio piłem.

Spod zamkniętych powiek ukazały się dwie łzy i spłynęły po zapadniętych policzkach.

— Jesteś na pewno głodny — powiedział Kroni. — Mam jedzenie...

— Dziękuję — powiedział nieznajomy nie otwierając oczu. — Jedzenie nie jest mi już

potrzebne. Jestem zmęczony. Umarłem.

— Żyjesz — powiedział Kroni i od razu pojął, że kłamie. To oczywiste, że ten człowiek umarł, że przekroczył granicę, za którą nie ma już życia.

— Jestem szczęśliwy — odezwał się człowiek. — Jestem szczęśliwy, bo się napiłem. Nie potrafisz zrozumieć, jak trudno jest umierać w samotności i ze świadomością, że one w końcu dobią się do ciebie.

— Słyszałeś, jak tu przyszedłem? — zapytał Kroni.

— Tak, ale nie wiedziałem, że jesteś człowiekiem. Myślałem, że one jednak się tu przedarły, i czekałem, aż mnie zaatakują.

— Dawno się tu zjawiłem? — zapytał Kroni obawiając się, że usłyszy w odpowiedzi: „trzy dni temu”.

— Niedawno — odparł nieznajomy. — Leżałeś jakieś dziesięć minut.

— Przyśniło mi się — powiedział Kroni — że znalazłem inne miasto.

— Innego miasta nie ma. Ja też marzyłem o mieście, w którym zawsze jest jasno, w którym nie trzeba trząść się ze strachu w każdej chwili spodziewać śmierci.

— Myślisz, że nasze miasto jest jedyne?

— Tak — odparł nieznajomy głosem pełnym przekonania. — Wasze miasto jest jedyne na świecie. Dotarłem do samej Otchłani. Widziałem tańczące zjawy i widziałem też Białego Pajaka. Poznałem robaki, które potrafią przegryzać ściany, i odnalazłem drogę do Ognistego Jeziora. Ale innego miasta nie ma.

— Takie miasto powinno być — powiedział Kroni. — Ludzie mi to nim mówili.

— Tak było zawsze. Szukałem. Innego miasta nie ma.

— Znasz drogę do biblioteki? — zapytał Kroni. Chciał zapytać o drogę powrotną, o bezpieczną drogę dla ludzi, na której nie ma szczurów, ale zapytał o bibliotekę.

— Daj mi jeszcze wody — poprosił nieznajomy.

Kroni zbliżył hełm do jego warg. Nieznajomy pił długo i Kroni poczuł, że też ma pragnienie.

— Biblioteka to jest miejsce, w którym leżą książki — powiedział. — A książki mówią o Mieście na Górze... — Komu potrzebne są książki? — zapytał nieznajomy i zamilkł. Zapadła długa cisza, w której słychać było kłębienie się szczurów za ścianą. Potem powiedział: — Już mam lodowate nogi... Szukasz drogi do biblioteki?

— Tak.

— Po co ci książki? Jesteś przecież rurarzem. Nie uczyłeś się...

Kroni rzeczywiście się nie uczył. Przez rok był w terminie. Umiał trochę czytać, znał się na schematach korytarzy i tuneli, słowem, wiedział dość, żeby zostać rurarzem. Potem, po wielu latach pracy, nauczył się na słuch wychwytywać zakłócenia w funkcjonowaniu rur i dowiedział się, w jaki sposób elektryczność dociera kablami ze Stacji do miasta.

— A ja się uczyłem — powiedział nieznajomy i znów zamilkł, bo mówienie z każdą chwilą sprawiało mu coraz większą trudność. — Książki... czytają teraz szczury! — Roześmiał się bulgotliwie, ale zaraz zaczął mówić szybko i dobitnie, jakby obawiając się, że nie zdąży powiedzieć wszystkiego: — Byłem inżynierem. Pogwałciłem Zasady. Kochałem córkę pana Spela. Glizda nas wysłedził... Miałem być wtrącony do Otchłani... Żyłem tu, wszystko widziałem i wiem, gdzie jest kipiące jezioro... Uniósł głowę i zapytał głośno: — Co z nią? Jak zdrowie szlachetnej młodej pani Gery Spel? Czy jest szczęśliwa?

Kroni nie zdążył podtrzymać głowy nieznajomego, która z głuchym łoskotem, jak próżny garnek, uderzyła o ścianę. Zrozumiał, że ten człowiek zaraz umrze.

— Jak trafić do biblioteki? — pochylił się nad nim. Oddycha? Czy jeszcze oddycha? — Jak trafić do biblioteki?

Nieznajomy poruszył wargami:

— Idź do zjaw... Idź dalej, za drzwi...

I to wszystko.

Szczury drapały pazurami kamienną ścianę. Człowiek żył tu bez światła, skradał się korytarzami, ukrywał się, chciał żyć. Śmierć go ścigała, a on nie wiedział, dokąd przed nią uciec.

Kroni rozgarnął łachmany i wymacał na piersi nieznajomego metalowy znak rozpoznawczy z jego nazwiskiem i numerem. Kiedy człowiek umiera, zabiera się jego znak rozpoznawczy. Taki jest zwyczaj. Kroni włożył znaczek do kieszeni, bo nie miał teraz czasu sylabizować, jak się ten nieznajomy nazywał. Poświecił po kątach izby: skorupy naczyń, parę okopconych kamieni, pewnie palenisko, i żelazny pręt — broń. Kroni zobaczył też swoją skrzynkę z narzędziami. Zupełnie o niej zapomniał i teraz ucieszył się na jej widok, jakby spotkał utraconego przyjaciela. Sprawdził jeszcze, czy dobrze trzyma się gładki zatykający dziurę w ścianie, bo nie chciał, żeby szczury dobrały się do tego człowieka, i ruszył, nie oglądając się, przed siebie.

Zaraz za sączącym się ze ściany strumykiem, gdzie nabierał wodę, natknął się na drzwi. Z początku nawet nie zorientował się, że drzwi są stalowe. To prawdziwy cud, że ktoś opuszczając to miejsce zostawił prawdziwe stalowe drzwi. Kroni pogładził ich gładką, lśniącą powierzchnię, nie mogąc od razu rozstać się z tak drogocennym przedmiotem.

Za drzwiami było pusto. Kroni poczuł na twarzy leciutki powiew zimnego powietrza i zrozumiał, że ma przed sobą dużą, otwartą przestrzeń. Doświadczony rurarz zawsze potrafi się zorientować, skąd i dlaczego płynie powietrze.

* * *

To była bardzo dziwna sala, w każdym razie takiej Kroni nigdy jeszcze nie widział. Była wysoka i trzy ściany miała gładkie, jakby wypolerowane, a czwartą zasłaniała błyszcząca, lecz zmatowiała ze starości tablica z mnóstwem otworów. W tych otworach tkwiły kiedyś aparaty i przyrządy, mechanizmy i urządzenia — wszystko to zostało wymontowane, wyjęte, wyszarpane, wyrwane i wycięte, zewsząd sterczały końce kabli, pognięte blachy i połamane śruby. Najwidoczniej ci, którzy stąd uciekali, nie troszczyli się o czystość i porządek. Po prostu łapali, co było pod ręką, i ładowali na wózki i wywozili. Kroni wiedział, że tak właśnie było, gdyż jeden wózek z urwanym kołem stał niedaleko tablicy i dosłownie ugiął się pod ciężarem okrągłych przyrządów ze strzałkami i cyferkami, błyszczących metalowych skrzyneczek i pudełek, szklanych rurek, motków różnokolorowych kabli i lamp. Takie bogactwo, takie stopy niewyobrażalnych skarbów wprawiły Kroniego w osłupienie. Każde metalowe pudełeczko, jeśli wyrzucić z niego zawartość, będzie kosztować więcej, niż on zarabia przez cały miesiąc, a wartości innych przedmiotów po prostu nie umiał sobie wyobrazić... Spod stosu przyrządów wystawał skrawek materiału. Kroni pociągnął go ostrożnie. Materiał był cienki jak pajęczyna, miękki i niesłychanie mocny. Szkoda tylko, że było go tak niewiele. Kroni otworzył skrzynkę i włożył do niej starannie złożoną tkaninę. Potem nie wytrzymał i podniósł kilka pudełeczek ze sterczącymi z nich kabelkami. Odstawił skrzynkę i zajrzał do wózka. I wtedy poczuł się jak człowiek, który dopiero co zjadł bardzo smaczny i syty, ale prosty posiłek, a potem, kiedy nie mógł już nic przełknąć, dostał jeszcze cały półmisek najwyszukańszych smakołyków. W wózku leżała cała bela tkaniny. Znajdowała się tam również skrzynka z narzędziami, precyzyjnymi jak narzędzia dentysty, i całe zwoje kabli w miękkiej izolacji... Kroni wysypał ze skrzynki swój dobytek, odwinął z dziesięć łokci tkaniny i odciął ją nożem. Wysypał narzędzia. Wrzucał do skrzynki różne przedmioty, starając się, żeby były niewielkie, nowe i błyszczące. Skrzynka nie dawała się zamknąć, wyjmował więc z niej różne przedmioty i upychał po kieszeniach. Trudno

mu było oderwać się od tego zajęcia, trudno odejść. Zapomniał o bibliotece, zapomniał o tym, że musi jakoś dotrzeć na górę. Zapomniał o całym świecie i sycił się błyszczącymi przedmiotami.

Wreszcie ocknął się i rozejrzał dokoła. Był bogaty. Co najmniej przez rok nie będzie musiał o niczym myśleć. Mógł zapomnieć o bibliotece i o innym mieście, gdyż bogaty człowiek może nie myśleć i nie marzyć o tym, czego nie ma...

Zjawa stała obok i przyglądała się, jak bogaty rurarz Kroni upycha łupy po kieszeniach. Nie groziła mu, nie atakowała, lecz zrobiła pewną rzecz, której po zjawie trudno było się spodziewać. Pochyliła się i podniosła z podłogi upuszczony kawałek kaszy... Najzwyczajniejszej w świecie kaszy, którą przyrządza się z pleśni i porostów, dodając do smaku trochę drobnych orzeszków rosnących na ścianach. Zjawa obracała kawałek kaszy i obwąchiwała go. Zjawa miała ręce, zupełnie niepodobne do rąk ludzkich, a poza tym głowę bez oczu i ust. Usta miała niżej, gdzieś na wysokości pasa. Zjawa wessała kaszę i Kroni był tym tak wstrząśnięty, że zapomniał o głodzie. Zjawa jadła jego kaszę. Zjawa mogła jeść, to znaczyło, że świecący słupek, przynoszący pewną śmierć każdemu, kto go zobaczy, nie był duchem. Duchy nie mogą jeść. Nie muszą jeść. Duchy nie mają ciała, które trzeba karmić dla podtrzymania sił.

— Co ty? — powiedział Kroni.

Nie chciał zjawy przestraszyć, bo natychmiast przypomniał sobie ostatnie słowa umierającego mężczyzny, które z początku uznał za bredzenie. Nieznajomy powiedział: „Idź do zjaw!” Zapytał więc:

— Gdzie jest biblioteka?

Zjawa zaczęła się cofać i położyła na kamieniu resztkę kaszy, jakby w ostatnim momencie ruszyło ją sumienie.

— Jedz — powiedział Kroni. Nic był zły ani chciwy. I chociaż przed chwilą się wzbogacił, nie stał się przez to wcale gorszy.

Zjawa zatrzymała się, a Kroni pomyślał, że pewnie rozumie język ludzi.

— Jedz, wcale ci nie żałuję — powtórzył Kroni nie zmieniając pozycji. Siedział w kucki przy swojej skrzynce i gładził rękami kieszenie wypchane różnym dobrem.

Wówczas zjawa ponownie się zbliżyła, wzięła resztkę kaszy i wsunęła ją do ust. Kroni mógłby przysiąc, że przed chwilą te usta znajdowały się co najmniej dwie piędzi wyżej i w bok, ale zdolność człowieka do dziwienia się ma też swoje granice. Zjawa zjadająca kaszę była nieprawdopodobna i nieprawdziwa, bo przecież zjawy są to złe bezcielesne duchy. Ale zjawa słuchająca człowieka to już nic nadzwyczajnego. Skoro jest głodna, to może się posłuchać.

— Dam ci jeszcze — powiedział Kroni. Nie ufał zbyt wiele zjawie i chciał mieć w niej sojusznika. Może ona na przykład pilnuje tych rzeczy i nie pozwoli mu ich wziąć?

Zjawa stała. Czekwała na coś.

— Możesz pokazać mi drogę do biblioteki?

Zjawa zrozumiała. Drgnęła i popłynęła przodem, a Kroni chwycił skrzynkę, podniósł z ziemi nóż i ruszył za nią. W świetle latarki zjawa wydawała się całkiem blada, jakby była zrobiona z pary. Nóg nie miała i w ogóle nie miała niczego, co powinien mieć normalny człowiek. Kaszę jednak jadła. Jeśli nie oszuka, pomyślał Kroni, dam jej resztę. Sam się obejść, a jej dam. Może kasza to dla nich rzadki smakołyk?

Znowu znaleźli się w korytarzu, pod którego stropem biegły kable, a po ścianach pękły rury. Jeszcze przed godziną Kroni nie mógł wyjść z podziwu, ile tu wszelkiego dobra. Skrzynka zaczęła mu ciążyć, ale to był bardzo przyjemny ciężar. Kroni spochmurniał. Jeszcze przed chwilą myślał tylko o jednym — wrócić do domu i jak najszybciej stać się bogatym. A teraz znowu idzie szukać biblioteki, chociaż z każdym krokiem, z każdą minutą powrót staje się coraz mniej prawdopodobny, coraz niebezpieczniejszy. Komu ta biblioteka potrzebna? Kroni przeklinał się w

duchu, przekonywał, że robi wielkie głupstwo, ale posłusznie szedł za słupem błękitnego dymu, zagłębiając się coraz bardziej we wnętrzości miejskich podziemi, schodząc coraz bliżej i bliżej ognistej otchłani.

Nie, z takich jak ty, Kroni — usłyszał głos starego majstra — inżynierów nie da się zrobić. Jesteś na to za głupi.

Znaleźli się w ślepych zaułku, gdzie posadzkę pokrywały wielkie kwadratowe płyty.

— Gdzie mnie zaprowadziłaś? — przeraził się Kroni. — Gdzie mnie zaprowadziłaś?

Zjawa skurczyła się w niewielką kulę, opadła i zaczęła podskakiwać w miejscu na jednym z kwadratów.

Kroni podszedł bliżej. Zjawa się odsunęła. Płyta zadudniła głucho pod nogami. Pod spodem było pusto.

— Rozumiem — powiedział Kroni i o mało nie dodał: „potrzyмай skrzynkę”. Spróbował wsunąć palce w szczelinę między płytami, ale szpara była za wąska. — Przydałby się kij — zwrócił się do zjawy.

Zjawa ani drgnęła.

Kroni przypomniał sobie, że w ostatnim korytarzu po drodze tutaj poniewierały się jakieś pręty, więc powiedział:

— Poczekaj chwilę, zaraz wracam.

Wsunął pręt w szparę i płyta prawie natychmiast ustąpiła. Podważył ją, chwycił rękami za krawędź i przewrócił.

— Głęboko tu? — zapytał.

Nie czekając na odpowiedź, bo się jej wcale nie spodziewał, położył się na skraju otworu i spojrzał w dół. Promień latarki z łatwością dosięgnął dna. Ze środka tchnęło suchym ciepłem, które tak się człowiekowi marzy po powrocie z roboty, bo nie stać go, żeby rura z ciepłą parą biegła przez jego pokój. Podłoga była niedaleko. Zwyczajne piętro, wysokie na jakieś dziesięć łokci. Zjawa prześlizgnęła się obok niego, zapadła pod posadzkę i odeszła w bok. Tylko błękitny odbłask świadczył o tym, że na niego czeka.

Kroni skoczył i podłoga uderzyła go boleśnie w pięty. Promień latarki prześlizgnął się po ścianach korytarza. Którego to już dzisiaj z kolei? Podłoga była ciepła.

Zjawa ruszyła korytarzem, a Kroni dokonał jeszcze jednego zdumiewającego odkrycia. O wiele bardziej zdumiewającego niż spotkanie ze zjawą lub cudowna ucieczka przed szczurami.

Ściany korytarza nosiły ślady ognia, jakby ktoś przebiegł po nim z dymiącą pochodnią, pozostawiającą wszędzie gruby kopeć. Cała reszta wyglądała tak, jakby ludzie odeszli stąd dopiero wczoraj. Pomieszczenie było suche, więc wszystko przetrwało w doskonałym stanie. Cały był plastik na ścianach i plastikowy dywan na podłodze, wreszcie drzwi, prawdziwe różnokolorowe drzwi, wielkie i małe, i lampy pod sufitem, zupełnie całe lampy w szklanych kloszach! Skrzynka, która jeszcze przed chwilą była prawdziwym skarbem, teraz nagle straciła swoją wartość i można ją było rzucić na ziemię... Ale Kroni jej nie wyrzucił. Musiał stąd jak najszybciej uciec, żeby dogadać się z właściwymi ludźmi, urządzić zorganizowaną wyprawę, przyuczyć zjawy, żeby odpędzały białe szczury. Lubią kaszę? Dostaną jej tyle, że pękną z przejedzenia! Wtedy Kroni nie będzie mieszkał w nędznej komórce na dolnym poziomie, tylko będzie miał cały dom na górnym piętrze. Sam pan Kalgar będzie mu się kłaniał i zapraszał do swojej prywatnej windy. Kroni będzie się objadał słodkimi grzybami, ożeni się z jakąś piękną i młodą, szlachetnie urodzoną panienką i nikt nie odważy się wygnać go lub skazać na śmierć. Pani Ratni będzie wychodziła co rano ze swojego domku i będzie kłaniała się w pas panu Kroniemu, sama go będzie zapraszać do kąpieli w publicznym basenie... W tym momencie Kroni zdziwił się, że tak głupio myśli. Jeśli będzie miał dom na górnym piętrze, to po co niby ma

kapać się w publicznym basenie i spotykać z panią Ratni? Po prostu zapomni o jej nędznym istnieniu. Przecież podobno sam Kalgar był kiedyś biedny, a jego ojciec pracował w fabryce. Kalgar stał na czele szajki, która kradła miedź w kopalni... Chociaż to pewnie kłamstwo, gadanie zawistnych rurarzy. Pan Kalgar urodził się na poziomie czystych. Wystarczy spojrzeć na jego ręce. A może o Kronim też niedługo zaczną mówić: spójrzcie na jego ręce, czy ktoś taki mógł być zwyczajnym rurarzem?

Kroni szedł, marzył, lecz w głębi duszy był przekonany, że nigdy nie zostanie czystym. Jego plan był niewykonalny, gdyż nigdy nie zdoła wyprowadzić w pole łobuzów i kanciarzy, którzy i tak w końcu wszystko zagarną. W dodatku nie był pewien, czy chce być panem Kalgarem i mieszkać w domu pana Kalgara. Wielka tajemnica, która opanowała jego serce, przed ruszeniem na wyprawę jeszcze zupełnie nierealna i baśniowa, w tej chwili była już o wiele ważniejsza i realniejsza od tych wszystkich starych, połamanych skarbów poniewierających się w tych korytarzach. Skarbów było zbyt dużo. Kroni potrafił z łatwością ogarnąć swoje bogactwo, dopóki mieściło się ono w skrzynce i w kieszeniach. Ale takie góry wszelkiego dobra...

Nie zaglądał więc do pokojów i bocznych korytarzy, tylko spieszył za błękitnym słupem dymu, Zjawa przesuwiała się bez wahania obok otwartych i zamkniętych drzwi, koło porzuconych hełmów i portier z barwnych, błyszczących tkanin, koło otwartych skrzyń pełnych jakichś aparatów, obok zwalonych na kupę karabinów i pudełek z nabojami do nich, obok przewróconych metalowych krzeseł i gąsiorów z zielonego szkła...

* * *

Zjawa zatrzymała się przed zamkniętymi drzwiami i czekała, aż Kroni ją dopędzi.

— Tutaj? — zapytał Kroni.

Zjawa stała bez ruchu.

Kroni pchnął drzwi i znalazł się w bibliotece.

Nigdy by się nie domyślił, że to biblioteka, gdyby nie uwierzył zjawie. W pomieszczeniu było bardzo gorąco. Tak gorąco, że od razu spierzchnęły mu wargi. Promień latarki błędził między metalowymi ramami, na których spoczywały metalowe półki. Książki stały i leżały na półkach, piętrzyły się w stosach na podłodze. Kroni wiedział, jak powinna wyglądać książka, bo widział Księgę Obyczaju i przysięgał na Księgę Praw, kiedy przyjmowano go do pracy. Te książki były inne. Różniły się między sobą wielkością, grubością i kolorem, chociaż przeważały wśród nich czarne.

Kroni wziął z półki książkę i zobaczył, że jest opalona i przez to czarna. Kroni trzymał książkę i dumny był z siebie, że dotarł tam, dokąd nikt jeszcze nie docierał, i znalazł bibliotekę. A teraz trzyma w ręku książkę.

Otworzył ją i karty rozsypały się w pył. Czarny obłoczek opadł wolno na podłogę. Wziął inną książkę, ale rozsypała się, zanim jeszcze uniósł ją z półki. Stała się kupką szarego popiołu, w którym czerniały strzępki zwęglonego papieru.

Kiedyś w bibliotece musiał panować straszliwy żar. Z jakiegoś względu pożar nie wybuchnął płomieniem, lecz wszystko tu zwęgliło się, spopielało i rozpadło. Papier przestał istnieć.

Kroni szedł między półkami nie zwracając uwagi na upał i duchotę, a zjawa cofała się przed nim. Dotykał książek, czasami próbował wziąć którąś z półki lub podnieść z podłogi. Ale jeśli nawet książka nie rozpadała się pod dotknięciem, to ginęła, gdy się ją tylko otworzyło.

Ogarnęła go złość. Szedł tak długo, nie mając pewności, czy wróci, i znalazł tylko pogorzelnisko. Zrozpaczony, zrzucił z półki cały rząd książek. Ręka ugrzęzła mu w popiele, a zjawa zwinęła się w niebieską trąbkę i ukłuła go elektrycznością. Niezbyt boleśnie, ale ukłuła.

Zjawa nie chciała, żeby człowiek zabijał książki. Kroni nie obraził się na nią. — Wybacz — powiedział — ale książki umarły. Zjawa się uspokoiła.

Kroni wygrzebał ze sterty popiołu trzy opalone na brzegach kartki i włożył je do kieszeni. Będzie przynajmniej jakiś dowód, że znalazł bibliotekę.

Inny na jego miejscu wcale by się nie martwił, bo czyż można porównywać jakieś tam książki z prawdziwymi łupami? Ale Kroni szedł bezmyślnie przed siebie, oddalając się od biblioteki, i nie widział wcale rozrzuconych dokoła skarbów. Przecież nigdy by tutaj nie dotarł, gdyby nie uwierzył w książkę o Mieście na Górze. A książki nie ma. Zjawa wyprzedziła go, lekko potrącając. Kroni wzdrygnął się, ale się nie przestraszył, bo to jednak było coś realnego. Wymacał w kieszeni kawałek kaszy. Ostatni, mały kawałek... Nie był jednak wcale głodny, za to chętnie napiłby się wody. Podał kasek zjawie.

— Masz — powiedział. — Dojedz.

Zjawa wchłonęła kaszę.

— Żebyś przynajmniej umiała gadać! — powiedział Kroni. — A może była jeszcze jedna biblioteka? — zapytał, choć sam wiedział, że innej biblioteki zapewne nie było. — Zmęczyłem się — dodał. — Nie wiesz przypadkiem, jak się stąd wydostać?

Kiedy było już po wszystkim, podniecenie nie od razu opadło i Kroni wracał do rzeczywistości drobnymi skokami, jakby przebijał ciałem kolejne papierowe przegrody.

Skrzynka z każdym krokiem robiła się coraz cięższa.

Zjawa znów płynęła przodem, ale po kilku minutach zatrzymała się przy ścianie i zaczęła się do niej wlewać, jak woda przesączająca się przez szparę.

Kiedy Kroni doszedł do tego miejsca, rzeczywiście zobaczył pęknięcie. Było szerokie na jakieś pięć palców, a w jego głębi niebiesciła się zjawa.

— Hej! — krzyknął Kroni przyciskając hełm do szpary. — Dokąd? Ja tędy nie przejdę.

Ale błękitny obraz roztopił się już w ciemności.

I znów mały człowieczek znalazł się sam w ogromnej ciemności. Słaby promień dawno nie ładowanej latarki, żółty i migotliwy, gubił się w zagraconym korytarzu i sprawiał, że mrok stawał się jeszcze gęstszy. Człowiek był straszliwie zmęczony i oddałby teraz wszystkie swoje skarby za widok białych lampek pod stropem tunelu technicznego. Nie wierzył już, że kiedykolwiek je zobaczy, dlatego że przez cały dzień schodził bez przerwy w dół i tak bardzo się oddalił od znajomych okolic, że nie zdoła odszukać drogi powrotnej. A jeśli chciałby wrócić po własnych śladach, to nie pokona piętrzących się tam przeszkód. Nie wdrapie się na górę przez otwór po kwadratowej płycie, boi się wrócić do celi, w której leży nieboszczyk, żeby przedostać się na drugą stronę kamiennej ściany. Do człowieka w takim wypadku pozostaje? Musi po prostu iść naprzód.

* * *

Rozbolały go plecy, zdrętwiały mięśnie nóg, postanowił więc odpocząć. Minęło tyle czasu, że godzina mniej czy więcej nie grała teraz żadnej roli. I tak już się mocno spóźnił. W korytarzu nie chciał przystawać, bo w każdej chwili mogły się tam zaplatać szczur albo zjawa, której tym razem Kroni może się nie spodobać. Trzeba znaleźć jakiś pokój. Z całymi drzwiami.

Odpowiedni pokój wyszukał po jakichś stu krokach. Sprawdził, drzwi się dobrze zamykają, potem rozejrzał się po kątach, czy ktoś się tam nie ukrywa. W pokoju stał stół i kilka krzeseł. Pod stołem leżał jakiś płaski przedmiot. Kroni nie od razu się zorientował, że to pistolet.

Zamknął drzwi i usiadł na krześle. Krzesło skrzypnęło, ale wytrzymało jego ciężar. Było bardzo wygodne i bardzo by mu się przydało w domu. Potem Kroni zsunął się na podłogę, bo na

krześle ból pleców nie ustępował. Wystarczyło jednak rozciągnąć się na ciepłej podłodze, żeby zaczął dokuczać upał i pragnienie. I im dłużej tak leżał w bezruchu, tym bardziej chciało mu się pić.

Postanowił trochę się zdrzemnąć, ale nic z tego nie wyszło, bo ustach tak mu wyschło, że język się w nich nie mieścił. Musiał bez przerwy się uspokajać, zmuszać do myślenia o czymś innym, a przed oczyma wciąż widział strumyk i w uszach rozbrzmiewał szmer wody spływającej do hełmu.

Kto tu był ostatni? — zastanawiał się Kroni. — Kto siedział na krześle i przed wyjściem wrzucił pistolet pod stół? Nie wstając, wyciągnął rękę i podniósł broń. Pistolet był niewielki, zgrabna rękojeść świetnie pasowała do dłoni. Kroni nigdy nie trzymał w ręku pistoletu, ale oczywiście wiedział, jak działa. Każdy chłopak to wie. Pistolet ma kwartałowy. Kroni raz widział, jak kwartałowy zastrzelił bandytę. Ten człowiek przybiegł z innego piętra, bo gonili go agenci. A kwartałowy go zastrzelił.

Kroni wyciągnął rękę z pistoletem, wycelowal w kąt pokoju nacisnął spust. Nie spodziewał się, że pistolet wystrzeli, bo przecież poniewierał się tu od tylu lat. Pistolet szarpnął się w rękę, jaskrawy błysk oświetlił pokój, huknęło, a w nos uderzył zjadliwy swąd ognia i kurzu. W pierwszym odruchu chciał pozbyć się pistoletu, wyrzucić go, ale ręka nie chciała rozstawać się z bronią, palce mocno zaciskały się na rękojeści. Kroni wstał i podszedł do ściany. Pocisk przeorał plastikową wykładzinę, rozerwał siatkę, do której była przymocowana, i w znajdującej się za nią skale wybił płytki otwór z nadtopionymi brzegami. Zdumiewająco wielka siła tkwiła w malutkiej, poręcznej maszynie, siła drzemiąca od tylu lat, by obudzić się na pierwszy rozkaz człowieka.

Kroni bał się włożyć pistolet do kieszeni, bo nie wiedział, czy przypadkiem sam nie wystrzeli... Wolał już wsunąć nóż za pas i trzymać w jednym ręku pistolet, a w drugim swoją skrzynkę. Przed wyruszeniem w dalszą drogę rozejrzał się jeszcze, czy przypadkiem nie ma gdzieś naboji do pistoletu. Obszedł stół dokoła, odsuwając stojące przy nim krzesła. Przywykł do posługiwania się latarką, więc głowa odruchowo ustawiała mu się tak, że latarka świeciła w odpowiednim kierunku, zgodnym z ruchami jego oczu.

Stół miał wysuwane szuflady. Widział takie tylko raz, w komisariacie policji, kiedy dwa lata temu wszystkich rurarzy spędzili tam na rewizję, szukając czegoś zakazanego. Dwa magazynki z nabojami odnalazł w środkowej szufladzie. W dolnej były papiery i książka planów. Pomyślał, że jeśli są to plany miasta, zwłaszcza stare plany, to ta książka jest bardzo cenna, więc zabrał ją. Wziął również pojedyncze kartki. Dziwny fart. W bibliotece było wiele tysięcy książek i wszystkie zginęły. Tutaj była tylko jedna — i ocalała!

Wychodząc z pokoju Kroni jeszcze raz omiół ściany promieniem latarki i zerknął na ślad kuli. Wtedy zupełnie przypadkowo zobaczył Obraz.

Obraz wisiał na ścianie. Był przekrzywiony od uderzenia pocisku. To był niewielki, kolorowy Obraz. Kroni zbliżył się i oświetlił go całą mocą latarki.

Obraz przedstawiał Miasto.

To miasto, o którym mówił inżynier Razi, w które uwierzył rurarz Kroni, uwierzył tak dalece, że poszedł szukać biblioteki.

Teraz jego podróż dobiegła końca. Nie była bezcelowa. Miała znacznie więcej sensu niż te ślady przeszłości, na które trafiał po drodze i za które można było kupić mnóstwo kaszy, nową kurtkę albo coś jeszcze innego.

Jeszcze wczoraj Kroni był zupełnie innym człowiekiem. Rurarzem, nie lepszym i nie gorszym od pozostałych, rurarzem, który co prawda uczestniczył w Biesiadach i słyszał o Rzeczach Zakazanych. Dziś jednak wiedział więcej niż inni mieszkańcy miasta. Wiedział, jak wygląda

Miasto i zamierzał pokazać to Miasto innym.
Zdjął Obraz ze ściany.

* * *

Szybko ruszył korytarzem przed siebie, jakby wiedział, dokąd ma iść.

Wkrótce natrafił na szyb windy. Ten szyb był jednak pusty i głęboki. Rurarz rozejrzał się. Niedaleko szybu zawsze jest drabina lub schody awaryjne.

Znalazły się i schody. Były wyrąbane w skale. Po kilku krokach okazało się, że są zawałone na poziomie tego samego piętra, gdzie była ruchoma płyta w posadzce. Kroni jednak uznał, że zawał da się usunąć. Odszukał stalowy pręt i wkrótce podważył nim kawał betonowej płyty. Ledwie zdążył uskoczyć w bok. Betonowy gruz i pył spłynął schodami i Kroni ruszył dalej. Wszystko mu się udawało, plecy nie bolały, nawet kurcz nie łapał go już w nogi. Minał następne dwa poziomy i wówczas zobaczył w oddali słabe światelko.

Do światła było jeszcze bardzo daleko. W tunelu, na którego końcu Kroni zobaczył lampę, kursowała kiedyś kolejka. Tory zachowały się prawie na całej długości tunelu, ale gorsze było to, że został w nim również cały pociąg pustych wagoników, porozbijanych i spiętrzonych. Trzeba się więc było przeciskać przez płataninę poskręcane żelastwa, w pewnym momencie nawet pełznąć pod samym stropem, bo innej drogi nie było. Kiedy Kroni pokonał i tę przeszkodę, okazało się, że światło padało z okrągłego otworu w ścianie, który płonął jak otwarte drzwiczki pieca.

Było tak gorąco, że przeciągnął ręką po twarzy, sprawdzając, czy mu nie popękała skóra na policzkach. Mimo żaru doszedł do czerwonego koła, z którego dobiegał nierówny, pyrkocący hałas.

Niemal prawidłowy otwór na poziomie jego głowy był zamknięty czarną, opaloną kratą. Pod nim wznosił się kamienny mur z jaśniejszymi smugami zaprawy. Osłaniając rękawem twarz Kroni zajrzał do środka, ale musiał natychmiast odskoczyć niczego nie zobaczywszy, bo skwar był nie do wytrzymania. Wciągnął pełne płuca powietrza, zmrużył oczy i zerknął jeszcze raz. Tym razem zdołał dojrzeć ogromną pustą przestrzeń, na której dnie burzyła się, falowała, sapała, ryczała i wzdychała ognista, rozpalona lava. Odblask ognia przebiegał po ścianach, które wznosiły się ku górze i tam na niewyobrażalnej wysokości łączyły ze sobą. Tam również unosiły się kłęby szarego dymu i znikwały jak w kominie. Gdzieś w ścianach pieczary znajdowały się otwory — wloty do tuneli i wejścia do korytarzy. Niegdyś tu również było miasto, ale część jego zapadła się lub na odwrót — jęzory ognistej lawy przebiły, przewierciły ściany i roztopiły je. Skala katastrofy wzbudzała podziw i zabobonny szacunek dla Otchłani, przed którą nie było ucieczki ani zmiłowania.

Dłużej nad krawędzią Otchłani nie mógł już stać, bo obawiał się, że zapali się na nim ubranie lub wypłyną mu oczy.

Ruszył tunelem z powrotem, przecisnął się przez kłębowisko wagonetek i odnalazł schody. Po kilku nawrotach schody się kończyły. Tym razem zawał był solidny i nie można było nawet marzyć o jego usunięciu. Kroni zszedł na niższy poziom i trafił w nie kończący się labirynt pustych tuneli, przejść, sal i zrujnowanych pokoi. W pewnym momencie dostrzegł przemykającego się pod ścianą szczura i strzelił w jego stronę, mszcząc się za strach, w jaki wpędziła go szczurza zgraja. Nawet nie sprawdzał, czy trafił, i pospieszył dalej, gnany tylko jednym pragnieniem — jak najszybciej dostać się na górę. W godzinę później napotkał kałużę zatechłej, cuchnącej wody i nareszcie się napił. Zrobiło się nieco chłodniej. Po dalszej godzinie znalazł kabel, biegnący wąskim szybem do góry. Kabel był pod prądem, a więc na, górze

znajdowały się peryferie miasta, a na dole poziomy elektrowni...

ROZDZIAŁ 2

ZNAK ROZPOZNAWCZY INŻYNIERA LEMENIA

Kroni wyszedł z windy i przez chwilę zastanawiał się, co robić. Nie wiedział, czy iść do domu i schować zdobycz, czy też zameldować się u majstra, bo przecież zaginął bez wieści rurarz i mogą go szukać... Potem zrozumiał, że i tak będzie musiał nakłamać, że zabłądził albo że napadły go szczury. Zawłoką go do komisariatu, Będą przesłuchiwać, może nawet bić. W takiej sytuacji lepiej, jeśli nic przy nim nie znajdą. I do domu też nie warto zaglądać. Trzeba iść prosto na Biesiadę, która już się zaczęła. Tam odda wszystko Inżynierowi, opowie o tym, co widział, i razem z nim zastanowi się, robić dalej. Zawsze dobrze jest wiedzieć, dokąd pójść i komu zawierzyć. Dawniej, kiedy nie chodził na Biesiady, żył zupełnie sam. Jak wielu, wielu innych.

Kroni szedł słabo oświetlonymi ulicami w stronę domu, w którym odbywała się Biesiada. Był bardzo zmęczony i zapachy ulicy, ciężki, uprzykrzony odór zatęchłych mieszkań, chlorowanej wody, pomyj i przypalanej kaszy, odgłosy babskich kłótni, wrzask dzieciarni, przekleństwa — całe to zwyczajne życie, o którym tak marzył błędząc ciemnymi tunelami, wydało mu się nędzne i żalosne. Aż dziw, że jeszcze niedawno tak się do niego garnał... Nie czuł nawet głodu, tylko tępy ból w żołądku. Kamienne stopnie prowadziły w górę między ścianami z gruzu spojonego słabą zaprawą. Za tą wąską szczeliną zaczynał się ślepy tunel. Kroni zatrzymał się i sprawdził, czy ktoś za nim nie idzie, potem przełożył skrzynkę do lewej ręki.

Trzy razy zapukał do drzwi. Odczekał chwilę i stuknął jeszcze dwa razy.

Obdarta dziewczynina ze skołtunioną głową uchyliła drzwi na dwa palce i zapytała:

— Czego?

— Ja do majstra dźwigowego Kreda — powiedział Kroni. — Z zębami.

— Coś późno dzisiaj przychodzisz, wujaszku — powiedziała dziewczynka. — Co mi przyniosłeś?

— Nic dla ciebie nie mam — odparł Kroni. — Nawet kaszę oddałem.

— Komu oddałeś kaszę?

— Zjawie, która przesyła ci pozdrowienia.

Dziewczynina pisnęła z przerażenia. Kroni odsunął ją i wszedł do niskiego, wąskiego korytarzyka. Zrobił pięć kroków i pchnął drzwi znajdujące się z prawej strony.

Biesiada toczyła się w najlepsze.

Inżynier Razi zobaczył Kroniego, ale nie przerwał swojej mowy. Reszta odwracała się i niektórzy witali go kiwnięciem głowy. Kroni cichutko usiadł obok chłopaczka ze szkoły górniczej, który zawsze go unikał, bo ten czyściutki inżynierski synek bał się ubrudzić o rurarza. Rurarz nie obrażał się, ale nie współczuł chłopakowi. Niech się przyzwyczajają!

— Powtarzają nam... — ciągnął tymczasem Razi, a Kroni postarał się skupić, uważnie chłonąć jego słowa, chociaż wiedział, że jego nowiny są o wiele ważniejsze od słów samego inżyniera Raziego. To była przyjemna, dobra wiadomość, więc Kroni nie spieszył się. Gdzie ma się spieszyć, skoro jest wśród swoich, a na kolanach ma skrzynkę ze skarbem?

— Ciągłe nas przekonują — jakby zza ściany dobiegł głos inżyniera — że taki porządek obowiązuje z dawien dawna. Przekonują nas, że nikt inny, jak sam Bóg Red i inni bogowie przykazali jednym ludziom żyć w wiecznym mroku i brudzie, w ciągłym lęku przed utratą kawałka kaszy, przykazali umierać od chorób i patrzeć na to, jak umierają ich dzieci. A zresztą czy tak wiele znów dzieci żyje w naszych katakumbach? Z każdym rokiem jest ich coraz mniej.

W pokoju było około piętnastu osób. Kroni znał tych wszystkich ludzi, a przynajmniej

widywał ich już wcześniej. Jedyna lampa osłonięta czarnym kloszem wisiała bezpośrednio nad wąską głową Raziego i dlatego jego obrzmiała twarz wydawała się ostra, z gruba ciosana, energiczna. Kroni nie wiedział, czy Razi umyślnie stanął pod lampą...

Kiedy po raz pierwszy rozmawiał z Razim, starał się na niego nie patrzeć. Bał się myśleć, że prawdziwy inżynier, który mieszka na górnym poziomie i ubiera się tak czysto, może siedzieć obok rurarza. Inżynier był wrogiem Obyczaju i każdy z zebranej tu piętnastki mógł pójść do komisariatu, powiedzieć o tym i jeśli mu uwierzą — a dlaczego niby mieliby mu nie uwierzyć? — dostać nowy pokój lub nawet przenieść się o piętro wyżej. Tak się jednak nie stało i Kroni wiedział, że on pierwszy skoczy w obronie swojego inżyniera. Dlatego, że w mieście jest stu, a może więcej inżynierów, ale Razi jest tylko jeden.

Razi właściwie miał dobrą twarz, tyle że małą. Kroni nigdy nie widział takiego małego inżyniera. Inżynierowie dobrze jedzą i nigdy nie miewają wrzodów. Nie kaszlą i nie ślepną. Dlatego inżynierowie są zawsze wyżsi i silniej zbudowani niż rurarze, tkacze czy górnicy. Ale inżynier Razi był cherlawy jak tkacz. Miał przezroczystą skórę, przez którą przeświecały mu niebieskie żyły. Wcześniej wyłysiał i dlatego nie można było poznać, ile ma lat. Mówił zawsze cicho, cedził słowo za słowem, jakby każdy wyraz najpierw powtarzał w duchu. Czasami jednak rozgadywał się i wtedy jego głos stawał się wyraźny i donośny, stawał się głosem zupełnie innego człowieka, dużego i silnego, ręce wydawały się dłuższe, a palce podkreślały każde słowo, stawiały kropki na końcu zdań tub wznosiły się gwałtownie do góry jak wykrzykniki.

— Dzieci i tak jest za dużo — powiedział górnik, przypominający bryłę węgla, bo był tak samo czarny i bezkształtny. — Tylko ciągle umierają.

Inżynier nie słuchał go jednak.

— Ciągłe nam powtarzają, że ludzie stworzeni są do życia w ciemności. Po cóż więc im oczy.

— Żeby widzieć — odpowiedział ktoś siedzący w głębokim cieniu. — Co zobaczymy, jak nie będzie oczu?

— A w ciemności nasze oczy nie widzą — powiedział inżynier. — Szczury obywają się bez oczu, glisty obywają się bez oczu, a my nie możemy.

— Zjawy też nie mają oczu — powiedział Kroni.

— No, zjawy nie mają tu nic do rzeczy, Kroni. Zjawy zostały wymyślone po to, żeby ludzie nie wtykali niepotrzebnie nosa do pustych korytarzy.

— Zjawy są — powiedział Kroni. — Jedną nawet niedawno karmiłem...

Ludzie wybuchnęli śmiechem. Nawet inżynier Razi się uśmiechnął. Dziewczynka wsunęła do pokoju swoją rozczochraną głowę i zapytała ze złością:

— Chcecie, żeby na ulicy usłyszeli?

— Czym ją karmiłeś? — zapytał górnik.

— Czym? Oczywiście kaszą — powiedział Kroni i zamilkł. I tak mu przecież nie uwierzą!

— Kaszą! — dławił się śmiechem młodzieńca uczeń szkoły górniczej.

A Kroni pomyślał, że korytarze i tunele, w których spędził cały dzień, znajdują się tuż obok. Każdy może tam dotrzeć. To nic trudnego. Inna rzecz, że nie wiadomo, czy uda mu się przeżyć. Ale dostać się można, tyle tylko, że nikt po prostu się tym nie interesuje.

— Uspokójcie się — powiedział Razi. — A więc mówię dalej. Dlaczego niektórzy mają skórę ciemniejszą, a inni jaśniejszą, dlaczego jedni mają oczy jasne, a drudzy ciemne, dlaczego wreszcie moje włosy, dopóki je miałem, były jasne, a Kroni ma ciemne? Komu w ciemności potrzebne są te wszystkie barwy i odcienie. Powiadacie, że Bóg dał ludziom oczy, żeby widzieli, a w ciemności widzieć nie potrafią. To znaczy, że Bóg również wymyślił lampy elektryczne i kaganki oliwne? Wymyślił i od razu dał ludziom?

— Ogień przyszedł z Otchłani — powiedział fryzjer Wegi, który był bardzo wykształcony,

umiał czytać, uczył się w szkole na urzędnika, ale jakoś nim nie został.

— A przedtem? — zapytał inżynier. — Czy przedtem ludzie łazili po ciemku korytarzami i wpadali na siebie? Nie! Twierdzą, że dawniej ludzie żyli w innym miejscu. To było dawno, tak dawno, że wszyscy o tym zapomnieli. Mieszkamy w domach wyrąbanych w skale, chodzimy ulicami przerobionymi z jaskiń. Ale co było przedtem? Przed pojawieniem się miasta? Gdzie ludzie mieszkali dawniej?

Kroni już o tym słyszał. Przez wiele lat wędrówek korytarzami i tunelami technicznymi sam doszedł do tego, o czym mówił inżynier. Wiedział, że miasto było kiedyś o wiele większe niż dzisiaj. Że więcej w nim było ludzi i rozmaitych rzeczy.

— Przypatrzcie się, jak źle działa w naszym mieście system zaopatrzenia. Rurarz powie wam, że ciągle trzeba wymieniać rury i kable. Że z każdym dniem coraz trudniej jest znaleźć części zamienne i że stale wysyłamy specjalne grupy do porzuconych poziomów, aby zdobyć materiały i urządzenia, które ktoś dawno schował albo po prostu zostawił. A co to znaczy? Po pierwsze to, że miasto kiedyś było o wiele większe. A po drugie — rzeczy, których nam brakuje i których nie potrafimy robić, na przykład kable i ich izolacje, zostały wyprodukowane albo poza miastem, albo sekret ich wytwarzania został dawno utracony.

— Słusznie — powiedział górnik. — W zeszłym miesiącu przebiliśmy się do sektora, o którym nikt nie wiedział. Inżynier od razu wezwał agentów, którzy nas stamtąd wygnali. Dziwiliśmy się wtedy, skąd za kopalnią wzięła się ulica.

— Twierdzą, że ludzie dawniej żyli w innym miejscu. Wiele lat temu przyszli tutaj i zbudowali miasto. Było ich więcej niż dzisiaj i żyło im się o wiele lepiej. Człowiek nie może jednak mieszkać stale w takim miejscu, jak nasze miasto. Ludzie stopniowo wymierają. Ludzie muszą więc wrócić do siebie. Dokąd?

— Do Miasta na Górze — powiedział Kroni.

— Tak. Wierzę, że dawniej było Miasto na Górze. Tam, gdzie jest jasno, gdzie nie ma wąskich i ciemnych korytarzy, lecz rozległe przestrzenie, gdzie strop wisi o tysiące metrów nad głową.

— Oj! — pisnęła z zachwytu dziewczynka, która podsłuchiwała.

— Przyprowadziłem wam dzisiaj człowieka uczonego, szanownego Rał-Roddi, który przeczytał wiele książek i który wie o wiele więcej niż wszyscy czyści razem wzięci. Rał-Roddi obliczył, kiedy się tu znaleźliśmy i wie, gdzie się znajdowało wcześniej nasze miasto i jak wyglądało.

Tego starca Kroni przedtem nie zauważył, bo siedział w ciemności za plecami Razięgo, a twarz miał tak szarą, że zlewała się ze ścianą.

Razi usiadł, a starzec wyszedł z gromady i pochylił się nad stołem, opierając się o jego blat. Oczy miał tak głęboko zapadnięte i ukryte pod gęstymi brwiami, że wyglądały jak czarne jamy.

— Dawno nie rozmawiałem z ludźmi — powiedział starzec.

Wszyscy obecni w pokoju wstrzymali oddech. Do inżyniera Razięgo już się przyzwyczaili, uznali go niemal za swego. Z inżynierem można się było nie zgadzać, a nawet spierać.

A w starcu było coś ostatecznego. To, co on powie, okaże się prawdą, w którą trzeba będzie uwierzyć czy się chce, czy nie.

— Ludzie odnaleźli mnie i jestem wdzięczny losowi za to, że przed śmiercią mogę jeszcze raz powiedzieć prawdę.

Słowa starca były ciężkie i niemal dotykalne. Można je było wziąć w rękę i zważyć.

— Człowiek urodził się tam.

Starzec oderwał rękę od stołu i uniósł ją ku górze. Wszyscy popatrzyli w tym samym kierunku.

— Okłamują was, mówiąc, że świat został stworzony przez Boga Reda i że taki był zawsze. Świat był inny. Gdyby wejść na ostatnie poziomy i przebić ziemię, to można dotrzeć do kolebki ludzkości. Gnieździemy się jak szczury w podziemiach świata. Prawdziwy świat jest tysiącrotnie większy od naszego. Aby dotrzeć do jego stropu, trzeba wdrapywać się cały dzień po drabinie. W tamtym, górnym świecie nigdy nie bywa ciemno, bo rozżarzony ogień wisi na jego stropie. Ale to nie jest ciężki ogień... Tamten ogień jest bezcielesny i jaskrawy — i dlatego tam strop zawsze błyszczący złotem.

Starzec opuścił rękę i rozkasłał się. Wszyscy milczeli.

— Ale dlaczego tamten świat, ogromny i piękny, został przez ludzi porzucony? Dlatego, że ludzie okazali się niegodni go. Kłócili się i walczyli ze sobą. Zabijali kobiety i dzieci, grabili słabych. I słabi uciekali przed władzą silnych. Wówczas silni zrozumieli, że powinni wpędzić ludzi do klatek bez wyjścia, a słabi będą im posłuszni. Silni zeszli w dół, pod ziemię i zabrali ze sobą wszystkich pozostałych. Ludzie mieszkają teraz pod ziemią i zapomnieli o tym, że istnieje inny świat, że jest jasność i drzewa, i rzeki wyłożone górnym światłem. Tak rzekłem, bo wiem.

Starzec opadł wolno na krzesło i jakby roztopił się w cieniu. Tylko jego oddech, głęboki jak sapanie maszyny, wypełnił pokój.

— A może tam jest gorąco? — zapytał nagle górnik. — Upalnie jak w dolnych kopalniach. Może ludzie nie mogli tam żyć, boby się spalili?

— Nie — powiedział starzec głosem dobiegającym z wszystkich kątów pokoju. — Ja wiem, a dziadek mojego dziadka jeszcze pamiętał, jak to było.

— A co to są drzewa? — zapytał uczeń szkoły górniczej.

— To ogromne suche porosty — powiedział starzec. — Wyrastają na wiele łokci i osłaniają przed jaskrawym światłem ludzi, kiedy nadejdzie ich czas odpoczynku.

— To są niezupełnie porosty — powiedział cicho Kroni, który miał w skrzynce Obraz. — Drzewa wyglądają jak słupy i rozszerzają się u góry.

— Milcz! — zbeształ go Razi. — Znów fantazjujesz.

Inżynier nie chciał, żeby starzec się obraził.

— Nie fantazjuję — powiedział Kroni. — I strop tam też nie jest złocisty, tylko niebieski z białymi plamami.

— Kroni ma dzisiaj dobry dzień — powiedział wesoło Trukoz, kancelista z fabryki tkackiej. — To nie rurarz, tylko bazarz.

Starzec nic nie powiedział, bo przywykł do tego, że ludzie mu nie wierzą.

A Kroni nie spieszył się z pokazywaniem Obrazu. Pokaże go tylko inżynierowi. Tylko jemu, a potem zaraz zdecydują, co robić dalej. Są sprawy wspólne, dotyczące wszystkich, ale są też sprawy własne, osobiste, którymi nie należy się dzielić z innymi, bo to może być niebezpieczne. Ludzie z trudem wierzą nowinom. Kroni wierzył łatwo i dlatego wszyscy uważali go za trochę naiwnego. Nawet Razi.

Wstał bardzo chudy mężczyzna z żółtymi oczami, pełnymi tłumionej wściekłości. Podobno służył kiedyś w policji, skąd go wyrzucono za długi język. Teraz łątał miski i garneczki w warsztacie na trzynastym poziomie.

— Tracimy na próżno czas! — krzyknął. — Ciągłe tracimy czas, gadamy tylko, gadamy i gadamy. Niedługo się z tym gadaniem zestarzejemy. Dajcie mi bombę, to wysadzę w powietrze całe to więzienie!

— Poczekaj... — próbował go powstrzymać Razi.

— Już drugi rok. I Mroki czeka, I Brodacz też. I na co czekamy? Na nowe bajki o Górnym Mieście? O złotym stropie? Gdzieś mam cały ten złoty strop. Daj mi tylko broń, to wystrzelam wszystkich czystych. I wtedy wszyscy będą syci.

— Jeszcze wcześniej zastrzelą ciebie — powiedział kancelista. — Tyle razy ci mówiłem, że jeszcze nie czas...

Wszyscy zaczęli krzyczeć naraz i nikt już nikogo nie słuchał. Kroni ogłuchł ze zmęczenia.

— Uspokójcie się — uspokajał ich inżynier Razi. — Myślicie, że mało było przed wami gorących głów, ludzi, którzy chwyтали kamień lub kij i biegli zaprowadzić sprawiedliwość? Byli i tacy!

— Byli — zadudnił w ciemności głos starca. — Ja też do nich należałem. Ale to było dawno, bardzo dawno. Szliśmy szybami wind, a oni rzucali z góry granaty z gazem. Potem wrzucili przywódców buntu do Otchłani. Spuszczali ich tam na stalowych linach, żeby dłużej słyszeć ich krzyki...

Chudy usiadł, jakby ktoś wypuścił z niego powietrze.

— Nie mamy broni — powiedział Razi. — Nie jesteśmy też pewni, że ludzie pójda za nami. Czy poprze nas wielu mieszkańców choćby najbiedniejszych poziomów? Czy wielu za nami pójdzie?

— Nie — powiedział Kroni. — Nawet w naszym kwartale mało kto pójdzie.

— Można posłać pewnych ludzi, żeby dobrali się do Dyrektorów.

— Zabiją ich i co dalej? Będą nowi Dyrektorzy.

— Ich też się zabije — upierał się chudy.

— Powinniśmy uczyć ludzi, tłumaczyć im, że tak dalej żyć nie można. Musimy gromadzić broń...

— Broń można zdobyć — powiedział Kroni. — Prawdziwą broń, wojskową.

— Kroni znów fantazjuje — roześmiał się kancelista.

Kroni stracił cierpliwość.

— Mówisz, że fantazjuję? Nie wierzysz mi?

— Bardzo bym chciał — powiedział kancelista.

— I nikt inny też mi nie wierzy?

— Uspokój się, Kroni — powiedział Razi. Ciągłe wyskakuje z tym swoim „uspokój się, jeszcze za wcześniej”... — Uspokój się!

Kroni wyszarpnął pistolet z kieszeni.

— Wiem, gdzie jest broń, gdzie leżą skrzynie z nabojami! Przyzwyczailiście się do tego, że rurarz jest niewykształcony, że jest głupi, że można się po nim spodziewać tylko bajek! No to posłuchajcie mojej bajki...

Wykrzyknął to jednym tchem i nagle zobaczył siebie oczami innych. Obdarty, brudny mężczyzna wymachuje pistoletem w mrocznym pokoju. Ludzie odskoczyli od niego, potracili głowy, może nawet nie pojęli, co trzyma w ręku, ale przestraszyli się krzyku i gwałtownych gestów.

— Ja też wiem... — dodał cicho. Inżynier Razi stał już przy nim. Wyciągnął rękę i powiedział:

— Daj. To nie jest zabawka.

— Wiem — odparł Kroni.

— Niech powie, gdzie jest broń — odezwał się chudy. — To pistolet wojskowy. Widziałem taki.

Razi zastanawiał się przez chwilę, po czym uniósł rękę.

— Poczekajcie — powiedział. — Musimy porozmawiać. Nie chcę powiedzieć, że wam nie ufam. Ale broń to bardzo poważna sprawa. Nie mogę ryzykować, a nuż wśród nas znajduje się człowiek słaby i Władza dowie się o tym. Skład broni może zdecydować o wszystkim. Może zmienić losy miasta. Pozwólcie mi przejść z rurarzem do drugiego pokoju. Niech opowie tylko

mnie jednemu.

Chwycił Kroniego za łokieć miękkimi palcami i zaprowadził za przegródkę. Zapalił lampkę. Kroni nigdy jeszcze tu nie wchodził.

Nic dziwnego, to była spiżarnia gospodarza domu. Razi siadł na skrzynce i podsunął Kroniemu drugą.

— Byłeś dziś na dole? — zapytał.

— Tak. Nie chciałem z początku mówić, ale tak jakoś wyszło.

— Nie ma teraz czego żałować — powiedział Razi — bo wszyscy i tak już wiedzą.

Do komórki wszedł starzec.

— Ja mogę — powiedział. — Władze uważają, że dawno umarłem. A ja mogę się przydać.

— Naturalnie — powiedział inżynier. — Mów, Kroni. Tylko krótko.

— Może zaczekamy, aż wszyscy się rozejdą?

— Nie. Ludzie będą czekać, co im powiemy.

Kroni postawił skrzynkę na stole i otworzył ją. Na samym wierzchu leżał obraz.

— Tam był niebieski strop — powiedział Kroni.

Starzec pochylił się nad obrazkiem tak nisko, że siwe kosmyki niemal dotykały wysokich domów i zielonych drzew.

— To może być umowne — powiedział starzec. — Malarzowi wydawało się, że niebieski lepiej pasuje do białych domów. — Na pewno umowne.

— A czy to jest narysowane? — zapytał inżynier. — Wydaje mi się, że to zostało skopiowane z natury jakimś mechanicznym sposobem.

— Nawet jeśli tak było — zaproponował starzec — to potem pomalowali.

— To znaczy, że drzewa mogły nie być zielone? Te tutaj, na brązowych słupach.

— To nie są drzewa — powiedział starzec — tylko ozdoby. Ale na obrazku jest prawdziwe miasto. To właśnie Miasto na Górze. W nim ludzie mieszkali dawno, dawno temu.

Starzec gładził obrazek drżącą ręką, a Kroni chciał go powstrzymać, bo ręka była brudna, prawie czarna i mogła zasmarować wizerunek. Wydawało się, że starzec wpadł w trans, bo powtarzał niczym zaklęcie: „Dwie setki kroków do skały i długie podejście od brzegu rzeki. A potem lasem idź na zachód...”. Te jego słowa jakoś dziwnie zapadały w pamięć.

— Znalazłeś bibliotekę? — zapytał inżynier Razi.

— Znalazłem bibliotekę, ale tam jest bardzo gorąco. Książki się rozpadają. Jedną jednak przyniosłem... Wyjął książkę.

— To wszystko, co zdołałem stamtąd przynieść.

Razi szybko przerzucał kartki.

— To jest stara książka — powiedział starzec. — Prawdziwa stara książka. Wydrukowana na górze...

— Bardzo interesujące — powiedział Razi. — Tu są plany sektorów. Trzeba je dokładnie obejrzeć. Ale mów dalej.

— Byłem w Mieście Przodków i w porzuconych sektorach. Zjawia pokazała mi drogę do miejsca, gdzie dawniej ludzie nie docierali.

— Znow ta zjawia!... — skrzywił się Razi.

— No dobra — powiedział Kroni. — Wiem, że zjaw nie ma, ale ja ją karmiłem kaszą. Broń leży niedaleko biblioteki.

Kroni próbował wytłumaczyć, ale szybko się zaplątał. Razi słuchał go przez jakieś dwie minuty, a potem powiedział:

— To za bardzo skomplikowane. I szczury, i nieboszczyk, i Ognista Otchłań...

— Tam były sektory. Słyszałem o tym — powiedział starzec. — Cześć miasta zapadła się w

otchłań...

Za przepierzeniem rozległ się głośny łoskot, jakby ktoś przewrócił cały rząd krzesel, potem zduszony wrzask. Wrzask ucichł, a zamiast niego zaczął narastać rumor, głośne przekleństwa i krzyk:

— Lampę!

Brzęk, klaśnięcie. Głos:

— Nie ruszać się. Będziemy strzelać!

Ktoś już wdarł się za przepierzenie i zapytał krótko:

— Tutaj? Jest tu kto?

Razi już ciągnął Kroniego za rękę w głąb pomieszczenia, przewracając po drodze skrzynki. Za nimi został tupot i trzask.

Razi, padając przed siebie, pociągnął Kroniego w jakąś wąską szczelinę, skrzynka zaczepiła się o coś i wydawało się, że ktoś ją trzyma. Biegli przez wąskie kamienne przejście, potem stoczyli się po ciemnych i śliskich schodach, odliczając żebrami i łokciami każdy stopień, aż wreszcie znaleźli się w zaułku, za rogiem wielkiego domu pokrytego arkuszami zardzewiałej blachy.

— Leć do domu — szepnął Razi. — Jutro o tej samej porze koło sklepiku Mosilego.

— Czekaj — powiedział Kroni. — Ja...

— Do jutra. Leć. — Inżynier przemknął pod słabą lampą uliczną i zniknął między domami.

* * *

Kroni został na miejscu. Rozumiał, że powinien uciekać, znaleźć się jak najdalej stąd, bo pogoń w każdej chwili mogła odnaleźć przejście, którym uciekali z domu. Nieszczęście jednak polegało na tym, że Kroni nie wiedział, dokąd ma uciekać. Nie zdążył powiedzieć Raziemu, że spóźnił się na koniec zmiany, że już go szukają, że nie może wracać do domu, bo w domu już na pewno czeka na niego kwartałowy.

Los w ciągu niewielu minut wywracał jego życie do góry nogami, nicował i stawiał wszystko na głowie. Przeżył najgorszą samotność, kiedy walczył ze szczurzą zgrają, prawie zaprzyjaźnił się z istotą, w której istnienie nie wierzył żaden rozumny człowiek, wrócił do ludzi i poczuł, że coś wśród nich znaczy. I zaraz potem został sam, absolutnie sam. Teraz musi znaleźć jakąś kryjówkę i doczekać w niej jutra. A jutro inżynier Razi już coś wymyśli.

Na dworze było cicho i spokojnie. Mieszkańcy sektora już nie hałasowali, dzieci zasnęły, a gospodynie przestały się kłócić. Wkrótce zgasną górne lampy i wówczas zaułkami będą przemykać jedynie złodzieje i policjanci, a zwykły człowiek nie będzie tam miał nic do roboty.

Kroni wziął skrzynkę i wyszedł na ulicę. Latarnie, które zawsze wydawały mu się takie blade, teraz świeciły wprost oślepiająco. A czy ta obława była przypadkowa? Czy ktoś jeszcze zdążył im uciec?

Starał się iść wolno, jak zmęczony rurarz wracający z obchodu, chociaż sam nie potrafiłby powiedzieć, czy naprawdę jest zmęczony. Był po drugiej stronie zmęczenia.

— Stój — odezwał się głos za plecami.

Głos był cichy i brzmiała w nim pewność, że Kroni nie ucieknie. Kroni rzeczywiście zdołał przewyciężyć chęć ucieczki, pragnienie, aby skoczyć w bok, pędzić wąskimi zaułkami, ukryć się gdzieś w kącie...

Kroni stał i błagał Boga, żeby to byli bandyci. Wiedział, że bandyci nie napadają na rurarzy. Co można znaleźć w skrzynce rurarza? Ale bandyci nie mówią „stój” tak pewnym tonem, jakby wszyscy musieli ich słuchać.

— Twarzą do ściany — powiedział ten sam głos. — Oprzyj się rękami.

Kroni nie chciał wypuszczać skrzynki z ręki, więc podniósł ją do góry.

— Skrzynkę na ziemię.

Kroni usłuchał. Stał teraz w niewygodnej pozycji, z nogami odstawionymi od ściany i opartymi o nią rękami. Dzięki temu zobaczył, jak do skrzynki stojącej na ziemi sięgnęła ręka. Na rękawie były złote naszywki policjanta.

Miał rację. Bandyci nie napadają na rurarzy.

Zaprowadzili go do komisariatu. Kwartałowy Ratni, gruba świnia z małym łebkiem, na jego widok pokręcił z wyrzutem głową, bo zawsze udawał surowego, mrukliwego, ale sprawiedliwego ojca całego kwartału.

— Aj, aj — powiedział. — Rurarz Kroni! A co ty robiłeś w tak paskudnym towarzystwie? Widzę, że moja żona miała jednak rację, kiedy już dziś rano prosiła, żebym cię ukarał. Ukarałbym cię i w ten sposób uratował od ciężkiej zbrodni.

— Co z nim zrobić? — zapytał policjant.

— Niech na razie posiedzi w mamrze — odparł Ratni. — Potem go zabiorą...

Policjant pchnął Kroniego w plecy i rzucił na kamienną posadzkę celi pełnej jęków, westchnień, stłumionych głosów. Rozległ się krzyk. Jakiś dziwnie znajomy, ale niemożliwy do rozpoznania głos krzyczał rozpaczliwie:

— To pomyłka! Wypuście mnie natychmiast! Złóżę skargę!

Krata zamknęła się ze zgrzytem. Kroki policjanta ucichły za jaskrawym prostokątem drzwi prowadzących do dyżurki.

— Kto tu jest? — zapytał Kroni, unosząc się na klęczki.

— A ty kim jesteś?

— To ty, chudy? — wyszeptał Kroni. — To ja, rurarz.

— Nie znam żadnego rurarza — odpowiedział głos chudego. I zaraz potem rozległ się głuchy głos, dobiegający jakby z pieczary:

— Słusznie, tutaj nikt nikogo nie zna. Dziwne, że was tego nie nauczyli!...

To mówił starzec, Kroni go rozpoznał. A więc stary też wpadł. Stary miał rację. „Jeśli któryś z was wpadnie, uczył inżynier Razi, to pamiętajcie, że znaleźliście się tu przypadkiem, że nic nie wiecie o żadnej Biesiadzie. To leży w waszym interesie. Szczera skrucha zawsze potęguje winę. Przyznajcie się, że jesteście złodziejem, to potrzymają was z tydzień i wypędzą na ulicę, bo niby dłaczego mieliby za darmo karmić jakiegoś tam złodzieja... A jak powiecie, że byliście na Biesiadzie, natychmiast znajdziecie się w dolnej kopalni, gdzie człowiek wytrzymuje najwyżej miesiąc... Może nawet zresztą nie doprowadzą was do kopalni, tylko wykończą na miejscu”.

— Ja nikogo nie znam — powiedział Kroni.

— Słusznie. Oni tu z pewnością wsadzili swojego ptaszka. Nie widzimy go, ale on pilnie słucha — powiedział starzec. — Śpijcie spokojnie, młodzi ludzie. Do rana nikogo nie wezmą, bo nie zapominajcie, że policjant też człowiek. Ma żonę i dzieci, i również chciałby pomieszkać trochę w domu. Premia, którą dostanie za schwytanie paru nierobów, planujących ograbienie tunelu technicznego, nie starczy mu nawet na tydzień przyzwoitego życia...

Nikt mu nie odpowiedział, ale Kroni zrozumiał to, co zrozumieli również wszyscy pozostali: zebrali się po to, żeby obrabować tunel techniczny. W jaki sposób rabuje się taki tunel? Wyciąga się rury i kable?

— Ja tam nic nie wiem — rozległ się młody głos. To był uczeń szkoły górniczej. — Szedłem do znajomej dziewczyny i zmyliłem drogę. Zapytałem o nią w pierwszym z brzegu domu i w tym momencie wpadli tam policjanci. Czekają na mnie w domu. Mój tatuś jest szefem departamentu. Wszyscy tu mogą potwierdzić, że dopiero co przyszedłem.

Nikt mu nie odpowiedział.

— On szedł do mnie — odezwała się po minucie ta rozczochrana dziewczynka, która otwierała drzwi. — On mnie kocha! Zachichotała, a potem rozbeczała się na głos.

— Cicho bądź — powiedział sennym głosem starzec. — Przeszkadzasz mi spać.

Kroni uznał, że też powinien się przespać. Wiedział już, jak ma się zachować. Kładąc się na podłodze, powiedział półgłosem, wiedząc, że wszyscy go słyszą:

— A ja jestem rurarzem. Szedłem ulicą i nagle mnie zatrzymali. Sam nie wiem, dlaczego. Obława była, czy co?

— Ja też nie wiem — powiedział starzec. — Nikt nie wie.

Było bardzo duszno i znów poczuł pragnienie, ale Kroni nie chciał nikogo wołać. Niech lepiej zostawią go w spokoju. Choć na krótko. Inżynier nie odezwał się. Może go nie złapali?

Otworzyły się drzwi celi i w jaskrawym prostokącie światła ukazała się sylwetka policjanta, przecięta cieniem kraty.

— Kto tu jest rurarzem? — zapytał policjant.

Kroni nie odpowiedział. Już zaczął drzemać i nie chciało mu się ruszać.

— Rurarzu Kroni, wyjdź!

Latarka zaczęła szperać wśród twarzy.

— Hej, kwartałowy — zawołał policjant. — Pokaż mi swojego rurarza, bo coś krępuje się wyjść.

Ratni zachichotał i jego grube cielsko zasłoniło drzwi. Wtedy Kroni wstał z ziemi i powiedział:

— Ja jestem rurarzem. Zasnąłem. — Przepraszam, panie policjancie.

— To nie jest zwyczajny rurarz — powiedział Ratni. — Dawno już zwróciłem na niego baczną uwagę. Jeśli sprawdzicie liczbę czarnych gałek, jakie powiesiłem przy jego imieniu w rejestrze, to przekonacie się, jak głęboko go podejrzewałem. I miałem rację. Miałem rację?

Kroni pomyślał, że kiedy drzemał w celi, kwartałowy wysypał do rejestru cały swój zapas czarnych gałek.

— Jasne, kwartałowy, miałeś rację — powiedział policjant. — Odsunął się na bok, żeby Kroni mógł przejść i wtedy okazało się, że jest wysoki, jednego wzrostu z rurarzem, tyle że węższy w ramionach. Miał za to pięknie domytą błękitną skórę i długą, wąską twarz z malutkimi, miękkimi ustami. Czasami dzieci czystych idą do policji, żeby zachować Obyczaj.

— No i wpadłeś, rurarzu — powiedział policjant wesoło i pokazał białe, mocne zęby.

— Nic nie rozumiem — powiedział Kroni. — Szedłem ulicą, wracałem do domu...

— Będziesz się musiał jeszcze trochę przespacerować — powiedział policjant. — Razem ze skrzynką. A w skrzynce masz takie rzeczy, których nawet kwartałowy nigdy na oczy nie widział. Rozmaite cudeńka...

— Jeśli chodzi o skrzynkę, to wszystko znalazłem w tunelu. Napadły na mnie szczury...

— Pospiesz się — uciął policjant. — I niechaj uszy pospólstwa będą na wieki zamknięte dla świętych tajemnic. Priż!

Drugi policjant, stojący przy stole z ręką opartą o skrzynkę rurarza, wyprężył się na bacność.

— Rozkaz, panie Spel!

— Idziemy. Zawiadomiłeś?

— Tak jest!

I zręcznie uderzywszy Kroniego kantem dłoni w szyję, oficer policji pan Spel wyrzucił w ten sposób więźnia za drzwi i wyszedł ze swym pomocnikiem panem Priżem na dwór, a kwartałowy Ratni biegł za nimi i usiłował wetknąć rejestr policyjny z mnóstwem czarnych gałek przy imieniu Kroniego.

* * *

Nie uszli daleko. Niemal naprzeciwko komisariatu kwartałowego były zamaskowane drzwi w skale. Rurarz wiedział o ich istnieniu i nawet był kiedyś w szybie specjalnej windy, kiedy coś się niej uszkodziło. Ale na ogół zwyczajnych rurarzy tam nie wpuszczali. Tajna policja miała własne służby remontowe. Spel otworzył drzwi windy kluczem, który miał zawieszony na szyi. Tej windy używano, kiedy trzeba było pilnie przerzucić policjantów z poziomu na poziom.

Spel nie patrząc nacisnął trzeci guzik od góry.

Jednak tam będę, chociaż nie z własnej woli, pomyślał Kroni.

Policjant jakby odczytał jego myśli, bo powiedział:

— Nigdy w życiu byś nie trafił na górne poziomy, gdyby nie moc tajnej policji. Więc podziękuj jej za tę wycieczkę, ty śmierdzący rurarzu!

Kroni powiedział:

— Dziękuję pokornie.

I dostał od policjanta Priża w łeb.

Winda pędziła do góry szybko i prawie nie skrzypiała. Drzwi do niej również otworzyły się bez zgrzytu, zawsze obecnego w innych dźwigach. Przy wyjściu czekał na nich jeszcze jeden policjant. Ubrany w czysty mundur i lśniące buty. Policjant uklonił się panu Spelowi, Priż wykręcił Kroniemu ręce i wszyscy razem szybko, niemal biegiem ruszyli pustą ulicą. Ulica miała posadzkę z kwadratowych płyt, białych i niebieskich, była zamieciona, a może nawet umyta i drzwi domów ciemniały na tle gładkich, jasnych fasad, wystających daleko ze skały. Strop ulicy też był wysoki, dwukrotnie wyższy niż na dole i pomalowany na niebiesko. Kroni zdążył pomyśleć, że chyba rację miał on, a nie starzec. Strop w Górnym Mieście też musiał być niebieski, a nie złoty.

Kroniego zaprowadzono do trzeciego domu od windy. Płoneło w nim rześiste światło, jaśniejsze nawet niż w komisariacie kwartałowym, a lampy były tam osłonięte matowymi kloszami. Inna rzecz, że jeden czy dwa klosze były pęknięte i sklezione... Wprawny rurarz zawsze zauważy uszkodzenie.

Oprowadzono go do białego, pustego pomieszczenia i kazano czekać. Pan Spel zniknął za białymi drzwiami, a kiedy wrócił uśmiechał się szeroko i niemal przyjaźnie.

— No, idź, rurarzu — powiedział. — Będzie łaźnia.

Kroni źle go zrozumiał. Skulił się, bo myślał, że będą bili. Ale następny pokój był gorący i wilgotny, z długą i niską ławką pod ścianą. W przeciwległym końcu znajdowały się rury z lejkowatymi wylotami, zawieszane pod sufitem. Rury przepelnione były, Kroni zauważył to natychmiast po wejściu do środka, gorącą wodą. Spojrzał niepewnie na Spela. Oficer był zły, ale wesoły, a w dodatku jakby trochę znajomy. Nie to, co inni.

— Rozbieraj się — powiedział Spel. — Będziesz się mył. Co ci powiedziałem? Myślałeś, że będziemy bili? Nie licz na to. Jesteś zbyt ważny! Może nawet sam nie wiesz, jak bardzo ważny. No, rozbieraj się, ile razy mam ci powtarzać?

I palnął Kroniego w ucho. To była normalna rozmowa policjanta z rurarzem. Palnął go bez złości, ale boleśnie.

Kroni potrząsnął głową i posłusznie zaczął się rozbierać.

— Zdejmuj wszystko — powiedział Spel. — Widziałeś kiedyś prysznic?

— Co?

— Ach, ty śmierdzielu! Zobacz, ile masz robactwa!

— Wcale nie jestem taki brudny, wasza miłość — powiedział Kroni.

— Tak uważasz? Sam bym się chętnie umył... Jak człowiek od was wróci, to potem przez tydzień musi się drapać.

Kiedy Kroni się rozebrał, popchnął go w stronę rur. Popchnął ostrożnie, koniuszkiem pałki. Rurarz poślizgnął się na mokrej podłodze, ale zdołał utrzymać równowagę.

— Strach pomyśleć, że bywają tacy brudni ludzie — powiedział Spel wesoło. — Aż dziw bierze, że was Otchłań nie pochłonie!

Kroni czuł się nieswojo, stojąc nago przed policjantem. W dodatku w takim świetle! Spel, krzywiąc się i demonstracyjnie trzymając z dala od niego, zapędził rurarza do kabiny i włączył wodę, która trysnęła ostrymi, kłującymi strużkami, jak z przerdzewiałej rury.

Oficer cofnął się i zaciągnął plastikową zasłonkę.

— Jeśli będzie za gorąco — powiedział — przekręć prawy kran w lewo.

— Jest akurat — odpowiedział Kroni. Woda zmywała, zeskrobywała z ciała warstwę brudu i kurzu. — A mydła nie ma?

— To już bezczelność — powiedział Spel, a jego głos z trudem przebił się przez szum wody. — Ten rurarz myśli, że został zaproszony na posiedzenie Rady Dyrektorów.

Kawałek mydła uderzył w ścianę i ześlizgnął się na podłogę. Kroni podniósł go. Gorąca woda splukiwała zmęczenie. Otworzył usta i napił się. Woda była czysta i słodkawa, o wiele lepsza niż w basenie.

Nie pamiętał już, kiedy ostatni raz mył głowę...

— Długo jeszcze? — zapytał Spel. — Mam na ciebie czekać?

— Teraz dobrze byłoby się ostrzyć — powiedział Kroni.

— Wyłączam wodę — warknął Spel. — Znudziło mi się. Twoje łachy już przynieśli.

— Jakie łachy?

— Twoje łachy przepuścili przez komorę dezynfekcyjną. Możesz więc uznać, że przebierzesz się w czyste.

Spel spełnił swoją groźbę i wyłączył wodę. Dobrze jeszcze, że Kroni zdążył zmyć mydło. Oficer rzucił mu przez cały pokój zwinięty ręcznik. Kawał tkaniny, który wystarczyłby jakiejś kobiecie na sukienkę.

Kurtka, spodnie, przepaska biodrowa i buciory Kroniego leżały na ławce. Wszystko było naprawdę czyste, pachnące parą, ale przez to jeszcze bardziej biedne i żałosne w tym jasnym pokoju.

— Całkiem nieźle wyglądasz — powiedział Spel. — Powinieneś służyć w tajnej policji, a nie spiskować.

— Wcale nie spiskuję, panie — powiedział pokornie Kroni. — Jestem biednym rurarzem.

Ubierał się bez pośpiechu. Jego łachmany były jak cudze.

— Patrzcie, wdział swoje szmaty i nie ma człowieka — powiedział Spel ze szczerym zdziwieniem w głosie. — Rurarz i koniec.

— Jakby ciebie ubrać w te szmaty, też byś stał się rurarzem — powiedział Kroni.

— Nie będę bił — roześmiał się Spel, widząc, że ręka Kroniego uniosła się do góry, osłaniając głowę przed nieuniknionym ciosem. — Dziwny z ciebie facet. Wiesz, że będą bić, a jednak pyskujesz.

— Ja zawsze tak. Mówią o mnie, że fantazjuję.

— Kto tak o tobie mówi? — zapytał niewinnie Spel.

— A... — Kroni zamilkł.

— Nie chcesz, to nie mów — machnął ręką Spel. — I bez ciebie wiemy, że mówią tak o tobie na Biesiadach. Dlatego, że jesteś szczególnie niebezpiecznym zbrodniarzem. Chcesz nas wszystkich wysadzić w powietrze i innych do tego namawiasz.

— Ja?
— Ty, szczurze! Idziemy!

* * *

Spel wepchnął Kroniego do poczekalni i zatrzymał się przed wielkimi i wysokimi dwuskrzydłowymi drzwiami.

— Można? — zapytał, zaglądając do środka.

— Wprowadź — odpowiedział niski głos i Kroni wyobraził sobie grubego mężczyznę, podobnego do kwartałowego Ratniego, ale z dużą głową i brwiami starca.

Za rozległym, wielkości pokoju Kroniego, gładkim stołem siedział niziutki, ale bardzo szeroki mężczyzna. Miał wypukłe czoło, silnie wytrzeszczone niebieskie oczy bez rzęs i gładkie włosy z przedziałkiem pośrodku. Od tego mężczyzny tchnęło Obyczajem. Ubrany był w czarny mundur, skromny jak toga kapłana.

— No, jesteśmy — powiedział serdecznie. — Rurarz Kroni. Cieszę się. Bardzo się cieszę. A ja nazywam się Mekil, przewiskiem Glizda. Głupie, prawda? Obrażliwe, ale głupie.

— Głupie — zgodził się Kroni.

— Widzę, że jesteś naiwny, a przez to bezczelny — powiedział Mekil. — Wiesz, kto ja jestem?

— Pan Mekil przewiskiem Glizda — powiedział Kroni.

Spel rąbnął go pięścią w plecy.

— Ciągłe mnie biją — poskarżył się Kroni. — Co tylko powiem, od razu mnie biją.

— Jacy oni? — Głos Mekila zrobił się jeszcze serdeczniejszy.

— Jego miłość pan policjant Spel.

— Czemu się na niego skarżysz? Nikt ci nie mówił, że pan Glizda nie zna litości?

— Nigdy pana wcześniej nie spotkałem, panie Mekil — powiedział Kroni.

— Jesteś bystry. Gdybyś teraz nazwał mnie Glizda, kazałbym Spelowi cię zatłuc.

— Tak jest, panie Glizda. — Jakiś diabeł go podkusił, a przecież gdyby nie to słowo, jakoś by mu się upiekło.

Spel stłukł go pałką i pięścią równocześnie. Walił jak wściekły. Kroni zwinął się, zakrywając głowę rękami.

— Dość — powiedział Mekil. — Podejdz do biurka.

Kroni wyprostował się z trudem. Przed oczami latały mu czerwone plamy.

— Nie powinieneś tak się starać, Spel. Wierzę, że jesteś dobrym chłopcem i że daleko zajdziesz. Ale ten Kroni mi się podoba.

— Mnie też, panie Mekil — powiedział Spel. — Powinno się go uczyć.

— Święta racja, mój chłopcze, święta racja! On przecież nie ze złej woli, tylko z ciemnoty dostał się w łapy agitatorów, wrogów i heretyków, którzy nie wierzą we wszechmogącego Boga Reda i w błękitne zjawy....

W tym miejscu Mekil jakby zawahał się i spojrzał wyczekująco na Kroniego. Rurarz jak głupi połknął haczyk.

— Zjaw nie ma — powiedział.

— Słusznie! — ucieszył się Mekil-Glizda. — Ja również tak myślę, więc możemy się dogadać. Broń też nam obu się przyda.

— Jaka broń? — zdziwił się Kroni.

— Ta, którą znalazłeś dziś rano i o której zapomniałeś zameldować majstrowi. W ogóle zdenerwowałeś swojego majstra i narobiłeś mu kłopotu. Ten naiwniak uważał, że robi dobrze,

ukrywając przed nami, że nie wróciłeś ze zmiany. Posłał rurarzy, żeby cię szukali, a nas nie zawiadomił. Musieliśmy go więc ukarać. To bardzo przykre. Majster siedzi w ciemnicy, a jego dzieci głodują.

Glizda był szczerze zmartwiony. O mało się nie rozplakał.

— Wypuście go — powiedział Kroni.

— A będziesz się przyzwoicie zachowywał?

— Będę. On nie jest winien, że się zgubiłem.

— Każdy, kto ma jakiś sekret, jest winien. Każdy, kto nie wykaże posłuszeństwa, jest winien.

Skąd to znamy?

— Z Księgi Praw — odpowiedział Kroni.

— A więc majster jest winien i nic na to nie możemy poradzić. Jasne?

Kroni milczał, bo niby co miał powiedzieć, w jaki sposób pomóc majstrowi?

— A teraz opowiedz nam, młodzieńcze, kto posłał cię na poszukiwanie biblioteki i co tam znalazłeś?

— Przecież ja całkiem przypadkowo... — zaczął rurarz.

— Poczekaj. Interesuje mnie również, jakiego koloru jest niebo w Mieście na Górze. Jestem bardzo ciekawy, mój chłopcze.

Kroni słuchał i zastanawiał się. To znaczy, że na Biesiadzie był człowiek Mekila albo ktoś już zdążył wszystko opowiedzieć. Ale o inżynierze Razim na razie nic nie mówili, nie pytali o niego. Może go po prostu nie złapali?

— Byłem w podziemiu — powiedział. Nie miał czego ukrywać, bo do tego przyznał się przy wszystkich. — Zabłądziłem i napadło mnie stado szczurów.

— Oj, to okropne — powiedział Glizda. — Stado szczurów! Jakoś dawniej nikogo nie atakowały, i to w dodatku całym stadem.

— A na mnie napadły. Uciekałem przed nimi i zabłądziłem. Błąkałem się prawie przez cały dzień i wydostałem się na zewnątrz dopiero wieczorem. I kiedy szedłem do domu..

— Nie zameldowałeś się na służbie? Poszedłeś prosto do domu? Nigdy nie uwierzę, żeby dobry rurarz poszedł do domu i nie zameldował się przedtem majstrowi. Mów dalej, mój chłopcze.

— A więc zabłądziłem pod ziemią — wymamrotał Kroni. — Wydostałem się dopiero pod wieczór. I kiedy szedłem...

— Dość tego — powiedział Glizda zmęczonym głosem. — Okropnie jesteś nudny i tępy. Najmniejszego śladu wyobraźni. Ja bym na twoim miejscu wymyślił skomplikowaną historię, którą musielibyśmy długo rozplątywać.

Przechylił się przez stół i nacisnął guzik na szarym pulpicie. Nastąpiła krótka pauza. Kroni rozejrzał się ukradkiem. Do tej pory jego uwagę pochłaniał całkowicie sam Glizda, a teraz mógł zobaczyć, jak wygląda jego jaskinia.

Gabinet był prawie pusty. Ściany miał gładkie, jasnobrązowe, ale rurarz zauważył zacieki w kątach. Widocznie tu również któraś rura była nie w porządku. Ścianę za stołem zasłaniała portiera i Kroni był prawie pewien, że za nią znajdują się drzwi. W takim pokoju jedne drzwi to za mało!

Glizda podszedł do portierny i odsłonił ją gwałtownym ruchem. Kroni pomylił się. Tam nie było drzwi, tylko wielkie okno, za którym widać było dużą, niską pieczarę. W pieczarze wznosiły się jakieś stalowe konstrukcje, leżały narzędzia i płonął otwarty ogień. Do żelaznego krzesła był przywiązany chudy, a właściwie to, co z niego zostało. Pokrwawiony kadłub otwierał bezdzwięcznie usta i drgał spazmatycznie. Pod krzesłem palił się ogień, więc Kroniego zaczęło mdlić. Wydało mu się, że czuje swąd palonego mięsa, chociaż szyba w oknie była gruba i

szczelna...

Glizda zasunął portierę, ale Kroni nie mógł oderwać od niej oczu.

— Tam jest sala tortur — powiedział Glizda. — Ty również w niej się znajdziesz... A na razie chciałbym porozmawiać z tobą spokojnie, bez kata.

Drugie drzwi znajdowały się zupełnie gdzie indziej, niż się Kroni spodziewał. Glizda nacisnął guzik i część ściany odjechała w bok.

— Nie bój się — powiedział Mekil. — Chodźmy. A ty, Spel... Zresztą chodź i ty, bo ten rurarz może na mnie napaść. Nic na tym nie zyska, ale będzie mi przykro.

Następny pokój był niewielki, ale też jasno oświetlony. Na środku stał niski stół, obok niego jeszcze jeden mniejszy i kilka krzeseł. Na pierwszym niskim stole stały jakieś naczynia, na drugim — skrzynka Kroniego, wyjęte z niej przedmioty i oddzielnie przedmioty znalezione w jego kieszeniach. Kroni zdumiał się na widok takiego bogactwa. Po prostu o wielu rzeczach już zapomniał.

Glizda wskazał palcem Obraz.

— Skąd to wzięłeś? — zapytał. — I co to jest?

— Znalazłem przypadkiem, kiedy uciekałem przed szczurami.

— Znowu kłamstwo i oszustwo. No dobra, co tu jest narysowane?

— To jest Miasto na Górze — powiedział Kroni.

— Co to znaczy?

— Dawniej ludzie mieszkali na górze — wyjaśnił Kroni. — Tam, gdzie jest jasno i gdzie strop znajduje się o wiele wyżej niż tutaj. Rosną tam drzewa. Tu właśnie widać te rzeczy...

— A potem? — Mekil jakby się zainteresował.

— A potem czyści, tacy jak wasza miłość, zmusili ludzi, żeby zeszli do podziemi, tutaj, bo chcieli, żeby ci ludzie na nich pracowali. Jeśli jest wiele pustego miejsca, to każdy może odejść.

— I ty wierzysz, że tak właśnie było? — zapytał Mekil przechylając głowę i przyglądając się Kroniemu takim wzrokiem, jakby go widział po raz pierwszy.

— Wierzę — powiedział Kroni. — Tu jest Obraz.

— To jest wymysł malarza — mruknął Glizda. — Tylko wymysł. Miasta na Górze nie ma i nie było, bo być go nie może. Ale to nie twoja sprawa. Teraz, rurarzu, opowiedz mi o tym.

Glizda pstryknął palcem w magazynek pistoletu. Zapasowy magazynek, który został w kieszeni Kroniego.

— Nie mam pojęcia, co to jest — powiedział Kroni. — Nigdy czegoś podobnego nie widziałem, wasza miłość.

Mekil myślał na głos, jakby ani Kroniego, ani Spela nie było w pokoju.

— Magazynek do pistoletu wojskowego, stary model. Rurarz jest głupi, ale niezupełnie. Wierzę, że tam była broń. Dlaczego niby tam ma nie być broni? Kiedy ewakuowali dolne sektory, był taki popłoch, że coś musieli tam zostawić... To jasne, że nawet taki głupi rurarz weźmie najpierw pistolet, a dopiero potem zapasowy magazynek do niego. Może zapomnieć o zapasowym magazynku i wziąć pistolet, ale nie może zapomnieć o pistolecie, a zabrać magazynek. No więc co on zrobił z pistoletem?...

Nie zwracał się z tym pytaniem wprost do Kroniego, więc rurarz nie odpowiedział. Glizda dotknął jego ręki miękką śliską dłonią.

— Złe słyszysz? Gdzie jest pistolet?

Popatrzył Kroniemu prosto w oczy, a ten zamknął powieki, chociaż wiedział, że nie powinien tego robić. Glizda roześmiał się nie rozklejając warg.

Rurarz otworzył oczy. Nikt go nie bił. Glizda siedział już przy stoliku i nad czymś się zastanawiał, nie patrząc na niego. I w tym momencie Kroni mocno się zdziwił. Oficer policji

Spel wyciągnął rękę i za plecami Mekila wziął coś ze stołu. Wziął i schował do kieszeni. Co to mogło być?

Policjant uderzył go pałką w ramię, ale to było słabe uderzenie. Umyslnie słabe, jakby Spel nie chciał bić rurarza.

— Nie żałuj go — mruknął Glizda.

W tym momencie Kroni zrozumiał, co to za przedmiot policjant ściągnął ze stołu. To był znak rozpoznawczy tego mężczyzny, który umarł w podziemiu.

Spel powiedział do Kroniego:

— No, trzymaj się, bydlaku!

Zamachnął się, ale cios znowu nie był zbyt silny. Kroni na wszelki wypadek wrzasnął.

— Nie zabij go — ostrzegł Glizda. — Coś tu jeszcze powinno leżeć. Zapomniałem co... — Przyglądał się uważnie kablom, pudełkom, narzędziom zebranych przez Kroniego w podziemiu. Uniósł Obraz, potrząsnął pękiem kluczy...

Kroni poczuł, że Spel znieruchomiał z napięcia.

Rurarz nie wierzył Gliździe. Nie uwierzył, żeby taki wielki pan, taki chytry człowiek zapomniał o malutkim przedmiocie, który zniknął ze stołu. Znaki rozpoznawcze powinny natychmiast po śmierci ich właścicieli znaleźć się w kwartale. Jeśli ktoś ma przy sobie cudzy znak, to znaczy, że zabił tego człowieka albo znalazł jego zwłoki. Glizda nie mógł zapomnieć o znaczku. Ale przecież zapomniał!

— A więc — powiedział Glizda — jeśli obiecasz, że będziesz zachowywał się przyzwoicie, to nie będziemy cię dzisiaj torturować. Wszyscy są już zmęczeni. Kaci też muszą czasem spać. Prawda?

— Prawda — odparł Kroni z ulgą.

— Oj, widzę, że żarty się ciebie trzymają! — zdziwił się Glizda. — A może naprawdę myślisz, że pozwolimy ci odpocząć, nie zapytawszy najpierw, kto zaciągnął cię na Biesiadę i kto posłał szukać broni?

— Słowo honoru, że nie szukałem broni.

— Tylko?

— Zabłądziłem.

— Wierzę, że nie szukałeś broni. Tym gorzej dla ciebie, bo będziemy musieli się dowiedzieć, czego szukałeś. Ale jak będziesz o tym opowiadał, to przypadkiem nie zapomnij wspomnieć, komu oddałeś pistolet. A może to były dwa pistolety? Zrozum, odpowiadam za porządek i spokój w naszym wiecznym mieście, więc nie mogę dopuścić do tego, żeby broń znalazła się w rękach ludzi, którzy mogą mieć złe zamiary. Odprowadź go, Spel. Starszy kat ma listę pytań... No, zwyczajnie. Tylko nie na śmierć. Pamiętaj, na twoją odpowiedzialność! Potem musi przecież pójść na dół i pokazać, gdzie jest bron. To bardzo ważne.

— Aha, byłbym zapomniał — dopędził ich jego głos już przy drzwiach. — Słuchaj, Spel, nie pamiętasz przypadkiem, jakiego przedmiotu brakuje wśród rzeczy zakwestionowanych u zbrodniarza stanu, rurarza Kroniego?

— Nie wiem, Mekil — powiedział Spel beztrósco. — Przecież nie opróżniałem mu kieszeni.

— No jasne, jasne! Wybacz mi, mój chłopcze — powiedział tonem skarconego dziecka Glizda.

Żeby dotrzeć do izby tortur, musieli najpierw minąć długi korytarz. Kroni starał się o niczym nie myśleć i nie przywoływać w pamięci katowni i ciała chudego. Myślał, że jeśli nie wytrzyma bólu i powie coś o broni, to na pewno go nie oszczędzą. Znajdą broń i bez niego. Trzeba więc wytrzymać. Zaciśnąc zęby i cierpieć, a jutro coś się wymyśli... Spel szedł tuż za nim.

— Słuchaj uważnie i nie odwracaj się — powiedział nagle pospiesznym szeptem. — Rób tak,

jak ci powiem, ale Glizdzie o tym ani słowa. Mnie zgubisz i siebie też nie uratujesz. Kiedy wejdiesz do izby tortur i zobaczysz wszystko, co tam jest, natychmiast padnij na kolana i krzycz, że wszystko powiesz, że pokażesz broń.

— Ale ja nic nie powiem.

— Wcale nie musisz tego robić. To już mój kłopot. Tylko udaj śmiertelnie przerażonego. On będzie cię obserwował. Zresztą przestraszyć cię nie jest trudno...

— Nietrudno — zgodził się Kroni. — A co zrobiłeś...

— Zamknij się!

Konwojent otworzył niskie drzwi. Z izby dobiegł słodkawy odór spalenizny.

Spół pchnął Kroniego czymś ostrym w plecy. Rurarzowi wydało się nawet, że to był kindżał.

Kroni wpadł do katowni. Chudego tam już nie było. Zamiast szyby między izbą a gabinetem Glizdy połyskiwało głębokie, ciemne lustro.

Jak on mnie zobaczy? — zdążył pomyśleć Kroni i znów poczuł pchnięcie w plecy.

Wcale nie musiał udawać przerażenia.

Kaci zbliżali się do niego z dwóch stron i długie, mokre postronki wlokły się za nimi po płamistej posadzce. Narzędzia tortur patrzyły groźnie ze ścian.

— Nie! — krzyknął Kroni. — Nie! Zostawcie mnie w spokoju!

Kaci zbliżali się bez pośpiechu, bo dokąd niby mieli się spieszyć? Kroni runął na kolana. Zresztą i tak nie mógł ustać na nogach.

— Wszystko powiem! — mamrotał pod nosem, chociaż wydawało mu się, że ogłuszająco krzyczy. — Wszystko wam powiem!

Zrobiło się ciemno, rurarz poleciał w jakąś przepaść, zapadł się w Ognistą Otchłań. Ciemność wirowała, niczym ogniki wewnątrz zjawy, a Kroni usiłował złapać się za coś stałego, nieruchomego i z daleka, jakby przez grubą warstwę kamienia usłyszał znajomy głos:

— Gotów.

Inny głos, dudniący, odbijający się od ścian przepaści, zapytał:

— Przyjdzie do siebie?

A pierwszy głos odpowiedział:

— Nie ma co na to liczyć. Za daleko odszedł.

Głęboko, myślał Kroni, bardzo głęboko i daleko odleciałem.

— Jeśli się nie ocknie — powiedział dudniący głos — odnieście go do celi.

— Załamał się — powiedział pierwszy głos. — Rano będzie mięciutki.

Tak, będę mięciutki jak pajęczyna, chciał przytaknąć Kroni, ale nastąpiła zupełna ciemność. I nic więcej.

* * *

— Muszę go zobaczyć — powiedział odległy głos.

— On nadal jest jeszcze wyłączony — odpowiedział inny. — Dopiero co sprawdzałem. Pan dyrektor Mekil bardzo się tym niepokoi.

— Wiem, przychodzę tu na rozkaz jego łaskawości. Znasz mnie przecież.

— Jak mógłbym nie znać!

Oba głosy są znajome. A kto to jest pan dyrektor Mekil? To przecież Glizda! No jasne, to ten śmieszny robał... Zgrzyt. Pewnie ktoś otwiera kratę tunelu technicznego, pomyślał Kroni i przypomniał sobie, że jest rurarzem. Nieważne, jak się nazywa, ważne jest, że pracuje jako rurarz.

Głos rozległ się nad samym uchem:

— Kroni, słyszysz mnie?

No tak, pomyślał. Już wiem. Nazywam się Kroni. Właśnie tak, a nie inaczej. Rurarz Kroni. Bardzo szkoda rurarza Kroniego. Dlaczego? Bo wpadł i oni go zabijają.

— Kroni! To ja, Spel.

Coś zimnego musnęło jego nos i eksplodowało gryzącym, obrzydliwym smrodem. Chcą go udusić! Szarpnął się, ale nie zdołał się wyrwać.

— Spokojnie — powiedział Spel. — Wytrzymaj chwilę. Zaraz przyjdiesz do siebie.

Kroni otworzył oczy. Spel zabrał wilgotną szmatę. Rurarz rozkasłał się.

— Co się sta...? — spróbował zapytać, ale znowu złapał go atak kaszlu.

— Milcz — wyszeptał Spel. I zaraz powiedział bardzo głośno.

— Bredzisz, przyjacielu, ale szybko doprowadzimy cię do porządku...

Kroni milczał. Pamięć mu wróciła. Spel nachylił się do samego ucha.

— On tu ma rurę podsłuchową.

Spel wyjął z górnej kieszeni munduru znaczek identyfikacyjny. Kroni z góry wiedział, że go wyciągnie. I stosunek Spela do niego zmienił się w tej właśnie chwili, kiedy policjant zobaczył ten znaczek. Dlaczego go ukradł? Coś jeszcze chodziło mu po głowie, coś, co łączyło policjanta z tym nieboszczykiem. Ale co to było?

— Gdzie go znalazłeś? — wyszeptał Spel. — Zabiłeś go?

Kroni pokręcił przecząco głową i od tego w głowie przetoczyła się fala bólu.

— Był martwy?

— Nie.

— Panie — zawołał zza drzwi strażnik. — Czy on się ocknął? Jego miłość kazał natychmiast zawiadomić.

— Nie ocknął się — powiedział Spel i dłonią zakrył Kroniemu oczy. — Całkiem zdechły. Bredzi.

— Żadnego ducha w tych bydlakach — powiedział z przekonaniem strażnik za drzwiami.

— Idę — wyszeptał Spel. — Leż i nie otwieraj oczu. Nikt nie może wiedzieć, że oprzytomniałeś. Niedługo wrócę. Jak tylko Mekil sobie stąd pójdzie.

Kroniemu trudno było leżeć z zamkniętymi oczami, bo w głowie wirowało powoli ciężkie koło, spychające go stopniowo w przepaść... Zasnął niezauważalnie dla siebie i tak mocno, że Spel musiał długo kopać go i tarmosić.

— Starczy! — warknął Kroni, podnosząc się z podłogi. — Nie umiesz obyć się bez bicia?

— A czy ty jesteś człowiekiem, żebym cię miał oszczędzać. Wiemy jak was, wszarzy, zwabiają na Biesiady. „Ach, wszyscy ludzie są równi i rurarz nie jest winien, że został rurarzem. To dyrektorzy są winni”. A wy się cieszyacie i dlatego na waszych garbach, na waszych śmierdzących garbach jakiś inżynierek chce wyjechać do góry. Tak że nie ciesz się za bardzo. Byłeś śmierdzącym rurarzem i do końca nim zostaniesz. I będzie cię tłukł każdy, komu przyjdzie na to ochota.

— Mam gdzieś twoje słowa — powiedział Kroni. — Komu wierzę, w co wierzę i komu garb podstawiam, to tylko moja sprawa.

— Mówić to ty potrafisz — roześmiał się Spel. — Nauczyli cię. No dobra, oprzytomniałeś?

— Tak.

— Wstawaj.

Kroni podniósł się z klęczek. Nogi miał miękkie, a mózg bulgotał mu w głowie jak rzadkie błocko.

— Stoję. Widzisz?

— Idziemy.

- Dokąd?
- Nie bój się, gorzej nie będzie.
- A niby dlaczego miałbym ci wierzyć?
- Przecież widziałeś, jaki jest Glizda. On cię stąd nie wypuści żywcem.
- A ty puścisz?
- Jeszcze nie wiem.
- To ja się stąd nie ruszam.
- Jak uważasz. Ja w każdym razie idę.
- A Gliździe powiem, że wzięłeś znaczek, a potem kazałeś mi...

Ani się Kroni obejrzał, kiedy Spel wykręcił mu rękę do tyłu, tak że rurarz musiał zgiąć się w pół, uderzył go kolanem w podbródek i popchnął w stronę drzwi.

— Myślisz, że będę się z tobą cackał? W każdej chwili ktoś tu może wejść. Ze mną będzie źle, a z tobą zrobią koniec.

— Dobra — powiedział Kroni. — Puść, sam pójdę.

— Nie, ten numer nie przejdzie. Nie wierzysz mi, a ja do ciebie też nie mam za grosz zaufania. W razie czego powiem, że prowadzę cię na przesłuchanie.

Koło drzwi poniewierał się martwy strażnik. Był uduszony: twarz sina, głowa przekręcona w bok.

— To twoja robota? — zapytał Kroni. Śmierć, tym bardziej taka, wydała mu się tak odrażająca, że zaczęło kręcić mu się w głowie. Aż dziw, że zachował wrażliwość w świecie, gdzie śmierć była powszechniejsza niż życie.

— Nie — odparł Spel. — Ty go udusiłeś. Skręciłeś mu kark i uciekłeś. I teraz, choćbyś nie wiem co powiedział Gliździe, nikt ci nie uwierzy. Przecież nie ja go zadusiłem. Niby po co miałbym to zrobić?

— A potem załatwisz mnie tak samo, jak tego tutaj?

— Wszystko jest możliwe... No, ruszaj się!

Znaleźli się na przestronnej ulicy. Ulica była piękna i jasna nawet w nocy. Z przeciwka szedł sprzątac, który odwrócił się, opuścił głowę, żeby nie zobaczyć przypadkiem czegoś, czego nie należało zauważyć.

Spel wepchnął Kroniego w wąski przesmyk między dwoma domami i doprowadził do ukrytych tam drzwi. Za drzwiami były schody wykute w skale. Takie wąskie, że dwaj ludzie nie mogliby się na nich wyminąć. Stopnie schodów ułożone były spiralnie. Jeden zakręt, drugi...

Spel zamknął drzwi na zasuwkę i puścił Kroniego.

— Możesz uznać, że jesteś uratowany — powiedział. — Tutaj nikt nie powinien cię szukać.

— Jestem u ciebie w domu?

— Nie. Do mnie mogą zajrzeć. Glizda jest do tego zdolny.

— Może — zgodził się Kroni. — Wie, że wzięłeś znaczek identyfikacyjny.

— Jesteś pewien?

— Tak.

— Zachowałem się jak idiota — mruknął Spel — ale jak tylko zobaczyłem nazwisko, to nie umiałem się powstrzymać. Gdzie zetknąłeś się z Lemeniem?

— Z kim?

— Nie udawaj!

Spel zapalił światło. Pokój był niewielki, ale czegoś podobnego Kroni jeszcze w życiu nie widział. Nawet nie podejrzewał, że pokój może być tak urządzony. Ściany były obciążone tkaniną w kwiaty i rozmaite wzory. Gdyby ją rozkroić na sukienki, to wystarczyłoby dla kobiet z całego kwartału. Gruby materiał ze sterczącymi włoskami pokrywał podłogę. Najwspanialsze

jednak były siedzenia.

— Siadaj — powiedział Spel.

Kroni nie śmiał usłuchać, bo siedzenia też były pokryte tkaniną.

— Siadaj! — warknął Spel. — Ile razy mam ci powtarzać?...

Policjant wyszedł. Było bardzo cicho. Zasłona, za którą zniknęła, leciutko się kołysała. Po chwili, dobiegły zza niej przytłumione głosy.

Jeśli kiedykolwiek uda mi się stąd wyrwać i opowiedzieć o tym ludziom, to nikt mi nie uwierzy, pomyślał Kroni. Komu zresztą miałbym opowiadać? Inżynier z pewnością bywał w takich domach, bo urodził się na górnych poziomach. A inni uznają to za bajkę. Przez trzydzieści lat Kroni żył tak samo, jak wszyscy. Przez ostatni dzień zobaczył więcej niż przez ubiegłe trzydzieści lat.

Zasłona uchyliła się i do pokoju weszła wysoka dziewczyna.

Dziewczyna była piękna i nie dawała się z nikim porównać. Takiej też jeszcze nigdy w życiu nie widział. Kobiety z dołu nie bywają młode i piękne. Granica, oddzielająca dzieciństwo — kościste, krzykliwe i wiecznie głodne, od starości — węzlastych rąk obciążonych pomarszczoną skórą, przenikliwych głosów, palców powykręcanych od wiecznego prania w zimnej wodzie i ciężkiej roboty, blizn i siniaków, kiedy mąż miał skłonność do bicia — ta granica na dole była zupełnie niewidoczna.

Dziewczynki rosły, potem nieoczekiwanie przenosiły się do sąsiedniej komórki, a jak miały szczęście, to do komórki o poziom wyżej i stawały się starymi kobietami. Były zawsze brudne i oberwane, bo żyły w ciemności, a człowiekowi należał się malutki kawałek mydła na czterdzieści dni.

Kroni widywał przelotnie żony majstrów, córki i siostry handlarzy. Ale czy to nie miał szczęścia, czy też specjalnie się im nie przyglądał, w każdym razie nie było wśród nich takiej, którą chciałby zobaczyć jeszcze raz. Naturalnie wiedział, że minie jeszcze rok, a może trzy, kiedy przyjdzie kwartałowy albo majster i powie: powinieneś sobie wziąć kobietę, rurarzu. Ale rurarzowi nie tak łatwo znaleźć sobie kobietę, bo rurarz jest biedny i brudny. Dziewczyna miała na sobie długą suknię, sięgającą za kolana (u nich na dole sukienki są krótkie, bo w ten sposób wychodzi dużo mniej materiału). Miała długie włosy (na dole wszyscy strzygli się krótko, bo długich włosów nie da się przyzwoicie umyć ani wytępić z nich robactwa). Jej rękę ozdabiała błyszcząca złota bransoletka. I o ile naprawdę była złota, to tyle złota naraz Kroni nigdy przedtem nie widział (dziewczyny na dole nosiły malutkie miedziane błyskotki, które spryciarze robili ze starych gilz albo z miedzi kradzionej w kopalni). Dziewczyna miała na nogach białe sandały. I to też było dziwne, bo kobiety na dole chodziły boso i nogi im puchły od wilgoci i reumatyzmu. Oczywiście pani Ratni miała sandały, ale zakładała je tylko wówczas, kiedy szła w gości na górę, do nowych krewniaków albo do sąsiedniego kwartałowego. Trzewiki były luksusem i należały się tylko mężczyznom, którzy musieli dużo chodzić. Dziewczyna miała gładką skórę — kobiety na dole miały twarze pokryte krostami i strupami...

Kroni wyprężył się i znieruchomiał. Dziwna rzecz, najpierw zobaczył jej ubranie, a dopiero potem dojrzał twarz. To była promienna twarz, twarz niezwykła, mądra i piękna, tak piękna, że gdyby nawet należała do Dziewicy Otchłani, której widok oznaczał niechybną śmierć, Kroni zgodziłby się na śmierć, byleby tylko wolno mu było przedtem na nią popatrzeć.

Głos dziewczyny był głęboki i spokojny. Z pewnością w ogóle nie potrafiła wrzeszczeć. A gdzie niby miała wrzeszczeć. Nad basenem kwartałowym? Dziewczyna była smutna i nie od razu zauważyła rurarza — patrzyła na niego oczami błyszczącymi od łez.

— Wiedziałam — powiedziała jakby do siebie. — Wiedziałam, że on umarł. To dziwne, że ja żyję, ty żyjesz...

— Gero — powiedział Spel — to jest ten rurarz, który był z Lemeniem.
— Tak? — dziewczyna jakby zbudziła się z głębokiego snu. — Jak ci się udało?
— Kazałem mu się kajać i ukradkiem wstrzyknąłem mu drętwą wodę. Wyszło tak, że zemdlął na widok narzędzi tortur. Nawet Glizda w to uwierzył.
— Uwierzył? Glizda nikomu nie wierzy.
— Wszystko zrobiłem bardzo zręcznie.
— I co on ci jeszcze opowiedział? — Dziewczyna nie patrzyła na rurarza.
— Sama go zapytaj.
Gera usiadła w drugim fotelu. Kroni nadal stał.
— Opowiedz mi o Lemeniu. O tym, komu zabrałeś znaczek.
I wtedy Kroni sobie przypomniał.
— Pani jest Gera Spel? — zapytał.
— Dopiero teraz się domyślił. Ciemniak! — uśmiechnął się policjant.
Gera zaczęła kasłać, wyjęła z szerokiego rękawa chusteczkę i przyłożyła ją do warg.
— To znaczy, że on wspominał o mojej siostrze? — zapytał Spel.
— Wspominał.
— Jeśli mówił, to znaczy jeszcze żyje — powiedział Spel. — Słyszysz, siostrzo?
— Nie, on potem umarł — sprostował Kroni. — Umierał, a ja przyniosłem mu wody.
Opowiedział mi o pani, a potem umarł.
— Kiedy to było?
— Wczoraj. Oczywiście wczoraj.
— Gdzie?
Gera wstała z fotela i podeszła bliźutko do rurarza. Pachniała czymś bardzo przyjemnym. Pewnie mydłem. Oczy miała niebieskie, a na chusteczce, którą wciąż jeszcze trzymała przy ustach, wystąpiły czerwone plamy.
— Głęboko, na samym dole.
— W porzuconych sektorach?
— Obok Ognistej Otchłani. Przy mieście Przodków.
— Byłeś tam? — zdziwił się Spel. — Kłamiesz.
— A Glizda mi uwierzył.
— On żył jeszcze wczoraj? — zapytała Gera takim tonem, jakby nie mogła w to uwierzyć.
— Umierał — powiedział rurarz. — Napoiłem go wodą.
— Co ci powiedział?
— Pokazał mi dalszą drogę.
— Dokąd?
— Dalej, gdzie są zjawy. Zjawy pomogły mi odnaleźć bibliotekę.
— Mówił o mnie?
— Mówił.
— Dlaczego umarł? — zapytał Spel. — Zabiłeś go?
— Nikogo nie zabijałem.
— Kłamie — zwrócił się Spel do siostry. — Dopiero co zabił strażnika.
— Nieprawda! — oburzył się Kroni. — Strażnika zabił Spel. Udusił go, a ja nikogo nie zabiłem.
— Ten śmierzdel zarzuca kłamstwo szlachetnie urodzonemu oficerowi policji — powiedział Spel, gapiąc się w sufit. — Będę chyba musiał odprowadzić go do izby tortur.
— Poczekaj, bracie — powiedziała Gera. — A dlaczego on umarł?
— Był bardzo wychudzony i chory. Nie byliście nigdy na dolnych poziomach i nie wiecie, że

tam nie da się przeżyć nawet jednego dnia.

— A wiesz, kiedy on stąd odszedł? — zapytała Gera.

— Nie.

— Więcej niż trzy dziesiątki dni temu.

— Dlaczego mu nie pomogliście?

— Dyrektorzy uznali, że powinien umrzeć, bo pogwałcił prawo — powiedział Spel, wykrzywiając boleśnie swe maleńkie usteczka.

— Był inżynierem — dodała Gera. — Nie należał do brudnych, nikt by mu nie zrobił krzywdy, gdyby nie Glizda. Glizda bał się Lemenia i dlatego zastraszył całą Radę. Ty tego zresztą nie potrafisz zrozumieć.

— Nie potrafię, wasza łaskawość? — zdziwił się Kroni. — Przecież mnie tu wszyscy uważają za głównego spiskowca.

— Nie chwal się, rurarzu! — rzucił pogardliwie Spel. — Jesteś tylko brudnym bydlęciem i bydlęciem zostaniesz.

Kroni postanowił się z nim nie spierać. On też chciałby mieszkać w takim jasnym pokoju, tak dobrze się ubierać i tak przyjemnie pachnieć. To było prawdziwe życie i trudno się było gniewać tych ludzi za to, że rurarz wydaje się im niemal gorszy od zwierzęcia.

— Tak, jesteśmy bydlakami — powiedział — ale to dlatego, że trzymają nas w zamknięciu. Jesteśmy brudni, śmierdzący i zawszeni. Nie warto tracić czasu na rozmowę z nami. Nie czytaliśmy żadnych książek, nawet ich nie widzieliśmy i gdyby nas wpuścić twojego pięknego pokoju, pani, zdarlibyśmy ze ścian cały ten materiał i pocięlibyśmy go na sukienki dla swoich żon, które bijemy i które traktujemy gorzej niż zwierzęta. Ale zawinili tu wasi ojcowie i dziadkowie. To oni odebrali nam Miasto na Górze, gdzie jest jasno, gdzie płyną wielkie rzeki i gdzie można się codziennie myć. Tam nie różnilibyśmy się zupełnie od was.

— Głupstwa gadasz — powiedziała piękna Gera Spel. — Mieliśmy różnych przodków. Wasi przodkowie byli jak robactwo rojące w mokrej glinie. Nie możemy być jednakowi.

— Chwileczkę! — zawołał nagle Spel, wyskakując ze swego fotela. — Jak, powiadasz, nazywa się ten twój inżynier, który wbił wam do łba te wszystkie myśli?

— Inżynier... Po co ci potrzebna ta informacja, policjancie? Nie złapałeś go i nigdy nie złapiesz.

— Razi — podpowiedziała Gera. — Oczywiście, to musi być ten dziwak Razi. Pamiętasz go? Bywał tu z Lemeniem. Znasz Razięgo, rurarzu?

Kroni nie odpowiedział.

— Już wiem, komu on dał swój pistolet! — wykrzyknął Spel. — Glizda wiele by dał za tę wiadomość.

— Zapomnij o swoim Glizdzie — ofuknęła go Gera. — Zachowujesz się jak wahadło zegara. Zawsze byłeś taki. Biegałeś do ojca wypraszałeś słodycze za to, że donosiłeś na mnie i naszą zmarłą matkę, a potem wracałeś do nas i mówiłeś, że ojciec o wszystkim wie.

— Nie przypominaj mi grzechów dzieciństwa, siostrzyczko uśmiechnął się Spel. — Chcesz, żebym opowiedział rurarzowi o twoich? On i tak za dużo wie. Kiedy wszyscy rurarze staną się tacy jak on, będziemy musieli zabrać się do czyszczenia wychodków. A dla twoich rączek taka praca jest szkodliwa.

— Kiedy Glizda mnie prześladował, kiedy ojciec zupełnie o mnie zapomniał, czy pomogłeś mi choć raz? Uratowałeś mnie? Nic podobnego, wolałeś troszczyć się o swoją bezcenną skórę.

— A kto wyciągnął Lemenia i pomógł mu uciec?

— Pomogłeś, bo Lemeń też coś wiedział na twój temat.

— I tego też uratowałem. I też tu przyprowadziłem. — Usteczka Spela znów boleśnie się

wykrzywiły.

— Wasza łaskawość — wtrącił się do ich kłótni Kroni. — Jeśli stanie się tak, jak my chcemy, to nigdy już nie będzie brudnych i ułomnych ludzi.

— Ach, daj spokój! — machnęła ręką Gera. — Zawsze ktoś tam zostanie na górze. Wy jesteście zgnili od zewnątrz, a my od środka. Na tym polega cała różnica.

Spel milczał z zaciętym wyrazem twarzy. Był wściekły i nie mógł oderwać wzroku od czerwonych plam na chusteczce siostry.

— Tak, jesteśmy zgnili — powtórzył Kroni z uporem. — Ale jak tylko znajdziemy drogę na górę, natychmiast wszystko się zmieni. Jestem tego pewien.

— Jaką znów drogę na górę?

Gera znów się rozkaślała i mężczyźni czekali, aż się uspokoi. Nie wiedzieli, jak pomóc i kiedy Spel wreszcie zrobił krok w jej stronę, dziewczyna wyciągnęła przed siebie rękę, aby się nie zbliżał.

— Chcemy dojść tam, gdzie zawsze jest jasno. Gdzie strop wisi wysoko i gdzie rosną drzewa — powiedział w końcu Kroni.

— Gdzie on się nasłuchiwał takich głupstw? — zapytała Gera cicho i zaczęła nerwowo szarpać chusteczkę.

— Ma obrazek — powiedział Spel. — To jakiś fantastyczny malunek. Kiedy szukał broni...

— Szukałem biblioteki — przerwał mu Kroni. — Szukałem biblioteki, żeby znaleźć tam książki o Mieście na Górze. Wierzę w Miasto na Górze. Słuchałem też uczonego człowieka, bardzo starego człowieka, który przez całe życie uczy ludzi o tym mieście. Do tej pory trzymali go w ciemnicy...

— Zwariowany Rał-Roddi — powiedział Spel do siostry, która skinęła potakująco głową, jakby niczego innego nie spodziewała się usłyszeć. — Dawno już umarł.

— Nie, on żyje.

— Jeszcze jeden punkt dla Glizdy — powiedział Spel. — Jeśli przyjdę do niego z takimi informacjami, to z pewnością mi wybaczy. I Lemenia, i ukradzony znaczek identyfikacyjny. Powiem mu, że troszczyłem się o honor własnej siostry.

— Glizda nigdy nikomu nie wybacza. Przecież doskonale o tym wiesz — powiedziała Gera. — A jeśli chodzi o mój honor, to dawno go utraciłam. Mów dalej, rurarzu.

Kroniemu zrobiło się smutno. Zrozumiał nagle, że Gera nie wie, jak on się nazywa, że jest dla niej tylko bezimiennym rurarzem i że takim dla niej na zawsze zostanie. Że jego imię wcale jej nie interesuje.

— Co tu mówić? — odezwał się wreszcie. — Jest obraz, który został u Glizdy. Jest miasto. I jeśli nawet mnie zabiją, i inżyniera Raziego zabiją tak samo jak twojego Lemenia, pani, to i tak znajdą się inni ludzie... Najważniejsze, to uciec stąd, dopóki wszyscy nie wymrzemy. Ty, pani, też bardzo źle czujesz się pod ziemią.

— Co powiedziałaś? — Gera drgnęła tak gwałtownie, jakby Kroni dotknął jej brudną ręką.

— Jestem rurarzem, pani. Czuję wilgoć w powietrzu i wiem, ile wody jest w każdym pokoju, choćby mi ktoś zawiązał przedtem oczy. Gdyby zerwać tę piękną tkaninę i zdjąć dywan z podłogi, zobaczylibyśmy tam plamy wilgoci i naloty pleśni. Pani kaszle tak samo, jak kaszłą kobiety na dole. Jest pani zrobiona z takiego samego ciała, co i one. Choć jest pani bardzo piękna, piękniejsza od wszystkich kobiet w mieście, to umrze pani, jeśli nie wydobędzie się na górę.

— No i bardzo dobrze! — powiedziała Gera i uśmiechnęła się, patrząc prosto w oczy rurarza, jakby go zobaczyła po raz pierwszy. — Jak się nazywasz, rurarzu? — zapytała.

— Kroni. Mój ojciec też był rurarzem.

— Złapaliśmy go na ulicy — powiedział Spel. — Miał przy sobie wiele niebezpiecznych przedmiotów. Nawet magazynek z nabojami do pistoletu.

— Glizda mógł go specjalnie wkręcić na Biesiadę. Tym bardziej jeśli śledził Raziego i wiedział o jego przyjaźni z Lemeniem. A przez Lemenia chciał się dobrać do nas.

— Nie sądzę — powiedział Spel, poklepując się po biodrze, na którym miał kaburę. — Agent Glizdy w naszym domu długo się nie uchowa.

Kroni milczał. Słowa dziewczyny bardzo go dotknęły. Co innego, gdyby to Spel oskarżył go o zdradę, bo mężczyzna przecież powinien być podejrzliwy. Łatwowierni nie mają czego na tym świecie szukać. Ale dziewczyna nie powinna go tak traktować.

— Nie słuchaj jej, Kroni — roześmiał się nagle Spel. — My tutaj wszyscy mamy już trochę nie po kolei w głowie. Ona nie wie, jaki byłeś brudny, kiedy wepchnąłem cię pod przysnic. Żaden agent nie mógł się tak uświnić. Rurarze gromadzą ten brud całymi latami.

I chociaż nie było niczego pochlebnego w tych słowach policjanta, Kroni nie mógł powstrzymać się od uśmiechu i powiedział:

— Teraz już jestem prawie czysty i mogę zostać agentem.

— Teraz Glizda już cię nie weźmie. Za dużo wiesz. Jeśli im pokażesz, gdzie jest broń, zabiją cię obok tej broni. A jeśli nie pokażesz, broń znajdą bez ciebie, a ciebie uduszą tutaj.

— Kroni — powiedziała Gera cicho, bez wrogości w głosie, jakby przepraszająco. — Niedawno dowiedziałeś się wielu takich rzeczy, których istnienia przedtem nawet nie podejrzewałeś, o których twoi sąsiedzi i inni rurarze nie wiedzą. I nie dowiedzą się nigdy, bo nie wolno udostępniać wiedzy wszystkim. Wiedza wzbudza niepokój, niepokój z kolei rodzi wrogość i poczucie niezaspokojenia. Tak twierdzą ludzie uczeni. Wiele się dowiedziałeś, ale twoja głowa nie była na to przygotowana. Wyobraziłeś sobie, że jesteś wszechwiedzący. Inżynier Razi, który powinien być o wiele rozsądniejszy, nie pohamował cię, lecz na odwrót, jeszcze bardziej rozpałił twoją ciekawość i niepokój, co jest z jego strony wielkim przestępstwem wobec Obyczaju. Zrozum, że istnieje wiedza dla wszystkich, wiedza dla inżynierów i wiedza dla czystych. Jest także wiedza wyższego rzędu — wiedza dla Dyrektorów. Na tym stopniowaniu wiedzy opiera się cały Obyczaj.

— Oskarżyłaś mnie, pani, o to, że powtarzam cudze słowa, że mówię słowami inżyniera Raziego. Ty zaś powtarzasz słowa swojego nauczyciela.

— Naturalnie — zgodziła się dziewczyna. — Wszyscy powtarzamy słowa swoich nauczycieli, ale moi nauczyciele wiedzieli więcej niż Razi.

— Dlaczego? — zapytał Kroni. — Razi mówił, że jest Miasto na Górze. I Miasto na Górze jest. Starzec mówił, że szlachetni zapędzili ludzi pod ziemię, żeby łatwiej nimi rządzić. I to jest też pewnie prawda. Inżynier ma swoją prawdę, a twój nauczyciel, Pani, ma swoją. Inżynier i ja...

Kroni zauważył, że rodzeństwo popatrzyło na siebie porozumiewawczo.

— Inżynier i ja — powtórzył wcale tym nie speszony — nie wierzymy, że ten Obyczaj jest słuszny i dobry. Nauczyciel pani chciał, aby Obyczaj był zawsze, ponieważ został on stworzony dla was.

Spel poczekał, aż Kroni się wygada i powiedział:

— My tu sobie rozmawiamy, a rurarza wszędzie już szukają. Musimy zastanowić się, jak by tu go się pozbyć.

— Nie — powiedziała Gera. — Przecież nie opowiedział jeszcze wszystkiego o Lemeniu.

— A wy nie opowiedzieliście mi o Mieście na Górze! — powiedział Kroni. — Wiecie przecież o jego istnieniu. Wszyscy czyści o nim wiedzą, ale ukrywają tę wiedzę przed resztą ludzi.

— On jeszcze stawia warunki! — warknął Spel.

— Opowiedz o Lemeniu. Wszystko, co o nim wiesz — poprosiła Gera. — Dla mnie to jest bardzo ważne. Myślałam, że dawno już umarł. Obiecuję ci za to opowiedzieć o Mieście na Górze.

Kroni postarał się przypomnieć sobie dokładnie całą rozmowę z Lemeniem, przywołać każde jego słowo. To nie było łatwe, bo nie przypuszczał, że kiedykolwiek będzie musiał komuś powtarzać słowa umierającego.

— I to wszystko? — zapytała Gera z rozczarowaniem w głosie. — Nie prosił, żebyś mi coś przekazał?

— Powiedział tylko: „Jeśli zobaczysz Gerę Spel” i umarł.

— Możesz jednak przysięgnąć na Otchłań, że dałeś mu wody?

— Przysięgam na Ognistą Otchłań i na Boga Reda. Dałem mu wody i chciałem ulżyć. Chciałem go nakarmić, ale on już nie przyjmował pożywienia. On też mi pomógł.

W pokoju zrobiło się cicho. Spel zerknął na zegarek.

— Posłuchaj teraz o Mieście — powiedziała Gera.

— Może damy sobie z tym spokój, siostrze? — zapytał Spel.

— Obiecałam! — wykrzyknęła Gera. — Kiedy skończę, możecie zająć się swoimi męskimi sprawami. To, co ci powiem, jest wielką tajemnicą. Mogą ją znać tylko Dyrektorzy, naczelni Kapłani i dzieci Dyrektorów. Nawet inżynierowie o tym nie wiedzą.

Spel wyciągnął nogi w błyszczących, calusieńkich trzewikach i zaczął gapić się w sufit.

— Kroni, to Miasto było — powiedziała Gera. — Ale było bardzo dawno temu. Było też jeszcze jedno Miasto na Górze, w którym też mieszkali ludzie.

O drugim Mieście rurarz jeszcze nie słyszał. Górny Świat wyobrażał sobie jako ogromną, jasną pieczarę, w której środku wznosiło się jedyne Miasto.

— Te miasta były ze sobą skłócone. Mieszkało w nich mnóstwo ludzi, ale ludzie z naszego Miasta byli spokojni, mieli pod dostatkiem jedzenia i wody, i przestrzegali Obyczaju. A mieszkańcy drugiego Miasta Obyczaju nie znali i mieli za mało jedzenia... Dlatego napadli na nasze Miasto. To była długa, straszliwa wojna. Od dymu i trucizn powietrze w Mieście zupełnie się popsulo. Wtedy Dyrektorzy zrozumieli, że na Górze już żyć nie można, postanowili więc uratować ludzi. Przeszli na dolne poziomy i ludzi uratowali. A mieszkańcy drugiego Miasta umarli.

— Miasta nie ma? — zapytał zgnębiony Kroni.

— Miasta nie ma. To wcale nie jest kłamstwo. Opowiem ci jeszcze więcej.

Spel kiwał nogą i gapił się na czubek buta. Nudził się, słuchał tego wszystkiego jak uprzykrzonej lekcji.

— Ale przecież minęło tyle lat! — Kroni rozpaczliwie nie chciał tracić nadziei. — Może tam powietrze już się poprawiło?

— Byli śmiałkowie, którzy wspinali się na powierzchnię. To też wiadomo. Z początku nawet sami Dyrektorzy wysyłali gońców, żeby sprawdzili, jak tam jest. Gońcy jednak wracali i mówili, że nie można tam żyć i niedługo potem umierali zwaleni chorobą, która nie ma nazwy. Podobno ostatni człowiek wyszedł na Górę wiele lat temu. I też wrócił, żeby umrzeć. A później droga na Górę została zapomniana. Teraz rozumiesz, dlaczego nasz Obyczaj jest taki, a nie inny? Gdyby go nie było, gdyby Dyrektorzy nie troszczyli się o ludzi, nie karmili ich, nie dawali im pracy, wody i ciepła, wszyscy dawno by już wymarli. Nasz świat nie wszystkim wydaje się dobry, ale jest lepszy niż świat na Górze. Każdy przecież ma pokój, pracę i pod dostatkiem kaszy.

— I po Mieście nie zostało nawet śladu? — powtórzył Kroni z rozpaczą w głosie.

— Miasta nie ma — odparła dziewczyna, chociaż właściwie rurarz nie oczekiwał od niej odpowiedzi na swoje pytanie. — A im mniej ludzi wie o tym, że kiedyś było, tym lepiej. Dopóki

nie wiedziałeś o Mieście, byłeś spokojny i zadowolony. Kiedy się o nim dowiedziałeś, poczułeś się nieszczęśliwy i w dodatku skazałeś się na śmierć.

— Lemeń usiłował się wydostać na powierzchnię — powiedział Spel. — Właśnie dlatego Glizda się nim zainteresował. Lemeń rozmawiał z ludźmi i wszystkim rozpowiadał, że trzeba szukać Miasta. Był inżynierem i to inżynierem potrzebnym do podtrzymania Obyczaju, więc nie można go było od razu usunąć. Sam Dyrektor Kalgar wytłumaczył mu wszystko, powiedział całą prawdę. Ale Lemeń szukał drogi na Górę i mówił o tym innym inżynierom.

— Pan Lemeń był na Górze?

— Głupi jesteś, rurarzu. Miasta nie ma i drogi do niego też nie ma! — powiedział Spel. — Lemeń szukał drogi i zrozumiał, że nie można wydostać się na powierzchnię. Miał chyba szczęście, bo ci, którzy wychodzili, umierali potem w straszliwych męczarniach. Mięso odchodziło im od kości i wypadały wszystkie włosy. Ta choroba nie atakuje od razu. Człowiek jest jeszcze niby zupełnie zdrowy i normalnie chodzi. Może tak chodzić przez cały dzień, a potem nagle zaczyna rozpadać się na kawałki. To prawda.

— Wiedział, gdzie tej drogi szukać? — zapytał Kroni.

Odpowiedzi nie było.

— Dlaczego nie chcecie mi odpowiedzieć?

— Bo to nie na twój rozum — mruknął Spel. Było cicho. Gdzieś w rurze zabulgotała woda. Kroni na słuch określił średnicę rury i panujące w niej ciśnienie.

— No to co robimy? — zapytał Spel siostrę.

— Powinieneś lepiej wiedzieć — odparła Gera. — Jesteś policjantem.

— Wyprowadzę go stąd i zastrzelę. Powiem, że ukrywał się w zaułku, a ja go znalazłem.

— A czy nie można go nie zabijać? — zapytała dziewczyna.

Kroni słuchał ich i odnosił wrażenie, że rozmowa wcale go nie dotyczy. Zresztą rodzeństwo rozmawiało tak, jakby go nie było w pokoju.

— A co ja z nim zrobię?

— Przecież Lemeń przeżył tyle dni w podziemiu, prawda?

— Jesteś jednak głupia, jak każda kobieta! — zirytował się Spel. — Lemeń nikogo nie mógł wydać. To był inżynier, prawie czysty.

Dopiero teraz Kroni zorientował się, z czego zrobiony jest włochaty dywan na podłodze pokoju Gery. To były szczurze skórki.

— A jeśli twój rurarz wpadnie, to od razu powie o wszystkim Gliździe. Siebie nie uratuje, a nas zgubi. Glizda już od dawna usiłuje dobrać się do naszej rodziny. Nie tyle do mnie czy do ciebie, ale do naszego ojca. Zdajesz sobie sprawę z tego, jak bardzo ten rurarz może mu się przydać?

— Niczego się ode mnie nie dowiedzą — powiedział Kroni.

— Mówisz tak, bo nie masz o niczym pojęcia. Glizda wycisnie ciebie wszystko, co tylko będzie chciał, a ty umrzesz w męczarniach. Lepiej zginąć na miejscu od mojej kuli niż w izbie tortur.

— Niby dlaczego Glizda ma mnie złapać?

— A gdzie się ukryjesz? Będzie szukał cię tak długo, aż znajdzie chociażby twoje zwłoki. Czy ty myślisz, że Glizda pozwoli, żeby broń dostała się w ręce spiskowców, że będzie spał spokojnie, dopóki nie schwyta twojego inżyniera Raziego i innych podżegaczy? Jesteś jego kluczem do tak wielkiej tajemnicy, że tylko po żeby cię złapać, może zorganizować obławę w pustych tunelach, nawet przy Domach Przodków.

— Ale nie należy mnie zabijać, bo inaczej podejrzenie padnie ciebie, panie. Jak mogłem przedostać się na ten poziom? Tylko dzięki twojej pomocy.

— Wrócimy pod norę Glizdy.

— A co będzie, jak po drodze nas złapią? Przecież sam mówisz, Glizda chce się z tobą policzyć. Będzie miał powód.

— A co ty proponujesz? — zapytał Spel rzeczowym tonem.

— Zachowujecie się tak, jakbyście omawiali wyprawę po grzyby jaskiniowe — powiedziała Gera. — Mężczyźni na zawsze pozostają dziećmi, a w naszej rodzinie znacznie dłużej niż w innych.

— Wiem, co można zrobić — powiedział Kroni. — Skoro i tak mam zginąć, to pokaż mi, jak wyjść na Górę.

— Nie — zaproponował Spel. — Lemeń nie dał rady, a ty jesteś niego znacznie głupszy.

— Może jestem głupszy — zgodził się Kroni — ale o wiele silniejszy. Jestem w dodatku rurarzem. Potrafię prześlizgnąć się tam, gdzie nie przedostanie się nikt z was. Całe życie spędziłem w tunelach. W ciągu jednego dnia znalazłem bibliotekę i broń. Zobaczyłem Otchłań i wróciłem. Kiedy wyjdę na Górę, to obiecuję już tu nie wracać. Nie potrzebuję wracać, bo wolę umrzeć tam. Myślę, że znacie drogę na Górę, z której chciał skorzystać Lemeń.

— Znamy ją — powiedziała Gera — i pokazaliśmy ją Lemeniowi. Ale tej drogi już nie ma.

— Dajcie mi nóż — powiedział Kroni. — Zabiję się nim, kiedy mnie znajdą.

Spel spojrzał pytająco na Gerę.

— Niech idzie — powiedziała dziewczyna. — Lemeń też chciał się wydostać. Wypuść rurarza w imię pamięci Lemenia... i dlatego, że cię o to proszę.

— Ryzykujemy — mruknął Spel.

— Wcale nie więcej, niż gdybyśmy go zabili.

ROZDZIAŁ 3

NAMIOTY NA WZGÓRZU

— Słyszałeś — zapytała Natasza — jak w nocy coś się tłukło na dworze?

W namiocie było ciepło, sucho i pachniało ozonem. Podstawka z przymocowaną do niej brązową figurką wolniutko wirowała i figurka zdawała się poruszać rękami, robić dziwne miny w zmieniającym się świetle lamp.

— Dość — powiedział Takasi i nacisnął guzik, powstrzymując w ten sposób powolny ruch podstawki. Szczęknęła kamera i zdjęcia z cichym, urywanym szelestem zaczęły wysypywać się z automatu, padając na równiutki stosik wykonanych przedtem odbitek.

— Bardzo dobrze — mruknął Takasi, biorąc leżącą na wierzchu odbitkę i podając ją Nataszy. — Nie uważasz, że jest ładniejsza niż w rzeczywistości?

Natasza porównała zdjęcie z oryginałem, ale jakoś nie potrafiła znaleźć różnicy.

— To nie było coś — powiedział Takasi, przystępując do dalszych skomplikowanych manipulacji lampami, które oświetlały stół zdjęciowy — tylko tygrys. Nie wiem, jak mu się udało przedostać przez ogrodzenie.

— Zwariowałeś — oburzyła się Natasza — albo chcesz mnie nabrać.

— Widziałem ślady — powiedział Takasi. — Kruminsz też je widział.

— Nie pójdę do wykopu — oświadczyła Natasza. — Ładni mi mężczyźni, którzy nie umieją poradzić sobie z parszywym tygrysem.

— Jeśli ten tygrys jest parszywy, to nie musisz się go bać — powiedział Takasi.

Natasza przyglądała się z wielką przyjemnością precyzyjnym, szybkim, pozornie niedbałym ruchom Japończyka.

— Kiedy on mnie zje — zauważyła — to i tak będzie mi wszystko jedno. Kiroczka Tkaczenko widziała zjawę.

— A niby dlaczego miałaby jej nie widzieć? — zdziwił się Takasi. — W takim miejscu powinno roić się od duchów.

— Zjawa jest błękitna — ciągnęła Natasza — i dość szybko chodzi.

— A nie gryzie? — zapytał Takasi poważnym tonem.

— Nie zdążyła Kiroczki ugryźć, bo Kiroczka poleciała wołać na pomoc Kruminsza.

— Myślę — powiedział Takasi, zdejmując ze stolika brązową figurkę i mocując na jej miejscu szklane naczynie na pięciu krótkich nóżkach — że w nocy zjawy tego miasta nabierają odwagi. Kiedyś nagromadziło się tutaj tak wiele cierpienia i śmierci, że każde paskudztwo może pławić się w polu cierpienia, jak w ciepłym basenie. Jeśli, rzecz jasna, takie pole w ogóle istnieje.

— Czy ty mówisz to poważnie? Bo nigdy nie potrafię się zorientować, czy mówisz serio, czy żartujesz...

— Zawsze rozmawiam serio z szacowną doktorantką samego profesora Lewandowskiego.

— Czuję, że stracę do ciebie serce, Taks — powiedziała Natasza.

— Lepiej teraz niż później, kiedy już spędzimy ze sobą w zgodzie dziesięć lat i będziemy mieli dziesięcioro dzieci.

— Dla ciebie nie ma nic świętego! — oburzyła się Natasza. — Idę do wykopu. Znienawidziłabym cię, ale nie jesteś godzien mojej nienawiści.

— Życzę powodzenia — powiedział Takasi i ponownie uruchomił podstawkę.

Po zakończeniu pracy zerknął na błonę osłaniającą drzwi. Błona była matowa, ale jej barwa świadczyła o tym, że od gór znów nadleciał jesienny wiatr, przyniósł ze sobą sine, groźne

chmury, które przepływają nad miastem strasząc ulewą, lecz wylewają wodę niżej, nad doliną. Takasi narzucił kurtkę, rozerwał błonę i wyszedł z namiotu. Błona natychmiast ponownie zasunęła otwór, zabezpieczając wnętrze namiotu i sprzęt laboratoryjny przed kurzem.

Pozostałe namioty stały rzędem na pożółkłej trawie wzgórza i przypominały jabłka wystające do połowy z wody.

Wiatr z gór nadlatywał w porywach, niosąc ze sobą tumany kurzu. Takasi opuścił okulary i pomyślał, że wszystko na świecie kryje w sobie równocześnie dobro i zło. Archeolodzy przez całe lato marzyli o deszczu, a teraz, kiedy deszcze miały się lada dzień rozpadać, chcieliby, żeby jesień jeszcze nie nadchodziła. Wykop przekształcił się w rude trzęsawisko i będzie po sezonie. Tropiciele przeniosą się na Wyspy Południowe, a reszta będzie musiała segregować i pakować znaleziska, a potem przewozić je na statek. Robota prozaiczna i nudna. A poza tym Natasza wróci do domu.

Od namiotów odchodziły rozjeżdżone gaśnienicami drogi. Jedna z nich niebawem nikła w zaroślach, znów pojawiała się jasną smuzką na nagiej ziemi i ostatecznie ginęła wśród zrudziałych wzgórz, z których niczym igły morskich jeżów sterczały zardzewiałe kratownice i belki — pozostałości domów.

Takasi postanowił przejść się do wykopu piechotą. Wczoraj przez cały dzień nie wychodził z laboratorium, a kilometrowy spacerek dobrze zrobi każdemu.

— Wybierasz się do wykopu, Taks — zapytał Stanczo Kirow, który siedział na piasku przed łazikiem, obłożony częściami zamiennymi i narzędziami, i tak oplatany różnobarwnymi kabelkami, jakby wpadł w pajęczynę. Kirow przywiózł tutaj nowe modele łazików i właśnie je wypróbowywał. Maszyny były bardzo nowoczesne i pomysłowe, ale często się psuły, za co Stanczo wymyślał im i karcił jak niesforne dzieci, ciągle rozbierał na części i wpadał w rozpacz z powodu ich złośliwości.

— Tak — odparł Takasi.

— Poczekaj pół godzinki, to cię podrzucę.

— Dziękuję. Wolę się trochę przejść.

Kirow ogromnie się zdziwił, gdyż był przekonany, że maszyny buduje się specjalnie po to, aby nikt nie musiał chodzić pieszo. Chodzenie, powtarzał ciągle, cofa człowieka do czasów pierwotnych. Nie po to człowiek został królem stworzenia, żeby nadweręzać sobie nogi.

— Ja bym na twoim miejscu zaczekał — powiedział Kirów. — I pomógł mi dobrać się do tej zawlecзки. Takasi nie miał pojęcia, o jaką zawleczkę mu chodzi, ale był święcie przekonany, że Kirow wcześniej czy później sam się do niej dobierze i że to zwycięstwo nad oporną materią sprawi mu niewysłowioną rozkosz. Nie zamierzał więc go tej rozkoszy pozbawiać. Stanczo tymczasem zapomniał o istnieniu Takasiego i wgrzył się w silnik łazika.

Ze wzgórza Takasi zbiegł, wysoko podrzucając kolana, żeby rozruszać wszystkie mięśnie nóg. Na dole zerknął na pasmo generatorów pola ochronnego, które niskimi piramidkami sterczały z gruntu. Generator w tym sektorze, przez który przedostał się tygrys, nie różnił się niczym od pozostałych. Ślady zwierzęcia już zasypał piasek niesiony wiatrem. Kiedy Takasi przecinał linię pola ochronnego, poczuł na rękach i twarzy lekkie muśnięcie, zwiewne jak dotknięcie jedwabiu. Gdzieś w obozie, na pulpicie sterowniczym pola, mignęło zielone światelko, rejestrując wyjście człowieka ze strefy chronionej.

Krzewy, których gęstwina zaczynała się o jakieś sto metrów za wzgórzem, były szorstkie i kolczaste. W dodatku gnieździły się w nich złe osy. Zarośla kryły pod sobą dzielnice mieszkalne, do których archeolodzy jeszcze nieprędko się dobią. Czasami wiatr wydmuchiwał z krzaków różne drobne przedmioty — monety, pociski, skorupy naczyń — więc codziennie któryś z doktorantów musiał przespacerować się drogą na pustkowiu, żeby pozbierać te drobiazgi do

pudełka. Potem pudełko trafiało na półkę w magazynie, gdzie takich pudełek zebrano już kilkadziesiąt. Ich kolej też przyjdzie znacznie później. Dopiero na Ziemi.

Pośrodku pustego wygonu znajdował się ogromny lej. W czasie deszczów gromadziła się w nim woda, zamieniając go w okrągłe jeziorko. Pod koniec pory suchej woda zupełnie wyparowała, ale kurz nie zasypywał leja, gdyż był otoczony wysokim wałem ziemi, na którym rosły gęste, proste dzidy trzciny. Na dnie leja aż do samej jesieni utrzymywała się warstwa błota, w której zagrzebywały się ryby i ślimaki. Takasi przedarł się przez trzciny, żeby sprawdzić, czy twarda skorupa na bagnie wystarczająco już podeschła, ponieważ zamierzał wybrać się jutro z Nataszą na polowanie.

Polować na ryby zamierzali za pomocą łopat i to miała być zemsta za to, że ryby nie chciały brać przez całe lato, kiedy wody w leju było pod dostatkiem. Ale jeśli skorupa okaże się jeszcze za słaba, to z polowania przyjdzie zrezygnować, bo bagno na środku miało ze trzy metry głębokości.

Takasi przystanął na wale. Skorupa była pokryta siatką promienistych pęknięć. Ktoś go uprzedził i już sprawdził wytrzymałość skorupy. Ślady biegły od brzegu i urywały się przy ciemnej plamie rzadkiego blocka. Było tam niezbyt głęboko, ale śmiałek z pewnością musiał zapaść się w trzęsawisku po pas. Dobrze mu tak, pomyślał Takasi, bo pomysł polowania na śnięte ryby należał do niego i rozgłosił go wszem i wobec przy kolacji. Okazuje się, że wśród członków wyprawy znalazł się podstępny rywal, który postanowił wyprzedzić Takasiego i Nataszę, ale drogo za to zapłacił. Nic dziwnego, że nikomu się do tego nie przyznał.

Droga doprowadziła do centrum miasta. Takasi szedł wolno i przyglądał się ruinom, jakby widział je po raz pierwszy w życiu. W żaden sposób nie potrafił się z nimi oswoić. W poskręcanych kratownicach i bryłach betonu, porośniętych trawą i wygładzonych przez dwieście lat grubą warstwą kurzu, krył się pierwotny koszmar nieubłaganej, powszechnej śmierci. W ciągu dwustu lat zawaliły się sterczące z gruzów ostre niegdyś ściany domów z pustymi oczodołami okien, zrównały się z ziemią leje, wygasła zabójcza promieniotwórczość i planeta pozornie zaleczyła najgłębsze rany. Wyżyły niektóre ryby w oceanach, poukrywały się, przystosowały lub zmieniły jakieś tam owady i zwierzęta. Świat planety był o wiele uboższy niż być powinien, ale jednak istniał. Wypełniały się stopniowo nisze ekologiczne, z wolna wytwarzała się nowa homeostaza. Ewolucja, rozbita w proch przez wojnę atomową, ale popędzana przez promieniotwórczość, zebrala ocalałe strzępy życia i mimo wszystko rozwijała się dalej. Na planecie nie było tylko naczelných. Można przypuścić, że jeśli wszystko zostanie po staremu, rozum w końcu znów się tu odrodzi. Nie wiadomo jednak, kto będzie jego nosicielem. Z pewnością nie człowiek, gdyż nie sposób stworzyć go powtórnie, chyba że ewolucja zaczęłaby się od początku.

Ludzie wytłukli się tu nawzajem w długotrwałej wojnie na wyniszczenie. W wojnie, która się rozrastała i rozpełzała, pochłaniając coraz to nowe regiony i kontynenty, aż w swym ostatnim stadium dopadła i tych, którzy w niej nie brali udziału, bo nie można było oddychać zatrutym powietrzem, pić zatrutej wody i zbierać zatrutych owoców z drzew.

Gdzieś tam, w jaskiniach i na odległych wyspach, ukrywali się jeszcze ludzie. Ich życie mierzone było na miesiące, a może nawet na lata. Ale samotnicy i odosobnione grupki zostały skazane na zagładę, bo ludzie ci byli bezpłodni i bezsilni wobec wrogiego, zatrutego świata.

Człowiek w trakcie swej ewolucji dowiódł, że jest najsprytniejszym, najwytrzymalszym i najgroźniejszym ze zwierząt, ale jako gatunek nie zdołał przetrwać sprowadzonej przez siebie katastrofy, bo był zwierzęciem społecznym. Kiedy społeczeństwo się rozpadło, musiał wyginać.

Takasi włókł się krok za krokiem przez bezmiar ruin i wzgórz, które kryły pamięć wieków poprzedzających upadek. Czuł się jak bardzo stara i bardzo mądra istota, która potrafiła

zrozumieć przyczyny, ale nie mogła zapobiec skutkom ani odwrócić biegu historii.

Archeolodzy są z reguły optymistami. Grzebią się w pradawnych grobowcach i badają ślady pogorzeli. Są świadkami końca człowieka, miasta, plemienia. Ale zawsze lub prawie zawsze umieją odnaleźć nitkę wybiegającą z nicości w przyszłość i wyczuwają okrutną logikę historii. A tutaj nie było żadnej kontynuacji.

Z przeciwka sunął łazik. Jeden z doświadczalnych modeli Kirowa. Łazik kuśtykał na pięciu nogach, a szóstą podkulił pod brzuch. Kiroczka Tkaczenko, popędzając maszynę, ucieszyła się bardzo na widok Takasiego, który był idealnym rozmówcą, a właśnie rozmówcy, nawet niekoniecznie idealnego, najbardziej jej w tym momencie brakowało.

— Jak sądzisz, Taks — zapytała ze swej ruchomej ambony — czy technicy wysyłają te swoje doświadczalne modele wozów drabiniastych geofizykom lub astronomom? Nie, bo geofizycy głowy by im pourywali, a potem zrzucili te łaziki do najbliższej przepaści. A my musimy się tym złomem posługiwać.

— Ci technicy mają rację, Kiroczko — odparł Takasi. — Oni wiedzą przecież, że archeolodzy to ludzie subtelni i delikatni, że cierpliwość jest jedną z ich podstawowych cnót. Technicy bardzo dbają o swoje maszyny doświadczalne i tylko dlatego je nam przysyłają.

— Wszystko wiesz i na wszystko masz zawsze gotową odpowiedź — powiedziała zniechęconym tonem Kiroczka. — Aż czasami nie chce się człowiekowi z tobą rozmawiać. Nie mam najmniejszej ochoty być subtelnym i cierpliwym archeologiem! Dlatego wracam na swój statek, na swoje stare stanowisko trzeciego mechanika. Tam wszystko jest jasne i proste.

— Chyba to jest dobre rozwiązanie — zgodził się Takasi i ruszył dalej swoją drogą.

Coraz bardziej niepokoił go amator ryb, który wlaźł nocą w trzęsawisko i nikomu o tym nie powiedział. Postanowił więc w drodze powrotnej rzucić okiem na jego ślady. Przecież, kiedy ten kłusownik gramolił się z błota, musiał dźwigać na sobie całe tony dowodów rzeczowych i rozpryski, placki, grudki gliny powinny wyraźnie oznaczyć jego drogę aż do samego namiotu.

Ukazał się wykop. To mogło być stanowisko archeologiczne na każdej planecie, nawet na Ziemi, gdyby nie jego tło — martwy las przedziewiałego żelastwa i betonu. Na Ziemi archeolodzy, na szczęście, nie rozkopują wieku atomowego. Archeolodzy kopią neolit, kopią brąz, żelazo, ale gdzieś w okolicach piętnastego wieku ich działalność się kończy.

Takasi minął osłonę zabezpieczającą wykop przed inwazją drobnych żyjatek oraz kurzem, i usiadł na pustym pojemniku obok transportera. Na chwilę wyjrzało słońce. Takasi widział, jak plama jasnego światła przesuwiała się po falach jeziora, rozciągającego się między miastem a łańcuchem wzgórz i jak, niczym teatralny reflektor, oświetla po kolei coraz bliższe żelazne szkielety miasta. Potem słońce zalało swoim blaskiem labirynt wykopu i ludzie po kolei podnosili głowy, usiłując odgadnąć, czy na długo się rozpogodziło. Dostrzegali jednak tylko malutkie błękitne okienko w ciemnych zwalach chmur i wracali do swojej roboty.

Takasi odnalazł Nataszę. Jej wykop był głębszy od sąsiednich, bo dziewczyna szukała początków miasta, ale interesująca ją warstwa kulturowa była mocno przemieszana nie tylko przez znacznie późniejszą sieć miejskiej infrastruktury, lecz także przez tunel metra, w którym szukali schronienia i zginęli nieliczni mieszkańcy miasta. Natasza w białej chustce na głowie stała obok automatu wybierającego ziemię. Nie ufała mu i w każdej chwili gotowa była odpedzić go na bok. W rękę trzymała pędzel. Takasi zapragnął zejść na dół i dzielić jej radość w momencie, kiedy dziewczyna znajdzie prawdziwy skarb. Bo przecież praca egzoarcheologa dlatego jest tak trudna i pasjonująca zarazem, że nigdy nie wiadomo, co znajdzie się za pięć minut. Na Ziemi znaleziska zawsze można do pewnego stopnia przewidzieć, bo zawsze istnieje określone prawdopodobieństwo ich występowania. A co tu jest prawdopodobne? Co można przewidzieć przy badaniach śladów obcej cywilizacji?

Takasi zjechał do wykopu, wznosząc przy tym tumany kurzu i narażając się na gniewny monolog Petersona, który dosłownie na sekundę przed tym oczyścił z przyschniętej ziemi brązowe zwierciadło i przeglądał się w nim, podziwiając własny szczęśliwy uśmiech. Później niezbyt zręcznie przeskoczył przez minikoparkę, wygryzając pracowicie słup fundamentowy, obiecał Kruminszowi, który próbował zgadnąć, co kryje się za stalowym włazem, podskoczyć w wolnej chwili do tropicieli po szperacz i wreszcie dotarł do Nataszy.

Nic się tam przez ten czas nie zmieniło. Natasza nadal stała, zaciskając w piątce pędzel, a automat wykopywał brudę wokół przerdzewiałego naczynia.

— Już się dzisiaj widzieliśmy — powiedziała Natasza nie patrząc w jego stronę.

— Przyszedłem sfotografować twój skarb — wyjaśnił Takasi.

— Jeszcze go nie ma — powiedziała Natasza.

— Poczekam — uspokoił ją Takasi.

— Po co? Nie masz nic innego do roboty?

— Człowiek zawsze ma coś do roboty — zapewnił Takasi.

— No to po co przyszedłeś przeszkadzać w pracy innym?

— Nie przyszedłem przeszkadzać, tylko zachwycać się tobą.

— Próżniak! — wykrzyknęła Natasza i leciutko się zaczerwieniła. — Dlaczego się ze mnie nabijasz?

— Nataszko — powiedział dobitnie Takasi. — Nigdy się z ciebie nie nabijam i nigdy się z ciebie nie śmieję! Nawet wówczas, kiedy mnie rozśmieszasz. A ty, podobnie jak wiele innych młodych dziewcząt, wolisz nieudomówienia od prawdy. Miło ci jest słyszeć, że taki przystojny, silny i utalentowany mężczyzna jak ja, przyszedł tylko po to, aby się tobą pozachwycać. Aż zaróżowiłaś się z zadowolenia. Aż palce zaróżowiły ci się z zadowolenia. Dlaczego więc udajesz, że jesteś na mnie oburzona?

Wówczas Natasza obróciła się ku niemu i uniosła pędzel jak miecz.

— Posłuchaj, Takasi-san! — powiedziała. — Dopóki nie poznałam ciebie, byłam święcie przekonana, że Japończycy są ludźmi delikatnymi, że jest to naród o tak prądawnej i wyrafinowanej kulturze, że dobre wychowanie weszło im w krew. Ale bardzo mnie pod tym względem rozczarowałeś.

— To niezmiernie smutne, Nataszo — zmartwił się Takasi. — Naprawdę nie chciałem cię rozczarowywać. Zresztą pomyliłaś brak wychowania ze szczerością. Kiedy przychodzę, żeby się zachwycać tobą, nie potrafię tego ukryć. I nie będę ukrywał, bo zjawi się natychmiast ktoś inny i zakręci ci w głowie półsłówkami, tak miłymi niewinnemu dziewczęcemu sercu.

— Każdy! — wykrzyknęła z irytacją Natasza. — Byleby nie ten smarkacz ze spotworniałymi mięśniami, który żłopie mleko skondensowane jak cielak i zamiast zająć się samokształceniem, w wolnych chwilach dźwiga kamienie. Mężczyzna nie powinien tak dbać o własną urodę.

— Jedni zbierają znaczki — powiedział Takasi — a inni okazy motyli. Inni jeszcze budują perpetuum mobile. Ja natomiast jestem ciekaw, co mogę zrobić z siebie samego.

— I tak nie staniesz się silniejszy od konia — parsknęła Natasza. — A ja cię wkrótce znienawidzę.

— Znowu nieudomówienie — powiedział ze smutkiem w głosie Takasi. — Zamiast powiedzieć prawdę...

— Jaką prawdę? — zapytała szybko Natasza.

— Że wkrótce mnie pokochasz. Nie masz innego wyjścia. Jestem przystojny, mądry i utalentowany. Mam bardzo miłych starsuszków, którzy mieszkają na Hokkaido i czekają, kiedy ich syn przywiezie do domu piękną i posłuszną żonę...

— Odejdź!

W tym momencie rozległ się ostry trzask, a odłamki zardzewiałego naczynia wypadły ze swego odwiecznego siedliska i rozsypały się po dnie wykopu. Pozostawiony bez nadzoru, automat zachował się zbyt energicznie.

— Wszystko przez ciebie! — krzyknęła Natasza. — Oczywiście ty jesteś temu winien! Takie wspaniałe naczynie! I po co cię tu przyniosło?!

— Przepraszam — powiedział Takasi, podciągnął się na rękach wyskoczył z wykopu. — Przynieść ci klej? — zapytał już z góry.

— Niczego od ciebie nie potrzebuję!

Takasi poszedł wąskimi groblami, oddzielającymi od siebie poszczególne wykopy. Wcale nie był tak pewny siebie, jak to się wydawało Nataszy. Mało tego, był teraz na siebie wściekły i zgadzał się z dziewczyną, że bardziej próżnego i bezczelnego faceta nie ma w całej ich ekipie.

Zawisła nad nim malutka awionetka. Kiroczka Tkaczenko wyjrzała z niej i awionetka groźnie się przechyliła.

— Taks — powiedziała Kiroczka. — Stancio dał mi tę maszynkę, a Kruminsz powiedział, żebym ją oddała tobie, bo obiecałeś mu skoczyć do tropicieli po szperacz. Mnie szperacza te skapiradła nie dadzą.

Awionetka opadła na groblę i Kiroczka wyciągnęła rękę, żeby Takasi pomógł jej wysiąść.

— Kiroczka, czym ty farbujesz włosy? — zapytał Takasi. — Skąd bierzesz tyle złota? Bardzo ci te twoje loki ciężą na głowie?

— Taks, jesteś bardzo kochany — powiedziała Kiroczka, przyglądając odruchowo swoje rzeczywiście wspaniałe rude włosy — ale zadajesz mi to pytanie co dwie godziny. Jeszcze ci się nie znudziło?

— Nie — odparł Takasi, gramoląc się do kabiny awionetki. — Pytanie jest bardzo dla ciebie miłe i dlatego je zadaję.

— Taks, jesteś w złym humorze — zauważyła Kiroczka. — Pewnie pokłóciłeś się z Nataszą albo ona ci nawymyślała. Nie martw się, do wieczora na pewno się pogodzicie.

— Dziękuję — powiedział Takasi i poderwał awionetkę.

Wiatr wzmógł się i zbijał maszynę z kursu. Wykop, wyglądający z góry jak laboratoryjny labirynt z zabłąkanymi w nim myszkami, odpłynął do tyłu. Awionetka leciała teraz nad wielkim jeziorem i kierowała się w stronę brzegu, na którym tropiciele zamierzali badać schron przeciwlotniczy. Ich namiot był doskonale widoczny, ale Takasi nie poleciał wprost do niego, tylko wylądował na wysepce, żeby sprawdzić, czy przypadkiem żółwie nie zabierają się już do składania jaj. Wysepka była pokryta gruboziarnistym białym piaskiem i archeolodzy latem korzystali z tej pięknej plaży. Żółwich śladów jeszcze nie było. Potem Takasi zatoczył koło nad kadłubem zatopionego statku. Już dawno miał zamiar, jeśli tylko czas na to pozwoli, zejść na statek i odnaleźć tam dziennik pokładowy z ostatnim wpisem kapitana. Wreszcie przemknął lotem koszącym nad stadem ryb, obserwując, jak ławica wchodzi do ujścia rzeki.

Ogromny rudobrody mężczyzna, Günther Jantz, stał na brzegu i patrzył, jak awionetka zniża się nad namiotem.

— Taks — powiedział. — Jesteś strasznie ciekawski.

— Nie jestem ciekawski, tylko żądny wiedzy — odparł Takasi.

— Kruminsz przysłał cię do nas po szperacz, ponieważ sądzi, że nikt prócz ciebie nie zdoła go od nas wycygnąć. Ty się jednak zupełnie nie spieszysz. Lecisz najpierw na wyspę, żeby nazbierać żółwich jaj, potem długo krążysz nad zatopioną barką, wyobrażasz sobie, jak jej kapitan wydawał gromkie rozkazy, i wreszcie, kiedy już nie masz nic innego do roboty, udajesz się nad ujście rzeki.

— A ty, Güntherze, jesteś zbyt przenikliwy i logiczny, jak na mój gust — powiedział Takasi.

— Ale nawet ty nie domyśliłeś się, że obserwowałem ławicę ryb. Jeśli ryby wyruszyły na tarło, to urządzimy na nie wielkie polowanie.

— Urządzimy — zgodził się Günther — jeśli tylko ekolog pozwoli.

— Ekologiem jestem tu ja — odezwał się stojący przy wejściu do namiotu Maks Biely — i na żadne masowe morderstwo się nie zgodzę. Tutaj trzeba urządzić wylęgarnie, a nie polowania. To dotyczy również zółwi, Taks.

— Jeśli zachowamy umiar — nie zgodził się z nimi Takasi — to możemy odegrać rolę doboru naturalnego, ponieważ Maks stęsknił się za świeżymi rybami.

— Przyleciałeś po szperacz? — zapytał Maks. — Jest nam bardzo potrzebny.

— Właśnie dlatego Kruminsz mnie przysłał — zauważył skromnie Takasi.

— Nie — powiedział Maks. — Nic z tego nie wyjdzie.

— Dobra. — Takasi westchnął jak człowiek, który musi wbrew swej woli zastosować środki ostateczne. — Czuję się jak Dżyngis–chan, kiedy stwierdził, że bramy twierdzy są zamknięte. Mogę zachować się okrutnie i bezwzględnie.

— No to zaczynaj, Dżyngis–chanie — powiedział Günther i wyciągnął rękę, żeby jednym palcem rozgnieść Takasiego.

Japończyk musiał uciec się do dżu–dżitsu i po chwili masywny tropiciel leżał na żwirze. Potem Takasi obrócił się do Maksa i wygłosił krótki monolog:

— Nie zapominajcie o tym, że ja lepiej niż wszyscy tropiciele razem wzięci mogę wyregulować szperacz. Fakt, że przez trzy dni nie potrafiliście znaleźć wejścia do schronu, świadczy o waszej bezsilności w zetknięciu z najnowocześniejszym sprzętem! Jeśli więc będziecie nadal upierać się przy swoich błędach i nie skorzystacie z mojej wspaniałomyślnej pomocy, gorzko tego pożałujecie. Kto w zeszłym tygodniu śleczął przez całą noc, zapominając o zmęczeniu i walcząc ze snem, bo tropiciele potrzebowali pilnie, na rano, jakichś zdjęć? Kto konserwował, dusząc się od odoru chemikaliów, rozsypujące się w pył papiery?...

— Wystarczy — powiedział Maks. — Nienawidzimy szantażystów, ale ponieważ nie możemy sobie z nimi poradzić, bo szantażyści są sprytni i bezlitośni, ustępujemy im z bólem serca. Chodź do jaskini. Będziesz regulował ten przeklęty aparat.

— Tropiciele nie lubią przyznawać się do słabości, będącej udziałem zwyczajnych ludzi — zakonkludował Takasi i wszedł do namiotu.

* * *

Kiedy Takasi wrócił do Kruminsza i oddał mu szperacz, zbliżała się już pora obiadu. Japończyk chciał jeszcze coś zrobić w laboratorium, więc wziął awionetkę, żeby szybciej dotrzeć do obozu.

W drodze powrotnej zatrzymał się przy leju. Po pięciu minutach znalazł ślady człowieka ciągnące się od grzędawiska. Błoto wyschło, ale było ciemniejsze od ziemi i dlatego ślady były doskonale widoczne. Takasi wszedł na wał otaczający lej, przedarł się przez trzcinę, wymazaną gliną i połamaną tam, gdzie przeszedł nocą tajemniczy kłusownik, i wydostał się na pustkowie.

Tam mocno się zdziwił. Ślady prowadziły nie do obozu, tylko skręcały w kierunku miasta.

— Idiotyzm! — wykrzyknął Takasi i ruszył dalej po śladach.

Ślady były malutkie, o wiele mniejsze od jego własnych odcisków stóp i należały chyba do którejś z dziewcząt. Nie szły równo, ale kluczyły i miejscami urywały się, jakby człowiek był pijany albo śmiertelnie zmęczony.

Trop ominął niewielkie wzgórze, z którego sterczały rdzawe zębiska, i skręcił za pęknięty na pół betonowy blok.

Takasi poczuł niepokój. Coś tu było nie w porządku. Od tego momentu posuwał się wolno i ostrożnie, bezszelestnie stawiając stopy i po każdym kroku nad słuchując. Człowiek kąpiący się nocą w błocie zachowywał, się najwyraźniej nienormalnie.

Wkrótce Takasi stracił trop. Widocznie przez ten czas, kiedy człowiek błądził bez celu po gruzach, błoto zupełnie wyschło... Jednak po paru krokach zobaczył odcisk stopy w warstwie kurzu.

W ruinach miasta gwizdał wiatr, chmury przemykały niziutko nad głową i były takie ciemne, że z pewnością w dolinie za obozem szalała okropna ulewa.

I nagle Takasi zobaczył niewyraźną rudą plamę.

Zamarł. Plama była nieruchoma. Policzył do dziesięciu. Nie miał przy sobie żadnej broni, a to mógł okazać się śpiący tygrys. Plama przypominała kolorem właśnie tygrysa.

Takasi zdjął z ramienia kamerę filmową i zacisnął ją w pięści — zawsze to jakaś broń.

Miał rację. Na niewielkim placu, otoczonym stosami pogruchotanych cegieł leżał tygrys, zdechły tygrys — niesympatyczne zwierzę dużo większe od wilka z długimi, harpunowatymi kłami i rudą sierścią pokrytą nierównymi smugami trochę ciemniejszej barwy. Maks uważał, że tygrysy były mutantami jakichś zdiczałych zwierząt domowych. Anatomicznie nie miały nic wspólnego z tygrysami.

Tygrys leżał w kałuży czarnej, zapiekłej krwi i w chmurze brzęczących nad nim much.

Takasi rozejrzył się.

Tygrys nie był sam. Pod resztką kamiennej ściany leżał zwinięty w kłębek malutki, wynędzniały człowieczek o przeraźliwie bladej, podrapanej i brudnej twarzy, uwieńczonej grzywą sztywnych, szpakowatych włosów. Człowieczek miał na sobie podartą kurtkę i brunatne, zachlapane zaschlą gliną spodnie. Na nogach ledwie trzymały się strzępy trzewików, przypominające raczej bryły gliny. Między człowieczkiem a tygrysem leżał na ziemi wymazany zaschniętą krwią kindżał.

Takasi podszedł, pochylił się i odsunął z twarzy nieznajomego splątane włosy. Człowiek oddychał, ale był nieprzytomny.

* * *

Takasi nieźle się namordował, zanim dociągnął człowieka do drogi. Poszłoby mu to o wiele łatwiej, gdyby uratowany nie odzyskał przytomności. Takasi przegapił ten moment, ponieważ niósł człowieka, przerzuciwszy go przez ramię. Człowiek ocknął się, wyobraził sobie pewnie, że go niosą do jaskini, żeby tam zeżreć z bebechami, i dlatego niewiele myśląc, wgrzył się w szyję Japończyka.

Zaskoczony tym Takasi zrzucił człowieka z ramion na kamienie. Nieznajomy jęknął, ale natychmiast poderwał się na równe nogi i zaczął uciekać. Takasi nie od razu pobiegł za nim. Przeciągnął ręką po szyi i zobaczył, że dłoń ma całą we krwi.

— Hej! — zawołał do człowieka. — Zaczekaj!

Człowiek musiał go usłyszeć. Biegł wolno, potykając się, a raz nawet upadł i z trudem się podniósł. Wreszcie zobaczył jakąś szczelinę w betonowej płycie i spróbował się w nią wcisnąć, ale szczelina była za wąska. Takasi zatrzymał się. Człowiek usiłował właśnie wdrapać się na wzgórze, czepiając się rzadkiej trawy i wystającego z ziemi żelastwa, ale zwały śmiecia obsunęły się, człowiek na brzuchu zjechał na dół i znieruchomiał.

Takasi podszedł do niego. Człowiek leżał u podnóża zbocza. Był na pół zasypany ziemią i gruzem i znowu stracił przytomność. Tym razem, pamiętając o jego konfliktowym charakterze, Takasi chwycił go pod pachy i zaczął ciągnąć drogą, potykając się o porozrzucone wszędzie

cegły.

Zaczął padać deszcz. Padał niezdecydowanie, rzadkimi, ciężkimi kroplami, które tonęły w kurzu lub klaskały o beton. Plecy Takasiego przemokły od jego własnej krwi. W takim właśnie stanie odnalazł go Stanczo Kirow; który postanowił przegonić po gruzach naprawionego właśnie łazika.

Stanczo z początku pomyślał, że Takasi ciągnie kogoś ze swoich i bardzo się zdziwił, bo wszyscy zjechali się już do obozu na obiad. Ale potem, zbliżywszy się do niego, zrozumiał, że to zupełnie obcy człowiek. Ponieważ nie potrafił wzorem Takasiego odkładać na przyszłość rozwiązywania zagadek, zaczął zadawać pytania, zamiast zeskoczyć z łazika i pomóc.

— Kto to jest? — zapytał. — Ktoś z innej wyprawy badawczej?

Takasi położył ostrożnie człowieka na ziemi i powiedział:

— Z pewnością tubylec. Musimy zapewnić mu pomoc lekarską. A potem skocz w tamte góry i zabierz martwego tygrysa. Kiroczka, jeśli mnie pamięć nie myli, błagała cię o tygrysią skórę.

— Zabiłeś go? — zdziwił się Stanczo.

Takasi pokazał ręką, żeby Stanczo chwycił człowieka za nogi, a potem razem położyli nieznanego na siedzeniu łazika.

— Nie, to nie ja — powiedział Takasi. — Upolował go ten mocarz.

— Niemożliwe! — powiedział Stanczo. — Ja tam bym na tygrysa z gołymi rękami nie poszedł.

— Miał nóż.

Stanczo uruchomił silnik i łazik popłynął nad porośniętymi zielskim gruzami.

— Z nożem też bym nie poszedł — powiedział Stanczo.

— On nie miał innego wyjścia — wyjaśnił Takasi. Pomilczał chwilę, patrząc na człowieka rozciągniętego na tylnym siedzeniu i dodał: — Mnie też usiłował załatwić tak samo, jak tego tygrysa.

Umożliwił Stanczowi obejrzenie swojej szyi.

— Wariat! — wykrzyknął Stanczo, dodając gazu. — Nie mam pojęcia, na czym ci się głowa jeszcze trzyma.

— Głowa trzyma się na mięśniach. Wyhodowałem je umyślnie na tę okazję.

Wszyscy jeszcze jedli obiad i nikt nie wyszedł na spotkanie łazika.

— Bez paniki — powiedział Takasi, widząc, że Stanczo chce poderwać na nogi cały obóz. — Lepiej zajrzyj do środka i wywołaj Anitę.

Położyli człowieka na łóżku w namiocie Sołomki, w szpitaliku, który na szczęście jeszcze nikomu dotąd się nie przydał. Kirow popędził do stołówki, a Takasi zdjął kurtkę i koszulę. Koszula na plecach była sztywna od krwi. Szyja szczypała.

— Mam nadzieję, że nie jest pan jadowity? — zapytał Takasi nieznanego.

Nieznajomy oddychał słabo, ale miarowo.

Do namiotu wpadła Anita Sołomko. Była to postawna kobieta o dużej, nieco jakby zamazanej twarzy, za którą, jak za grecką maską, szalały wielkie namiętności. Doktor Sołomko przez całe życie pragnęła zostać archeologiem, ale doszła do wniosku, że przyniesie więcej pożytku ludziom, gdy zostanie lekarzem. Od tej pory była rozdarta między miłością a obowiązkiem. Była rozdarta również na wyprawie, ponieważ roboty lekarskiej starczyło jej tu zaledwie na dwa tygodnie, a w dodatku były to prace czysto laboratoryjne. Przez cały sezon niczego groźniejszego od zadrapań nie miała okazji leczyć, mogła więc całkowicie poświęcić się archeologii. Ale świadomość, że jako lekarka nie przynosi nikomu pożytku, zatruwała jej poza tym zupełnie szczęśliwe i bezchmurne istnienie. Im bezchmurniejsze było życie, tym nieszczęśliwsza stawała się Anita. Ale gdyby ktoś oderwał ją teraz od wykopalisk i zmusił do zajmowania się

profilaktyką świnki na Marsie, Anita byłaby jeszcze nieszczęśliwsza, bo z dala od archeologii doktor Sołomko żyć nie mogła. Błędne koło.

Stanco wytłumaczył jej wszystko po drodze, ale ona, rzecz jasna, niczego nie rozumiała, bo Stanco sam niczego nie rozumiał.

— Gdzie jest pacjent? — zapytała od progu i ponieważ najpierw rzucił się jej w oczy zakrwawiony, obnażony do pasa Takasi, trzymający w ręku purpurową koszulę, rzuciła się na niego:

— Zawsze ci mówiłam, Taks, że nadmiar ćwiczeń fizycznych musi się źle skończyć!

Twarz Anity promieniała wewnętrznym światłem. Jej długi medyczny przestój nareszcie się skończył.

Rany boskie! — zdążył pomyśleć Takasi. Przecież ona będzie mnie teraz kurowała co najmniej dwa tygodnie!

— Mam tylko małą ranę — powiedział na głos. — Powierzchowne zadrapanie...

— Oni zabili tygrysa — wtrącił się nie w porę Stanco. — Według mnie gołymi rękami.

— Co?! — wykrzyknęła Anita i skoczyła do szafki z lekarstwami. I wówczas zauważyła człowieka na łóżku.

— No tak! — powiedziała potępiającym tonem i unieruchomiła wzrokiem Stancza, który już zamierzał jej coś pokazywać.

W tym momencie przybiegł Kruminsz i Natasza z Kiroczką. Stanco nie zdołał wywołać lekarki tak, żeby nikt tego nie zauważył.

Kruminsz zobaczył człowieka na łóżku i oczy zamieniły mu się w szparki. Kruminsz potrafił myśleć szybko.

W tej właśnie chwili człowiek odzyskał przytomność.

Otworzył oczy i natychmiast je zmrugał.

— Przygaście światło — powiedziała Sołomko. Sama nie mogła tego zrobić, bo akurat napełniała strzykawkę i zamierzała przystąpić do torturowania Takasiego. Kruminsz zmniejszył światło.

Człowiek znów otworzył oczy i powiedział coś dość spokojnym głosem.

Obawiali się ataku hysterii, przerażenia, próby ucieczki... Przygotowali się na to, a człowiek mówił. Mówił wolno, znużonym głosem. Nagle zamilkł na widok Nataszy.

Kruminsz wzruszył ramionami.

— Niestety — powiedział, starając się utrafić w ten sam ton, który brzmiał w monologu człowieka. — Niestety nie znamy jeszcze twojego języka.

Człowiek patrzył na Nataszę.

* * *

Podróż, taka długa, niebezpieczna i żmudna, na szczęście zakończyła się cudem. Znalazł Górnych Ludzi.

Zobaczył Gerę Spel. Co prawda zmienioną, nie tak bezcielesną jak w podziemiu, o smagłej cerze i zaniepokojoną.

Gera Spel powiedziała coś w niezrozumiałym języku Górnych Ludzi. Patrzyła na czarnoookiego olbrzyma z potężnymi barami i taką szeroką piersią, że nie dałoby się jej objąć. Gigant uśmiechał się do Gery z zażenowaniem i jakby z poczuciem winy.

Kroniemu zrobiło się smutno. To nie było tamto uczucie, które dopadło go niby cios kamienia, kiedy po wydostaniu się z podziemia po całym dniu wędrówki przekonał się, że Miasta na Górze już nie ma. Wierzył w miraż, w zjawę przeszłości umarłej bardzo już dawno temu. Wtedy to nie

był smutek, tylko rozpacz, był koniec drogi, była ostateczna samotność, z której nie ma wyjścia. Potem zetknął się ze strachem. Strach napadł go nocą, kiedy wlokąc się ostatkiem sił szukał miejsca, w którym mógłby się ukryć i wyspać, kiedy wpadł w błoto i omal w nim nie utonął, kiedy rzucił się na niego straszliwy zwierz, a on tylko cudem dosięgnął upuszczonego noża... Nie pamiętał chwili zwycięstwa i nie pamiętał, jak udało mu się wyrwać z pazurów konającego zwierzęcia. Strach był i później, kiedy czarnooki, dziwnie ubrany mężczyzna zaczął go gdzieś ciągnąć — i wreszcie wtedy, kiedy udało mu się wyrwać, ale nie miał już sił uciekać.

Kiedy jednak ocknął się ponownie i zrozumiał, że żyje i leży na czymś miękkim, a otaczający go ludzie są czysti i mają zdrową skórę, są bardzo wysocy i uśmiechają się do niego, rurarza, gdyż mieszkają tam, gdzie jest wielkie światło i nie można sięgnąć stropu, jeśli się nawet zestawi razem wszystkie drabiny świata. Oczywiście, rozumował, miasto zostało zniszczone, więc Górni Ludzie zbudowali sobie inne miasto i żyją wśród drzew.

Tak, wszystko było dobrze. I wtedy weszła Gera Spel. Nie, to nie była prawdziwa Gera Spel, tylko inna, Kobieta z Góry. Przyszła tu z powodu mężczyzny, który przyniósł Kroniego i martwiła się jego raną...

Ponieważ nikt z obecnych nie znał Gery Spel i nie mógł pojąć myśli Kroniego, to wszyscy zgodnie uznali, że jest zmęczony i że powinien odpocząć. Anita Sołomko zostawiła tylko Stancza Kirowa, żeby pomógł jej rozebrać, umyć i porządnie ułożyć pacjenta, a pozostałych bezlitośnie wypędziła.

Ludzie potulnie wyszli, bo po pierwszym szoku nadszedł czas rozmyślań i dyskusji. Ponieważ na pustej planecie, gdzie już przed dwustu laty umarł ostatni człowiek, odnalazł się mężczyzna — wynędzniały i słaby, ale absolutnie realny. To nie mieściło się w głowie i tego być po prostu nie mogło. Tym ciekawsze jednak było zbadanie, dlaczego się mimo wszystko zdarzyło.

Kroni już usnął, oblepiony plastrami i wypucowany nie do poznania, zasnął między dwoma prześcieradłami, takimi białymi, cienkimi i delikatnymi w dotyku, że każdy Dyrektor z pewnością oddałby połowę swoich bogactw za kawałek owej tkaniny. Śniły mu się dwie Gery Spel, których bronił przed tygrysem, i tak przy tym jęczał i rzucał się we śnie, że dyżurująca przy nim Anita Sołomko dała mu zastrzyk ze środka uspokajającego. Wówczas jego sen stał się głęboki i spokojny. Kroni już zasnął, a w jadalni — wspólnym namiocie, która pełniła również funkcję magazynu podręcznego — dyskutowali zawzięcie archeolodzy i przybyli pod wieczór tropiciele.

Było już ciemno, chmury opadły na szczyty wzgórz i wiatr ostatecznie ucichł, kiedy zgodzili się wreszcie, że na planecie muszą gdzieś ukrywać się resztki jej dawnych mieszkańców. Ludzi jest zapewne niewiele i wegetują gdzieś w jaskiniach lub w górach. Nie mają miast ani większych osiedli, bo te dałyby się zauważyć: na planecie od pół roku siedzą tropiciele i już czwarty miesiąc pracują archeolodzy. Hipoteza nie tłumaczyła trzewików i kurtki mężczyzny. Kurtka była utkana z azbestu na mechanicznym krośnie, a i trzewiki nie wyglądały na zrobione przez swego właściciela. Hipoteza nie tłumaczyła wielu rzeczy, ale lepszej hipotezy nie było.

A w nocy Günther Jantz musiał poddać się skomplikowanej i nieprzyjemnej operacji, którą przeprowadziła Anita Sołomko. Asystował jej Maks Biely.

Güntherowi zrobiono punkcję mózgowego ośrodka mowy i ośrodka pamięci. Anita nigdy przedtem nie wykonywała takiego zabiegu w warunkach polowych i po roku, kiedy sprawozdanie z niego opublikowały „Acta Medicinæ Experimentalis”, a jednocześnie „Problemy Egzoarcheologii” zamieściły artykuł archeologa A. Sołomko: „Próba ujęcia ewolucji form ceramiki wyblyszczanej z wczesnego okresu Górnego Miasta”, nadszedł najszcześniejszy dzień w życiu Anity.

Odpowiednio spreparowany ekstrakt substancji mózgowej Günthera został jeszcze tej nocy

zaaplikowany Kroniemu. Ale działanie preparatu powinno ujawnić się dopiero po dwóch dniach.

* * *

Na trzeci dzień Kroni obudził się z dziwną świadomością wiedzy. Wiedział coś w pierwszej chwili nieuchwytnego, ale realnego i bardzo ważnego. Pomyślał z początku, rozkoszując się dotknięciem mięciutkiej pościeli, że po prostu dobrze się wyspał, jest syty i co najważniejsze czysty. Szelest kropel na pomarańczowym dachu namiotu oznaczał, że pada deszcz, a nie że pękła przerdzewiała rura albo że puściła jakaś uszczelka. Może przyczyna tego dziwnego uczucia kryła się w uspokajającej trwałości wszystkich przedmiotów w Górnym Mieście, z wyjątkiem co prawda — tu Kroni się uśmiechnął — gospodarstwa Stancza Kirowa, który pewnie już od świtu naprawia grawilot. Pamięć od razu podsunęła mu obraz sympatycznego, opalonego na brąz, błękitnookiego Stancza, rozwiązującego z marszem na czole kolejny nierozwiązywalny problem techniczny. Stancza, którego życzliwość dla ludzi zdawała się nie mieć granic. Do szpitalika zajrzała Anita Sołomko i powiedziała:

— Dzień dobry, Kroni.

— Dzień dobry, Anito — odparł Kroni. — Czas już wstawać?

Anita miała z gruba ciosaną, gładką twarz, na której nigdy nie odbijały się żadne gwałtowniejsze uczucia. Dlatego Kroni nie dostrzegł triumfu, który ogarnął ją na dźwięk jego głosu.

— Może się pan jeszcze trochę powylegiwać — uspokoiła go Anita. — Ale śniadanie zje pan już w jadalni. Jak z żołądkiem, nie sprawia kłopotów?

— Nie — Kroni zaczerwienił się, bo kobieta nie powinna zadawać takich pytań mężczyźnie.

— Nie ma w tym nic dziwnego — powiedziała Anita. — Taka gwałtowna zmiana diety musi wywołać pewne zaburzenia. Niech pan nie zapomni przed wyjściem zażyć tabletkę. No to już sobie pójdę... Może się pan ubierać.

I doktor Sołomko wyszła przed namiot, gdzie chodził z głową pękającą od bólu Günther, który był z góry przekonany, że zabieg się nie udał i wszystkie jego męczarnie poszły na marne. Anita odczekała chwilę. Nie, wcale nie po to, żeby go podreżyć. Po prostu zanim się do Günthera odezwała, spróbowała stłumić w sobie obezwładniające uczucie serdecznej czułości do tego niedźwiedziowatego, niezbyt już młodego mężczyzny. Policzyła w myśli do dwudziestu i powiedziała:

— Günther.

Głos jej drgał i nie zabrzmiał tak zwyczajnie, po koleżeńsku, jak by tego pragnęła.

— Śpi? — zapytał Günther, starając się nie poruszyć głową, żeby nie wywołać nowego ataku bólu.

— Obudził się. Mówi, że żołądek już mu nie dokucza.

— Tak? — powiedział Günther. — W takim razie pójdę na śniadanie.

— Zażyj najpierw to. Środek na ból głowy.

Günther wyciągnął dłoń, wzruszony domyślnością Anity.

Kroni zeskoczył z łóżka i uniósł ręce, żeby głębiej odetchnąć. Bardzo mu się podobał zapach tutejszego powietrza. Na dworze i nawet w namiocie. Lekkie zapachy lekarstw, które się tu unosiły, podkreślały tylko jego świeżość.

Kroni odsunął zasłonkę nad umywalką i włączył chłodną wodę. Umył zęby i uczesał się. Trzeba skrócić włosy tak, jak nosi Takasi, pomyślał. Potem wrócił do pokoju i przed ubraniem się posłał łóżko. Tak, coś jeszcze powinien zrobić. Podeszedł do stolika i znalazł tam karteczkę: „Dla Kroniego. Po jednej tabletkce trzy razy dziennie”. Przełknął tabletkę, nie popijając wodą. I

wtedy nogi zrobiły mu się miękkie, jak z waty. Opadł na łóżko, ściskając w rękę karteczkę. „Dla Kroniego. Po jednej tabletkie trzy razy dziennie”.

Zmrużył oczy i mocno uszczypnął się w nogę. Znowu przeczytał. „Dla Kroniego. Po jednej tabletkie trzy razy dziennie”.

Kroni nie umiał czytać. W żadnym języku. Ani w swoim, ani w Górnym. W swoim tylko odrobinę sylabizował, bo nie chodził do szkoły.

Zjawił się tu przedwczoraj i wszystkie próby porozumienia ograniczały się do prymitywnych gestów. Bił się w pierś i mówił: „Kroni”. Takasi bił się w pierś i mówił: „Takasi”. Obaj śmiali się i powtarzali te imiona, ponieważ imiona dawały nadzieję, że w przyszłości może coś się zmienić, że da się pokonać tę okropną barierę niezrozumienia.

— Gera? — pytał Kroni i pokazywał Nataszę.

— Natasza — odpowiadał Takasi.

Kruminsz szerokim gestem ręki zataczał łuk nad miastem i o coś pytał. Kroni pokazywał w stronę lasu i jaskiń. Potem Kroni zataczał rękami koło i Kruminsz pokazywał gestem strop, po którym krążyło, ukazujące się czasem zza sinawych plam, Jezioro Lekkiej Lawy oświetlające ziemię.

— Jaki tam strop! — pomyślał Kroni z lekkim uczuciem pobłażania dla siebie samego, tego wczorajszego. Strop bywa w jaskiniach. A nad namiotami rozciąga się niebo, nieskończone niebo, po którym płyną chmury i które rozciąga się aż po gwiazdny świat, tam, skąd przybyli archeolodzy, bo na planecie wszyscy już wymarli.

Informacje, które wchłonął Kroni wraz z substancją mózgową Günthera, nie od razu stawały się własnością tych części umysłu rurarza, które akurat brały udział w myśleniu. Nie tłumili tego, co Kroni wiedział przedtem, lecz dodawały do jego wiedzy i doświadczenia nowe wartości. Mózg jednak był niejako przekonany, że nowa wiedza i nowy język są od początku jego własnością, co nie pozwoliło Kroniemu od razu uświadomić sobie własnej reinkarnacji. Rozmawiał z Anitą, nie czując, że mówi w obcym języku, przeczytał notatkę i posłusznie zażył tabletkę, nie zorientowawszy się z początku, że nie umie czytać. Rozmyślał nad charakterem i wyglądem Stancza, zapominając, że jeszcze niedawno nie potrafił go rozpoznać wśród innych członków wyprawy archeologicznej i że jego imię było dla niego pustym dźwiękiem.

„Dla Kroniego. Po jednej tabletkie trzy razy dziennie”. Tak było napisane na kartce i kształt liter był właśnie taki, jaki powinien być. Kroni przypominał sobie, jak wyglądają litery na dole. Tamte litery były dla niego prawie obce. Tylko z najwyższym trudem mógłby je odczytać, odcyfrować, chociaż za ich rysunkiem krył się znajomy od dzieciństwa, a nie wchłonięty cudownym sposobem język ludzi z Ziemi.

Trzeba iść na śniadanie, bo będą się o niego niepokoić. Kroni włożył kombinezon, uszyty już wczoraj przez Kiroczkę i pieczołowicie schował kartkę do kieszeni. Żał mu było rozstawać się z dowodem własnej potęgi, łączności ze światem, wobec którego bezsilny jest nawet sam Glizda i wszyscy Dyrektorzy razem wzięci i, jak mu tam, kwartałowy Ratni, cuchnąca ropucha z pyskiem głodnego pajaka.

Wszedł do jadalni i wszyscy, którzy się z nim witali, udawali starannie, że nie jest żadnym tam rurarzem, tylko spóźnionym archeologiem lub tropicielem. Najwidoczniej o wszystkim już wiedzieli.

— Dzień dobry — powiedział. — Gdzie mam usiąść?

— Na swoim miejscu — warknął Kruminsz, nie unosząc głowy znad talerza, gdyż bardzo mu się chciało śmiać, a śmiać się pierwszy nie chciał. Są przecież przy stole ludzie o wiele od niego bardziej niepoważni.

— Masz ochotę na makaron? — zapytał Peterson, który miał zdumiewającą umiejętność

przechodzenia ze wszystkimi na „ty” już na drugi dzień znajomości.

— Owszem — powiedział Kroni.

— Jak się spało? — zapytał Takasi.

— Dziękuję, bardzo dobrze.

Peterson przesunął Kroniemu talerz makaronu, mleko i ser.

— Można pomyśleć, że jestem solenizantem — powiedział Kroni. — Wszyscy milczą i łowią każde moje słowo.

Przysunął sobie gwałtownym ruchem szklankę mleka. Szklanka przewróciła się, a mleko znalazło się w talerzu i na spodniach.

— Donnerwetter! — wyrwało mu się.

Wszyscy gruchnęli śmiechem.

Kiedy zrobiło się trochę ciszej, Anita powiedziała spokojnie:

— Günther trochę przesadził ze swoim słownictwem.

— Trzeba było lepiej filtrować! — skarcił ją Stanczo.

— Słusznie — zgodził się z nimi Takasi. — Słuchaj, Kroni, moim zdaniem raczej nie powinieneś wypowiadać na głos słów, które przychodzą ci do głowy w momencie stresu. Rodzice Günthera nie poświęcali zbyt wiele uwagi wychowaniu swojego potomka.

— Nie obrażaj moich rodziców — powiedział Günther niemal poważnie, — Zrobili wszystko, co mogli. Nawet posłali mnie do szkoły!

— Nataszo — powiedział Kroni — podaj mi, z łaski swojej, sól.

— Dlaczego pan tak na mnie patrzył? — zapytała Natasza, kiedy po śniadaniu wyszli z namiotu. — Można było pomyśleć, że pan mnie zna.

— Znam pewną dziewczynę, tam, u nas. Jest bardzo do pani podobna.

— Podoba się panu?

— Ona nie może mi się podobać. Przecież jestem śmierdzącym rurarzem.

— Kim?

— Rurarzem, który naprawia rury i kable w tunelach.

— Kroni — powiedział Kruminsz, wychylając głowę z namiotu. — Jeśli jest pan gotów porozmawiać z nami, to czekamy.

— Naturalnie.

— Ja też zostanę — oświadczyła Natasza.

— Nie będę nikogo popędzał — powiedział Kruminsz — ale nie zapominajcie, że zostało nam tylko parę dni pracy. Albo i mniej. Zaczną się deszcze i po robocie. Ja sam postaram się jeszcze skoczyć do wykopu.

Wszyscy wysłuchali go bez sprzeciwu, jak uparci uczniowie, którzy już dawno postanowili uciec z nudnej lekcji do kina. I zostali. Pojechała na wykop jedynie Anita, ceniąca każdą chwilę swego archeologicznego szczęścia, i Peterson, który dotarł do znakomicie zachowanego pokoju mieszkalnego i nie chciał odkładać do jutra zbadania go.

— Wrócimy do jadalni? — zapytał rurarz.

Konferencja prasowa wyglądała zwyczajnie i powszednio, zupełnie nie tak, jak powinno wyglądać spotkanie dwóch odległych cywilizacji. Jedyna trudność polegała na tym, że Kroni nie wiedział, jak zacząć. Dlatego powiedział:

— Jeśli pozwolicie, to opowiem wam o śmierdzącym rurarzu, o Biesiadzie i wędrownce do Ognistej Otchłani. O tym, czego dowiedziałem się od Spelów, jak poszedłem szukać Miasta na Górze i świetlistej jaskini z błękitnym stropem. A później wy wyjaśnicie mi to, czego jeszcze nie zrozumiałem do końca.

* * *

Günther, Maks Biely i Kroni wrócili znad wejścia do podziemia o trzy godziny później, niż zamierzali. Zawinił grawiolt, który znów się rozkraczył i dlatego trochę potrwało, zanim Stanczo przywiózł ich zwyczajnym łożkiem.

Za to szperacz sprawował się dobrze, bo przecież coś w końcu musiało przyzwocie działać, i udało im się zlokalizować górne, porzucone już poziomy podziemnego miasta.

W drodze powrotnej Günther utyskiwał:

— Powinniśmy już dawno go odnaleźć. Przecież to parę kroków od obozu. Piętnaście kilometrów. Mało tego, wystarczyło zbadać skład chemiczny wody w strumieniu, żeby domyślić się, że coś tu nie gra.

— To nie twoja wina — powiedział Maks. — Z równym powodzeniem mogliśmy badać wszystkie strumyki w okolicy. Ale niepokoi mnie co innego...

Zamilkł, jakby dając w ten sposób swym rozmówcom możliwość rozszyfrowania biegu swoich myśli. Günther nawet nie usiłował tego zrobić, bo od dawna podejrzewał Maksa o pewien rodzaj próżności, która ujawniała się w jego umyślnie beznamiętnym tonie w momentach kryzysowych, kiedy Günther miał ochotę warczeć z wściekłości. Ta pełna poczucia wyższości próżność zabrzmiała także w tym zdaniu: „To nie twoja wina”. Przecież oskarżał nie tylko siebie. I nie tyle siebie, co Maksa, który był jego zwierzchnikiem i decydował, które sektory należy zbadać. Już od dziesięciu lat Günther obrażał się na Maksa, chociaż nie mógł sobie wyobrazić, żeby kiedykolwiek potrafił pracować z kimś innym, żeby mógł rozstać się z tym snobem.

Nie doczekawszy się pomocy od Kroniego i Günthera, Maks zmuszony był kontynuować:

— To jest strefa wysokiej aktywności sejsmicznej. I wyrażenie „żyć na wulkanie” jest najlepszym określeniem sytuacji miasta...

Kroni rozumiał, że z każdą godziną zbliża się chwila, kiedy powie im „do widzenia” i wciśnie się w ciasną szczelinę pod skałą, gdzie zaczynało się zejście do miasta, o którym pragnął zapomnieć. Czas było wracać, a to oznaczało bliskie zetknięcie ze śmiercią, z którą i dawniej nie był w najlepszych stosunkach. Teraz wydawała mu się ona złowieszczym gadem, przybierającym w snach postać łagodnie przemawiającego Glizdy lub starej kobiety znad kwartałowego basenu, której oddał kawałek mydła. Zaczynało mu się wydawać, że już nie zdoła oddychać tamtym powietrzem, że będzie wymiotował od tamtych smrodów i zaczął odczuwać wrogość do Günthera siedzącego przy kierownicy łożka za to, że podzielił się z nim swoimi myślami. Kroniemu zrobiło się żal samego siebie. Mózg, nakarmiony nową wiedzą, protestował przeciwko temu, co go czekało i współczucie dla samego siebie przeradzało się zaczęło w poczucie osamotnienia i izolacji, przypominające stan, jakiego może doznawać człowiek wstępujący na szafot i nie chcący wyszukiwać w tłumie twarzy towarzyszy, którzy uniknęli aresztowania — dlatego, że im się udało, że zostają.

Miasto zostało z prawej, bo podjeżdżali do obozu tą samą drogą, którą cztery dni temu włókł się Kroni. Słońce rozpląszczyło się nad lasem i spururowiało.

— Jutro będzie wiatr — powiedział Günther.

— Tak — zgodził się Maks.

— Mam teraz z kim rozmawiać po niemiecku — powiedział Günther parkując łożka w długim szeregu maszyn stojących koło wielkiego namiotu, w którym mieścił się warsztat. — Mojego sentymentalizmu nie da się wyrazić w terralingwie. To jest język odpowiedni dla bezdusznego Maksa.

Kroili odnalazł Kruminsa w laboratorium Takasiego.

— Wilis — powiedział. — Chciałbym z panem porozmawiać.

— Chce pan rozmawiać tutaj? — zapytał Kruminsz. Takasi sporządzał roztwór konserwujący i w swoim błyszczącym fartuchu i wielkich rękawicach przypominał rzeźnika.

— Tak. Nie mam żadnych tajemnic — odparł Kroni. — Muszę wrócić do miasta.

Kruminsz milczał. Kroniemu byłoby przyjemniej, gdyby powiedział coś w rodzaju: „Nie spiesz się z tym. Powinieneś odpocząć, nabrać sił”. Ale Kruminsz nic takiego nie powiedział. Patrzył tylko na Kroniego z głową lekko przechyloną na bok, demonstrując w ten sposób, że słucha z najwyższą uwagą. Takasi zdjął rękawice, przewiesił je przez krawędź wanny i też milczał.

— Wrócę do miasta i powiem ludziom, że na Górze można żyć. Że ich przeklęty świat nie zamyka się w kamiennych ścianach i mokrych tunelach. Wyprowadzę ludzi na Górę, choćby nie wiem jak drogo miało mnie to kosztować.

Kruminsz nadal nie odzywał się, jakby czekał na dalszy ciąg. Potem zapytał:

— I do kogóż to pan pójdzie. Kroni?

— Do ludzi. Powiem im...

— Ma pan chyba jakiś konkretniejszy plan — powiedział Kruminsz. — Mam nadzieję, że go pan ma.

— Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem — odparł Kroni, czując się jak uczeń, który nie przygotował zadanej lekcji i stoi teraz przed tablicą pokrytą niezrozumiałymi wzorami, a nauczyciel obserwuje go z politowaniem. To było obce uczucie zaczerpnięte z cudzej pamięci, bo Kroni przecież nigdy nie chodził do szkoły.

— Trochę myślałem o tym, jak powinien pan działać dalej — odezwał się Kruminsz. — Naturalnie ma pan rację. Trzeba znaleźć jakąś możliwie bezbolesną metodę przywrócenia planety waszym współplemieńcom. Ale chyba zdaje pan sobie sprawę z tego, że napotka pan opozycję? Ludzie są święcie przekonani, że poza ich podziemnym światem niczego nie ma. Ta bezwładność ich myślenia uczyni z pana dla większości szaleńca i człowieka bardzo niebezpiecznego dla tych, którzy pragną utrzymać status quo. Mam tu na myśli dyrektorów, władców podziemnego miasta. Wydaje się im, że wyjście z podziemi jest równoznaczne z końcem ich władzy i dlatego zrobią wszystko, żeby pana zlikwidować, a nawet zatrzeć pamięć o pana istnieniu. Zakładam nawet, że po jakimś czasie zdecydują się sprawdzić, czy rzeczy istotnie tak się mają, jak pan powiedział. Wyślą na górę zwiadowców i można sobie z łatwością wyobrazić, że za jakieś dwadzieścia lub trzydzieści lat w podziemnym mieście wszystko pozostanie po starym, za to na powierzchni pojawią się sekretne domy dla silnych, ogrody, w których będą wychowywali swoje dzieci, gdyż podziemny klimat źle wpływa na ich zdrowie. Cała reszta nie będzie o niczym wiedziała, a buntownicy zostaną stłumione. Powstanie w ogóle trudno jest zorganizować w świecie podzielonym na piętra.

— Ale przecież to nie może trwać wiecznie — powiedział Takasi. — Tak nie może być. Przyjdzie drugi Kroni... Trzeci...

— Problemem wieczności i konieczności nie będziemy się w tej chwili zajmować, bo mamy znacznie pilniejsze sprawy do załatwienia — zauważył Kruminsz. — W historii Ziemi były okresy, kiedy miliony ludzi znajdowały się w gorszych nawet warunkach niż mieszkańcy tego podziemia.

— Nie, to niemożliwe! — powiedział Kroni, ale pamięć Günthera podpowiedziała mu, że Kruminsz ma rację.

— Sądzę — kontynuował Kruminsz — że po tym, jak pierwszy z dyrektorów wyjdzie na powierzchnię, krąg wtajemniczonych będzie się nieustannie poszerzał. Nie wolno zakładać, że jedynie mała grupka ludzi będzie się wygrzewała na słońcu. Ktoś będzie ich musiał obsługiwać, budować domy i uprawiać ogrody. Dowiedzą się o tym policjanci, potem zaufani inżynierowie i

wasz świat zacznie się powolutku zmieniać. Dyrektorzy będą robić wszystko, aby nie dopuścić na górę tych, którzy mieszkają na dolnych poziomach, w słusznej obawie, że utracą nad nimi władzę. Lękam się, że minie wiele lat i popłynie wiele krwi, zanim podziemny świat zostanie ostatecznie porzucony.

Kroni słuchał go i pod suche słowa Kruminsa podkładał widok tuneli, którymi pełzną i giną ludzie. Widział umierającego Lemenia i szczury wychodzące na ulice.

— Ja i tak pójdę — powiedział. — Wprawdzie chciałbym tu jeszcze pobyc, ale pójdę... — Spróbował się uśmiechnąć, ale nic z tego nie wyszło.

— Pójdę z tobą — powiedział Takasi. — Powiedział to tak zwyczajnie, że Kroni mu uwierzył.

— Poczekaj! — powiedział Kruminsz. — Doskonale pana rozumiemy, Kroni. Ja też bałbym się wracać pod ziemię. I nie wyobrażaj sobie, że puścimy cię tam samego. Nie obraż się, ale sam sobie z tym nie poradzisz.

— Ja też tak myślę — wyznał z ulgą Kroni.

* * *

Takasi zaprosił Nataszę i Kroniego na polowanie. „Będziemy łowić ryby tam, gdzie skąpałeś się w błocie” — powiedział. Wycygał od Stancza wielki kosz i wysokie buty. Kroni się zgodził. Dziwne, pomyślał, Natasza wcale nie jest znów tak bardzo podobna do Gery, a jednak jest Gerą, tą piękną, niedostępną i żalną Gerą, która kryje się teraz w obwieszonych starymi szmatami norze, „komnacie”, która jeszcze tak niedawno wydawała się biednemu rurarzowi szczytem luksusu. Podchodzi do pękniętego lustra, które liczy już dwieście lat i jak najpiękniejszy skarb przekazywane jest w spadku z pokolenia na pokolenie. Myśli o inżynierze Lemeniu i chyba zupełnie już zapomniała o rurarzu, który odprowadził na tamten świat jej ukochanego. I pewnie nie rozumie, że jest taką samą bezsilną ofiarą, jak Lemeń, i że nawet wówczas, podczas ich pierwszej rozmowy, cuchnący rurarz był szczęśliwszy od niej, bo rurarz miał cel, do którego dążył.

Takasi oddał Kroniemu plastikową plecionkę, w której zamierzał nieść do obozu zdobycz, a sam wziął całą resztę. Natasza utonęła w wysokich butach, w których było jej bardzo niewygodnie iść.

— Lepiej założę skafander bez hełmu — powiedziała. — W nim też nie przemoknę.

— Jesteś naiwna, księżniczko — zaproponował Takasi. — Kto będzie potem czyścił twój skafander z lepkiej mazi. Zapytaj Kroniego, on już się kąpał w tym leju.

— Tygrys zaczął mnie gonić, jak tylko się stamtąd wydostałem — powiedział Kroni.

— Stanczo podarował skórę tygrysa Kiroczce — zauważyła Natasza. — Nie szkoda ci?

— Zapytał mnie przedtem o pozwolenie — odparł Kroni. — Nie, wcale nie szkoda. Aż się dziwię, że dałem tygrysowi radę. Pamiętam, jak za mną szedł, ale zupełnie nie pamiętam, jak z nim walczyłem.

— Chciałbyś zanieść futro Gerze? — zapytała Natasza.

— Ona nie wzięłaby nic z rąk rurarza — powiedział Kroni. — Nie zapominaj, że jest córką Dyrektora.

— To mi nic nie mówi — roześmiała się Natasza. — Ale odkryję ci pewną tajemnicę. Mój ojciec jest bardzo, ale to bardzo ważnym dyrektorem. Na Ziemi. A dziadek był pisarzem. Też niesłychanie ważnym. Natomiast rodzice tego tu Japończyka nigdy nie opuścili swego miasteczka na wyspie Hokkaido.

— No, to zupełnie co innego — wykrzyknął Kroni.

— Nataszo — powiedział Takasi. — Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to może wezmę cię

na ręce i będę niósł całą resztę drogi? Chciałbym w ten sposób wyrazić swój niezmierny szacunek dla twoich przodków.

— Nieś lepiej swoje łopaty i szufle, bo na nic więcej nie zasługujesz! — parsknęła Natasza. — Bardzo mi żal twojej Gery — dodała bez żadnego związku. — Zaopiekuję się nią, kiedy już wyjdzie na powierzchnię.

— Dziękuję — powiedział Kroni.

Błoto w leju podeszło i Takasi jako najcięższy pierwszy dotarł do środka leja. Skorupa nie załamała się pod nim.

— W tym leju latem mieszkały wielkie i bardzo sprytnie ryby — powiedział Takasi. — Tak sprytnie, że nie chciały brać na moją wędkę. Kiedy sadzawka wyschła, nabrały pewności, że ostatecznie mnie przechrzyły i że się już do nich nie dobiorę. Były w błędzie.

Mówiąc te słowa Takasi z rozmachem wbił łom w glinianą skorupę.

Łom wszedł jak w masło i Takasi nie zdołał go utrzymać. Z otworu trysnęło czarne, tłuste blocko i we wszystkie strony rozbiegły się zygzakowate pęknięcia. Niczym na zwolnionym filmie Japończyk zaczął się zapadać. Odbywało się to tak wolno i spokojnie, że ani Natasza, ani Kroni nie pospieszyli mu z pomocą, gdyż sądzili, iż sam może bez trudu oddalić się z zagrożonego miejsca. Natasza nawet parsknęła śmiechem, ale śmiech szybko się urwał, bo Takasi zapadał się coraz szybciej i już był po pas w blocku, szeroko rozstawiając ręce, aby chwycić za krawędzie słabej skorupy.

Kroni zareagował szybciej niż Natasza, bo życie w tunelach nauczyło go, że jeśli człowiek przegapi moment — może zginąć i zgubić innych ludzi.

Złapał pozostawioną przez Takasiego łopatę i nie wypuszczając z drugiej ręki szczelnej plastikowej plecionki pobiegł w kierunku Japończyka. Kiedy poczuł, że skorupa zaczyna uginać się pod nogami, padł i zaczął się czołgać ku środkowi leja.

Najpierw podał Takasiemu łopatę, który nawet zdołał uchwycić rękojeść, poczuł jednak wkrótce, że wolno sunie na brzuchu w stronę grzęzawiska i przypomniał sobie o koszu.

Kosz opadł w błoto tuż obok głowy Takasiego. Japończyk zdołał unieść rękę, włożyć ją do kosza i trochę się oprzeć. Kosz zachowywał się jak pusta łódka. Pływał na powierzchni blocka i Takasi musiał jedynie uważać, żeby go nie przewrócić. Łopata przestała wyrwać się z rąk Kroniego, który w dodatku poczuł, że jego nogi są mocno i pewnie zakotwiczone. Zerknął do tyłu i zobaczył, że Natasza leży, obejmując rękami jego buty i tuląc się do nich twarzą. Oczy miała okrągłe z przerażenia. To było przerażenie mobilizujące wszystkie siły człowieka, całą jego przezorność i uwagę, przerażenie, które ściska serce, ale sprawia, że ręce działają szybko i precyzyjnie.

— Zuch z ciebie, Natasza! — krzyknął Kroni i spróbował się uśmiechnąć.

Były to pierwsze słowa wypowiedziane od chwili, kiedy Takasi przebił łomem skorupę zaschniętego błota.

Grzęzawisko bardzo niechętnie wypuszczało ze swoich objęć pechowego Japończyka. Minęło co najmniej dziesięć minut, zanim amatorzy ryb wydostali się na groblę otaczającą lej.

— Przepraszam — powiedział Takasi. — Chyba was trochę wystraszyłem.

— Ależ skąd! — odpowiedziała ze złością Natasza. — Rozbawiłeś nas do łez.

— Głęboko tam? — zapytał Kroni.

— Chyba ze trzy metry. Wystarczyłoby, żebym się utopił. Zawdzięczam ci życie.

— Nie przesadzaj! Natasza pobiegłaby do obozu i Stancio wyciągnąłby cię z grawilotu.

— O ile naturalnie grawilot byłby akurat na chodzie... A i tak trzeba by mi było robić płukanie płuc.

— To Natasza — oświadczył wówczas Kroni. — Sam bym ciebie nie utrzymał.

— Wiem — powiedział Takasi. — Za to właśnie się z nią ożenię.

— Serdeczne dzięki, mój dobroczyńco — powiedziała Natasza.— Wolę wydać się za Kroniego, który jest równie odważny i zwinny jak ty, ale o wiele mądrzejszy. Tylko że on kocha Gerę i na mnie nie zwraca najmniejszej uwagi.

— Jak możesz tak mówić! — zmieszał się Kroni. — Nataszo, nie słuchaj go — powiedział Takasi. — Günther pozbawiony jest zupełnie poczucia humoru, wszystko bierze na serio i zaraził tym Kroniego.

— Gera nigdy by mnie nie chwyciła za nogi — powiedział poważnie Kroni.

— Zgadza się! — ucieszyła się Natasza. — Takasi, zostajesz przeniesiony do rezerwy.

— A więc po to, aby zdobyć miłość jakiegoś człowieka, należy go w odpowiednim momencie złapać za buty? — zapytał tragicznym głosem Takasi.

I w tym momencie z trzciny wychynęła zjawa.

Nie zauważyli, jak zapadł zmierzch, głęboki i granatowy, w którym zjawa opalizowała błękitnym płomieniem. Widocznie zaintrygowała ją krzątanina wokół leja i mlaskanie rzadkiego blocka. Stała teraz niezdecydowanie na skraju grobli, a trzciny zdawały się wyrastać z jej bezcielesnej postaci.

— Oj! — pisnęła cichutko Natasza. Kroni, który stykał się już przedtem ze zjawami, zdziwił się jej przestraszeniem. Jak ta odważna dziewczyna mogła bać się zwyczajnej zjawy?

Takasi sprężył się, gotów osłaniać Nataszę przed niebezpieczeństwem, więc Kroni szepnął:

— Nie płoń jej. Nie mamy przy sobie nic do jedzenia? Zjawa jest głodna.

Zjawa nie czekała na dalszy rozwój wypadków i zapadła się, rozplynęła w zaroślach trzciny.

— Ona jest głodna — powtórzył Kroni. Myślę, że wydostała się razem ze mną z podziemia i zabłądziła.

— Zanim cię Takasi znalazł, zjawa też krążyła w nocy wokół obozu — powiedziała Natasza.

— Co to jest? — zapytał Takasi.

— Zjawa — odparł Kroni. — Tak je u nas nazywają. Dawniej nie wiedziałem, co to jest, ale kiedy szukałem biblioteki, spotkałem jedną. One rozumieją ludzką mowę i jedzą. Nie potrafią jednak mówić.

Kiedy wrócili do obozu, było już całkiem ciemno. Takasi martwił się, że nie ma ryb, że zgubił plecionkę Stancza i jeden but, a sam wygląda jak bryła gliny, że wszyscy będą się śmieli...

— Zasłużyłeś sobie na to — powiedziała Natasza. Rozglądała się na boki, bo miała nadzieję zobaczyć zjawę. Współczuła jej i chciała jak najprędzej nakarmić.

Takasi rzeczywiście miał za swoje, ale nie bardzo, bo zdołał odwrócić od siebie uwagę, opowiadając niezwykle obrazowo i sugestywnie o refleksie Kroniego i odwadze Nataszy.

Potem, kiedy Takasi i Kroni odszorowywali się z błota, reszta zastanawiała się, czym może być zjawa. Mutantem czy endemicznym mieszkańcem podziemia?

Nocą tropiciele wraz z Kruminszem i Kronim omawiali plan działań na dzień następny, Takasi z Anitą sprawdzali, w jakim stopniu ich komputer opanował język mieszkańców podziemia, a Natasza wzięła wiadro zupy, kawałek chleba i wyszła poza sferę ochronną na zbocze wzgórza. Zostawiła tam jedzenie i w drodze powrotnej spotkała Kiroczkę ze Stanczem, którzy nieśli bochenek chleba i dużą miskę kaszy pozostałej ze śniadania.

— Postawcie tam, obok okrągłego kamienia — powiedziała Natasza. — Przy mojej zupie. Kompot też wzięliście?

Rano okazało się, że zupa została zjedzona, miska po kaszy wylizana, a chleb zniknął. A duży słoik kompotu pozostał nietknięty. Nie udało się też dociec, kto odniósł na granicę strefy ów kompot, którego najwidoczniej zjawy nie jadały.

* * *

Rano wszyscy zebrali się przy skale, pod którą był wąż.

Przy władze panowała nerwowa krzątanina, jakby Kroni zamierzał pobić jakiś rekord w obecności tłumu kibiców, trenerów, sekundantów i sędziów.

— Wyglądasz jak choinka — powiedział Günther.

Kruminsz sprawdzał wyposażenie. Maks Biely sprawdzał rzetelność Kruminsza.

Na oko Kroni wyglądał normalnie, chociaż odzież rurarza trzeba było wyrzucić, bo zostały z niej tylko żalosne strzępy. Dziewczęta przerobiły strój roboczy archeologa tak, że z daleka mógł uchodzić za mundur inżyniera. Kombinezon zapinał się z przodu na zamek błyskawiczny i wystarczyły dwie sekundy na wydobywanie spod pachy paralizatora, niezwykle płaskiego i lekkiego. Paralizator przeznaczony był do obrony przed dzikimi zwierzętami i mieścił sto ładunków. Jego konstruktor widział pewnie oczami duszy niezliczone stada słoni lub lwów, atakujących bezbronnych archeologów. Na kolbie paralizatora był wygrawerowany napis: „Güntherowi od wdzięcznej Grety”. Günther odmówił rozszyfrowania znaczenia dedykacji, ale nalegał, aby Kroni wziął właśnie jego paralizator, a nie standardową broń z wyposażenia wyprawy.

Nadajnik zainstalowano następująco: mikrofon został umieszczony w kołnierzu i dlatego każde słowo, wypowiedziane przez Kroniego albo przez kogoś innego w jego obecności, docierało natychmiast na powierzchnię. Obiektyw telewizyjny nadajnika znajdował się nad lewą górną kieszenią kombinezonu, a drugi, rezerwowo, na pasie, który i bez tego był cudem techniki i geniuszu wynalazczego tropicieli. Zmieściły się w nim bez trudu medykamenty wraz z taką ilością plastra dezynfekującego, że Kroni mógłby się z łatwością okleić nim od stóp do głów. Poza tym żelazny zapas pożywienia, sprasowanego w tabletki i wystarczającego do obfitego karmienia dziesięcioosobowej grupy żarłoków przez co najmniej dwa tygodnie. Ponadto giętki kindżał i zestaw narzędzi, który mógłby się przydać zarówno zawodowemu włamywaczowi, jaki i majsterkowiczowi, pasjonującemu się amatorską budową łodzi podwodnych. Witaminizowany sok pomarańczowy mieścił się w płaskiej poduszce na plecach, a rureczka biegnąca od tej poduszki kończyła się pod kołnierzem. Ponieważ poduszka została zespawana z kulo, pazuro- i zęboodpornej zbrojonej tkaniny, Kroni mógł nie obawiać się strzału ani ciosu nożem w plecy. Jeśli dodamy, że przód kombinezonu został sporządzony z takiej samej poduszki, wypełnionej płynnym tlenem, w uchu tkwiła miniaturowa słuchawka, a w kieszeni spoczywały różne różności w rodzaju okularów, pozwalających widzieć w absolutnej ciemności, i latarek, to nikt nie zaprzeczy, że Kroni został bardzo solidnie wyekwipowany.

Kroni, chociaż niby gniewał się i nie chciał brać ze sobą tego wszystkiego, był w gruncie rzeczy bardzo zadowolony i nigdy by nie zrezygnował z zabawek przygotowanych przez tropicieli, bo dobrze jest czuć się nietykalnym i wiedzieć, że przyjaciele słyszą każde twoje westchnienie, a kiedy będzie źle, natychmiast pospieszą z pomocą.

— No co, rurarzu — powiedział Takasi — idziemy?

Takasi schodził z nim dwa piętra w dół. Tam była wysunięta baza wypadowa. Takasi miał na sobie skafander i w rękę trzymał hełm, niczym zapasową głowę. W tej wyprawie miał odgrywać rolę pancерnej rezerwy.

— Ucałuję was na drogę — powiedziała Natasza.

Pocałowała najpierw Kroniego. Była tego samego wzrostu co on, więc pocałunek trafił w kącik ust. To było bardzo dziwne, ale niezmiernie przyjemne uczucie. I ostatnimi słowami Kroniego przed zejściem w dół było:

— Nikt mnie jeszcze nigdy nie całował.

ROZDZIAŁ 4

POWRÓT RURARZA

Pani Gera Spel, z łaski Boga Reda córka Dyrektora Spela, gorzko i rozpaczliwie płakała. Płakała dlatego, że jej życie dobiegało kresu bezsensownie i żałośnie.

Leżała w łóżku, a że było zimno i w żaden sposób nie mogła się rozgrzać, bała się zrzucić z siebie kołdrę uszytą ze szcurzych skórek. Kołdra cuchnęła, ale kiedy poskarżyła się na to ojcu, rodziciel skrzywił się, jakby usłyszał coś nieprzyzwoitego i powiedział:

— Zwidują ci się różne głupstwa. To przez chorobę.

Pan Dyrektor Spel przywykł do choroby i nieuchronnej szybkiej śmierci własnej córki. Jej matka również pluła krwią i umarła młodo, a doktor, jeden z trzech najlepszych lekarzy w mieście, powiedział, że medycyna nie zna żadnego lekarstwa na tę chorobę, która gnieździ się w piersiach i opiera się wszystkim maściom i okładom. Dyrektor Spel martwił się, że jego córka nie urodziła dziecka, że tak głupio i haniebnie, uwłaczając dla starożytnego rodu Spelów zakończyła się historia z jej narzeczonym. Aferę wokół tego człowieka rozpętał Glizda i nie można jej było ukrećić łba, gdyż byłby to błąd, podobnie jak niewybaczalnym błędem byłoby każde pogwałcenie Obyczaju, kiedy przestało się już być najsilniejszym człowiekiem w mieście.

Dlatego Dyrektor Spel starał się jak najrzadziej widywać swoją córkę i spokojnie czekał na jej bliską śmierć.

A Gera leżała pod śmierdzącą narzutką ze szcurów, patrzyła na dziwaczne zacieki na splekanym od dawna suficie sypialni i bała się spojrzeć na wałek wezglowia, bo wiedziała, że zobaczy tam krew. W żaden sposób nie potrafiła pogodzić się z myślą o śmierci i w koszmarach, które obecnie męczyły ją co noc, widziała, jak wspina się tunelami do góry, bo tylko tam mogło być dużo światła, świeżego powietrza i Miasto na Górze. Ale każdy sen kończył się tym, że docierała do końca ślepego tunelu, biła głową o ścianę i dusiła się kaszlem, który ją budził. Wszystkiemu winien był ten rurarz. Rurarz Kroni. Nie wiadomo czemu zapamiętała to imię, chociaż nikt nigdy nie zapamiętuje imion rurarzy. Ten Kroni był niezwykle ciekawym człowiekiem i żałowała, że zginął w tunelach.

Trzeba było wstawać i zaczynać nowy, ciągnący się bez końca dzień. Gera była rozdarta między oczekiwaniem, że nadchodzący właśnie dzień może okazać się ostatni, i lękiem przed długością tego dnia, który przyjdzie jej przeżyć. Liczyła minuty, usiłowała je zatrzymać i kiedyś nawet rozbiła zegar wodny, podejrzewając go w przystępie rozpacz o podstępna złośliwość. Ale dzień wreszcie się kończył i kładąc się do snu (i lękając się przy tym okrucieństwa nocy), Gera odczuwała wdzięczność dla własnego ciała za to, że zdołało przebrnąć przez kolejny dzień.

Próbowała czasami przywołać na pomoc wizerunek Lemenia, rzeczowego i zgryźliwego Lemenia, którego by nawet nie zauważyła, gdyby należał do elity, i nie pokochałaby, gdyby nie skazano go na śmierć. Ale zjawienie się rurarza, który przyniósł jego znaczek identyfikacyjny, postawiło krzyżyk na istnieniu inżyniera Lemenia. Lemeń rozpląnął się w przeszłości i chociaż Gera mogła zmusić się do wywołania z pamięci rysów jego twarzy czy ironicznego sposobu mówienia, przypomnieć go sobie całego już nie potrafiła, bo zagubiły się w niej jakieś nitki czy sprężynki łączące w jedną całość głos, uśmiech, charakterystyczny krok człowieka, którego kochała i za którym chciała pójść do Otchłani. Powiedziała o tym ojcu, a on zamknął ją pod strażą w piwnicy. Pobyt w tym lochu wywołał ostry nawrót jej choroby.

Gera wstała. Było jej zimno i miała takie zawroty głowy, że musiała oprzeć się o lodowatą ścianę. Wyjęła ze ściennej szafy, kamiennej niszy, wyłożonej strzępkami plastyku, długą, jasną

sukienkę. Wybrała jasną dlatego, żeby mniej rzucała się w oczy jej bladość. Teraz musiała zebrać siły, żeby uczesać włosy i przemyć twarz. Wszystko to wymagało wysiłku, ale równocześnie nadawało życiu jakiś sens.

W umywalni było ciepło i ręka z przyjemnością dotykała rozgrzanej rury. Gera miała dawniej służącą, starą już kobietę, która obsługiwała jeszcze jej matce. Ale pokojówka chorowała na żołądek i umarła akurat wtedy, kiedy zaczęła się cała historia z Lemeniem. Nowej ojciec nie chciał brać, bo był człowiekiem przewidującym i wiedział, że jego córka wkrótce umrze i nie może być wydana za męża. A skoro tak, to najmowanie dla niej pokojówki jest zupełnie nieuzasadnioną rozrzutnością. Gera, która zawsze zgadzała się z nieubłaganą logiką ojca, zrozumiała go i nie obraziła się, chociaż miewała ciężkie chwile i wtedy pragnęła, żeby obok niej ktoś był... Ktoś żywy. Pozostawał brat, nie wierzący nikomu i nie wzbudzający zaufania. Brat ją kochał, ale potrafił zapomnieć o Gerze i nie zjawiać się nawet przez miesiąc, zwłaszcza teraz, kiedy — jak mówił — zrobiło się niespokojnie i oficerowie tajnej policji musieli pozostawać w koszarach. W końcu jednak przychodził, a wówczas Gera udawała, że czuje się lepiej i rozmawiała z nim o głupstwach, bo brat bał się mówić o czymkolwiek innym.

Rozległo się stukanie. Ktoś pukał do tylnych drzwi, wychodzących na ulicę. Z tych drzwi korzystał tylko brat, ale on miał własny klucz. Może go zgubił? Gera chciała już otworzyć drzwi, ale nagle się przestraszyła. To mogli być bandyci. Wprawdzie ojciec mówił, że złoczyńcy nigdy nie przedostaną się na górne poziomy, ale przecież nie każde słowo ojca musiało być prawdą... Może ją w ten sposób uspokajał.

Dziewczyna stała niezdecydowana. Może podejść do rury słuchowej i zawołać ojca lub brata. Ale jak będzie wyglądała, jeśli za drzwiami stoi Spel?

Dlatego wybrała trzecią możliwość. Usiadła w fotelu i postanowiła poczekać, co będzie dalej. Jeśli ten ktoś za drzwiami nie zrezygnuje wtedy coś wymyśli. Decyzja odłożenia decyzji była przyjemna. Bądź co bądź jest to jakaś decyzja!

Pukanie powtórzyło się. Gera czekała. Zrozumiała nagle, że chce, aby ktoś do niej przyszedł. Ktokolwiek, chociażby bandyta. Już od trzech dni nikogo nie widziała. Przestraszona, że ten ktoś odejdzie spod drzwi i zostawi ją sam na sam z myślami i lękami, zerwała się z fotela i podbiegła do tylnych drzwi. Jednak nie zdążyła do nich dobiec.

Gdy tylko przekroczyła próg malutkiego saloniku, portiery zasłaniające wejście do przedpokoju odchyliły się i do saloniku wszedł mężczyzna. Znała go.

— Witaj, miłościwa pani — powiedział mężczyzna. — Niechaj Bóg Red ma cię w swojej opiece.

— Jak pan tu wszedł?

— Drzwiami — odparł mężczyzna i wówczas dziewczyna zrozumiała, że to jest rurarz Kroni. Naturalnie, rurarz Kroni! Ale nie poznała go, zanim się nie odezwał.

— Jesteś rurarzem? — zapytała, gdyż Kroni tak bardzo się zmienił, że ta przemiana obalała ustalony porządek rzeczy, przy którym rurarz zawsze pozostaje rurarzem.

I nie chodziło tylko o to, że Kroni był ostrzyżony, wytwornie i dostatnio ubrany, a jego twarz, w której zmarszczkach i fałdach musiał, mimo najstaranniejszego nawet mycia, pozostać wżarty w skórę brud zmieszany z sadzą, stała się gładka i czysta. Kroni był innym człowiekiem, bo zachowywał się jak inny człowiek.

— Jestem rurarzem — powiedział Kroni. — Pozwolisz mi usiąść?

— Siadaj — odparła Gera. — Ale ty przecież nie żyjesz.

— Dlaczego? — zdziwił się Kroni. Usiadł w fotelu, odczekawszy jednak, że Gera pierwsza to zrobi. — Żyję.

— Ale Spel powiedział...

— Spel nie wierzył, że dojdę. A ja doszedłem i wróciłem.

— Po co?

— Żeby pomóc innym i tobie. Żal mi ludzi. Ciebie też mi żal.

Gera uniosła brwi. To była obraza. Brudny nie może współczuć pani, gdyż nie jest zdolny do takiego uczucia.

— Jak śmiesz — powiedziała, wybijając słowa i rozkoszując się dawno zapomnianym uczuciem władzy nad ludźmi. — Jak śmiesz udawać szlachetne uczucie...

— Powiesz zaraz, Gero — przerwał Kroni, wystawiając przed siebie otwartą dłoń i jakby zasłaniając się tym gestem od jej słów — że jestem cuchnącym rurarzem. Że zawoła pani straż i poskarży się ojcu. Nie trzeba tego robić. Przecież widzisz, pani, że wróciłem stamtąd i tam — uniosł rękę do góry — nikt ani razu nie nazwał mnie cuchnącym rurarzem. I uwierz mi, pani, że ludzie na Górze są bogatsi i silniejsi od twego ojca, od Glizdy i wszystkich Dyrektorów razem wziętych.

— Naprawdę tam byłeś?

— A skąd miałbym to wszystko?

— Ograbiłeś kogoś. Wszystko to ukradłeś. Wiem, że ukradłeś. Prawda była nieprawdopodobna, więc Gera broniła się przed nią ze wszystkich sił.

— Gero — powiedział Kroni — jesteś przecież kobietą mądrą i wykształconą...

— A skąd ty to możesz wiedzieć?

Gera przestraszyła się rurarza. Sama wymyśliła, że Kroni kogoś ograbił i podstępnie zamordował (przecież wszyscy rurarze kłamią i oszukują jak najęci!), a teraz na jej oczach zamieniał się w bandytę, groźnego i nieubłaganego...

Podsłoczyła jej temperatura. Osłabiony gorączką umysł nie wytrzymał zetknięcia się z niezrozumiałym zjawiskiem i dziewczyna zapadła w słodkawe wody omdlenia, które nie dają błędnego poczucia niebytu, tylko utrzymuje między rzeczywistością a nicością.

Kroni patrzył na nią zmieszany i zaniepokojony. Widział, że z dziewczyną dzieje się coś niedobrego. Nie spodziewał się takiego powitania. Nie przypuszczał nawet, że za cieniutką maską szlachetnie urodzonej pani może kryć się ból, bezradność i lęk przed śmiercią, więc niewłaściwie zrozumiał wszystkie jej słowa i postęпки.

Dziewczyna jeszcze na niego patrzyła, ale jej oczy już nie widziały rurarza, dostrzegały jedynie wewnętrzny świat koszmarów i nieuchronnego bólu. Odchodziła od niego, chociaż nadal siedziała w fotelu. Siedziała nieruchomo, a jej dłonie leżały na kolanach i wydawały się błękitne.

Od chwili, kiedy Kroniemu zdruzgotało się czekać pod drzwiami i otworzył je wytrychem, wszedł do mieszkania i zobaczył Gerę, nie mógł otrząsnąć się od jej widoku. Wyglądała bardzo źle i to nie tylko z winy choroby, która zdążyła przez ubiegłe dni poczynić prawdziwe spustoszenia. Najważniejsze było to, że wizerunek Gery niejako oderwał się od niej samej, a wspomnienie o niej mieszało się z uśmiechem Nataszy i jej opalenizną. Zrodził się w ten sposób nowy, wyidealizowany obraz, z którym Gera niewiele miała wspólnego. Okazała się znacznie niższa, chudsza i bledsza, niż powinna być. Jej szaty, które wydały się przedtem rurarzowi szczytem wytworności i luksusu, w rzeczywistości były zetlałe i pokryte źle spranymi plamami, widocznymi nawet w tym skąnym świetle, które przed tygodniem wydawało się oślepiające. I cera Gery była nie błękitna, tylko ziemista i niezbyt gładka. To była twarz mieszkanki podziemi. Prawdziwy wygląd Gery, chociaż zaskakujący i bolesny, nie rozczarował i nie wzbudził wstrętu, tylko współczucie i pragnienie, aby ją ogrzać, przytulić i uspokoić. Nie zdołał się powstrzymać i wyraził to współczucie na głos — za co spotkała go zimna i pogardliwa reakcja. Kroni spodziewał się wszystkiego, ale ta pogarda go zaskoczyła. Bezradność bezbronnego zwierzątka, które chce jak najprędzej schować się w swojej skorupie, uznał za wrodzoną pychę, na którą nie

ma rady.

Naraz zorientował się, że Gera bardzo źle się czuje, że traci przytomność. Kiedy więc głowa opadła jej na oparcie fotela, a w kącikach warg ukazała się różowa piana, rzucił się ku dziewczynie, uklęknął przed nią i ręka zamarła mu w powietrzu, bo trzeba było natychmiast coś zrobić, a nie wiedział co. Zapomniał, że nie jest sam. Nie wiadomo, jak długo tak klęczał z poczuciem, że czas zatrzymał się, otaczając go szczelnym kokonem, ale nagle ożył głośniczek w jego uchu.

— Kroni — zabrzączała słuchawka i upłynęło parę sekund, zanim rurarz zrozumiał, czyj to głos. — Jesteśmy — powiedział Kruminsz. — Nie bój się, wszystko widzimy i słyszymy! Oddaję mikrofon Anicie.

— Kroni, kochany — powiedziała doktor Sołomko i westchnęła w mikrofon, a Kroni wyobraził sobie jej szeroką, pocziwą twarz z okrągłymi piwnymi oczyma. — Nie martw się. Wyleczymy ją, jak tylko znajdzie się na powierzchni. Gwarantuję ci to.

— Dziękuję — powiedział Kroni, wdzięczny Anicie nie tylko za te słowa, ale również za to, w jaki sposób zostały powiedziane.

— A na razie — ciągnęła Anita — zrób tak. Günther mówi, że w twoim pasie bezpośrednio pod prawą ręką masz pojemnik z lekami. Wyjmij trzy czerwone pigułki...

Kroni znalazł filizankę i rozpuścił pigułki w soku.

Ażeby Gera mogła wypić lekarstwo, musiał unieść jej głowę. Włosy na karku były miękkie i ciepłe, a głowa uniosła się posłusznie. Wtedy Kroni zrozumiał, co to jest czułość.

Gera zaciskała zęby, więc Kroni przekonywał ją szeptem:

— Wypij, bardzo cię proszę, wypij! To nie jest gorzkie. To ci pomoże.

Wargi poruszyły się. Gera upiła trochę soku i zakrztusiła się.

— Nie trzeba tak się spieszyć! — skarcił ją łagodnie Kroni. — To jest smaczne.

Gera balansowała na chybotałej kładce, rozpiętej między jawą a niebytem. Głos Kroniego, jego ręka podtrzymująca głowę i smak soku były rodem z błogiego snu. I kiedy wypiła cały sok, czując, jak wypełnia jej ciało radosnym ciepłem, i otworzyła oczy — zobaczyła tuż przy swojej twarzy oczy Kroniego i nie przestraszyła się, bo to były dobre oczy.

Znieruchomieli oboje, jak gdyby lękali się spłoszyć coś ulotnego.

Pierwsza ocknęła się Gera. Zamknęła oczy, bo dopiero nie widząc mogła powiedzieć:

— Dziękuję ci, Kroni.

Wstał z klęczek i usłyszał, jak w uchu pisał głos Anity:

— Teraz dziewczyna poczuje się lepiej.

Ale jej głos był obcy i niepotrzebny. Sołomko zrozumiała to i zamilkła.

— Co to było? — zapytała Gera, nie otwierając oczu.

— Lekarstwo — odparł Kroni.

Coś między nimi zaszło, coś takiego, co widocznie już od dawna narastało poza świadomością dziewczyny i ujawniłoby się o wiele wcześniej, gdyby Kroni nie był rurarzem. To stanowiło barierę, która nie pozwalała Gerze zobaczyć w nim mężczyzny.

— Gero — powiedział Kroni.

— Co?

— Byłem na Górze i dotarłem do Miasta.

Gera milczała. Po raz pierwszy od wielu dni było jej ciepło. Spowodowało to lekarstwo, ale jej się wydawało, że nie tylko lekarstwo.

— Miasta nie ma — powiedział Kroni — jest całkowicie zniszczone.

— Wiedziałam o tym. Mówił nam to nauczyciel. I ojciec też.

— Miasta nie ma — ciągnął Kroni. — Zostało zburzone, bo naprawdę była wojna. Ale nie to

jest najważniejsze!... Cała reszta jest kłamstwem.

— Co?

— Że istniały tylko dwa miasta. Miast było wiele. Całe setki. Nasze Miasto było jednym z nich. To kłamstwo, że na Górze jest taka sama jaskinia jak tu, tylko obszerniejsza. W rzeczywistości nie ma tam żadnej jaskini, tylko powierzchnia.

— Powierzchnia?

— Jak by ci to wytłumaczyć? Powierzchnia jest wtedy, kiedy nie ma stropu.

— A gdzie jest strop?

— Stropu w ogóle nie ma. Wyobraź sobie kulę. Teraz jesteśmy w środku takiej kuli. A powierzchnia to jest to, co na wierzchu.

Gera nie spierała się z nim.

— Jak uważasz — powiedziała sennie.

— Daj jej jedną żółtą tabletkę — powiedziała Anita. — Nie podoba mi się jej głos.

— Co to jest?

— Połknij. — Kroni podał jej tabletkę. — To jest słodkie.

Gera usłuchała.

— Mów dalej — powiedziała po chwili.

— Stropu w ogóle tam nie ma — ciągnął Kroni. — Niebo sięga w nieskończoność. Trudno ci to zrozumieć, bo ja sam nie od razu zdołałem to zrozumieć, chociaż zobaczyłem na własne oczy.

Gera skinęła głową.

— Nie ma tam ludzi i tutaj twój nauczyciel miał rację. Ale żyć na Górze można.

— Miasto jest zniszczone — powiedziała Gera. — I jeżeli się tam pójdzie, zapada się na śmiertelną chorobę.

— Łatwiej zachorować tutaj — zaproponował Kroni. — W tej wilgotnej norze. Popatrz na siebie. A tam jest słońce, wiatr, drzewa i lasy... Ale te słowa nic ci nie mówią.

— Dlaczego? — zdziwiła się Gera. — Znam słowo jezioro, słowo wiatr i słowo las. I słowo słońce też. Te słowa słyszałam. Przecież się mówi: jasny jak słońce. I mówi się też: gęsty jak las.

— A co to znaczy, gęsty jak las?

— To znaczy bardzo gęsty, nie do przebycia — odparła Gera.

— Słowa utraciły swe znaczenie, ale słowa mają pamięć o wiele dłuższą niż ludzie. Słuchaj więc: słońce to rozżarzona kula, wokół której wszystko się kręci — i ty, i ja, i nasze miasto, i Miasto na Górze. Las — to kiedy drzewa stoją rzędami jedno koło drugiego. Jezioro — to tyle wody, że przeciwległego brzegu prawie nie widać.

— Możliwe — powiedziała Gera.

— A wiatr to taka masa powietrza, że może zbić człowieka z nóg i zerwać dach domu. Wiatr przynosi niebiański deszcz...

W tym momencie Kroni zrozumiał, że o wiele łatwiej mógłby to wszystko wytłumaczyć dziewczynie w innym języku. W jego ojczystej mowie rzeczywiście brakowało słów, a te, które były, dawno zmieniły swój sens.

— I nie ma tam ludzi? No to więc kto dał ci ubranie?

— Ludzie. Ale inni ludzie, którzy przylecieli tutaj ze swojej Ziemi, gdyż myśleli, że nikt tu nie mieszka.

— Zdobyli Miasto na Górze?

Niepokój, który zabrzmiał w głosie Gery, był zupełnie abstrakcyjny. Dziewczyna zdawała się słuchać zajmującej baśni, w żaden sposób nie związanej z rzeczywistością, a już na pewno nie z jej losami. Nie obchodzili ją też ci ludzie, którzy skądś tam przylecieli. Pewnie na skrzydłach, jak nietoperze. Nietoperze są rzadkie w podziemnym mieście, ale ojciec ma w swym gabinecie

jednego, zasuszonego. Kroni odwiedził tę baśń i wrócił, niczym bajeczny bohater, który odrodził się w Ognistej Otchłani. Był przecież taki pradawny żołnierz, który zanurzył się w Otchłani i wyszedł z niej jako piękny Dyrektor.

— Oni nie potrzebują naszego miasta — powiedział Kroni — bo mają własne. Przybyli tu szukać starych rzeczy, gdyż łakną wiedzy. Chcieli dowiedzieć się, jacy byliśmy i co się z nami stało.

— Żałują nas?

— Gero, ty mi nie wierzysz!

— Staram się wierzyć. Mów.

— Oni gotowi są pomóc nam wydostać się z podziemi, pomóc żyć tak, jak ludzie żyć powinni. Jak kiedyś żyliśmy. Podzielią się z nami swoją wiedzą i pomogą. Ja im wierzę.

— Po co zamierzają to zrobić? Na co im jesteśmy potrzebni?

— Dlatego, że chcą nam pomóc.

Czasami najtrudniej jest tłumaczyć rzeczy oczywiste. To, co w tłumaczącym nie wzbudza najmniejszych nawet wątpliwości.

— Ale co my im możemy dać w zamian?

— Nic, bo nic dawać nie musimy — odparł Kroni.

Gera pochyliła głowę ruchem starego człowieka, którego życie niejednego już nauczyło. Rurarz mówił jak dziecko. Wszyscy prości ludzie podobni są do dzieci — tak samo ufni i kapryśni w swych uczuciach.

— Czekają, aż porozmawiam z tobą i z twoim bratem, a potem odnajdę inżyniera Raziego.

— Dlaczego nie przyszli tu sami?

— Bo najpierw powinienem przyjść ja. Przecież ludzie bardzo się przelękną, kiedy zobaczą obcych.

— Są tacy straszni?

— Nie, są tacy sami jak my. Jest wśród nich dziewczyna, bardzo do ciebie podobna.

— Jak się nazywa?

— Na imię ma Natasza.

— Natasza — Gera z trudem wymówiła obce słowo. — Brzydkie imię.

Wrogość do Nataszy, która odważyła się być podobna do pani Gery Spel, była nieświadomiona i dlatego Kroni jej nie wyczuł.

— Nie — powiedział — to bardzo ładne imię.

To imię usłyszał Takasi, siedzący przy radiostacji w ciemnym tunelu najwyższego poziomu przy zasypnym szybie windy. Usłyszał i uśmiechnął się, bo jemu to imię też się podobało.

Anita, stojąca na górze pod zaimprovizowanym daszkiem uśmiechnęła się również, gdyż wyczuła w głosie Gery wrogość, której nie wychwycił głośnik komputera, dokładnie, lecz martwo tłumaczącego dialog rurarza z dziewczyną. A Stanczo, naprawiający koparkę, która miała poszerzyć wjazd do podziemia, ale się zepsuła, roześmiał się na głos i powiedział:

— Nataszo, zmień imię. Jest takie piękne imię Snieżina. Podoba ci się?

— Nie — odparła Natasza. — Za to tobie się podoba.

— Oczywiście! — wykrzyknął Stanczo. — Znam jedną Snieżinę. To moja mamusia.

* * *

— Idź do mojego ojca — powiedziała wreszcie Gera. — On jest starym człowiekiem, więc będzie umiał powiedzieć, co masz robić.

— Nie wierzysz w to, co jest na Górze.

— Chciałabym wierzyć. Może masz rację. Tu masz rurę słuchową. Porozmawiaj z ojcem.

— A czy jesteś pewna, że on się zgodzi, żeby ludzie wyszli na powierzchnię?

— Wszyscy?

— Naturalnie, że wszyscy.

— I ci, którzy są na samym dole? Górnicy, tkacze, rurarze?

— Jasne. Przecież im żyje się gorzej niż innym.

— A kto będzie pracował?

— Wszyscy, ale na Górze.

— Nie wiem — powiedziała Gera. — Ojciec pewnie się nie zgodzi...

Obiektyw kamery telewizyjnej rejestrował każdy ruch i wszyscy na powierzchni widzieli, jak Gera uniosła się z fotela, ale zaraz na powrót usiadła.

— Ja też tak myślę — powiedział Kroni. — Twój ojciec każe mnie zabić.

— Możliwe. Nie pomyślałam o tym.

— Może jednak porozmawiasz z ojcem?

— Nie — odparła Gera. — Nie będę z nim rozmawiała. Zawołam brata.

I znów ludzie pod prowizorycznym daszkiem zobaczyli, jak wstaje i podchodzi do ściennej niszy z telefonem.

— Bardzo błada — powiedział o Gerze Günther. Należał do tych dużych, pocziwych, sentymentalnych mężczyzn, którzy przygarniają porzucone na ulicy szczenięta i opatrują skrzydła pisklętom, które wypadły z gniazda.

— Choroba posunęła się już daleko — powiedziała doktor Sołomko. — Bardzo daleko. Trzeba ją pilnie poddać leczeniu szpitalnemu.

— Zdumiewające połączenie archeologii z medycyną — zauważył Maks Biły. — Miała pani szczęście, Anito.

— Proszę nie żartować! — oburzyła się Anita. — To nie jest najlepsza pora na żarty.

— Nie ma złej pory na żarty — zaoponował Maks i poszedł pomagać Stanczowi w uruchomieniu koparki. Biała wypiełgnowana czupryna Maksa i szczupła, wyprostowana postać upodobała go do hrabiego ze starych romansów.

Gera powiedziała do słuchawki:

— Tajna policja. Poproszę pana Spela młodszego.

Czekała na połączenie i czując na sobie wzrok Kroniego, starała się wyobrazić sobie powierzchnię kuli, na której nie można utrzymać się na nogach z powodu wiatru i gdzie kołysze się las podobny do stalaktytów.

— Pan Spel prosił przekazać, że jest bardzo zajęty — rozległ się głos w słuchawce.

— Przekażcie mu, że to ważna sprawa. Że siostra chce z nim porozmawiać w niezmiernie ważnej sprawie!

Ośloniła ręką słuchawkę i zapytała Kroniego:

— Powiedzieć mu, że mamy gościa?

— Lepiej nie. Ludzie Glizdy mogą podsłuchiwać rozmowę.

— To ty, Gero? — rozległ się głos Spela. — Co się stało?

— Słuchaj, bracie. Mam do ciebie ważną i niesłychanie pilną sprawę. Musisz tu natychmiast przyjść.

— Och — westchnął brat. — Źle się czujesz?

— Czuję się doskonale.

— Gero, za chwilę wyruszam na wyprawę. Na bardzo ważną wyprawę. Nie mam czasu z tobą rozmawiać. Wrócę wieczorem i wtedy do ciebie przyjdę. Dobrze?

Spel starał się nie kłócić z siostrą.

— Jestem na ciebie bardzo zła — powiedziała Gera. — Kiedy ostatnio prosiłam cię, żebyś do mnie przyszedł? Przypomnij sobie?

— Kiedy nakryli twojego Lemenia. A co, ożył?

— Spel, przyjdź tutaj. Natychmiast! Zapomnij o wszystkim i przychodź.

— Poczekaj... — Spel był mocno zaniepokojony.

Gera rzuciła słuchawkę i zamknęła niszę.

— Zaraz tu będzie — powiedziała i jej policzki pokryły się czerwonymi plamami. — Smarkacz!

Spel zapukał trzy razy, a potem Kroni usłyszał szcęk zamka. Gera wyszła na spotkanie brata.

— Co się z tobą dzieje? — Spel był zły i to zły podwójnie, bo nie umiał oprzeć się żądaniu siostry. — Glizda głowę mi ukręci. Już i tak patrzy na mnie szcurem od czasu, kiedyśmy ukradli rurarza. Podejrzewa, że to moja sprawa.

— Wejść — powiedziała Gera. — Są sprawy ważniejsze niż twój Glizda. Chcę, żebyś się zobaczył z naszym wspólnym znajomym.

Spel tylko machnął ręką, nie słuchając, co mówi siostra. I wchodząc do saloniku, ciągnął:

— Zrozum, zaraz wyruszamy. Znaleźliśmy inżyniera Raziego. Tego co był z Lemeniem, pamiętasz? Jest tam również nasz człowiek...

W tym momencie zobaczył Kroniego.

— Ty! — powiedział i ręka sama opadła do kabury.

— Uspokój się — powiedziała Gera. — Sam kiedyś przyprowadziłeś do mnie tego rurarza i sam go stąd zabrałeś. Więc czemu się dziwisz? To zjawia.

— Zjawia! — Spel spróbował się uśmiechnąć, ale nie wyszło mu to zupełnie.

— Przystojniaczek — powiedziała Anita z lekką naganą w głosie, patrząc na jego twarz, która wypełniła cały ekran.

— Żeby tylko nie złapał za swoją spluwę — mruknął Günther.

— Siostra mu nie pozwoli — uspokoił go Kruminsz.

Spel zrobił krok do przodu i... zatrzymał się.

— Gdzie byłeś? — zapytał ze złością, jakby Kroni nie wykonał jego rozkazu.

Spel już zdążył wymyślić kilka nawzajem się wykluczających hipotez. Z początku uznał, że Kroni nie wychodził na powierzchnię, a cała ta maskarada to robota Glizdy, który postanowił zgubić rodzinę Spelów. Mogło też zdarzyć się coś innego — rurarz w porzuconych tunelach najwyższych poziomów natknął się na zapomniany magazyn ze starymi mundurami. Ubranie jednak było nowe, a zatem rurarz musiał jednak dotrzeć na powierzchnię. Co za tym idzie, na Górze żyją ludzie i wszystko, czego Spela dotychczas nauczono, jest kłamstwem. A może ci ludzie są dawnymi wrogami Miasta, którzy posłali Kroniego, żeby zemścić się za stare krzywdy? Rurarz z pewnością zgodził się być narzędziem tej zemsty, bo sam Spel na jego miejscu też by się zgodził. Przecież Kroni mógł ukryć, że jest rurarzem i przedstawić się jako inżynier albo . nawet czysty. W każdym wypadku był niebezpieczny, a skoro tak, to lepiej być jego przyjacielem, a nie wrogiem. Skoro Kroni przyszedł się mścić, to najpierw zemści się na Glizdzie. Bo po co w przeciwnym razie miałby zaufać Gerze? Spel przeanalizował wszystkie te warianty i uśmiechnął się szczerym, chłopięcym uśmiechem.

— Opowiadaj, rurarzu — powiedział — gdzie byłeś i co porabiałeś?

— Nie jestem już rurarzem — warknął Kroni. — Nie nazywaj mnie tak!

Właściwie było mu wszystko jedno, jak się do niego zwracają. Rurarz nie jest gorszy od policjanta. Przynajmniej zarabia uczciwie na swój kawałek kaszy. Ale Spelowi trzeba będzie pokazać jego miejsce. Ten oficer nie był najodważniejszym z ludzi, jakich Kroniemu zdarzyło się w życiu spotkać. Nigdy nie będzie Kroniemu ufał, ale pójdzie za nim, jeśli poczuje siłę.

Rozmawiali o tym nie dalej jak wczoraj, na naradzie w namiocie.

— Nie gniewaj się — uśmiechnął się przyjaźnie Spel.

— No więc słuchaj — powiedział Kroni. — Wszystko, czego cię uczyli, jest kłamstwem...

Mówił krótko. Pomagają mu ci, którzy są na Górze. Wyprowadzi ludzi na powierzchnię, na słońce, ale chce to zrobić tak, żeby obyło się bez najmniejszej paniki. Nie wolno pędzić ludzi na Górę, jak stado przerażonych szczurów. Trzeba wszystko im wytłumaczyć, znaleźć sposób na unieszkodliwienie Glizdy i tych, którzy zrobią wszystko, żeby utrzymać się przy władzy.

— Nikt ci przecież nie uwierzy. Ja też nie wierzę — powiedział Spel.

— Uwierzysz — zapewnił go Kroni. — Gdzie jest inżynier Razi?

Archeolodzy stłoczeni pod daszkiem patrzyli z napięciem w ekran i zdawali się nie oddychać. Deszcz łomotał w napiętą płachtę. Stanczo przykrył koparkę pokrowcem i maszyna przypominała teraz niezgrabne zwierzę, czyhające na kogoś przy czarnej jamie.

— Złapiemy go dziś — powiedział Spel.

— A starzec? — zapytał Kroni.

— Umarł.

— Sam?

Spel bardzo się zdziwił.

— U Glizdy nikt sam nie umiera. On tego nie lubi.

— To był przyzwoity staruszek — powiedział Kroni. — Miał przekonania i nigdy się ich nie wyrzekał.

— Aha — zgodził się obojętnie Spel. — Później go rozpoznaliśmy... A Glizda nie uwierzył, że to ty udusiłeś strażnika. I do dziś nie wierzy.

— Ma rację.

— Kto cię tam wie? Każdy może zabić człowieka, jeśli trzeba. Glizda myślał, że ukradłem znaczek identyfikacyjny Lemenia, ale ja zwałem wszystko na ciebie. Nie gniewasz się?

— Niby dlaczego miałbym się gniewać? Gdybyś nie zauważył znaczka, nigdy bym się Glizdzie nie wyrwał.

Spel pomyślał, że Kroni ma rację i że to jest dla niego korzystne.

— Zawdzięczasz mi życie — powiedział. — Uratowałem cię.

— Wcale o mnie wtedy nie myślałeś. Myślałeś o sobie i o siostrze. Nie chciałeś, żeby w rękach Glizdy znalazł się człowiek, który zna Lemenia.

— Sprytny jesteś, rurarzu — powiedział Spel. — Bardzo sprytny. A powiedz mi, strop wisi tam wysoko?

— Tak wysoko, że w ogóle go nie ma. Opowiedz, co wiecie o Razim.

Gera chodziła po pokoju, jakby zapomniała usiąść. Czuła się rześka i zdrowa, co nie zdarzało się jej od dawna, więc pragnęła zmian, które zburzą jej ciemną norę.

— Twój Razi uciekł i dobrał się do broni. A wiesz, jak Glizda się tego domyślił? Tuż przy komisariacie kwartałowym znaleziono zwłoki naszego agenta, który został zabity nie nożem i nie kamieniem. Został zabity pociskiem z pistoletu wojskowego. Wtedy Glizda zrozumiał, że twoi przyjaciele dobraли się do broni.

— Może i nie — powiedział Kroni. — Przecież dałem pistolet Raziemu. Ten sam, od którego był tamten zapasowy magazynek.

— Nie, to był inny pistolet — powiedział Spel. — Glizda też z początku na to liczył. Ale to był inny pistolet.

— A co dalej?

Glizda urządził wielką obławę w mieście. Postawił na nogi całą policję i wszystkich kwartałowych.

— No i jak się ta obława skończyła?

— Nijak. Nie wytrzeszczaj ślepi, bo robisz się podobny do Glizdy, kiedy mu o tym zameldowali. Sam mu zresztą meldowałem. Jedna grupa powinna mieć akurat Biesiadę. Otoczyliśmy dom i niby wszystko przebiegało zgodnie z planem. Pułapka się zatrzasnęła. Ale była pusta. Ani żywej duszy. Ktoś ich ostrzegł.

Spel był w dziwnej sytuacji, chociaż sam sobie z tego nie zdawał sprawy. Walka z bandytami, biesiadnikami i spiskowcami była jego zdaniem słuszna i wcale buntowników nie żałował. A tego, który kierował tą walką, śmiertelnie nienawidził. Opowiadał zaś o tym wszystkim Kroniemu, który był wrogiem nie tylko Glizdy, ale i Obyczaju, a więc również wrogiem jego, Spela.

— Dalej! — powiedział Kroni tonem człowieka, który ma prawo rozkazywać.

— Glizda domyślił się, że zdążyłeś przekazać inżynierowi Raziemu plan miasta Przodków, i że inżynier ze swoimi ludźmi tam właśnie się ukrył.

— Dalej.

— Dziś tam idziemy. Razi nam już nie umknie.

— Powiedz, Spel... Możesz zdobyć mundur policjanta?

— Po co?

— Żeby móc wziąć udział w obławie. Przecież spędzą na nią wszystkich policjantów, a nie wszyscy znają się nawet z widzenia.

— Zapomnij o tym — powiedział Spel. — Mundury są przechowywane w dobrze strzeżonym magazynie.

— Nie myślałem o magazynie — mruknął Kroni. — Jesteśmy mniej więcej tego samego wzrostu...

— Myślisz, że mam pięć mundurów? — zdziwił się szczerze Spel. — A zresztą jak się teraz dostanę do koszar i wyniosę go stamtąd? Za piętnaście minut wyruszamy, a ja mam biegać z mundurem pod pachą, żeby mnie od razu przejrze!?

— Dobra — zgodził się Kroni. — Nie warto było z tobą zaczynać.

— Chcesz — powiedziała Gera, stojąc przed bratem i patrząc mu prosto w oczy — nadal być chłopcem na posyłki u Glizdy. Tak długo, dopóki cię nie wykończy?

— Nie będzie tak źle — burknął Spel. — Glizda mnie nie ruszy.

— Którędy pójdzie obława? — zapytał Kroni.

— Z dwóch stron. Jeden oddział schodzi przez tunele techniczne twojego dawnego rewiru. Drugi idzie od strony kopalń. Nad elektrownią będzie zasadzka, w którą wpadną, kiedy będą uciekać. Więcej nic nie wiem.

— To już jest coś — powiedział Kroni.

— Muszę iść — powiedział Spel. — Przecież nie chcecie chyba, żeby Glizda zaczął coś podejrzewać? A tobie, Kroni, nie radzę iść na dół. Tamtych nie uratujesz, za to sam wpadniesz w pułapkę.

— Kiedy zaczyna się obława?

— Za trzy godziny... Teraz już mniej.

— Szczęśliwej drogi, Spel. Nie pchaj się pod kule.

— Jakie znów kule?

— Zapomniałeś, że w mieście Przodków jest broń?

— Broń... Przecież oni nawet nie umieją strzelać!

Spel nie chciał pokazać po sobie, że się boi. Poglądził Gerę po ramieniu i powiedział: „nie choruj!”.

Ten gest wzbudził w Kronim pewną sympatię do dziarskiego, choć nieco dziś nerwowego

policjanta.

— Co zrobisz? — zapytała Gera, kiedy drzwi zatrzasnęły się za Spelem. — Pójdiesz na dół? Nawet jeśli powiem ci, żebyś został?

— Tak — odparł Kroni.

— Wolałabym, żebyś tam nie szedł.

Miała zwyczaj patrzeć ludziom prosto w oczy, jakby umiała odczytać, co się w nich kryje.

— Jak ta dziewczyna patrzy! — powiedziała Anita Sołomko, która odeszła na bok i nalewała do filiżanek kawę z termosu.

— Chciałbym, żeby ktoś tak na mnie patrzył — powiedział Stanczo.

— To tylko taka maniera — zmartwiła się Anita. — Gera prawdopodobnie jest bardzo krótkowzroczna, ale nawet się tego nie domyśla. Przecież oni nie mają okularów.

* * *

— Nie chcesz, żebym odszedł? — zapytał Kroni.

— Nie. Ludzie odchodzą ode mnie i nigdy już nie wracają. Pochłania ich mrok.

— Ja wrócę — zapewnił ją Kroni.

Gera powstrzymała go gestem dłoni.

— Masz przyjaciół — powiedziała. — Potężnych przyjaciół. Niech oni tam pójda.

— Co cię obchodzi jakiś tam rurarz? — Kroni nie był całkiem szczery. Pragnął, żeby Gera zaoponowała.

— Nie chodzi o ciebie! — odpowiedziała poważnie dziewczyna. — Tylko o to, że jesteś żywy. A dokoła sami nieboszczycy. Lemeń też był żywy. Martwi zostają i krążą wokół, a żywi umierają i nie wracają. Kiedy cię nie było, przywykłam już do myśli, że i mnie wkrótce nie będzie. Ale ty wróciłeś i zmieniłeś moje życie. Nie chcę już umierać i nie chcę, żebyś zniknął w Otchłani. Pewnie nie chodzi tu o ciebie, tylko o mnie samą.

— Wrócę — powtórzył Kroni.

Wtedy usłyszeli kroki. Odgłos twardych, pewnych siebie kroków, które już zbliżały się do sypialni.

Gera zamarła i zdrętwiała. Szepnęła: „Ojciec”.

— Kryj się! Za kotarę! — prawie krzyknęła Kruminsz.

Kroni szybko cofnął się ku drzwiom, dał nura za zasłonę i przylgnął do ściany od strony przedpokoju.

— Był ktoś u ciebie, Gero? — usłyszał niski, pewny siebie głos Prawdziwego Pana.

— Dzień dobry, ojczu. Tak, brat mnie odwiedził.

— Jak się czujesz? Lepiej ci?

— Tak, ojczu. Dziękuję.

— Dziwne, że brat tu przyszedł — powiedział pan Spel. — Nie powinien tu dziś przychodzić.

— Zaprosiłam go.

Ojciec Gery przechadzał się miarowo po dywanie, a Kroni liczył jego kroki.

— Dobrze wyglądasz.

Kroni nie bardzo mógł zrozumieć, czy on ją za to potępia, czy też cieszy się, że córka poczuła się lepiej. Najprawdopodobniej po prostu zarejestrował ten fakt tak samo, jak rejestrował w pamięci każdą przepaloną żarówkę lub zepsutą windę. Obojętnie, chociaż z pewną irytacją, której jednak nie pozwolił się uzewnętrznic...

— Przecież umarłam dla ciebie, ojczu — powiedziała Gera. — Umarłam już wtedy...

— Nie masz racji, Gero. Już ci to niejednokrotnie mówiłem. Jesteś moją córką i dlatego twój

los nie może mi być obojętny. Miałem nadzieję, że urodzisz mi wnuka, gdyż człowiek trwa w swoich potomkach. A ród Spelów trwa od wieków!

— Ojczy, po co tu przyszedłeś? Poczułam się gorzej i chciałabym się położyć...

— Masz rację. Ja też nie mam zbyt wiele czasu. Ale pamiętaj, bez względu na dawne nieporozumienia, jesteś moją córką, a ja twoim ojcem. Mam nadzieję, że mogę ci zaufać.

— Ja też ci ufałam, ale mnie zdradziłeś.

— Nie uratowałam go, za to siebie doprowadził do zguby. Kiedy decydujemy się ukarać kogoś dla przykładu, wtedy już nie ma odwrotu.

Kategoryczność tego twierdzenia zdawała się zamykać dyskusję o przeszłości. Pan Dyrektor Spel nie zamierzał do niej wracać.

— Sądzę, że wkrótce mogą nastąpić poważne zmiany.

— Ja też tak uważam — powiedziała Gera.

— Ty? Brat ci coś powiedział?

— Mam po prostu przeczucie.

— Ludzi chorych nawiedzają czasami uzasadnione przeczucia — wyrzekł poważnym głosem Spel. — To świadczy o tym, że są bliżsi Bogowi Redowi niż my, zdrowi.

— Ale moje przeczucie mówi o Mieście na Górze.

— Co? — ojciec jej nie zrozumiał.

— Przeczucie mi mówi, że nadeszła pora, żeby wyjść na powierzchnię.

— Zaczynasz bredzić. Wiesz przecież doskonale, że na powierzchni niczego nie ma, że tam nie można żyć. Moje obawy są znacznie realniejsze. Dziś wczesnym rankiem odbyło się posiedzenie Rady Dyrektorów. Zwołał je Mekil, chociaż nie miał prawa tego robić. Pogwałcił w ten sposób Obyczaj, ale jego władza w Radzie jest dziś o wiele większa, niż to wynika ze stanowiska. Mekil powiedział na posiedzeniu, że na dole wynikło zagrożenie dla całego miasta. Buntownicy znaleźli magazyn broni i w interesie całego miasta zażądał przekazania mu kontroli nad kopalniami, fabrykami i elektrownią oraz prawa życia i śmierci wobec wszystkich. Łącznie z Dyrektorami. Nie dziwi cię to?

— Nie, przecież znam Glizdę.

— Ja też go znam — powiedział Spel. — I wiem, że jego bajeczka o buntownikach wymyślona została po to, żeby wystraszyć starszych stanowiących większość w Radzie i odizolować ludzi energicznych i wpływowych, wszystkich, którzy stoją mu na drodze — mnie, Kalgara i paru innych. Dlatego obawiam się o swoją przyszłość.

— Przyszedłeś więc, żeby mi o tym opowiedzieć?

— I poprosić cię o pomoc. Jest jeszcze jedna rzecz, do której Glizda chce się dobrać.

— Wiem.

— Tym lepiej. Glizda będzie szukał naszych klejnotów rodzinnych. Będzie szukał ich u mnie. Nie wie jednak, że pod twoim łóżkiem znajduje się sekretna nisza. O jej istnieniu wiemy tylko my. Dzisiaj w nocy, kiedy spałaś, schowałam tam szkatułkę. Nie chciałem ci o tym mówić, ale później pomyślałem, że mogą do ciebie przyjść agenci Glizdy i zapytać, czy w twoich apartamentach nie ma jakiegoś schowka, a ty wiedząc, że nisza jest pusta, mogłabyś im ją pokazać. I wtedy wszystko zostanie stracone.

— Rozumiem — powiedziała Gera. — Wlazłeś nocą pod łóżko.

— Tak.

Gera roześmiała się krótko.

— O co ci chodzi?

— Nic bym im nie powiedziała, bo schowałam tam pukiel włosów matki i list od Lemenia.

— Tak? Nie zauważyłem. Pod łóżkiem było ciemno.

— Ale niczego stamtąd nie wyjmowałeś?

— Nie. Tam jest dość miejsca. I nic nie widać.

— Wobec tego mam do ciebie prośbę, ojczu. Kiedy umrę, połóż mi te rzeczy na piersi. Pukiel włosów i list. Niechaj spłoną razem ze mną.

— Obiecuję — powiedział Spel. — Jeśli nie umrę przed tobą.

— Nie.

— Ja też tak uważam — powiedział ojciec, nie starając się być delikatnym.

— To się jeszcze zobaczy — pomyślał głośno Kroni.

Zapomniał o tym, że od sąsiedniego pokoju oddziela go tylko niezbyt gruba portiera. W saloniku rozległ się łoskot i coś jakby ryk dzikiego zwierzęcia. Kroni skoczył i przyłgnął do ściany.

Zasłona uniosła się gwałtownie, jakby zdmuchnął ją poryw burzy, i do pokoju wtargnął niziutki, bardzo gruby mężczyzna. Najdziwniejsze było to, że Kroni nie od razu go zobaczył, bo patrzył znacznie wyżej, tam gdzie wedle jego rachuby powinna znajdować się głowa posiadacza tak wspaniałego tytułu i tak głębokiego głosu.

Spel trzymał w ręku pistolet, ale broń była skierowana do przodu, więc Spel przebiegł kilka kroków, zanim pomyślał, że należy się odwrócić. Te ułamki sekundy wystarczyły, aby biegnąca za nim Gera zdążyła osłonić Kroniego.

— Nie strzelaj!

— Odejdź! Zabiję go!

— Nie strzelaj, bo mnie zabijesz.

— Zawsze byłaś rozpuśnicą, a teraz twoja namiętność do mężczyzn nas zgubi!

— Panie Spel! — krzyknął Kroni. — Gdzieś mam pańskie klejnoty!

Odpowiedzią była kula, która przebiła portierę i roztrzaskała jakiś przedmiot w sąsiednim pokoju.

Anita na widok czarnej źrenicy pistoletu zakryła twarz rękami. Nikt z archeologów nie odezwał się nawet słowem, bo każde słowo w tej sytuacji mogło odwrócić uwagę Kroniego i doprowadzić do jego zguby.

Kroniego jednak uratowała Gera. W momencie strzału, kiedy Spel zamarł, sam oszołomiony grzmotem starego pistoletu, rzuciła się do przodu i podbiła mu rękę. Następny pocisk trafił w sufit. Posypał się tynk. Biały tuman wypełnił mieszkanie.

Wtedy nadeszła kolej Kroniego. Chwycił Spela za rękę, ścisnął i pistolet wypadł na podłogę.

— Na pomoc! — krzyknął Spel i zadławił się kurzem. Wymachiwał rękami i kopał jak ogromny, zapasiony osesek.

— Uderz go! — krzyknęła nagle Gera wysokim, obcym głosem. — Uderz go, żeby zamilkł! On chce tu sprowadzić Glizdę.

Ale Kroni nie potrafił uderzyć tłustej i śliskiej kuli, która nie wiedzieć czemu była ojcem tej dziewczyny. Nie mógł też pojąć, skąd w Gerze wzięło się tyle wściekłej nienawiści do ojca. Ta nienawiść gromadziła się w niej już od dawna i teraz wybuchła, bo ojciec, który pozbawił ją już tylu rzeczy, chciał zabić jej ostatnią nadzieję.

Nagle Spel poddał się i opadł na ręce Kroniego jak worek z czymś miękkim i ciepłym.

— Umieram — jęknął. — Serce mnie boli...

— Nie wierz mu, Kroni — powiedziała Gera.

Kroni powłókł Spela na kanapę w saloniku i rzucił go tam. Głowa Dyrektora uderzyła głucho o ścianę.

— Daj wody — jęczał. — Umieram...

Najbogatszy człowiek w tej szurzej norze bardzo bał się śmierci.

— Leż spokojnie — powiedział Kroni i oddał pistolet Gerze. — Tylko nie strzelaj! — ostrzegł ją.

— Niech pan zabierze jej broń — błagał Spel. — Niech pan zabierze. Przecież widzi pan, jak ona mnie nienawidzi.

— On zabił moją matkę, zabił Lemenia i chciał zabić ciebie. — Głos Gery był obojętny i głuchy, jakby wygłaszała wyuczoną na pamięć rolę.

— Zabierz, bo rzeczywiście dziewczyna gotowa jest narobić jakichś głupstw — powiedział Kruminsz półgłosem. To były pierwsze słowa z Góry, które Kroni usłyszał od momentu spotkania ze Spelem.

— Daj — powiedział.

Gera usłuchała go. Podała pistolet na otwartej dłoni i gdy tylko Kroni go wziął, ręka bezsilnie opadła.

— Dziękuję, panie — powiedział Spel. — Dziękuję.

— Nie zrobię panu krzywdy — powiedział Kroni.

Pomyślał, że zjawienie się Spela może w rezultacie okazać się korzystne, bo daje możliwość porozmawiania z jednym z władców podziemia w momencie, kiedy ten Dyrektor jest zastraszony przez Glizdę... Usiadł w fotelu i położył pistolet na kolanach.

— Nie zrobię panu krzywdy — powtórzył. — Muszę jednak powiedzieć, że zupełnie panu nie ufam.

Nagle Spel się uśmiechnął. Jak gdyby zrozumiał, że nie zostanie zabity, stał się zupełnie innym człowiekiem — rozsądnym, gotowym do spokojnej i rzeczowej rozmowy z Kronim.

— Wcale się nie dziwię — powiedział. — Przecież omal pana nie zastrzeliłem. Miał pan szczęście, że dawno nie miałem okazji użyć broni. Co mi pan może zaproponować?

— Nowiny — odparł Kroni.

— To najcenniejsze w naszym świecie. Nigdy pana przedtem nie widziałem. To dziwne. Czy jest pan kochankiem mojej córki?

— To nie ma nic do rzeczy.

— Przepraszam, ale ma. Od pańskiego stosunku do mojej córki i do rodziny Spelów jako takiej zależy bardzo wiele. Na przykład los moich klejnotów. Nie wierzę, aby pan był na tyle bogaty, aby mógł zrezygnować z naszego majątku. Jeśli jednak zamierza pan wejść do naszej rodziny...

Urwał w pół zdania, czekając na reakcję rozmówcy. Potem po patrzył na Gerę. Gera odwróciła głowę.

— Przyszedłem z Góry — powiedział Kroni. — Wystarczy przyjrzeć mi się uważniej, aby się o tym przekonać.

— Nie widzę podstaw...

Tu Spel ugryzł się w język. Jego oczy, leżące wygodnie na szych poduszkach policzków szybko obiegly postać Kroniego. Ta wędrówka sprawiła, że w klarowne dotąd myśli pana Dyrektora wkraśl się zamęt.

— Przyszedłem z Góry — powtórzył Kroni — bo świat nie kończy się na tych jaskiniach i tunelach.

— Ale na Górze nie można żyć! — wykrzyknął Spel, zupełnie nie przekonany słowami Kroniego. — Nie wiem, komu i na co są potrzebne pańskie nowiny, ale wiem, że są to nowiny szkodliwe. Człowiek na Górze musi umrzeć. Wiem to, bo czytałem tajne dokumenty.

— Kiedy ostatnim razem ktoś wychodził na powierzchnię?

— A czy to jest ważne?

— Tak. Od tego czasu minęło wiele lat i na Górze można już żyć. O wiele lepiej niż tu.

No cóż, trzeci słuchacz, pomyślał Kroni. Po raz trzeci powtarzanie same słowa. A ilu ludzi będą jeszcze musiał przekonywać?

— Jeśli nawet tak jest, to wyjście na powierzchnię oznacza koniec Obyczaju i śmierć naszego narodu. Jeśli nie od chorób, to od życia w nieznanym i strasznym warunkach.

— Skąd ta pewność? Przecież pan tam nie był, ja natomiast byłem.

— Człowiek żyjący na Górze nie potrafi tego zrozumieć.

A więc Spel jednak pogodził się z myślą, iż życie poza miastem jest możliwe. Rozmawia się z nim łatwo, ale jakie wnioski wyciągnie?

— Przedtem mieszkalem tutaj. Jak pan sądzi, w jaki sposób poznałem pańską córkę?

— Nie zastanawiałem się na tym, ale moja córka zawsze miała skłonność do zawierania znajomości poza własną sferą. To pewno dziedziczne. Jej matkę wzięłem sobie z dołu. Była córką inżyniera...

Spel dobroduszenie rozłożył ręce: sam pan widzi, robiłem co mogłem. Zerknął przy tym na Gerę. I dodał:

— To, naturalnie, pana nie dotyczy.

— Dotyczy, i to jeszcze jak! — zaproponował Kroni. — Przedtem byłem rurarzem.

— Po co mu to mówisz? — wtrąciła się Gera. — On tego nie zrozumie.

— No cóż — powiedział Spel, całkowicie ignorując słowa córki. — Miałem co do niej rację. Muszę jednak panu z całkowitą szczerością powiedzieć, że i wśród rurarzy zdarzają się ludzie przyzwoici. Rurarz to też człowiek. Spotkałem kiedyś pewnego rurarza...

Głos Spela szemrał jak strumyk wody płynący po gładkiej podłodze. Słowa swobodnie wyskakiwały z ust, bo nie kryła się za nimi żadna myśl. Mózg był zajęty czymś innym. Spel zastanawiał się gorączkowo, jakie korzyści może wyciągnąć z tego, czego się dowiedział.

— ...Proszę mi jeszcze powiedzieć, jak wydostał się pan na powierzchnię i co tam się dzieje?

— Teraz muszę już iść — powiedział Kroni. — Mogę pana jedynie zapewnić, że na Górze naprawdę można żyć. Wiem, że nasza przyszłość leży na powierzchni. Mam też nadzieję, że jest pan dość rozsądny, aby stanąć po mojej stronie.

— Naturalnie — zgodził się skwapliwie pan Spel. — Jeśli życie na Górze istotnie jest takie, jak pan utrzymuje, a sam pan jest rzeczywiście tym, za kogo się podaje, to w przyszłości będzie można zastanowić się nad stopniowym przenoszeniem ludności w inne warunki. Natomiast pański żart, że niby był pan dawniej rurarzem, szczerze mnie ubawił. I jeśli tam u was są tacy rurarze, to nie potrafię sobie wyobrazić, jacy są Dyrektorzy.

— Tam nie ma dyrektorów.

— Kto wobec tego utrzymuje porządek?

— Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie w dwóch słowach.

— Naturalnie. Doskonale to rozumiem. A czy przypadkiem nie spotkał się pan kiedyś z panem Mekilem?

— Owszem.

— Tak mi się właśnie wydawało — powiedział Spel z satysfakcją w głosie.

— Panie Spel, proszę mnie uważnie posłuchać... Przypomina pan swojego syna, który też, jeśli mu się coś nie mieści w głowie, od razu szuka innego wytłumaczenia, i obaj znajdujecie tylko jedno i że nasłał mnie tu Glizda.

— Ależ skąd! Ani przez chwilę pana nie podejrzewałem... A wie pan może, co ludzie mówią o naszym wspólnym przyjacielu?

— Że Glizda jest gorszy od szczura? Pan i teraz jeszcze tak myśli. Sami oddaliście władzę Gliździe, żeby obronił was przed buntownikami, a teraz się boicie.

— Jestem przezorny i wiele już razy mi to pomogło — powiedział Spel.

— Ma pan nadzieję przechytryć naszego przyjaciela?
— Jak tylko Rada Dyrektorów przekona się, że spisek jest bajeczką wymyśloną przez Mekila, jego władza osłabnie. Jeśli on pana tu przysłał, to proszę mu to powiedzieć.
— Muszę pana zmartwić. Spisek istnieje.
— Buntownicy nie mają broni.
— Mają broń.
— Jest pan pewien?
— Absolutnie. Panie Spel, teraz się rozstaniemy. Wyraziłem się chyba dość jasno: przyszedłem tutaj, żeby pokazać ludziom drogę na Górę...
— Nikt panu nie uwierzy.
— Pańska córka już uwierzyła. Pan sam też już wierzy. A na dole mam przyjaciół, którzy uwierzą mi jeszcze szybciej niż pan. Dlatego, że pan nie chce w to wierzyć, a oni wierzyli już dawniej. Wiedzieli mniej niż pan, ale wierzyli. Jednym z nich byłem ja, rurarz.
— Muszę jednak nad tym wszystkim się zastanowić — powiedział Spel. — Nie mogę niczego przedsięwziąć, dopóki się dobrze nie zastanowię.
— Nie wymagam od pana żadnego działania.
— Dzięki Redowi! Jak mnie pan odnajdzie?
— Chyba przez Gerę.
— Wobec tego proponuję inny wariant. Jak się pan nazywa?
— Kroni.
— Proszę więc zapamiętać mój prywatny numer: 888. Jeśli powie go pan do słuchawki, połączą pana ze mną. Jednak Glizda może podsłuchać naszą rozmowę...
Spel wstał i z pewną obawą zerknął na pistolet leżący na kolanach Kroniego.
— Nie zwróci mi pan?... — zapytał bez większego przekonania.
— Nie — odparł Kroni.
— Wcale na to nie liczyłem. No cóż, do widzenia, rurarzu. — Spel mrugnął porozumiewawczo na znak, że bawi go mistyfikacja Kroniego.
— Do widzenia.
Spel poszedł do sypialni córki i tam jego kroki ucichły. Kroni wstał, ale Gera uniosła palec do ust: słuchaj!
Słychać było zduszone sapanie i jakieś szmery. Po chwili rozległo się szcęknięcie i westchnienie ulgi. Potem kroki, ciche i powolne, jakby utykające.
— Porwał swoją szkatułkę — szepnęła Gera, przysuwając usta do ucha Kroniego.
— Na mnie już czas — powiedział Kroni.

ROZDZIAŁ 5

POWSTANIE W MROKU

Kroni nie mógł korzystać z windy, którą przed paroma dniami przewieziono go z podziemia, bo akurat zajęła ją jedna z grup policyjnych zjeżdżających na dół. Żałował też, że nie zapytał Spela, gdzie będzie w czasie oblawy. Taka informacja mogła się czasem przydać. Pozostawała jedna droga: tunelami technicznymi. Żeby jednak do nich dotrzeć, trzeba było minąć kilka zamieszkałych poziomów.

— Szkoda, że nie udało ci się zdobyć munduru policyjnego — powiedział Kruminsz, jakby podsłuchał jego myśli.

— Aha — zgodził się Kroni. — Tak będzie trudniej.

— Może powinieneś poprosić Gerę, żeby cię przeprowadziła?

— Którędy? Ulicą? Wszyscy ją tu znają i wszyscy będą się gapić.

Kroni stał przy rogu zaułka prowadzącego do tylnego wyjścia domu Spelów. Ulica była dobrze oświetlona, bo mieszkali przy niej najzamożniejsi. Nawet w takim dniu Glizda nie ośmielił się pozostawić jej bez ochrony. Barczysty facet o szarej twarzy, szarych włosach i niebieskich wargach leniwie przechadzał się po drugiej stronie ulicy. Może Glizda specjalnie pozostawił go koło domu Spelów?

Jak tylko facet zniknął, zjawiła się niania z dwójką rachitycznych, krótkonogich dzieciaków. Dzieci były przebrane za żołnierzyków i próbowały podstawiać niani nóżki. Niania zwinnie przeskakiwała przez zasadzki, co było dziwne w jej mocno podeszłym już wieku i zdumiewało przy jej siwych włosach, zebranych w malutki koczek na ciemieniu. Kroni odprowadził tę grupkę wzrokiem i już zamierzał podejść do windy, kiedy znów musiał dać nura w ciemność. Ulicą spieszył nosiwoda, taszcząc na plecach zbiornik z czystą wodą. Zbiornik był wysoki i wystawał ponad głowę nosiwody. Kroni zerknął do tyłu, żeby się upewnić, że nikt go nie obserwuje i ruszył za nosiwodą, dopasowując krok do jego dreptania. Woda pryskała z otwartego od góry zbiornika i rozbryzgiwała się na zakurzonych kamieniach chodnika.

Kroni usiłował sprawiać wrażenie nieroba, ale chyba nie bardzo mu się to udało, bo dwie zamożnie ubrane dziewczyny w ciężkich ametystowych tiarach parsknęły na jego widok śmiechem i zaczęły szeptać, po czym przystanęły z tyłu. Kroni postanowił się nie oglądać.

Doszedł do małej windy, które jeżdżą tylko na górnych poziomach. Nacisnął w przelocie guzik wywołania i zatrzymał się dopiero o parę kroków dalej. Dziewczyny zostały za zakrętem. Ta winda obydwała się bez strażnika, gdyż był to dźwig gospodarczy, zatrzymujący się na dole w magazynach sklepu pana Kalgara.

Kabina nadjechała z dołu i zatrzymała się. Kroni niedbałym ruchem odsunął kratę i wszedł, ale nie zdążył zamknąć drzwi.

— Poczekaj! — krzyknął ktoś wystarczająco głośno, żeby nie mieć wątpliwości, że człowiek w windzie go usłyszy. Ręka Kroniego sama skoczyła do dźwigni zamykającej kratę.

— Nie spiesz się — powiedział Kruminsz. — On może zawiadomić dół, a wtedy znajdziesz się w pułapce.

Kroni usunął się pod tylną ścianę kabiny.

— Bałem się, że nie usłyszysz — powiedział policjant w zniszczonym mundurze, wbiegając do windy. — Gdzie jedziesz?

Policjant patrzył na tablicę z przyciskami. Zachowywał się jak człowiek przyzwyczajony do rozkazywania. Tak zachowywali się policjanci służący na dole, w biednych kwartałach, gdzie

pan kwartałowy był bogiem, a policjanci jego aniołami zemsty.

— Na dół — powiedział Kroni. — Do sklepu.

— Ja też tam jadę — powiedział policjant takim tonem, jakby Kroni sprawił mu ogromną radość. Nacisnął guzik, winda ruszyła, a policjant odwrócił się do Kroniego.

— Gdzie służysz? — zapytał. Niczego nie podejrzewał. Zapytał po prostu dla porządku.

Kroni o mało nie powiedział, że u pana Spela, ale nie chciał ściągać podejrzeń na ten dom.

— A... u pana Kalgara — powiedział Kroni.

Za kratą następnego piętra mignęła czyjaś twarz.

— Poczekaj — powiedział policjant wesoło. — Lubię, kiedy fagasy czekają.

— A może ten pan miał jakąś pilną sprawę?

— Pan? — Ta myśl bardzo policjanta rozbawiła. — Wkrótce ci państwo nie będą mieli żadnych pilnych spraw. My ich...

I policjant wykonał nieprzyzwoity gest, pokazując, co się stanie z panami. Oczy miał bez rzęs, białe i szalone.

Nawet szeregowi policjanci już wiedzą, zauważył w duchu Kroni.

— A kto wtedy będzie?

— Nie musisz wiedzieć! — uciął policjant i w tym momencie podejrzenie zaświtało mu w głowie. W windzie było dość ciemno, bo oświetlała je tylko słaba żarówka pod sufitem, więc pochylił się, żeby zajrzeć Kroniemu w twarz.

— Pokaż znaczek — rzucił policjant, szturchając go krzywym palcem w pierś.

— Po co to panu, panie policjancie? — zapytał Kroni zdumionym głosem. — Przecież niczego złego nie zrobiłem.

— Znaczek!

Łopaciasta ręka wysunęła się do przodu i zastygła w oczekiwaniu. Druga ręka opadła na pas z pistoletem.

Za kratą przesuwiała się wolno kamienna ściana. Kroni wsunął rękę za pazuchę kurtki, wyciągnął błyskawicznie paralizator i policjant ogłupiałym wzrokiem zagapił się na broń, która niemal czarodziejskim sposobem znalazła się w dłoni jego towarzysza podróży.

— Ty... — zaczął.

Kroni usłyszał głos Kruminsza:

— Paralizator działa bezgłośnie. Strzelaj i od razu zatrzymuj windę.

Kroni pociągnął za spust i policjant natychmiast bezwładnie osunął się na podłogę. Rurarz nie tracąc czasu nacisnął guzik i winda zatrzymała się ze zgrzytem.

— On nie umrze? — zapytał Kroni w przestrzeń.

— Nie, tylko śpi. Obudzi się za jakieś pół godziny — powiedział Kruminsz.

Niespodziewany kłopot przyniósł w rezultacie Kroniemu szczęście. Rurarz zdjął policjantowi czapkę, która była trochę za mała, ale była. Trudniej było zdjąć kurtkę. Biała lampka na pulpicie windy sygnalizowała mruganiem wezwanie już z trzech poziomów. Kurtka była za ciasna w ramionach i znacznie za obszerna w talii.

— Szybciej — ponaglał go Kruminsz.

— Sam wiem, że trzeba się spieszyć! — warknął Kroni i znów uruchomił windę, po czym stanął przed kratą i patrzył surowym wzrokiem na ludzi, którzy chcieli dostać się do środka.

— Potem! — powtarzał głośno. — Poczekajcie...

W kącie windy siedział z głową opartą na piersi mężczyzna w koszuli, więc ludzie orientowali się natychmiast, że pan policjant wiezie aresztowanego i lepiej się do windy nie pchać.

Winda zatrzymała się koło magazynu sklepu pana Kalgara. Kroni gwałtownie odsunął kratę i powiedział do jednego z czekających przy drzwiach:

— Pomóż mi go wyciągnąć.

Ludzie cofnęli się z przestrachem, tylko jakiś starszy już technik skwapliwie wbiegł do kabiny i podniósł nieprzytomnego policjanta. Było mu ciężko, ale więcej chętnych do pomocy w tłumie nie było, a policjant Kroni oczywiście też ani myślał pomagać. Ludzie coś lękliwie do siebie szeptali.

— Tutaj — pokazał Kroni i technik oparł policjanta o ścianę obok długiego szeregu beczek. — A teraz — Kroni uniósł rękę i wskazał nią otwarte drzwi windy, do której nikt nie odważył się wejść — teraz już was tu nie ma!

I po chwili został na ulicy sam.

Dookoła było pusto. Kroni zajrzał do beczki. Była czarna w środku, zapuszczona czymś i okropnie śmierdząca. Złapał bezwładne ciało, stęknął (policjant okazał się bardzo ciężki) i przerzucił go przez krawędź beczki do środka. Potem znalazł kawałek blachy i przykrył nim beczkę.

Poprawił mundur i zamaszystym krokiem ruszył do sklepu — dużego pomieszczenia zastawionego beczkami i skrzynkami. Odbywała się akurat sprzedaż wybrakowanej tkaniny, więc ustawiony w długą kolejkę tłum wypełniał całą salę.

Kroni poszedł w stronę najbliższego wyjścia. Miejscowy policjant zsalutował mu, więc z leciutkim uśmiechem mu odsalutował. Droga do tuneli technicznych była wolna...

Otworzył kratę wejścia służbowego i znalazł się w znajomym półmroku, w mrocznym świetle korytarzy, kabli i rur, tyle że nie na swoim piętrze, a kilka poziomów wyżej.

* * *

Szczurołap był malutki, blady, jakiś półprzezroczysty, podobny do zjawy. Wyrósł przed Kronim zupełnie nieoczekiwanie, jakby wyłonił się ze ściany. Przez ramię miał przewieszane dwa zabite szczury, a w rękę trzymał krótką dzidę z szerokim grotem. Ukłonił się z daleka policjantowi idącemu tunelem, a Kroni pomyślał, że szczurołap nie jest groźny, bo gdyby nawet ktoś go zapytał, to odpowie, że spotkał policjanta.

— Dzień dobry, panie policjancie — powiedział myśliwy, kiedy Kroni się z nim zrównał. Upolowane szczury były duże, siwe, z ogonami sięgającymi do ziemi... Szczurołapy zupełnie nieźle by zarabiały, gdyby łowy na szczury nie były monopolem pana Szturiego, Wicedyrektora Rozrywek. Wszystkie skórki trafiały do niego, a on wypłacał procent myśliwym, nielicznej zamkniętej kauce, która przetrwała od czasów, kiedy możni urządzali jeszcze wielkie polowania na szczury z wymarłymi już dawno gończymi i dziesiątkami naganiaczy. Szczurołapy wiedziały o tunelach nawet więcej niż rurarze, z którymi się zresztą przyjaźniły — zawiadania ich o awariach w odległych korytarzach i odpędzały szczury, za co rurarze dzielili się z myśliwymi jedzeniem. Nie wiedzieć czemu szczurołapom zawsze brakowało jedzenia.

I dopiero teraz, mijając myśliwego, Kroni pomyślał, że może oni dokarmiają zjawy?

— Szczurołapie, nie widziałeś tu buntowników?

— Skąd, panie policjancie — zdziwił się szczurołap, ale Kroni mu nie uwierzył. — Jacy tu mogą być ludzie? Nikt tędy nie chodzi, nawet rurarze nie docierają.

— Łżesz, szczurołapie — powiedział Kroni. — Dawno pewnie nie poczułeś pałki na grzbiecie.

— Jak bym śmiał? Żaden rurarz tu nie dociera. Nawet taki odważny i zręczny rurarz jak Kroni.

I popatrzył na Kroniego niewinnym wzrokiem.

— Znasz go? — zapytał Kroni.

— Widziałem go — powiedział myśliwy. — Jak pana, panie policjancie. I gdybym nie lękał się wywołać pańskiego słusznego gniewu, to ośmieliłbym się powiedzieć, że on jest bardzo do pana podobny.

— To ciekawe — powiedział Kroni, bo niczego lepszego nie potrafił wymyślić.

— Ośmieliłbym się też powiedzieć — zakończył szczurołap — że koło szybu zaraz za zakrętem siedzi w zasadzce trzech agentów, trójka pańskich przyjaciół, panie policjancie. Z pewnością będzie pan rad ich spotkać.

— A jeśli nie?

— Jeśli nie, to mogę panu policjantowi pokazać inną drogę.

Po pięciu minutach szybkiego marszu szczurołap zatrzymał się odsunął kable zwisające ze ściany i odsłonił zamknięty właz po nieczynnym kanale wentylacyjnym, w ścianach którego tkwiły stalowe klamry drabinki.

— Szósty poziom stąd, panie policjancie — powiedział myśliwy. — Radziłbym panu zdjąć czapkę, bo ci buntownicy mogą wystrzelić bez uprzedzenia. Ci ludzie, niechaj ich Ognista Otchłań pochłonie, zupełnie nie znoszą widoku policyjnej czapki.

— Dziękuję — powiedział Kroni, stawiając nogę na pierwszej klamrze. Zdjął czapkę i podał ją myśliwemu. — Weź, może ci się przyda.

— Może — powiedział obojętnie myśliwy i schował czapkę do worka. Począł, aż głowa Kroniego zniknie w kanale i zatrzasnął właz.

Sześć piętér niżej Kroni znalazł w ścianie szybu taki sam właz, ale nie mógł go otworzyć. Widocznie był zamknięty z zewnątrz na zasuwę. Kroni zdecydował się zapukać, bo miał nadzieję, że wyprzedził policjantów.

Drzwiczki włazu zadudniły głucho, jak denko pustego zbiornika. Kroni na wszelki wypadek przylgnął do ściany i położył dłoń na kolbie paralizatora.

— Kto tam? — głos rozległ się blisko i uleciał szybem w górę.

— Swój — odpowiedział Kroni.

— Swoi są tutaj. Wszyscy — powiedział głos.

— Chcę się zobaczyć z inżynierem Razim — powiedział Kroni.

— A kto ty jesteś?

— Rurarz Kroni.

— Poczekaj, zapytam.

Szyb szedł jeszcze dalej w dół. Trzeba będzie zapytać Raziego, czy sprawdzili, gdzie się kończy. Jeśli w elektrowni, to mogą się do niego dostać również policjanci.

Po drugiej stronie drzwiczek rozległy się głosy. Kroni nie mógł rozróżnić słów. Potem drzwiczki otworzyły się i do szybu wpadło trochę światła przenośnej latarki. Kroni natychmiast wyłączył latarkę.

— Wchodź — odezwał się pierwszy głos. — Tylko bez kawałów, bo będę od razu strzelał.

Kroni chwycił za krawędź włazu, podciągnął się i zeskoczył na posadzkę korytarza. Przenośna latarka wisiała na haku wbitym w sufit, jej światło padało więc z góry i dlatego twarze oczekujących go ludzi wydały mu się złowrogie. Szczególnie groźnie wyglądało to na ekranie telewizyjnym, więc Kruminsz osłonił mikrofon dłonią, żeby Kroni nie usłyszał okrzyku przest్రachu Anity. Anita jednak nie krzyknęła, tylko przygryzła wargę.

— Witajcie — powiedział Kroni. — Niełatwo się do was dostać.

— Ty się jednak dostałeś. Pomógł ci ktoś?

Pytał niski garbus z czarną twarzą górnik, który trzymał w ręku szeroki, ciężki nóż. Jego oczu nie było widać, bo cień krzaczastych brwi padał mu aż na policzki.

— Pomogli mi. No, zaprowadź mnie do inżyniera Raziego. Mam dla niego ważne

wiadomości.

Zamiast odpowiedzi garbus dwoma palcami chwycił połę policyjnej kurtki i zapytał z wyrzutem:

— Dlaczego się nie przebrałeś?

— Ta kurtka nie będzie mi już potrzebna — powiedział Kroni i zaczął ją zdejmować. — Możesz ją sobie wziąć. Założyłem ją tylko po to, żeby łatwiej się przemknąć.

— Czysty jesteś, gładki — powiedział garbus jakby ze współczuciem.

— Gdzie jest inżynier Razi? Nie mam czasu na rozmowy.

— Popatrz, pan się spieszy — garbus zwrócił się do towarzyszącego mu wysokiego, chudego młodzieńca. — Krzyczy głośno... Pewnie rzeczywiście się spieszy. Młodzieniec okazał się właścicielem dudniącego głosu, który Kroni usłyszał przez drzwiczki wjazdu. Głos nie mieścił się w jego cienkim gardle i dlatego chłopiec przy mówieniu odrzucał głowę do tyłu.

— Nie spiesz się tak, przyjacielu — poradził górnik. — Wpadłeś, to siedź cicho. Ja takich gładkich jak ty bardzo nie lubię. Zabłądziłeś, zgubiłeś swoich, czy co?

W głębi tunelu zapaliła się iskierka, która zaczęła się powoli zbliżać. Ktoś szedł w ich stronę. Kroni podjął jeszcze jedną próbę przekonania garbusa:

— Jestem rurarzem i przez całe życie nim byłem.

Garbus tylko splunął. Kroni nie mógł dojrzeć twarzy człowieka, który podszedł, bo latarka świeciła mu prosto w oczy.

— Co się dzieje? — zapytał nowo przybyły. Głos miał chrapliwy i wysoki.

— Złapaliśmy jednego — powiedział garbus. — Teraz zastanawiamy się, co z nim zrobić.

— Muszę się dostać do inżyniera Raziego — powiedział Kroni. — Natychmiast. Mam ważne wiadomości.

— Możesz te wiadomości przekazać mnie.

— Nie, tylko jemu. Wiadomości są niezwyklej wagi.

— Inżyniera Raziego tu nie ma — powiedział mężczyzna z latarką.

— Nieprawda! — wykrzyknął Kroni. — Jeśli mi nie wierzycie, to przekazcie mu, że przyszedł rurarz Kroni. On mnie zna. Powiedzcie mu to, a ja poczekam.

— Taki z niego rurarz, jak ze mnie szef policji — powiedział garbus. — Nie wierz mu, techniku Dziń. Ten facet zapomniał zdjąć mundur.

— Poczekaj — przerwał mu mężczyzna z latarką. — Mówisz, że nazywasz się Kroni? Skąd znasz inżyniera Raziego?

— Byłem w jego grupie na Biesiadach.

— Taak — przeciągnął człowiek z latarką, wciąż rzucając snop światła na Kroniego. — A czy wiesz, że policja aresztowała całą tę grupę i że tylko inżynierowi Raziemu udało się uciec.

— Wiem — powiedział Kroni. — Byłem tam. Mnie też wzięli, ale udało mi się wydostać na wolność.

— Uciekłeś Gliździe?

— Po co w ogóle go słuchasz, techniku! — oburzył się garbus. — On ci zaraz powie, że potrafi latać albo przechodzić przez ściany... Też mu w to uwierzysz?

— Spokojnie, wartowniku — powiedział technik Dziń. — Ja też wiem, że od Glizdy nie da się uciec.

— Ale ja muszę zobaczyć się z inżynierem Razim! — powiedział Kroni. — Jeśli chcecie, możecie mnie związać. On mnie pozna.

— Inżynier nie ma czasu na cackanie się z policyjnymi szpiegami — uciał technik. — Zamknijcie go!

Promień latarki ześlizgnął się z oczu Kroniego, który przez wirujące tęczowe kręgi zobaczył,

jak technik odwrócił się na pięcie i szybko odszedł.

— Zaczekaj! — krzyknął za nim Kroni. — Zawiadom Raziego, bo będzie za późno! Za godzinę zacznie się oblawa!

— Co? — promień latarki wrócił i z daleka odszukał twarz Kroniego. — Co powiedziałaś? Skąd to wiesz?

— To pewna wiadomość! Zawołaj natychmiast Raziego!

— Chce nas zastraszyć — powiedział ze złością technik. — Myślałem, że posiedzisz sobie spokojnie w celi, ty draniu! Rzućcie go do szybu, ale najpierw zwiążcie mu ręce, jak prosił, żeby nie mógł złapać się za jakąś kłamrę.

Twarcz technika zbliżyła się i Kroni dostrzegł w niej jedyne gniewnie rozplomienione oko obramowane czarnymi, prostymi włosami. Chciał coś powiedzieć, ale słowa uwięzły mu w gardle. Nie warto było mówić do tego człowieka.

Spróbował wyciągnąć paralizator, ale garbus był szybszy. Złapał go za łokcie, a młodzieniec wyrwał broń z unieruchomionych rąk Kroniego.

— Miał pistolet — powiedział z ulgą młodzieniec, jakby przedtem nie był zupełnie pewien swoich racji.

— Daj mi to! — rozkazał technik Dziń. — Wykończę go.

Młodzieniec wahał się.

Wówczas Kroni nabrał powietrza w płuca i krzyknął rozpaczliwie:

— Razi! Raziii!

— Zatkaj mu gębę! — jednooki rzucił się na Kroniego. Echo przetoczyło się tunelem: „Raaaziii...”.

Rzucili się we trzech na Kroniego i na szczęście zupełnie zapomnieli o paralizatorze. W dodatku byli rozwścieczeni i o ile jednooki technik zachował jeszcze odrobinę zimnej krwi, to dwaj pozostali przeszkadzali mu, plątali się nawzajem pod nogami, sapali, klęli i warczeli. Dzięki temu Kroni nie tylko nieźle się bronił, ale w dodatku zdołał jeszcze raz krzyknąć.

Kroków nie usłyszał, ale okrzyk: „Przestać!” — usłyszeli wszyscy.

Kłęb ciał rozpadł się i Kroni wstał z ziemi ostatni, podtrzymując oberwany rękaw i usiłując sprawdzić po omacku, czy ocalało coś z wyposażenia pasa i czy nie pękły poduszki na plecach i piersi.

— On ma na sobie żelazną kamizelkę — powiedział z przekonaniem garbus. — O mało sobie palców nie połamałem.

W uchu Kroniego rozległo się głębokie westchnienie. Spróbował domyślić się, kto na Górze westchnął z taką ulgą i lekko się uśmiechnął.

— Jeszcze się śmieje! — powiedział oburzonym basem młodzieniec, któremu z nosa ciekła krew.

— Co tu się dzieje? — zapytał inżynier Razi. Za jego plecami stało kilku ludzi, obdartych, brudnych i rozczochranych. Najwidoczniej dopiero co musieli dźwigać kamienie.

— Złapaliśmy szpiega. Technik Dziń kazał go wrzucić do szybu, a on się nie daje — zameldował garbus.

Technik Dziń trzymał się za pierś i próbował głębiej odetchnąć. Razi rozglądał się dokoła krótkowzrocznymi oczami:

— Gdzie ten szpieg? — zapytał i dopiero wtedy spostrzegł Kroniego. — To ty? — zdumiał się.

— Ja. Nie chcieli mnie do ciebie puścić, inżynierze.

— Cieszę się, że przyszedłeś — powiedział inżynier. — Nie przypuszczałem, że jeszcze żyjesz.

— Inżynierze, muszę natychmiast z tobą porozmawiać. W cztery oczy.

Młodzieniec podał pistolet Kroniemu, ale zwrócił się do inżyniera:

— On był uzbrojony.

— Chodźmy do mnie — powiedział Razi. — Tu nie jest odpowiednie miejsce na rozmowy.

— Ja bym na twoim miejscu mu nie ufał — wykrztusił wreszcie jednooki. — Jak on znalazł tę drogę?

— Spotkałem szczurołapa — powiedział Kroni. — On mi ją pokazał.

— A skąd cię ten szczurołap znał?

— Kiedy byłem rurarzem, spotykaliśmy się w tunelach. Pewnie mnie zapamiętał.

— Jednak lepiej wrzucić go do szybu — powiedział garbus. — Taki z niego rurarz, jak ze mnie pan Kalgar.

Inżynier Razi zajmował jeden z pokoiów w korytarzu, w którym kiedyś Kroni znalazł książkę z planami podziemi. Razi wszedł pierwszy i usiadł przy stole. Powiedział:

— Najpierw muszę podziękować ci, rurarzu, za książkę planów i pistolet, nie mówiąc już o całej reszcie.

— Robiłem to również dla siebie — odparł Kroni. Do pokoju wtoczyło się ze dwudziestu ludzi.

— Dawno stamtąd wyruszyłeś? — zapytał któryś z nich.

— Jakies półtorej godziny temu.

— A my siedzimy tu już czwarty dzień — powiedział mężczyzna o twarzy tak wąskiej, że oczy nie bardzo się na niej mieściły, więc nos widziany z góry był grubości kartki papieru.

— Mój zastępca — powiedział Razi. — Szewc Lodi.

— Cieszę się, że cię widzę — powiedział Lodi. — Razi mi o tobie wspominał. Robiliśmy zawały, żeby bronić się za nimi, kiedy przyjdzie policja.

— Proponuję, aby wszyscy wrócili do swojej pracy — powiedział Razi. — Zostaniemy tylko my: Dziń, Lodi i ja.

— Teraz będziesz mówił? — zapytał Razi, kiedy reszta opuściła pokój.

— Masz w oddziale człowieka ucho — odparł Kroni. — Będę rozmawiał tylko z tobą. A ty, z kim będziesz uważał.

— Nie ma wśród nas agentów Glizdy — oburzył się jednooki. — To ciebie nasłali.

— Moje wiadomości są bardzo ważne i pilne — powiedział Kroni.

— Nie zostawię cię z nim samego! — wykrzyknął jednooki.

Kroni wydobyl paralizator i położył go na stole.

— To zostanie u inżyniera — powiedział.

— Kroni ma rację — powiedział nagle Lodi. — Razi nam wszystko później opowie, a my mamy swoją robotę.

— A jednak... — zaczął jednooki.

— Chodźmy — Lodi wziął go za ramię i poprowadził w stronę drzwi.

— Nie ufaj mu, inżynierze! — zdążył krzyknąć Dziń od progu, zanim Lodi wypchnął go na korytarz i starannie zamknął drzwi za sobą.

— No więc zostaliśmy sami — powiedział inżynier. — Bardzo się zmieniłeś, Kroni. Gdzie byłeś?

— Wszystko ci opowiem, ale najpierw powiem rzecz najważniejszą. Dowiedziałem się od młodego Spela, że mniej więcej za godzinę Glizda rozpocznie obławę. Masz mapę tego poziomu?

Razi bez słowa położył przed nim plan.

— Zawolałam Dżinia. On dawniej był strzałowym w kopalni.

— Zawołaj lepiej Lodiego.

— Dlaczego? — Inżynier uniósł głowę i mrużąc powieki zajął Kroniemu w oczy.

— W waszej grupie jest agent, jednooki i czarnowłosa. Masz jeszcze jakiegoś innego człowieka z jednym okiem?

— Jednooki?... Według mnie... To niemożliwe!

— Chciałbym się mylić, inżynierze, ale lepiej nie ryzykować. I jeszcze jedno. Kiedy prosiłem, żeby mnie do ciebie zaprowadził, Dziń chciał mnie zamknąć, ale jak tylko powiedziałem, że Glizda zaczyna obławę, postanowił mnie zabić. Możesz zapytać wartowników.

— Zgoda. Lepiej nie ryzykować.

Razi wyjrzał na korytarz i zawołał Lodiego. Potem w dwóch słowach przekazał mu treść rozmowy z rurarzem.

Lodi w żaden sposób nie okazał swojego zdenerwowania lub niewiary.

— Powiem jednemu z moich chłopców, żeby miał oko na Dziń. A co się tyczy obławy, to trzeba wysłać część ludzi na wyższy poziom, żeby zaszli policjantów od tyłu. My na razie będziemy trzymać się tutaj.

Lodi wyszedł.

— Muszę być z nimi — powiedział Razi.

— Poczekaj. To, co ci powiem, jest ważniejsze. Daj mi dziesięć minut czasu.

Wystarczyło osiem.

Razi ani razu mu nie przerwał. Postukiwał tylko ołówkiem po blacie stołu, a potem położył paralizator na kartce papieru i zaczął go obrysowywać, zupełnie, zda się, pogrążony w tym bezmyślnym zajęciu. Czasem za drzwiami rozlegał się tupot kroków, potem odgłos wleczenia czegoś ciężkiego. Gdzieś w oddali wybuchły krzyki, strzał — i wszystko znów ucichło.

— Jesteś szczęśliwym człowiekiem, Kroni — powiedział Razi, kiedy opowieść rurarza dobiegła końca. — Chciałbym być na twoim miejscu.

— Potrzebujesz dowodów, inżynierze? — zapytał Kroni.

— Nie.

Lodi otworzył gwałtownie drzwi i stanął w progu.

— Dziń uciekł. Ogłuszył mojego chłopaka i uciekł. Nasi pogonili za nim, ale chyba spóźnili się.

— Szkoda — odparł inżynier. — Technik bardzo dużo wie.

— Owszem — przytaknął Lodi. — Wie, jak są rozmieszczeni nasi ludzie.

— Czy twój człowiek już wrócił z fabryki?

— Jeszcze nie. Wszystkich tkaczy zapędzili do hali produkcyjnej i zamknęli.

— Jest nas bardzo niewiele — powiedział Razi do Kroniego. — I broni mamy o wiele mniej niż policja.

— Ale za to teraz mamy się gdzie wycofać — powiedział Kroni.

— Lodi — zwrócił się inżynier do swego zastępcy. — Kroni był w Mieście na Górze. Tam można żyć. Tam są rośliny, świeże powietrze, woda i światło.

— Mówisz prawdę? — zapytał krótko Lodi, który w ogóle był mało mówny.

— Tak — odparł Kroni. — Byłem tam i zostawiłem tam przyjaciół, którzy pomogą nam, jeśli wydostaniemy się na powierzchnię.

— A dlaczego oni nie mogą zejść na dół? Dlaczego nie wytluką policjantów i nas nie wyzwolą?

— Oni są tu obcy — wyjaśnił Kroni — i nie znają naszego miasta. Gdyby wszystko było jak dawniej, nie musielibyśmy się spieszyć. Pomagalibyśmy ludziom wydostać się z miasta tak, aby Dyrektorzy i policjanci nie mogli ich złapać. Ale teraz jest na to za późno. Zaraz zacznie się

bitwa, więc nie mamy czasu na tłumaczenie.

— Powiem to swoim ludziom — zdecydował Lodi. — Łatwiej im będzie walczyć, jeśli się dowiedzą. Siedzimy tu już piąty dzień i czekamy, aż nas wytluką jak szczury. A to dlatego, że nie mieliśmy dokąd uciekać.

— Dobrze — powiedział Razi. — Ale najpierw musimy pokonać policjantów.

— Przepraszam — wtrącił się Kroni — Lodi powiedział, że skieruje część ludzi na wyższy poziom, żeby uderzyli na policjantów od tyłu. Może wszyscy powinniśmy wycofać się tą samą drogą?

— Lodi, zawołaj tu wszystkich starszych grup. Naradzimy się.

Nie zdążyli tego zrobić.

Z mroków odległych tuneli dobiegły, wypełniając wąskie rury szybów i korytarzy, dudniąc na placach miasta Przodków, gęste odgłosy strzałów. Policja ruszyła do ataku na podziemny obóz powstańców.

* * *

Kroni ukrył się za niską barykadą i starał się strzelać w rozbłyski strzałów.

Za zakrętem korytarza rozległy się krzyki. Światło lało się zza rogu, jak z otwartych drzwiczek pieca. Policja ustawiała tam reflektor. Znajoma rozczochna dziewczuszka podbiegła do niego, pochylając się nisko, żeby pozostać pod osłoną barykady.

— Cześć — poznał ją Kroni. — Też ci się udało uciec?

— Pewnie! — odpowiedziała z dumą w głosie. — Oni pomyśleli, że jestem głupia. Pan inżynier kazał strzelać do ich wielkiej lampy.

Już w pierwszych chwilach walki stało się jasne, jak wielką przewagę mają policjanci — wprawni w posługiwaniu się bronią i wyćwiczeni w obławach. Powstańcy strzelali chaotycznie i łatwo wpadali w panikę.

Barykady w bocznym przejściu nie zdążyli dokończyć i zaporą z rzuconych w poprzek korytarza kamiennych bloków sięgała co najwyżej do pasa, a i to nie wszędzie. Reflektor celował w kamienie i oślepił zaskoczonych, zdezorientowanych obrońców. Lodi siedział skurczony w ściennej niszy i podtrzymywał lewą ręką pokrwawioną prawicę. Drgnął i skrzywił się boleśnie w promieniu latarki Kroniego.

— Trzeba cię opatrzyć — powiedział Kroni.

— Nie ma na to czasu, a poza tym nie ma czym. Słyszysz?

Ktoś jęczał przeciągle w ciemności, jakby wyśpiewywał modlitwę.

— Nie możesz rozbić reflektora? Pewnie jest kuloodporny. Trafiłem go, a on ciągle świeci.

— Mój paralizator tu nie pomoże — odpowiedział Kroni. — Macie coś cięższego?

— Sprawdź tam.

Lodi wskazał otwarte drzwi do pokoju.

Kroni zajrzał do środka i zobaczył stos broni i skrzynki z nabojami. Garbus stał z boku i ważył w rękę szeroki nóż.

— A, rurarz — powiedział i uśmiechnął się krzywo na widok Kroniego. — Taki z ciebie rurarz, jak ze mnie...

— Daj spokój — przerwał mu Kroni. — Lepiej pomóż mi znaleźć to, co potrzeba. Zdejmij lampę z półki. Garbus usłuchał.

— Widzę, że cię oszczędzili — powiedział, zbliżając lampę do sterty broni.

— Dobrze widzisz. Szkoda tylko, że się nie poznali zawczasu na twoim przyjacielu.

— Jakim znów przyjacielu?

— Jednookim.

— Zostaw technika w spokoju! — warknął garbus. — On jest z mojego kwartału.

— Twój technik uciekł. To człowiek Glizdy. Trzymaj tę lampę! Jak nie wierzysz, to zapytaj Lodiego albo inżyniera.

— Jeszcze nie wiadomo, kto jest czym człowiekiem — powiedział garbus. — Ja technika znam, bo od dawna jest z nami, a ty dopiero co przyszedłeś. — Garbus nie chciał wierzyć, bo to znaczyło zważyć we własną ocenę ludzi. A skoro się zważy w siebie, to jak wierzyć innym?

Kroni nareszcie znalazł karabin z grubą lufą. Broń była nabita. Może się nada.

— Pomóż mi to zanieść pod barykadę — rozkazał Kroni.

Garbus znów posłuchał i chwycił karabin za ciężkie nóżki. Kroni ustawił broń i wycelował.

Reflektor świecił w oczy jak słońce, ale tu nikt poza nim nie oglądał słońca...

Rurarz strzelił w sam środek słońca, które rozbłysło jeszcze jaśniej, rozprysło się po ścianach tunelu, a jego środek jarzył się przez moment ciemną czerwonią, jakby umierał w nim kręty ognisty robak.

Na chwilę zapadła cisza. Potem zza barykady rozległy się przekleństwa, a Lodi powiedział:

— Możemy teraz trochę odetchnąć.

Kroni strzelał raz po raz i skądś zza kamieni pojawili się inni obrońcy barykady — co najmniej dziesięciu, jeśli sądzić po liczbie rozbłysków strzelającej broni. Kroniemu wydało się, że słyszy cichnący tupot kroków: policjanci się wycofywali.

Zostawił ciężki karabin przy barykadzie, a sam odczołgał się do Lodiego.

— To ty? — zapytał Lodi. — Ręka mnie boli. Dziwne, z początku tylko piekła, a teraz boli.

— Nie masz go czym opatrzyć? — zapytała Anita widząc na ekranie oświetloną latarką bladą, spoconą twarz Lodiego.

— Nie — powiedział Kroni. — Nie mamy lekarzy.

Lodi nie słyszał i mówił dalej:

— Moi tkacze powinni już dawno powstać i zejść od tyłu. Jeśli coś im się przydarzyło, nigdy się stąd nie wydostaniemy. Policjanci spychają nas w zasadzkę. Tutaj jeszcze się trzymamy, ale był człowiek od Razięgo i mówił, że muszą się wycofywać.

— Wobec tego zabiorę tam karabin — powiedział Kroni. — Może im jest potrzebniejszy?

— Poczekaj. Inżynier ma więcej ludzi. Ma też górników, którzy lepiej umieją obchodzić się z bronią. Gdzie się podziali nasi?

W tunelu panowała cisza. Tylko że trudno było oddychać w tumanach kurzu i dymie. Ktoś przeraźliwie rozkaszał się w ciemności.

— Zaraz znowu zaczną — powiedział Lodi.

Podszedł garbus.

— Zostawiłem tam to żelastwo — powiedział. — Chciałem cię uprzedzić, że trzech uciekło.

— Do policjantów?

— Nie, do tyłu. Jeśli policjanci uderzą, to zostało nas najwyżej sześciu.

— Nie podoba mi się ta cisza — powiedział Kruminsz. — Zobacz, Kroni, czy policjanci nie podchodzą pod barykadę.

Kroni zrozumiał, że nieprzyjemne przecucie, które go opanowało, udzieliło się również Kruminszowi. Podbiegł do barykady, przykucnął za nią i odstawivszy latarkę na długość wyciągniętej ręki, zapalił ją. Latarka świeciła bardzo jasno i jej promień prawie się nie rozpraszał.

Kruminsz miał rację. Tuż przed Kronim — tak blisko, że można było dojrzeć wyszczerzone w napięciu zęby i każdą rzęsę oczu — promień natknął się na twarz policjanta.

— Strzelajcie! — krzyknął Kroni. — Strzelajcie.

Spróbował wymacać na ziemi ciężki karabin, ale go nie znalazł, a zanim wyciągnął paralizator, policjanci byli już przy barykadzie.

Potem była walka wręcz i strzały. Ciężkie cielsko zważyło się na Kroniego i zaczęło go dusić. Bronił się, zdążył raz wystrzelić z paralizatora i wyrwał się z łap policjanta, ale zgubił latarkę. W ciemności był zupełnie bezradny, więc wtulił się w ścianę, starając się zorientować, gdzie są swoi, a gdzie wrogowie, ale nic z tego nie wyszło: jedni i drudzy krzyczeli jednakowo i jednakowo jęczeli.

— Kroni! — zawołał go Kruminsz. — Okulary!

— Jakie okulary?

— Masz okulary, przez które możesz widzieć w ciemności. Są w pasie, jeśli ich nie zgubiłeś.

Żeby tylko się nie stłukły! Jak mógł o nich zapomnieć? Przecież przymierzał je i wypróbowywał w laboratorium u Takasiego, cieszył się z przyszłej przewagi nad innymi...

Wymacał okulary. Ktoś przemknął obok niego, zważyło się na podłogę, zawył. Okulary były całe. Kroni nasadził je na nos, a elastyczna taśma objęła mu potylicę. Ciemność przekształciła się w mroczne piekło, w którym wolno kołysały się cienie, a z kłębowiska ciał wyrywała się co chwila jakaś postać i padała na posadzkę albo rzucała się z powrotem w walczący tłum, choć nie wiadomo było, w jaki sposób ci ludzie rozróżniają swoich i obcych.

Kroni uniósł paralizator. Nie spieszył się. Miał w zapasie jeszcze wiele sekund, a może nawet parę minut. W ciemności policjanci utracili swą główną przewagę... Zauważył jednak dwóch policjantów w hełmach, którzy wdrapali się na barykadę, ciągnąc za sobą niewielki reflektor. Wystrzelił.

Jeden z policjantów niosących reflektor — szary cień w jasnym hełmie — upadł. Drugi nie zorientował się, co zaszło, nie zdołał utrzymać sam reflektora i również, jakby sparaliżowany wystrzałem, zważyło się na barykadę z takim łomotem, że zagłuszył na moment zgiełk walki. Kroni widział, jak ocalały policjant macał w ciemności rękami i widocznie wołał kolegę, ale jego głos nie dotarł do niego. Kiedy zauważył, że ręka policjanta sięga do pasa po latarkę, wystrzelił jeszcze raz.

Podszedł bliżej do kłębowiska ciał, żeby strzelać na pewniaka. Największa przewaga paralizatora nad jakąkolwiek bronią polegała na tym, że wystarczyło trafić w jakąkolwiek część ciała, aby ofiara natychmiast straciła przytomność.

— Jeden — liczył Kroni na głos. — Drugi, trzeci, czwarty...

Zza barykady trysnęło światło kilku latarek. Nadbiegała policyjna odsiecz i w każdej chwili Kroni mógł utracić swą przewagę. Kilka razy strzelił w stronę barykady, ale chybił. Kula lekko pacnęła go w pierś, ale poduszka ochronna odrzuciła pocisk. Tuż obok przebiegł, z wyciągniętymi przed siebie rękami, jeden z tkaczy. Kroni pojął, że pozostali, wszyscy lub prawie wszyscy, pójdą za jego przykładem.

Ludzie z Góry niczego nie podpowiadali. Co zresztą można radzić, jeśli na ekranie widać jedynie niewyraźne kłębowisko cieni?...

Kroni odskoczył pod ścianę, bo zza barykady dobiegła gwałtowna kanonada, a potem krzyk:

— Jesteśmy otoczeni!

Odgłosy strzałów, krzyki i tupot wielu nóg zbliżały się i już policjanci, broniąc się rozpaczliwie, cofali się ku barykadzie. Dziwna rzecz: tkacze, technicy i kanceliści, którzy dopiero co gotowi byli uciekać na złamanie karku, teraz spychali policjantów na nierówną ścianę zbliżających się latarek.

Trzech policjantów wzięli do niewoli. Związali ich i posadzili pod ścianą, gdzie leżało ciało Lodiego. Twarz szewca była rozrąbana tasakiem, jedno oko było otwarte i patrzyło na otaczających go towarzyszy z niemym wyrzutem. Garbus wysunął się z tłumy, pochylił nad nim i

zamknął powiekę.

Niemal wszyscy obrońcy barykady byli ranni. Kroni przejął dowodzenie. Posłał garbusa do Raziego, żeby dowiedzieć się, co tam u nich, a reszcie kazał sprawdzić i załadować broń.

Rozczochrana dziewczuszka też przeżyła.

— Wujaszku — powiedziała do Kroniego, wczepiwszy mu się w rękaw. — Mogę zdjąć policjantowi buty?

— Przecież będą dla ciebie za duże! — powiedział Kroni, zerkając na jej maleńkie boscie nóżki, które dotąd nie znały obuwia. — Zdejmuj, zdejmuj — mruknął. Trzewiki były dla niej symbolem. I chociaż wydawało mu się z początku, że ludzie będą się z dziewczynki śmiać, to jednak nikt nawet się nie uśmiechnął.

Po jakichś dziesięciu minutach wrócił zadyszany garbus. Na dźwięk jego kroków wszyscy zamarli. Czekali.

— Wszystko w porządku — powiedział garbus, mrużąc oczy w świetle kilku latarek. — Razi woła do siebie rurarza Kroniego. Jeśli ty, rzecz jasna, jesteś rurarzem...

Tym razem garbus szeroko się uśmiechnął, pokazując rzadkie, czarne zęby.

— Obejmiesz tu za mnie dowództwo — powiedział do niego Kroni. — Pamiętaj, żeby postawić pięciu ludzi przy barykadzie. I spróbuj ustawić reflektor. Czy są tu jacyś elektrycy?

— Ja jestem elektrykiem — odezwał się ktoś z ciemności.

— Niech reflektor oświetla tunel przed barykadą. Oni mogą znowu ruszyć.

Do Kroniego przyczepiła się dziewczynka, która głośno szurała trzewikami, żeby ich nie zgubić.

Razi czekał na Kroniego przed drzwiami swego sztabu.

— Jak sądzisz, zaatakują znów z twojej strony?

— Teraz chyba nie. Glizda może nawet nie wiedzieć, co się stało, bo z tamtego oddziału nikt poza jeńcami nie ocalał. Nie potrzebujecie broni? Mamy wiele zbędnej. Odebraliśmy policjantom.

— Nie, broni jest dość. Mamy tu solidne zawały, nie to co z tamtej strony.

— Aż góry? Z dołu?

— Próbowali. Była eksplozja. Ale między poziomami jest w tym miejscu około pięciu metrów skały. Na razie im się nie udało.

Myśliwy wyszedł ze ściany obok nich. Był tak mały i cichy, że Razi i Kroni nie od razu go spostrzegli.

— Zaprowadzimy was — powiedział. — Tam gdzie siedzi Glizda.

— Jak się tu znalazłeś?

— Drogi myśliwych są ich odwieczną tajemnicą — odparł krótko szcurołap. — Cieszę się, Kroni, że szczęśliwie dotarłeś na miejsce.

— Dziękuję za dobre słowo — odparł Kroni. — Ilu mam wziąć ludzi?

— Weź tych, którzy bronili barykady — powiedział Razi.

Kroni z Razim położyli sobie pożegnalnym gestem dłonie na ramionach.

— Jeśli się nie uda — powiedział Razi — wyprowadź ludzi na Górę.

Kroni wrócił pod swoją barykadę. Za nim szedł mały myśliwy, a na końcu dreptała dziewczynka.

— Weźmiesz mnie ze sobą? — zapytała.

— Nie — odpowiedział Kroni. — Twoje trzewiki bardzo głośno stukają, a my musimy iść cicho.

Wybrał dziesięciu ludzi. Garbus zgłosił się sam. Stali teraz w promieniach reflektora, który oświetlał tunel na dobre sto kroków.

— Chcę wam powiedzieć — zaczął Kroni — że byłem na Górze. Tam jest wiele miejsca, dobre powietrze i dobra woda. Tam jest jasno...

Szczurołap poprowadził ich tajnym przejściem obok czarnych nisz, gdzie iskrzyły się zielone świetliki, przez biały stalaktytowy las. Po drodze przyczepiła się do nich zjawa, ale myśliwy ją odpędził. Potem znaleźli się w oświetlonym tunelu technicznym, gdzie znajdował się sztab policji.

* * *

Glizda nie dowiedział się, że jeden z jego oddziałów został całkowicie rozбит. Ale gdyby nawet dowiedział się o tym, zanim buntownicy dotarli do jego sztabu, też pewnie by w to nie uwierzył. Działanie każdego człowieka wypływa z jego życiowych doświadczeń i dlatego, choć Glizdę uwierała nieco świadomość, że buntownicy zdobyli broń, to nawet nie dopuszczał myśli o porażce. Na odwrót, wszystko zdawało się układać po jego myśli. Mekil od dawna uważał, że czas już najwyższy rozprawić się ze starymi grzybami w Radzie Dyrektorów. W tym celu należało ich najpierw nastraszyć, żeby sami błagali go o przejęcie władzy. Dyrektorzy są już wystraszeni. Teraz trzeba tylko dobić buntowników...

Glizda miał znakomite wyczucie niebezpieczeństwa, podobne do instynktu szczurów, które wiedziały zawczasu, że do tunelu wtargnie woda lub lawa. Dopiero co siedział spokojnie z zamkniętymi oczami i planował swoje kolejne posunięcia, a teraz zerwał się na równe nogi...

Niedobrze. Coś jest nie w porządku...

Nic nie zwiastowało niebezpieczeństwa. Z oddali dobiegały głuche uderzenia — strzałowi bili otwory pod ładunki wybuchowe, żeby skruszyć strop nad miastem Przodków — kapąła woda ze szczeliny w suficie, w przedsionku Spel kłócił się o coś z oficerem dyżurnym.

Glizda szybko podszedł do drzwi i wyjrzał przez szparę. Cicho.

Nie miał ochoty uciekać, ale Glizda postanowił nie kusić losu. Otworzył drzwi i w odpowiedzi na pytające spojrzenia oficerów powiedział:

— Pójdę do saperów, bo coś grzebią się z robotą. W korytarzu stał jednooki Dziń, któremu już udało się zdobyć kask ochronny z latarką.

— Dziń — powiedział Glizda — zejdź na dół do oddziału pomocniczego. Jakoś długo nie mam od nich żadnych wiadomości.

Glizda nie czekał, aż technik skryje się w głębi korytarza, tylko od razu ruszył bocznym przejściem, na którego końcu pracowali saperzy.

Kroni ze swym oddziałem spóźnił się o jakieś pięć minut.

— Tutaj — powiedział szczurołap.

Kroni powstrzymał gestem pozostałych, otworzył drzwi i wszedł do sztabu szefa policji.

Siedzący w końcu i gadający coś do słuchawki policjant zerknął tylko na niego przelotnie i natychmiast się odwrócił. Spel i drugi oficer, pochyleni nad planami podziemia, nie zauważyli nawet, jak wszedł.

— Gdzie jest Glizda? — zapytał Kroni.

— Wyszedł — odparł Spel odruchowo, zanim zorientował się, że nikt nie śmie określać szefa policji jego obraźliwym przezwiskiem. Potem uniósł głowę i zdębtwał: — Kroni?

Drugi oficer usiłował wyciągnąć pistolet z kabury.

— Nie rób tego — powiedział Kroni. — Nie jestem sam. Zabierzcie im broń.

Garbus podszedł do oficerów, którzy bez sprzeciwu oddali mu swe pistolety. Spel odwrócił się do Kroniego.

— Słuchaj, rurarzu... — powiedział.

— Z niego taki sam rurarz, jak i z ciebie, przystojniaczku.

— Panie Kroni — wykrztusił Spel, dławiąc się ze wstydu, że musi się tak poniżać. — Kroni, błagam cię, zaklinam cię w imię mojej siostry. Nie odbieraj mi pistoletu. To broń mojego dziadka. Nie mogę bez niego żyć!...

— A ja nie mogę ci go zostawić — powiedział Kroni i zmieszał się, bo w swoim głosie dosłyszał cień przeprasającego tonu. — Nie wolno mi. Jesteś policjantem.

— Lepiej mnie zabij.

— Nie wolno — uciął Kroni. Słuchali go wszyscy ludzie znajdujący się w pokoju i stojący na korytarzu. Garbus tymczasem zajął do tylnego pokoju.

— Uciekł — powiedział.

— Dokąd Glizda poszedł? — zapytał Kroni oficera.

— Powiedział, że idzie do saperów.

— Kto zaprowadzi tam naszych ludzi?

— Ja — powiedział policjant siedzący przy rurze słuchowej. Zapomnieli o nim, ale on też zapomniał, że może przez rurę ostrzec Mekila. — Ja zaprowadzę. To niedaleko.

— Zostaw mi ze dwóch ludzi — zwrócił się Kroni do garbusa — i leć z nim do saperów. Dużo ich tam jest?

— Nie — policjant cieszył się, że go nie zabiją. — Tam jest tylko trzech policjantów, a reszta to technicy z kopalni.

— Oficerów zamkniecie w tylnym pokoju. Nie ma tam zapasowego wyjścia?

— Nie — odparł myśliwy stojący za plecami Kroniego.

— Kroni, błagam cię! — powiedział Spel. — Tylko dwa słowa.

Drugi oficer bez sprzeciwu przeszedł do tylnego pokoju. Był zupełnie oszołomiony, bo takie rzeczy zupełnie nie mieściły mu się w głowie.

— Kroni, chcę porozmawiać z tobą sam na sam. Przecież wiesz, jak wiele z Gerą zrobiliśmy dla ciebie. Gdyby nie moja pomoc, już dawno byłbyś nieboszczykiem. Uwierz mi, że nie jestem twoim wrogiem.

Kroni nie uważał go za wroga, tylko za kogoś w rodzaju krewniaka, jeśli naturalnie rurarz może tak traktować dyrektorskiego syna. Spel był młodszym bratem, bratem nieudanym, głupim i wiarołomnym...

— Z przyjemnością zrobiłbym to dla ciebie — powiedział szczerze Kroni — ale broni nie mogę ci pozostawić, bo ci nie ufam. Jeśli nie zwyciężymy, z pewnością wrócisz do Glizdy. Zawsze będziesz czepiał się tego, kto jest silniejszy.

— Wyrzekasz się przyjaciela — powiedział Spel — i zwycięstwa. W ten sposób nas obu skazujesz na śmierć! — Odwrócił się gwałtownie i niemal defiladowym krokiem, wysoko unosząc kolana, ruszył do tylnego pokoju.

Smarkacz, pomyślał Kroni. Dzieciak bawiący się w wojnę... Nie domyśla się, że popełnia ciężki błąd, gdyż był przekonany o swojej słuszności. Ale ton Spela zaniepokoił Maksa Biełego.

— Co on mówił?

Kruminsz powtórzył mu groźbę młodego policjanta.

— Może to nie są czcze pogrożki? — zapytał Bięły.

Kruminsz wzruszył ramionami.

— Jeśli Kroni odda mu pistolet, to rzecz może się wydać podejrzana tym, którzy mu nie ufają. Przecież dla nich Kroni zjawiał się nie wiadomo skąd! A jeszcze ta dziwna znajomość z dyrektorskim synkiem...

* **

Glizda zdążył uciec garbusowi i jego ludziom. Gnał go przed siebie strach, przecucie nieszczęścia, nieznanego i niespodziewanego niebezpieczeństwa kryjącego się w ciemnych zakamarkach korytarzy.

Zatrzymał się przy saperach może na trzy minuty. Robota posuwała się wolniej, niżby sobie życzył, a starszy technik powiedział mu, że wybuch nastąpi za jakieś pół godziny. W przejściu było spokojnie i duszno, ale Glizda przykazał policjantom, aby nie pozwalali technikom odpoczywać.

Przecucie gnało go dalej, więc nie wrócił z zaułka tunelu do sztabu, lecz zatrzymał się przez chwilę na skrzyżowaniu, zastanawiając się, czy pójść w prawo, w kierunku grupy szturmowej, która piętro niżej atakowała barykady Raziego, czy na lewo — na spotkanie jednookiego Dżinia.

Skręcił w lewo, bo losy drugiego oddziału nie dawały mu spokoju, prześliznął się wąskim przejściem między domami i w ten sposób rozminął się z oddziałem garbusa. Instynkt jeszcze raz go uratował.

— Dopiero co tu był — powiedział jeden z techników, kiedy ludzie garbusa rozbajali policjantów. — Kazał mi się spieszyć.

— I nie powiedział, dokąd pójdzie?

— A ty byś takiego zapytał?

Garbus odesłał do Kroniego wziętych do niewoli policjantów i postanowił zaryzykować. Uzbroił techników i poprowadził ludzi w stronę barykady Raziego, żeby zaatakować policjantów od tyłu.

A Glizda przemykał się ciemnym tunelem, nie odważając się zapalić latarki i czując, że niebezpieczeństwo jest coraz bliżej. Zobaczył przed sobą dalekie światełko, przykucnął pod ścianą i wyciągnął rękę z pistoletem.

Światełko zbliżało się wolno, a promień latarki błędził po ścianach, jakby niosący ją człowiek był bardzo wystraszony.

— Kto idzie? — zapytał Glizda. — Jeśli nie odpowiesz, strzelam!

— Pan Mekil! — dobiegł go głos. — To pan, panie Mekil?

— Ja.

Glizda wyszedł na środek tunelu. To był Dziń, któremu nie mógł okazać własnego strachu. Oni wszyscy człowieka się boją, są mu posłuszni, dopóki czują jego siłę.

— No i jak tam?

Glizda nie spodziewał się dobrych wiadomości.

— Nie ma ich.

— A gdzie są?

— Nie ma ich.

Dziń jakoś skurczył się i zapadł w sobie.

— Już myślałem, że pana nie zobaczę — wyjąkał. — Bałem się, że pana też już nie ma.

— Nie gadaj głupstw! — krzyknął na niego Glizda. — Mów jak człowiek. Rozbili buntowników?

— Chyba nie.

— Co to znaczy „chyba nie”?

— Na barykadzie stoi reflektor i oświetla tunel. Nie da się podejść.

— To znaczy, że zdobyli barykadę.

— Nie, panie Mekil. Ja też z początku myślałem, że nasi są tam. Przecież tylko my mamy reflektory. Poszedłem tunelem, a oni zaczęli do mnie strzelać. Zacząłem krzyczeć, że jestem

swój, że idę do pana. A oni zaczęli się śmiać i rzucili mi ten woreczek. I powiedzieli, żebym zaniósł go panu, panie Mekil. Obrażali mnie i pana, panie Mekil.

Dziń zdawał się bredzić. W jego głosie kryła się błagalna prośba: „Panie Mekil, wszechmogący panie Mekil, niech pan powie, że to wszystko nieprawda, że to niemożliwe!”

— Daj mi to!

Dziń wyjął z kieszeni mały woreczek i podał go Glizdzie. Ręka mu drżała, bo woreczek był wypchany czymś ciężkim. Glizda rozwiązał go i na dłoń wysypała mu się garść znaczków identyfikacyjnych. Pięknych, połączonych znaczków policyjnych. Glizda zrozumiał i odrzucił znaczki, jakby go parzyły.

— Wszystko jasne — powiedział. — Zdrada! Nie był pewien, że śmierć policjantów była wynikiem zdrady, ale tak trzeba było powiedzieć...

— Odnajdziemy zdrajców i surowo ich ukarzymy! — dodał po chwili.

— Tak jest, panie Mekil! — wykrzyknął radośnie Dziń, którego uspokoiły te słowa, a zwłaszcza ich ton.

Dziń nie zastanawiał się, dlaczego szef policji skrada się w pojedynkę ciemnym korytarzem. Musiał mieć do tego jakiś powód, ważny, ale niepojęty dla zwykłego agenta.

Glizda odwrócił się i razem z Dżiniem ruszył z powrotem do sztabu.

— To są idioci — powiedział. — Dzięki zdradzie rozbili jeden z naszych oddziałów, ale zamiast dalej atakować, schowali się za barykadą.

Dziń posłusznie przytaknął.

— Nie znają zasad prowadzenia wojny — ciągnął Glizda — bo nikt ich tego nie nauczył. Wystarczy działać szybko, a wtedy łatwo sobie z nimi poradzimy.

Glizda nie wierzył w to, co mówił, ale Dziń wierzył, bo chciał wierzyć.

— Stój! — powiedział Glizda. — Słuchaj.

Tunelem prowadzącym do sztabu szedł bez pośpiechu tkacz, pędząc przed sobą wziętych do niewoli policjantów. Szli sobie i rozmawiali, a właściwie mówił konwojent, a jeńcy okrzykami wyrażali swe zdziwienie lub aprobatę tego, co im opowiadał.

— ...I tam, na Górze, nasi ludzie już byli i wszystko sprawdzili. No więc tam, na Górze, jest tyle światła, że nie potrzeba żadnych lamp. Tam zawsze jest ciepło i stoją domy. Po jednym dla każdego chętnego. A w każdym jest łóżko i kocioł kaszy na początek. A jak człowiek chce...

Głos konwojenta, który fantazją uzupełniał i upiększał opowieść Kroniego, dobiegał tak wyraźnie, jakby mówiący stał obok. Glizda z Dżiniem słuchali go nie śmiejąc nawet odetchnąć.

Potem Dziń zaczął unosić ręką z pistoletem, ale Glizda go powstrzymał.

— Narobisz hałasu — wyszeptał. — Niech lepiej przejdą. Nie powinni wiedzieć, że tu jesteśmy.

To była katastrofa. Zniknięcie jednego z oddziałów szturmowych mogło być wynikiem jakiegoś pechowego zbiegu okoliczności. Ale jeśli nie ma saperów i jeśli konwojent tak spokojnie idzie korytarzem obok sztabu, to już koniec. Został jeszcze oddział przed barykadami Raziego. Jeśli został. — Teraz jednak należało dotrzeć do ludzi z zasadzki, którzy nie brali udziału w walce i czekali, aż uciekający powstańcy wpadną w pułapkę. Od tego zależały dalsze plany. Jeśli Glizda zdoła wyprowadzić na górne poziomy tamtych policjantów, to jeszcze nie wszystko stracone. A tutaj... Tutaj walka już się skończyła. Glizda usiłował pogodzić się z tym, z czym nigdy godzić się nie chciał — z losem. Nie wierzył w możliwość klęski, ale kiedy ta przyszła, dumny był w duchu ze swojego nosa, który uratował mu życie, i zaczął wszystko planować od początku. Był człowiekiem czynu.

— Dziń — powiedział półgłosem, kiedy głosy ucichły w oddali — Jeśli potrafisz zrobić to, o co cię poproszę, to obiecuję, że będziesz mieszkał na najwyższym poziomie. Będziesz miał

własny dom i więcej bogactw niż Kalgar.

— Rozkaz, panie Mekil. Może pan na mnie liczyć.

— Weź ten klucz. To jest mój osobisty klucz. Przy dolnej windzie stoi oddany mi człowiek. Kiedy zobaczy ten klucz i usłyszy słowa: „Wysłaniec Boga Reda”, pomoże ci dostać się na Główny Poziom. Tam przy drzwiach windy czeka inżynier. On też wie o kluczu. Powiesz mu, że Mekil powiedział „już czas”. Zrozumiałeś?

— Tak jest, panie Mekil. Powiem strażnikowi „Wysłaniec Boga Reda”, a inżynierowi na Głównym Poziomie, że powiedział pan „już czas”.

— Leć. I pamiętaj, że zdrajców karzę śmiercią, a ludzi mi oddanych nagradzam tak, jak nie może nagrodzić nawet Rada Dyrektorów.

Dziń odwrócił się i ruszył pędem przed siebie. Gnał go strach przed wszechmocnym Mekilem i marzenie o własnym domu.

Glizda myślał o młodszym Spelu. Spel wiedział o Planie. Był jednym z dwóch oficerów dopuszczonych do tajemnicy. Drugi zniknął. Spel żył i był niepewny. W dodatku był zamieszany w sprawę zbiegłego rurarza, Kroniego. Spela należało usunąć. Najprawdopodobniej dostał się w łapy buntowników i będzie chciał kupić sobie życie. A ma za co je kupić.

Rozmyślając w ten sposób, Glizda skradał się tunelem, żeby bocznym przejściem wyminąć sztab i dostać się do korytarzy miasta Przodków. Wyłączył latarkę, żeby nikt go z daleka nie zauważył, przekonał się, że w korytarzu nikogo nie ma i postanowił przeskoczyć biegiem niebezpieczne miejsce. Ruszył z kopyta i dosłownie wpadł na Kroniego, który wszedł akurat zza rogu. Za Kronim biegł łącznik garbusa. Glizda stracił na moment równowagę, został oślepiiony i nie zdążył wyciągnąć pistoletu.

— To przecież sam pan główny policjant! — wykrzyknął uradowany tkacz, kiedy wraz z Kronim postawili niespodziewanego jeńca na nogi. — To przecież Glizda.

Tym razem instynkt zawiódł Glizdę. Trzykrotnie kusił los i w ten sposób wyczerpał limit szczęścia. Kroni nie posłuchał Kruminsza, który radził mu zamknąć Mekila oddzielnie. Nie miał czasu szukać jeszcze jednej celi. Kroni płynął na fali wydarzeń i inne sprawy, których znaczenie wyszło na jaw znacznie później, wydawały mu się teraz nieważne, bo od zwycięstwa dzielił go zaledwie krok.

Kiedy Kroni dobiegł do barykady, zobaczył, że policjanci zaatakowani z dwóch stron poddali się i zostali rozbrojeni, a na barykadzie podrygiwała jakaś rozczochrana stara kobieta ze strzelbą, wyśpiewując na cały głos nieprzyzwoitą piosenkę.

Policjanci byli zupełnie oszołomieni i bez oporu dali się zapędzić do obszernej niszy, gdzie ich zamknęto.

— Kroni! — wykrzyknął inżynier Razi. — Zwyciężyliśmy i to jest wspaniałe. Droga na Górę jest otwarta dla wszystkich!...

— Mam jeszcze lepszą wiadomość — powiedział Kroni. — Złapaliśmy Glizdę.

— Jak?

— Sam się złapał. Chciał uciec, ale wpadł na nas.

— Glizdę złapali — usłyszał ktoś i powtórzył na głos.

— Słyszycie, złapali samego Glizdę! Złapali waszego szefa — powiedział garbus do policjantów. — Teraz go rozgnieciemy jak glistę...

— Kroni, wracaj do sztabu — powiedział Kruminsz. — Jeśli Glizda ucieknie, możecie wszystko stracić.

— Nie ma dokąd uciekać — powiedział Kroni.

— Może uzbroić czystych i służbę. Czyżbyś myślał, że oni nie mają broni?...

— Idę już, idę, nie martw się — powiedział Kroni. — Staram się uspokoić samego siebie i

dlatego się z tobą spieram. Wróciłbym i bez twojego przypomnienia.

— Jeśli tak się spieszysz — powiedział Razi, zaczekawszy aż Kroni zakończy niezrozumiałą rozmowę z pustką — to później cię dopędzimy.

— Dobrze.

— Idę z tobą, wujaszku — powiedziała rozczochrana dziewczuszka, która jakimś cudem już tu dotarła.

— A buty? — Kroni spojrział na jej nogi. Buty były na miejscu. Dzieciak na wszelki wypadek przywiązał je sobie drutem do nóg.

Garbus też poszedł.

— Mam okropną ochotę dołożyć Gliździe — powiedział. — Marzę wprost o tym. Dawniej wcale o tym nie marzyłem. Co mi tam Glizda, kiedy bezpośrednio na karku miałem majstra. Ciągle tylko zastanawiałem się, jak by tu się na niego gdzieś zacząć i dołożyć...

Drzwi do sztabu były otwarte.

— Myśliwy! — zawołał Kroni.

Weszli do pierwszego pokoju. Był pusty.

Drzwi do wewnętrznego pokoju zastali otwarte, a w samym progu leżał martwy szczurołap. Złe przeczucia Kruminsza sprawdziły się...

Z głową wspartą na stole, z rękami wśród rozrzuconych planów i dokumentów leżał Spel.

Kroni podbiegł do niego. Spel dostał kulą w plecy. Z bliska, tak że mundur wokół otworu wlotowego był okopcony. Kroni dotknął głowy policjanta, bo wydawało mu się, że ten lekko się poruszył.

— Jednak uciekł ten sprytny szczur! — wykrzyknął zrozpaczony garbus. — Jak mu się udało zwabić myśliwego do środka? Myśliwi są tacy ostrożni...

— To moja wina — powiedział Kroni ponuro, zsuwając Spela na podłogę i siadając obok niego tak, aby położyć sobie jego głowę na kolanach. — Nie zrewidowałem go.

— Ech, rurarzu — powiedział garbus. — Ciągle musisz robić jakieś głupstwa.

Kroni lękał się, że tam, na Górze, będą się na niego gniewać. Ale oni milczeli.

Spel otworzył oczy. Otworzył je z trudem, niechętnie, jak człowiek obudzony w środku nocy. Zobaczył Kroniego, ale nie od razu go poznał. Potem zamknął oczy, znów je otworzył i powiedział:

— Przecież cię prosiłem...

Mówienie sprawiało mu ból, w gardle coś chrypiało i bulgotało. Garbus powiedział:

— Zaraz przyniosę wody. Oni mieli wodę w tamtym pokoju.

— Ja polecę — powiedziała rozczochrana dziewczuszka. — Boję się. Oni tu wszyscy umarli.

— Kroni — powiedział Spel. — On strzelił mi w plecy. Nie odebrałeś mi pistoletu, a mnie odebrałeś... Kroni...

— Dlaczego do ciebie strzelił?

— Bo znam... znam...

Spel zamilkł.

Dziewuszka przyniosła wodę, ale policjant nie chciał jej pić.

— Boję się — powiedział. — Umrę. Nie porzucisz mnie tutaj? Nie rzucisz... Gery?

— Wyniesiemy cię na Górę — powiedział Kroni. — Tam są lekarze i lekarstwa. Nie zostawimy cię.

Spel starał się coś sobie przypomnieć. Zmarszczył czoło, ale nie z bólu, tylko dlatego, że umykała mu jakaś bardzo ważna myśl.

— Nie mogę umrzeć — powiedział. — Muszę zdążyć na Górę. Nie oszukasz mnie znowu?

— Nie — odparł Kroni.

— Zanieś mnie jak najszybciej na Górę... Glizda strzelał do mnie, bo znam Plan. On wysadzi ścianę na szóstym poziomie. Wysadzi...

Spel spuścił głowę i stracił przytomność. Leżał nieruchomo, tylko na szyi pulsowała mu niebieska żyłka. Kroni zrozumiał, że Spel to jeszcze zupełny smarkacz. Głupi smarkacz, który nigdy nie widział Słońca.

— Co się stało? Uciekł?

W drzwiach stał Razi.

— Spel powiedział, że Glizda ma jakiś plan, że chce wysadzić ścianę na szóstym poziomie. Co to znaczy?

— Jak mu się udało uciec? — dopytywał się Razi, nie wierząc jeszcze w nieszczęście.

— Co może znaczyć wybuch na szóstym poziomie?

— Na szóstym? Mówisz, na szóstym?

— Tam nie ma wyrobisk? — zapytał Kroni garbusa.

— Nie, tam nigdy nie kopali.

— Spel! — Kroni starał się go ocucić. — Spel, na czym polega plan Glizdy?

Spel usiłował odpowiedzieć. Słyszał Kroniego i starał się mu odpowiedzieć.

— Woda... — wykrztusił wreszcie. — Woda.

— Ależ ze mnie głupiec! — wykrzyknął Kroni. — Głupi rurarz, który nie pamięta, że na drugim poziomie jest stare ujęcie wody. Woda musiała skądś płynąć... Tam może być jezioro. Spel, tam jest jezioro?

Spel był martwy.

— Co robić? — zapytał bezradnie inżynier Razi.

— Co robić? — powtórzył Kroni w języku Ziemi i ostrożnie położył głowę Spela na podłodze. — Mam wrócić na Górę?

— Weź się w garść, Kroni — powiedział Kruminsz. — Możesz połączyć się ze starszym Spelem?

— Znam jego numer.

— Powiedz mu o eksplozji. Powiedz też, że Glizda został pokonany.

— A jeśli zapyta o syna?

— Nic mu nie mów. Od tego, jak zachowają się dyrektorzy, może zależeć życie tysięcy ludzi.

— Dobrze — powiedział Kroni i wyszedł do zewnętrznego pokoju, gdzie była rura słuchowa.

— 888 — powiedział do operatora. — Chcę mówić z Dyrektorem Spelem...

Czekał jeszcze na połączenie, kiedy inżynier Razi dotknął jego ramienia.

— Spróbuję dostać się na szósty poziom — powiedział.

* * *

Glizdzie wciąż się wydawało, że jego ucieczka została wykryta i że pościg już za nim ruszył. Odgłos własnych kroków dudnił mu w głowie jak tętent pogoni. Biegł tak szybko, że był już za kolejnym zakrętem, kiedy echo kroków jeszcze nie ucichło w poprzednim korytarzu.

Spieszył się, bo musiał dotrzeć do zasadzki, zanim dotrą tam pogłoski o klęsce. Glizda doskonale wiedział, że nie bardzo może liczyć na wierność swoich podkomendnych. Zresztą on sam już nie był tym samym panem Mekilem, który jeszcze rano, kierując oddział policji na dół, myślał o tym, co powie, kiedy wróci z wyprawy i wejdzie na salę posiedzeń Rady Dyrektorów.

W pewnym momencie zatrzymał się. Zrobiło się gorąco. Dręczyło go pragnienie. Postarał się przypomnieć sobie plan tego poziomu. Niedaleko powinna być Zielona Sala miasta Przodków. Za tą salą stoją reflektory, które miały oślepić uciekających buntowników i zamienić ich w stado

przerażonych szczurów.

Jeśli Dziń dotarł do Głównego Poziomu, to za pół godziny zostanie wysadzony w powietrze kamienny masyw, oddzielający górne poziomy od gigantycznego podziemnego jeziora. Mekil przypadkowo odnalazł dokumenty na temat tego jeziora w bibliotece, nielegalnej bibliotece, którą jego ludzie wytropili w mieszkaniu pewnego starego inżyniera. Przed śmiercią inżynier zdążył jeszcze opowiedzieć o tym, jak dalece realne jest to zapomniane niebezpieczeństwo — masa wody zawisała nad miastem, która może zniszczyć wszystkie dobre poziomy, jeśli ktoś zdetonuje ładunki, umieszczone w skale przed setkami lat, kiedy generałowie urządzający podziemie przewidzieli wszystko: nawet własną śmierć.

Zza rogu wypłynęła błękitna zjawa. Z początku Glizda nie pojął, co to za światło, ale gdy migotliwy słup zatrzymał się, jakby w niezdecydowaniu, Glizda zrozumiał, że to zjawa.

Glizda wiedział — każdy dzieciak to wie — że zjawa zwiastuje śmierć. Nigdy nie przychodziło mu do głowy, żeby sprawdzić prawdziwość tego wierzenia, podobnie jak nie podaje się w wątpliwość istnienia samej śmierci.

Pośród wszystkich mieszkańców miasta jedynie myśliwi i Kroni wiedzieli, że zjawy są głodne i proszą ludzi o jadło... Glizda widział, że widmo śmierci zastępuje mu drogę, ale wierzył jeszcze w swoją szczęśliwą gwiazdę i nie zrezygnował. Uniósł pistolet i strzelił do zjawy. Strzelił z bliska, żeby na pewno trafić i dlatego zobaczył wyraźnie, jak błękitny słup światła drgnął przebity kulą. Zachwiał się, ale nie upadł, nie rozsypał się w proch. Zjawa mogła odczuwać ból, co wcale Glizdy nie zdziwiło, gdyż ból czują wszystkie stworzenia. Strzelił więc do zjawy, która cofała się dygocąc z bólu, a pociski przeszywały ją i rozpląszczały się na ścianach tunelu.

Pistolet szczęknął głucho. Był pusty.

Mekil skoczył do przodu, wymijając drżącą zjawę i pobiegł dalej. Biegł wolno, bo był zmęczony niezwykłym dla siebie wysiłkiem i czuł z obrzydzeniem, jak kołysze mu się brzuch i trzęsą policzki. Nigdy przedtem nie złościł się na własne ciało. Ciało zostało mu dane od Boga i było wcale nie gorsze od innych, młodych i szczupłych, chociażby dlatego, że Glizda mógł w każdej chwili pozbawić właściciela takiego ciała jego wyższości nad szefem policji. Piękne ciała tak samo mogą zwijać się z bólu, jak i ciała brzydkie, stare i wstrętne.

Wydało mu się, że rozpoznaje tunel, który doprowadzi go do Zielonej Sali. Tunel był szerszy od pozostałych i gdzieś tam pod jego sufitem wisiały rozbite lub przepalone lampy. Ruszył przed siebie nieco szybszym truchtem i nagle zobaczył kilka zjaw. Może było ich pięć, może dziesięć... Trudno powiedzieć, bo zlewały się razem, tworząc migotliwe kule, po czym znów rozpadały się na pojedyncze słupy. Zjawy blokowały całą szerokość tunelu i sunęły ławą na Mekila. Najwyraźniej nie chciały go puścić dalej. Glizda nie wiedział, że rozstrzelana przez niego zjawa wkrótce upadła na ziemię, skurczyła się i zgasła, gdyż pociski rozerwały na strzępy delikatną tkanę jej ciała. Zjawy są niezwykle żywotne, ale Glizda władował w nią cały magazynek. Jęk umierającej zjawy, niesłyszalny dla człowieka, dotarł do reszty plemienia. Zjawy nigdy nie napadały na ludzi, gdyż spotykały się tylko z życzliwymi im myśliwymi, którzy nie robili krzywdy mieszkańcom ciemności. Ale Glizda był wyjątkiem.

Glizda zawrócił. Biegł tunelem, oglądając się co chwile, żeby sprawdzić, jak daleko są zjawy. Ale one wcale się nie spieszyły. Kiedy znów się obejrzał, zobaczył coś tak dziwnego, że aż przystanął na moment.

Zjawy utworzyły pierścień, obejmujący całe światło tunelu, a w jego środku zostawiły czarny otwór, w którym nagle pojawiło się coś białego. Glizda wyteżył wzrok. Białe stworzenie wyskoczyło z otworu i pobiegło za nim. Wyciągnął kindżał i zaraz westchnął z ulgą. To był tylko szczur.

— Odejdź! — krzyknął i szczur posłusznie się zatrzymał.

Dalej szli w takim porządku, w jakim idzie procesja prowadząca skazańca do Otchłani. Z przodu włókł się skazaniec, który nie miał już siły biec. Za nim kat, a na końcu widzowie i sąd...

Nad głową zamajaczył czarny prostokątny otwór.

Glizda stanął. Gdyby mu udało się tam dostać, prześladowcy zostaliby w dole.

Zatrzymała się również procesja.

Minęła może minuta, a Glizda wciąż jeszcze próbował wyszukać jakiejś nierówności w ścianie, żeby wdrapać się po nich na górę. Zjawom znudziło się czekanie i znów ruszyły do przodu...

Szczur podbiegł bliżej, jakby strasząc. Wyszczrzył zęby. Glizda nigdy nie widział takiego bezczelnego szczura. Machnął w jego stronę kindzałem, ale nie sięgnął.

Zjawy były coraz bliżej...

Glizda podskoczył i uchwycił się zardzewiałego haka, który kiedyś służył do zaczepiania kabli. Hak wytrzymał. Glizda podkurczył nogi, żeby znaleźć dla nich oparcie i dosięgnął ręką drugiego haka, wystającego ze ściany bliżej stropu. Nie zauważył, jak szczur podskoczył, usiłując wczepić mu się zębami w nogę, ale nie sięgnął i spokojnie usiadł na posadzce, uniósł do góry ostry pysk i niemal rozumnie obserwował, jeśli tak można się wyrazić o stworzeniu pozbawionym oczu, jego rozpaczliwą wspinaczkę.

Przez chwilę Glizda wisiał zaczepiony rękami o krawędź włazu i z pewnością by spadł, gdyby mu niechcący nie pomogła jedna ze zjaw: wyciągnęła w górę cienki wyrostek i dotknęła jego nogi. Silne wyładowanie elektryczne podziało jak bat. Glizda szarpnął się do góry, przeleciał przez krawędź włazu i znalazł się na następnym poziomie.

Leżał na posadzce i gorączkowo dyszał. Nie mógł jednak wylegiwać się tam bez końca. Jednooki jest już na Głównym Poziomie i każdej chwili może nastąpić eksplozja. Jeśli będzie zwlekał, to nie tylko że nie wyprowadzi policjantów, ale i sam nie dotrze do windy...

Nad krawędzi włazu ukazał się szczyt zjawy. Jakby głowa bez ust i oczu. Zjawa szukała Glizdy.

ROZDZIAŁ 6

GINĄCE MIASTO

Sala posiedzeń Rady Dyrektorów była stara i od wielu lat nie remontowana. Nie odnawiano jej, żeby nie uszkodzić fresków na suficie. Freski wyblakły, pokryły się szarymi plamami, które przydały scenom batalistycznym dynamizmu i tajemniczości. Całe pokolenia Dyrektorów zasiadające pod plafonem przy stale tym samym, bardzo już zniszczonym masywnym stole, na twardej fotelach z wysokimi oparciami, często zwracały oczy ku górze, starając się odgadnąć znaczenie starych malowideł. Ale nazwiska tryumfujących bohaterów i powalonych wrogów dawno już zostały zapomniane i freski przypominały jedynie o wspaniałej przeszłości, która dziś nie przekazywała już żadnych treści — podobnie jak głowa kamiennego posągu, poniewierająca się od niepamiętnych czasów na tyłach Domu Dyrektorów. Kiedyś była na tyle ważna dla ludzi, że zdecydowali się przenieść ją z powierzchni do podziemia. Potomkowie ich strzegli głowy, podobnie jak wyblakłych fresków, gdyż tradycje należy szanować.

A niby dlaczego trzeba je szanować? — pomyślał Spel, wchodząc do sali i obrzucając wzrokiem zebranych w niej Dyrektorów.

Wybrani z wybranych, którzy rządzą podziemnym miastem, zgromadzili się dziś po raz trzeci, co stanowiło z ich strony niesłychane zaiste poświęcenie. Najpierw groził im Glizda, a potem Spel zawiadomił ich o istnieniu Miasta na Górze. Zignorowali tę wiadomość. Lęk przed Glizdą był znacznie realniejszy niż Tamten Świat. Przekonywali się nawzajem, że Glizda nie odważy się uczynić nic złego, że Glizda jest swój, że jego ojciec był Dyrektorem i siedział na tym miejscu... nie, na tym... nie, dokładnie pamiętam, dokładnie pamiętam, że właśnie na tym!

Miejsce Glizdy było puste, bo zresztą prawie nigdy nie było zajęte w trakcie posiedzeń. Glizda wie, że Dyrektorzy nie lubią go, że się go boją. Poza tym ceremonialność posiedzeń śmiertelnie go nudzi.

Spel senior zatrzymał się u szczytu stołu i powiedział głośno, żeby przełamać udawaną obojętność zebranych:

— Ośmieliłem się zakłócić wasz spokój, szanowni Dyrektorzy, tylko dlatego, że otrzymałem niezmiernie ważne informacje.

Twarze obecnych zwróciły się w jego stronę. Dyrektorzy odłożyli ołówki i osobiste dzwoneczki — oznaki władzy. Ich spojrzenia ześrodkowały się na czerstwej twarzy Spela.

— Szef policji Mekil poniósł porażkę — powiedział Spel, po czym zrobił umyślnie długą pauzę. — Doniesiono mi, że skrył się, uciekł w nieznanym kierunku. Władzę na dolnych poziomach przejęli buntownicy, którymi dowodzi inżynier Razi i znany mi Kroni, który przyszedł z Miasta na Górze.

Spel widział, jak informacja wolno przesącza się przez grube czaszki Dyrektorów, którzy zaczęli się zastanawiać, co jest gorsze: władza Glizdy czy życie bez niego.

— A my? — zapytał Dyrektor Kopalń. — Co będzie z nami?

— To jeszcze nie wszystko — powiedział Spel i oparł się brzuchem o krawędź stołu, żeby zbliżyć się do pytających, rozszerzonych ze strachu oczu Dyrektorów.

— To jeszcze nie wszystko. Otrzymałem też inne informacje. Glizda postanowił wysadzić w powietrze zaporę między szóstym poziomem a podziemnym jeziorem.

— Co? — poderwał się Kalgar. — Przecież zatopi w ten sposób dolny poziom miasta!

— Właśnie — powiedział Spel.

— Idiota! — nie wytrzymał Kalgar. — Zgubi tysiące ludzi! Chce utopić wszystkich, którzy są

na dole. Wymorduje własny naród. A kto będzie kopał rudę i tkął materiały? Kto będzie sprzątał, karmił, poił i oświetlał miasto? Kto będzie kupował w sklepach i czyścił rury?... Nie, to szaleństwo.

— Glizda zawsze był szaleńcem — powiedział Dyrektor Kabli. — Zupełnie nie przypomina swojego ojca. Ale co my możemy zrobić?

— Rozmawiałem z przywódcami spisku — powiedział Spel. — Oni powinni tu zaraz być.

— Tutaj?

— Tutaj!

— Boicie się ich bardziej niż Glizdy — zauważył Spel. — A tymczasem oni są dla nas znacznie mniej groźni. Jeśli potrafimy się z nimi dogadać, to zachowamy życie, majątek, a może i władzę.

— Spel ma rację — powiedział Kalgar. — Ci ludzie potrafią zachować się rozsądnie, jeśli tylko wykażemy pewną elastyczność.

— No więc wodzowie buntowników, a jeden z nich szczególnie, mianowicie inżynier Razi...

— Inżynier?

— Przestańcie mi przerywać! Wodzowie buntu uważają, że powinniśmy skłonić ludność dolnych poziomów, żeby stopniowo przechodziła w górę...

— A jeśli Glizda niczego nie wysadzi? — zapytał Kalgar.

W tym momencie rozległa się eksplozja.

Nastąpiła ona o wiele bliżej sali posiedzeń Rady Dyrektorów niż poziom, na którym znajdował się w tym czasie Glizda. Wydawało się, że pod nogami Dyrektorów ziemia się zapada. Światło zamigotało, a dobiegający z dołu łoskot był tak silny, że na chwilę wszystkich ogłuszył.

— To jest wybuch? — zdziwił się któryś z obecnych.

— Spóźniliśmy się — powiedział Kalgar. — Do ostatniej chwili miałem nadzieję, że nie odważy się tego zrobić.

— Przecież on pochodzi z takiej dobrej rodziny! Jego ojciec był Dyrektorem — powiedział Dyrektor Kopalń.

— Radzę — powiedział Spel — natychmiast włączyć Głos Władzy. A potem ratować się. Nie wiemy, czy ściany są tu wystarczająco mocne, żeby wytrzymać napór wody.

— Nie mogę uciekać! — wykrzyknął Dyrektor Kopalń. — Wszystkie moje klejnoty i cały dobytek został na dole.

Kalgar parsknął pogardliwie, wstał wolno z fotela i ruszył w stronę tylnego pokoju, niosąc przed sobą klucz, jak nakazywał wypracowany przed laty rytuał włączania Głosu Władzy.

Spel wyjął drugi klucz i poszedł za Kalgarem.

Pozostali Dyrektorzy wstali z miejsc. Tylko Dyrektor Kopalń, ogarnięty przerażeniem na myśl, że nie zdąży zabrać swoich skarbów, skoczył do wyjścia.

— Dokąd? — zapytał go surowo Dyrektor Generalny.

— A co się stanie, kiedy woda dotrze na ten poziom? — zapytał nieśmiało Dyrektor Kopalń.

— Woda będzie spływała w dół — rzucił przez ramię Kalgar. — Mamy jeszcze czas. Najpierw utoną ci z dołu — z elektrowni i kopalń.

* * *

Mekil z trudem wstał i ruszył przed siebie.

Włókł się wolno korytarzami, zaglądał do nisz i wciąż miał nadzieję, że kogoś spotka, że spotka bodaj buntownika, ale jednak człowieka, a prześladowcy znów szli za nim i nie usiłowali dopędzić. Mieli czas.

Wreszcie Glizda zauważył wąskie przejście, zamknięte uchylonymi do połowy drzwiami. Natychmiast wśliznął się do środka. Rzykował, że za drzwiami znajduje się ślepy zaułek, ale ślepo mógł się przecież kończyć każdy chodnik. Pobiegł przed siebie i po chwili znalazł się w pokoju przegrodzonym murem z nierównych głazów.

Koniec drogi.

Rozejrzał się dokoła i poczuł, jak zadrżała ziemia, jak głęboko westchnęły otaczające go ściany.

Zrozumiał, co to znaczy.

Zjawom udało się otworzyć drzwi, które za sobą zamknął i teraz zagradzały przejście błękitną rozedrganą kurtyną. Był w pułapce.

Szarpnął za kołnierz i guziki rozprysnęły się po posadzce. To były piękne i bardzo drogie guziki z górskiego kryształu... Wyszarpnął zza pazuchy sygnalizator na łańcuszku. Żeby tylko zdążyć. Nacisnął czerwony guzik i odrzucił niepotrzebny już aparat — jedyny w mieście. Wiedział, że na górze, w sztabie, gdzie czeka czterech agentów, zapaliła się czerwona lampka.

— To już wszystko — powiedział Glizda na głos.

Zjawy tkwiły w miejscu.

Glizda rozejrzał się jeszcze raz, żeby zobaczyć, jak wygląda miejsce, w którym przyjdzie mu umrzeć.

W kącie ciemniała sterta szmat. Glizda postąpił krok w tamtą stronę i oświetlił szmaty promieniem latarki.

Pod szmatami leżał człowiek. Nie wiadomo, kiedy umarł, ale w suchym powietrzu podziemia jego ciało nie zaczęło się rozkładać, tylko skurczyło się i zeschnęło. Leżał spokojnie i wyglądał jak pomnik, schowany pod szmatami przez jakiegoś dowcipnisia. Glizda zaczął się gorączkowo zastanawiać, skąd zna tego mężczyznę. Bał się zostać przy zwłokach człowieka, którego życie i śmierć były chyba jakoś związane z jego własnym losem...

— Inżynier Lemeń — powiedział Glizda. — To ty, inżynierze?

* * *

— Trzeba koniecznie wystawić wartę przy naszej windzie — powiedział Dyrektor Kabli.

— Zatoszczę się o to — oznajmił Dyrektor Generalny.

Idiota, pomyślał Spel, podchodząc za Kalgarem do wewnętrznych drzwi i patrząc jak ten, starając się, żeby mu nie drżały palce, odryglowuje zamek.

Drzwi stanęły otworem.

Kalgar włączył aparaturę.

Pozostali Dyrektorzy stali za jego plecami i obserwowali, jak stopniowo nagrzewają się czerwone włoski lamp.

Kalgar odsunął się na bok, a Spel włożył swój klucz do otworu nad szeregiem przycisków. Odskokzyła mała klapka, za którą leżał mikrofon.

Wszystko było gotowe.

Dyrektor Kopalń wśliznął się z pokoju i na palcach ruszył do wyjścia.

I zginął pierwszy.

Czterej agenci Glizdy, wykonując jego ostatni rozkaz położyli go jedną salwą.

Pozostałych Dyrektorów rozstrzeliwali z bliska w malutkim pokoiku nadajnika. Każda kula dosięgała celu, gdyż ofiary nie miały się gdzie ukryć.

I dlatego pierwszymi dźwiękami, które rozległy się w głośnikach zawieszonych na każdym skrzyżowaniu, były odgłosy strzałów, jęki i krzyki...

Guzik, który nacisnął Glizda, kiedy zrozumiał, że jego życie dobiega kresu, zapalił czerwoną lampkę w malutkiej izdebce za gabinetem szefa policji. Czwórka mężczyzn siedziała akurat przy stole i drzemała. Kiedy zapalił się sygnał, agenci sprawdzili pistolety, wstali i spokojnie wyszli na ulicę. Wiedzieli, kogo mają zabić, ale wcale się tym nie przejmowali. Wykonywali rozkaz pana Mekila, a pan Glizda nigdy nie zapomina o tych, którzy posłusznie wykonują rozkazy.

Przeszli pustą ulicą, wymienili porozumiewawcze spojrzenia, kiedy rozległa się eksplozja, ale nie zwolnili kroku. Jeden z nich bezszelestnie, ciosem w szyję, zlikwidował wartownika stojącego przed drzwiami sali posiedzeń Rady Dyrektorów. Weszli do środka i zabili wszystkich, których tam zastali. Najpierw tego, którego napotkali w drzwiach, a potem pozostałych, tłoczących się w malutkim pokoiku. Po wykonaniu rozkazu równie spokojnie odwrócili się i wyszli.

* * *

— Nie możesz stamtąd zleźć? — zapytał Kruminsz bez szczególnej nadziei w głosie.

— Muszę zostać. — Kroni wisiał pod sufitem hali maszyn elektrowni i wraz z dwoma robotnikami zaśrubowywał otwory wentylacyjne. Właściwie robotnicy mogli sobie z tym poradzić i bez niego, ale dodatkowa para fachowych rąk zawsze się przecież przyda.

— Bardzo jesteś potrzebny na powierzchni — powiedział Kruminsz.

— Razi miał wysłać ludzi, którzy będą obsługiwać windy.

— Stanczo schodzi do niego. Czy Razi się nie wystraszy?

— Nie.

— Stanczo podłączy do dźwigów zasilanie zewnętrzne w naszej elektrowni. Wody tam nie ma?

— Na razie jest sucho — odparł Kroni. — O Gliździe nic nie słyhać?

— Nie.

— Mam nadzieję, że szlag go trafił — powiedział Kroni, schodząc na dół po sznurowej drabince. — Uszczelnili już wszystkie otwory i minie dość dużo czasu, zanim woda przedostanie się do hali maszyn.

— Wyłączamy światło na poziomach mieszkalnych — powiedział inżynier dyżurny. Powiedział to tonem oznajmującym, ale było to pytanie, na które odpowiedzieć musiał Kroni. Na jego decyzję czekały dziesiątki ludzi, marzących tylko o tym, żeby pobiec do wind i wydostać się z tej pułapki — maszynowni tonącego okrętu. Ale dopóki Kroni nie powie, że można to zrobić, wszyscy pozostaną na swoich stanowiskach. Pracownicy elektrowni, bardziej niż inni mieszkańcy podziemia, przywykli do nieustannego niebezpieczeństwa, jakie niosło życie na wulkanie. Dlatego łączyło ich silne poczucie koleżeństwa, tak rzadkie w podzielonym na kasty mieście.

— Poproś go, żeby trochę poczekał — powiedział Kruminsz, który zrozumiał, o co chodzi inżynierowi. — Strach pomyśleć, co się stanie, jeśli ludzie zaczną opuszczać kwartały mieszkalne w ciemnościach.

— Zaraz — powiedział Kroni do inżyniera. — Nasi ludzie przenoszą reflektory pod drzwi wind. Potrzebują na ich zainstalowanie jeszcze z piętnaście minut. Wytrzymacie tyle?

W tym momencie nad Ich głowami zaszeleścił głośnik Głosu Władzy.

— To Spel — powiedział Kroni z ulgą. — Dyrektorzy zdecydowali się zawiadomić ludzi. Obawiamy się, że będą woleli zgubić miasto.

— Oni też chcą żyć — powiedział inżynier.

Kroni liczył sekundy i wyobrażał sobie, jak w tych rejonach miasta, gdzie nikt jeszcze nie wie

o wydarzeniach ostatnich godzin, ludzie porzucają swe zajęcia i podchodzą pospiesznie do głośników.

Cichy szmer utonął nagle w głośniejszym kanonadzie... Krzyki, jęki konających i znów strzały, jakby stawiające serię kropek nad niepojętą i straszliwą sceną, która rozgrywała się przy nadajniku.

Przez parę chwil stał nieruchomo. Całe miasto zamarło w przeczuciu, że te strzały znamionują rozpad świata. Nawet ludzie, którzy nic dotąd nie wiedzieli, wiązali te strzały z odległym hukiem eksplozji, słyszonym wcześniej, gdy w domach, biurach i magazynach światło pociemniało, jakby miało za chwilę zgasnąć. Pamięć o trzęsieniu ziemi, które przed paroma laty zniszczyło dużą część miasta, wyzwoliła z podświadomości pierwotny strach i pragnienie wyrwania się na zewnątrz, ale słowo „na zewnątrz” oznaczało jedynie ulicę albo inny poziom.

— Co tam się stało? — zapytał Kroni Kruminsza, ale Kruminsz też niczego nie wiedział.

Jednak zaraz potem w głośnikach rozległ się cichy, przerywany głos Razięgo.

— Współobywatele — powiedział — Rada Dyrektorów rozkazuje...

Ludzie zamarli i znieruchomieli, gdyż głośniki miały wyjaśnić, poinstruować i wskazać drogę ratunku, bo to był Głos Władzy.

— Współobywatele — powtórzył Razi, szukając w myśli odpowiednich słów.

Razi usłyszał strzały, kiedy biegł ulicą do Domu Dyrektorów i zrozumiał, że to robota Glizdy. Dlatego bał się usłyszeć jego głos, zawiadamiający o objęciu władzy.

Wbiegł na salę posiedzeń tuż za Gerą Spel. Gera przystanąła niepewnie w drzwiach do wewnętrznego pokoiku, nie wiedząc, co ma dalej począć. Ani Glizdy, ani policjantów nie było. Kto więc strzelał?

Razi odsunął Gerę z drogi i pobiegł do nadajnika. Wyrwał mikrofon z rąk leżącego na podłodze Spela i tylko raz zaczerpnawszy powietrza, żeby uspokoić nieco oddech, powiedział:

— Współobywatele... Rada Dyrektorów rozkazuje...

Nie było czasu na tłumaczenie, co się stało. Rada Dyrektorów nadal jeszcze rządziła miastem i podobnie jak policjanci nadal wykonywali rozkazy martwego Glizdy, tak samo Razi w imieniu nieżyjących Dyrektorów zwracał się do ludzi.

— Wszyscy mieszkańcy opuszczają kwartały zostawiając swoje rzeczy na miejscu...

Razi przypomniał sobie lokalizację wind i schodów, i starał się zaplanować najkrótsze drogi ucieczki.

— Kwartały 1, 2, 3 i 4 każdego poziomu mieszkalnego wydostają się na górę schodami i windami służbowymi lewej strony. Pozostałe sektory korzystają z wind głównych. W pierwszej kolejności wsiadają do wind mieszkańcy najniższych poziomów. Za spokój i porządek ewakuacji odpowiadają kwartałowi. Każdy, kto spróbuje uciekać odpychając innych, zostanie surowo ukarany. Kwartałowi opuszczają poziom dopiero wtedy, kiedy już nie będzie na nim ludzi. Kwartałowi, którzy spróbują uchylać się od wykonania tego rozkazu, zostaną surowo ukarani. Każdy bierze ze sobą zapaloną lampkę i stawia ją przed swoim domem. Komunikat zostanie powtórzony. Razi rzucił mikrofon i zawołał górnika, który towarzyszył mu od windy.

— Zapamiętałeś, co trzeba mówić?

— Tak.

— Na rozkaz pana Spela przyniosłem plany.

Razi odwrócił się, w drzwiach pokoiku stał niemłody już inżynier ze zwojem papierów w ręku.

— Proszę położyć je na stole.

Inżynier zaczął rozwijać arkusze na stole dyrektorskim, na którym leżały jeszcze ołówki i dzwoneczki Dyrektorów. A z sąsiedniego pokoju rozległ się niepewny głos górnika:

— Współobywatele, spokojnie...

Głos zamilkł i stary inżynier przesuwając palcem po planie burknął z niezadowoleniem:

— Taki głos nadaje się jedynie do straszenia ludzi.

Razi podbiegł do nadajnika. Górnik trzymał mikrofon w wyciągniętej ręce. Razi wyrwał mu go i szczerknął wyłącznikiem.

— Co zrobić! — powiedział. — Nie mogę tu zostać.

— Ja będę mówić — powiedziała blada dziewczyna.

Razi z ulgą oddał jej mikrofon. Nie poznał, kto to jest, więc przy pierwszych słowach wypowiedzianych przez nią do mikrofonu drgnął jak oparzony.

— Tu Gera Spel. Mówię z polecenia mego ojca. Rada Dyrektorów rozkazuje...

Razi postąpił przy niej przez parę sekund, potem wyszedł do inżyniera i zamknął za sobą drzwi.

* * *

Glizda zrozumiał, że nie może zostać przy zwłokach i skoczył ku ścianie wymurowanej z nierównych głazów. Widocznie zbudował ją sam Lemeń. Glizda zaczął się rozpaczliwie szamotać, usiłując obalić ścianę i nie wiedział, że niedawno tak samo szamotał się z nią, tyle że z drugiej strony, rurarz Kroni.

Wreszcie znalazł słabe miejsce w murze, ten sam kamień, który Kroni wypchnął, a potem wstawił na miejsce. Wyciągnął głaz, pchnął go brzuchem i potoczył w stronę zbliżających się zjaw, które rozstały się i znów znieruchomiały.

Woda będzie wypełniała niezliczone korytarze bardzo długo. Dzień, a może nawet dwa... Zdaży więc wydostać się na górę i znowu wszystkich oszuka... Będzie żył, bo nie może umrzeć. Umierają słabi, tacy jak Lemeń i Spelowie!

W nagłym przypływie energii przecisnął się przez dziurę w murze i upadł na posadzkę sąsiedniego pomieszczenia. Rozbił sobie przy tym łokcie, ale latarkę uratował. Uniósł z ulgą głowę, bo poczuł ruch powietrza, co znaczyło, że jest już w mieście Przodków.

W promieniu latarki zobaczył szcurze pyski. Wiele, całe setki szcurzych pysków ustawionych w półkole, jak gdyby szcury zebrały się z całego podziemia, żeby powitać go po ukazaniu się zza kulis. I gdyby Kroni mógł zobaczyć tę scenę, ostatnią scenę w życiu Mekila-Glizdy, dyrektora podziemnego miasta, bardzo by się zdziwił i pomyślałby, że przez tydzień szcury nie ruszyły się spod ściany, do której go odprowadziły. Pomyliłby się jednak. Szcury zjawyły się tu niedawno, bo wiedziały, że człowiek zakończy swój bieg tunelami właśnie tutaj...

* * *

Takasi dotarł do siedziby policji niemal równocześnie z mordercami. Widział ich plecy: mordercy wchodzili do środka leniwym krokiem ludzi, którzy odwalili właśnie kawał dobrej roboty i teraz mają prawo nieco sobie odpocząć.

Takasi wszedł za nimi, nie wiedząc naturalnie, kim ci ludzie są.

Akurat w momencie, kiedy Takasi przekroczył próg, głośnik ożył i odezwał się głos Raziiego:

— Współobywatele...

Mordercy zatrzymali się pośrodku pokoju i popatrzyli w stronę głośnika. Rozumieli, że wiadomość jest w jakiś sposób związana z tym, co przed chwilą zrobili.

— Kroni — odezwał się półgłosem Takasi. — Słyszysz mnie?

— Słyszę — odpowiedział Kroni, który podchodził akurat do windy służbowej. Oświetlenie w

mieście składało się już tylko z reflektorów, zasilanych przez elektrownię zainstalowaną przez archeologów na górnych poziomach, i z kaganków, które kazał zapalić Razi. Obok Kroniego stało tylko ośmiu ludzi, ostatnich pracowników elektrowni, którzy sprawdzali, czy wszystkie otwory w hali maszyn są dobrze uszczelnione.

— Włączam wzmacniacz — powiedział Takasi. — Zapytasz ich, gdzie jest Glizda. Mam nadzieję, że mój wygląd jest wystarczająco przekonujący. Mam na sobie pancerny skafander.

Głos Gery rozbrzmiewał w głośnikach. Gera zwracała się do współobywateli. Kroni milczał. Kroni słuchał jej głosu.

— No! — ponaglił go Takasi. — Ci ludzie powinni równocześnie zobaczyć mnie i usłyszeć twój głos.

Jednak mordercy odwrócili się wcześniej i zobaczyli w drzwiach przybysza ze świata duchów, straszliwą istotę z wielką błyszczącą głową.

Zaraz potem w pokoju rozległ się grzmiący głos:

— Gdzie jest Mekil?

Mordercy rzucili się do tylnych drzwi i zderzyli w wąskim przejściu. Żadnemu z nich nie przyszło do głowy, że można strzelić albo bronić się w jakiś inny sposób, gdyż wiedzieli, że zasłużyli sobie na to, aby los zesłał na nich odwet, straszliwy i nieubłagany.

— Kto widział Glizdę? — niósł się nad nimi głos, ale pytanie pozostało bez odpowiedzi, gdyż mordercy już przedarli się przez drzwi i tratując się nawzajem, wyjął z przerażenia, przemknęli przez dyżurkę gabinetu Glizdy, gdzie jeszcze płonął czerwony sygnał Ostatniego Rozkazu, przebiegli przez izbę tortur i dalej, potajemnym przejściem, którym wnoszono zwłoki tych, którzy nie wytrzymali tortur, wydostali się na zewnątrz. Tunel biegł pochyło w dół, ku Otchłani. Mordercy zbiegli o parę poziomów niżej, a potem, samotni wobec śmierci, zapadali coraz dalej w ciemność, dopóki nie stali się cieniami bez twarzy i nazwisk.

Takasi obszedł wszystkie pomieszczenia komendy policji, zajrzał do gabinetu Glizdy, zobaczył izbę tortur, przejrzał archiwum z kartoteką wszystkich mieszkańców miasta i dotarł do sypialni Mekila, w której szef policji zazwyczaj nocował, bo nie lubił spać w domu. Glizdy nigdzie nie było i nic nie wskazywało na to, żeby ukrywał się gdzieś w pobliżu. Zameldował o tym Kruminszowi, który został na powierzchni.

— A myśmy tu wysadzili w powietrze wejście do podziemi — powiedział Kruminsz. — Teraz jest tu co najmniej dziesięciometrowa dziura w ziemi. Za parę minut będziemy gotowi ze wszystkim.

— Co poza tym? — zapytał Takasi, wychodząc na korytarz.

— Co się dzieje? — Takasi poznał głos Nataszy, która starała się mówić tonem wesołym i beztroskim, żeby ukryć lęk o Takasiego, ukrytego gdzieś tam, na dole, gdzie może się przydarzyć coś okropnego. — Anita jest na zboczu wzgórza, gdzie zakłada szpital polowy. Nie widzę jej stąd.

— A dlaczego nie jesteś razem z nią?

— Zostałyśmy z Kiroczką tutaj — powiedziała Natasza. — Będziemy odbierać uciekinierów i odprowadzać ich w bezpieczne miejsce.

— Rozumiem — odparł Takasi. On też nie mógł jej powiedzieć, że wolałby, aby odeszła dalej, gdyż Natasza na pewno poczułaby się dotknięta.

— Günther poszedł na dół — ciągnęła Natasza. — Stancio też poszedł. Wiesz, wszyscy po prostu zapadają się pod ziemię, a ja się o was boję.

— Gdzie on teraz jest?

— Günther poszedł na szósty poziom. W samo piekło, wyobrażasz sobie?

— Ja też tam pójdę — powiedział Takasi.

— Oj, nie rób tego. W niczym mu nie pomożesz. Zapytaj Kruminsza.

— Kroni — przerwał jej głos Kruminsza. — Nie ma u was wody?

— Po ścianach szybu windy spływają strumyczki, ale to czasami się zdarza, kiedy pęknie jakaś rura — odpowiedział Kroni, który jechał akurat windą wraz z ostatnimi energetykami z elektrowni.

— Zatrzymaliśmy się — powiedział po chwili — bo zobaczyliśmy wiele kobiet i dzieci, których nie zdążają wywozić. Będziemy musieli iść pieszo.

— Kroni, daj spokój! — wykrzyknął Kruminsz. — Bardzo jesteś nam potrzebny tu, na górze.

Na ekranie miał scenę, zarejestrowaną przez nadajnik telewizyjny Kroniego: podest przed windą i kobiece ręce wczepione w kratę, aby zatrzymać kabinę — jedyny łącznik między życiem a nieubłaganą, zagadkową śmiercią. Krata odsunęła się i ukazała mieszaninę ciał i uniesionych do góry rąk. Wizerunek piekła oświetlonego jaskrawym promieniem reflektora. Reflektor kołysał się pod naporem tłumy i dwaj elektrycy zawzięcie odpychali ludzi, aby nie zniszczyli jedyne go źródła światła. Potem obiektów na piersi Kroniego zwrócił się do tyłu, na wolno pełznącą do góry, poprzecinaną pionowymi prętami kraty jasną plamę kabiny.

Na podeście zostało jeszcze wielu ludzi, a podchodzili nowi.

Kruminsz zrozumiał, że Kroni nie mógł uciec sam z tej pułapki — z dolnego, najbiedniejszego, najbardziej zatłoczonego i najniebezpieczniejszego poziomu podziemnego miasta.

Kroni posłał inżyniera i dwóch robotników, żeby sprawdzili, jak daleko można przedostać się schodami służbowymi. Chciał skierować na nie ludzi, bo nie był pewien, czy uda mu się jeszcze raz ściągnąć windę tak nisko, bo przecież po drodze były inne poziomy, a na każdym z nich tłumy przerażonych ludzi oczekujących na ratunek. Wiedział wprawdzie, że do szóstego poziomu jest daleko i że schody, z których bardzo rzadko korzystano, w wielu miejscach nie nadają się do użytku, ale wolał coś zrobić niż czekać bezczynnie. Dopóki jednak nie wrócą zwiadowcy, nie chciał wysyłać ludzi na schody, żeby nie spowodować paniki. Na ulicach pakowały ciemności, gdzieś rozpraszane jedynie przez kaganki. Przy windzie można było jeszcze na coś liczyć.

* * *

Kiedy jednooki Dziń dotarł do Głównego Poziomu i oddał czekającemu na niego saperowi klucz, nie wiedział zupełnie, do jakiego celu ten klucz ma posłużyć. Myślał, że jego misja na oddaniu klucza się skończy. Ale saper, który też nie wiedział, co się stanie, kiedy naciśnie dźwignię w niszy szóstego poziomu, dostał rozkaz, żeby udać się na miejsce w towarzystwie człowieka z kluczem. O tym zaś, co się stanie, kiedy pierwszy posłaniec otworzy niszę na szóstym poziomie, a saper naciśnie dźwignię, wiedział tylko Mekil.

Dziń włókł się za saperem długim i szerokim jak ulica tunelem wzdłuż leżących bezładnie pod ścianami przerdzewiałych rur i myślał, że powinien wrócić i że nic go nie obchodzi, co zamierza zrobić jego towarzysz. Klęska Mekila, prawdziwa i ostateczna, doszła do jego świadomości i wraz z tym zrozumieniem pojął, że Glizda go okłamał, że z równym powodzeniem mógł mu obiecywać stanowisko Dyrektora Generalnego.

Kiedy pretendent na dyktatora ponosi klęskę, to nie od razu, nie w jednej chwili traci zwolenników i sługi. Zwłaszcza w tych wypadkach, kiedy uprzednio zdołał wbić im do głów przekonanie o własnej wszechmocy. Dlatego też, kiedy domek z kart się rozsypuje, to poszczególne walety i dziewiątki siłą bezwładu trzymają się asa atutowego i wykonują jego szalone rozkazy nawet wtedy, gdy zdają sobie sprawę z ich szaleństwa. Dziń też pozostawał wierny, ale jego wierność nie podtrzymana stosowną nagrodą została wystawiona na próbę, kiedy

pomyślał, że nie ma już pana. Jeszcze szedł, ściskając w spoczonej dłoni klucz, ale już myślał tylko o tym, gdzie się ukryć, dokąd uciec.

— Daleko jeszcze? — zapytał Dziń chrapliwie.

— Zaraz będziemy na miejscu — odpowiedział saper nie odwracając głowy.

— I co będzie? — zapytał Dziń.

— Nie wiesz?

— Nie.

Pomyślał, że nie ma co udawać.

— Ja też nie wiem — powiedział saper. — Ty otworzysz niszę, a ja uruchomię maszynkę.

— Po co?

Tym razem saper się odwrócił.

— A skąd mam wiedzieć? — zapytał ze złością. — Bo to mi kto powie? Dlaczego Glizda przywiązywał do tego tak wielką wagę?

— Co to za maszynka?

— Wiadomo! — Saper wzruszył ramionami. — Zapalarka.

— Zapalarka?

Widocznie gdzieś tam jest sekretne archiwum Glizdy, które nie powinno wpaść w ręce jego wrogów. Albo specjalne więzienie. Mimo wszystko pomysł wybuchu zupełnie się Dżiniowi nie podobał. Nie dlatego, żeby żał mu było więźniów. Po prostu bał się, że sam może zginąć pod gruzami.

— Daleko jeszcze? — zapytał Dziń ponownie.

— Już jesteśmy na miejscu.

Gdyby saper powiedział, że to jeszcze kawał drogi, Dziń by dalej nie poszedł. Przygotował sobie nawet w myśli słowa: „Mam dosyć, wracam, a ty jak chcesz”.

— Otwieraj — powiedział saper, który nie zastanawiał się nad skutkami tego, co robi.

Dziń posłuchał, obrócił klucz w zamku i otworzył niewielką skrytkę z szarą skrzynką w środku. Ze skrzynki sterczała długa dźwignia i wystawały kable niknące w ścianie.

Na skrzynce było jeszcze parę guzików.

Dziń spojrzał w głąb tunelu. Był zupełnie pusty. Nie mógł dostrzec żadnego archiwum.

Saper sprawdził kable, podłączył aparacik z okrągłym cyferblatem i patrzył uważnie, jak drzy umieszczona na nim strzałka.

— No jak, zaczynamy? — zapytał.

Dziń nie odpowiedział. Przyglądał się jego kieszeniom i zastanawiał się, czy nie nosi w którejs z nich pistoletu.

Saper nacisnął jeden z guzików, a potem szarpnął dźwignię.

Rozległ się grzmot. Zakołysały się ściany tunelu, zamigotały, zgasły i znów się zapaliły wiszące pod stropem lampy... Posadzka zadrżała i jedynie to, że stali obaj we wnęce, uratowało ich przed siłą podmuchu. Grzmot nie ustawał, Dziń przylepił się do ściany i czując całym ciałem jej dziwne dygotanie, chciał tylko jednego — żeby ten dygot nareszcie się skończył...

Huk nie cichł, ale ściany przestały się trząść. Niechybna śmierć, która zajrzała w jedyne oko Dżinia, teraz wycofała się w ciemność i stamtąd się z niego naśmiewała.

— Teraz — powiedział saper, wstając z podłogi jak gdyby nigdy nic — strzelimy jeszcze raz i będzie dosyć.

— Co? Jeszcze raz?

Dziń był wściekły, bo nie miał wątpliwości, że następny wybuch będzie ostatni w jego życiu.

— Jasne — odpowiedział saper. — Zgodnie z instrukcją. I przesunął dźwignię do pozycji wyjściowej.

— Zwariowałeś? — krzyknął Dziń, starając się przekrzywić narastający łoskot. — Zgubisz nas! Nie widzisz, co się dzieje?

Saper popatrzył na niego ze zdziwieniem.

— Mamy przecież rozkaz — powiedział i znowu wyjął aparacik, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Dziń wiedział już, że nie dopuści do drugiego wybuchu. Wyciągnął rękę w stronę aparaciku, żeby zerwać przewody, ale saper zwinnym ruchem uderzył go w przegub. Dziń nie poczuł bólu. Wczepił się w szyję sapera, szarpnął i zwałił na dygocącą posadzkę. Usiadł na nim okrakiem i tak długo bił jego ciemieniem o kamienie, dopóki saper nie znieruchomiał.

Potem wstał. Zataczając się podszedł do zapalarki i na wszelki wypadek wyrwał z niej kable. Zrzucił maszynkę na podłogę i pobiegł tunelem z powrotem, uciekając przed hukiem i dygotem ścian.

Pierwszy wybuch wytworzył w zaporze głęboką szczelinę. Druga eksplozja miała ją pogłębić i skruszyć do reszty. Wtedy woda z jeziora trysnęłaby w głąb miasta jak z otwartego przepustu. Ale drugiej detonacji nie było i dlatego woda początkowo tylko sączyła się przez szczelinę. Jej ciśnienie było jednak tak wielkie, że z każdą sekundą szczelina rozszerzała się i wydłużała, a potem rozgałęziała na boki.

Katastrofa nie nastąpiła od razu. Woda potrzebowała trochę czasu, żeby przerwać uszkodzoną wprawdzie, ale wciąż istniejącą zaporę.

* * *

Günther szedł tunelem szóstego poziomu i pchał przed sobą wózek ze zbiornikiem płynnego plastra i rozpylaczem. Plaster wiązał prawie natychmiast i wypełniał pianą dosłownie każdy otwór. Poza tym Günther cały był obwieszony ładunkami wybuchowymi. Eksplozja zastała go w pustym szybie i rzuciła na stojący tam zardzewiały wagonik. Dobrze jeszcze, że ładunki nie wybuchły. Günther wstał z trudem i usłyszał za sobą kroki. Dopędzał go Razi ze starym inżynierem. Obaj przybiegli tam z Domu Dyrektorów.

Inżynier na widok dziwnego stroju i ładunku, który pchał przed sobą tropiciel, stanął jak wryty, zdrętwiał z przerażenia, ale Razi domyślił się, kto to taki. A ponieważ znał tylko jedno słowo, które Günther mógł zrozumieć, więc powiedział:

— Kroni.

— Słusznie — odpowiedział Günther. — Kroni. Mój przyjaciel. Którędy iść dalej?

— Chwileczkę — powiedział Kruminsz, który nie nadążał z obserwowaniem wszystkich. — Kroni, jak zapytać, którądy iść dalej? Günther spotkał Razięgo.

Kroni powiedział.

Günther starannie powtórzył niezrozumiałe dla siebie słowa.

Razi zwrócił się do inżyniera, a ten rozwinął plan. Plan był stary, poźółkły i wystrzępiony na brzegach. Skała drżała i w każdej chwili z zapory mogła trysnąć woda.

Razi i Günther pochylili się tak, że ich latarki świeciły na plan. Inżynier bez słowa pokazał punkt, w którym się znajdowali. Ten tunel dochodził do szerokiej sztolni, wzdłuż której ciągnęły się błękitne nitki dawnego wodociągu. Na jego końcu znajdowało się stare ujęcie wody, a krawędź rysunku zajmowała niebieska plama z rozmytymi brzegami — podziemne jezioro.

Od strony jeziora rozległ się tupot kroków. Biegł stamtąd jednooki mężczyzna. Wpadł jak zabłąkana mucha w jaskrawy krąg światła i podniósł ręce do góry.

— Uciekajcie — krzyknął. — Uciekajcie!!!

— A więc to twoja robota — powiedział cicho Razi. — To ty byłeś z Glizdą!

— Nie pozwoliłem mu strzelić drugi raz! — krzyknął jednooki, nie poznawszy głosu Raziego.
— Nie pozwoliłem mu...

Kroni tłumaczył Güntherowi słowo po słowie. Kroni wciąż musiał się rozdawać: znajdować się na swoim poziomie, jechać windą, wprowadzać do kabiny dzieci, wysyłać ludzi na poszukiwanie nie zniszczonych schodów i jednocześnie tłumaczyć rozmowy — dla Stancza, dla Günthera, dla Takasiego...

— Gdzie jest Glizda? — zapytał Razi, chociaż nie było czasu na takie dociekania. — Tam?

— Glizda został na dole. Nie ma Glizdy. Wysłał mnie z kluczem i saper nacisnął dźwignię. Ale ja mu nie pozwoliłem nacisnąć jeszcze raz...

— Pójdiesz z nami.

— Nie! Lepiej mnie zabijcie... Nie pójdę.

— Pójdiesz! — ryknął Günther po niemiecku. Nikt go oczywiście nie zrozumiał, ale głos potwora, ciągnącego wózek z okrągłym zbiornikiem, był tak straszliwy, że Dziń zrezygnował z oporu.

Doszli do głównej sztolni i od razu zobaczyli, że wgłębieniem pośrodku posadzki biegnie rosnący w oczach strumień wody.

— Kroni — powiedział Günther do mikrofonu — powiedz im, żeby tu zostali. — Dalej pójdę sam, bo dla nich to zbyt niebezpieczne.

— Zostańcie tutaj — powtórzył jego słowa Kroni. — Dalej jest niebezpiecznie.

— Bardzo niebezpiecznie — zgodził się pospiesznie jednooki. Stary inżynier skwapliwie zrobił krok do tyłu. Zwinął plany i teraz trzymał je w ręku jak dzidę.

— On to sam pociągnie? — zapytał Razi, patrząc z niedowierzaniem na ciężki wózek.

— Tak — powiedział Kroni, który niczego nie widział, ale potrafił sobie tę scenę wyobrazić.

Lampy w tunelu już zgasły i w świetle latarek strumyk wyglądał jak czarna oliwa. Woda wystąpiła już z rowka i podchodziła pod nogi.

— Nie mam czasu — mruknął Günther i ruszył tunelem pod prąd. Zrozumiał już, że wybuch nie do końca zniszczył skalną zaporę, chociaż prawdopodobnie runie ona za parę minut. Wiedział też, że jest jedynym człowiekiem w mieście, który może przynajmniej odroczyć nieuniknioną katastrofę.

Pozostali patrzyli za nim. Wody jeszcze przybyło i Günther musiał coraz wyżej podnosić nogi, żeby nie pośliznąć się na zmoczonych kamieniach.

— Wracajcie — powiedział Razi. — Wracajcie!

Inżynier natychmiast odwrócił się, jak wypuszczony na wolność niewolnik, który lęka się, że jego pan może się rozmyślić, i pobiegł ciemnym korytarzem. Dziń natomiast został.

— A ty tu czego? — zapytał Razi, patrząc w ślad za idącym wolno Güntherem. — Przecież zesłałeś zgubę na miasto.

— Ja nie wiedziałem — odpowiedział Dziń. — Nie dałem mu zdetonować reszty ładunków. Gdybym wiedział, że tam jest woda...

Razi machnął ręką i niezgrabnie pobiegł po kolana w wodzie.

A Dziń poszedł za nim. To było dziwne i zdumiewające. Najdziwniejsze dla samego Dżinia, który zachodził w głowę, co go tak pcha do przodu, ale nie mógł się zatrzymać. Dreptał za Razim i powtarzał, że to nie jego wina, że zrobił wszystko, żeby do katastrofy nie dopuścić, ale nie potrafił przekonać nawet siebie samego, a jego głos brzmiał żałośnie i błagalnie.

Nikt nie zamierzał karać Dżinia, który był tylko ślepym narzędziem w rękach Glizdy. Puściliby go wolno, bo nie był im do niczego potrzebny... On jednak szedł za nimi i nie mógł zawrócić.

Razi dopędził Günthera i zaczął popychać wózek. Günther obejrzał się i warknął:

— Kroni, on idzie za mną.

— Niech idzie — odpowiedział Kroni, nie tłumacząc słów Günthera Raziemu.

— To niebezpieczne — mruknął Günther.

— To jest nasze miasto — odparł Kroni. — Idziesz teraz w sam środek niebezpieczeństwa, żeby uratować nasze miasto. Gdybym tam był, też bym z tobą poszedł.

— Nie gadaj głupstw — odpowiedział Günther po niemiecku — nie gadaj głupstw, Kroni. Wy kiedyś też odplaciecie dobrem za dobro.

Tej rozmowy nikt nie słyszał, bo i nie miał kto słyszeć. Pierwsza winda utknęła pod górnymi poziomami, a Stanczo wisiał teraz nad nią na kablach ryzykując śmiertelne porażenie i usiłował przełączyć zasilanie na awaryjny agregat. W windzie płakały dzieci i robotnik, który sterował kabiną, kłął Stancza na czym świat stoi, bo nie widział go i uważał za jednego ze znajomych elektryków. Maks Biely pomagał automatом uprzętać kamienie, które zostały po wysadzeniu w powietrze górnego wjazdu i układał z nich pochylnię wyjściową. Kruminsz dyżurował przy ekranach, utrzymywał łączność z ludźmi na dole i przeklinał los, który nie pozwalał mu rzucić się do ciemnego zapadliska.

Wózek popychali w trójkę. Wszyscy milczeli, bo musieli pokonywać napór strumienia, sięgającego już niemal do piersi. Günther był wdzięczny tym ludziom, gdyż wiedział, że muszą bać się o wiele bardziej niż on. Był tropicielem i nieraz zdarzało mu się iść pod prąd lub pokonywać strumienie, z których nie można było wyjść cało, a jednak zawsze z nich cało wychodził. Nie widzieli tego, co tropiciel widział w ciągu dwudziestu lat pracy. Dlatego musieli się okropnie bać. Jednak Günther mylił się. Nie bali się, gdyż nie mieli na to czasu, z tak rozpaczliwym wysiłkiem popychali ten wózek i jednocześnie trzymali się go, żeby strumień wody ich nie porwał. Nie mieli czasu pomyśleć, jak niewiele szans mają na wydostanie się z tunelu.

Tunel rozszerzył się i przekształcił w salę starego ujęcia. Przednia ściana była pokryta szczelinami, z których woda tryskała z taką siłą, że jej strumienie dosięgały przeciwległej ściany i rozbijały się o nią, ściekały w dół i rozlewały się po podłodze, tworząc zawichrowania i wiry. Günther popatrzył ponurym wzrokiem na splekaną ścianę i powiedział:

— Niedobrze.

— Co? — odezwał się Kruminsz.

Ściana drżała i oddychała jak żywa. Dziń patrzył na nią jak zaczarowany, wytrzeszczając swe jedyne oko. Całkiem zatracił poczucie rzeczywistości i nie uciekał tylko dlatego, że nie pomyślał, iż można to zrobić.

— Obawiam się, że nie zdołamy jej utrzymać — powiedział Günther.

Mówiąc to już unosił rozpylacz. Wózek zadrżał i omal się nie przewrócił, bo tylko Razi trzymał go z jednej strony.

— Uwaga! — krzyknął Razi, ale Dziń go nie słyszał.

Günther chwycił za drugi bok wózka i z trudem go wyprostował. Razi odwrócił się i zaparł się w wózek plecami. Nogi ślizgały mu się, więc usiadł w wodzie, która sięgała mu prawie do ust i falami zalewała oczy. Woda była bardzo zimna.

Günther nic więcej nie powiedział. Włączył rozpylacz i skierował go na ścianę. Piana zderzyła się ze strugami wody, rozpadała się na strzepy i zastygała w locie.

Wreszcie zaczęła przyklejać się do ściany, osiadając na niej jasnymi plackami, wzdymającymi się i pluskającymi pod naporem wody.

* * *

Kroniego tak dalece pochłoneło to, co działo się na górze, że nie od razu zauważył wracającego zwiadowcę.

— Schody można odblokować — powiedział robotnik. — Nie wiem tylko na jakiej długości. Znaleźliśmy ochotników i zaczęliśmy już uprzątać gruz.

Kroni zapytał Kruminsza:

— Na windy można liczyć?

— Nie jestem pewien — powiedział Kruminsz. — Kabinę, która zjeżdżała waszym szybem, przechwycono w pół drogi. Zajmują ją ludzie oczekujący na wyższych poziomach. Trudno im się dziwić. Tam przecież też są dzieci...

* * *

Günther nie wypuszczał rozpylacza z rąk i piana stopniowo wypełniała salę. Nagle rozpylacz pisnął i szarpnął mu się w rękę. Koniec.

— Koniec — powiedział Günther.

Razi podniósł się z ziemi. Zrozumiał.

Wody trochę ubyło. Piana wypełniła całą przeciwległą część sali ujęcia i wypływające spod niej strumienie jakby nieco osłabły. Piana zapadła się i gęstniała tworząc szczelną błonę, drgającą od czasu do czasu, jakby ktoś z tamtej strony uderzał w nią miarowo ciężkim młotem.

— Zyskaliśmy trochę czasu, ale niewiele — mruknął Günther. — Trzeba będzie zawalić tunel.

— To będzietrzymało? — zapytał Razi.

Kroni usłyszał pytanie i przetłumaczył je.

Kroni wciąż jeszcze stał na podeście windy. Wysłał część mężczyzn do uprzątnięcia schodów, a sam został na dole.

— Będzietrzymało, ale niedługo — powiedział Günther. — Może tylko dziesięć minut. To jest jak plaster w poszyciu tonącej fregaty.

Raziemu wydało się, że piana sunie w ich stronę.

— Co to? — zapytał.

Günther odpowiedział, biegnąc już w kierunku tunelu, a Kroni przetłumaczył:

— Poleciała zaporą. Teraz trzyma już tylko plaster.

— Dziń! — krzyknął Razi. — Uciekamy.

Dziń go nie słuchał.

Günther chwycił go za łokieć i pociągnął za sobą. Dziń wrywał się jak oszalały. Oko miał puste i straszne. Żrenica nie reagowała na światło latarki.

Günther zaklął, bo tracili bezcenne sekundy. Zaklął po niemiecku, więc zrozumiał go tylko Kroni. Złapał Dzińia w pól i pociągnął za sobą.

— Kroni, powiedz mu, żeby zostawił jednookiego! — błagał Razi.

— Szkoda mówić — odpowiedział Kroni. — On i tak mnie nie posłucha.

Wody pod nogami prawie nie było, ale Günther i Razi wiedzieli doskonale, że plaster długo nie wytrzyma. Przebiegli jeszcze kilkanaście kroków i w tym miejscu, gdzie strop tunelu nieco opadł, jakby skała nad nim nie była monolitem, rzucił jednookiego na podłogę i zaczął wyjmować z kieszeni ładunki wybuchowe. Ułożył je rzędem na posadzce, a Razi stał nad nimi i liczył. Musiał coś zrobić, więc stał i liczył ładunki, chociaż nikomu nie było to potrzebne. Dziń siedział na podłodze z brodą opartą na kolanach, jakby zastanawiał się nad czymś niezwykle ważnym.

— Uciekaj stąd! — wrzasnął nagle Günther, jakby dopiero teraz spostrzegł stojącego przy nim Raziego. — Zabieraj tego wariata i uciekaj.

Kroni posłusznie tłumaczył jego słowa, patrząc na coraz cieńszy strumyk wody spływający po ścianie szybu windy.

— Nie — powiedział Razi.

— On nie ucieknie — powiedział Kroni. — Już ci przecież mówiłem.

Günther zaczął metodycznie rozmieszczać ładunki w tunelu, jakby miał do dyspozycji całą wieczność.

Kruminsz błagał go w duchu, żeby się pospieszył, ale nie odezwał się nawet słowem, bo nie wolno było tropicielowi przeszkadzać. Pomyślał jeszcze: jakie to szczęście, że Maks Biely wyrównuje łazikiem drogę do prowizorycznego szpitala i niczego nie słyszy. Jakie szczęście, że nie słyszy. Przecież przepracowali razem dwadzieścia lat...

Ledwie to pomyślał, rozległ się grzmot rwącego się na strzępy plastra.

— Uciekaj! — zdążył jeszcze raz krzyknąć Günther, ale Razi nawet nie drgnął. Wbił tylko paznokcie w dłoń, żeby nie uciec. Günther padł na ziemię przewracając Raziego i w tej samej chwili odpalił wszystkie ładunki.

Zdołał jeszcze w zupełnej ciemności dojrzeć ścianę wody, pędzącej przed sobą strzępki rozdartego plastra. Zobaczył jeszcze, jak wali się strop tunelu, jak schodzą się ściany, a kamień i woda zderzają się ze sobą z nieprawdopodobną siłą żywiołu... I pojął, że gdzieś w samym oku tego szalonego cyklonu znajduje się on sam, inżynier Razi i agent Dżiń...

* * *

Dźwięk urwał się. We wszystkich głośnikach. I nie można już było na nic liczyć. Nawet na cud. Kroni wciąż patrzył na strumyk płynący po ścianie szybu i czekał, aż przekształci się w strumień albo zniknie.

Ale nie nastąpiło ani jedno, ani drugie. Strumyk nadal ciurkał. Na chwilę całkiem znikł, ale później, wolniej wprawdzie i spokojniej niż poprzednio — jednak popłynął. Kroni wyobraził sobie, jak cienkie strużki sączą się spod zawału, a potem łączą się w strumień biegnący nieubłaganie w dół. To była jeszcze jedna zwłoka, ale niestety tylko zwłoka.

To właśnie powiedział Kruminszowi, bo Kruminsz nie mógł wiedzieć, jakie skutki przyniosła eksplozja.

— Domyślam się — odpowiedział Kruminsz lakonicznie. Powiedział to i jeszcze raz pomodlił się w duchu, żeby Maks na razie nie wracał do niego, żeby jak najdłużej torował drogę do szpitala. Zobaczył, że Natasza i Kiroczka, które również nie słyszały, jak zakończyła się walka Günthera z wodą, zniknęły nagle pod ziemią, jakby zobaczyły tam coś ważnego. Domyślił się, co to mogło być.

— Wyszli pierwsi ludzie — powiedział Kruminsz do Kroniego, a następnie przełączył się na szpital i zapytał Anitę: — Jesteś gotowa na przyjęcie pacjentów? Wyszli pierwsi ludzie.

— Zwariowałaś? — wykrzyknęła doktor Sołomko. — Poczekaj trochę!

— Nie mogę zatrzymać ludzi pod ziemią tylko dlatego, że nie jesteś jeszcze gotowa.

— Źle mnie zrozumiałaś — powiedziała Anita. — Po prostu byłam zaskoczona. Co z innymi?

— W porządku — odparł sucho Kruminsz, bo Anita pytała przede wszystkim o Günthera, a on nie mógł jej powiedzieć.

Natasza stała w szerokim wykopie. Deszcz znów się rozpadał i dziewczyna pomyślała, że to dobrze, bo słońce nie będzie oślepiało ludzi, którzy nigdy go nie widzieli. A wkrótce zaczną się ściemniać.

— Żeby tylko udało się ich wszystkich wyprowadzić przed zmrokiem — powiedziała Kiroczka zbiegając do niej.

Zatrzymały się, patrząc na pochylnię. Na samym jej dole widać było ludzkie twarze.

To był dziwny i przerażający widok.

Dziewczęta stały niemal u szczytu pochylni, która opadała na równy placyk, prowizoryczny podest windy, na który Stanczo wyprowadził pierwszą grupę uciekinierów, wyswobodziwszy ich uprzednio z unieruchomionej kabiny. I ci ludzie, głównie kobiety i dzieci, zatrzymali się, jak tylko zobaczyli nad swymi głowami jasną plamę. Stali tak, bo nie mogli, nie potrafili zrobić już nawet kroku.

Stali zbici w ciasne stadko i patrzyli tam, gdzie było nieznane, dziwnie zimne i zbyt białe światło. A dziewczętom wydawało się z góry, że ich twarze świecą, że są okrągłe i puste, nagie i zupełnie jednakowe.

Ten żywy obraz trwał długo. Nieskończenie długo. Minutę albo i więcej. Nikt się nie poruszył, a ludzie w dole patrzyli na dwie figurki w dopasowanych kombinezonach, które ciemnymi sylwetkami rysowały się na tle zbyt jasnej plamy.

Krople deszczu wpadały czasem do środka jamy, ale żaden z uciekinierów nie wycierał ich z twarzy. Mieszkańcy podziemia zdawali się uważać je za krople spadające z wysokiego stropu świata na Górze.

Żeby wreszcie zakłócić tę ciszę i odrętwienie, Kiroczka wyprzedziła Nataszę, zbiegła do pochylni w dół, podeszła do grupki ludzi i wyciągnęła rękę do najbliższej stojącej rozczochranej, straszliwie brudnej i przerażająco wychudzonej dziewczynki w ogromnych, topornych buciorach przymocowanych drutem do nóg i w strzępach szarej szmaty na biodrach zamiast spódniczki.

Kiroczka podała jej rękę. Dziewczynka patrzyła na nią uważnie i bez uśmiechu. Potem jej pajęcza łapka drgnęła i zaczęła długą wędrówkę na przestrzeni paru centymetrów, żeby przebić ścianę powietrza oddzielającą obie ręce.

Ręka Kiroczki była ciepła, więc dłoń dziewczynki od razu się w niej zagnieżdżyła.

— Chodźmy — powiedziała Kiroczka i leciutko pociągnęła ją za rękę.

Dziewczynka obejrzała się. Wszyscy patrzyli na nią, jak gdyby od następnego kroku zależało całe ich życie.

Dziewczynka poszła za Kiroczką. Pozostali najpierw zrobili jeden krok — wszyscy razem, tak że cały tłum drgnął i zafalował — a potem jeszcze jeden. Zapłakało dziecko na ręku matki, matka syknęła na nie...

Szli obok Nataszy. Nie odważyli się wyprzedzić Kiroczki z dziewczuszką i bali się zostać w tyle. Wspinali się po pochylni i z każdym krokiem robiło się widniej. Ludzie zaczęli się na siebie oglądać i dziwić się temu, co widzą, gdyż po raz pierwszy w życiu zobaczyli swoich sąsiadów przy świetle dziennym.

Natasza stała nie wiedząc, co ma robić, aż wreszcie, kiedy minęła ją ostatnia kobieta z brudnym tłumokiem na plecach ciągnąc za rękę małego chłopczyka, skoczyła ku niej, żeby pomóc. Kobieta jednak zaczęła się od niej opędzać, bojąc się wypuścić z rąk swoje skarby. Natasza zrezygnowała i znów przystanęła bezradnie. Zaraz jednak usłyszała za sobą znajomy głos:

— To ty, Nataszo? Nie uciekaj przede mną, nie porzucaj mnie o piękna, i udziel swej wspaniałomyślnej pomocy moim braciom krasnoludkom!

— Oj! — wykrzyknęła Natasza z ulgą. — Znowu zaczynasz się wygłupiać, Taks.

Takasi prowadził korytarzem następną grupę ludzi, którym pomógł usunąć zawał na schodach koło komendy policji. Ludzie szli trzymając się za ręce, niczym ślepcy drepczący gęsiego. Przewodnikiem tego stadka był Takasi, który zrzucił hełm, żeby nie straszyć nim uratowanych. Musieli przejść w ten sposób kilka górnych, pustych i ciemnych poziomów, gdzie tylko latarka archeologa dawała im jakąś orientację.

— Gdzie tu się przywraca wzrok i leczy rany? — zapytał Takasi. Zrzucił hełm, zanim Günther zniknął z eteru i dlatego nie wiedział, że tropiciel zginął, więc gdy tylko ludzie wyszli na pochylnię, zapytał Nataszę:

— Co słyhać z Güntherem?

— A bo co? — zdziwiła się dziewczyna, która nie mogła oderwać wzroku od straszliwej procesji szkieletów. — Jak ci ludzie w ogóle żyli?

— Günther miał wysadzić w powietrze tunel...

— Oj! — przestraszyła się Natasza. — Wcale o tym nie wiedziałam.

Takasi dwoma susami wyprzedził grupę, wydostał się na górę i pobiegł do centralki, przy której pod brezentowym daszkiem siedział Kruminsz. Już dobiegając pomyślał, że Kruminsz od rana bardzo się postarzał.

— Co z Güntherem? — wykrzyknął.

Kruminsz jednym ruchem raki wyłączył wszystkie mikrofony.

— Przyszedeś? — powiedział. — To dobrze.

— Wyprowadziłem około trzydziestu ludzi. To niewiele, ale musieliśmy przebijać się przez zawałone schody. Co z Güntherem?

— Günther zginął, ale zawał w tunelu na razie trzyma wodę. Nie wiem jak długo...

— Günther zginął?

— Tak, Takasi. Ale jego zawał jeszcze trzyma wodę.

— Günther...

Takasi nie mógł sobie wyobrazić, że Günther może umrzeć.

— Posłuchaj, Taks — powiedział Kruminsz. — Po pierwsze nie powiedziałem tego jeszcze ani Anicie, ani Maksowi. Po wtóre zostało nam niewiele czasu i będziesz musiał tam wrócić. Niech dziewczęta odprowadzą uratowanych do szpitala, a potem zostaną tam, żeby pomagać Anicie.

— Jasne! — burknął Takasi. — Ale zrzuciłem hełm i nie mam łączności.

— Weź przenośny nadajnik.

Kruminsz podał mu aparat. Takasi założył słuchawki, przymocował mikrofon koło ust i pobiegł z powrotem do ciemnej jamy. Ludzie z podziemia już stali na górze, mrużyli oczy i zasłaniali je rękami przed światłem, chociaż dzień był pochmurny i zbliżał się ku wieczorowi.

— Dziewczęta! — krzyknął w biegu Takasi. — Zastąpię was tutaj. Zaprowadźcie ludzi do Anity.

— A co z Güntherem? — zapytała Natasza.

— Prowadźcie ich — odparł Takasi. — Nie widzisz, że już wychodzą następni?

Dziewczęta posłusznie ruszyły drogą wyrąbaną w krzakach, jak kaczki prowadzące za sobą pisklęta.

— Hej! — krzyknął Stanczo, widząc że Takasi schodzi do jamy. — Idę do podziemia. Winda działa, ale nie ma jej kto obsługiwać. To niedaleko.

— Tak — powiedział Takasi. Stanczo też nie wiedział o śmierci Günthera i był pewien, że wszystko idzie jak należy.

Takasi uruchomił radiostację i natychmiast mnóstwo dźwięków odezwało mu się w uszach. Głos Gery:

— Szanowni współobywatele. Nie zapominajcie, że zapalona lampka wystawiona na ulicę pomoże wam i waszym sąsiadom szybciej odnaleźć drogę do windy i schodów...

Głos Kroniego:

— Tak, Wilis, wiem, że Stanczo zjeżdża na dół. Obawiam się jednak, że winda się do nas nie przebije. Nie masz pojęcia, co dzieje się ponad nami...

Głos Kruminsza:

— A jak z wodą?

Głos Kroniego:

— Znowu jej przybyło. Na samym dole z pewnością jest już całe jezioro. Dobrze, że uszczelniliśmy elektrownię, bo inaczej kotły mogłyby wybuchnąć.

Takasi uruchomił swój nadajnik:

— Kruminsz, idę na szósty poziom.

— Nie — odpowiedział Kruminsz. — To jest pół godziny marszu, a gdyby Günther żył, już dałby o sobie znać.

— A jeżeli jest ranny?

— Stracimy i ciebie.

— Tutaj zostanie Maks. Ja nie mogę zostać. Stanczo wyprowadził nową grupę ludzi.

— Co ja mogłem poradzić? — powiedział przepaszającym tonem. — Dojechałem tylko do połowy drogi. Na każdym podejściu czekają ludzie.

Głos Kroniego:

— Postanowiliśmy nie czekać. Idziemy schodami w górę. Będę meldował, na który poziom dotarliśmy.

— Dobrze — odpowiedział Kruminsz.

— Jadę z tobą — zwrócił się Takasi do Stancza. — Chcesz dotrzeć do szóstego poziomu?

— Tak. Tych ludzi zabrałem z ósmego.

— Takasi! — krzyknął Kruminsz.

— Szybciej! — powiedział Takasi. — Tam na nas czekają.

Ostatniego człowieka trzeba było dosłownie wypchnąć z windy, żeby jak najszybciej pojechać w dół. Kruminsz westchnął beznadziejnie i zobaczył, że pod daszek wchodzi Maks.

— Z Güntherem naprawdę jest źle? — zapytał Biety.

— Tak — odparł Kruminsz.

— Żadnej nadziei?

— Żadnej. Nie mogłem jednak powstrzymać Takasiego, który tam poleciał.

— A co z wodą?

Maks mówił bardzo spokojnym, martwym głosem.

— Najgorsze, że woda znowu się przebiła i nie wiadomo jak długo zawał wytrzyma.

— Szkoda, że nie zdążyłem — powiedział Maks. — Poszedłbym zamiast Takasiego. Miałbym więcej szans.

— Nikt nie powinien tam iść.

— Wiem — powiedział Maks. — Wiem, że nikt, ale ktoś przecież tam pójść musiał. Teraz będę musiał tu zostać.

— Tak — odparł Kruminsz. — Będziesz musiał tu zostać, bo nie ma komu wyprowadzać ludzi.

* * *

Takasi szedł tunelem, orientując się według strumienia wody, który już zajmował cały środek posadzki, i przeszkadzał w marszu. Kiedy dotarł do zawału, spod którego, jak spod krawędzi lodowca, tryskały strumienie wody, zrozumiał, że jego wyprawa była daremna. Ale ktoś musiał ją podjąć. Jeśliby on lub ktokolwiek inny nie przyszedł w to miejsce, na całe życie pozostałyby wyrzuty sumienia, że nie zrobili tego, co dla każdego z nich zrobiłby bez wahania tropiciel Günther.

Takasi obejrzał rumowisko. Cały strop tunelu runął w dół i było oczywiste, że Günther prawidłowo wybrał to jedno, jedyne miejsce, w którym należało dokonać wybuchu. Zawał jeszcze zatrzymuje wodę.

— Zawał trzyma — powiedział do mikrofonu.

— Günthera nie ma — powiedział twierdząco Kruminsz.

— Nie.

— Natychmiast wracaj — powiedział Kruminsz.

— Dużo ludzi wyjechało?

— Dużo, ale nikt nie wie, ilu jeszcze zostało.

— A co z Kronim?

— Udało mu się przejść tylko jeden poziom, gdzie znalazł pod dostatkiem miejscowych uciekinierów. Dalej schody są zawałone. Stanczo usiłuje się do nich przebić.

— Ale na jego windę chyba nie ma co liczyć?

— Nie. Jest wprawdzie jeszcze druga winda, ale to bardzo daleko od ciebie.

— Coś wymyślę — powiedział Takasi.

Jeszcze raz spojrzął na zawał. Wypływający spod niego potok wody rósł w oczach.

— Zostało już niewiele czasu — powiedział Takasi. Myślał, że powiedział to w duchu, ale Kruminsz go usłyszał.

— Uciekaj stamtąd! — krzyknął.

Takasi zawrócił. Strumień pomagał mu iść, popychając z tyłu, a jednocześnie był tak silny, że zwał z nóg. Trzeba więc było biec, podrzucając wysoko kolana.

Potem Takasi odszukał schody prowadzące na wyższy poziom i dotarł do miasta. Ten poziom był prawie pusty. Na ulicach koło niewielkich domków wystających samymi tylko fasadami ze ściany skalnej stały lampki zostawione tam przez mieszkańców. Jakieś ciemne postacie na jego widok ukryły się pospiesznie w ciemności ciągnąc za sobą ciężkie worki. Okazało się, że nawet w takiej sytuacji znalazło się miejsce i czas dla złodziei. Na niewielkim placyku płonęła sterta śmieci.

Takasi przypomniał sobie plan ulic i wiedział, gdzie znajdują się schody, które niedawno odgruzowywał. Właśnie w ich kierunku szedł.

Szedł i słuchał głosu Gery:

— Szanowni współobywatele. Są jeszcze miejsca w służbowej windzie trzeciej sekcji. Ci, którzy znajdują się w pobliżu, mogą przejść do windy...

Głosu Kruminsza:

— Kroni, prowadź ludzi do dużej windy. Tam przebijają się Stanczo.

Głosu Kroniego:

— Na ulicy, którą idziemy, pojawiła się woda spadająca z góry.

Głosu Maksa, który wziął od Kruminsza zapasowy nadajnik:

— Wilis, nadchodzi deszcz. Trzeba wysłać kogoś po brezenty.

Głosu Kruminsza:

— Jeśli oni zmkną, to nie stanie się nic złego. Tych ludzi trzeba przede wszystkim nakarmić.

Głosu Anity:

— Wilis, nie zdajesz sobie sprawy z tego, że połowa tych ludzi jest już przeziębiona, a jutro będzie zupełny koszmar. Oni nie są przyzwyczajeni do świeżego powietrza.

— Poślij którąś z dziewcząt.

— Gdybym tylko mogła je znaleźć w tym tłumie... Nieoczekiwanie tuż przed Takasim runęła ściana wody. Opadła jak kurtyna, przegradzająca cały korytarz. Za nią widać było rzadkie ogniki stojących na ziemi kaganków.

- Tutaj też jest woda — powiedział.
- Numer poziomu? — zapytał Kruminsz.
- Piąty.
- To znaczy, że puściła jeszcze jedna tama — powiedział Kruminsz.
- Tak. Woda płynie z góry, a więc przebiła się na czwartym poziomie.
- Ale Gera nadaje?
- Nie słyszysz?

Takasi pobiegł w stronę schodów. Tuż przed samą klatką dopędził grupę uciekinierów, która zmyliła drogę i pchała się w ślepy zaułek. Takasi pomyślał, że setki ludzi grupami i w pojedynkę snują się teraz tunelami i korytarzami.

Ziemia znów zatrzęsała się pod nogami. Puścił jednocześnie zawał Günthera i tama trzy poziomy wyżej.

Takasi zdążył doprowadzić grupę uciekinierów do schodów i szedł teraz za nią. W samą porę. Woda szybami windowymi i kanałami wentylacyjnymi runęła w dół, do elektrowni. Wypełniła poziom najniższy i zaczęła się podnosić. Wkrótce powinna dotrzeć do poziomu, na którym znajdował się tunel prowadzący do Otchłani.

Takasiemu wydawało się, że schody między poziomami nie mają końca, tym bardziej że wciąż musiał się zatrzymywać, popychać i ciągnąć pozostających w tyle. Zbliżanie się kolejnego poziomu znamionował ochryply dźwięk głośników. Chrapliwy, niemal męski głos Gery, przerywany atakami kaszlu, brzmiał jak puls umierającego ciała.

Innymi schodami o kilka poziomów niżej wspinał się Kroni. Otaczający go tłum był znacznie liczniejszy i poruszał się wolniej niż grupa Takasiego. Ci ludzie prawie nie mieli szans, chociaż rozumiał to tylko Kroni i archeolodzy. Nie można też im było pomóc, gdyż Stanczo musiał trzykrotnie zawracać. Zatrzymywał windę, bo na każdym podeście byli ludzie, którzy również potrzebowali ratunku. A Stanczo nie mógł nic więcej wycisnąć z windy, która miała ograniczoną przecież szybkość i pojemność.

Ludzie wychodzili spod ziemi nie kończącym się potokiem.

Takasi wyprowadził swoją grupę na najwyższy poziom, skąd wydeptany już, dobrze znajomy tunel prowadził na powierzchnię.

Znów były głosy, odrębne, ale splecione w dziwny kłębek współzależności.

Głos Anity:

— Wilis, muszę kłaść dzieci na ziemi.

Głos Maksa:

— Gdzie jest Stanczo? Łazik się rozkraczył. Gdzie jest Stanczo?!

Głos Kruminsza:

— Stanczo jest na dole. Od pięciu minut nie miałem od niego żadnej wiadomości.

Milczenie. Jakby wszyscy czekali, aż Stanczo się odezwie. Ale Stanczo nie ma nadajnika. Jeśli winda stanęła na dole, to znalazł się w nie lepszej sytuacji niż Kroni.

Głos Gery, ochryply i prawie niezrozumiały:

— Mówi Gera Spel. Doniesiono mi z góry, że uratowani nie chcą odchodzić od wierzchniego otworu. Ci, którzy przy nim pozostaną, narażają się na niebezpieczeństwo. Prosimy niezwłocznie, powtarzam, niezwłocznie odchodzić dalej. — I innym już głosem, jakby niechcący wyrwało jej się: — Woda na podłodze...

Była niczym radiotelegrafista tonącego statku, nadający SOS, kiedy nad rozszalałymi falami widać jedynie szczyty masztów. Ale ten obraz, który przemknął przez głowę Takasiego, niewiele mógł znaczyć dla samej Gery.

Głos Kroniego:

— Woda nas dopędza. Jeśli Stanczo zamierza przebić się do nas, to nie puszczajcie go, bo szyb jest zalany. Powtarzam, woda nas dopędza! To chyba ostatnia wiadomość ode mnie.

Takasi szedł w dół i słuchał głosów miasta, a kiedy Kruminsz starając się kontrolować ruchy wszystkich, z którymi miał łączność, zapytał go, gdzie jest, odpowiedział krótko:

— U mnie wszystko w porządku.

Głos Gery:

— Nie ulegajcie panice...

Takasi pomyślał, jak ta dziewczyna musi się czuć sama w pokoju, gdzie leży ciało jej ojca. I jak się boi, że nikt po nią nie przyjdzie. Jak jeden po drugim milkną kolejno poziomy, a jej już się wydaje, że została sama pod ziemią.

Głos Kroniego:

— Takasi, jesteś tu? Takasi!

— Jestem, Kroni.

— Na którym poziomie?

— Na górnym.

— Odchodzisz?

— Nie, zostaję.

— Takasi, jeśli możesz, znajdź Gerę.

— Właśnie do niej idę.

— Zwariowałeś?! — wrzasnął Kruminsz i zamilkł. Potem znów martwym i beznamiętnym głosem zaczął wydawać rozkazy łazikom i żądać, żeby szpital przyjmował więcej dzieci. Pochłonięty był innymi sprawami, bo na powierzchni zebrało się już kilkuset ludzi i nie mógł niczym już pomóc tym, którzy zostali w mieście.

— Idź do Gery — powtórzył Kroni...

— Co tam u ciebie? — zapytał Takasi już w biegu. Bał się, że głos Kroniego zamilknie. Chciał wierzyć w cud, ale cud był niemożliwy, bo dzieliło go od Kroniego kilka poziomów, a Kroni szedł jako ostatni w ogromnej procesji ludzi, której nie dane będzie dojść na Górę...

— Nie umiem pływać... — powiedział nagle Kroni zupełnie innym głosem. Potem zrobił długą pauzę i dodał, jak podsumowanie: — To tutaj nie ma żadnego znaczenia.

* * *

Takasi wbiegł na trzeci poziom, gdzie woda, nie nadążając spływać do zatopionych szybów i klatek schodowych, krążyła leniwie nad ich wlotami.

Na ulicach nikogo nie było. Tylko głos Gery, cichy, przerywany i nieskończenie samotny. Puls miasta zamierał.

Takasi w drodze kilka razy wołał Kroniego, ale nie doczekał się odpowiedzi.

Z przeciwka płynął szczur. Zwierzę płynęło szybko i nie spostrzegło Takasiego, który usunął mu się z drogi.

W Domu Dyrektorów paliło się światło. Widocznie działał agregat awaryjny. Takasi wszedł do środka. Podłoga była tam podwyższona i dlatego woda sięgała mu jedynie do kolan. Gigantyczny stół, przy którym obradowali Dyrektorzy, wydawał się bardzo niski, bo jego nogi do połowy skryły się pod gładką powierzchnią wody.

— Gero! — zawołał Takasi.

Z małego pokoiku dobiegł go kaszel.

Takasi poszedł tam. Gera ścisnęła w rękę mikrofon, kasłała i wycierała krew sączącą się z kącików ust.

— Kroni — powiedział Takasi i wskazał ręką do góry. — Kroni. Gera usiłowała coś powiedzieć, a zdumienie na jej twarzy ustąpiło miejsca bolesnemu grymasowi.

— Daj spokój — powiedział Takasi i wyjął jej mikrofon z ręki. Poczł nagle, że musi coś powiedzieć umierającemu miastu.

— Uwaga — powiedział do mikrofonu, jakby spełniał jakiś rytuał. — Uwaga! Mówi Takasi Nakajama. Radiostacja kończy pracę po zakończeniu ewakuacji miasta. Wznowienie jej działalności nastąpi jutro na powierzchni ziemi w nowym mieście. Do usłyszenia.

Nieważne, że nikt go nie zrozumiał.

Gdy tylko nie musiała już mówić, Gera straciła przytomność. Zaczęła tak ciężko chrypieć, że omal się nie udusiła. Takasi wziął ją na ręce i pomyślał, że Kroni miał rację — dziewczyna jest bardzo podobna do Nataszy. Zupełnie inna, ale bardzo do Nataszy podobna.

— Zaprzyjajcie się — powiedział. — Z pewnością zostaniecie przyjaciółkami.

— Takasi — powiedział Kruminsz. — Słyszeliśmy twoją ostatnią audycję. Nie zdążysz dojść do schodów. Przebij się do szybu windy. Maks opuści ci tam linę. To jedyna możliwość. Nie zdążysz dojść do schodów. Ciśnienie pary w kawernie szybko wzrasta. Przenosimy stanowisko łączności na wzgórze i zabieramy stąd ludzi. Zostaje tylko Maks. On nie odejdzie.

Takasi biegł po pas w wodzie, jeśli to powolne kuśtykanie można było nazwać biegiem. Przerzucił lekkie ciało Gery przez ramię, i biegł, choć tracił oddech, a jego niezawodne dotąd mięśnie zupełnie zdrętwiały.

Kruminsz wyłączył się. Władował pulpit łączności do łazika, a sam pobiegł do jamy, gdzie Maks kręcił ręczny kołowrót, bo wiedział, że Bięły sam nie wyciągnie Takasiego i Gery.

Takasi zatrzymał się przy szybie windy i pomyślał z abstrakcyjnym zdziwieniem, że gdzieś niedaleko para wypełnia ogromną ognistą pieczarę i że ten kocioł w każdej chwili może wylecieć w powietrze.

Z góry zjeżdżała podrygująca lina. Po chwili wpadła z chłupotem do wody, która leniwie ściekała do szybu. Miasto było nią nasycone jak gąbka. Takasi, omal nie zwałając się w przepaść, złapał linę i zaczął nią obwiązywać Gerę...

* * *

Miasto wyleciało w powietrze dwadzieścia minut później...

Biegl drogą zoraną gąsienicami łazików, a daleko przed nimi, popędzając maruderów, kuśtykał pospiesznie garbus. Jego krępa postać ledwie zdążyła zniknąć za grzbietem wzgórza, gdy ziemia za nim zaczęła ze zgrzytem i głuchym łoskotem wypiętrzać się, jakby z głębi wyrwał się na wolność jakiś ogromny potwór. Takasi rzucił Gerę na ziemię i przykrył ją swoim ciałem.

Ziemia wystrzeliła do góry groźnym słupem skały, wody, pary. I jeszcze nie zdążyły dolecieć do niskich chmur drobne kamienie i bryzgi lawy, kiedy zaczęła zapadać się do środka, krusząc i niwecząc po drodze to, co jeszcze rano było nie tylko miastem, ale również pradawnym, uporządkowanym światem. Następnego ranka na tym miejscu powstało głębokie, prawie idealnie okrągłe jezioro. Ze skał na jego przeciwległym brzegu unosiły się smugi pary.

A kiedy minęła wieczność i z nieba przestały lecieć kamienie, kiedy ziemia ciężko westchnęła i przestała dygotać, wszyscy wstali. Najpierw Kruminsz i Maks. Potem Takasi. Takasi ostrożnie podniósł Gerę. Kruminsz przeciągnął dłonią po skroni i strząsnął trochę krwi — dostał odłamkiem kamienia.

— Idziemy? — zapytał Kruminsz, nie odwracając się.

Takasi szedł pierwszy. Maks stanął i długo patrzył do tyłu, starając się zapamiętać na zawsze

miejsce, z którego nie wrócił Günther Jantz.

Takasi oddał Gerę Anicie, która czekała na nich przy wejściu do szpitalika. Nataszy nie zdołał odnaleźć w rozedrganym, krzykliwym i przerażonym ludzkim mrowisku.

Takasi był bardzo zmęczony i chciał pobyc sam. Żeby niczego nie słyszeć i o niczym nie myśleć. Zbiegł ze wzgórza i położył się w trawie. Gwar obozu docierał do niego jak odległe brzęczenie pszczół. Koczowały w nim setki ludzi, których trzeba było nakarmić, zakwaterować i uspokoić, ludzi, którzy nigdy nie widzieli Kroniego, który przebył tak długą drogę do Miasta na Górze, i nie widzieli Günthera, który o pół godziny opóźnił powódź. Ani inżyniera Raziego, który został z Güntherem, chociaż mógł uciec, ani Stancza, który osiem razy zjeżdżał na dół, a nie zdążył wrócić po raz dziewiąty...

Takasi leżał na trawie i patrzył w niebo, które nie może zwalić się na głowę. Tam właśnie znalazła go Natasza. Usiadła obok i położyła dłoń na jego pokaleczonym, gorącym czole.